

ANDRÉ ACIMAN

Powieść autora bestsellerowych  
*Tamtych dni, tamtych nocy*

OSIEM  
BIĄTYCH  
NOCY

w  
ydawnictwie  
ab  
two

André Aciman

OSIEM BIAŁYCH NOCY

przełożyła Agnieszka Walulik



Tytuł oryginału: *Eight White Nights*  
Copyright © 2010 by André Aciman

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Noc pierwsza](#)

[Noc druga](#)

[Noc trzecia](#)

[Noc czwarta](#)

[Noc piąta](#)

[Noc szósta](#)

[Noc siódma](#)

[Noc ósma](#)

[Przypisy](#)

*Dla Philipa,  
luz y dulzura<sup>1</sup>*

## Noc pierwsza

W połowie kolacji wiedziałem już, że później odtworzę sobie cały wieczór w głowie: autobus, śnieg, droga wiodąca w górę łagodnego wzniesienia, katedra majacząca tuż przede mną, nieznajoma w windzie, duży zatłoczony salon pełen widocznych w blasku świec twarzy promieniejących od śmiechu i tajemniczego przeczucia, dźwięki fortepianu, śpiewak o gardłowym głosie, sosnowa woń unosząca się we wszystkich pomieszczeniach, po których wędrowałem, myśląc sobie, że powinienem był zjawić się tu dziś o wiele wcześniej albo nieco później, albo w ogóle nie przychodzić; klasyczne grafiki w sepii na ścianie przy łazience, a obok ukryty za drzwiami skrzydłowymi długi korytarz wiodący do prywatnej, niedostępnej dla gości części mieszkania, który jednak skręcił w kierunku przedpokoju i nagle, niczym za sprawą magii, wrócił do salonu, gdzie tymczasem zebrało się jeszcze więcej ludzi i ktoś niespodziewanie odwrócił się do mnie przy oknie za dużą choinką, choć schowałem się tam w nadziei na chwilę spokoju, wyciągnął rękę i powiedział:

– Jestem Clara.

Jestem Clara, wypowiedziane ot tak, jakby było to najoczywistsze stwierdzenie pod słońcem, jakbym i tak już to wiedział albo powinienem był wiedzieć, lecz skoro nie zwróciłem na nią uwagi czy też może usiłowałem nie zwracać na nią uwagi, ona postanowiła pomóc mi wyzbyć się pozoru obojętności i nadała twarz imieniu, które bez wątpienia słyszałem już wielokrotnie z ust innych osób.

U każdej innej osoby „Jestem Clara” mogłoby zabrzmieć jak niepewne zagajenie rozmowy – potulne, powierzchownie asertywne, przesadnie zdawkowe, zdystansowane, rzucone jakby poniewczasie; słowny odpowiednik potrząśnięcia ręki, które nauczyło się pozorować stanowczość i energiczność poprzez nadmierne przeciąganie skądinąd bezwładnego i drętowego uścisku. U osoby nieśmiałej słowa „Jestem Clara” wymagałyby wysiłku, który całkowicie by ją wyczerpał, tak że na brak reakcji ze strony rozmówcy poczułaby nieomal wdzięczność.

Lecz w jej ustach owo „Jestem Clara” nie było ani śmiałe, ani obcesowe; wypowiedziała je z cierpkim, wystudiowanym uśmiechem kogoś, kto powtarzał to już zbyt wiele razy, żeby przejmować się wrażeniem, jakie sprawi, przerywając w ten sposób milczenie w towarzystwie obcego człowieka. Wymuszone, obojętne, zmęczone i rozbawione – nią samą, mną, życiem, które sprawiło, że nawiązywanie rozmowy jest czymś tak stresującym i krępującym – „Jestem Clara” wsunęło się między nas niczym pozbawiona znaczenia formalność, z którą trzeba się wreszcie uporać, więc równie dobrze można to zrobić teraz, skoro oboje stoimy akurat z dala od tłumu zgromadzonego na środku pomieszczenia i szykującego się do rozpoczęcia śpiewu. Jej słowa zaskoczyły mnie jak jeden z tych niespodziewanych podmuchów wiatru, które przedzierają się przez wszelkie zapory i otwierają na oścież wszystkie drzwi i okna, wnosząc zapach wiosennego kwiecia w sam środek zimowych miesięcy, siejąc na swojej drodze zamęt i skłaniając do przedwczesnej zażyłości niczym ktoś, kto nie ma nic do stracenia i kogo zupełnie nie obchodzi, co pomyślą o nim inni. Nie dostrzegałem w jej tonie natarczywości ani chęci pominięcia męczących banałów, lecz mimo to wyczułem odcień przymusu i rozgorączkowania, który nie był ani nieprzyjemny, ani całkowicie niezamierzony. Pasował do jej postaci, do niespokojnej arogancji jej podbródka, do karmazynowej i cienkiej jak woal koszuli, rozpiętej aż po mostek, do odsłoniętej skóry, gładkiej i równie nieprzystępnej co mały diament wiszący na cienkim platynowym naszyjniku.

„Jestem Clara”. Wprosiło się niezapowiedziane jak amatorka teatru, która przepycha się między pozajmowanymi fotelami, przeszkadzając wszystkim w ostatnich sekundach przed podniesieniem kurtyny, a jednak zamieszanie, którego jest przyczyną, wyraźnie bawi ją do tego stopnia, że gdy tylko dociera do zarezerwowanego na cały sezon miejsca, natychmiast zsuwa płaszcz z ramion, odwraca się do siedzącej obok osoby i przepraszając za zakłócenie spokoju, a zarazem zupełnie się tym nie przejmując, szepcze porozumiewawczo: „Jestem Clara”. Ma to oznaczać: jestem Clara, którą będziesz tu widywał przez cały rok, więc postarajmy się być dla siebie mili. Jestem Clara, której nigdy nie spodziewałeś się ujrzeć na fotelu obok siebie, a jednak oto się zjawiłam. Jestem Clara, którą będziesz pragnął oglądać tu każdego dnia każdego miesiąca przez resztę tego oraz każdego kolejnego

roku swojego życia – a ja o tym wiem, więc powiedzmy sobie szczerze: może starasz się tego nie okazywać, ale też zdajesz sobie z tego sprawę, i to od momentu, kiedy po raz pierwszy na mnie spojrzałeś. „Jestem Clara”.

Było to coś pomiędzy żartobliwym „Jak mogłeś tego nie wiedzieć?” a „Co masz taką przygnębiającą minę?”. Proszę – zdawała się mówić, niczym magik pokazujący dziecku prostą sztuczkę – weź to imię, zaciśnij je mocno w ręce, a po powrocie do domu rozłóż dłonie i pomyśl sobie: „Dzisiaj poznałem Clare”.

Jakby zaoferowała starszemu panu kawałek czekolady z orzechami akurat w momencie, kiedy miał stracić cierpliwość. „Niech pan nic nie mówi, dopóki pan tego nie spróbuje”. Wytrącała człowieka z równowagi, ale natychmiast mu to wynagradzała, zanim w ogóle zdążył się zorientować, tak że nawet nie miał pewności, co było pierwsze: przeprosiny czy delikatna szpila, a może jedno i drugie splotło się w jednym zwrocie, owijając jej dwa słowa spiralą, jakby były wypowiedzianą z uśmiechem groźbą śmierci przebraną za nic nieznaczący żart. „Jestem Clara”.

Życie przed. Życie po.

Wszystko przed Clare wydawało się takie martwe, puste, tymczasowe. Wszystko po Clare ekscytowało mnie i przerażało: miraż oazy majaczący na drugim końcu doliny grzechotników.

„Jestem Clara”. Oto był jeden pewnik, co do którego nie musiałem mieć żadnych wątpliwości i mogłem do niego wracać za każdym razem, kiedy będę chciał o niej pomyśleć – przenikliwej, ciepłej, cierpkiej i niebezpiecznej. Cała jej osobowość emanowała z tych dwóch słówek, jakby były pilną informacją zapisaną tajemniczo na odwrocie książeczki z zapalnikami, którą chowasz do portfela, bo zawsze już będzie ci przypominać tę noc, kiedy niespodziewanie rozkwitło przed tobą marzenie, twoje wyśnione życie. I może nie było to nic więcej – ot, zwykły sen – ale zbudziło we mnie tak silne pragnienie bycia szczęśliwym, że prawie gotów byłem uwierzyć, iż faktycznie jestem szczęśliwy w ów wieczór, kiedy ona wdarła się we mnie niespodziewanie, wnosząc zapach wiosennego kwiecia w sam środek zimowego miesiąca.

Czy po opuszczeniu dzisiejszego przyjęcia nadal będę tak się czuł?



A może przebiegle znajdę sposób, żeby zafiksować się na drobnych wadach, aż zaczną mnie drażnić i pozwolą mi stłamsić to marzenie tak, że wreszcie zgaśnie i utraci swój powab, a utraciwszy go, przypomni mi na nowo – jak zawsze na nowo – że szczęście to jedna jedyna rzecz w życiu, której inni nie są w stanie nam zapewnić.

„Jestem Clara”. Te słowa miały moc przywołania jej głosu, jej uśmiechu, jej twarzy, gdyby w trakcie wieczoru zniknęła w tłumie, napełniając mnie obawą, że już zdążyłem ją utracić albo tylko ją sobie wyobraziłem.

– Jestem Clara – mógłbym sobie powiedzieć w takiej chwili, a wtedy ona znów byłaby Clarą i zjawiłaby się przy mnie obok choinki, przenikliwa, ciepła, cierpka i niebezpieczna.

Już teraz – nie minęło nawet kilka minut od momentu, kiedy się poznaliśmy, a wiedziałem, że tak będzie – wyobrażałem sobie, że mógłbym jej nigdy więcej nie spotkać; już teraz zastanawiałem się, w jaki sposób mam zabrać ze sobą owo „Jestem Clara” i schować je do szuflady razem ze spinkami do mankietów, wkładami do kołnierzyków, zegarkiem i portfelem.

Przyzwyczajalem się do niewiary, że ten moment zdoła potrwać kolejne pięć minut, ponieważ nosił wszelkie znamiona nierzeczywistego, zaczarowanego interludium, kiedy wszystkie drzwi otwierają się aż nazbyt łatwo i pozornie wpuszczają nas do zamkniętego zwykle kręgu, którym jest nic innego jak nasze własne życie – nasze życie, tyle że w postaci, w jakiej zawsze pragnęliśmy je przeżywać, choć na każdym kroku oszukiwaliśmy; nasze życie ujęte wreszcie według właściwego klucza, opowiedziane od nowa w odpowiednim trybie gramatycznym, w języku, który do nas przemawia i do nas jedynie jest dostosowany; nasze życie, wreszcie urzeczywistnione i świetlane, ponieważ objawiło się nagle nie w naszym własnym, lecz w cudzym głosie, zostało uchwycone cudzą ręką, odbite na twarzy osoby, która nie może przecież być nam obca, ale ponieważ właśnie taka jest, przykuwa nasz wzrok spojrzeniem mówiącym: „Dziś wieczorem to ja jestem twarzą, którą nadajesz swojemu życiu i temu, jak je przeżywasz. Dziś wieczorem to ja jestem twoimi oczami na świat, który spogląda z powrotem ku tobie. Jestem Clara”.

Oznaczało to: „Weź moje imię i szepcz je do siebie, a za tydzień wróć

i przekonaj się, czy zdążyło obrosnąć kryształami”.

Jestem Clara – uśmiechała się, jakby rozbawiło ją coś, co ktoś przed chwilą powiedział, a ona przyjęła tę wesołość zrodzoną w innym kontekście i odwróciła się do mnie, ukrytego za świąteczną choinką, i wyjawiała mi swoje imię, podała mi swoją dłoń, sprawiła, że chciałem się zaśmiać z puenty, której nie usłyszałem, ale która doskonale odpowiadała poczuciu humoru dokładnie takiemu jak moje.

To właśnie oznaczało dla mnie: „Jestem Clara”. Stworzyło iluzję intymności, przyjaźni na krótko przerwanej i pospiesznie wznowionej, jakbyśmy już się kiedyś spotkali albo nasze ścieżki się krzyżowały, ale ciągle nie mogliśmy na siebie trafić i teraz za wszelką cenę musieliśmy na nowo się poznać, a jej gest wyciągnięcia ręki był czymś, co powinniśmy byli zrobić dużo wcześniej, bo przecież wspólnie się wychowaliśmy, tylko potem straciliśmy kontakt, albo tyle razem przeszliśmy, albo w jakimś innym życiu byliśmy kochankami, dopóki nie rozłączyło nas coś tak trywialnego i haniebnego jak śmierć, lecz tym razem Clara nie zamierzała do tego dopuścić.

„Jestem Clara” oznaczało: ja już cię znam – to nie jest zwyczajna sytuacja – a jeśli wydaje ci się, że przeznaczenie nie miało z tym nic wspólnego, to lepiej zastanów się jeszcze raz. Owszem, możemy (jeśli masz ochotę) trzymać się banalnych koktajlowych uprzejmości i udawać, że wszystko dzieje się tylko w twojej głowie – albo możemy rzucić wszystko i niepomi na pozostałych, niczym dzieci, które w wigilijny wieczór budują sobie pośrodku zatłoczonego salonu malutki namiot, wstąpić do świata promieniejącego od śmiechu i tajemniczego przeczucia, gdzie nic nie wiąże się z ryzykiem, gdzie nie ma miejsca na wstyd, zwątpienie czy strach, gdzie wszystkie słowa są lekkim, frywolnym żartem, bo najuroczystsze sprawy często przychodzą do nas w przebraniu psot i radosnych zabaw.

Przytrzymuję jej rękę odrobinę dłużej, niż to się zwykle robi, żeby pokazać, że zrozumiałem wiadomość, ale nie tak długo, jak powinienem, z obawy, że wiadomość ta była tylko wytworem mojej wyobraźni.

Oto mój wkład, mój podpis pod tym wieczorem, moja pokrętna interpretacja zwykłego uścisku dłoni. Gdyby Clara wiedziała, jak odczytywać

moje zachowania, przejrzałaby tę afektację i nonszalancję i dostrzegłaby inną, jeszcze głębszą, której niechętnie się wyzbywam, zwłaszcza w obecności kogoś, kto jednym przelotnym spojrzeniem i dwoma słowami bez trudu mógłby wydobyć ze mnie klucz do wszystkich moich kryjówek.

Nie przyszło mi do głowy, że ludzie, którzy wpadają z impetem w nasze życie, mogą równie łatwo z niego zniknąć, kiedy już z nami skończą; że ktoś, kto wbiega do filharmonii na kilka sekund przed rozpoczęciem koncertu, może nagle zerwać się z miejsca i od nowa zacząć się przepychać między fotelami, bo odkrył, że siedzi w niewłaściwym rzędzie, i uznał, że nie ma ochoty czekać na antrakt.

Spojrzałem na nią. Spojrzałem na jej twarz. Znałem tę twarz.

– Wyglądasz znajomo – zamierzałem powiedzieć.

– Wyglądasz, jakbyś trafił tu przez przypadek – odezwała się pierwsza.

– To widać? – odparłem. – I czy większość ludzi na przyjęciach nie wygląda, jakby trafiła tam przez przypadek?

– Niektórzy bardziej niż inni. On nie. – Pokazała palcem mężczyznę w średnim wieku, który rozmawiał z jakąś kobietą. Trzymał w dłoni przejrzystego drinka i stał pod czymś, co zapewne było zaledwie podróbką żłobkowanej kolumny o korynckim kapitelu; pochylony, opierał się o nią niedbale, jakby absolutnie nigdzie mu się nie spieszyło. – W ogóle nie wydaje się zagubiony. Ona też nie.

„Jestem Clara”. Potrafię przejrzeć ludzi.

Pan i pani Shukoff – tak ich ochrzciła. Shukoffów małżeńska raz para paliła się do bara-bara; rzekł on do niej śmiało, pieszcząc wzrokiem jej ciało: wnet cygarko się moje zajara.

Państwo Shukoff: ludzie, którzy z uporem cię shukują, choć ciągle usiłujesz się przed nimi ukryć – wyjaśniła. Oboje wybuchliśmy śmiechem.

Następnie gestem, który nie miał nic wspólnego z dyskrecją, Clara wskazała palcem kobietę po sześćdziesiątce, w długiej czerwonej sukni i pantoflach z czarnej lakierowanej skóry.

– Babcia Świętego Mikołaja. Patrz – rzuciła, pokazując szeroki

lakierowany pas ze złotą klamrą, opinający talię Babci. Kobieta miała na głowie coś, co po prostu musiało być peruką; połyskliwe blond pukle okręcały jej się wokół uszu, zakończone twardymi, zbitymi kosmykami o wyglądzie kłów młodego dzika. Z jej płatków usznych zwisały duże, rozcięte na pół perły, osadzone na maleńkich złotych talerzach; miniaturowe latające spodki, tylko bez zielonych ludzików – powiedziała Clara. Natychmiast ochrzciła kobietę imieniem Muffy i nazwiskiem Mitford. Następnie zaczęła rozbierać Muffy Mitford na części pierwsze, zaciągając mnie do pomocy, jakby w jej umyśle nie powstał nawet cień wątpliwości, czy przyłączyć się do niej w tym procesie całkowitej dyskredytacji.

Muffy mówi świdrującym głosem. Muffy nosi po domu błękitne pantofle na obcasie z puchatymi pomponikami – powiedziałem. Muffy nosi pod spodem podomkę, zawsze nosi pod spodem podomkę – powiedziała ona. Muffy ma niewystrzyżonego pudła o imieniu Sulejman. Jej mąż nosi przydomek Chip. A syn – jakżeby inaczej – Pip. Córka nazywa się Mimi. Nie, Buffy, do rymu z Muffy. Muffy Beaumont. Z domu Montebello. Nie, Belmont. Nie oszukujmy się: Schoenberg – powiedziała Clara. Muffy ma angielską służącą. Ze Shropshire. Nie, z Nottingham. Nie, z Anglii Wschodniej. Z East Coker w Somerset. Z Little Gidding – powiedziałem. Burnt Norton – poprawiła, a po namyśle zmieniła zdanie: z jakichś ciepłych wysp. Z Majorki. A na nazwisko ma Monserrat albo jakoś podobnie – dodałem. „O nie, nie. Dolores Luz Berta Fatima Consuelo Jacinta Fabiola Inez Esmeralda” – jedno z tych imion, które nigdy się nie kończą, bo ich czar leży w kadencji i melodii; wznoszą się na niej i nabrzmiewają, aż w końcu spadają nagle kaskadą przy nazwisku pospolitym jak piasek na podmiejskiej plaży: Rodriguez – i oboje ryknęliśmy na widok Muffy, która śmiała się i kołysała biodrami do rytmu piosenki wykonywanej przez śpiewaka o gardłowym głosie; luźny koniec jej paska kołysał się niczym zawieszony na brzuchu symbol płodności, a w dłoni tkwił pusty kieliszek do martini – i do dna wychyliła, i oczko puściła, i rzekła: nalej więcej, to zrobię się miła.

– Jesteś znajomym Hansa, prawda? – zapytała Clara.

– No proszę... Skąd wiedziałaś?

– Bo nie śpiewasz. I ja nie śpiewam. – Po czym, widząc, że nie do końca rozumiem, wyjaśniła: – Znajomi Hansa nie śpiewają. Tylko znajomi

Gretchen. – Otarła usta serwetką, jakby zduszając ostatnie podrygi żartu, którym nie zamierzała się ze mną dzielić, ale chciała, żebym go dostrzegł. – To proste – rzekła, wskazując niezbyt dyskretnym ruchem zgromadzony wokół fortepianu tłum, którego członkowie śpiewali na cały głos za przewodem mężczyzny o gardłowym głosie.

– A więc Gretchen jest tą bardziej muzykalną – rzuciłem obojętnie tylko po to, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, nawet jeśli po mojej uwadze miała nastąpić niezręczna, nieunikniona cisza. Odpowiedź Clary zupełnie mnie zgasła:

– Gretchen, muzykalna? Gretchen nie poznałaby się na muzyce, choćby ta pierdnęła jej w ucho. Spójrz na nią: stoi przyklejona do drzwi i tylko wita się z gośćmi, bo nie ma pojęcia, co innego ma ze sobą zrobić. – Niespodziewanie przypomniałem sobie sflaczały uścisk dłoni, zdawkowe powitanie i całusa w policzek, który tak naprawdę był tylko muśnięciem ucha, bo Gretchen nie chciała rozmazać sobie makijażu.

Słowa Clary mnie zaskoczyły, ale puściłem je mimo uszu, nie wiedząc, jak na nie odpowiedzieć albo im zaprzeczyć.

– Patrz na ich twarze – dorzuciła Clara, wskazując palcem śpiewających. Popatrzyłem na ich twarze. – Przecież nie zabrałbyś się do śpiewania wyłącznie dlatego, że jesteśmy na przyjęciu bożonarodzeniowym i pławimy się w wigilijnej atmosferze jak przerośnięte uszka w barszczu, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Mówię poważnie – dodała. A więc jej pytanie nie było retoryczne. – Popatrz na tych wszystkich pseudoeuropejskich Shukoffów. Czy nie wyglądają dokładnie jak ludzie, którzy zawsze śpiewają na świątecznych imprezach?

„Jestem Clara”. Bywam wredna.

– Ale ja też śpiewam... czasami – wtrąciłem nieszczerze, starając się, żeby zabrzmiało to równie mdło i naiwnie jak u ludzi, dla których śpiewanie podczas przyjęć to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Być może chciałem się przekonać, czy Clara wycofa się z tego ostrzału, kiedy się zorientuje, że mimowolnie złapała mnie na linii ognia. A może tylko się z nią droczyłem

i nie chciałem, żeby odgadła, jak bardzo jej cyniczna opinia o stowarzyszeniu współśpiewaczy przypominała moją własną.

– Ale ja też śpiewam – odparła, unosząc brew, jakbym powiedział coś skomplikowanego i wymagającego namysłu. Pokiwała lekko głową, zastanawiając się nad głębszym sensem moich słów, i nadal zdawała się ważyć je w myślach, kiedy nagle to do mnie dotarło: wcale nie mówiła o sobie, po prostu papugowała moją wypowiedź – „Ale ja też śpiewam” – i odrzucała ją z powrotem do mnie, przybraną teraz w szyderczą melodię pogardy, jak zgnieciony podarunek zwracany w naruszonym opakowaniu.

– Więc ty też śpiewasz – rzekła, nadal z namysłem. A może właśnie próbowała się wycofać po tym, jak strzeliła we mnie zatrutą strzałą?

– Owszem. Śpiewam, czasami... – potwierdziłem, starając się nie wypaść zbyt zarozumiale ani zbyt gorliwie. Udawałem, że nie dostrzegam ironicznego podjudzenia w jej głosie, i już miałem dodać: „Pod prysznicem”... lecz natychmiast wyczułem, że w świecie Clary każdy, kto niechętnie przyznaje się do śpiewania czasami, zaraz by dodał, że robi to pod prysznicem. Byłaby to najbardziej przewidywalna ze wszystkich możliwych ripost. Już słyszałem, jak Clara rozbiera na części pierwsze każdy banał zawarty w mojej wypowiedzi.

– A zatem śpiewasz – zaczęła. – W takim razie chętnie posłucham.

Wzięła mnie z zaskoczenia. Pokręciłem głową.

– Czemu nie? Nie idzie ci śpiewanie z innymi? – zapytała.

– Coś w tym stylu. – „Niezbyt dobrze” stanowiłoby słabą odpowiedź na jej żarty wypowiedziane tonem nauczycielki wystawiającej uczniowi opinię; dlatego właśnie postanowiłem tego nie mówić. Teraz jednak nie wiedziałem, jak pociągnąć rozmowę.

Kolejny moment wahania. I nagle, spoglądając ponad moim ramieniem, Clara przełamała ciszę:

– A chcesz usłyszeć, jak ja śpiewam?

Jej słowa brzmiały niemal jak wyzwanie. Sądziłem, że żartuje: okazawszy takie zniesmaczenie znajomymi Gretchen oraz ich

współśpiewaczym „pławieniem się w wigilijnej atmosferze”, na pewno przecież nie będzie miała najmniejszej ochoty na występ muzyczny. Zanim jednak zdołałem podjąć decyzję, w jakim tonie jej odpowiedzieć, Clara przyłączyła się już do refrenu, tylko że zrobiła to głosem, którego nigdy nie połączyłbym z jej twarzą i nie uwierzyłbym, że należy do niej: balansował na granicy całkowitego zapamiętania, jakby śpiewając tak przy mnie, Clara ujawniała kolejną, głębszą warstwę siebie i uświadamiała mi, że wszystko, co do tej pory o niej myślałem – od nagłego podmuchu wiatru poprzez zatrute strzały aż po żarty i pogardę – mogło być błędne; że „cierpkość” miała też swoją łagodniejszą stronę, że „niebezpieczeństwo” mogło stać się wrażliwe i pełne czułości, że kryły się w niej jeszcze inne, bardziej zdumiewające niespodzianki, a próby dotrzymania im kroku albo ich przewidzenia były bezcelowe, podobnie jak opieranie się komuś, kogo zwięźle, zdawkowe „Jestem Clara” pokazywało, że istnieją na tym świecie ludzie, którzy mimo całej swojej szorstkości i arogancji potrafią za pomocą kilku nut wmówić ci, że są z natury życzliwi, szczerzy i subtelni – a zaraz potem nękają cię przypomnieniem, że to właśnie owa zdolność do przeskakiwania z jednego aspektu osobowości w drugi daje im tę śmiertelną siłę rażenia.

Stałem jak zahipnotyzowany – zahipnotyzowany głosem, osobą, swoją całkowitą niezdolnością do zapanowania nad sytuacją, przyjemnością, jaką sprawiało mi to, że tak łatwo dałem się ponieść, bezradny i bezrozumny. Jej śpiew nie wydobywał się wyłącznie z jej ciała. Zdawał się wydierać coś także z mojego, jakby zadawnione wyznanie, którego nadal nie byłem w stanie wypowiedzieć na głos i które sięgało w przeszłość aż do dzieciństwa, a może echo zapomnianych opowieści nareszcie rozbrzmiewające pieśnią. Czym było to uczucie i skąd pochodziło? Dlaczego słuchanie jej śpiewu i wpatrywanie się w jej rozpiętą karmazynową bluzkę oraz wyeksponowany połyskliwy dekolt napełniały mnie pragnieniem, żeby ulec ich czarowi, zamieszkać blisko jej serca, pod jej sercem, nasze serca obok siebie, pozwól mi zajrzeć do swego serca; ten mały wisiołek – chciałem włożyć go sobie do ust.

Podobnie jak Ulisses, który zorientował się w syrenich sztuczkiach, jakąś częścią siebie nadal szukałem powodów, żeby nie dać się nabrać, nie uwierzyć. Tak idealny głos mógł uczynić Clare aż nazbyt doskonałą.

Nie minęło dużo czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że to, co czuję, nie jest zwykłym podziwem, nie było też rewerencją ani zazdrością. Słowo „uwielbienie” – jak w zdaniu: „Mógłbym wielbić kogoś takiego jak ona” – nie przyszło mi jeszcze do głowy, choć w dalszej części wieczoru, kiedy patrzyliśmy razem na lśniąca w świetle księżyca barkę przycumowaną po drugiej stronie białej rzeki Hudson, rzeczywiście się ku niemu zwróciłem. Ponieważ spokojne zimowe pejzaże uwznioślają duszę i obalają w nas mury obronne. Ponieważ część mnie zapuszczała się już w bezkształtne rejony, gdzie jedno słowo tu czy tam – właściwie dowolne – to cały punkt zaczepienia pozwalający się uchronić przed unoszącą nas wolą, o wiele potężniejszą niż nasza własna. Ponieważ kiedy słuchałem jej śpiewu w tym zatłoczonym, pełnym krzątania pokoju, przyłapałem się na zabawie pojęciem tak nadużywanym i oklepanym, tak bezpiecznym, że kusilo mnie, żeby je zignorować, i dlatego między innymi zdecydowałem się właśnie na nie: interesująca.

Clara była interesująca. Nie z powodu tego, ile wiedziała albo co mówiła ani nawet kim była, ale ze względu na to, w jaki sposób postrzegała i przekręcała różne rzeczy, ze względu na niedopowiedziane, samoświadome szyderstwo w jej głosie, na sposób, w jaki zdawała się jednocześnie podziwiać rozmówcę i sprowadzać go do parteru, tak że sam nie wiedział, czy jest miękka jak połyskliwy aksamit, czy szorstka jak papier ścierny. Ona jest interesująca. Chcę dowiedzieć się więcej, usłyszeć więcej, zbliżyć się bardziej.

Ale „interesująca” nie było określeniem, którego szukałem. Jeszcze jeden drink, a wreszcie znalazłbym to słowo, które próbowało zostać usłyszane, i wylałoby się ze mnie tak naturalnie, bez wysiłku i w sposób tak pozbawiony zahamowań, że kiedy stałem i rozmawiałem z nią przy kominku, wpatrując się w jej skórę, odczuwałem nie większą nieśmiałość czy skrępowanie niż uspiony człowiek, który we śnie wsiada do zatłoczonego wagonu metra, wita się z pozostałymi pasażerami i nie doznaje najmniejszego poczucia wstydu, gdy spojrzawszy na swoje stopy odkrywa, że nie ma na sobie butów, skarpetek ani spodni i właściwie od pasa w dół jest całkowicie nagi.

Podtrzymywałem rozmowę, aby nie powiedzieć tego, co pragnąłem, na tej samej zasadzie, na jakiej nieśmiałe osoby mówią zbyt wiele, bo brak im



odwagi, żeby powiedzieć dokładnie tyle, ile wystarczy, i ani słowa więcej. Zamknąłem usta, żeby się powstrzymać. Próbowałem pozwolić, żeby to ona z kolei zaczęła mówić. Wreszcie, nie chcąc jej przerywać, aby wypowiedzieć tanto słowo, ugryzłem się w język. Ugryzłem nie koniuszek, ale środkową część – było to mocne, władcze ugryzienie, które mogłoby nawet zabołec, gdybym poświęcił mu jakąkolwiek uwagę, ale przynajmniej pozwoliło mi niepostrzeżenie odzyskać panowanie nad sobą. Lecz jakże pragnąłem jej przerwać – przerwać, jak to robimy, kiedy wiemy, że mamy do powiedzenia coś, co wstrząśnie rozmówcą i go zszokuje; coś jednocześnie zachwycającego, śmiałego i obscenicznego.

To słowo tak wiele razy napływało mi do ust. Kocham ten pokój, kocham śnieg na Riverside Drive, kocham most Waszyngtona lśniący w oddali jak wisiołek spływający z nagiej szyi, i jej wisiołek też kocham, a także szyję, która go nosi – tak bym powiedział.

Pragnąłem wyznać, jak bardzo podoba mi się jej głos, a jedynym powodem było chyba to, że wtedy mógłbym przejść do innych rzeczy, nieśmiałych, niepewnych rzeczy, które może dodałyby mi odwagi i poprowadziły gdzieś dalej, o ile tylko udałoby mi się zacząć o nich mówić. Ale gdy tylko wspomniałem o jej śpiewie, przerwała mi w pół słowa.

– Studiowałam muzykę – powiedziała, wyraźnie próbując zgasić mój komplement, a zarazem podkreślając go właśnie przez to zniecierpliwienie, z jakim starała się go zignorować. Oznaczało to: „Nie czuj się w obowiązku, żeby zwrócić na to uwagę. Wiem, że dobrze śpiewam. W tym właśnie się szkoliłam”.

– Idę do innego pokoju. Tutaj jest za głośno i za duszno.

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie nic poza przygaszonym: „Okej”. A więc na tym koniec?

– Chodźmy do biblioteki. Tam będzie spokojniej.

Chce, żebym z nią poszedł. Pamiętam, że ta myśl mnie rozbawiła: „A więc ona chce, żebym z nią poszedł”.

Biblioteka, która okazała się równie zatłoczona, mieściła ogromne, oprawne w skórę rzadkie księgi, ustawione schludnie na regałach

otaczających wszystkie ściany, nie licząc okien i wyjścia na coś, co było chyba skierowanym w stronę rzeki tarasem. Za dnia drzwi balkonowe na pewno wpuszczały tutaj cudownie spokojne smugi światła.

– Mógłbym spędzić w tym pomieszczeniu resztę życia.

– Nie ty jeden. Widzisz tamto biurko?

– Tak.

Biurko było zastawione przekąskami.

– Napisałam przy nim magisterkę.

– I całe to jedzenie nie przeszkadzało ci w pracy?

Kiwnęła zdawkowo głową, zbywając moją próbę żartu.

– Mam dobre wspomnienia z tego pokoju. Przesiadywałam w nim przez cały rok, od dziewiątej do piątej. Pozwalali mi tu przychodzić nawet w weekendy. Pamiętam, jak wyglądały stąd lato i jesień. Pamiętam, jak patrzyłam przez okna na śnieg. A potem nadszedł kwiecień. Jak szybko upłynął ten czas.

Przez chwilę wyobrażałem sobie, jak przez całą zimę przychodziła tu rano i siadała do rzetelnej pracy. Czy nosiła okulary? Czy całkowicie skupiała się na pisaniu, czy też ogarniało ją znużenie, kiedy tak siedziała sama od rana do wieczora? Czy błędziła myślami, czy w środku zimy marzyła popołudniami o miłości? Czy w jej życiu było coś bolesnego?

– Naprawdę tęsknisz do czasów, kiedy pisałaś magisterkę? Większość ludzi woli w ogóle o nich nie myśleć.

– Nie tęsknię. Ale nie były złe.

Moje pytanie chyba nie bardzo ją zainteresowało. Zamierzałem ją sprowokować, żeby powiedziała, że chciałyby wrócić do tamtego okresu. Albo że wolałyby nigdy go nie przeżyć. Zamiast tego otrzymałem niezwykle wyważoną odpowiedź. Zastanawiałem się, czy nie stwierdzić, że ma bardzo miłe, rozsądne podejście do tej kwestii, ale powstrzymałem się na wypadek, gdyby uznała to za protekcyjne albo – gorzej – sarkastyczne. Ja na jej miejscu powiedziałbym pewnie, że to były straszne dni, ale i tak bardzo za nimi tęsknię. Rzuciłbym tę myśl dla efektu, może po to, żeby wyciągnąć coś

z Clary albo z siebie samego, albo żeby sprawdzić, czy Clara ma zamiłowanie do paradoksów, i przekonać się, jak daleko możemy zajść po omacku w mętnej krainie ostrożnych dwuznaczności wypowiedzianych w trakcie próby banalnej pogawędki.

Czułem jednak, że coś takiego również nie przejdzie w jej świecie – twierdzenie, że tęskni się za rzeczami, których się nie znosiło, że nie znosi się rzeczy, które się kochało, że pragnie się tego, co natychmiast by się odrzuciło – wszystko to były afektowane wykręty i malowane sprejem parawany, przez które natychmiast pożegnałaby się miazdzącym skinieniem głowy.

„Jestem Clara”. Wymyśl coś lepszego.

– A z czego ona była?

– Moja praca magisterska?

– Zgadza się.

– Z papieru, oczywiście. A niby z czego?

A więc to była jej odpowiedź na mój wcześniejszy drętwy żart. Wielkie dzięki.

– Nie, ale na serio – powiedziałem.

– Pytasz, czy była to dialogowa analiza sytuacji marginalizowanych kobiet żyjących w hegemonicznym, monolingwistycznym świecie skolonizowanym przez fallokratyczne instytucje?

Bardzo śmieszne.

– Bo nie była – dodała Clara.

Chwilowe milczenie.

– Czy mam teraz pytać dalej?

– Nikt ci nie kazał o cokolwiek pytać. Ale owszem, masz teraz pytać dalej.

A przez moment już mi się wydawało, że ją straciłem.

– Więc o czym była twoja praca?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Nie, pytam tylko dlatego, że mi kazałaś, nie pamiętasz?
- O la Folia. To taki gatunek muzyczny. Totalnie nieciekawym.
- La Folia? Czy ktoś taki jak ja mógłby to znać?

– „Ktoś taki jak ty...” – powtórzyła użyty przeze mnie zwrot, jakby był nieznanym owocem, nad którego dziwnym smakiem musiała się zastanowić przed wydaniem opinii, i wreszcie stwierdziła: – Co za spryt, co za bystrość. Czyli powinnam się już była domyślić, jakiego rodzaju człowiekiem byłby „ktoś taki jak ty”?

Przejrzała mnie na wskroś. Przyłapała mnie na podchwytliwym pytaniu, zanim sam się zorientowałem, że usiłuję zbliżyć nas do siebie, zmusić ją, żeby coś o mnie powiedziała.

„Jestem Clara”. Niezła próba.

– Na pewno słyszałeś kiedyś jakąś Folię, choć mogłeś nie wiedzieć, że to właśnie to. – I nagle znowu go usłyszałem: jej głos wznoszący się ponad hałas zatłoczonej biblioteki, śpiewający ciężkie początkowe takty słynnej sarabandy Händla. Ja, który nigdy nie rozumiałem, dlaczego mężczyźni uwielbiają, kiedy kobiety dla nich śpiewają, teraz jasno ujrzałem przed sobą pajęczą sieć.

– Poznajesz?

Owszem, poznawałem, ale nie odpowiedziałem na pytanie.

– Masz piękny głos – palnąłem zamiast tego, nie wiedząc, czy mam mówić dalej, czy też, jeśli to jeszcze możliwe, wszystko cofnąć. Znowu byłem nagi od krawędzi koszuli w dół, i podniecała mnie własna śmiałość.

– To typowa melodia oparta na standardowej progresji akordów, bardzo podobna do passacaglii. Masz ochotę na poncz? – wtrąciła, jakby ucinając mój komplement oraz narastającą zażyłość czekającą nieśmiało za kulisami. Wymówiła te słowa tak niespodziewanie, że – już po raz kolejny – odniosłem wrażenie, jakby chciała, żebym zauważył tę dobitną zmianę tematu, ale tylko jeśli zwrócę uwagę także na jej źle skrywaną awersję do komplementów.

Uśmiechnąłem się na ten manewr. Clara odpowiedziała uśmiechem,

niemal jakby kpiąc z siebie i wyczuwając, że jeśli zdradzi się z wiedzą, że przejrzałem jej udawaną skłonność do skakania po tematach, będzie to równoznaczne z przyznaniem, że moja interpretacja jej zagrania jest niebezpiecznie bliska prawdy. Uśmiechnęła się zatem zarówno, żeby potwierdzić, że dała się przyłapać, jak i żeby pokazać, że ta nasza gra to świetna zabawa: „Co za spryt, co za bystrość, ale z nas geniusze, prawda?”.

A może był to tylko sposób na skontrolowanie moich domysłów, wet za wet, bo chociaż ją przyłapałem, ona również znalazła we mnie coś, co zasługiwało na uśmiech – mianowicie grzeszek przyjemności, jaką czerpałem z cofających się i powracających fal słów, których żadne z nas nie chciało wypowiedzieć. Może to wszystko do niczego nie prowadziło i może oboje o tym wiedzieliśmy, udawaliśmy tylko, że nawiązujemy ze sobą kontakt, podczas gdy tak naprawdę wysyłaliśmy puste sygnały. Ja jednak miałem na twarzy wyraz radości – i nie zamierzałem go ukrywać – który ocierał się niemal o głośny śmiech.

Czy to także przejrzała? I czy wiedziała, że chcę, żeby to zrobiła?

Pojawiło się między nami nerwowe wahanie, jakby drzenie szpili, jaką Clara przez chwilę zamierzała mi wbić, ale natychmiast z tego zrezygnowała. Czy naprawdę zamierzała spytać wprost, dlaczego się uśmiecham, i zmusić mnie do wyjawienia mojej być może całkowicie wypaczonej interpretacji jej uśmiechu? Kim ty jesteś, Claro?

Przez chwilę – niewykluczone, że bawiłem się rozmyślaniami o najgorszych scenariuszach, aby w ten sposób się przed nimi ustrzec – wyobrażałem sobie kobietę w karmazynowej, nisko zapiętej bluzce z perspektywy wielu lat, jakbym machał do niej z niewłaściwej strony szkła powiększającego. Jak do kogoś utraconego. Kogoś, kogo poznałem kiedyś na jakimś odległym przyjęciu, nigdy go już nie zobaczyłem i wkrótce o nim zapomniałem. Kogoś, dla kogo mogłem zmienić swoje życie. Albo przez kogo mogłoby zboczyć z kursu tak dalece, że przywrócenie go na właściwy tor zajęłoby lata, a nawet pokolenia. Patrząc tak na nią z perspektywy czasu, byłem w stanie przewidzieć puste styczniowe wieczory w środku tygodnia i długie niedziele bez niej. Jakaś część mnie wyrwała się przed szereg i wracała już z informacją, jak to będzie na długo po tym, kiedy stracę Clarę: droga do i z jej domu, o którego lokalizacji nie miałem w tej chwili

najmniejszego pojęcia, widok z jej okna – dałbym wszystko, żeby jeszcze raz go zobaczyć, choć przedstawiał miejsca, których prawdopodobnie nigdy nie widziałem – poranne odgłosy jej młynka do kawy, woń otaczająca kuwetę jej kota, skrzypienie tylnych drzwi, kiedy późnym wieczorem wynosi śmieci, i trzask potrójnego zamka sąsiadów, zapach jej pościeli i ręczników, cały świat odpływający w dal, nim zdążyłem go choćby dotknąć.

Powstrzymałem się, wiedząc dzięki odwrotnej logice, doskonale znanej ludziom przesądnym, że sam przedsmak przyszłego cierpienia musi zakładać jakieś poprzedzające je szczęście, a zatem na pewno zagrozi mi drogę do radości, o której nie chciałem nawet myśleć z obawy, że jej się pozbawię. Czułem się nie inaczej niż rozbitek, który dostrzegłszy z wysokiego punktu obserwacyjnego na swojej bezludnej wyspie biały żagiel, postanawia nie wysyłać sygnałów dymnych, bo widział już zbyt wiele podobnych żagli i nie chce, żeby jego nadzieje po raz kolejny okazały się płonne. A potem, wmówiwszy sobie, że mimo wszystko powinien rozpaść ogień, zaczyna mieć wątpliwości co do obcych ludzi na pokładzie tego statku – wszak mogą się okazać większym zagrożeniem niż pytony i smoki z Komodo, pośród których nauczył się żyć.

Samotne wieczory w ciągu tygodnia nie były takie złe. Puste niedziele także nie. Nic z tego nie wyjdzie – powtarzałem sobie. Poza tym jeśli uznam, że już ją straciłem, może zdołam zmniejszyć panujące między nami napięcie, odzyskać grunt pod nogami i zacząć się zachowywać nieco pewniej.

Tym, czego nie chciałem odczuwać, była nadzieja, a poza nadzieją – łaknienie tak silne, że każdy, kto by na mnie spojrział, natychmiast mógłby odgadnąć, że całkowicie i niezaprzeczalnie straciłem głowę.

Nie przeszkadzało mi jednak, że ona o tym wie. Chciałem, żeby wiedziała. Kobiety pokroju Clary zdają sobie sprawę, że tracisz dla nich głowę, spodziewają się tego i potrafią dostrzec wszystkie twoje idiotyczne próby zamaskowania tego faktu. Zależało mi natomiast na ukryciu wysiłku, z jakim przychodziło mi zachowanie spokoju.

Aby obronić się przed jej spojrzeniem, odwróciłem wzrok, jakby coś mnie rozkojarzyło. Chciałem, żeby zapytała, dlaczego tak nagle odpłynąłem od niej myślami, żeby się martwiła, że może mnie stracić tak łatwo jak ja ją.

Ale chciałem też, żeby śmiała się ze mnie właśnie z powodu tego wybiegu. Pragnąłem, żeby przejrzała moją udawaną obojętność i ujawniła wszystkie moje zwinne posunięcia, udowadniając tym samym, że doskonale zna tę gierkę, bo sama wielokrotnie w nią grywała; być może robiła to nawet w tej chwili. Znowu ugryzłem się w język, kiedy aroganckie myśli nabrzmiały w mojej głowie i zaczęły się domagać głosu. Oto ja – nieśmiały mężczyzna udający nieśmiałość.

– Ponczu? – powtórzyła jak ktoś, kto pstryka ci przed nosem i woła: „Buu!”, żeby sprowadzić cię znów między żywych. – Kto śpiewał, ten nosi – dodała, gotowa się oddalić, żeby przynieść mi szklaneczkę.

Powiedziałem, że nie musi mnie obsługiwać, sam przyniosę. Wiedziałem, że niepotrzebnie robię z tego problem i mogę spokojnie przystać na jej propozycję. Lecz raz wstąpiwszy na tę ścieżkę, nie potrafiłem z niej zawrócić. Miałem wrażenie, jakbym postawił sobie za cel pokazanie, iż czułbym się bardziej skrępowany faktem, że ona przynosi mi drinka, niż zadowolony, że to zaoferowała.

– Ale ja chcę to zrobić – odparła. – Dorzucę nawet talerz z jakimiś smakołykami... o ile puścisz mnie w tej chwili, zanim zwałą się tu ci śpiewający barbarzyńcy i wszystko pożrą – dodała tonem, jakby był to jej ostateczny argument.

– Ale naprawdę nie trzeba.

Może w gruncie rzeczy nie chodziło mi o to, żeby oszczędzić jej zachodu, a żeby powstrzymać ją przed odejściem; najmniejszy krok mógł nam przeszkodzić, wszystko mogło nas rozdzielić, mogliśmy stracić swoje miejsce w bibliotece i nigdy już nie przywrócić tego zawrotnego tempa.

Zapytała raz jeszcze. Przyłapałem się na upartym naleganiu, że sam pójde po poncz. Zaczynałem sprawiać wrażenie sztucznego i dziecinnego.

I nagle, dokładnie tak, jak się obawiałem...

– W porządku – rzekła, wzruszając ramionami, co miało oznaczać: „Jak sobie chcesz”. Albo gorzej: „Mam to gdzieś”. W jej głosie nadal brzmiała wesołość, wyczuwalna między nami kilka chwil wcześniej, ale gdzieś pod spodem słychać było metaliczny brzęk, mniej niczym zaśpiew ironii

i zabawy, a bardziej jak stłumiony odgłos zatraskiwanych drzwiczek do regału na dokumenty.

Natychmiast pożałowałem, że przekonałem ją do zmiany zdania.

– A gdzie niby są te smakołyki? – zapytałem niezręcznie, aby wskrzesić jej propozycję, jakbym sądził, że gdzie indziej czeka jeszcze jakiś inny poczęstunek.

– Och, nie ruszaj się stąd, zaraz coś przyniosę. – W jej głosie bulgotało udawane zniecierpliwienie. Dostrzegłem jej dekolt, kiedy znowu powróciła do żartobliwego tonu, jak gdyby odziewając się w dwustronny płaszcz, który przewróciła na drugą stronę owego: „Mam to gdzieś”. Papier ścierny przemienił się w aksamit. Zastanawiałem się, czy prowokowanie ludzi nie było jej sposobem na zbliżenie się do nich, metodą na rozładowanie napięcia – sama miała go w sobie tyle, że gdyby się zbliżyła, to tylko po to, żeby człowieka odepchnąć, lecz z pozoru odpychając, w rzeczywistości podkradała się niczym dziki kot, który nie chce zdradzić, że wcale mu nie przeszkadza, kiedy go głaszczą.

„Jestem Clara”. Ona udawała zniecierpliwienie. Ja udawałem uległość. W zatłoczonym, ciemnym pokoju, gdzie cienie wszystkich ludzi mieszały się ze sobą, nie moglibyśmy wybrać bardziej naturalnych ról.

Przybierając tę pozę chronicznego rozdarcia między szorstkością a delikatnością, Clara sprawiała, że człowiek przekonywał się do tego, co dla niego zaplanowała – nie dlatego, że lubiła stawiać na swoim, ale ponieważ wszystko w niej wydawało się tak nietypowo pełne napięcia, chropowate i kolczaste, że nie ulec jej naleganiom byłoby równoznaczne z urażeniem całego jej jestestwa. I w ten właśnie sposób zapędzała człowieka w kąt. Zakwestionować jej sposób bycia oznaczałoby wzgardzić nie tylko nim samym, ale i kryjącą się za nim osobą. Nawet ruch, jakim unosiła brwi, ostrzegając, że oczekuje natychmiastowej kapitulacji, mógłby zostać przyrównany – jeśli poddać go analizie – do tego, jak małe ptaszki nadymają się i stają trzy razy większe za pomocą nastroszonego upierzenia, aby tym lepiej zamaskować obawę, że jeśli o coś zwyczajnie poproszą, to tego nie dostaną.

Ale może wszystko to były wyłącznie pobożne życzenia z mojej strony.



Może Clara niczego nie ukrywała. Niczego nie zatajała, niczego nie wyolbrzymiała, nikogo się nie lękała. To tylko ja musiałem w ten sposób myśleć.

Być może była dokładnie taka, jaką się wydawała: lekka i szybka, przenikliwa, cierpka i niebezpieczna. Po prostu Clara – bez żadnych ról, żadnej zabawy w uciekającego króliczka, żadnego frywolnego przymilania się obcym ludziom ani skrytego dopraszania się przyjaźni czy byle pogawędki. Bycie dokładnie taką, jaką się zdawała, i mówienie dokładnie tego, co czuła, wiązało się jednak z pewnymi niedogodnościami: między innymi z ryzykiem, że osoby nieprzyzwyczajone do takiej otwartości uznają to za pozę; pomyślą, że Clara nauczyła się ukrywać nieśmiałość lepiej niż większość ludzi, lecz w głębi serca jest nie mniej lękliwa i niepewna niż inni, a cała jej ruchliwość – począwszy od sposobu, w jaki jej łokieć spoczął na moim ramieniu, kiedy dyskutowałem na temat ponczu (co miało oznaczać: „No, ustąp wreszcie”), aż po dłoń, która pojawiła się znikąd – była tylko pozorem, podobnie jak niektóre diamenty lśnią przez ułamek sekundy, a potem spokojnie pozwalają się zlekceważyć, aż wreszcie przyglądamy im się dokładnie i nagle uderzamy się w czoło, zadając sobie pytanie, jakim cudem uznaliśmy je za podróbki. Pozór był w nas, nie w nich.

Pewni ludzie zbliżają się do innych za pomocą napięcia. Tarcie rodzi zażyłość, a zmaganie, tak jak przekora, to najkrótsza droga do serca.

Zanim zdążysz dokończyć zdanie, oni wyrywają ci je z ust i nadają mu zupełnie inny sens, tak jakbyś przez cały czas dążył ukradkiem do rzeczy, o których nawet nie wiedziałeś, że ich pragniesz, i bez trudu mógłbyś bez nich przeżyć, ale teraz pożądasz ich tak, jak ja pożałowałem tej filiżanki ponczu – a razem z nią kilku dorzuconych smakołyków, dokładnie tak jak obiecała Clara, jakby od tego właśnie zależał cały wieczór i wiele, wiele innych spraw.

Czy wybaczy mi moją mydłkowatość? A może odczytała ją jako triumf swojej woli? A może w ogóle patrzyła na to z zupełnie innej perspektywy? I co to była za perspektywa, i dlaczego sam nie mogłem jej obrać?

W ułamku sekundy zniknęła. Straciłem ją. Powinienem był to przewidzieć.

– Naprawdę miałeś ochotę na ten poncz? – zapytała po powrocie, niosąc talerz, na którym ułożyła japońskie przystawki w kompozycję malutkich kwadracików, która mogłaby powstać wyłącznie w wyobraźni Paula Klee. Wy tłumaczyła, że panował za duży ścisk, żeby bawić się z chochlą i wazą.

– Ergo zero ponczu – zabrzmiało to jak: „Ergo wypchaj się”.

Kusiło mnie, żeby wziąć jej to za złe, nie tylko dlatego, że poczułem nagłe rozczarowanie albo że samo słowo „ergo” zdawało się nieco lodowate, pomimo lekkiego tonu, jakim je rzuciła, ale ponieważ cała ta dyskusja o przynoszeniu i nieprzynoszeniu ponczu, a potem pójście, żeby go przynieść, miały chyba jeden tylko cel: zabawić się mną, sprowokować mnie, pobudzić moje nadzieje tylko po to, żeby je zniszczyć. A teraz, żeby zrzucić z siebie ciężar winy za niedotrzymanie obietnicy albo za to, że nie chciało jej się wysilić, żeby jej dotrzymać, usiłowała przedstawić sytuację tak, jakby nigdy nie zależało mi na tym ponczu – co zresztą było prawdą.

Zauważyłem, że ułożyła przekąski parami i rozmieściła je na talerzu w schludnych rzędkach, jakby ustawiała je w kolejce do arki Noego – pomyślałem, że w ten sposób chciała mi wynagrodzić brak ponczu. Miniaturowe sushi z tuńczykiem i awokado – mężczyzna i niewiasta – terakotowe kwadraciki ryb – mężczyzna i niewiasta – podsmażane przegrzebki z listkami rozspanki na plasterkach rzodkwi z galaretką z tamaryndowca i cieniutką strużyną skórki cytrynowej do ozdoby – mężczyzną i niewiastą stworzył ich. Gdy tylko powiedziałem Clarze, dlaczego ta ekstrawagancka kolekcja przywołała na moje usta uśmiech, zdałem sobie sprawę, że uwaga o dobranych w pary przystawkach, które mają się rozmnażać i zaludnić ziemię, może zostać uznana za dość odważną – ale jeszcze nie zdołałem się z niej wycofać, a już przyszła mi do głowy kolejna, pokrewna myśl, od której przewróciło mi się w brzuchu, jakbym unosił się i opadał na wysokiej fali: nie jakiś tam mężczyzna i niewiasta, nie mężczyzna i niewiasta w kolejce do przeprawy Liniami Promowymi Noego na zimnych brzegach Morza Czarnego, ale mężczyzna i niewiasta w sensie ja i ty, ja i ty, tylko ja i ty, Claro, czekamy na swoją kolejkę, jaką kolejkę, którą kolejkę, powiedz coś szybko, Claro, bo inaczej przemówię poza kolejką, a nie wypilem dość, żeby nabrać odwagi do wymówienia tych słów. Pragnąłem dotknąć jej ramienia, przemierzyć długość jej szyi ustami,

pocałować ją pod prawym uchem i lewym uchem, i wzdłuż mostka, podziękować za ułożenie przekąsek na talerzu, za odgadnięcie, co pomyślę, za pomyślenie tego wraz ze mną, nawet jeśli nic z tego w ogóle nie przyszło jej do głowy.

– Tak właściwie... – zacząłem, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć, a jednak wahając się, gdyż wiedziałem, że moje wahanie ją zaintryguje.

– Co takiego? – Jej głos iskrzył udawanym rozdrażnieniem.

– W gruncie rzeczy nie cierpię ponczu – oświadczyłem.

Tym razem to ona wybuchła śmiechem.

– Skoro już o tym mowa... – Również wypowiedziała to z wahaniem; też знаła zasady gry w przeczekanie i chciała, żebym wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jej kolejne słowa: – To ja też nienawidzę, ale to nienawidzę wszelkich ponczów, sangrii, damskich drinków, daiquiri, harakiri, twarożków Kiri. Na samą myśl dostaję torsyji. – W ten sposób zbijała cię z tropu akurat w momencie, kiedy już ci się zdawało, że zdołałeś ją zażyć. „Jestem Clara”. Mistrzyni ciętej riposty.

Żadne z nas nie spytało jednak – gdyż oboje podejrzewaliśmy już, jakiej odpowiedzi udzieliliby to drugie – dlaczego tak gadamy o tym ponczu, skoro ani ona, ani ja za nim nie przepadamy. Bo znowu: sam brak pytania zdradzał, że oboje rozważaliśmy, czy nie zapytać, ale postanowiliśmy tego nie robić. Uśmiechnęliśmy się pod wpływem tego niewypowiedzianego rozejmu, potem uśmiechnęliśmy się dlatego, że się uśmiechnęliśmy, a potem uśmiechnęliśmy się, bo wiedzieliśmy – i chcieliśmy, żeby to drugie też wiedziało – że gdybyśmy choć zasugerowali takie pytanie, od razu byśmy się przyznali, dlaczego tak się upieraliśmy przy tym ponczu.

– Ja chyba nigdy nie lubiłem nawet ludzi, którzy lubią poncz – dodałem.

– O, skoro już schodzimy na ten temat – odparła, wyraźnie nie zamierzając pozwolić, żebym wygrał – to wyznam ci całą prawdę: nigdy nie przepadałam za przyjęciami, na których pośrodku stołu stoi waza z ponczem.

Podobała mi się w tym nastroju.

– A ludzie, którzy przychodzą na przyjęcia, na których pośrodku stołu stoi waza z ponczem; ich lubisz?

– Czyli czy lubię innoludzi? – Zamilkła na chwilę. – O to właśnie pytasz?

Doszedłem do wniosku, że owszem, o to właśnie pytam.

– Z rzadka – odparła. – Większość ludzi jest jak państwo Shukoffowie. Nie licząc tych, których lubię. A nawet oni są Shukoffami, zanim nabiorę do nich sympatii.

Pragnąłem wiedzieć, gdzie się plasuję na skali Shukoffów, ale nie miałem odwagi zapytać.

– A co sprawia, że masz ochotę zapoznać się z jakimiś Shukoffami?

Podobało mi się używanie jej żargonu.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Nie mogłem się doczekać.

– Znudzenie.

– Znudzenie, kiedy stoisz za bożonarodzeniową choinką?

Tą niewinną szpilą pragnąłem jedynie pokazać, że wspomnienie tego, jak się poznaliśmy, sprawia mi przyjemność i że doskonale pamiętam tę chwilę, nie chcę jeszcze o niej zapominać.

– Może. – Zawahała się. Niewykluczone, że nie lubiła tak łatwo zgadzać się z ludźmi i wolała posługiwać się słowem „może” zamiast „tak”. Słyszałem już niewyraźne dudnienie werbli zapowiadających kulminację. – Ale pomyśl tylko, jakie nudne byłoby to przyjęcie beze mnie.

Byłem zachwycony.

– Pewnie do tej pory już bym z niego uciekł – stwierdziłem.

– Mam nadzieję, że cię nie zatrzymuję?

I znowu – owo przesłanie, które nie było prawdziwym przesłaniem, ale równie dobrze mogło nim być od samego początku.

Coś miłego, niemal krzepiącego w tej powrotnej fali przyboju pełnej

kolców i cierni pobudzało mnie i napełniało uczuciem, że Clara to moja pokrewna dusza, która wylądowała wraz ze mną w tych samych zaświatach, wyjęła słowa z moich ust i wypowiadając je z powrotem do mnie, nadała im życie oraz sens, których byłyby całkowicie pozbawione, gdybym zatrzymał je dla siebie. Pod przebraniem karabinowego ognia minizłośliwości jej słowa sprawiały wrażenie jednocześnie życzliwych i zapraszających, jak szorstkie fałdy zaufanego, wyrozumiałego koca, który przyjmuje nas takimi, jakimi jesteśmy, i wie, jak sypiamy, przez co przeszliśmy, o czym śnimy i czego tak rozpaczliwie pragniemy, choć wstydzimy się do tego przyznać, kiedy jesteśmy sami i nadzy we własnym towarzystwie. Czyżby aż tak dobrze mnie znała?

– Większość ludzi pozostaje jednak Shukoffami – powiedziałem, sam nie wiedząc, czy naprawdę tak myślę. – Ale może się myłę.

– Zawsze jesteś taki amfibalentny? – zakpiła. – Bo jesteś, prawda?

– Stanowię uosobienie tego słowa.

„Jestem Clara”. Wymyślam zagadki, a potem w nich oszukuję.

Odwróciłem wzrok, być może po to, żeby na nią nie patrzeć. Przyjrzałem się powierzchownie twarzom w bibliotece. Duże pomieszczenie wypełniali ludzie z gatunku tych, którzy chodzą na przyjęcia, gdzie pośród byle jakiej paplaniny na środku stołu stoi waza z ponczem. Przypomniałem sobie pogardliwe patrz-na-ich-twarze Clary i spróbowałem obrzucić ich miazdzącym spojrzeniem. Dało mi to pretekst, żeby nadal na nią nie patrzeć.

– Innoludzie – powiedziałem, żeby wypełnić czymś ciszę, powtarzając określenie, które bez uzgadniania nadaliśmy reszcie gości, jakby to jedno słowo stanowiło sumę wszystkiego, co o nich myśleliśmy, i gwóźdź do trumny naszego oskarżenia wobec ludzkości jako takiej. Byliśmy dwojgiem pozaziemskich istot współdziałających ze sobą, żeby odnowić niechętnie zaloty do Ziemi.

– Innoludzie – powtórzyła jak echo, nadal trzymając talerz, którego zawartości żadne z nas jeszcze nie tknęło. Nie podsunęła mi go, a ja nie śmiałem sam się poczęstować.

Tym, co wytrąciło mnie z równowagi, był sposób, w jaki powiedziała:

„Innoludzie”. Wbrew moim nadziejom w jej głosie nie brzmiało rozczarowanie – nie, uczucie to zredukowało się już do czegoś rzewnego, graniczącego z żalem i litością.

– Czy innoludzie są aż tak straszni? – zapytała, szukając u mnie odpowiedzi jak u eksperta prowadzącego ją przez krainę, do której zasadniczo nie przynależała i wobec której nie czuła zbyt wielkiej sympatii, a zbłądziła tam tylko dlatego, że nasza rozmowa powiodła ją w tamtym kierunku. Czyżby uprzejmie się ze mną nie zgadzała? Gorzej: czyżby mnie karciała?

– Straszni? Skąd – odparłem. – Ale czy niezbędni? Sam nie wiem.

Zastanowiła się nad tym.

– Niektórzy owszem. To znaczy, są niezbędni. W każdym razie dla mnie. Czasem wolałabym, żeby tacy nie byli... choć ostatecznie wszyscy zawsze jesteśmy sami.

Ponownie powiedziała to z tak żalobną szczerością i pokorą, że wydawała się przyznawać do jakiejś osobistej słabości, którą bezskutecznie usiłowała pokonać. Jej słowa ubodły mnie do żywego – przypominały, że nie byliśmy dwojgiem międzygalaktycznych podróżników, którzy wylądowali w tych samych zaświatach; to ja byłem tu obcym, a ona pierwszym tubylcem, który mnie zobaczył, wyciągnął przyjazną dłoń i zaprowadził do miasteczka, żeby przedstawić rodzicom i przyjaciołom. Domyślałem się, że lubi innych ludzi i wie, jak wytrzymać z Shukoffami, dopóki nie staną się kimś innym niż Shukoffowie.

– To tyle w temacie innoludzi – dodała z dalekim, zamyślnym spojrzeniem, jakby nadal żywiła wobec nich niejednoznaczne uczucia. – Czasem są jedyną rzeczą, która stoi między mną a piachem i przypomina, że nie zawsze jesteśmy sami, nawet jeśli rozdzielają nas okopy. Więc owszem, są ważni.

– Wiem – zgodziłem się. Może za daleko się posunąłem w swoim hurtowym oskarżeniu rasy ludzkiej i pora była się z tego wycofać. – Ja też nie znoszę być sam.

– Och, mnie to wcale nie przeszkadza – sprostowała. – Lubię być sama.

Czyżby wzgardziła właśnie moją kolejną próbą dopasowania swoich poglądów do niej? A może zwyczajnie nie dotarło do mnie, co naprawdę mówiła, bo skupiałem się na odniesieniu sensu jej słów do siebie? Czyżbym rozpaczliwie chciał myśleć, że jest taka jak ja, żeby stała się mniej obca? A może to ja starałem się być taki jak ona, żeby pokazać, że jesteśmy sobie bliżsi, niż się wydaje?

– Z nimi czy bez nich, pandełek i tak nigdy nie znika.

– Pandełek?

– Pandemiczny lęk. Ostatnio widziano go w niedzielę wieczorem w dzielnicy Upper West Side. Dziś po południu pojawiły się kolejne dwa niepotwierdzone doniesienia. Nie znoszę popołudni. Ta zima jest zimą pandełku.

Nagle dostrzegłem coś, co powinienem był zauważyć od początku. Jej wcale nie przeszkadzała samotność; Clara tęskniła do niej na sposób ludzi, którzy nigdy nie są sami. Samotność była jej całkowicie obca. Zazdrościłem jej tego. Pewnie przyjaciele oraz – jak przypuszczałem – kochankowie czy też niedoszli kochankowie nie pozostawiali jej wiele czasu na przebywanie samej ze sobą – a ona właściwie nie miała nic przeciwko temu, po prostu lubiła na to narzekać na tej samej zasadzie, na jakiej tylko ludzie, którzy objechali cały świat, bez problemu przyznają się, że nigdy nie widzieli Luksoru ani Kadyksu.

– Nauczyłam się przyjmować od innych to, co w nich najlepsze. – I to mówiła kobieta, która podchodzi do zupełnie obcych osób i zwyczajnie wyciąga do nich rękę. W jej słowach nie było żadnej arogancji, raczej stłumione przygnębienie, spowodowane (jak się domyślałem) długą listą porażek i rozczarowań. – Kiedy tylko mogę, biorę to, co mają do zaoferowania.

Pauza.

– A co z resztą?

Może nie miała tego na myśli, lecz odniosłem wrażenie, że wyczuwam sugestię niewypowiedzianego „ale”, czającego się na końcu jej wypowiedzi niczym ostrzeżenie i przynęta.

– Reszta trafia do śmieci? – odpowiedziałem, chcąc pokazać, że jestem na tyle obeznany ze ścieżkami miłości, aby zrozumieć, co miała na myśli, i że sam także jestem winny brania od ludzi tego, czego potrzebuję, i odrzucania reszty.

– Do śmieci? Być może – odparła, nieprzekonana do mojej sugestii.

Może byłem szorstki i niesprawiedliwy. Niewykluczone, że Clara wcale tak nie uważała. Przytaknęła mi pod wpływem zamyślenia, podczas gdy w rzeczywistości miała na myśli (być może) wyłącznie to, że przyjmuje ludzi takimi, jacy są.

A może było to jeszcze dobitniejsze ostrzeżenie: biorę to, czego mi trzeba, tam, gdzie to znajduję, więc uważaj – ostrzeżenie, na które chwilowo nie zwróciłem uwagi, bo nie pokrywało się z wyrazem przygnębienia, który przed kilkoma chwilami widniał na jej twarzy?

Już miałem zmienić taktykę i zasugerować, że może nigdy niczego w życiu nie odrzucamy ani nie pozwalamy temu odejść, a już na pewno nie przestajemy kochać tych, których w ogóle nigdy nie kochaliśmy.

– Być może masz rację – wtrąciła nagle. – Zachowujemy sobie ludzi na wypadek, gdybyśmy kiedyś potrzebowali ich w czarnej godzinie, nie dlatego, że ich pragniemy. Wydaje mi się, że nie zawsze wychodzę innym na dobre.

Skojarzyła mi się z drapieżnym ptakiem, który utrzymuje swoją ofiarę przy życiu, ale sparaliżowaną, żeby na długo starczyła jako karma dla jego młodych.

Co spotykało ludzi, od których wzięto tylko to, co najlepsze, a resztę odrzucono?

Co działo się z mężczyzną, kiedy Clara z nim skończyła?

„Jestem Clara”. Nie zawsze wychodzę ludziom na dobre.

Czy to był jej sposób na sprowokowanie mnie do odkrycia kart, czy też ostrzeżenie, które prosiło się o to, żeby nie dać mu wiary?

Czy jej życie było zawszonym okopem udającym elegancki butik? Może – powiedziała. Niektórzy z nas spędzili w okopach całe życie. Niektórzy z nas zmagają się i żyją nadzieją, i kochają tak blisko okopów, że cali nimi



cuchną.

Oto był jej wkład w moją metaforę okopów. W ustach kobiety jej pokroju wydawał mi się zbyt mroczny, zbyt ponury, nie do końca wiarygodny. Czy Clara z tą jej rozpiętą bluzką, delikatnym wisiorkiem i połyskliwym, opalonym ciałem jak po wakacjach na Karaibach naprawdę miała tak tragiczną wizję życia? A może tylko przerysowała demoniczny obraz, który przywołałem, żeby podtrzymać rozmowę?

Co miała na myśli, mówiąc o miłości w okopach? Życie z kimś? Życie bez miłości? Życie spędzone na próbach wymarzenia sobie kogoś, tylko że za każdym razem znajdowała niewłaściwą osobę? Życie ze zbyt wieloma osobami? Życie z bardzo nielicznymi osobami albo z takimi, które się nie liczą? A może było to życie typowego singla – jego wzloty i upadki, kiedy żyjąc w metropoliach, przenosimy się z miejsca na miejsce niczym biwakowicze w poszukiwaniu czegoś, co teraz już niekoniecznie nazwalibyśmy miłością, nawet gdyby wyskoczyło na nas z sąsiedniego okopu i wrzasnęło, że nazywa się Clara?

Okopy. Wypełnione ludźmi albo puste. Ale nadal okopy. A zwłaszcza chodzenie na randki. Nienawidziła randek. Udręka i tortura, otchłań pandelęku. Nienawidziła, ale to nienawidziła randkowania. Wolałaby dostać torsyji niż chodzić na randki.

Okopy w niedzielne popołudnia. To właśnie – jak uzgodniliśmy – była prawdziwa otchłań, matka wszelkich rynsztoków i cuchnących nor. *Les tranchées du dimanche*. Ta wersja językowa nagle przydała im blasku francuskiego zmierzchu. Ville d'Avray. Corot. Eric Rohmer.

Soboty też nie są zbyt przyjemne – rzekłem. Sobotnie śniadania, w domu czy poza domem, i zawsze to poczucie, że inni są szczęśliwsi tylko dlatego, że nie są tobą. A potem nieuniknione dwie godziny w pralni, gdzie czujesz, że równie dobrze mógłbyś zrzucić skórę i dać ją do czyszczenia razem ze skarpetkami, a sam (niczym skorupiak kryjący się pod kamieniem) łudzić się nadzieją, że to, co wyjdzie z suszarki, ujawni w tobie inną osobowość, gdy tymczasem twoja nowa tożsamość kształtuje się podczas programu wirowania.

Clara wybuchła śmiechem.

Jej kolej: okopy, trzęsawisko amfibalencji, blocko skrępowania, bagno nudy – ranienie, bycie ranionym, zimny i byle jaki uścisk dłoni skłóconych kochanków, którzy wychodzą na zewnątrz, żeby zbadać szkody, wypalają razem papierosa, udając przyjaźń, wreszcie powracają do życia bez miłości.

Moja: ci, którzy najbardziej nas ranią, to czasem ludzie, których kochaliśmy najślabiej. Ale podczas niedziel na bagnie tęsknimy również za nimi.

Jej: bagno, kiedy sen nie chce nadejść i marzysz o tym, żeby z kimś być, z kimkolwiek. Albo kimś jeszcze innym. Albo kiedy ktokolwiek jest lepszy niż nikt, ale nikt jest jeszcze lepszy.

Moja: bagno, kiedy przechodzisz pod czyimś domem i przypominasz sobie, jaki byłeś tam nieszczęśliwy i o ile bardziej jesteś nieszczęśliwy teraz, kiedy już tam nie mieszkasz. Dni, które znikają ekspresowo w jakimś leju, ale chciałbyś je przeżyć na nowo, tym razem wolniej, choć pewnie dałbyś wszystko, żeby w ogóle nigdy ich nie przeżyć.

– Wielce amfibalentne.

– Mogę policzyć na palcach ręki wszystkie dni, których nie spędziłem ostatnio w bagnie – powiedziałem. – A te spędzone w ogrodzie różanym policzyłbym na jednym palcu.

– Więc tkwisz teraz w bagnie?

Nie owijała w bawełnę.

– Nie – odparłem. – Po prostu jestem... zapauzowany. Na mrozie. Może w naprawie; niewykluczone, że w odwrocie.

Ten zwrot ją rozbawił. Nieźle mnie rozumiała, nawet jeśli nasze podteksty i metafory robiły się coraz bardziej zawiłe.

– Więc kiedy ostatnio trafiłeś do ogrodu różanego?

Zachwyciło mnie, że uderzyła tymi słowami prosto w sedno, wydobywając na wierzch coś, co do tej pory tylko sugerowaliśmy.

Czy powinienem jej odpowiedzieć? Czy w ogóle zrozumiałem jej pytanie? A może należało założyć, że mówimy tym samym językiem? Mógłbym rzec: Ta właśnie chwila jest moim ogrodem różanym. Albo: Nigdy

się nie spodziewałem, że tak szybko znowu go ujrzę.

– W połowie maja – usłyszałem swoją odpowiedź. Z jaką łatwością to wyznałem. Dzięki temu mój lęk przed mówieniem o sobie wydał mi się trywialny i wymijający, a każde słowo, które zamierzałem wypowiedzieć, jawiło mi się jako naładowane podnieceniem i potencjałem obnażenia.

– A ty? – zapytałem.

– Och, sama nie wiem. Ostatnimi czasy trochę się dekuję i nic poza tym... chyba tak jak ty. Nazwijmy to hibernacją, kwarantanną, tymczasowym zejściem z boiska... za moje przewinienia, za moje niewiadomoco. Przebywam na Reconvalescenzii – powiedziała, naśladowując przesadnie sztywne seplenienie wiedeńskich psychoanalityków, którzy upierają się przy tym polisylabicznym teutońsko-łacińskim terminie na „dochodzenie do siebie”. – A poza tym właśnie przechodzę proces przeprogramowania. Właściwie nie jestem typem amatorki przyjąć.

To było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. W moich oczach stanowiła uosobienie lwicy salonowej. Czyżbym niewłaściwie coś zinterpretował? Bojąc się, że coraz mniej się rozumiemy, zapytałem:

– Ale chyba mówimy o tym samym, prawda?

Z rozbawieniem, bez namysłu:

– Oboje wiemy, że tak.

Niczego to nie wyjaśniło, ale cieszyłem się, że się zdekonspirowaliśmy – zdecydowanie była to najbardziej poruszająca i oszałamiająca z rzeczy, które nas łączyły.

Popatrzyłem na Clare, która skierowała się na drugi koniec biblioteki, gdzie stały dwa regały pełne oprawnych w skórę, wyraźnie nigdy nieruszanych klasyków literatury we francuskim wydaniu. Wcale nie sprawiała wrażenia kogoś cierpiącego „udrękę i torturę”.

– Co myślisz?

– O tych książkach?

– Nie, o niej.

Popatrzyłem na jasnowłosą kobietę, którą mi wskazywała. Powiedziała, że ma na imię Beryl.

– Sam nie wiem. Wydaje się w porządku – odparłem. Widziałem, że Clara wolałaby natychmiastową, miążdżącą krytykę. Ale chciałem też dać jej do zrozumienia, że tylko udaję naiwność i po prostu wstrzymuję się z przystąpieniem do demolki. Ona jednak nie zostawiła mi na to czasu.

– Skóra biała jak aspiryna, kostki bulwiaste jak papaje, kolana tak się o siebie obijają, że mogłyby dostać wstrząśnienia mózgu... Nie zauważyłeś?  
– zapytała. – Ona chodzi na tylnych łapach. Patrz.

Zaczęła naśladować krok kobiety, podnosząc bezwładnym ruchem obie ręce wraz z trzymanym w nich talerzem, jakby należały do psa, który chce być człowiekiem.

„Jestem Clara”. To ja wynalazłam topór.

– Wszyscy mówią, że ona ma kaczy chód.

– Nie zauważyłem.

– Następnym razem spójrz na jej nogi.

– Jakim następnym razem? – spytałem, chcąc pokazać, że zdążyłem już zaszufladkować Beryl i o niej zapomnieć.

– O, jak ją znam, na pewno dojdzie do następnego razu, i to już wkrótce; od jakiegoś czasu nie spuszcza cię z oczu.

– Mnie?

– Nie udawaj, że nie zauważyłeś.

I nagle, bez ostrzeżenia:

– Chodźmy na dół. Tam jest ciszej – powiedziała, wskazując spiralne schody, na które zupełnie nie zwróciłem uwagi, choć wpatrywałem się w nie przez całą naszą rozmowę. Jak mogłem ich nie zauważyć? „Jestem Clara”. Oślepiam ludzi.

To nie było mieszkanie. To był pałac, który tylko je udawał. Na schodach tłoczyli się ludzie. O poręcz opierał się młody mężczyzna w obcisłym czarnym garniturze, który wyraźnie znał Clarę i krzyknąwszy głośno, niemal

histerycznie: „Clariuszka!”, objął ją dwiema rękami, podczas gdy ona udawała, że usiłuje odsunąć talerz poza jego zasięg, z miną oznaczającą: „Nawet o tym nie myśl, nie dla psa kiełbasa”.

– Widziałaś gdzieś Orłę?

– Wystarczy, że rozejrzysz się za Titem. – Zachichotała.

– Oj, złośliwa, złośliwa, złośliwa bestia. Rollo o ciebie pytał.

Wzruszyła ramionami.

– Pozdrów ode mnie Pavla.

To był Pablito – wyjaśniła mi, kiedy odeszliśmy. Czy był tam ktoś, kogo nie znała? I ona mówiła, że nie jest amatorką przyjęć? Poważnie? I czy wszyscy w tym towarzystwie mieli przyzwiska?

Kiedy ruszyliśmy schodami na dół, podała mi rękę. Rozkoszowałem się pieśczołą naszych dłoni, cały czas wyczuwając, że w tym nieustającym pocieraniu się palców kryje się tyle samo koleżeńskiej sympatii co nierozpalonej namiętności. Oboje zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że się dotykamy, ale nie chcieliśmy się od siebie odsuwać. Była to zwykła zabawa dłoni, dlatego też nie zadaliśmy sobie trudu ani żeby ją zakończyć, ani żeby ukryć ostrożną, niegrzeczną przyjemność z tego przedłużającego się kontaktu.

Na dole Clara poprowadziła mnie przez tłum do cichego kącika przy jednym z wykuszowych okien, gdzie w zagłębieniu alkowy leżały trzy maleńkie poduszki, zupełnie jakby na nas czekały. Już miała postawić talerz między nami, ale nagle usiadła tuż przy mnie i położyła go sobie na kolanach. Chciała, żebym to zauważył – pomyślałem – a zatem wolno mi się zastanawiać, co to miało oznaczać.

– No i?

Nie wiedziałem, co ma na myśli.

Jedyne, o czym byłem w stanie myśleć, to jej obojczyk pokryty lśniąco opalenizną. Dama z obojczykiem. Bluzka i obojczyk. *Oda do obojczyka*. Nawet po dwustu latach, kiedy będę spoczywał zimny w lodowatej ciszy grobowca, ten obojczyk nadal mógłby nawiedzać moje dni i studzić nocne

sny tak, że pragnąłbym wypompować ze swojego serca całą krew. Dotknąć, przesunąć po nim palcem. Kim był ten obojczyk; jaka osoba, jaka dziwność objawi się, aby mnie powstrzymać, kiedy wiedziony siłą marzeń zapragnę dotknąć go wargami? Obojczyku, obojczyku, czyżeś nie strudzony, czyż twoja nieczułość wzbudzi żal mój nieutulony? Spojrzałem jej w oczy i nagle odebrało mi mowę, w moim umyśle zapanował zamęt. Słowa nie chciały się zjawić. Moje myśli były wzburzone i rozproszone, nie potrafiłem ich złożyć w najmniejszą całość i czułem się jak rodzic, który próbuje nauczyć ledwo stojącego niemowlaka, jak się chodzi, więc trzyma go za ręce i powtarza, żeby przestawiał jedną nóżkę za drugą, ale dziecko w ogóle się nie rusza. Potykałem się od jednego pomysłu do drugiego, aż wreszcie zastygłem niemo w miejscu: nic mi nie przychodziło do głowy.

Niech Clara się o tym dowie. Bo to również było wspaniałe. Jeszcze chwila, a nie będę nawet próbował ukrywać tego, że jej spojrzenie całkowicie wytrąciło mnie z równowagi, zniszczyło mnie i sprawiło, że mam ochotę wyznać jej całą prawdę. Jeszcze chwila, a ulegnę i będę chciał ją pocałować, i spytam, czy mogę ją pocałować, a jeśli ona odpowie: „Nie”, „Absolutnie nie”, wtedy nie wiem, co zrobię, ale znając siebie, pewnie zapytam jeszcze raz. I wiem, że ona to wie.

– No to – odezwała się – opowiedz mi o tej pannie w różanych krzewach sprzed sześciu i pół miesiąca.

Zadała sobie trud, żeby obliczyć czas. I chciała, żebym o tym wiedział. A może to była tylko celowa zmyłka, żeby jeszcze bardziej rozmyć całą sytuację i dać jej – albo mnie – łatwe wyjście z milczenia, w które się wpakowaliśmy?

Nie chciałem rozmawiać o pannie w różanych krzewach.

– Dlaczego nie? Dąsamy się?

Pokręciłem głową, jakby mówiąc: „Zupełnie nie trafiłaś”. Próbowałem wymyślić coś dowcipnego.

– Często udaje ci się znaleźć miłość? – palnąłem, odwracając pytanie w jej kierunku, z dreszczem podniecenia na myśl, że odważam się indagować ją o coś tak intymnego. Teraz już nie było odwrotu.

– Dość często. W każdym razie jakąś postać miłości. Na tyle często, żebym nie przestała jej szukać – odparła natychmiast, jakby zupełnie jej to nie zaskoczyło ani nie wytrąciło z równowagi. Wtedy jednak: – A ty? – zapytała, zdzierając zasłonę, którą zręcznie (jak mi się wydawało) zaciągnąłem między nami. Jej przejście od stanowiska osoby wypytywanej do wypytywanej było zbyt gwałtowne i kiedy pośpiesznie starałem się wymyślić jakąś dobrą odpowiedź, przyłapałem Clarę na kolejnym uśmiechu, jakby moja pochopna uwaga o zesłomajowym różanym ogrodzie mściła się na mnie i zagradała dostęp do opończy, którą próbowałem się okryć. Im bardziej usiłowałem coś wymyślić, tym wyraźniej docierał do mnie wydawany przez Clarę odgłos tykającego zegara, jakbym był zawodnikiem w telewizyjnym turnieju. W tej chwili dawała mi jasny sygnał, że domyśla się mojej odpowiedzi, ale nie odpuści mi tak łatwo. Chciałem wyjaśnić, że nie wiem, czy trudniej jest znaleźć miłość w innych, czy w samym sobie, że miłość w dolinie pandelęku nie jest właściwie miłością, nie powinna być za nią brana czy z nią mylona, lecz wtedy nagle:

– Czas minął!

Patrzyłem, jak podnosi wyobrażony stoper i naciska kciukiem guzik.

– Myślałem, że mam jeszcze kilka sekund.

– Realizatorzy programu z żalem informują szanownego uczestnika, iż został on zdyskwalifikowany w związku z...

Dawała mi ostatnią szansę na wycofanie się z godnością.

I znowu panicznie szukałem czegoś błyskotliwego i głębokiego, co pozwoli mi wydostać się z koziego rogu, w który się zapędziłem, a jednocześnie cały czas miałem świadomość, że brak dowcipu świadczy przeciwko mnie w równym stopniu co niezdolność do wyznania prawdy i przełamania ołowianej ciszy, jaka między nami zapadła.

– ...w związku z...? – powtórzyła Clara, nadal trzymając w dłoni wyobrażony stoper.

– Amfibalencją?

– Dokładnie tak, w związku z amfibalencją. Jako nagrodę pocieszenia otrzymuje pan niniejszy asortyment przekąsek na tym oto talerzu.

Proponujemy, aby szanowny pan zaczął się nimi częstować, zanim wszystko zeżre hostessa.

Nieśmiało wysunąłem w stronę talerza dwa palce.

– Te są najlepsze, nie ma w nich żadnego czosnque'u. Nienawidzę go.

– Naprawdę?

– Z całego serca.

Nie było sensu mówić, że ja, podobnie jak inni wielbiciele śpiewania pod prysznicem, bardzo czosnek lubię.

– W takim razie we mnie też czosneque wzbudza odrazę.

Pokazała palcem małeńki kawałeczek glazurowanego mięsa, udekorowany wąskim karbowanym listkiem przypominającym grzywę zadbanego konika morskiego.

– Zjedz to... z namaszczeniem!

– To znaczy?

– To znaczy tak, jakbyś jadł coś, co wzbudza powagę i cześć.

Dlaczego miałem wrażenie, że wszystko, co do mnie mówiła, było zawoalowanym-choć-niezbyt-zawoalowanym odniesieniem do niej, do nas?

– A co to jest? – zapytałem, pokazując kwadratowy fragment kompozycji Paula Klee.

– Żadnych pytań, wyciągamy rękę i bierzemy.

Miała pełne usta i przeżuwała powoli, jakby rozkoszowała się każdym kęsem. Co za przedziwna osoba. Czy okaże się kolejną z tych kobiet, które muszą demonstrować wszem i wobec, że tak naprawdę kryją w sobie wulkan zmysłów, wstrzymywany wyłącznie przez wymogi etykiety obowiązującej na przyjęciach koktajlowych?

– Mankiewicz – szepnęła po chwili.

– Mankiewicz – powtórzyłem; zakładałem, że słowo to kryje w sobie głębsze znaczenie, którego nie byłem w stanie przeniknąć, ale uznałem je za synonim „wyśmienitego”. Przez chwilę wydawało mi się też, że Clara ma na



myśli którąś z obecnych w pomieszczeniu osób. Albo samą przystawkę, tylko po prostu źle usłyszałem jej nazwę? A może była to mantra wypowiedzana wyłącznie w chwilach delektowania się jakimś przysmakiem? Mankiewicz.

- *Qui est Mankiewicz?*
- Mankiewicz takie robił.
- Nie brzmi to zbyt *japonais*.
- Bo to wcale nie jest *japonais*.

Następnie przysłała kolej na małe pulpecik, który zgodnie z jej instrukcją należało niezwykle ostrożnie zamoczyć w odrobinie ostrego senegalskiego sosu.

- Tylko muśnij, to wystarczy.
- Uwielbiam przyprawy.
- On uwielbia przyprawy.

Już miałem włożyć sobie pulpecika do ust, kiedy nagle kazała mi poczekać. Czyżby zamierzała narzucić mi jeden z tych skomplikowanych rytuałów, których ludzie uczą się podczas wycieczek w egzotyczne miejsca i potem zmuszają do nich swoich Bogu ducha winnych gości?

- Ostrzegam, że to jest bardzo, bardzo ostre.
- Skąd wiesz?
- Zaufaj mi.

Podobało mi się, jak powtarzaliśmy nawzajem swoje słowa niczym echo – i nie tylko słowa, ale również ich ton, wet za wet – ta wymiana wciągała nas jakby w magnetyczne pole, które żądało od nas jedynie podporządkowania się swojemu działaniu. Nasza rozmowa przywodziła mi na myśl dłoń pocierającą miękki puszek czyjegoś aksamitnego rękawa: w przód i w tył, z włosiem, pod włos, z włosiem, pod włos, jakby pozbawione znaczenia wyrazy, którymi się przierzucaliśmy, były tylko mimowolnie podniesionymi z ulicy przedmiotami przekładanymi z ręki do ręki, od osoby do osoby, i jedynym, co się liczyło, było właśnie to przekazywanie i gesty, dawanie i branie, nie słowa, nie rzeczy, tylko ruch w jedną i drugą stronę.

– Mankiewicz – powiedziałem, jakbym wznosił pulpecikiem toast za jego zdrowie albo wypowiadał tajemnicze zaklęcie na odżegnanie zła. Pomyślałem o nurkach głębinowych, którzy siedząc na burcie łodzi, mruczą pod nosem mantrę składającą się z jednego słowa, po czym unoszą kciuk i rzucają się w toń głową w dół, płetwami do góry.

– Mankiewicz – szepnęła Clara z udawaną celebrą.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że powinienem był usłuchać jej rady, powoli bowiem zaczęło mnie ogarniać uczucie palenia, które rozeszło się falą od skóry głowy aż po kark. W oczach wezbrały mi łzy i zanim zdążyłem się zdecydować, co z nimi zrobić – przełknąć, udawać, że nie zwracam na nie uwagi, wypluć jedzenie – przelały się i spłynęły mi po policzkach, podczas gdy ogień w moich ustach przybierał na sile z każdą kolejną próbą przeżucia i przełknięcia kęsa. Zacząłem na gwałt szukać chusteczki do nosa, bezradny i upokorzony, a nawet przerażony, bo bez względu na to, jak długo czekałem na przygaśnięcie żaru, on w ogóle nie chciał zelzeć i nawet po przełknięciu całego pulpecika dalej się nasilał, jakby tamta pierwsza eksplozja ostrości nawet nie zasługiwała na to miano i nie miała nic wspólnego ze zjedzoną właśnie przystawką, lecz stanowiła tylko wstęp do nadchodzącej pożogi. Czy będzie jeszcze gorzej? Czy się rozchoruję? Czy moje ciało dozna trwałych uszkodzeń? Chciałem odzyskać panowanie nad sobą i powiedzieć Clarze, co się ze mną dzieje, ale moje milczenie, łzy i agonia były dostatecznie wymowne. Odrzuciłem głowę do tyłu i oparłem ją o szybę. Poczułem chłód, który w tym momencie był tak pożądany, że w swoim skołowaceniu nagle zrozumiałem, dlaczego ludzie kochają psy husky i dlaczego husky tak dobrze się czują na zimnie, i pomyślałem, że gdyby ktoś zechciał spełnić jedno moje życzenie, niczego nie pragnąłbym bardziej niż stać się psem husky, swobodnie przemierzającym zlodowaciałe brzegi rzeki Hudson tuż za naszym oknem. Zapytaj mnie jeszcze raz, Claro, czy leżę nagi w okopach, a powiem ci, jak głęboki i zabójczy jest ten żółtobrazowy rów, do którego wpadłem, i jak rozpaczliwie usiłuję się z niego wydostać; wszystko, czego pragnę, to śnieg, lód, więcej lodu.

Clara wpatrywała się we mnie z niepokojem, jakbym zemdlał i dopiero odzyskiwał świadomość. zaproponowała mi kawałek chleba, który – jak

zrozumiałem – specjalnie położyła na talerzyku, żeby zagryźć nim ostry pulpecik. Nagle zapragnąłem, żeby jej usta też ogarnął ogień. Chciałem, żeby czuła się równie skołowana, wstrząśnięta i naga jak ja, żebym nie był sam w tym cierpieniu i żeby ten ogień na naszych językach oraz łyzy spływające po twarzach stały się kolejnymi rzeczami, które nas do siebie zbliżą: żadnych słów, żadnych przekomarzań, żadnych przemówień – tylko nasze usta płonące razem jak jedne wargi, rozżarzone miłością, zanim choćby zdążymy się zorientować, że się jej oddajemy.

Ona jednak siedziała, skłaniając się ku mnie, spokojna i opanowana, chyba nawet uśmiechnięta, jak pielęgniarka nachylająca się, aby wilgotną gąbką otrzeć pot z czoła rannego żołnierza. Pomyślałem, że ów żołnierz mógłby wyciągnąć rękę i chwycić jej dłoń, i pod wpływem utraty krwi otworzyć serce przed kimś, kto w innych okolicznościach nigdy nie zwróciłby na niego uwagi. Czy się martwiła? A może tylko czekała, aż mi się poprawi, żeby zakpić: „Przecież cię ostrzegałam, ale ty nie słuchałeś – bo nie słuchałeś, prawda?”. Po prostu dotknij tymi ustami mojej twarzy, Claro, dotknij mnie swoimi ustami, tymi kpiącymi, drwiącymi ustami, dotknij mnie swoim kciukiem, Claro, wsuń go między moje wargi i wyciągnij z nich ten ogień, swoim kciukiem i swoim językiem.

Sprawę pogarszał jeszcze mój wstyd. Co mogłem zrobić, żeby zdjąć z siebie hańbę, jaką była ta nagła przemiana w zwykłe wijące się ciało? Próbowałem się pocieszać, powtarzając sobie obliczone na poprawę humoru banały – że niby jesteśmy właśnie swoimi ciałami, że nasze ciała znają nas lepiej niż my sami, że takie odsłonięcie się jest o wiele lepsze niż wszelkie zasłony dymne ze słów, że w ten sposób sięgam sedna. Ale nie mogłem się zmusić, żeby w to uwierzyć.

A może sytuacja była bardziej skomplikowana, niż mi się wydawało. Bo część mnie gorąco pragnęła pokazać Clarze, jak mnie zmontowano i w którym miejscu należy przycisnąć, żebym natychmiast rozpadł się na części – dreszczyk ekshibicjonizmu, jak przewracanie przezroczyстых rycin w podręczniku do anatomii, aby pokazać ogień płonący w przelyku i cichą histerię ogarniającą zdradliwe organy wstydu, rozkosz mojego wstydu, mojego małostkowego, miałkiego, zdumionego wstydu – wstydu, który człowiek udaje i z całej siły stara się uwierzyć w jego faktyczne istnienie,

i nawet zмага się, żeby go pokonać, choć w rzeczywistości przez cały ten czas, jak na plaży nudystów, wstyd ów tkwił schowany w szafce przebieralni razem z zegarkiem i portfelem.

Spróbowałem wymamrotać coś, żeby zamaskować swój stan. Ale podobnie jak jeleniowi u Owidiusza odebrano mi głos – a może po prostu udawałem, że straciłem mowę, w obawie, że z mojego gardła wydobędzie się coś między chrapliwym burknięciem a cienkim piskiem, przez co najadłbym się jeszcze większego wstydu. Chciało mi się jęczeć. Chciałem, żebyśmy jęczeli oboje, jęczeli i jęczeli, i jęczeli, jakbyśmy stali się jeleniem i łanią, jeleniem i łanią, jęczącymi razem w owianym zimą lesie, w którym kochanków nigdy nie dotyka rozłąka.

Przede mną tkwił więc jej kawałek chleba. Usiłowałem pokazać, że jest mi całkowicie zbędny, że już to kiedyś przeżyłem i nic mi nie będzie, daj mi tylko chwilę, za sekundę dojdę do siebie, po prostu pozwól mi zachować twarz, przestań się gapić – zraniony żołnierz samodzielnie tamujący krwotok i zaszywający ranę – już!

Ona jednak siedziała niczym czujna pielęgniarka, której płacą od godziny i która nie odejdzie, dopóki pacjent nie połknie co do jednej wszystkich przepisanych przez lekarza pigułek.

– Masz, weź ten kawałek chleba – powiedziała – i potrzyмай go w ustach, to może pomóc. – „Jestem Clara”, Clara Litościwa.

A ja przyjąłem go tak, jak można by przyjąć chusteczkę do nosa, bez protestów, bez fałszywej dumy, bo wiedziałem – i to właśnie ukrywałem za wymuszonym uśmiechem – że wbrew mojej woli, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i zasadności jedynie mały krok dzieli mnie od wybuchu i w tej chwili zależało mi już wyłącznie na tym, żeby ów wybuch nie okazał się wybuchem płaczu.

Wreszcie przełknąłem chleb. Clara patrzyła w milczeniu, jak go pochłaniam.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Wyglądała, jakby mierzyła mi puls, odwracając jednocześnie głowę i odliczając sekundy z zamyślnym spojrzeniem. Nie wiedziałem, co zrobić, więc również się odwróciłem i zapatrzyłem na Hudson. Nasze ramiona się stykały – oboje wiedzieliśmy, że

powinniśmy traktować to jako coś zupełnie zwykłego – a ja jakąś częścią siebie chciałem okazać, że takie milczenie jest całkowicie normalne między dwojgiem nieznajomych, którzy poznają się na przyjęciu i potrzebują chwili wytchnienia. Nie komentowaliśmy widoku z okna ani obecnych w pokoju osób, które Clara znała albo i nie, ani świateł błyszczących na brzegach New Jersey, ani ponurych lodowych kier przedzierających się w dół rzeki jak stado rozproszonych owiec zaganianych przez dużą przycumowaną barcę, która unosiła się poza nimi, świecąc czujnie reflektorami.

Na zewnątrz, na Riverside Drive, samotne latarnie stały w kałużach światła błyszczącego na śniegu jak zagubiony chór z jakiejś greckiej sztuki; każda z nich była zagubionym w drodze królem o głowie spowitej w płomień. Jesteśmy za daleko – zdawały się mówić – i cię nie słyszymy, ale wiemy, zawsze o tobie wiedziałyśmy.

Powiedziała, że lubi świeże powietrze. Uchyliła nieco drzwi balkonowe, pozwalając, żeby do pokoju zakradł się zimny przeciąg. Potem wyszła na coś, co okazało się niezwykle dużym tarasem, i zapaliła papierosa. Poszedłem za nią. Czy ja też palę? Zrobiłem ruch, jakbym chciał przyjąć papierosa, ale nagle przypomniałem sobie, że postanowiłem rzucić palenie mniej więcej po rozstaniu z panną sześć-i-pół miesięcy. Wytłumaczyłem się pospiesznie. Przeprosiła i powiedziała, że odtąd nie będzie mnie już częstować. Staralem się nie wysnuwać żadnych treści ze słowa „odtąd”, obiecując sobie, że nie będę się doszukiwał ukrytych znaczeń we wszystkim, co mówi.

- Ja nazywam je tajnymi agentami.
- Dlaczego?
- Bo tajni agenci na filmach zawsze palą.
- Czy to znaczy, że masz wiele tajemnych spraw?
- Nie bądź taki ciekawski.

Głupiec, głupiec ze mnie!

Clara sparodiowała powojennego agenta, który zapala papierosa, przemykając ukradkiem ciemnymi brukowanymi uliczkami starego Wiednia.

Na zewnątrz miasto spowijała blada, srebrzysta poświata. Przez cały wieczór padał śnieg. Clara stanęła przy balustradzie, poruszyła stopą i rozmarzonym ruchem zmiotła warstwę śniegu kasztanowym pantoflem z zamszu, a potem zsunęła ją łagodnie za krawędź balkonu. Patrzyłem, jak płatki rozwiewają się na wietrze.

Podobała mi się ta scenka: but, zamsz, śnieg, balkon, wszystko wykonane w zamyśleniu, z trzymanym w palcach papierosem.

Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że jest pewne piękno w stąpieniu i pozostawianiu śladów na świeżym śniegu. Ja zawsze unikam chodzenia po śniegu, chcę być miły dla swoich butów.

Z naszego wysokiego punktu obserwacyjnego srebrnofioletowe miasto wydawało się ulotne, odległe i pozaziemskie – czarowne królestwo, którego jasne wieżyce wznosiły się w milczeniu na tle zimowego zmierzchu, aby zawrzeć rozejm z gwiazdami. Patrzyłem na świeże bruzdy po oponach na Riverside Drive, rozproszone latarnie o głowach spowitych w płomienie, na autobus brnący przez zasy, wspinający się na górkę za Sto Dwunastą Ulicą i niknący wolno w oddali, okryty śniegiem niczym cienkim waciakiem – pusta Charonowa łódź zmierzająca ku niewidzialnym krainom i portom. Jestem jak Clara – mówił. Zabiorę cię do miejsc, o których nigdy nie słyszałeś.

Kelner otworzył przesuwane drzwi na taras i zapytał, czy mamy ochotę na coś do picia. Zauważając na jego tacy przygotowaną dla kogoś Krwawą Mary, Clara bez wahania oświadczyła, że chce właśnie to. Zanim zdążył zaprotestować, wzięła już kieliszek. „Jestem Clara”. Zabieram cudze rzeczy. Drink pasował kolorem do jej bluzki. Postawiła szeroki kieliszek na balustradzie, okopując podstawę i część smukłej nóżki śniegiem, czy to dla zachowania temperatury koktajlu, czy żeby nie zdmuchnął go pierwszy lepszy podmuch wiatru. Kiedy skończyła papierosa, rozgniotła niedopałek butem, a potem, tak samo jak wcześniej ze śniegiem, zsunęła go delikatnie z balkonu. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tej chwili. Buty, kieliszek, taras, lodowe kry na Hudson, autobus pnący się pod górę. Słodka Hudson – pomyślałem, parafrazując Spensera – płyn cicho, póki pieśń ma trwać.

Wcześniej tego wieczoru sam jechałem podobnym autobusem, ale

z powodu śnieżycy przegapiłem przystanek i wysiadłem sześć przecznic za Sto Szóstą Ulicą. Teraz przypomniałem sobie, jak się zastanawiałem, gdzie właściwie jestem i jakim cudem zabłądziłem. Miałem wrażenie, że wyglądam śmiesznie, taszcząc plastikową reklamówkę z logo drogiego sklepu, w której dwie butelki szampana brzęczały, stukając o siebie mimo kawałka kartonu wsuniętego między nie przez sprzedawcę. W zamieci dostrzegłem przy Sto Dwunastej posąg Samuela J. Tildena, zwracającego ku zachodowi beznamiętne, uroczyste spojrzenie. Wspiąłem się po stopniach i rozejrzałem, starając się nie zbliżyć do zaślinionego bernardyna, który nagle pojawił się na kopcu i chyba się mną zainteresował. Czy powinienem uciec, czy też zachować spokój i udawać, że go nie widzę? Wtedy usłyszałem dwóch chłopców, którzy przywołali psa. Zjeżdżali z góry na sankach. Bernardyn widać odszedł trochę za daleko i teraz ruszył za nimi do parku. Potem odbyłem cichy, spokojny, rozkoszny spacer drogą dojazdową do Riverside, na przemian wklęsłą i wypukłą, przez te sześć opuszczonych przecznic, przy wtórze lodu kruszącego się pod śniegiem. Przywiodło mi to na myśl miejscowość Bedford Falls z *Tego wspaniałego życia* Capry oraz szpital w Saint-Rémy z obrazów van Gogha, a także Lipsk i chóry dyrygowane przez Bacha, i zacząłem się zastanawiać, jak to najdrobniejsze przypadki potrafią czasem otworzyć przed nami nowe światy, nowe budowle, nowych ludzi, odsłaniać niespodziewane twarze, o których wiemy, że nigdy nie będziemy chcieli ich stracić. Saint-Rémy – miasteczko, którego uliczkami chodzili Nostradamus i van Gogh; przecinające się na przestrzeni wieków ścieżki wieszczą i szaleńca, jak gdyby mogli skinąć sobie w przelocie głowami.

Idąc chodnikiem i spoglądając do góry na mijane okna, wyobrażałem sobie spokojne, szczęśliwe rodziny, gdzie dzieci na czas odrabiają zadania domowe, a goście, zawsze niechętni do wyjścia, ożywiają rozmową prozono kolacje, podczas których małżonkowie rzadko się odzywają. Z tarasu, na którym teraz staliśmy, incydent ze strasznym bernardynem wydawał się tak odległy, jakby wydarzył się w innym życiu. Przypomniałem sobie, jak myślałem o wigilijnych wieczorach w średniowiecznych miasteczkach nad Renem i Elbą, zwłaszcza że dalej, przy Sto Dwunastej, majaczyła katedra, a tuż obok znajdowała się rzeka. Aby spóźnić się nieco bardziej niż nakazuje dobry ton, obszedłem przecznicę i dotarłem do Straus Parku na Broadwayu,

ciesząc się z dodatkowej chwili na podjęcie decyzji, czy w ogóle chcę iść na to przyjęcie, bo prawie zdążyłem stracić na nie ochotę i przyłapałem się na wymyślaniu pretekstów, żeby obrócić się na pięcie i wrócić do domu, choć cały czas nie wypuszczałem z ręki zaproszenia z adresem nadrukowanym złotymi misternymi literami. Pismo było tak delikatne, że nie mogłem go odczytać i niemal kusiło mnie, żeby zapytać o drogę jedną z latarni, tak jak ja zagubionych i uwięzionych w śnieżycy, lecz chętnie dzielących się wątlym światłem, by pomogła mi odcyfrować linijki, które zaczynały wyglądać jak upiorne kwartyny pisane ukośnym pismem samego Nostradamusa. Żeby zabić czas, znalazłem małą kawiarenkę i zamówiłem herbatę.

A teraz byłem tutaj, z Clarą.

Przełknąwszy jednego Mankiewicza i niemal popłakawszy się przez ziarenko pieprzu, stałem na tarasie z widokiem na Manhattan, już teraz planując, że jutro wieczorem wrócę na Sto Szóstą Ulicę, żeby odtworzyć dzisiejszy wieczór – bez pośpiechu, w swoim czasie, katedra, park, śnieg, złoty napis jak filigran i latarnie o głowach spowitych w płomienie. Spojrzałem w dół i gdybym mógł, pomachałbym do nadchodzącego mnie, zbliżającego się przed kilkoma godzinami do budynku, dając mu znak, żeby opóźnił swoje przybycie – zrób najpierw pół kroku, potem połowę półkroku, potem połowę połowy półkroku, jak to czynią ludzie przesądni, kiedy na wpół wyciągają rękę, żeby odepchnąć tę rzecz, do której właśnie najbardziej tęsknią, w obawie, że nigdy jej nie zdobędą, o ile najpierw nie odsuną jej dostatecznie daleko – żeby szedł i tęsknił asymptotycznie.

Czy powinienem ją objąć ramieniem? Asymptotycznie?

Spróbowałem odwrócić od niej wzrok. I może ona też odwracała się właśnie ode mnie. Oboje patrzyliśmy na wieczorne niebo, po którym orbitował słaby, niespokojny, błękitnawy promień reflektora, mający swój początek w jakimś nieznanym zakątku Upper West Side i przedzierający się przez poplamione niebo jakby w poszukiwaniu czegoś, czego nie rozpoznawał i właściwie wcale nie zamierzał tego odnaleźć – raz po raz zataczał nad nami kręgi niczym szczupły rzymski *corvus*, który nie może trafić w upatrzone miejsce lądowania na kartagińskim statku-widmie.

Dzisiaj Trzej Królowie naprawdę zgubili drogę – miałem ochotę



powiedzieć.

Ale zatrzymałem tę myśl dla siebie, zastanawiając się, jak długo będziemy tak stać i patrzeć w ciemność, podążając wzrokiem za cichym promieniem światła nad naszymi głowami, jakby był to porywający spektakl, który usprawiedliwia nasze milczenie. Może rozdzierając tak niebo, promień spocznie wreszcie na czymś, o czym będziemy mogli porozmawiać – tylko że niczego takiego nie było – a w takim razie może z niego samego uczynimy przedmiot naszej konwersacji. Ciekawe, w co go wycelowali. Albo: Skąd on świeci? Albo: Dlaczego opada nagle za każdym razem, kiedy już prawie dotyka tamtej najdalszej wieży na północy? Albo: Czuję się, jakbyśmy nagle przenieśli się do Londynu w czasie blitzu. Albo do Montevideo. Albo do Bellagio. A jeśli nie, to nadal pozostawało jeszcze tamto inne niewypowiedziane pytanie, które ciągle przemykało mi przez głowę, jakby również było małym, poszukującym reflektorem – pytanie, którego nie mogłem nawet ubrać w słowa, a tym bardziej na nie odpowiedzieć, ale musiałem je zadać; sobie, jej, jeszcze raz sobie – bo jeśli nawet wiedziałem, że w momencie, kiedy wyszliśmy na taras, żeby spojrzeć na to nierzeczywiste miasto, stanęliśmy w obliczu miniaturowego cudu, to zanim naprawdę zdołam w to uwierzyć, musiałem wiedzieć, że ona również tak myśli.

– Bellagio – powiedziałem.

– Co takiego?

– Bellagio, taka mała wioska na wierzchołku masy lądowej nad jeziorem Como.

– Wiem, co to Bellagio. Byłam tam.

Znowu szpila.

– W niektóre wieczory Bellagio wygląda, jakby znajdowało się na odległość paznokcia od zachodniego brzegu Como, jak rozświetlony raj oddalony o kilka machnięć wiosłem. A kiedy indziej wydaje się odległe nie o staję, ale o całe ligi, nieosiągalne. Teraz jest właśnie taka chwila Bellagio.

– Co to jest chwila Bellagio?

Czy posługujemy się szyfrem, Claro, ty i ja? Staralem się stapać jak

najostrożniej. O ile jedna część mnie nie wiedziała, dokąd zmierzam, o tyle inna czuła, że celowo wkraczam na grząski grunt.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Może wcale nie chcę tego wiedzieć.

– W takim razie już się domyśliłaś. Życie na drugim brzegu. Życie takie, jakim powinno być, a nie takie, jak ostatecznie je przeżywamy. Bellagio, a nie New Jersey. Bizancjum.

– Miałaś rację za pierwszym razem.

– To znaczy?

– Gdy stwierdziłaś, że już się domyśliłam. Nie potrzebowałam tego objaśnienia.

Znowu odtrącony i wzgardzony.

Między nami zapadła cisza.

– Wredna i podła – powiedziała wreszcie.

– Wredna i podła? – zapytałem, choć doskonale wiedziałem, co ma na myśli.

Nagle, sam ledwo zdając sobie z tego sprawę, przestałem pragnąć, żebyśmy się do siebie zbliżyli, żeby zrobiło się bardziej intymnie, nie chciałem, żebyśmy zaczęli rozmawiać o pulsującym między nami napięciu. Czułem się, jakbyśmy byli mężczyzną i kobietą, którzy poznają się w pociągu i zaczynają rozmawiać o poznawaniu obcych ludzi w pociągu. Czy Clara należała do ludzi omawiających wszystkie swoje uczucia w obecności nieznajomych, którzy je wzbudzają?

– Wredna i podła ta Clara. Właśnie tak myślisz, prawda?

Pokręciłem głową. Wołałem ciszę. Dopóki znowu nie stała się nieznośna. Czy przypadkiem nieświadomie nie czułem się urażony? Owszem, czułem.

– Co? – zapytała.

– Szukam swojej gwiazdy. – Zmień temat, idź dalej, daj temu spokój, zasłoń się dymem, powiedz cokolwiek.

– Więc teraz nagle mamy swoje gwiazdy?

– Jeśli mamy jakieś przeznaczenie, to mamy też swoje gwiazdy.

Co ja wygadywałem?

– Więc to przeznaczenie nas tu sprowadziło?

Nie odpowiedziałem. Czy to miało być kolejne pogardliwe zatrzaśnięcie mi drzwi przed nosem? A może właśnie ich wyważenie na oścież? Czy prowokowała mnie, żebym coś powiedział? A może żebym trzymał buzię na kłódkę? Czy znowu zacznę przemykać opłótkami?

A ja chciałem jedynie zapytać: Claro, co się z nami dzieje?

Oczywiście by nie odpowiedziała, a jeśli tak, to kolejną szpilą i zachętą, kijem i marchewką.

„Czy naprawdę muszę ci to tłumaczyć?” – spytałaby.

Więc powiedz, co się dzieje ze mną. To powinno być już dość oczywiste.

Może ja też wolałem nie iść w tym kierunku.

Jak zwykle, cisza i podniecenie. Nie mów, jeśli nie wiesz, nie mów, jeśli wiesz.

– Tak przy okazji – stwierdziła – ja wierzę w przeznaczenie. Chyba.

Czy teraz zaczniesz przemawiać jak jakaś lafirynda w klubie rozprawiająca o kabale?

– Może przeznaczenie można włączać i wyłączać – stwierdziłem. – Tylko że nikt nie wie, kiedy jest włączone, a kiedy wyłączone.

– Całkowicie się mylisz. Ono jest jednocześnie włączone i wyłączone. Dlatego właśnie jest przeznaczeniem. – Uśmiechnęła się i posłała mi spojrzenie pod tytułem: „Zaszachowałam cię, prawda?”. Jakże pragnąłem, żeby to nasze wpatrywanie się w siebie dało mi odwagę, aby położyć palec na jej ustach, oprzeć go na jej dolnej wardze i nie ruszając go z miejsca, zacząć dotykać nim jej zębów, górnych, dolnych, a potem wolniutko wsunąć go do jej ust i dotknąć jej języka, wilgotnego, niespokojnego, drapieżnego języka, który mówił takie pokrętne, kolczaste rzeczy, i poczuć, jak drży niczym rtęć i lawa wrzące pod powierzchnią ziemi, dławiając wredne i podłe

myśli, które nieustannie unosiły się z kotła zwanego Clarą. Chciałem, żeby mój kciuk znalazł się w jej ustach, żeby przyjmował w siebie jad jej ukąszeń, kielznał jej język; niech język Clary ogarnie pożar i w tej naszej śmiertelnej rozgrywce niech odszuka mój język, skoro wzbudziłem w nim taką furję.

Aby usprawiedliwić swoje milczenie, próbowałem stworzyć pozory, jakby ów promień światła mnie zafascynował, jakby niewyraźna klinga blasku rozcinająca niebo szare niczym siniak odzwierciedlała coś posiniaczonego i szarego we mnie samym, jakby wciniała się na poły w mój własny nocny świat, poszukując nie tylko czegoś, co mógłbym powiedzieć Clarze, albo cienia sensu tego, co się z nami działo, ale jakiegoś mrocznego, ślepego, cichego miejsca we mnie samym, którego ten snop światła (jak we wszystkich filmach wojennych) zdawał się szukać, lecz z każdym okrażeniem nieba przegapiał. Nie mogłem mówić, bo nie mogłem widzieć, a sam ten promień, przypominający skrzyżowanie zegara o jednej wskazówce, który nie wskazuje czasu, z kompasem, który nie prowadzi do żadnego bieguna, przypominał mi mnie samego: nie miał pojęcia, dokąd zmierza, nie potrafił obrać sobie drogi i nie znajdował w oddali niczego, co mógłby przynieść z powrotem na taras, żeby dać nam temat do rozmowy. Zamiast tego ciągle wskazywał strome brzegi po drugiej stronie Hudson, jakby za mostem leżało coś o wiele bardziej rzeczywistego, jakby czekało tam prawdziwe życie, a to tutaj było zaledwie jego pozorem.

Jakże odległa wydała mi się nagle Clara, oddzielona tyloma zatrzaśniętymi drzwiami i zasuwami, tyloma opowieściami z życia, tyloma ludźmi, którzy przez lata rozdzielali nas jak mokradła i urwiska, bo każda z tych rzeczy naprawdę nas dzieliła, kiedy tak staliśmy razem na tym tarasie. Czy ja też byłem dla kogoś jak pobyt w okopach? Czy ona była okopem dla mnie?

Chcąc wmówić jej i sobie, że moje milczenie nie jest skutkiem braku pomysłów, co powiedzieć, bo naprawdę pograżyłem się w ciężkich, ponurych rozmyśleniach, którymi nie zamierzałem się dzielić, pozwoliłem, żeby mój umysł przywołał twarz ojca, kiedy rok temu poszedłem zobaczyć się z nim późnym wieczorem po jakimś przyjęciu, a on kazał mi usiąść na brzegu swojego łóżka i opowiedzieć o wszystkim, co widziałem i jadłem – „Tylko zacznij od samego początku, a nie jak zwykle od środka” – aż

wreszcie zdołał to z siebie wydusić: „Tak rzadko cię ostatnio widuję” albo: „Nigdy cię z nikim nie widzę”, albo: „Nawet jeśli cię z jakąś zobaczę, zrywasz z nią tak szybko, że nie mam czasu zapamiętać jej imienia”, i akurat kiedy myślałem, że udało mi się uniknąć ważniejszej kwestii tygodni i dni, które mu jeszcze zostały, usłyszałem z jego ust ten stary banał na temat wnuków: „Tyle już czekałem, ale nie mogę czekać dłużej. Powiedz mi przynajmniej, że kogoś masz”. A potem, z niezadowoleniem w głosie: „Ale nie masz, prawda?”. Nikogo nie mam – odpowiedziałem. „Jak one się wszystkie nazywały? Alice, Jean, Beatrice i ta jędzowata bogaczka z Maine z wielkimi stopami, która pomogła nam przenieść na balkon wszystkie wina i nie mogła nawet owinąć sztućców serwetką, bo ciągle paliła”.

Livia – powiedziałem.

„Czemu jesteś taki obojętny, taki niezaangażowany?”. To jego słowa. „ŻSB – powiedział. – Żeń Się z Bogaczką”. A jedyna odpowiedź, która mi przyszła do głowy, brzmiała: nigdy nie chciałem niczego, co ona ma. A wszystkiego, czego chcę, ona jest zupełnie pozbawiona. Albo coś jeszcze okrutniejszego: wszystko, co ona ma, ja też już posiadam.

Zmusiłem się, żeby przywołać jego oblicze spod laserunku szarości i srebra na horyzoncie, ale on ciągle wolał odpływać w noc. Jesteś mi teraz potrzebny – powtarzałem, szarpiąc i ciągnąc wyobrażony sznur łączący mnie z ojcem, aż wreszcie na ułamek sekundy szczupła, schorowana twarz, którą przyzywałem, znowu rozbłysła w moim umyśle, a w ślad za nią naszła mnie wizja rurek podłączonych do respiratora na oddziale onkologicznym w szpitalu Mount Sinai. Pragnąłem, aby ta wizja mnie poruszyła, tak żeby na mojej twarzy położyło się coś na kształt cienia zdławionego żalu i usprawiedliwiło moją niezdolność odezwania się do tej jednej jedynej kobiety, przy której całkowicie zatraciłem dar mowy.

Popatrzyłem na drinka Clary na balustradzie i pomyślałem o straszliwych mieszkańcach homeryckich zaświatów, szurających nogami i powłóczących obolałymi halluksami, kiedy wlekli się do rowów pełnych świeżej krwi, za pomocą której wywabiono ich z jaskiń: „Więcej nas tam, skąd przychodzę, a części byś wolał nie widzieć – więc poniechaj mnie, synu, poniechaj. Tyle ci tylko wiedzieć trzeba, że zmarli życzliwi są dla siebie”.

Biedny staruszek – pomyślałem, patrząc, jak niknie w bladej srebrnej nocy, kochany przez nielicznych i prawie przez nikogo nie wspominany.

– Popatrz w dół. Czy one nie wydają się wielkie jak mamuty? – odezwała się Clara.

Spojrzeliliśmy z wysoka na pozornie nieskończony korowód karykaturalnie dużych limuzyn, które podjeżdżały do krawężnika pod budynkiem, pozbywały się rozchichotanych pasażerek na szpilkach, po czym pełzły dalej w śniegu, żeby zrobić miejsce dla kolejnych samochodów, które dowoziły jeszcze więcej pasażerów i same odjeżdżały, aby ustąpić następnym w kolejce. Coś się we mnie rozbudziło na widok tej ekstrawaganckiej procesji czarnych aut lśniących w białej nocy. Czułem się, jakbym przeniósł się do jakiejś dziwnej, zaawansowanej technologicznie wersji Newskiego Prospektu.

Samochody nie znikwały, tylko parkowały w dwóch rzędach wzdłuż Sto Szóstej Ulicy. Kilku kierowców stanęło pod posągami Franza Sigela, paląc papierosy i rozmawiając. Najprawdopodobniej po rosyjsku. Dwóch miało na sobie długie ciemne płaszcze – upiory rodem z zaświatów Gogola, które lada chwila zanucą wspólnie rosyjskie pieśni.

Dokąd ci wszyscy ludzie się wybierali? Widok ustawionych w królewski szpaler limuzyn napełnił mnie żalem, że nie poszedłem na przyjęcie, na które wybierali się ich pasażerowie. Owi eleganccy osobnicy, rozbijający się po świecie odrzutowcami, przybywający tu dwójkami i trójkami... Jakże cudowne życie muszą prowadzić, jakże pełne luksusu – rozmyślałem, niemal zanedbując Clarę, która opierała się o balustradę obok mnie, tak samo pochłonięta spektaklem. Poczuję coś graniczącego z przyjemnością, widząc, jak łatwo się zdekoncentrowałem i skierowałem uwagę na coś innego niż ona. Oto miałem przed sobą przepych w prawdziwie hollywoodzkim stylu i pragnąłem obejrzeć go z bliska. Potem uświadomiłem sobie, że zanedbałem ojca, i zrobiło mi się wstyd, zwłaszcza że sam specjalnie go tu przywołałem, a teraz nagle dałem się przyłapać na rozmyślaniu o limuzynach.

Wreszcie naprawdę zaczęliśmy z Clarą rozmawiać o tym snopie światła i gościach na dole, i jeszcze innych rzeczach. Wypytywałem ją o to czy

tamto, żeby podtrzymać konwersację, aż wreszcie wspomniałem mimochodem, że kiedy tak stoję z nią na tarasie, przypomina mi się balkon rodziców i sylwestrowe wieczory, kiedy mój ojciec wystawiał na zewnątrz butelki z winem do schłodzenia, a potem wraz z przyjaciółmi i partnerami testowaliśmy na ślepo bieżące roczniki różnych marek, żeby wybrać w drodze głosowania najlepszy trunek, ale wszystko zawsze wymykało się spod kontroli i matka biegała w tę i we w tę, próbując dopilnować, żeby wszyscy zdążyli oddać głosy, zanim ojciec na kilka minut przed północą zacznie wygłaszać swoją doroczną przemowę, zawsze tę samą, ułożoną w rymowane kuplety – aż do czasu Mount Sinai.

– Dlaczego właśnie na balkonie? – przerwała Clara. Wyraźnie ciekawiło ją, czemu oba balkony mi się ze sobą skojarzyły i dlaczego dodałem ją do tamtego obrazka. Nasz balkon był idealnym miejscem na chłodzenie białego wina i innych napojów, o ile nie panował zbyt duży mróz. Zawsze też znajdował się ktoś, kto pomagał mi przygotować butelki, zaklejać etykiety, rozdawać naprędce przygotowane arkusze ocen.

– Na przykład panna z różanego ogrodu? – dopytywała Clara. Wzruszyłem beztrudno ramionami, co miało oznaczać: „tak”, „może”, „po co pytać, nie ze wszystkiego należy się śmiać”, „nie podoba mi się ten żart”. Ona z kolei straciła oboje rodziców w wypadku samochodowym cztery lata temu. Tak brzmiała jej sarkastyczna replika na moje odrzucenie jej ironii.

„Jestem Clara”. Nie nadepnij mi na odcisk.

Opowiedziała mi o swoim ostatnim roku na studiach, o oblodzonej szwajcarskiej drodze, prawnikach, nieprzespanych nocach; potrzebowała kogoś, z kim mogłaby spędzać godziny ciemności, kogokolwiek, nikogo konkretnego, wielu ktosiów. Parsknęła śmiechem na poły z poczuciem winy akurat w momencie, kiedy jej historia sprawiła, że spoważniałem.

Była to cicha, niewesoła opowieść, pozbawiona polotu, a już na pewno odurzającego przekomarzania, którego aura spowijała nas do tej pory niczym dym z kadzidła w zalanej światłem księżycy świątynce. To zapewne były właśnie te okopy, z których przedtem sobie żartowaliśmy. Podczas wznawianych pauz, które uderzały głośno niczym ciężkie piłki, zwiastując koniec rozmowy, przyłapywałem się na odkryciu, że prawie nie jestem

w stanie rejestrować w głowie dzisiejszego wieczoru, jakby stopniowo zapadała nad nami kurtyna, i musiałem się spieszyć, żeby ocalić, co tylko dam radę, i wymyślić sposób, żeby nie zafiksować się zbyt na naszych ostatnich wspólnych chwilach, i nie robić sobie nadmiernych wyrzutów sumienia. Będę musiał posortować wszystko, co należało zachować lub odrzucić, i zadbać o szczegóły, które rano będą jeszcze promieniować ciepłem, jak te świecące pałeczki na przyjęciach, które jarzą się śmiechem minionej nocy i tajemniczym przeczuciem. Chciałem przetrzebić momenty do zapamiętania – but, kieliszek, taras, lodowe kry przemierzające Hudson – wszystko to planowałem zabrać ze sobą na wynos, jak po uroczystej kolacji, kiedy prosimy gospodarza o kawałek tortu dla kogoś, kto nie mógł się wyrwać z pracy, albo dla czekającego na dole kierowcy, albo dla chorego brata czy krewnego, który musiał zostać w domu, albo dla tej części nas samych, która czerpie większą radość z takich drobnych dowodów pamięci niż z samego bankietu i która rzadko wychodzi do ludzi, woląc wysyłać w świat cieniste wersje siebie niczym bezpilotowe drony sprawdzające podejrzany teren – najlepszą część zaś pozostawia w ukryciu, jak to czynią niektórzy, co trzymają oryginały klejnotów w sejfach, a publicznie noszą ich kopie, albo inni, którzy zaczynają wspominać daną chwilę na bieżąco, już kiedy przeżywają ją w czasie rzeczywistym – tak jak ja to właśnie robiłem. Ciało wychodzi do świata, ale nie zawsze zabiera ze sobą serce.

I znowu pomyślałem o swoim ojcu, który w zeszłym roku prosił, żebym usiadł na skraju jego łóżka i opowiedział mu o wszystkim, co widziałem i z kim tańczyłem. „Imiona, imiona – dopominał się. – Chcę usłyszeć imiona, chcę twarzy, twoja obecność jest dla mnie darem, wolę słuchać ciebie niż obejrzeć tysiąc programów w telewizji”. Nieważne, jak późno wpadałem z wizytą. „No i co, że nie dajesz mi spać. Obaj wiemy, że wkrótce to sobie odbiję”. Gdyby dzisiaj żył, zacząłbym od tych dwóch słów i opowiedział mu od początku o całym wieczorze. „Jestem Clara. Brzmi bardzo realnie” – stwierdziłby.

Czy była realna?

Czy była innymi?

Czy martwiła się, że to ja mogę się nimi okazać?



A może Clary nigdy się nie przejmują takimi rzeczami?

Bo wiedzą. Bo to one są światem, są w świecie i ze świata. Są tu i teraz. Podczas gdy ja jestem byle gdzie, podczas gdy ja jestem nigdzie, podczas gdy ja tylko udaję, że żyję. Podczas gdy ja to, ja tamto.

Podczas gdy ja chciałem myśleć o naszym spotkaniu jak o sytuacji, która musiała jeszcze się uleżeć albo nie do końca się wydarzyła i była dopiero wypełniana treścią przez jakiegoś niebiańskiego rzemieślnika, który nie potrafił się wziąć w garść i nie przemyślał porządnie zlecenia, i pozwalał nam improwizować kwestie, dopóki ktoś lepszy od niego nie weźmie sprawy w swoje ręce i nie da nam drugiej szansy.

Pragnąłem cofnąć się w czasie i wyobrażać sobie Clare jako kogoś, kto nie zdradził mi jeszcze swojego imienia albo kto już mi się objawił, ale tylko na sposób wizji przychodzących do nas w porannych snach, zanim następnego dnia stawimy im czoło na jawie. Kto wie, może naprawdę dostanę drugą szansę. Ale pod dwoma warunkami: muszę trafić na zupełnie inne przyjęcie i zapomnieć, że kiedykolwiek byłem na tym. Niczym człowiek powracający od hipnotyzera albo z poprzedniego życia, poznam nowych ludzi – ludzi, o których nie wiem, że jeszcze ich nie poznałem, i nie mogę się doczekać, żeby zawrzeć z nimi znajomość, i niemal żałowałem, że to nie ich w zamian poznałem, i obiecałbym sobie, że nigdy, przenigdy o nich nie zapomnę i nie będę mógł bez nich żyć, dopóki ktoś nie pojawi się znikąd i nie powie na wstępie czegoś niezręcznego, przypominając mi o kobiecie, którą kiedyś spotkałem albo z którą krzyżowały się moje ścieżki, ale ciągle nie mogłem na nią trafić i teraz za wszelką cenę musiałem na nowo ją poznać, bo przecież wspólnie się wychowaliśmy, tylko potem straciliśmy kontakt, albo tyle razem przeszliśmy, albo w jakimś innym życiu byliśmy kochankami, dopóki nie rozdzieliło nas coś tak trywialnego i haniebnego jak śmierć – lecz tym razem żadne z nas nie zamierzało do tego dopuścić. Powiedz mi, że nazywasz się Clara. Czy ty jesteś Clara? Masz na imię Clara? „Clara – odpowie ona. – Nie, nie jestem Clara”.

– Uwielbiam śnieg – powiedziała wreszcie.

Wbiłem w nią spojrzenie, nie mówiąc ani słowa.

Już miałem zapytać dlaczego.

Nagle jednak wpadłem na pomysł, żeby stwierdzić, że zazdroszczę ludziom, którzy są w stanie powiedzieć, że uwielbiają śnieg, nie czując przy tym wstydu ani skrępowania – jakby przyznawali się, że piszą rymowaną poezję. Ale to wydawało mi się nadmiernie wymuszone. Postanowiłem wymyślić jeszcze jakąś inną kwestię.

Lecz kiedy gorączkowo szukałem czegoś, co wypełni ciszę – czegokolwiek – dotarło do mnie, że jeśli Clara była w stanie powiedzieć, że uwielbia śnieg, to zapewne dlatego, że jej także panujące między nami milczenie wydawało się nieznośne i doszła do wniosku, iż stłamszenie prostej myśli jest bardziej pretensjonalne niż szczere wypowiedzenie jej na głos.

– Ja też go uwielbiam – odparłem, ciesząc się, że utorowała nam drogę do prostoty. – Choć nie mam pojęcia dlaczego.

– Choć nie mam pojęcia dlaczego.

Czy chciała przez to powiedzieć (i to po raz kolejny), że nasze myśli biegną podobnymi torami? A może w zamyśleniu powtarzała lub śmiała się z mojej pozbawionej znaczenia uwagi, która komplikowała tylko coś, co było wszak zupełnie proste?

Mimo to zachwycił mnie sposób, w jaki niemal westchnęła. „Choć nie mam pojęcia dlaczego”. Mógłbym nachylić się ku niej i objąć ją w tali ramieniem. Czy można tak zwyczajnie nachylić się ku Clarze, objąć ją w tali ramieniem i pocałować?

Kilka lat temu bez wahania dotknąłbym jej ust swoimi.

Teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, nie byłem tego taki pewien.

Ktoś popchnął drzwi balkonowe i wyszedł na taras.

– Mam cię – powiedział ociężale zbudowany mężczyzna. Potem, jakby ponieważ: – Chyba nie przeszkadzam? – zapytał, obrzucając nas wzrokiem, w którym zalśnił (jak mi się wydawało) łobuzerski błysk.

– A więc tu się ukrywałaś – rzekł, nachylając się i całując Clarę. – Mówili, że jeszcze nie przyszłaś.

– Nie, Rollo, po prostu wyszłam na fajkę – odparła, zmieniając ton i przechodząc na bardziej nonszalancki styl, którego jeszcze u niej nie

słyszałem. Gestem poleciła mu zamknąć szklane drzwi.

– Bo inaczej Gretchen będzie kwękać.

– Jakby cię to obchodziło – rzucił rozbawiony Rollo.

– Ostatnie, czego mi teraz trzeba, to jej kwękanie.

– Dlaczego Gretchen miałyby kwękać? – spytałem nie tyle z ciekawości, ile po to, żeby wbić się klinem w jej żargon i podtrzymać aurę intymności, która spowijała nas jeszcze przed chwilą.

– Bo nie znosi, kiedy palę w pobliżu jej dziecka. Grecia cienka, ciągle kwęka...

– Gdzież dziecko tej dziewczki? – spytałem, siląc się na swawolny ton, zwłaszcza że nie widziałem w okolicy żadnych dzieci. W świetle Clary partyjna linia wymagała mieszania Gretchen z błotem i chciałem pokazać, że mnie również doskonale na to stać, jeśli tego właśnie trzeba, żebym mógł wstąpić w szeregi ugrupowania.

– Jej dziecko to ów astmatyczny wyrostek, który zapewne łaskawie raczył się z tobą przywitać przy wejściu – odparł ciężkawy mężczyzna, stanowczo pokazując mi, gdzie moje miejsce.

– Mała fretka – rzuciła Clara przez wzgląd na mnie.

– Że co proszę? – zapytał on.

– Nic, niic.

Mężczyzna objął ją ramieniem na znak, że jej wybacza.

– Nie marzniesz tak, Clariuszko?

– Nie.

Odwróciła się do mnie.

– A ty marzniesz?

Czy próbowała siłą wciągnąć mnie do ich świata? A może był to jej sposób na stworzenie iluzji, że od dawna się przyjaźnimy?

Tak naprawdę nie zależało jej na odpowiedzi. Więc jej nie udzieliłem.

Zamiast tego, jakby za porozumieniem, wszyscy troje oparliśmy się o balustradę i wyjrzelśmy na nieskończony przestwór południowego Manhattanu, znaczący się biało-fioletową linią na horyzoncie.

– Pomyślcie tylko – powiedziała wreszcie Clara. – Gdyby zamienić wszystkie elektryczne latarnie na Riverside Drive na te dawne, gazowe, moglibyśmy opuścić ten wiek i przenieść się w jakiś inny, miniony. W gazowym świetle ścieżka wyglądałaby tak czarownie; można by pomyśleć, że jesteśmy w innej epoce. – I to mówiła osoba z gatunku żyjących chwilą amatorów przyjęć, która wcale nie była amatorką przyjęć, tylko że tak naprawdę właśnie nią była, ale nie żyła chwilą, bo pragnęła się znaleźć w innej epoce i innym miejscu.

– Albo w innym mieście – przyłączyłem się.

– Każdym, byle nie tym, Claro... Każdym, byle nie tym. Jak ja mam dość Nowego Jorku... – zaczął Rollo.

– Przy twoim tempie życia wcale się temu nie dziwię. Może powinieneś trochę zwolnić i na jakiś czas gdzieś się zadekować. Prawda, że powinieneś się zadekować? – zwróciła się nagle do mnie. – Zdziwiłbyś się, jakby ci to pomogło. Popatrz na nas – rzekła, jakbyśmy stanowili jakiś konkretny zespół zwany nami. – My oboje jesteśmy *très* zadekowani i stanowimy prawdziwe uosobienie szczęścia, prawda?

– Clara i dekowanie się? Z takim kitem to nie do mnie. Czy ty zawsze ściemniasz, Claro?

– Nie dzisiaj. W tej chwili jestem dokładnie tym, kim chcę być. I właściwie może jednak jestem dokładnie w miejscu, w którym chcę być: na tym tarasie, na Upper West Side, po tej stronie Atlantyku. Z tego punktu można objąć wzrokiem cały wszechświat łącznie z nieskończonymi maleńkimi i małostkowymi humanoidami, którym zależy jedynie na możliwości połączenia pewnych części swoich anatomii z częściami kogoś innego. Z miejsca, w którym stoję, Rollo, można zobaczyć wszystko, nie wyłączając New Jersey.

Gruby mężczyzna parsknął przyciszonym śmiechem.

– Gwoli twojej nimformacji – powiedział, kierując na mnie spojrzenie

wyłupiastych oczu – to była zupełnie niepotrzebna szpila pod adresem Gretchen. Jej panięskie nazwisko brzmi Teaneck, jak ta dzielnica New Jersey.

– A tu, na sterburcie, pańcie i paniowie – ciągnęła Clara, trzymając w ręce wyobrażony mikrofon na podobieństwo przewodnika wycieczki – wznosi się chliuba i duma Teaneckowic, Sinagoga Sinów Psimiezia, tuż obok niej widzimy natomiast kościół Naszej Pani od Podwiązania Jajowodów.

– Nie żałujesz sobie dzisiaj, co?

– Och, daj spokój, Rollo. Zaczynasz mówić jak jakiś Shukoff.

– Wredność nijak się ma do dekowania.

– A ja z kolei miałam na myśli, że masz się gdzieś zadekować, a nie zapaść w śpiączkę. W sensie że powinieneś przemyśleć sobie parę spraw, wziąć na wstrzymanie i dla odmiany zagrać wolno zamiast rzucać się na każdego przystojniaka, na którego my mamy ochotę.

Na chwilę zapadła cisza.

– Punkt dla ciebie, Claro, przyznaję. Zbłądziłem w dolinę skorpionów i nadepnałem na ogon tego najbardziej jadowitego, królowej matki wszystkich trujących bestii.

– Rollo, nie to miałam na myśli. Przecież wiesz, co chciałam powiedzieć. Tylko kąsam, ale bez jadu... Zima – zmieniła nagle temat, zaciągając się po raz ostatni papierosem. – Czy zima i śnieg nie są po prostu wspaniałe?

Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do niego, czy do nas obu, czy do żadnego z nas, bo sposób, w jaki nagle ostentacyjnie urwała temat, miał w sobie coś tak marzycielskiego i mglistego, że równie dobrze mogła się zwracać do całego Manhattanu albo do zimy, albo do nocy, albo do na wpół opróżnionego kieliszka z Krwawą Mary, który stał przed nią na balustradzie i z którego duch mojego ojca ledwo zdążył upić łyczek, nim wycofał się z tarasu. Chciałem myśleć, że zwracała się tylko do mnie albo do tej części mnie, która nadal była równie plastyczna i ustępliwa co śnieg leżący na balustradzie, zapewniającej oparcie jej palcom.

Znowu wyjrzałem na miasto i podążając wzrokiem za promieniem

światła, wyrecytowałem mimowolnie:

– Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały...

– Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały?

Cisza.

– To Henry Vaughan – wyjaśniłem niemal przepraszająco.

Clara przez chwilę zdawała się szukać czegoś w głowie.

– W życiu o nim nie słyszałam.

– Niewielu słyszało – powiedziałem.

I wtedy rozległ się jej głos recytujący słowa, które zdawały się powracać do mnie sprzed co najmniej dziesięciu lat:

*Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały*

*Jak wielki Pierścień światła, bezkresny i biały,*

*Cichy a blaskiem rozgorzały...<sup>2</sup>*

– Niewielu słyszało? – przedrzeźniła mnie z miną karykaturalnego triumfu.

– Najwyraźniej nie tak niewielu, jak mi się wydawało – odparłem, próbując pokazać, że nie przeszkadza mi jej nauczka, bo też naprawdę bardzo się ucieszyłem.

– To zasługa szwajcarskiego liceum pod dyrekcją madame Dalmedigo. – Cios i pieszczota. I zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć: – O, patrzcie! – Pokazała palcem księżyc w pełni. – Notonakksiężyc, prostonakksiężyc, cześć, księżyc, co porabiasz, księżyc, dziś jesteś, jutro cie ni ma, księżycu mój, wszystkich mój księżycu, dobranoc księżyc, dobranoc me panie, dobranoc księżycku-księżysiu.

– *Les* głupoty – skomentował Rollo.

– Ty samotny *les* głupoty. Notonakksiężyc, zupozmisio lubsiałato, kuciak źgżibami, wesołyświon, wesołyświon, zachwyca, zachwyca mniemagiakksiężyca.

– I tobie też wesołych świąt, Nowy Jorku – wtrąciłem.

– Jeśli już – odparła natychmiast Clara, niemal jakby znowu chciała zmienić temat – to dzisiejszy wieczór kojarzy mi się bardziej z Sankt Petersburgiem.

Gdzie się podziała imprezowa panna Jestem Dokładnie w Miejscu, w Którym Chcę Być?

Czy ścieżki naszych umysłów, poruszających się po równoległych torach, przez cały wieczór się krzyżowały? A może każdy, stojąc na tym tarasie, natychmiast pomyślałby o Sankt Petersburgu?

– A to w takim razie jest biała noc, albo prawie? – zagadnąłem.

Zaczęliśmy rozmawiać o najdłuższej i najkrótszej nocy roku i o tym, że liczne rzeczy, nawet kiedy wywróci się je na nice i na nowo zaplecie niczym wstęgę Möbiusa, na koniec okazują się dokładnie takie same jak przedtem. Rozmawialiśmy też o tamtym człowieku z opowiadania Dostojewskiego, który spotyka nad rzeką kobietę i na cztery białe noce zakochuje się w niej do szaleństwa.

– Biała noc z widokiem na New Jersey? Nie wydaje mi się! – powiedziała Clara.

– Biała noc zimą? Mnie też się nie wydaje! – dorzucił Rollo.

Roześmiałem się.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał, wyraźnie tym zirytowany.

– Dostojewski w pipidowie New Jersey! – odparłem, jakby sprawa nie wymagała żadnego wyjaśnienia.

– A co, Dostojewski wśród nowojorskich elit jest niby lepszy? – odgryzł się Rollo.

– Rollo, wyluzuj, to był tylko żart. Ale mam dla was pytanie za milion dolarów – ciągnęła Clara. – Czy lepiej stać na tarasie przy Riverside Drive i spoglądać na New Jersey, czy znaleźć się w New Jersey i spoglądać na zaklętą krainę Żydów świętujących Boże Narodzenie na Upper West Side?

– Żydowskie perwersje.

- Żydowskie awersje.
- Żydowskie immersje – dodał Rollo.
- Żydowskie amfibalersje – powiedziała Clara.

Zastanawiałem się nad jej pytaniem, ale przychodziła mi do głowy jedynie wizja otchłani New Jersey wpatrującej się w zarysy Manhattanu i zadającej to samo pytanie, tylko w odwrotną stronę. Potem pomyślałem o nieszczęsnych kochankach Dostojewskiego, próbujących pochwycić tęsknym wzrokiem Clarę i mnie, podczas gdy my z kolei pragnęliśmy przenieść się do nich na oświetlony gazowymi latarniami Newski Prospekt. Nie znałem rozwiązania jej zagadki, nigdy go nie poznam. Powiedziałem więc tylko, że o ile my na Manhattanie nie możemy podziwiać panoramy Riverside Drive, o tyle ci po drugiej stronie Hudson, którzy mają na nią widok, nie mogą się tu znaleźć. Wada wady przestaje być wadą. A może nie? Czyż nie przemawiamy tym samym językiem, ty i ja?

– Tak samo jest z miłością – dorzuciłem, nie do końca wiedząc, dokąd zmierzam z tym porównaniem. Po prostu nagle nabrałem odwagi, żeby się na nie porwać. – Można marzyć o związku albo się w nim znaleźć, ale nie można być jednocześnie marzącym i kochankiem. A może można, Claro?

Zastanawiała się przez chwilę, jakby rozumiała jeśli nawet nie sens analogii, to przynajmniej jej sugestywny, przebiegły podtekst.

– To pytanie z gatunku tych, na które odpowiada się: „Wybieram bramkę numer trzy”, a ja nie zamierzam się dziś pakować w takie rzeczy.

– No jasne, że nie zamierzasz – skomentował Rollo.

– Wypchaj się! – odparowała.

– A więc ty jesteś Rollo – przerwałem w końcu, siląc się na ton męskiej komitywy, jak Stanley przybijający piątkę Livingstone’owi.

Clara przypomniała sobie, że nas nie przedstawiła. Rollo wyciągnął do mnie mocną dłoń prosperującego finansisty oraz, jak sam dodał, wiolonczelisty amatora, którego prywatne życie jest otwartą księgą.

– Tereferere – prychnęła Clara, puszczając ostatnią, gasnącą salwę.

– Meduza! – odgryzł się.



Nie Meduza – pomyślałem – ale czarodziejka Kirke przemieniająca mężczyzn w udomowione zwierzęta, którymi w nieunikniony sposób się stają.

– Medzka – powtórzył Rollo pod nosem, udając, że kłapie zębami jak pies. Oboje ewidentnie czerpali przyjemność z tej słownej szermierki.

Dokonywanie prezentacji wyraźnie nie było mocną stroną Clary. Obchodziła tę ceremonię szerokim łukiem, starając się wywołać wrażenie, jakby człowiek sam był sobie winny, że jeszcze się nie przedstawił. A w ogóle obaj powinniśmy mieć dość przyzwoitości, żeby się domyślić, kim jest ten drugi.

– To znajomy Hansa – wyjaśniła wreszcie. – A skoro już o nim mowa: czy ktoś go widział?

Rollo wzruszył ramionami.

– I gdzie jest Orla?

– Prawie nikogo jeszcze nie widziałem. Wpadłem tylko na Beryl; siedziała z Inkym w niebieskim pokoju.

– Więc Inky tu jest? – przerwała Clara.

– Przed chwilą z nim rozmawiałem.

– No cóż, ja na pewno nie zamierzam z nim rozmawiać.

Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Na twarzy Clary ukazał się filuterny wyraz żalu, obliczony na to, żeby zdradzić swoją fałszywość.

– Inky jest skreślony. – Odwróciła się i zlustrowała kolejnego papierosa, którego zamierzała właśnie zapalić, sprawiając przy tym wrażenie, jakby teraz, kiedy kwestia Inky’ego została zamknięta, chciała wrócić do *Białych nocy* Dostojewskiego. Ale Rollo nie dał się tak łatwo spławić.

– Mówię ci, że go skreśliłam. Już po nim. Koniec, *finito*. Temat zamknięty.

Rollo wydawał się całkowicie zbity z pantafyku.

– Inky mnie rzucił. Rozumiesz *moi*?

– Rozumiem *toi*.

– Po prostu zdziwiłam się, że w ogóle się tu dziś pojawił – wyjaśniła.

Rollo wzruszył z irytacją ramionami.

– Wy dwoje... no po prostu – westchnął.

– Tak właściwie to nigdy nie było proste. Od początku nic tylko szara strefa i zawieszenie. Tyle że szanowny pan i cała reszta naszych znajomych nie chcieli tego widzieć. – I znowu nie byłem pewien, czy zwraca się do mnie, do Nowego Jorku, czy do samej siebie.

– A czy on też zdawał sobie sprawę, że znajdowaliście się w tej... jak to określiłaś, szarej strefie i zawieszeniu?

W jego ostatnich słowach kryły się kolce. Widziałem, że Clara zastanawia się nad jakąś ciętą ripostą.

– Rollo, ja sama nigdy się nie znajdowałam w tej... szarej strefie. – Dramatyczna pauza przed wyrażeniem „szara strefa” miała wzbudzić komiczny efekt. – To on przebywał w... szarej strefie. Jeśli chcesz wiedzieć, był wielką tundrą mojego życia. Ale to się już skończyło.

– Biedny, biedny Inky. Nie powinien był się w to pakować. Po pierwsze...

– Popiersie!

– Po pierwsze kazałaś mu rzucić wszystko, na co...

– Popiersie!

– Claro, ty jesteś jeszcze gorsza od Meduzy! Po pierwsze i najważniejsze...

– Popiersie, perwersie, immersie, awersie!

I Clara uniosła obie dłonie w geście mówiącym: „No dobrze, już przestaję”.

– Od roku nie słyszałem czegoś równie okrutnego.

– Co cię to w ogóle obchodzi? Przecież teraz możesz go mieć dla siebie. A zawsze tego chciałeś, prawda?

Nie wiedziałem, ile to jeszcze potrwa, ale sytuacja z każdą sekundą robiła się coraz gorsza.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, kim właściwie jest Inky? – wciąłem się wreszcie jak dziecko próbujące przerwać kłótnię rodziców.

Ale nie chodziło mi tylko o załagodzenie sytuacji. Była to również nędzna próba uchylenia drzwi do ich urzekającego świata, w którym można było wyjść z obcą osobą na taras i nagle odkryć – jakby jakiś magik zaczął wyciągać nam z kieszeni nieskończenie długą chusteczkę – że ma się cały wianuszek niezliczonych nowych znajomych o imionach w rodzaju Hans i Gretchen, i Inky, i Tito, i Rollo, i Beryl, i Pablo, i Mankiewicz, i Orla, i – na wszystkich ustach – Clariuszka, Clariuszka, a my tymczasem staliśmy tam i rozmyślaliśmy o Bellagio i Bizancjum, o białych nocach i zimnych kanałach Sankt Petersburga, przez co nieskończona czarno-biała panorama Upper West Side zaczęła mi przypominać ilustrację z dziecięcej baśni – wystarczyłoby rzec jedno słowo, żeby się do niej przenieść.

– Inky to znajomy z okopów – wyjaśniła Clara, posługując się naszym żargonem, co mile mnie polectało i przez co pomyślałem nagle, że przeskoczyłem Rolla w klasyfikacji. Lecz wtedy zwróciła się do niego: – Ale wiesz, to była z jego strony słuszna decyzja. Nie mogę powiedzieć, że mam do niego żal. Choć go ostrzegałam.

– A idź z tymi twoimi ostrzeżeniami. Chłopak jest w rozsypce. Znam go. To takie krzywdzące.

– Ojej, ty strzelasz fochy, on strzela fochy... i to wszystko takie krzywdzące.

Wykonała ruch podobny do wzruszenia ramion, kpiąc z niezręcznego słowa Rolla.

– Claro, Claro... – zaczął Rollo, jakby nie mógł się zdecydować, czy próbować ją ubłagać i z nią dyskutować, czy też się od niej odżegnać – Naprawdę musisz sobie przemyśleć...

– Muszę, w sensie: „Wieczorem musimy ci zmierzyć temperaturę” albo: „Musimy uważać pod nogi”, albo: „Musimy pamiętać o diecie”, *amigo?* Nic nie mów, Rollo. Nic już nie mów. – Nagle w jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju urazy. Wyczuwałem, że ma na myśli: „Nie mów nic, czego potem pożałujesz”. Nie była to ani przygana, ani ostrzeżenie. Ale te słowa uderzyły w niego jak policzek.

– Claro, jeśli natychmiast nie darujesz sobie tych żartów, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę, słowo daję.

– Możesz zacząć już teraz.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Częściowo miałem ochotę się wymówić i zostawić tę dwójkę, żeby kontynuowała swoją dyskusję w samotności. Ale nie chciałem zniknąć z tego świata, który zaledwie kilka minut temu uchylił mi swoje podwoje.

– To właśnie przez takie Meduzy jak ty mężczyźni tacy jak ja zostają gejami. – I to powiedziawszy, nie czekając na jej odpowiedź, Rollo szarpnął przeszkłone drzwi i zatrzaskał je za sobą.

– Bardzo mi przykro, naprawdę. – Nie wiedziałem, czy przepraszam za niego, czy za to, że byłem świadkiem ich sprzeczki.

– Niepotrzebnie – odparła Clara obojętnie, gasząc papierosa o kamienną balustradę i spoglądając na ulicę w dole. – To po prostu kolejny dzień w okopach. Właściwie dobrze, że tu byłeś. Inaczej byśmy się pokłócili i powiedziałabym rzeczy, których potem bym żałowała. I tak już żałuję.

Jego, Inky’ego, siebie samej?

Żadnej odpowiedzi.

– Zimno się robi.

Otworzyłem francuskie drzwi, cicho, żeby nie zakłócać kolędowania w salonie na dolnym piętrze. Usłyszałem jej mruknięcie:

– Inky nie powinien być się tu pokazywać. W ogóle nie powinien być tu dzisiaj przychodzić.

Obdarzyłem ją na wpół zbolałym przyjacielskim uśmiechem, który miał oznaczać jakiś nudny banał w rodzaju: „Nie martw się, wszystko się ułoży”.

Odwróciła się gwałtownie.

– A ty przyszedłeś tu z kimś?

– Nie. Jestem sam.

Nie odwzajemniłem pytania. Nie chciałem wiedzieć. A może nie chciałem sprawić wrażenia, że mnie to obchodzi.

– A ty? – zapytałem wreszcie.

– Nie, przyszłam sama... z kimś, ale tak naprawdę sama. – Roześmiała się. Z siebie, z pytania, z tych podwójnych i potrójnych warstw podtekstów, z wszelkiego rodzaju zamierzonych i niezamierzonych dwuznaczności. Pokazała palcem kogoś, kto rozmawiał z kimś, kto wyglądał mi na Beryl.

– Tak? – zapytałem.

– To właśnie Tito, ten, o którym rozmawialiśmy.

– No i?

– Gdzie Tito, tam musi być też Orla.

Nie zauważyłem w pobliżu nikogo, kto wyglądałby mi na Orlę.

– Widzisz tego faceta, który obok niego stoi?

Przytaknąłem.

– To właśnie ten, z którym byłam... w szarej strefie – powiedziała.

Kolejna chwila ciszy. Zamierzałem spytać, czy wszyscy mężczyźni w jej życiu kończą w szarej strefie. „Dlaczego chcesz wiedzieć?”. Ale pytałaby tylko dlatego, że już znałaby odpowiedź.

– Kilkoro z nas wybiera się na pasterkę do Świętego Jana. Masz ochotę się przyłączyć?

Skrzywiłem się lekko.

– Zapalimy razem świeczki. Będzie fajnie.

Nie czekając na odpowiedź, niespodziewanie – tak samo jak rzuciła swoją propozycję (chyba wszystko robiła w ten sposób) – powiedziała, że zaraz wróci, i weszła do środka.

– Poczekaj tu na mnie, dobrze?

Nawet nie przyszło jej do głowy, że mógłbym nie poczekać.

Ale tym razem byłem pewien, że ją straciłem. Zaraz wpadnie na Inky'ego i Tita, i Orłę, i Hansa, i w ułamku sekundy wślizgnie się z powrotem do ich małego świata, z którego wyłoniła się niczym zjawą zza świątecznej choinki.

Sam na tarasie, znowu zacząłem rozmyślać o tym samym co wcześniej, kiedy przechodziłem z pokoju do pokoju i zastanawiałem się, czy zostać, czy nie zostać, wyjść, a może posiedzieć jeszcze trochę, a jednocześnie próbowałem przypomnieć sobie ze szczegółami wszystko, co czułem i robiłem na kilka sekund przed tym, jak Clara odwróciła się do mnie i przedstawiła. Rozmyślałem o oprawionych rycinach Athanasiusa Kirchera, wiszących w długim korytarzu pod jednym z gabinetów. Nie były to imitacje. Musiały zostać wycięte z bezcennych egzemplarzy książek. I dokładnie w tamtym momencie, akurat kiedy kontemplowałem zbrodnię, jaką było oprawienie tych grafik i powieszenie ich na zewnątrz łazienki jakiegoś bogacza, wyciągnęła się do mnie jej dłoń.

Przez szklane drzwi balkonu widziałem teraz stertę świątecznych prezentów, wznoszącą się majestatycznie obok wielkiej choinki. Grupka nieco starszych nastolatków, ubranych na inną imprezę, która nawet się jeszcze nie zaczęła i nie miała się zacząć przez kilka kolejnych godzin, zebrała się pod drzewkiem i potrząsała niektórymi paczkami, usiłując odgadnąć, co się w nich kryje. Ogarnęła mnie panika. Powinienem był oddać swoje butelki z szampanem komuś, kto będzie wiedział, co z nimi zrobić. Przypomniałem sobie, że nie mogłem znaleźć nikogo, kto by się nimi zajął, i wreszcie zmuszony byłem odstawić je pod drzwiami do kuchni, skrycie i strachliwie, jak wyrodna matka podrzucająca osieroczone bliźnięta na progu zamożnego domu i znikająca w anonimowym mroku nocy. Oczywiście zapomniałem dołączyć liścik. Co się stało z moimi butelkami, kupionymi w biegu tuż przed przyjazdem autobusu linii M5? Na pewno jeden z kelnerów znalazł je pod drzwiami i schował do lodówki, gdzie zaprzyjaźniły się z innymi podobnie porzuconymi sierotami.

Czułem się jak jeden ze skrupowanych gości zapraszanych przez rodziców w okresie świątecznym, kiedy urządzaliśmy nasz doroczny festiwal

wina. GMBZ było tajnym hasłem ojca, oznaczającym „Goście Mają Być Zadowoleni”. Hasłem mamy było ZSP, „Zachwycaj Się Prezentami”. ŻSB było natomiast upomnieniem pod moim adresem: „Żeń Się z Bogaczką”. ŻS, kurwa, B.

Żeby przewietrzyć głowę, zacząłem krążyć po tarasie, próbując sobie wyobrazić, jak wygląda to miejsce latem. Wizualizowałem lekko odzianych gości z kieliszkami szampana, umierających z pragnienia, żeby załapać się na zachód słońca, o którym z góry wiedzą, że będzie jednym z najbardziej widowiskowych zachodów słońca na świecie, z kolorem nieba przechodzącym od połyskliwego błękitu aż po odcienie letniego różu i mandarynkowych szarości. Zastanawiałem się, jakie buty nosiła Clara w ciepłej porze roku, kiedy wychodziła na werandę i stała z innymi, popalając tajne agenty i spierając się z Pablem, Rollem i Hansem, nabijając się z nich prosto w twarz albo za plecami, wszystko jedno, o ile tylko mogła wypluć z siebie coś wrednego i podłego, co zresztą natychmiast cofnie. Czy dzisiejszego wieczoru zdarzyło jej się powiedzieć o kimś coś miłego? A może pozornie składała się wyłącznie z jadu i szorstkiej, ostrej, ząbkowanej i parzącej powłoki, i jeszcze czegoś tak zatwardziałego i pozbawionego serca, że mogło się przedrzeć przez każdy strzęp ludzkich emocji i przebić na wylot bezradne, spragnione uczucia dziecko kryjące się w każdym dorosłym mężczyźnie, a nazwa tego czegoś, przeliterowana od tyłu i wywrócona na nice, nadal mogła brzmieć „miłość” – nawet jeśli byłaby to miłość zajadła, jałowa, harda i drapiąca.

Próbowałem sobie wyobrazić to mieszkanie w wieczór sylwestrowy. Tylko doborowa grupka zaproszonych szczęściarzy. O północy wyjdą na taras, obejrzą fajerwerki i otworzą szampana, a potem wrócą z powrotem przed kominek i będą rozmawiać o miłości jak na staromodnych bankietach. Mój ojciec polubiłby Clarę. Pomagałaby mu z butelkami na balkonie i przyjęciem, tchnęłaby życie w jego wymęczone kuplety, chichotałaby, kiedy stary znawca klasyki jak co roku robiłby aluzję do Ksantypy pomiatającej swoim mężem Sokratesem, aż z chęcią opróżnił czarę z trucizną, bo jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden taki rok bez przyjmowania ani dawania miłości... Przy Clarze jego doroczne kazanie na balkonie pod moim adresem, kiedy doglądaliśmy wina, nie byłoby wypełnione aż takim zniecierpliwieniem. „Ja chcę dzieci, nie projektów”. Na widok Clary kazałby

mi się pospieszyć. Ona weszła, przedstawiła się: „Jestem Clara” – i już, poległby od razu. Nazywałyby ją dziewczyną z Bellagio. Któregoś wieczoru on i ja staliśmy przed chłodzącymi się butelkami, patrząc w okna zatłoczonego mieszkania sąsiadów po drugiej stronie wieżowca.

– Oni mają prawdziwe przyjęcie, nasze jest tylko udawane – powiedział.

– Im się pewnie wydaje, że to nasze jest prawdziwe, a ich udawane – odparłem, chcąc go pocieszyć.

– W takim razie jest gorzej, niż myślałem – stwierdził. – My nigdy nie żyjemy chwilą, dla nas życie zawsze toczy się gdzie indziej i zawsze wpadamy na coś, co wykrada nam wieczność. Cokolwiek zapieczętujemy w jednej komnacie, przesącza się do drugiej, jak w starym sercu o nieszczelnych zastawkach.

Jakiś kelner otworzył szklane drzwi i wyszedł na taras, żeby uprzątnąć na wpół opróżniony kieliszek Clary. Powiedziałem, żeby go zostawił. Widząc, że mój jest całkowicie pusty, zapytał, czy chciałbym jeszcze wina. Odparłem, że chętnie napiłbym się zimnego piwa.

– W szklance? – dopytał, przypominając mi, że nie jest to jedyny sposób picia piwa.

– Właściwie to wolałbym w butelce. – Podobała mi się beztroska tej scenki. Napiję się piwa z butelki i to całkiem sam, a jeśli przez głowę przemknie mi wizja Clary, no to mówi się trudno. Kelner przyjął zamówienie skinieniem głowy i na sekundę odrywając się od zapewne ciężkiej tego wieczoru pracy, popatrzył na to, w co się wpatrywałem.

– Wspaniały widok, prawda?

– Owszem, cudowny.

– Coś do piwa?

Pokręciłem głową. Przypomniałem sobie Mankiewiczów i uznałem, że lepiej trzymać się z dala od wszelkich przekąsek. Ale jego troska i życzliwość zrobiły na mnie wrażenie.

– Może trochę orzeszków – powiedziałem.

– Zaraz wszystko przyniosę.



I nagle, kiedy już prawie dotarł do drzwi, odwrócił się ku mnie z tacą, na której stały inne puste kieliszki.

– Wszystko w porządku?

Musiałem wyglądać naprawdę żałośnie, skoro nawet kelner pytał mnie o samopoczucie. A może chciał się tylko upewnić, że nie planuję się rzucić z balkonu – polecenie szefa: pilnujcie, żeby nikomu nie strzeliło do głowy zrobić coś głupiego.

Jakaś para na drugim końcu tarasu, z którego rozciągał się widok na południowy kraniec Manhattanu, zaczęła chichotać. Mężczyzna trzymał jedną rękę na ramieniu kobiety, a drugą odstawił uzupełniony kieliszek na balustradę. Zauważyłem, że w tej samej dłoni trzymał także cygaro.

– Miles, czy ty się do mnie przystawiasz? – spytała kobieta.

– Mówiąc szczerze... sam nie wiem – usłyszałem zblazowaną odpowiedź.

– Jeśli nie wiesz, to znaczy, że tak.

– W takim razie tak.

– Z tobą nigdy nie wiadomo.

– Jeśli mam być szczerzy, to ja też sam nigdy ze sobą nie wiem.

Uśmiechnąłem się. Kelner rozejrzał się w poszukiwaniu pozostawionych kieliszków i popielniczek, po czym stanął w miejscu, niemal jakby tocząc wewnętrzną debatę, czy zrobić sobie przerwę na papierosa. Popatrzyłem na jego ubiór – krawat w kolorze pruskiego błękitu i krzykliwa żółta koszula z rękawami podwiniętymi aż po bicepsy. Co za dziwaczny strój!

– Piwo! – krzyknął nagle z autoironią, jakby przypomniał sobie o ważnym zadaniu, i zebrał jeszcze kilka kieliszków.

Ale tak naprawdę wcale nie miałem ochoty na piwo. To przyjęcie było nie dla mnie. Powinienem sobie pójść.

Co jeszcze mnie dziś czekało? Autobus, śnieg, spacer całą drogę z powrotem na Sto Dwunastą Ulicę, ostatnie spojrzenie na katedrę, stanie w śniegu i przypatrywanie się, jak kościół wypełnia się przed pasterką, i na

tym zamkniemy wieczór. Clara też wspominała, że się tam wybierze. Wyobraziłem sobie szybki wypad do katedry, muzykę, płaszcze, ogromną rzeszę ludzi, Clarę i jej przyjaciół, Clarę i Spółkę, wszyscy tłoczmy się w środku. Wracajmy na przyjęcie – powiedziałyby. Nawet Rollo by się zgodził. Tak, wracajmy.

Lepiej wyjść teraz, zanim ktoś zapędzi mnie na kolację – pomyślałem. Wyjdę z tarasu, wrócę na górę, zakradnę się do szatni, podam kwit i wymknę się równie skrycie, jak przybyłem.

Ale zanim zrobiłem choć krok, szklane drzwi znowu się otworzyły i pojawił się kelner z kolejnymi kieliszkami wina i moją butelką piwa. Odstawił wino na stolik, po czym umieścił sobie piwo między nogami i natychmiast zdjął kapsel. Przyniósł też dwa martini dla Milesa i jego dziewczyny.

W tym momencie po raz ostatni zauważyłem promień krążący nad Manhattanem. Pół godziny temu stałem tutaj z Clarą, rozmyślając o Bellagio, Bizancjum, Sankt Petersburgu. Łokieć spoczywający na moim ramieniu, kasztanowe zamszowe buty delikatnie odgarniające śnieg, Krwawa Mary na balustradzie – wszystko nadal tu było! Ale gdzie się podziała Clara?

Zapomniałem już, czy milcząco zgodziłem się tutaj na nią poczekać. Naprawdę robiło mi się zimno i kto wie, może ta prośba o pozostanie na tarasie była tylko koktajlową sztuczką pozwalającą Clarze wymknąć się mimochodem albo obsadzić mnie w roli tego, który zostaje porzucony, który czeka, ociąga się, liczy na coś.

Niewykluczone, że kiedy wreszcie zdecydowałem się opuścić taras, chciałem zrobić jej na złość. Udowodnić, że do niczego nie zmierzało, że nigdy nie robiłem sobie najmniejszych nadziei.

Gdy wreszcie przedostałem się zatłoczonymi schodami na górę, tłum zdążył się powiększyć ponad trzykrotnie. Wszyscy ci ludzie, całe to zamieszanie, muzyka i blichtr, wszystkie te bogate-i-sławne eurosnohy wyglądające, jakby dopiero co wysiadły z prywatnych helikopterów, które wylądowały na tajnym lądowisku pomiędzy Riverside Drive a Sto Szóstą. Nagle dotarło do mnie, że te imponujące limuzyny parkujące przy krawężnikach dookoła całej przecznicy i aż po Broadway, przewoziły ludzi

zmierzających nie na jakieś inne przyjęcie, tylko właśnie nasze, a zatem przez cały czas znajdowałem się na imprezie, na której chciałem się znaleźć zamiast na tej. Opalone kobiety w krzykliwej biżuterii i ostrych, stukających po parkiecie obcasach, eleganczy młodzieńcy kręcący się po wielkim salonie w stylowych czarnych garniturach i ciemnokremowych koszulach z rozpiętymi kołnierzykami, starsi mężczyźni, którzy usiłowali się kreować na młodszych, ubierając się w rzeczy dobrane przez nowe, obwieszane klejnotami małżonki. Bankierzy, głupie blondynki, lalki Barbie – kim byli ci ludzie?

Nagle zdałem sobie sprawę, że wszyscy kelnerzy i kelnerki należeli do typu jasnowłosych modeli, a ich jasnożółte koszule z wysoko podwiniętymi rękawami, szerokie niebieskie krawaty i bardzo obcisłe, bardzo nisko wycięte spodnie khaki z prowokującą sugestią lekko rozpiętego rozporka okazały się uniformem. To skrzyżowanie oficjalnego stroju ze szmaciarskim szykiem prowokowało, żeby jakoś je skomentować. Nikogo tu jednak nie znałem. Tymczasem obsługa zaczęła zachęcać morze gości do przechodzenia na oba końce wielkiego salonu, gdzie catering zaczął już serwować kolację przy dużych szwedzkich stołach.

W zacisznym kącie trzy starsze kobiety siedziały razem przy stoliku do herbaty niczym trzy Graje dzielące się jednym okiem i jednym zębem. Kelner przyniósł im talerze z jedzeniem i właśnie zabierał się do nalewania im wina. Jedna z nich podniosła w stronę swojej sąsiadki coś o wyglądzie igły. Kontrola cukru we krwi przed posiłkiem.

Znowu zauważyłem Clare. Opierała się o jeden z regałów w tej samej zatłoczonej bibliotece, gdzie wcześniej pokazała mi swoje stare biurko i gdzie (pod groźbą nadmiernego zbliżenia się do tego, co miałem za rzeczywistą Clare, taką, jaka była prywatnie) wyobrażałem sobie, jak pracuje nad magisterką, od czasu do czasu zdejmując okulary i rzucając tęskne, zamyślane spojrzenia w stronę zamierającego jesiennego światła migoczącego na Hudson. Twarzą do niej stał młody mężczyzna w jej wieku, który trzymał ręce na jej biodrach i przyciągał ją całym ciałem do siebie. Całował ją mocno w usta, z oczami zamkniętymi w upartej, samowolnej, gwałtownej pieszczocie. Nawet wpatrywanie się w nich zdawało mi się naruszeniem prywatności. Nikt na nich nie patrzył, nie zwracał na nich

najmniejszej uwagi. Ja jednak nie mogłem oderwać od nich oczu, zwłaszcza kiedy zauważyłem, że jego dłonie nie tylko ją przyciągają, ale ściskają jej biodra pod bluzką, dotykają jej skóry, jakby tańczyli razem wolny taniec i zatrzymali się na pocałunek... Aż nagle spostrzegłem coś jeszcze bardziej niepokojącego i jednocześnie porywającego: że mianowicie to ona całowała jego, nie na odwrót. On zwyczajnie odpowiadał na żar jej języka, ulegał jego gwałtownemu atakowi jak ptaszek karmiony z dzioba matki. Kiedy w końcu się od siebie odsunęli, zobaczyłem, jak Clara patrzy mu w oczy i gładzi go leniwym ruchem po twarzy – wolna, niespieszna, nabożna dłoń pocierająca najpierw jego czoło, a potem zsuwająca się na policzek tak rozdzierająco czule, tak wilgotno w dotyku, że skłoniłaby do miłości nawet granitowy głaz. Jeśli to miała być zapowiedź tego, w jaki sposób Clara się kochała, kiedy zdejmowała karmazynową bluzkę oraz zamszowe buty i oddawała się zmysłom, to chyba przez całe moje życie aż do tej chwili nigdy nie rozumiałem, na czym naprawdę polega uprawianie miłości ani po co się to robi, ani jak się to robi; nigdy się z nikim nie kochałem i nikt nie kochał się ze mną. Zazdrościłem im. Kochałem ich. I nienawidziłem siebie za to, że im zazdroścę i ich kocham. Zanim zdążyłem podjąć decyzję, czy wolę, żeby przestali robić to, co robili, czy też żeby robili to jeszcze przez jakiś czas, zobaczyłem, jak mężczyzna przyciska się do niej podbrzuszem i znowu zaczęli się całować. Jego dłoń zniknęła teraz pod jej bluzką. Gdyby tak jego dłoń była moją. Gdybym tylko mógł tam być, tam być, tam być.

To tyle, jeśli chodzi o dekowanie się. Co za żałosna wymówka. Całe to gadanie o szarej strefie i miłości w czasach półmroku i pandelęku, a tymczasem nasza imprezowiczka od razu skapitulowała. Już myślałem, że pod zasłoną koktajlowych pogawędek skrywała jakieś tragiczne sentymenty. A to była tylko zwykła eurolaska, rzucająca pustostłowiem podchwyconym na pensji dla zbłąkanych dziewcząt *chez madame Dalmedigo*.

– Przedstawiam panu Clarę i Inky’ego – powiedziała śpiewnie kobieta obok mnie, najwyraźniej zauważywszy, że się w nich wpatruję. – Oni tak na okrągło. To ich imprezowa sztuczka.

Już miałem wrzucić ramionami, mając na myśli, że widywałem gorsze rzeczy i z całą pewnością nie szokuje mnie widok kochanków obcałowujących się na przyjęciu, kiedy dotarło do mnie, że tą kobietą jest nie

kto inny jak Muffy Mitford. Wywiązała się między nami rozmowa.

Może to dlatego, że zdążyłem trochę wypić, ale nagle odwróciłem się do niej i z głupia frant spytałem, czy przypadkiem nie nazywa się Muffy. „Zgadza się! Skąd pan wiedział?”. Skłamałem i odparłem, że poznaliśmy się na jakimś przyjęciu w zeszłym roku. Kłamstwo przyszło mi aż nazbyt łatwo, ale od słowa do słowa odkryłem, że mieliśmy wspólnych znajomych i – ku memu całkowitemu zdumieniu – naprawdę wpadliśmy na siebie na jakiejś kolacji. Czy nie znała przypadkiem państwa Shukoffów? Nie, nigdy o nich nie słyszała. Nie mogłem się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Clarze.

Nagle zobaczyłem, że Clara macha do mnie z daleka. I nie tylko macha, ale wręcz idzie w moją stronę. Patrząc, jak się zbliża, stwierdziłem, że wbrew swoim postanowieniom już zdążyłem jej wybaczyć. Nie potrafiłem zidentyfikować uczucia, które mnie ogarnęło, gdyż stanowiło ono mieszankę paniki, gniewu, nadziei i oczekiwań tak ekstrawaganckich, że nie potrzebowałem nawet lustra, żeby wiedzieć po napięciu mięśni twarzy, że uśmiecham się o wiele za szeroko. Próbowałem poskromić ten uśmiech, myśląc o czymś innym, czymś smutnym i poważnym, ale gdy tylko przyszła mi do głowy Muffy i jej kołyszący się pas płodności, poczułem, że zaraz wybuchnę śmiechem.

Nie miało znaczenia, że Clara zniknęła, a ja ją zawiodłem, bo nie poczekałem na tarasie. Byliśmy niczym dwoje ludzi, którzy wpadają na siebie dwie godziny po tym, jak oboje nie przyszli na umówione spotkanie, i zaczynają rozmawiać ze sobą, jakby nigdy nic. Chciałem wierzyć, że nie obchodzi mnie jej pocałunki z tamtym chłopakiem, bo tak długo, jak nie będę sobie robił żadnych nadziei ani martwił się, jak wciągnąć ją do swojego życia, będę mógł zwyczajnie cieszyć się jej towarzystwem, śmiać się z nią, obejmować ją ramieniem.

Byłem – i już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę – niczym narkoman, który postanawia zwalczyć swój nałóg tylko po to, żeby móc od czasu do czasu strzelić sobie działkę, nie martwiąc się, że znowu wpadnie w uzależnienie. Z tego samego powodu rzuciłem papierosy: żeby co jakiś czas móc sobie pozwolić zapalić.

Clara podeszła do mnie od tyłu i nachyliła się, żeby szepnąć mi coś do

ucha. Czułem jej oddech łaskoczący mnie w szyję i już prawie byłem gotowy, żeby skłonić głowę ku jej ustom. Zadrwiła z Muffy, a potem ścisnęła mnie za ramię ruchem, w którym wyczułem porozumiewawczy gest mający wzbudzić mój złośliwy chichot.

– Twoje bliźniaczki to najśodsze dziewczynki na świecie – powiedziała. Widziałem, że próbuje nakręcić Muffy.

– Prawda? – zgodziła się tamta. – Są wspaniałe.

– Są wspaniałe – przedrzeźniła ją Clara, tym razem muskając ustami moje ucho, raz, dwa, trzy razy. – Naprawdę zajebiste.

Czułem, że reaguję na jej oddech całym swoim ciałem. Mężczyźni, którzy się z nią kochali, mieli dla siebie jej oddech przez całą noc.

– Nazywamy je *le gemelline* – ciągnęła Muffy, wypowiadając włoskie słowa z ciężkim amerykańskim akcentem.

– Co ty, kurwa, nie powiesz? – szeptała dalej Clara prosto w moje ucho.

Pozostali goście zaczęli nas potrącać w drodze do bufetu. Jeszcze chwila, a Muffy zniknie w tłumie.

– Lepiej się odsuńmy, bo inaczej nas stratuja. Znam drogę na skróty.

– Na skróty? – zapytałem.

– Przez kuchnię.

Tymczasem Pablo, który zauważył Clare, machał do niej, stojąc z inną grupką ludzi. Powiedziała mu, że zamierzamy dojść do kuchni od drugiej strony. Wyglądało na to, że oboje znali tę sztuczkę. Spotkamy się wszyscy w palmiarni.

Pomyślałem o Inkym i wyobraziłem sobie, że Clara znów chce do niego dołączyć. Ale nigdzie go nie widziałem. A ona nawet nie sprawiała wrażenia, jakby się za nim rozglądała.

– Gdzie twój znajomy z okopów? – zapytałem w końcu, wyraźnie pokazując mową ciała, że nie zamierzam dołączyć do niej przy kolacji.

Odpowiedziała mi wzrokiem pozbawionym wyrazu. Czyżby nie zrozumiała mojego słabego żartu? A może przypomni sobie nasz wspólny

żargon i obrzuci mnie urażonym spojrzeniem? Bardzo długo zwlekała z odpowiedzią i zaczynało mnie kusić, żeby wytłumaczyć się przepraszająco i powiedzieć wprost, o co mi chodziło, choć po wyjaśnieniu wyda się to jeszcze płytsze.

– Miałem na myśli Inky’ego – rzekłem.

– Wiem, co miałeś na myśli. – Cisza. – W domu.

Tym razem to ja z kolei udawałem, że nie wiem, co ma na myśli.

– Inky wrócił do domu.

Czyżby się ze mną drażniła? A może chciała mnie uciszyć? Nie twój interes... Odczep się... Posunąłeś się za daleko? A może nadal próbowała po prostu znaleźć drogę na skróty do jedzenia i całą uwagę poświęcała temu, w jaki sposób dotrzeć do niego przed innymi? Wyczuwałem jednak, że nie myślała wyłącznie o szwedzkim stole. Może powinienem spytać, czy wszystko w porządku?

– Musimy przejść górą przez szklarnię i z powrotem schodami do tylnych drzwi kuchennych.

Przyglądałem jej się, kiedy to mówiła. Na spiralnych schodach miałem ochotę wziąć ją za rękę jak przedtem i położyć dłoń na jej szyi, pod jej włosami, i wyznać wszystko, co próbowało się ze mnie wyrwać.

– Co takiego?

Pokręciłem głową, jakby mówiąc „nic”, jakby mówiąc „wszystko”.

– Przestań! – powiedziała.

I już – to słowo, którego przez cały wieczór się obawiałem. Pochwyciłem jego zapowiedź, kiedy zacząłem mówić o Włoszech. Teraz w końcu wyszło na wierzch, niszcząc Bellagio, rozpraszając promień światła, miażdżąc iluzję różanych ogrodów i niedzielnych kochanków zagubionych w ośnieżonych krainach. „Przestań”. Z wykrzyknikiem czy bez? Pewnie z. Albo bez. Pewnie mówiła to tak często, że już nie potrzebowała wykrzykników.

Wspinając się po wąskich schodach, wreszcie wyrzuciła z siebie odpowiedź na pytanie, którego nie miałem odwagi zadać.

– Dzisiejszy wieczór był naszym pożegnaniem. Zabroniliśmy sobie żałoby. – Spojrzała poza mnie.

Zza moich pleców wyskoczył tłum nastolatków, którzy przepchnęli się obok nas na górę.

– No więc opowiadałaś mi właśnie o Inkym.

– Skończyłam z nim. Na dobre.

Poczułem wobec niego współczucie. Oto człowiek, któremu dała każdy dowód miłości, o jaki tylko mógłby prosić, a minutę później mówiła o nim tak pogardliwie jak o szczurze. Czy nie starała się odrobinę za bardzo jak na kogoś, kto rzekomo czuł jedynie obojętność? A może istnieją ludzie, dla których miłość w momencie, kiedy z tobą kończą, zmienia się w coś tak nieczułego, że cierpisz już nie tyle z powodu jej utraty albo łatwości, z jaką cię odrzucono (choć przedtem dali ci nawet klucze do swojego domu), ile z widowiska, jakie z ciebie robią, wyrzucając cię za burtę, żebyś zatonął, i jednocześnie zabraniając robienia scen i psucia innym humorów. Czy to właśnie go spotkało? Wzgardzony, pocałowany, odesłany z kwitkiem? A może Clara była jak niezwykle dziki kot, który liże cię po twarzy, żeby cię unieruchomić, i jednocześnie wyżera twoje wnętrze?

Widziałem jego głowę, przechyloną lekko na bok, kiedy ona szykowała się do kolejnego, jeszcze bardziej intensywnego pocałunku. Całe jego ciało napięło się jak struna. A kilka minut później Clara była już przy mnie i proponowała, żebym wymknął się z nią na górę.

– Pewnie jest w drodze do domku rodziców, gdzieś na szczytach Darien. Mówiłam mu, żeby w śnieżycę nie siadał za kierownicą. Powiedział, że ma to gdzieś. I szczerze mówiąc...

Wspięliśmy się o kolejne kilka stopni.

– Mam go serdecznie dość. To najnormalniejszy mężczyzna na ziemi, a ja jestem najgorszą rzeczą, która mogła mu się przytrafić. Przysięgam, bywają dni, kiedy mam ochotę wziąć z łazienki pumeks i wyszorować sobie całą twarz, bo to ta sama twarz, na którą on patrzy codziennie bez najmniejszego pojęcia, co się pod nią kryje, bez najmniejszego, najmniejszego pojęcia. Przez niego przestałam być tym, kim jestem; gorzej, przestałam wiedzieć,



kim jestem.

Moje spojrzenie musiało chyba być pełne zdziwienia i niedowierzania.

– Wredna i podła?

Pokręciłem głową.

– Obwiniam go nawet o to, że nie zdołał mnie w sobie rozkochać, jakby to była jego wina, nie moja. Bo przecież tak bardzo starałam się go pokochać. A przez cały ten czas pragnęłam jedynie miłości jako takiej; nie kogoś innego, nie innej osoby, nawet nie miłości innej osoby. Może nie mam pojęcia, do czego nadają się inni. Może zależy mi tylko na romansie. Serwowanym na zimno. Może to mi w zupełności wystarcza.

Urwała.

– Oto co trafia w otchłań pandelęku. – Uśmiechnęła się niespokojnie. Amatorka przyjęć.

Stałam za nią na schodach. Przerazało mnie, jacy jesteśmy do siebie podobni. Już sama iluzja, że tyle nas łączy, wystarczyła, zarówno żeby mnie przestraszyć, jak i napełnić nadzieją.

– Mów dalej.

– Nie ma o czym. Był w moim życiu czas, kiedy cała jasność zgasła, i myślałam, że on będzie dla mnie światłem. Ale potem zdałam sobie sprawę, że nie był światłem, tylko ręką, która wyłączyła ciemność. Aż wreszcie pewnego dnia zobaczyłam, że nie ma już żadnego światła – ani w nim, ani we mnie. I zaczęłam go obwiniać. A potem siebie. Teraz zwyczajnie polubiłam mrok.

– Więc to dlatego postanowiłaś się zadekować.

– Więc to dlatego postanowiłam się zadekować.

Odwróciła ode mnie wzrok.

– To moje piekło – dodała. – Inky nie pragnie mnie. Pragnie kogoś takiego jak ja. Ale nie mnie. W ogóle nie jestem tym, czego mu trzeba, mnie samej zresztą też, jeśli już musisz wiedzieć. Mężczyźni nigdy tak naprawdę nie pragną mnie samej, tylko kogoś takiego jak ja. – Króciutka przerwa. –

A ja o tym wiem.

Zabrzmiało to zupełnie jak: „To tak dla ostrzeżenia, przyjacielu”.

„To moje piekło”. Co za słowa w ustach amatorki imprez. „Pragną kogoś takiego jak ja, ale nie mnie” – gdzie człowiek uczy się mówić takie kwestie albo dostrzegać takie rzeczy? Czy biorą się one z doświadczenia? Z długich, długich godzin w samotności? Czy doświadczenie i samotność idą w parze? Czy imprezowiczka była samotnicą udającą imprezowiczkę, która tak naprawdę była samotnicą – *rectus* i *inversus* po wsze czasy, jak w jakiejś piekielnej fudze?

„Jestem Clara”. To bez różnicy.

Otworzyła drzwi. Z balkonu rozciągał się ten sam widok na Hudson co z tarasu dwa piętra niżej, tylko jeszcze rozleglejszy. Pokazała mi wąskie przejście wzdłuż palmiarni. Panorama doprawdy zapierała dech w piersiach, była niezemska.

– Nikt o tym nie wie, ale on oddałby za mnie życie, gdybym go poprosiła.

Niewiarygodne.

– A prosiłaś?

– Nie, ale codziennie sam proponuje.

– A ty oddałabyś życie za niego?

– Czy oddałabym za niego życie? – Powtórzyła moje słowa zapewne po to, żeby dać sobie czas na zastanowienie i wymyślenie wiarygodnej odpowiedzi. – Nawet nie wiem, co właściwie znaczy to pytanie... więc pewnie nie. Kiedyś uwielbiałam smak pasty do zębów i piwa na jego ustach. Teraz robi mi się od tego niedobrze. I uwielbiałam przetarte łokcie w jego kaszmirowym swetrze. A teraz bym go nie dotknęła. Siebie też za bardzo nie lubię.

Słuchałem, czekając na ciąg dalszy, ale ona zamilkła.

– Popatrz na Hudson – powiedziałem, kiedy stanęliśmy milcząco, wpatrując się w lodowe kry.

Mówiła z nietypową powagą. Obiecałem sobie, że właśnie tak ją

zapamiętam. W palmiarni nie było żadnych świateł i przez jedną zaczarowaną chwilę, kiedy stałem w miejscu, które zdawało mi się szczytem świata, pragnąłem poprosić ją, żeby stanęła przy mnie i razem ze mną patrzyła, jak nasz srebrnoszary glob posuwa się mozolnie przez kosmos. Kusilo mnie nawet, żeby powiedzieć: „Zostań tu ze mną na chwilę”. Chciałem, żeby pomogła mi odszukać tamten promień światła, a znalazłszy go powiedziała, czy jej zdaniem jest to ramię sięgające z głębin czasu w przyszłość, aby zniknąć w oświetlonych księżycem chmurach, czy może jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy niebiosa dotykają ziemi i schodzą na dół, przybierając ludzką postać i mówiąc naszym językiem, aby ofiarować nam małą porcję radości, która odsunie od nas mrok. Ją też chyba zafascynowała ta panorama, bo również przystanęła i wyjrzała na południową część Manhattanu, lecz nagle pospiesznie chwyciła mnie za rękę i odciągnęła, rzucając z rozmyślną obojętnością zdanie, które sprawiło, że miałem ochotę chwycić ją obiema rękami, wsunąć dłonie pod jej bluzkę i pocałować w usta:

– Tak, tak, już to znamy: „Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały”.

W kuchni jakiś człowiek w aksamitnej marynarce koloru ciemnego wina rozmawiał przez telefon z zaniepokojoną miną. Na widok Clary wygiął usta w milczącym powitaniu i po kilku sekundach rozłączył się bez pożegnania, przeklinając swojego prawnika tak, żebyśmy to słyszeli. Schował komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i zwrócił się do szefa kuchni:

– *Georges, trois verres de vin, s'il vous plaît*<sup>3</sup>. Niezła impreza – rzucił w moją stronę, podchodząc do stołu. – Nie, posiedźcie tu ze mną, muszę złapać oddech. Takie przyjęcia są jak żywcem wyjęte z innej epoki. – Powiedział, że lubi imprezy. Ale ta była zbyt krzykliwa, no i wszyscy ci Niemcy i Francuzi, można by pomyśleć, że to istna Wieża Babel. – Dzięki Bogu, że mamy jeszcze siebie. I muzykę.

Domyślałem się, że to właśnie muzyka stanowiła spoiwo łączące tę grupę przyjaciół.

Usiedliśmy we troje, podczas gdy kilkoro kucharzy i niezliczeni kelnerzy gorączkowo krzątali się za naszymi plecami. W kącie dwóch jasnowłosych, mocno zbudowanych emerytowanych policjantów, którzy teraz pracowali jako prywatni kierowcy i/lub ochroniarze, jadło przygotowane w pośpiechu

lazanie w wersji *haute cuisine*.

Hans spojrzał na nas i dyskretnie wycelował palcem wskazującym najpierw w Clarę, potem we mnie, potem znowu w nią, jakby pytając: „Jesteście razem?”.

Clara uśmiechnęła się czystym, opanowanym uśmiechem świeżo upieczonej prawniczki, która właśnie ma zacząć spotkanie z zarządem firmy, kiedy nagle sekretarka informuje ją o telefonie od matki. Ten uśmiech – kilka sekund potrwało, zanim to zrozumiałem – był odpowiednikiem rumieńca. Clara przygryzła wargę, jakby mówiąc: „Jeszcze się za to odegram, niech tylko pojawi się szansa”. I już po chwili ją dostała.

– Wszystko w porządku, Hans?

– Tak – mruknął, ale po namyśle zmienił zdanie. – Nie, właściwie nie.

– Kwękaczka?

– Nie, nie ona. Po prostu interesy, interesy. Czasem wydaje mi się, że powinienem być pozostać zwykłym księgowym w przemyśle muzycznym; zwykłym głupim księgowym. Kilka osób chce mnie doprowadzić do ruiny. I w tej chwili niewykluczone, że im się uda.

Nagle, jakby otrząsając się z ciężkiej warstwy żalu nad sobą...

– Jestem Hans – powiedział, wyciągając do mnie rękę. Mówił powoli, jakby po każdym słowie stawiał kropkę.

Do Clary chyba nagle dotarło, że Hans i ja się nie znamy. Tym razem przedstawiła nas sobie porządnie, mówiąc przy tym, że czuje się jak kompletna idiotka; przez cały czas myślała, że jestem znajomym Hansa, a ja tymczasem jestem znajomym Gretchen.

– Właściwie w ogóle jej nie znam – wtrąciłem, próbując pokazać, że nigdy nie było moim zamiarem nikogo zwodzić, więc równie dobrze mogę się do wszystkiego przyznać.

– Ale w takim razie kto...? – Clara nie była pewna, jak sformułować to pytanie, więc zwróciła się o pomoc do Hansa.

Już widziałem, jak nabici eksgliniarze wstają znad lazanii, rzucają się na mnie, wykręcają mi ramiona, przygniatają do ziemi, przykuwają kajdankami

do kuchennego stołu i pilnują do czasu przyjazdu kumpli z Dwudziestego Czwartego Posterunku o polikach jak buldogi.

– Jestem tu, bo Fred Pasternak przesłał mi kurierem zaproszenie i kazał mi przyjść. Ale sam się chyba nie zjawił. Właściwie dowiedziałem się o tym przyjęciu dopiero dzisiaj po południu. – Tak usilnie starałem się oczyścić z winy i rozwiać wszelkie wątpliwości, że zacząłem wdawać się w niepotrzebne szczegóły, komplikując sprawę niczym oszust, kiedy w zupełności wystarczyłoby proste kłamstewko. Zamierzałem również dodać, że w ogóle nie chciałem dzisiaj iść na żadne przyjęcie – i nawet nie byłem głodny, a ten tłum płaskostopych, szpanerskich, rozbijających się odrzutowcami europozerów w spodniach z lampasami, kłębiący się wokół gospodarzy, którzy absurdalnym zbiegiem okoliczności nazywają się jak niemieckie odpowiedniki Jasia i Małgosi, też nie robi na mnie wrażenia – proszę, co wy na to?!

– Jesteś znajomym Puchatka Pasternaka? – A więc znali nawet jego dawne przezwisko. – Przyjaciele Puchatka zawsze są tu mile widziani. – Uścisk ręki, objęcie ramieniem, cała ta kumpelska szarada rodem z męskiej szatni sportowej.

– Przyjaźnił się z moim ojcem – wyjaśniłem. – I teraz tak jakby ma na mnie oko.

– Szwajcarskie koneksje – zażartował Hans, nadając całej sytuacji wydźwięk powojennej powieści szpiegowskiej, w której grupka porzuconych chłopców z angielskiego gimnazjum zawiera uroczysty pakt.

Wreszcie podszedł do nas kelner z butelką białego wina i zaczął wyciągać z niej korek. Już miał nalać kieliszek Clarze, kiedy nagle zwrócił się w moją stronę i zapytał cicho:

– A dla pana piwo?

Natychmiast go rozpoznałem. Nie, tym razem napiję się wina.

Kiedy odszedł, powiedziałem Hansowi, że jego kelner jest przekonany, że ocalił mi życie.

– Jak to możliwe? – zapytał Hans. Chyba myślał, że zamierzam się rzucić z tarasu.

Bujda. Choć to dobra historia – pomyślałem, nawet jeśli nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego w ogóle ją wymyśliłem. Wszyscy się roześmiali.

– Nie mówisz poważnie, prawda? – zapytała Clara.

Zachichotałem. Najwyraźniej Inky nie był jedynym, który groził, że odda za nią życie.

– Za Puchatka – powiedział Hans. – Za Puchatka i wszystkich cwanych wydrwigroszy, których ziemia nosi. Oby ich plemię rosło w siłę. – Stuknęliśmy się kieliszkami. – Jeszcze raz i jeszcze jeden raz – dodał Hans.

– I wiele razy więcej – dokończyła Clara. Widać było, że w ich świecie jest to znana formuła toastu.

Za Puchatka: gdyby nie jego kaprys – pomyślałem – mógłby w ogóle nie przekazać mi tego zaproszenia i teraz nie przeżywałbym wieczoru, który tak mnie oczarował.

„Jestem Clara” – ja cię odnowię. „Jestem Clara” – pokażę ci świat. „Jestem Clara” – zabiorę cię w różne miejsca.

Patrzyłem, jak jeden z kucharzy za plecami Hansa otwiera coś, co wyglądało na wielkie puszki kawioru. Wygarniając z nich łyżeczkę za łyżeczką, wydawał się zirytowany: na puszki, na otwieracz, na kawior, na kuchnię. Jego zachowanie kojarzyło mi się z Clara. Ona też wyciągnie cię z ciebie samego, da ci nowy wygląd, nowe serce, wszystko nowe. Ale żeby tego dokonać, będzie musiała wgryźć się w ciebie jednym z tych otwieraczy pochodzących jeszcze z czasów przed wynalezieniem modelu obrotowego – najpierw mocne nakłucie, a potem skomplikowane i wymagające wytrwałości dzieło popuszczania krwi, proces podważania i manewrowania spiczastym stalowym ostrzem w kształcie płetwy rekina, w górę, w dół, w górę, w dół, dopóki nie rozprawi się z tobą do końca i nie wyjmie cię z ciebie.

Czy to będzie bolało?

Ani trochę. Wszyscy uwielbiają tę część. Bolesne jest dopiero to, kiedy znajdujesz się już na zewnątrz i nagle ręka, która uwolniła cię z ciebie samego, rozplywa się w powietrzu. I wtedy właśnie ten otwieracz, który ściągnął wieczko puszki jak starą stopioną skórę, wbija się w twoje serce

niczym sztylet w ciało ofiary zabójstwa.

Wiedziałem, że nie wystarczy jedno przyjęcie, żeby zmienić kurs całego życia. A mimo to, nawet nie mając pewności i może nie chcąc jej mieć w obawie, że ktoś udowodni mi pomyłkę, i nie rejestrując skrzętnie wydarzeń do późniejszej konsumpcji, wiedziałem, że wszystko to dokładnie zapamiętam: i jazdę autobusem, i buty, i pospieszny bieg z palmiarni do kuchni, gdzie Hans pokazał palcem najpierw ją, potem mnie, potem znowu ją, i moją zmyśloną historię o próbie samobójczej, i groźbę spędzenia wieczoru w areszcie, i nawet szybką wizytę Clary na posterunku, żeby wyciągnąć mnie w samą Wigilię, i wyjście z komisariatu na mróz, kiedy to ona spyta: „Pewnie ręce cię bolą od kajdanek, prawda? Daj, rozmasuję ci nadgarstki, pocałuję twoje nadgarstki, twoje nadgarstki, twoje biedne, słodkie, nieszczęsne, dane od Boga, obolałe nadgarstki”.

Zabiorę to wszystko ze sobą, nie wyłączając tej chwili, kiedy Hans – który miał ochotę urwać się z własnego przyjęcia – poprosił Georges’a, czy byłby *bien gentil*<sup>4</sup> i nałożył trochę jedzenia na trzy talerze, a potem przyniósł je nam na górę *dans la serre*<sup>5</sup>. Odgadłem, że idziemy się schować w palmiarni i znajdę się jeszcze bliżej Clary i snopa światła, i gwiazd.

– A mimo to – powiedział Hans, wstając i przepuszczając nas w drzwiach kuchni – wyglądacie tak, że dałbym głowę, iż znacie się już od dawna.

– Raczej nie – powiedziała Clara.

Chwilę potrwało, zanim zdałem sobie sprawę, że ani ona, ani ja nie mogliśmy uwierzyć, że poznaliśmy się zaledwie kilka godzin wcześniej.

Hans włączył światła w palmiarni. W zamkniętej półwerandzie-półszklarni czekał na nas okrągły stolik z trzema talerzami, na których zaaranżowano wykwintne arabskie jedzenia. Obok stało wiaderko z lodem, a w nim butelka z szycją owiniętą białą ściereczką. Poczulem niemałe podniecenie na myśl, że musi to być jedna z przyniesionych przeze mnie butelek i ktoś ewidentnie aż do teraz wstrzymywał się z jej podaniem. Wszystko działo się tutaj jak za sprawą magii. Kiedy rozwinąłem serwetkę, znalazłem w środku srebrny widelec, srebrny nóż oraz łyżkę ozdobioną inicjałami w przestarzałym kwiecistym stylu. Czyje to? – szepnąłem do Clary. Jego dziadków. Uciekli przed nazistami.

– Żydowscy zbiedzy, jak moi – powiedziała.

I moi też – chciałem dodać, zwłaszcza że czynność rozwijania serwetki przeniosła mnie myślami do przyjęć wydawanych o tej porze roku przez moich rodziców, kiedy to zawsze piliśmy za dużo wina, aż matka mówiła, że pora na posiłek. Bezimienne duszyczki, których kwieciste inicjały zdobiły nasze sztuce, nigdy nawet nie zdołały przepłynąć przez Atlantyk i w życiu nie słyszały o Sto Szóstej Ulicy ani o Straus Parku, ani o pokoleniach ich następców, którzy pewnego dnia odziedziczą po nich łyżki.

Obok stały trzy inne stoliki, też już zastawione, choć nic jeszcze na nich nie podano. Wspaniałe miejsce na śniadanie. Po mojej lewej stronie znajdowało się herbarium: zioła, lawenda, rozmaryn, wszystkie odcienie Prowansji.

Wbiłem spojrzenie w biały obrus, który lśnił jak od krochmalu i wyglądał, jakby prały go, strzepywały, prasowały i składały jakieś pełne oddania ręce.

– No to jak się poznaliście?

– W salonie.

– Wcale nie – powiedziała Clara, znowu opierając się łokciem o moje ramię. – W windzie.

– W windzie?

Nagle sobie przypomniałem. No tak, rzeczywiście zwróciłem w windzie uwagę na kogoś. Pamiętałem portiera, który mnie podprowadził i wsunął ramię w uniformie do środka, żeby wcisnąć za mnie guzik, przez co poczułem się zarazem ważnie i ciamajdowato. Przy mnie stała kobieta w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym i tupiała mocno, żeby strząsnąć z botków śnieg. Przyłapałem się na myśli, że również wybiera się na to przyjęcie, ale ona wysiadła wiele pięter niżej. Byłem całkowicie przekonany, że już nigdy jej nie zobaczę, i teraz nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem kobieta siedząca naprzeciwko mnie w palmiarni może być tą samą, której oczy – teraz to sobie przypomniałem – wpatrywały się we mnie w windzie z ostrym wyrazem balansującym między „Nawet o tym nie myśl!” a „Czyli nie zamienimy ze sobą ani słowa?”. Czy Clara przedstawiła mi się na



przyjęciu, bo czuła, że już wcześniej przełamaliśmy pierwsze lody? A może przytrafiło mi się coś dobrego właśnie dlatego, że w windzie nie robiłem sobie żadnych nadziei? Albo też nasz los jest zapisany w gwiazdach i kieruje nami, o ile tylko nie mamy w niego wglądu czy też (jak w przypadku wyroczni) – o ile przemawia językiem, którego nie rozumiemy?

– Naprawdę rozmawialiśmy ze sobą w windzie? – zapytałem.

– Owszem.

– I co mówiliśmy?

– Wspomniałeś coś o tym, jakie to dziwne znaleźć na Manhattanie budynek z trzynastym piętrem.

I co na to odpowiedziała?

Czy tak głupi podryw w ogóle zasługiwał na odpowiedź?

– A co, gdybym tego nie powiedział?

– To pytanie z gatunku tych, na które odpowiada się: „Wybieram bramkę numer trzy”. A mówiłam ci już, że dzisiaj nie bawię się w takie rzeczy.

W takim razie czy była wcześniej na innym przyjęciu w tym samym budynku?

Nie, ona tu mieszkała.

„Ja tu mieszkam”. Z początku zabrzmiało to jak: „Ja tu mieszkam, kretynie”. Ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę powiedziała to, jakby przyznawała się do czegoś bardzo intymnego – jakby moje pytanie zapędziło ją w kozi róg, a tym rogiem były cztery ściany, w których przeżywała swoje życie; z Inkym, ze swoimi ubraniami, papierosami, pumeksem, muzyką i butami. Ona mieszka w tym budynku – pomyślałem. Clara mieszka właśnie tutaj. Nawet jej ściany, przed którymi nie ma tajemnic i które słyszą wszystko, kiedy Clara przebywa wśród nich sam na sam i mówi do nich, bo nie są nawet w połowie tak głupie, jak się ludziom wydaje, wiedzą, kim ona jest, podczas gdy ja i Inky, i wszyscy, którzy przysporzyli jej „udręki i tortury”, nie mają o tym pojęcia.

„Ja tu mieszkam”. Jakby wreszcie zwierzyła mi się z czegoś, czego nigdy bym się nie dowiedział, gdyby nie została zmuszona, żeby to wyjawić – stąd

też lekko poirytowany i podrażniony ton, którym to powiedziała, a który znaczył: „Przecież to żadna tajemnica, więc czemu nie spytałeś mnie wcześniej?”.

Nagle przyszło mi do głowy coś zupełnie nowego. Czy to możliwe, że zamiast wybrać się do Darien, Inky wrócił do domu, czyli do jej mieszkania? Czy czekał nadąsany na dole? Gdzieś ty się podziewała? Byłam na górze. A ja czekałem, czekałem i czekałem. No to trzeba było nie uciekać z przyjęcia. Przecież wiedziałaś, że będę czekać. A co z wyjazdem do Connecticut? Śnieg za mocno pada. Więc zostajesz na noc? No.

– Chwileczkę – powiedział Hans. – Chcesz powiedzieć, że piliście razem i rozmawialiście, a ty nawet się nie zorientowałeś, że spotkaliście się już w windzie?

Przytaknąłem bezradnym, nieadekwatnym ruchem głowy.

– Niewiarygodne.

Czułem krew napływającą mi do twarzy i aż po koniuszki uszu.

– On... on się rumieni – dobiegł mnie szept Clary.

– Rumieniec nie zawsze oznacza, że ktoś coś ukrywa – powiedziałem.

– „Rumieniec nie zawsze oznacza, że ktoś coś ukrywa” – powtórzył Hans na właściwy sobie pełen namysłu sposób, nadając moim słowom humorystyczny wydźwięk. – Na miejscu Clary potraktowałbym to wszystko jako komplement.

– Patrz na niego, znowu się rumieni – stwierdziła.

Wiedziałem, że wypieranie się natychmiast wprawi w ruch całą lawinę rumieńców.

– Rumieni, czerwieni, wstydzi. Wy, mężczyźni...

Już miałem coś odpowiedzieć, kiedy znowu mi się to przytrafiło. Pochłonięty naszym przekomarzaniem, pomyliłem krakersa z kawałkiem sushi na ryżu i umoczyłem go w jakimś sosie, a potem połknąłem na raz, za późno odkrywając, że trafił mi się kolejny kawałek pikantnego piekła. Tym razem nie dostałem nawet żadnego ostrzeżenia ze strony Clary. Gdy tylko się wgryzłem, natychmiast poczułem, że nie jest to żaden wafelek ani surowa

ryba, ani marynowana kapusta, ale coś innego, coś nabzdyczonego i porywczego, co dopiero rozpoczęło proces, który mógł potrwać bardzo długo, nawet w nieskończoność. Znienawidziłem siebie, bo już po tym pierwszym gryzie wiedziałem, że powinienem od razu wszystko wypluć, nawet jeśli w palniarni mogłem to zrobić wyłącznie w swoją serwetkę. A ja tymczasem, sam nie wiedząc dlaczego, postanowiłem połknąć do końca.

To było gorsze od ognia. Paliło wszystko na swojej drodze. Nagle ujrzałem swoje życie i punkt, do którego zmierzało. Czułem się jak człowiek, który budzi się w środku nocy i niespodziewanie odkrywa, że pod osłoną ciemności większość zabezpieczeń chroniących go w świetle dnia opuściła go niczym biedni, nieopłacani, powłóczący nogami tragarze. Potwory, plujące ogniem smoki, które za dnia można poskromić, chodzą teraz swobodnie – i nagle, pocąc się pod osłoną kołdry, człowiek ów widzi (niczym ktoś, kto w środku nocy otwiera hotelowe okno i wygląda na wyludnioną nieznaną wioskę), że jego życie było dotąd ponure i pozbawione radości, że zawsze chybiał celu i zadowalał się byle czym, błąkał się niczym statek widmo od portu do portu i nigdy nie zaglądał do tej jednej jedynej przystani, gdzie wiedział, że czeka na niego dom, i pośród tej nieszczęsnej nocy nagle dociera do niego coś jeszcze: że mianowicie samo wyobrażenie domu to jedynie wypełniacz, wszystko to tylko wypełniacze, nawet myślenie jest wypełniaczem, podobnie jak prawda i radość, i uprawianie miłości, i słowa, w których usiłuje znaleźć oparcie za każdym razem, kiedy czuje grunt usuwający się spod nóg – wszystko co do jednego to zwykłe wypełniacze. Cóż uczyniłem? – pyta. – Jakże zgubne moje radości, jakże płytkie moje przebiegłe manewry, które podstępem odbierają mi własne życie i każą mi przeżywać jakieś zupełnie inne! Co ja uczyniłem, śpiewając w nieodpowiedniej tonacji, stosując nieodpowiedni czas gramatyczny i mówiąc w języku, który trafia do wszystkich znanych mi osób, ale mnie samego pozostawia całkowicie niewzruszonym?

Kim jest ten człowiek, kiedy otwiera okno i wygląda na Bellagio, całkiem sam w środku nocy, i nikt na niego nie patrzy – ani jego cieniste ja, ani chór latarni o czubkach spowitych w płomienie, ani ten ktoś, kto śpi teraz w jego łóżku i nie ma pojęcia, że tym, na co ów człowiek gapi się właśnie z goryczą w sercu, jest jego własne życie na drugim brzegu – życie, którego już prawie mógłby dosięgnąć, które spędzamy na gapieniu się na nie samo, aż

dochodzimy do wniosku, że istnieje właśnie po to, żeby na nie patrzono, a nie – żeby je przeżywano; życie, które nigdy się nie przydarza, bo oglądamy je tylko z brzegu zmarłych i nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Kim jest ten człowiek, kiedy nawet język, w którym krzyczy, jest jedynym znanym mu językiem, a życie, które chciałby oszukać, jest jedynym istniejącym życiem?

Pragnąłem myśleć o Muffy i jej *gemelline*, zwabić do swojego serca śmiech. Ale żaden śmiech się nie zrodził. Znowu poczułem spływające po policzkach łzy, ale przeżywałem zbyt wielką agonię, żeby się zastanawiać, czy są to łzy bólu, żalu, wdzięczności, miłości, wstydu, paniki, odrazy – czułem bowiem wszystko naraz: strach przed płaczem, hańbę płaczu, hańbę własnej hańby, strach przed własnym ciałem, zdradzającym mnie każdym rumieńcem, wahaniem i odezwanianiem się nie w porę czy też niezdolnością do powiedzenia czegoś zamiast niczego – i zawsze poszukującym czegoś zamiast niczego, czegoś zamiast niczego.

Tak więc wszystko sprowadzało się do tego – tej chwili, tych łez, tej kolacji w palmiarni, tego przyjęcia, tej kobiety, tego ognia w moich trzewiach, tego ogrodu na dachu i tej szklanej kopuły nie z tego świata, z wizjonerskim zimowym przestworem rzeki Hudson i niezmordowanym niebiańskim snopem światła, który pojawiał się na nowo za każdym razem, kiedy już myślałem, że ktoś go wreszcie wyłączył, i teraz przemierzał sklepienie niczym leniwa zapowiedź czekających na mnie pustkowi i marnotrawczych śmietnisk, które leżały tuż za mną – wszystko składało się na jeden wniosek: że o ile niektórym człowieczeństwo przychodzi naturalnie, o tyle dla innych jest czymś obcym jak nabyte przyzwyczajenie albo zapomniany język, którym mówią z obcym akcentem, albo też proteza; między nimi a życiem ciągnie się okop, nad którym nie przerzuci się żadnej kładki, nie przeleci nad nim żaden *corvus* – stawką bowiem jest sama miłość, stawką są innoludzie, a niektórzy z nas (i w tej palmiarni poczułem nagle, że sam należę do tej grupy) są tylko wpuszczonymi między Ziemiaków humanoidami z kartą stałego pobytu. My o tym wiemy, pozostali nie wiedzą. I w pewnym sensie rozpaczliwie pragniemy, żeby wreszcie się tego dowiedzieli, a jednocześnie – żeby o tym nie wiedzieli. Tym zaś, co ostatecznie nas dobija, jest odkrycie, że wiedzieli od samego początku, bo sami czują się dokładnie tak samo jak my, więc jeśli wcześniej wiedza o tym

dawała nam pewne pocieszenie, to teraz stała się pocieszeniem iście diabelskim, gdyż w takim razie – posługując się słowami mojego ojca – nie ma nadziei i jest o wiele gorzej, niż się obawialiśmy.

Siedząc tak z zamkniętymi oczami, potrafiłem myśleć wyłącznie o strachu – strachu obnażonym, strachu przed śmiałością i przyłapaniem na śmiałości, strachu wypływającym z pragnienia i nadziei tak silnej (ale nigdy nie dostatecznie silnej), żeby porwać się na coś wartego ujawnienia, że tego pragniemy – strachu przed pozwoleniem, żeby Clara się o wszystkim dowiedziała, strachu przed nieuzyskaniem wybaczenia – strachu przed wypluciem tego kawałka Mankiewicza, jakby był on kłamstwem, które dławilo mnie przez cały wieczór, tylko że nie wiedziałem, czym je zastąpić; strachu, że może przyjdzie mi przeżuwać to kłamstwo jeszcze przez jakiś czas, jak to robiłem od urodzenia, aż wreszcie straci swój smak i stanie się równie zwyczajne jak woda.

– To naprawdę straszne – dobiegł mnie głos Clary.

Spojrzałem na nią błagalnie, jakby mówiąc: „Daj mi jeszcze kilka minut, nie zaczynaj jeszcze sparingu, poczekaj na mnie, tylko złapię oddech”.

Usłyszałem szum zbliżających się głosów.

Hans zadzwonił po wodę.

Kilka sekund potrwało, zanim zdałem sobie sprawę, że chyba zemdlałem albo coś w tym stylu, bo kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że do Hansa i Clary przyłączyli się inni i zajmowali już miejsca przy sąsiednich stolikach.

– Lepiej nic nie mów – powiedziała Clara tonem, jakim mówi się komuś leżącemu na chodniku, żeby się nie ruszał, dopóki nie przyjedzie karetka.

Kelner przyniósł szklankę pełną kostek lodu i podał ją Clarze. Wyraz jej twarzy zdradzał lekkie zniecierpliwienie, a zarazem opanowanie, jak u doświadczonego kata, który już dawno temu przyzwyczaił się do niepożądanych skutków przesłuchań, ale zawsze udaje mu się znaleźć gdzieś flakonik soli cucących, żeby więzień znowu zmuszony był się obudzić i odczuwać ból.

Wziąłem szklankę w obie ręce. Zacząłem pić z niej płytkimi łykami, dysząc i niemal szlochając.

Znowu spojrzałem na Clare. „Jeszcze tylko jeden łyżeczek” – zdawała się mówić. A potem kolejny i jeszcze jeden: przemawiała do dziecka, nie do kompana, z którym wcześniej piła. Miała wyraz twarzy zmęczonej córki czuwającej przy łóżku chorego rodzica, który od tygodni odmawia jedzenia. Chwilę później ta żałobna, stroskana mina zastygła w coś rozdrażnionego, jakby Clare przestało na mnie zależeć, ale nadal musiała udawać, że się mną zajmuje, dopóki ktoś jej nie zastąpi.

Skąd ta zmiana? Ta nagła wrogość, a wręcz pozorowana obojętność? I te żarty na boku z Beryl i Rollem, podczas gdy ja tu umierałem? Przestań udawać, że cię to nie obchodzi.

– Napij się jeszcze wody. Proszę, no pij. – A kiedy piłem: – Co z tobą nie tak? – spytała. Były to być może najśodsze słowa, jakie do mnie skierowała. „Co z twoimi ustami? Daj, rozmasuję ci usta, ucałuję twoje usta, twoje usta, twoje biedne, słodkie, nieszczęsne, dane od Boga, palące usta”. Od razu bym się zlitował.

Wreszcie zaczęło mi się rozjaśniać przed oczami. W ustach nadal mnie piekło i czułem, że mam nieco nabrzmiące wargi, ale przynajmniej mogłem mówić. Czułem się jak człowiek, któremu śnił się koszmar, kiedy w końcu nadchodzi świt. Wkrótce zrobi się jasno i wszystkie chimery ukryją się i rozplyną w porannej rosie jak mleko w dużej filiżance gorącej angielskiej herbaty. Co prawda nie był to jeszcze koniec moich cierpień – zresztą choć próbowałem zostawić to wszystko jak najdalej za sobą, jakaś część mnie miała wręcz nadzieję, że to jeszcze nie koniec, i chciała przywrócić milczącą powódź zmieszania, paniki i żalu, przez które prosiłem Clare, aby przyjrzała się dobrze i dostrzegła wreszcie to, co każdy półgłówek natychmiast powinien zauważyć.

To było tak, jakbym wreszcie pokazał jej swoje ciało albo zrobił z nim coś, co zdołało ją poruszyć. Mój gest był niezgrabny, ale poczułem taką ulgę jak ranny żołnierz, którego ogarnia nagłe pożądanie wobec pielęgniarki, więc chwyta jej ciepłą dłoń i kładzie ją sobie na podbrzuszu.

– Lepiej?

– Lepiej – odparłem.

I rozglądając się po ludziach, którzy zgromadzili się dookoła nas –

niektórzy z talerzami i zrolowanymi serwetkami, w których kryły się sztuce pochodzące jeszcze z czasów, kiedy rodzice Hansa uciekali ze Starego Świata – zdałem sobie sprawę, że pomimo ich żartów i docinków na temat mojej reakcji na przystawkę Mankiewicza nadal jest to jeden z najpiękniejszych wieczorów, jakie od dawna spędziłem. Hans, Pablo, Pavel, Orla, Beryl, Tito, Rollo – wszyscy byli dla mnie wielkimi niewiadomymi.

Clara przypomniała im, że wkrótce nadejdzie pora, żeby wyruszyć na pasterkę.

– To tylko około godziny – namawiała.

W przyszłym roku – powiedział ktoś.

– I w dodatku brakuje Inky’ego – stwierdził Pablo.

– Jego już nie ma. – Rollo wyraźnie chciał przyjść Clarze na pomoc.

– No właśśśśnie – potwierdziła Clara, mając na myśli: „No dobrze, przestańcie już o to wypytywać”.

– Nie do wiary. – Ta uwaga, jak poinformowała mnie później Clara, dobiegła z ust Pavla.

Ktoś zaczął kręcić głową. „Clara i jej faceci!”.

– Czy wy macie pojęcie, jak mi obrzydli mężczyźni? Oni i te ich małe Gwidonki, stające na baczność jak pistoleciki na wodę...

– Boże, zlituj się – rzekł Pablo. – Znowu ta stara śpiewka: jak mi obrzydli mężczyźni.

– To dotyczy też ciebie, Pablo – zachnęła się Clara. – Ty i te twoje żałosne dyrdymały.

– Mojej różdżki do tego nie mieszaj. Zaglądała w miejsca, których nie odwiedzał jeszcze Gwidonek żadnego mężczyzny. Wierz mi.

– No a on? – spytała nadąsana Beryl, mając na myśli mnie. – On też już ci obrzydł?

– Nie chcę zadawać się z nikim, nie tej zimy, nie w tym roku. Prędzej pocałuję kobietę niż kolejnego mężczyznę. I prędzej prześpię się z kobietą,

niż pozwolę jakiemuś facetowi zbliżyć się do mnie ze swoim ogórasem.

Po czym, żeby udowodnić, że nie żartuje, Clara podeszła do stolika Beryl, usiadła przy niej, przysunęła usta do jej warg, kilka razy musnęła je lekko i wreszcie zaczęła ją mocno całować. Żadna z nich nie próbowała się wycofać i obie przymknęły oczy, a pocałunek – choć rozpoczął się dla kaprysu – nie mógłby być bardziej namiętny i absorbujący.

– No! – rzekła nagle Clara, odsuwając się i nawet nie dając Beryl szansy na dojscie do siebie. – Zrozumiano? – Nie było jasne, do którego z mężczyzn się zwraca.

– Ona naprawdę nieźle całuje – stwierdziła Beryl.

To był szalony pocałunek. Wcześniej zakładałem, że dekowanie się oznaczało: „Nie jestem gotowa, chcę do domu, zabierz mnie stąd, chcę być sama, pozwól mi znaleźć miłość bez innych, pozwól mi wrócić do moich czterech ścian, moich wytrwałych, wiernych, stałych czterech ścian”. Ale ten pocałunek był brutalny. Możemy się pieprzyć, ale nie znajdziemy miłości, nie znajdę jej w sobie, dla ciebie, z nikim. I dlatego właśnie stoisz mi na drodze. Mówiła do mnie, teraz byłem tego niemal pewien. Nawet twoja cierpliwość mnie wykańcza. Wszystko w tobie – twoje milczenie, twój takt, twoja pierdolona powściągliwość i to, że ciągle pozwalasz mi na więcej i więcej myśląc, że tego nie widzę, wszystko to sprawia, że czuję się poganiana, to nie miłości mi potrzeba, więc zostaw mnie w spokoju. Znowu się pocałowały.

Kiedy skończyły, jako pierwszy odezwał się Hans:

– Zaczynam się czuć jak we francuskim filmie. W nich wszystko zawsze wydaje się mieć więcej sensu.

Odparłem, że nie jestem tego taki pewien, starając się nie dać po sobie poznać, że pocałunek Clary i Beryl wytrącił mnie z równowagi. Francuskie filmy nie opowiadają o życiu, tylko o romantyzmie życia. I nie o Francji, tylko o romantyzmie Francji. Francuskie filmy są w zasadzie o francuskich filmach.

– To też zabrzmiało jak coś z francuskiego filmu – rzekła Clara, wracając do naszego stolika, a w jej głosie brzmiała niecierpliwość oznaczająca: „Dość



już tych myślowych gierk”.

– Moje życie jako francuski film: co za świetna myśl – dodała. Amatorka przyjąć zmęczona myślowymi gierkami. – Może powinnam dziś jakiś obejrzeć. – I nagle, po namyśle: – Nie, już się ich naoglądałam. Ta sama historia, to samo zakończenie.

– Francuskie filmy opowiadają o kulturalnych paryżanach – stwierdził Hans – a nie bogatych nowojorskich Żydach cierpiących na niestrawność i łykających antydepresanty.

Na chwilę zapadła cisza, wszyscy osłupieli.

– I tymi słowami... – zakończył Hans, wstając i odwracając się, żeby ucisnąć mi dłoń – *enchanté*. – Zamierzał opuścić palmiarnię. – Wpadnij na sylwestra. Mówię poważnie. Tylko ani słowa Monique.

– Kim jest Monique? – zapytałem Clarę, kiedy odszedł, pozostawiając nas samych przy stoliku.

– Jego dawna-niedawna miłostka – wyjaśniła Clara. Zastanowiłem się nad tą odpowiedzią.

– A ty byłaś kiedyś jego miłostką?

– Mogłam być.

– Ale nie chciałaś?

– To bardziej skomplikowane.

– Z powodu Gretchen?

– Jeśli już, Gretchen mogłaby mnie do tego skłonić, nie zniechęcić. „Z powodu Gretchen”, też mi!

– Tak tylko pytałem.

Wreszcie, po chwili przerwy:

– Dla twojej nimformacji, namfibalencja atakuje także kobiety.

– I doznajesz jej w tej chwili? – zapytałem, zachwycony własną śmiałością, wiedząc, że Clara doskonale zrozumie, co mam na myśli. – Bo ja w ogóle jej teraz nie czuję – dodałem.

– Wiem, że nie. – W tym momencie byliśmy sobie bliżsi niż przez cały wieczór.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– Ciebie nie da się podejść, prawda?

– Nie. Ale przecież właśnie dlatego ci się podobam.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie zadawał się z kobietami, których nie da się podejść.

– Kiedy mam zacząć ci o tym przypominać?

– W tej chwili. Albo nie, jeszcze nie teraz. Teraz jest zbyt miło i za dobrze się bawię.

I wtedy, zanim zdążyłem coś dodać, nastąpił ten gest, który potrafi zmienić życie. Clara bardzo wolnym ruchem uniosła rękę do mojej twarzy i pogładziła mnie wierzchem dłoni po obu policzkach.

– Tak strasznie, strasznie się zadekowałam, że nie masz pojęcia. Obawiam się, że to nie będzie typowy francuski film. Mówiąc językiem czasopism: tyle mi brakuje do tego, żeby przestać być zrównoważonym człowiekiem – rzekła, zbliżając do siebie kciuk i palec wskazujący na minimalną odległość.

– Może nie powinnaś czytać czasopism.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Jak najbardziej – odparłem, czując, jak żołądek zawiązuje mi się w supeł.

– W tej chwili naprawdę nie nadaję się do żadnego związku – powiedziała, przemilczając końcówkę „z tobą”. Spojrzałem na nią.

– Przynajmniej jesteś szczerą. Bo jesteś szczerą, prawda?

– Z rzadka.

– To było szczere.

– Nieszczególnie.

Potem ktoś wtrącił się do naszej rozmowy i Clara nieuchronnie przeniosła uwagę na zgromadzoną w palmiarni grupkę. Nagle przypomniała sobie o pasterce.

Dotarliśmy do katedry Świętego Jana na długo po rozpoczęciu mszy. Nikomu z nas nie przeszkadzało spóźnienie. Po prostu dołączyliśmy do gęstego tłumu blokującego wejście i stanęliśmy sobie, patrząc na ludzi przesuwających się między ławkami i rozglądających za wolnym miejscem pośród siedzących i przystępujących do komunii wiernych. Powietrze było gęste od świec, muzyki, sztandarów i szurania niezliczonych stóp przesuwających się w jedną i w drugą stronę nawy głównej.

– Zostajemy maksymalnie na dziesięć minut – powiedziała Clara, kiedy szedłem z nią aż pod odgradzony ambit, a potem z powrotem tą samą drogą, przeciskając się przez tłum i wreszcie wpadając na część naszej grupy zmierzającą do transeptu.

– Żydowskie immersje – szepnęła, mając na myśli nas wszystkich. Znaleźliśmy małe pusty kącik w jednej z nakrytych kopułą kaplic, gdzie mogliśmy się oprzeć o ścianę i gapić na turystów, słuchając dość newage’owego utworu na organach, który w zamierzeniu miał być uwznioślający.

Może sprawiło to połączenie Clary, kościoła, śniegu, muzyki, naszego romansu z Francją i wotywnych świeczek, które zapaliliśmy w milczeniu, wypowiadając przy tym słowa modlitwy, ale nagle pomyślałem o filmach Erica Rohmera. Zapytałem Clary, czy je oglądała. Nie, nigdy o nim nie słyszała. Potem się poprawiła. Czy to nie ten, co kręci filmy, w których ludzie nic nie robią, tylko gadają? Tak, właśnie ten – odparłem. Powiedziałem, że na Upper West Side będzie retrospektywa jego dzieł. Spytała gdzie. Odpowiedziałem.

– Dla części tych turystów to musi być naprawdę magiczne doświadczenie: przyjeżdżają do Nowego Jorku Bóg wie skąd i przychodzą tu na pasterkę – powiedziała. Sama przychodziła tu, od kiedy pamiętała. Wyobraziłem ją sobie z rodzicami, potem z kolegami ze szkoły, kochankami,

przyjaciółmi, wreszcie ze mną.

– Któregoś dnia otworzą transept i dokończą budowę. – Przypomniałem sobie, jak czytałem gdzieś, że katedrze skończyły się fundusze, więc trzeba było zwolnić kamieniarzy i murarzy, pochować ich narzędzia. Może za sto lat budowa zostanie wznowiona (a może i nie). – Człowiek, który położy tu ostatni kamień, nawet się jeszcze nie urodził. – To były ostatnie słowa mojej imprezowiczki, zanim zgarnęła całe towarzystwo i poprowadziła je do wyjścia. Pomyślałem, że ta uwaga stawia katedrę w zupełnie innym świetle. Wiek temu zainstalowano w niej oświetlenie gazowe, a dopiero za kolejny wiek pojawi się tu ostatni kamieniarz. Poczuję się przez to bardzo, bardzo mały – nasze bagno, nasze przyjęcie, nasze niewypowiedziane szpile i riposty, nasz wieczór na tarasie i przyglądanie się snopowi światła przecinającemu srebrnoszarą noc podczas rozmowy o wieczności – kto będzie o tym pamiętał za sto lat, kto będzie wiedział, kogo to będzie obchodzić? Mnie. Tak, mnie.

W drodze powrotnej, kiedy brnęliśmy w śniegu, ona i ktoś z przyjęcia, kogo jeszcze nie poznałem, wyrwali się do przodu, trzymając się za ręce, i zaczęli rzucać w siebie śnieżkami. Na pasie w kierunku centrum było zupełnie pusto, więc wszyscy zeszliśmy na jezdnię Broadwayu, czując się jak uprzywilejowani piesi, odbierający swoje miasto samochodom. Wreszcie tuż przed tym, jak dotarliśmy do Straus Parku, Clara wróciła do mnie, wzięła mnie pod ramię i zaciągnęła do ogrodu. Powiedziała, że to jej ulubione miejsce na świecie. Dlaczego? – spytałem. Bo mieściło się pośrodku wszystkiego, ale tak naprawdę nigdzie, po prostu gdzie indziej – schowane na uboczu, bezpieczne, nic nie mogło go dotknąć, zaciszny kąt, gdzie można się odwrócić plecami do świata. Albo się zadekować – powiedziałem, próbując zażartować z niej, z nas. Powiedziała, że nawet tutejszy pomnik poświęcony pamięci Idy i Isidora Strausów jest zadekowany. Rzeczywiście, rzeźba zdawała się pogrążona w myślach, jakby błąkała się w innych rejonach, spowita w „wieczny i biało-wietrzny, wirem wijącym się wiany śnieg”<sup>6</sup>, niczym u Gerarda Manleya Hopkinsa. Mam ochotę na kieliszek mocnej, palącej zimnem wódki – powiedziała Clara, kiedy wychodziliśmy z parku. A potem na coś słodkiego, jakiś deser. Ale owszem, tu jest jak w wierszu Hopkinsa – dodała. Dlaczego jestem dziś taki szczęśliwy? – pragnąłem zapytać. Bo zakochujesz się we mnie i jednocześnie obserwujesz siebie

i mnie razem, kiedy to się dzieje. W zwolnionym, zwolnionym tempie. Któż by to odgadł? – pytasz. Ja odgadłam.

Stłoczyliśmy się wszyscy w windzie, oddaliśmy płaszcze do szatni i pobiegliśmy z powrotem na górę, do palmiarni. Nasze stoliki tymczasem posprzątało i przygotowano do podania deserów i kolejnych drinków. Kiedy polano wódkę, postanowiłem odczekać chwilę i po drugiej turze słodkości zacząłem wysyłać sygnały, że muszę się zbierać. Było już dawno po drugiej w nocy. Im bardziej udawałem zawołowaną niechęć do ogłoszenia, że wychodzę, tym bardziej czułem przymus, żeby to zrobić. Może tak naprawdę chciałem tylko, żeby Clara to zauważyła i poprosiła, żebym został.

Wreszcie to zrobiła.

– Naprawdę już idziesz? – Jakby chodziło o coś, czego nie była sobie w stanie wyobrazić, chyba że pierwsza na to wpadnie.

– Jak to, już wychodzisz? – krzyknął Pablo. – Przecież dopiero co przyszedłeś.

– Ja... – słowo to zostało wypowiedziane z naciskiem – należę mu kolejnego drinka. – To był Pavel. – Nie puścimy cię o suchym pysku.

– O, tego na pewno byśmy nie chcieli – dodała Beryl.

– No to idziesz czy zostajesz? – zapytał Pablo.

– Zostaję – uległem, wiedząc, że wcale nie ulegam, bo od początku dokładnie na to miałem ochotę.

– Wreszcie jakaś decyzja – powiedziała Clara.

Jak ja kochałem tych ludzi, tę palmiarnię, tę wysepkę z daleka od wszystkiego i wszystkich, których znałem. To schronienie przed czasem. Mógłbym tu zostać na zawsze.

– Proszę – powiedział Pavel, podając mi duży okrągły kieliszek. Już miałem go wziąć, kiedy Pavel cofnął go nieco, a gdy się nachyliłem, pocałował mnie w policzek.

– Po prostu musiałem – powiedział tak głośno, że wszyscy usłyszeli. – Poza tym on będzie bardzo zazdrosny, a ja uwielbiam Pablita, kiedy robi się zazdrosny.

– Muszę natychmiast zaaplikować mu antidotum – powiedziała Beryl. –  
Pytanie tylko: czy on mi na to pozwoli?

– Może i tak.

– O, zdecydowanie tak – rzekła Clara jakby obojętnie, co zupełnie mnie  
załamało.

– Cóż, lepiej spytam, zanim się pogrążę – parsknęła śmiechem Beryl.

– On woli kogoś innego. Ale właśnie dlatego pozwoli ci się pocałować  
tak jak ona cię całowała, porządnie i frontalnie *mit* ocieranko. – To znowu  
Rollo.

– Więc kogo on chce?

– Jej – powiedział Rollo.

– W takim razie ja też nie chcę jego – odpowiedziała Beryl.

– Ona próbuje się zadekować – wtrąciła Clara, mając na myśli siebie.

– A on jest na mrozie – powiedziałem.

Spojrzelśmy na siebie. Wesołość i wzajemne zrozumienie w naszych  
racjonalnych, pozornie opanowanych słowach.

– Przy okazji – powiedziała – nie mówiłam ci jeszcze, jak brzmi moje  
pełne imię i nazwisko. Nazywam się Clara Brunschvicg, z francuską  
pisownią. A skoro pytałeś, to owszem, jestem na liście mieszkańców.

– A pytałem?

– Przymierzałeś się. A jeśli nie, to powinienes. Academy numer dwa...

Tak dobrze umiała mnie odczytać, podczas gdy ja nawet nie zdołałem  
zadrasnąć jej powłoki. Brunschweig. Brunschwig – zastanawiałem się. – Jak  
to się właściwie pisze? Brunswick, Brunchwik, Bushwick.

– Mam ci to zapisać?

– Wiem, jak się pisze Brunschweig.

Raz jeszcze, choć niechętnie, zacząłem się zbierać do wyjścia. Musiało  
jednak być oczywiste, że tylko czekam, aż znowu poproszą mnie, żebym

został. Jedno słowo Pabla i Beryl, a ponownie siedziałem przy stole, z kolejnym drinkiem w dłoni.

Beryl przeszła powoli obok, po czym przystanąła przede mną.

– Jesteś na mnie zła? – zapytałem.

– Nie, ale mam z tobą pewne porachunki. Może potem się policzymy.

Wreszcie zeszedliśmy razem po spiralnych schodach i odkryliśmy, że impreza toczy się na całego: tłum zgromadził się wokół pianisty o gardłowym głosie, który zapewne tymczasem zrobił sobie długą przerwę i teraz znowu objął w posiadanie dawne miejsce i śpiewał dokładnie tę samą pieśń co kilka godzin wcześniej. Była choinka. Była ta sama misa z ponczem. Było miejsce, gdzie Clara powiedziała, że wydaję się zagubiony. Tam właśnie ona i ktoś, kogo przedstawiła jako tego Mankiewicza, poprosili teraz o ciszę, stanęli na dwóch stołkach i zaczęli śpiewać arię Monteverdiego. Trwało to dwie minuty. Ale zmieniło moje życie, mój sposób patrzenia na wiele, wiele spraw, tak jak wcześniej zmieniły mnie już śnieg i snop światła, i pusty ośnieżony park. Po kilku minutach znowu zastąpił ich śpiewak o gardłowym głosie.

Po trzeciej nad ranem oświadczyłem w końcu, że naprawdę muszę iść. Potrząsanie dłoni, uściski, cmok-cmok. Kiedy poszedłem do garderoby, stwierdziłem, że nie wygląda na to, żeby przyjęcie miało się wkrótce skończyć. Mijając kuchnię, odniosłem wrażenie, że wyczuwam czekoladowy, a jednocześnie lekko smażony zapach czegoś, co mogło być kolejnym szwadronem w nieskończonej wojskowej paradzie deserów, choć w tej woni czaiła się też sugestia bardzo wczesnego śniadania.

Beryl podążyła za mną do szatni. Zgubiłem swój numerek i szatniarz wpuścił nas do dużego, ciasnego pomieszczenia. Czy Beryl też już wychodziła? Nie, chciała się tylko pożegnać i powiedzieć, jak się cieszy, że się poznaliśmy.

– Podobasz mi się – oświadczyła wreszcie. – I pomyślałam sobie: muszę mu to powiedzieć.

– Co powiedzieć? – Wiedziałem, że na mojej twarzy widnieje uśmiech.

– Powiedzieć, że patrzyłam tak na niego i myślałam sobie: Jeśli trafi się

okazja, to mu powiem. Jutro, jak wytrzeźwieję, będę udawać, że w ogóle tego nie powiedziałam, ale w tej chwili to najłatwiejsza rzecz pod słońcem i po prostu chciałam, żebyś wiedział... I *voilà!* – Widziałem, że już teraz próbuje się wycofać z tej deklaracji. Sam powiedziałbym Clarze dokładnie to samo.

Nie odezwałem się. Zamiast tego objąłem Beryl za ramię i przytuliłem ją z sympatią, po przyjacielsku. Ona jednak potraktowała to jako zaproszenie do prawdziwego objęcia i zanim się zorientowałem, wepchnąłem ją za jeden z nadmiernie obwieszonych, rozchybotanych wieszaków i głębiej, w sam środek dżungli pełnej futer wiszących jak nieoskórowane truchła w rzeźni. Tam, skryty za stertami płaszczy, zacząłem całować ją w usta, a moje dłonie krążyły po całym jej ciele.

Nikt nas nie widział, a nawet jeśli, nie zwróciłby na nas uwagi. Wiedziałem, czego pragnie Beryl, z chęcią okazywałem jej, że wiem. Żadne z nas nie próbowało się hamować. To zajęłoby tylko chwilę.

– Dzięki Bogu, że powstrzymuje nas obecność innych ludzi – odezwała się w końcu.

– Chyba rzeczywiście – przyznałem.

– Nie chyba. Tak naprawdę ani ty, ani ja nie mamy na to specjalnej ochoty. – Ani z jej strony, ani z mojej nie rozpałił się najłżejszy płomień namiętności, chodziło tylko o wymianę cielesnych soków.

Kiedy wyszedłem z szatni ze swoim płaszczem, zobaczyłem Clarę rozmawiającą z kimś na korytarzu. W jakimś maleńkim stopniu miałem nadzieję, że widziała mnie razem z Beryl.

– Wiesz chyba, że ona straciła dla ciebie głowę, prawda? – powiedziała Beryl.

– Nie.

– Wszyscy to zauważyli.

Pomyślałem o całym wieczorze i nie mogłem sobie przypomnieć, żeby Clara choć raz zdradziła swoim zachowaniem, że straciła dla mnie głowę. Czy Beryl tylko zmyślała, żeby wprowadzić mnie w błąd?

– Naprawdę musisz już iść? Wszędzie cię szukałam – powiedziała Clara



z kieliszkiem w ręce.

– *Ciao*, kochasiu – rzuciła Beryl, pozostawiając nas sam na sam, ale najpierw puszczając oczko, co miało rzucić pewne światło na nasze sekretne spotkanie w szatni.

– Co to niby znaczyło? – zapytała Clara.

– To chyba jej sposób na pożegnanie.

– Przeżyliście razem moment z gatunku Wisznukrisznu Vindalu? O to chodzi?

– Z jakiego gatunku?

– Nieważne. Więc naprawdę wychodzisz w samym środku tej śnieżycy?

– Owszem.

– Przyjechałeś samochodem? W taką noc w życiu nie złapiesz taksówki.

– Przyjechałem autobusem... Wrócę tak samo.

– Autobus M5; to moja ulubiona linia na świecie. Chodź. Odprowadzę cię na przystanek.

– Ale ja...

I znowu to robiłem: próbowałem ją zniechęcić, chociaż nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Dwadzieścia minut zajęło nam odszukanie Hansa i ponowne pożegnania z towarzystwem.

Wreszcie przyjechała winda. Wsiedliśmy do niej w całkowitym milczeniu, jak nieznajomi zastanawiający się, co powiedzieć, ale odrzucający każdy pomysł jako zbyt oczywistą próbę wypełnienia ciszy.

– Dla twojej nimformacji, właśnie jesteśmy na trzynastym piętrze – powiedziała, jakby mówiła o znajomym, o którym wspomnieliśmy wcześniej i którego blok mijaliśmy akurat samochodem. – A ja wysiadłam wtedy na dziesiątym. – Uśmiechnęła się. Ja też się uśmiechnąłem. Dlaczego czułem, że kolejna chwila w tej windzie mnie zmiażdży? Nie mogłem się doczekać, kiedy zjedziemy. Wiedziałem też jednak, że nasze wspólne minuty były już

policzone, a nie chciałem, żeby dobiegły końca. Pragnąłem, żeby Clara zaraz po zasunięciu się drzwi wcisnęła STOP i powiedziała, że czegoś zapomniała i czy mógłbym na nią poczekać. Kto wie, dokąd mogłoby to zaprowadzić, zwłaszcza jeśli jacyś jej znajomi zauważyliby mnie czekającego na nią przy otwartych drzwiach windy. No, zdejmuj ten płaszcz i przestań udawać, że sobie idziesz. Albo też stara, rozklekotana winda mogłaby się zatrzymać między piętrami, a my utknęlibyśmy w mroku i ta godzina stałaby się nocą, dniem, tygodniem, i siedzielibyśmy na podłodze, i otworzylibyśmy się przed sobą tak, jak nie zrobiliśmy tego przez cały wieczór, w ciemności, przez całą tę noc, ten dzień, ten tydzień – siedzielibyśmy i nasłuchiwalibyśmy odgłosów konserwatora budynku sprawdzającego kable i bloczki, i zupełnie byśmy się tym nie przejmowali, bo wrócilibyśmy do *Białych nocy* Dostojewskiego i Mikołaja Kuźmicza z Rilkego, który miał tyle czasu do dyspozycji, że mógł sobie pozwolić na trwonienie go do woli czy to grubą walutą, czy drobnymi – wydawać, wydawać, wydawać – a ja tak jak on poprosiłbym czas o dużą pożyczkę i pozwolił, żeby ta winda na zawsze już pozostała zacięta. Spuszczaliby nam na linach jedzenie, napoje, nawet radio. Nasza mydlana bańka, nasz czas, który się zatrzymał. Ale winda dalej zjeżdżała: siódme, szóste, piąte piętro. Wkrótce wszystko się skończy. Wkrótce, jak najbardziej.

Kiedy dojechaliliśmy do lobby, zobaczyłem portiera. Miał na sobie ten sam wielki brązowy płaszcz, którego długie włochate rękawy ze złotymi lamówkami wciąż pamiętałem po tym, jak wcisnął za mnie guzik windy, przez co poczułem się jednocześnie ważnie i ciamajdowato. Otwierał właśnie ciężkie szklane drzwi, żeby wpuścić nowych gości. Tupali butami, otrząsali parasole, podawali swoje imiona dwóm młodym ludziom o wyglądzie modeli, którzy przeglądali kartka za kartką długą listę gości, na której sam wskazałem przedtem swoje nazwisko, dopisane ręcznie na ostatniej stronie. Gość z ostatniej chwili. Przyjęcie z ostatniej chwili. Mająca wypełnić czas, przypadkowa noc na ostatnią chwilę.

Kilka godzin temu ja również byłem jak jeden z tych nowo przybyłych. Teraz to ja wychodziłem, a oni wchodzili. Czy Clara wróci na przyjęcie, znajdzie sobie przy choince nowego nieznanego, zacznie wszystko od nowa?

„Jestem Clara”. Mogłabym to robić w nieskończoność, jeszcze raz

i jeszcze jeden raz, i wiele razy więcej, jak tamten snop światła nad Manhattanem i śpiewak o gardłowym głosie, i korytarz, który prowadził ukrytymi ścieżkami, aż wreszcie jak za sprawą magii zabierał cię z powrotem do punktu wyjścia.

Zanim wyszliśmy na zewnątrz, rozwiązała mi szalik, owinęła go raz na mojej szyi, po czym złożyła końcówki i zrobiła z nich pętlę. Jej wiązanie. Byłem zachwycony.

– Chyba nie zamierza pani tak wyjść, panno Claro? – zapytał konsjerż zachrypniętym głosem.

– Wskoczę tylko na sekundę. Pożyczylbyś mi swoją parasolkę, Borysie? Miała na sobie jedynie karmazynową bluzkę.

– Nazywam go Borysem, po Borysie Godunowie, albo Fiodorem, po Szalapie, albo Iwanem, po Iwanie Groźnym. Wierny jak doberman.

Portier zamierzał sam przytrzymać jej parasolkę.

– Nie trzeba, Borysie, zostań w środku.

Chciałem jej pożyczyć swój płaszcz. Ale to mogłoby zostać uznane za nazbyt zobowiązujące. Dlatego też ostatecznie, nie chcąc robić problemu ani sprawić wrażenia, że się narzucam, stwierdziłem, że pozwolę jej marznąć w karmazynowej bluzce. Nagle pod wpływem impulsu zdjąłem jednak płaszcz i otuliłem ją nim – narzucam-zarzucam, nie obchodziło mnie to. Ten gest sprawił mi przyjemność.

Trzymając nad nami wielką parasolkę Borysa i opierając się na moim ramieniu, Clara minęła posąg Franza Sigela i zaczęliśmy ostrożnie schodzić po ukrytych pod śniegiem stopniach. Kiedyś przychodziłam tu jeździć na snowboardzie – powiedziała.

Cicha, pusta ulica, pokryta zaspami ciężkiego śniegu, stała się teraz tak wąska, że przypominała mi niewybrukowaną wiejską drogę prowadzącą przez lasy, która dopiero po wielu kilometrach dociera do kolejnej wioski i miejscowego dworu. Można by stanąć na samym środku jezdni i nawet nie myśleć o samochodach, jakby w takie noce jak dziś budziła się do życia bardziej przyjazna, spokojniejsza wersja Manhattanu, która przydawała

magicznego czarownika niewzruszonemu za dnia obliczu miasta.

Przystanek znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie ulicy.

– Obawiam się, że będziesz musiał trochę poczekać – powiedziała Clara.

Zdjęła mój płaszcz, oddała go, wyciągnęła rękę i uścisnęła moją dłoń.

„Jestem Clara”. Ten uścisk.

Mój płaszcz już nigdy nie będzie taki sam.

Teraz znajdowała się na nim odrobina Clary.

Albo inaczej: odrobina mnie pozostała na niej.

Czy nie dlatego właśnie ją nim okryłem?

Poprawka: teraz było we mnie więcej jej niż mnie.

Tak, o to chodziło. Było we mnie więcej jej niż mnie. I nie przeszkadzało mi to. Nie przeszkadzałyby mi, gdyby Clara wzięła mnie sobie na własność. Nie przeszkadzałyby mi, gdyby po założeniu mojego płaszcza była w stanie czytać w moich myślach i każdą z nich wyartykułować, jedną po drugiej. Nie przeszkadzałyby mi, gdyby wiedziała wszystko, co ja wiedziałem, a także wszystko, czego jeszcze się nie dowiedziałem i być może nigdy nie dowiem. Nie przeszkadzałyby mi to, nie przeszkadzałyby mi to.

Chwilę potem przeszedłem przez ulicę. Ona stała przez moment, jakby chcąc się upewnić, że dotarłem bezpiecznie na miejsce, i objęła się lewą ręką za klatkę piersiową i żebra, zdradzając tym ruchem, że zaczyna marznąć, ale spróbuje jeszcze trochę wytrzymać. Ogarnęła mnie ochota, żeby powiedzieć: „Wracajmy... Strasznie tu zimno, wracajmy na przyjęcie”. Wiem, że Clara by się śmiała – ze mnie, z mojej propozycji, z czystej radości. Poproś mnie, żebym zaprosiła cię z powrotem na górę. Poproś i przekonamy się, co powiem.

Potem, trzymając w prawej ręce ogromną parasolkę, lewą machnęła mi szybko na pożegnanie i zawróciła do domu niczym właściciel dworu, który łaskawie odprowadził gościa do skromnej furtki w ogrodzeniu posesji, a gdy rozległ się za nim trzask zamka, ukryty dzwonek wybił ostatnie pożegnanie.

Kiedy przyjedzie autobus, usiądę jak najbliżej przednich drzwi, obok

kierowcy, i będę patrzył na mijaną scenerię tak jak wcześniej tego wieczoru, tylko w odwrotnej kolejności. Już teraz pragnąłem raz po raz wracać tu linią M5 przez nie wiadomo ile miesięcy. Przyjeżdżałbym w niedzielne poranki, sobotnie popołudnia, piątkowe noce i czwartkowe wieczory. Przyjeżdżałbym w śnieg i w słoneczne wiosenne dni i wracałbym w późnojesienne wieczory, kiedy na budynkach wzdłuż Riverside Drive zalega jeszcze blednące światło, i rozmyślałbym o Clarze piszącej swoją pracę na temat las Foliás i opowiadającej mi o Teaneckowicach i *Białych nocach*, kiedy patrzyliśmy razem z tarasu na snop światła krążący nad Manhattanem. Te linie stałyby się częścią mojego życia. Bo prowadziłyby do tego budynku; mijałbym go za każdym razem ze świadomością, że już zaraz wysiądę o dwa przystanki za daleko w baśniowej zamieci i zawrócę piechotą w stronę przyjęcia bożonarodzeniowego, gdzie moje imię dopisane będzie ołówkiem do listy gości. Będę jeździł tą linią być może jeszcze długo po tym, jak Clara i Hans, i Rollo, i Beryl, i Pablo, i cała reszta wyprowadzą się z Nowego Jorku. Miałem nadzieję, że skupiając się na tej rytualnej wyprawie autobusem przez czas, zdołam się zmusić do zapomnienia, że Clara nadal jest tam na górze, a ja nie spytałem, jak dokładnie pisze się jej nazwisko, bo zawsze łatwiej rozmyślać o zaginionych krainach, utraconych przyjaźniach i resztkach z przyjęcia niż cieszyć się na kilkakrotnie powtarzane zaproszenie Hansa, abym przyszedł za siedem dni na przyjęcie noworoczne.

Po pięciu minutach samotnego stania na przystanku zacząłem tracić nadzieję na przyjazd M5. Bałem się też, że wyjdę na straszego głupca, jeśli ktoś na górze zobaczy mnie czekającego w nieskończoność na autobus, który ewidentnie nie ma zamiaru przyjechać.

Podniosłem wzrok na dach. Zaledwie cztery godziny temu siedziałem w tamtej palmiarni. Teraz patrzyła na mnie z góry, jakby w ogóle mnie nie знаła. Kiedy do niej szliśmy, Clara otworzyła się nieco i opowiedziała mi o Inkym, który zgasił panujący w jej życiu mrok – w każdym razie na pewien czas. Co za dziwny dobór słów. Wyjrzałem wtedy na zewnątrz i obiecałem sobie, że wszystko zapamiętam. I teraz właśnie sobie przypominałem. Odwróć się do czegoś plecami, a stanie się to jak Bellagio.

Widząc, że nic nie nadjeżdża zza zakrętu, minąłem pomnik Franza Sigela, przeszedłem z powrotem na chodnik wiodący do domu Clary i postąłem na

nim przez chwilę, jakbym szukał wymówki, żeby nie opuszczać jeszcze tej okolicy, przyglądając się otaczającym budynkom niczym jakiś współczesny Józef rozglądający się po apartamentowcach i strzegących ich portierach, podczas gdy Maryja czeka w samochodzie – a jednocześnie cały czas liczyłem na to, że ktoś na górze otworzy wreszcie okno, krzyknie w cichej nocy moje imię i rzuci od niechcienia: „No wracaj tu na górę, nie stój na tej zimnicy!”.

Wyobraziłem sobie, że natychmiast ruszam z powrotem do budynku, nie wpisując się nawet do rejestru prowadzonego przy wejściu przez Iwana czy też Borysa, żeby ci, którzy otworzyli okno i mnie zawołali, nie posądzili mnie o brak entuzjazmu; jednocześnie usiłowałem zachować pozory niezdecydowania właściwe osobie, która ustępuje tylko przez wzgląd na towarzystwo i rzuca niezobowiązujące: „Czemu nie, ale tylko na chwilę” – jak rodzic, który pozwala dziecku jeszcze przez pięć minut oglądać telewizję.

„Wyglądasz, jakbyś przemarzył, musisz się napić czegoś ciepłego. Daj, wezmę twój płaszcz” – powiedzą. I zanim się zorientuję, będę się znowu witał z ludźmi, z którymi zdążyłem się już pożegnać, włączając w to spóźnialskich, których minąłem w lobby, jakbym był starym znajomym docierającym na przyjęcie w samą porę, żeby zjeść śniadanie.

No właśnie, a tak się spieszyłeś, żeby od nas uciec.

Po co w ogóle stąd wychodziłeś? – zapyta Clara, podając mi kieliszek, z którego piła przez cały wieczór. Ten kieliszek, ten kieliszek, za chwilę będę trzymał ten kieliszek.

Wyszedłem... Nie mam pojęcia, dlaczego wyszedłem. Istnieje tyle powodów. Nie istnieją żadne powody. Żeby pokazać, że mnie na to stać. Żeby zostawić sobie coś na później. Nie chciałem, żeby moja obecność znużyła gospodarzy. Nie chciałem pokazać, jak bardzo mi się podoba to przyjęcie i że nie chcę, żeby się skończyło.

Może miałem do roboty inne rzeczy...

O czwartej nad ranem?

Mam swoje sekrety.

Nawet przede mną?

Zwłaszcza przed tobą.

Przypomnij mi, żebym nigdy nie zadawała się z mężczyznami, którzy o czwartej nad ranem mają swoje sekrety.

Przypomnij mi, żebym nigdy nie pisał ani słówka o swoich sekretach, bo aż mnie kusi, żeby to zrobić.

No to zacznij od razu. Dlaczego wróciłeś?

Jeśli pytasz, Claro, to tylko dlatego, że znasz już odpowiedź.

Mimo wszystko powiedz.

Bo nie chciałem jeszcze wracać do domu. Bo nie chciałem być dzisiaj sam. Bo sam nie wiem. Moje serce zacznie bić szybciej i szybciej, a ja będę się zastanawiał, czy nie dodać: bo chciałem być z tobą.

Ze mną? Wypowie to tak jak Hans, wolno i z namysłem.

Jak wspaniale byłoby móc powiedzieć: „Bo chciałem być z tobą” albo: „Bo nie chciałem być dzisiaj sam”. Cześć, nie chcę być dzisiaj sam, chcę być z tobą. I z twoimi przyjaciółmi. W twoim świecie. W twoim domu. I chcę tu zostać po tym, jak wszyscy wyjdą. Być jak ty, z ciebie, z tobą – nawet jeśli próbujesz się zadekować, tak jak ja się dekuję, jak Hans się dekuje, jak Beryl i Rollo, i Inky, i wszyscy w tym mieście, żywi czy martwi, dekują się, ukrywają, rozbici, uszkodzeni i spragnieni, sam z tobą, póki nie przesiąknę twoim zapachem, nie zacznę myśleć jak ty, mówić jak ty, oddychać jak ty.

Oddychać jak ja? Co ty wygadujesz?

Poniosło mnie.

Znowu przeniosłem wzrok z ulicy na widoczne w górze sylwetki uczestników przyjęcia, opierających się plecami o zmrożone szyby; wszyscy rozkładali na bok łokcie, czyli trzymali w rękach kieliszki i talerze – czy naprawdę wkrótce obsługa zacznie serwować śniadanie, jak podczas jakiegoś zwariowanego lotu samolotem na dalekiej trasie?

Dlaczego Clara zjechała ze mną windą? Żeby przejść się po śniegu? A może miała na myśli coś innego, ja zaś zniszczyłem jej plany, wciskając P jak parter, zanim ona zdążyła wybrać swoje piętro? Czy zrobiłem to, żeby pokazać, że w ogóle nie myślałem o jej mieszkaniu? A może próbowałem

skomplikować sprawę, bo tak łatwo byłoby powiedzieć: „Pokaż mi, gdzie mieszkasz”.

A może wcale nie chciałem dzisiaj z nikim być? „Chcę być sam. Chcę wracać do domu. A mimo to chcę być kochany. Bo ten dystans między tobą a mną, i w ogóle, skoro już o tym mowa, między mną a mną, wynosi całe staje i ligi, i lata świetlne”.

„Chcę miłości, nie innych ludzi”. Chcę romansu. Chcę czaru. Chcę magii w naszym życiu. Bo tak mało jej na tym świecie.

Pomyślałem o innych na moim miejscu – o tych niezliczonych młodych ludziach, pełnych zapału i pozbawionych egoizmu w miłości, jak Inky, przemierzających długą drogę skądś czy dokądś, żeby wystawać pod jej domem i rzucać nocą śnieżkami w jej okno, dopóki płuca ich nie zawiodą, a oni sami nie zmarnieją i nie umrą, i zostanie tylko pieśń i zamarznięty odcisk stopy.

Stojąc tak, włożyłem rękę do kieszeni. Pełno w niej było małych papierowych serwetek. Chyba przez cały wieczór się denerwowałem i mimowolnie chowałem je do kieszeni za każdym razem, kiedy odstawiałem kieliszek albo kończyłem coś jeść. Przypomniałem sobie chusteczkę, którą Clara mi podała, kiedy zmagalem się z ostrą papryczką. Co ja z nią zrobiłem?

Namacałem także duże złożone zaproszenie na przyjęcie, z adresem nadrukowanym delikatną, naśladowującą energiczne pismo czcionką. Przypominałem sobie niejasno, że podczas rozmowy z Clarą często dotykałem go w kieszeni i od niechcienia bawiłem się rogami, czując nagłe ukłucia radości, kiedy udawało mi się je do siebie dopasować, i jak przez mgiełkę rozkojarzonych myśli dotarło do mnie, że jeśli zaproszenie nadal było wtedy wilgotne, mogło to oznaczać tylko tyle, że dopiero co wszedłem ze śnieżycy i godzina była jeszcze młoda, mnóstwo czasu dzieliło nas od prawdziwej imprezy, wszystko mogło się wydarzyć. Lecz pod tymi oznakami radości czaiło się jednak coś na kształt urazy: dowlokłem się na to przyjęcie, a tymczasem przyjaciel mojego ojca się na nim nie zjawił – choć może wcale nie była to uraza, tylko kolejny sprytny pretekst, żeby odwrócić myśli od tego, na czym pragnęły się skupić, nawet jeśli one natychmiast ściągały mnie z powrotem do Clary i tego przedziwnego podejrzenia, że Puchatek



w pewnym stopniu zaaranżował dzisiejszy wieczór. „Ojciec mu zmarł. Obiecałem, że się nim zajmę. Samotny. Nie wie, co ze sobą zrobić. Pozna jakichś ludzi”.

Ruszyłem w kierunku Straus Parku na rogu West Endu i Sto Szóstej. Pragnąłem myśleć o niej, myśleć o jej ręce, o jej bluzce na mrozie, o wyrazie jej twarzy, kiedy złośliwym żartem wypaczała wszystko, co brałem za nieszkodliwe i szczerze, i wytykała mi, że „śpiewanie pod prysznicem” to coś nudnego, przeciętnego, platfusowatego. Pragnąłem myśleć o Clarze, a jednak się tego bałem. Pragnąłem myśleć o niej ukradkiem, niejasno, oszczędnie, spoglądać na nią jak przez gogle podczas śnieżycy. Pragnąłem myśleć o niej pod warunkiem, że zawsze będzie to tylko zdawkowa myśl, jak o kimś, na kim nie do końca potrafię się skupić, kimś, kogo zaczynam już zapominać.

Zbliżyłem się do jednej z latarni, żeby dokonać bliższej inspekcji swoich uczuć. Wyobraziłem sobie, że latarnia nachyla zapaloną głowę przez moje ramię, jakby w zamian za zapewnienie światła i pokrzepienia sama pragnęła zostać pokrzepiona, i zacząłem myśleć o niej jak o osobie, która rozumie moje splątane uczucia niemal-szczęścia i rozpacz, która może mi je wytłumaczyć, bo przecież zna mnie od lat i na pewno wie, kim jestem i dlaczego zachowywałem się dzisiaj w taki sposób. Może wyjaśni – jeśli spytam – dlaczego życie zetknęło mnie dziś z jakąś Clarą i patrzyło, jak rzucam się niczym tonący człowiek uczepony boi, która ciągle tonie. A więc wiesz? – pragnąłem spytać. – I rozumiesz? Och, wiem i rozumiem. No więc co teraz? – zapytałbym. Co teraz? Przejechałeś taki kawał drogi na przyjęcie, a potem nie możesz się doczekać, żeby z niego wyjść, podczas gdy tak naprawdę marzysz o tym, żeby zostać. Co ja mam ci powiedzieć? Chcesz rady? Odpowiedzi? Przepraszam? Nic takiego nie znajdziesz. Zniecierpliwienie w głosie. Jedyna osoba, z którą mógłbym porozmawiać – tyle że już nie żyje.

W miejscu, gdzie West End zbiega się z Broadwayem, zdałem sobie sprawę, że tu także nie zdołałem znaleźć taksówki, a co do autobusu, szanse złapania linii M104 były nie większe niż M5 na Riverside. Wszystko pokrywał gęsty, lśniący, nieskalany śnieg. Nie było żadnych samochodów, a granice między chodnikami a jezdnią, ulicami a parkiem czy też parkiem a tym niedostrzegalnym miejscem, gdzie Broadway łączy się z północnym krańcem West End Avenue, niemal zupełnie się zatarty. Śnieg otulał całą

okolice i nadawał miastu wygląd bezgranicznego zamrożonego jeziora – spod jego tafli wystawały drzewa i dziwne wybrzuszenia – zasypane maski samochodów zaparkowanych dokoła Straus Parku.

W samym parku skostniałe, roziskrzzone konary sięgały ku niebu – gromady sękatych gorliwych dłoni, wychylające się z oliwkowych gajów van Gogha niczym umęczeni mieszczanie z Calais skuleni na mrozie, podczas gdy świetliste białe tafle u podstawy każdej latarni sprawiały, że wszystko wydawało się nieskażone, czyste i doniosłe, tak jakby uliczne światła ustawiły się w szpaler, wytyczając pas do lądowania dla zbłąkanych Trzech Króli, aby mogli tu przybyć w Wigilię.

Jakże ten śnieg spokojny i milczący – świetny ten śnieg, pomyślałem, przypominając sobie wyczytaną gdzieś informację, że słowo „świetny” sięga źródłami do praindoeuropejskiego \*k’uei, – promienieć, jasny, biały – i powstało z niego w drodze ewolucji przez słowa „światło” i „świecić”, od których pochodzą również słowa w rodzaju „świtanie”. W tym śniegu było więcej świetności niż we mnie. Zapalę tu świecę i pomyślę o Clarze oraz tamtym momencie w kościele, wieki temu, kiedy oboje wrzuciliśmy po dolarze na ofiarę i zapaliliśmy świece dla Bóg wie kogo.

Rozwiązałem zamotany przez nią węzeł i znowu owinąłem sobie szalik wokół szyi, wsuwając oba końce pod płaszcz, tak jak zawsze. Nie było zimno. Zacząłem się zastanawiać, czy śnieg przetrwa do jutra. Ostatnio od razu topniał. Idąc powoli przez park, natknąłem się na ławkę i przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Muszę tu przysiąc. Zgarnąłem śnieg rękawiczką i usiadłem, wyciągając przed siebie nogi jak ktoś, kto wczesnym popołudniem odpoczywa na słońcu po obfitym posiłku.

Podobało mi się tutaj i zachwycało mnie to, jak obydwie aleje oraz przylegające do nich ulice zdawały się zbiegać dokładnie w tym punkcie, a znikając pod śniegiem, ujawniały nagle, że na Upper West Side kryją się zawołowane tajne skwerki, które atakują człowieka niczym kramy na targowisku – nowe placyki pojawiające się wraz ze śniegiem i znikające, gdy tylko topnieje. Chętnie spędziłbym tu całą noc w nadziei, że śnieg przetrwa do rana i przez cały następny dzień, abym i jutro wieczorem mógł tutaj wrócić i nadal go zastać, usiąść znowu na dokładnie tej samej ławce, jakbym zainicjował dzisiaj jakiś osobisty rytuał i znalazł swoją własną oś –

i czekałbym, aż znowu ogarnie mnie wspaniałość tej chwili, nawet jeśli będę zdawał sobie sprawę, że owa świetlana patyna, którą mój umysł okrywa ten park, to jedynie efekt pogody, alkoholu, miłości i seksu, przypadek zaledwie i może nic więcej, podobnie jak fakt, że siedzę na tej, a nie innej ławce i że odkryłem całe to piękno, bo nie udało mi się znaleźć taksówki, i że skończyłem tutaj zamiast na Riverside, i że połknąłem nasienie z papryczki zamiast śmietanowego kremu, i że stałem nie w bibliotece, gdzie może wpadłbym na Beryl i przeżył zupełnie inny (niewykluczone, że lepszy) wieczór, ale właśnie za choinką – nagle wszystkie te zbiegi okoliczności stały się jasne, promienne i pełne harmonii, a w ślad za nią także radości: radości, o której wiedziałem, że podobnie jak śnieg nie zdoła przetrwać, radości nieznacznych cudów, które dotyczą nas w życiu, radości nikłej jak świeczuszka na ołtarzu. Wiedziałem, że jutro wieczorem wrócę w to miejsce.

I wszystko to zawierało się w jednym słówku, wywodzącym się z języka, którym prawdopodobnie nikt nigdy się nie posługiwał: \*k'uei... Świetność kobiet.

Lecz właściwie nie wiedziałem o Clarze nic. Znałem jej imię, nazwiska nie potrafiłem przeliterować, i widziałem, jak całuje najpierw mężczyznę, a potem kobietę. Kim była? Czym się zajmowała? Jaka była? Co inni o niej myśleli? Co ona myślała o sobie, o mnie? Co robiła, kiedy była sama i nikt nie patrzył?

Może wszystkim, czego pragnąłem, było siedzieć i myśleć, myśleć o niczym, zatonać w sobie, śnić, znaleźć piękne rzeczy i – na co nigdy nie pozwoliłem sobie w trakcie całego wieczoru – tęsknić za nią, jak tęskni się za kimś, o kim wiemy, że nie mamy szans, żeby znowu go spotkać, w każdym razie nie na tych samych warunkach, lecz mimo to jesteśmy zdecydowani za nim tęsknić, ponieważ tęsknota czyni z nas ludzi, którymi jesteśmy, czyni nas lepszymi, niż jesteśmy – tęsknota pomaga nam wypełnić czymś serce.

Wypełnić czymś serce.

Tak jak robi to czyjaś nieobecność, żal i żaloba.

Nie wiedziałem, co to wszystko oznacza, i nie ufałem sobie, ale pochylając się nad tymi zbłąkanymi myślami, siedziałem bez ruchu na zimnej ławce, jakby działo się właśnie coś ponadczasowego i doniosłego, i to nie

tylko w moim otoczeniu, ale również we mnie samym, bo przecież wszedłem do tego opuszczonego, samotnego miejsca o nazwie Straus Park, gdzie ludzie mojego pokroju przychodzą, żeby stać się jednością z samymi sobą i ze swoim otoczeniem. Z miastem, nocą, parkiem i krzykliwymi neonami nad apteką po drugiej stronie, i barem ze smażonym kurczakiem po mojej prawej. Sposób, w jaki Clara zgasła papierosa i łagodnie zsunęła go butem z balkonu – poruszające wspomnienie jej karmazynowej bluzki z guzikami tak wyraźnie rozpiętymi poniżej mostka, że można (i trzeba) było się domyślić kształtu jej piersi, podczas gdy ja opowiadałem o miłości na bagnie i w okopach, a ona rozmawiała ze mną i żartowała sobie delikatnie, chcąc zwabić mnie z powrotem właśnie do tego bagna i okopów i przypominając (na wypadek, gdybym zapomniał), że mimo pozorów zażyłości jak najbardziej jest nieosiągalnym dla mnie typem imprezowiczki i tylko przypadkiem podczas rozmowy oparła łokieć na moim ramieniu i pozwoliła mi myśleć, że ja i ona to jedno i to samo, ale nie to samo, a jednak to samo, choć nigdy nie to samo.

Miałem ochotę uzalić się nad sobą, uzalić się nad tym, że zawsze tylko pragnę, pragnę, pragnę i nigdy nie wiem, co zrobić i dokąd pójść poza tym pragnieniem. Żałowałem, że nie mogę zapalić w Straus Parku świecy jak w kościele, kiedy człowiek nie ma pewności, czy modli się o coś, czy dziękuje za to, że to coś otrzymał, albo przynajmniej za świadomość, że to coś istnieje, za możliwość dojrzenia tego przez chwilę z bliskiej odległości i przekonania się, że proste pragnienie zatrzymania w pamięci momentu, kiedy coś pojawiło się w naszym życiu, nosi wszelkie znamiona nie tęsknoty ani nadziei, ani nawet miłości, ale uwielbienia.

Tego wieczoru Clara była twarzą, którą nadałem swojemu życiu i temu, jak je przeżywam. Tego wieczoru ona była moimi oczami na świat, który patrzył z powrotem na mnie.

Tego wieczoru byłem tak blisko – jeszcze jedno spojrzenie, a pocałuję cię, Claro, tak jak ty całowałaś Beryl, wkładając język w jej usta, i dlatego właśnie ja też ją pocałowałem, mój język, jej język, twój język, każdy język.

Gdybym mógł postawić na swoim, wetknąłbym tę wyobrażoną wotywną świeczkę dokładnie tutaj i okopałbym ją śniegiem tak, jak uczyniła Clara ze swoim kieliszkiem na tarasie, a potem bym ją tu zostawił. W ogóle

zapaliłbym nie jedną, ale wiele takich świeczek, i postawiłbym je na obwodzie wyschniętej rabaty otaczającej memoriał małżeństwa Strausów, i pokryłbym nimi samą rzeźbę od stóp do głów, jak to się robi z Madonnami i świętymi w maleńkich ulicznych kapliczkach w wioskach Hiszpanii, Włoch i Grecji, aż rozświeciłyby cały park jak magiczne ogniki na wilgotnych, bagnistych cmentarzyskach, gdzie dusze zmarłych powstają nocą i kręcą się na podobieństwo robaczek świętojańskich, zbijając się w chmarę, żeby ogrzać się w chłodzie wczesnego poranka, bo zmarli życzliwi są dla siebie.

Siedziałbym tutaj i nawet bym nie drgnął. Dla niej zamarzyłbym na śmierć. Bo dzisiejszego wieczoru ona była twarzą, którą nadałem swojemu życiu oraz nagłej świadomości, że nie nauczyłem się go przeżywać.

Może to zimno sprawiło, że w końcu łzy napłynęły mi do oczu, a może za dużo wypilem, żeby wiedzieć, jaki był powód. W miarę jak wpatrywałem się w jedną z najbliższych latarni, zacząłem widzieć podwójnie, aż wreszcie latarnia, która przedtem zdawała się chylić w moją stronę, teraz nagle zaczęła się kołysać, jakby próbowała się wyrwać z korzeniami i powlec w moim kierunku, powłócząc nogami jak kulejący żebrak, wykonujący coś, co można określić jedynie mianem imitacji kroku Michaela Jacksona. Stał tam, kiwając się to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał się upewnić, że naprawdę mnie widzi, po czym cofnął się i podreptał z powrotem, znowu stając się latarnią. Kim był? I co robił w tę bezsensowną noc? Co ja sam robiłem na tym mrozie? Czy był on drugim mną kręcącym się po okolicy, żeby zapowiedzieć, że teraz sam weźmie sprawy w swoje ręce, skoro ja wszystko popsułem? A może był niedokończonym mną – i ilu ich się tam jeszcze kręciło, choć nie ujrzeli dotąd i może nigdy nie ujrzą światła dnia, i ilu ich pragnęło powrócić z przeszłości, choćby po to, żeby obdarować mnie połowiczną pociechą i rozdrażnionym słowem porady, nie zdając sobie sprawy, że ściągają, które podajemy sobie ukradkiem przez otchłań czasu, napisane są niewidzialnym atramentem – wszystkie te jaźnie tłoczące się wokół mnie jak zamknięty w zagrodzie legion z zaświatów, spragniony smaku tego, co tak lekko i być może niezasłużenie przypadło w udziale mnie i tylko mnie: smaku żywej krwi.

Może dla nich też zapaliłbym w Straus Parku świeczki; stanowiłyby rytualne zastępstwo tego, czego nie mogłem w sobie dostrzec i co pragnąłem

ujrzeć w fizycznej postaci.

Wtedy nagle zobaczyłem i dotknąłem iskrzącej gałązki tuż nad moją głową. Była skryształizowana. Pociągnąłem ją, ale nie mogłem jej urwać. Co by się stało, gdybym pociągnął mocniej? Gałązka mogłaby się nieco nadłamać, a ja prawdopodobnie bym się podrapał. Wyobraziłem sobie krew wzbierającą na moim palcu i rozlewającą się po śniegu. Odchyliłem daleko głowę i zastanowiłem się, co powiedziałby mój ojciec: „To nic nowego. Jesteś taki już od lat. I nikt nie zdoła ci pomóc. Moja żyjąca krwi, duszo mojego życia”.

Co powiedziałaaby Clara, gdyby zobaczyła, w jakim stanie jest mój krwawiący palec? Wyobraziłem sobie, jak podchodzi w swoich kasztanowych butach i staje przede mną na śniegu.

Co z tobą? Daj, popatrzę.

To nic takiego.

Ale ty krwawisz.

Tak, wiem. Żołnierz w okopach, sama rozumiesz.

Użalasz się nad sobą?

Nie odpowiadam. Ale owszem, użalam się nad sobą. Nienawidzę siebie.

Ona odrywa pasek materiału od swojej czerwonej bluzki i owija nim mój palec, a potem nadgarstek. Myślę o księżnej de Clèves, zawiązującej żółtą wstążkę na drewnianej laseczce, która należała do jej ukochanego. Ten skrawek materiału na moim kijku, moim ciele, moim Gwidonku, moim wszystkim, na twoim rąbku, twojej ręce, twoim nadgarstku, twoim nadgarstku, twoim nadgarstku, twoim słodkim, splamionym, błogosławionym, danym od Boga nadgarstku. I patrz, co narobiłeś – uśmiecha się Clara – a ja tu próbuję się skupić. Możesz się nabawić poważnego zakażenia.

A jeśli naprawdę tak będzie?

Daj mi się skupić – opatrując jednocześnie moją ranę.

Potem, kiedy przestaje się bawić w pielęgniarkę: Więc dlaczego to zrobiłeś?

Z powodu wszystkiego, czego pragnąłem i nigdy nie miałem.

„Z powodu wszystkiego, czego pragnąłeś i nigdy nie miałeś”. Jak będziesz tu tak siedział, to zaziębisz się na śmierć.

No i? Przesiedzieć na mrozie całą noc i dać się znaleźć rano zsiniałym i zamarzniałym. Myślisz, że by mi to przeszkadzało, gdybym zrobił to dla ciebie?

Dla mnie czy dla siebie samego?

Wzruszyłem ramionami. Nie znałem odpowiedzi. Żadnej z możliwości nie można było wykluczyć.

Amfibalencja – mówi ona.

Amfibalencja – mówię ja.

I nagle dociera do mnie, że w tej krótkiej wymianie zdań pomiędzy naszymi cienistymi jaźniami w tym opuszczonym parku powiedziane zostaje więcej niż przez cały wieczór rzeczywistej konwersacji. Rozmowa kochanków, jak w wierszu Verlaine’a: nasze cienie się stykają, a cała reszta zwyczajnie czeka i czeka, i czeka. Żadna mi nowość. Robię tak już od lat.

– Nic panu nie jest? – Był to policjant w mundurze, który zatrzasnął właśnie drzwiczki radiowozu i szedł przez park w moją stronę. Wyglądał jak jedyna istota pozostała na całej planecie, nie licząc mnie.

Pokręciłem głową, udając, że patrzę gdzie indziej. Czyżbym przez cały ten czas mówił do siebie na głos?

– Wszystko w porządku?

– Tak, panie władzo. Po prostu musiałem uporządkować sobie myśli.

„Uporządkować sobie myśli” – za takie teksty trafia się do aresztu.

– Chyba nie zamierza pan zrobić nic głupiego?

I znowu pokręciłem głową z uśmiechem. Drugie takie pytanie podczas dzisiejszej nocy.

– Pił pan?

– I to sporo. O wiele za dużo.

- No to wesołych świąt.
- I panu też, panie...
- Ragoon.
- Ragoon? Tak jak w *Oplakującej Ragoon*?
- Nie znam tej piosenki.
- To nie piosenka, tylko wiersz. Irlandzki. Joyce'a.
- Coś takiego!

Już miałem odpowiedzieć: „Chce się pan przekonać?”, ale pomyślałem, że lepiej nie.

- No więc co panu dolega? Problemy sercowe?

Skrzyżował ręce na piersiach. Pod obcisłą granatową kurtką widziałem wybrzuszenie jego kamizelki kuloodpornej.

– Nie. Nie sercowe. Po prostu ojciec mi umarł. I jakoś nie mogłem dziś przestać o nim myśleć. Niedługo minie dokładnie rok.

Nagle przypomniałem sobie słowa ojca: „Wkrótce nie będę nawet wiedział, że kiedykolwiek żyłem” – i jeśli mój cień wpadnie na ciebie na zatłoczonym chodniku, serce nie zabije we mnie z zaskoczenia jak tamtego wieczoru, kiedy zajrzałeś do mojego pokoju. Tyle miłości i wszystko to na nic, tyle zachowanych książek i wierszy i wszystko zniknęło. Spoglądam na tę dłoń i wiem, że wkrótce przestanę ją widzieć, bo nie należy już całkiem do mnie, tak samo jak moje oczy nie należą już całkiem do mnie, w ogóle mnie tu nie ma, moje stopy poszły już przodem i znalazły sobie przytulniejszy zakątek w Bóg wie jakiej strefie czasowej poza Lete i Flegetonem. Nie będę nawet pamiętać Lete ani Flegetonu, ani niepokornych fal Shannon, ani Fedona, ani dzielnego Arystydesa, ani owych długich mów Tukidydesa, które razem czytaliśmy. Wszystkie te nieśmiertelne słowa – już po nich; Bizancjum – już po nim. Puff! Część mnie nie należy już do mnie, tak jak moje życie nigdy tak naprawdę nie należało do mnie, tak jak moje ubrania i buty, i woń mojego ciała nigdy tak naprawdę nie były moje, tak jak nawet „moje” nie jest już moje, moje myśli, moje włosy, moje wszystko odpłynęło ode mnie i miłość też nie jest już moja, tylko pożyczona jak parasolka ze starego



stojaka – ty i ja, parasolki w stojaku, choć w tej chwili jesteś mi bliższy niż krew pulsująca w mojej szyi, niż oddech w moich płucach. Spoglądam na siebie w lustrze i jedyne, co robię, to żegnam się zarówno ze swoją twarzą, jak i twoją. Zostawiam cię we fragmentach, mój kochany, i nie chcę, byś rozpaczał, chcę zabrać ten obraz ciebie, takiego, jakim teraz jesteś, dokądkolwiek mnie poślą, z nadzieją, że kiedy zamknę oczy, twój wizerunek będzie ostatnią rzeczą, która zniknie, bo mówią, że ostatnia rzecz, jaką widzisz, jest tym, co zabierasz ze sobą na wieczność, o ile „zabrać” ma jakiegokolwiek znaczenie poza Lete i Flegetonem.

– Słyszał pan o Lete i Flegetonie, panie władzo?

– A co to za jedni?

– Nieważne. – Najgorsza w umieraniu jest wiedza, że zapomnisz o wszystkim, co kiedykolwiek przeżyłeś i kochałeś. Żyjesz siedemdziesiąt lat albo coś koło tego i umierasz na zawsze. Dlaczego nie może być na odwrót? Być martwym przez siedemdziesiąt lat – dorzucimy na wszelki wypadek drugie tyle – a potem żyć na wieki. Jaka w ogóle jest korzyść z umierania? Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie: że istota ludzka nie zniosłaby życia ponad miarę swoich lat. Zapytajcie zmarłych, przekonajmy się, co oni na to powiedzą – zapytajcie zmarłych, czego by nie oddali, żeby być tutaj i oglądać ten śnieg albo przeżyć tydzień rozgwieżdżonych nocy takich jak ta, albo zakochać się w najpiękniejszej kobiecie na świecie. Zapytajcie zmarłych.

– Powiedział: „Tylko obiecaj, że kiedy nadejdzie właściwy czas, pomożesz mi... ale tylko jeśli o to poproszę, nie wcześniej, i o ile będę w stanie wytrzymać, ale nie wcześniej”.

– I poprosił?

Czyżby stróż prawa starał się wziąć mnie pod włos?

– Nigdy.

– Bo oni nigdy nie proszą, kiedy nadchodzi czas. To czym się pan tak zadręcza?

– Zasnął na kilka godzin, a ja poszedłem się przejść po okolicy jak kochanek, który czeka, aż była dziewczyna zabierze z jego domu wszystkie swoje rzeczy, i łudzi się nadzieją, że jeszcze przekona ją do zmiany zdania,

aż nagle minąłem pewien park i już wiedziałem po szepcie zimnego wiatru w drzewach, że ojciec dotarł bezpiecznie na miejsce. A ja miałem mu poczytać Plutarcha. To ja do tego dopuściłem.

– Celowo?

– Tego nigdy się już nie dowiem.

Niech mi pan powie, że nie jestem okrutny, panie posterunkowy Ragoon. Niech mi pan powie, że on wiedział, panie posterunkowy Ragoon.

– Patrzy pan na ten księżyc.

– Dobranoc, księżycu – powiedziałem.

– Dobranoc, księżycu – powtórzył, żeby zrobić mi przyjemność, i pokręcił głową, co miało oznaczać: „Ludzie to dziwacy!”.

Jakaś żebraczka przeszła przez ulicę i skierowała się w naszą stronę. Ten park był zapewne jej sypialnią. Jej łazienką. Jej kuchnią. Jej salonem.

– Panie, na chleb.

Wsunąłem rękę do kieszeni.

– Odbiło panu?! – zawołał policjant i odwrócił się do kobiety. – Spadówa, *mamacita*.

– Proszę jej nie odpędzać. Dziś Boże Narodzenie.

– Niech tylko pana oskubie tymi swoimi brudnymi paluchami, to zobaczymy, czy wtedy nadal będzie pan w bożonarodzeniowym nastroju.

Żebraczka, która wyczuła we mnie miękkie serce, nie odrywała ode mnie wzroku, błagając bezsłownie.

Na chwilę przed tym, jak opuściłem Straus Park, wyjąłem pięciodolarowy banknot i wsunąłem go do jej ręki. *Por mi padre?*

– Serio?

– Niech pan da spokój, panie władzo – powiedziałem. Miałem ochotę dodać: „Nigdy nie wiadomo”. W innych czasach ta stara wiedźma poprosiłaby, żebym usiadł na jednej z tych ławek, przyniosłaby wiadro z wodą, żeby obmyć mi stopy, coś by zauważyła i już byłbym w domu. *Y por*

*Clara también*<sup>8</sup> – powinienem był dorzucić.

Rahoon zniknął w swoim radiowozie, dookoła znowu zapadła cisza.

Przechodząc przez coś, co musiało być już jezdnią, a nie chodnikiem, obejrzałem się na park ze świadomością, że dałbym wszystko, żeby przeżyć ten wieczór od samego początku i żeby potoczył się on dokładnie tak jak za pierwszym razem – żeby zrobić z czasem to, co robili Rzymianie, kiedy się zanadto obżarli: zwymiotować go, cofnąć zegar z powrotem do siódmej wieczorem i jeszcze raz zacząć wszystko dokładnie tutaj, w Straus Parku. Pada śnieg. Nadal jest za wcześnie, żeby dotrzeć na przyjęcie. Wstąpię do kawiarenki na herbatę. A potem wejdę do budynku, udam, że nie jestem pewien, czy to właściwy adres, otrząsnę śnieg z parasolki, popatrzę, jak zwalisty Rosjanin o stentorowym głosie otwiera mi drzwi, i wsiądę do windy, której gotyckie odrzwia niczym nie zdradzają, do czego zmierza dzisiejsza noc. Pragnąłem przeżyć ten wieczór po raz drugi i jeszcze po wielokroć, bo nie chciałem, żeby się skończył, bo nawet jeśli nad tą nocą wisiało coś rzewnego i niedokończonego, wziąłbym to, choć takie rzewne i niedokończone, i uznałbym się za po dwakroć szczęśliwego.

Jutro wieczorem przyjdę tu i od nowa zapalę wszystkie świece, jedną po drugiej, i rozglądając się dookoła, poczuję niemal, jak w każdym zakątku parku nadal rezonuje obecność Clary i mnie, i mojego życia, które przeżywam tak, jak przeżywam, i ojca, który dzisiejszej nocy od samego początku niepostrzeżenie dla mnie podążał w moje ślady, a ja czepiałem się go jak cienia, który może się w każdej chwili rozpuścić, lecz mimo to wraca, żeby spojrzeć na mnie po raz ostatni, jakby zapomniał kluczy, a potem znowu, bo nie wziął okularów, i jeszcze raz, bo nie sprawdził, czy zakręcił gaz w kuchence, i będzie tak wracał jeszcze wiele razy niczym biedny, nieznający spoczynku, udręczony człowiek, prawie nieznający miłości – i ja też będę wracał do tego miejsca w obawie, że czegoś tu zapomniałem, ale ze świadomością, że tym, co zostawiamy za sobą, jest nasza cienista jaźń, tylko że to właśnie ona stanowi najszczerszą i najbardziej trwałą ze wszystkich naszych jaźni.

Obejrzałem się po raz ostatni i pomyślałem, jak bardzo zawsze lubiłem ten mały park i jak łatwo byłoby wrócić tu jutro wieczorem i posiedzieć przez jakiś czas, i w białej godzinie poprzedzającej świt od nowa – jak zawsze od

nowa – kontemlować nieśmiertelną ciszę gwiazd.

## Noc druga

Od razu ją zauważyłem. Stała przed kinem. Przy kasie kłębili się ludzie, a kolejka osób zaopatrzonych już w bilety ciągnęła się na pół ulicy. Ruszyłem z wysepki pośrodku jezdni, jeszcze zanim zmieniło się światło. Kiedy znowu rozejrzałem się po tłumie, zniknęła. Byłem niemal pewien, że to Clara.

Cały dzień spędziłem na rozmyślaniach o niej i już dwa razy – podczas lunchu i potem w Starbucksie – przysiągłbym, że dostrzegłem ją kątem oka, jakby moje pobożne życzenia wybiegały przede mną i nadawały jej rysy każdej osobie, która choć odrobinę ją przypominała. Gdybym teraz wpadł na nią po raz trzeci, zniszczyłoby to całą spontaniczność i pozwoliło mi wypowiedzieć słowa, które godzinami sobie ćwiczyłem – wszystko od początkowego zaskoczenia i radości, że na nią wpadam, poprzez udawanie, że z trudem ją sobie przypominam – „Ach, no tak, wczoraj wieczorem, na przyjęciu u Hansa, faktycznie” – poprzez desperackie, nadgorliwe pragnienie powrotu do tego początkowego zaskoczenia, odrzucenie wszelkiego kamuflażu i wyrzucenie z siebie pozornie pod wpływem chwili: „Przez cały dzień nie mogłem przestać o tobie rozmyślać, Claro, przez cały dzień”.

Bo przez cały dzień właśnie to robiłem. Kiedy szukałem sklepu otwartego w Boże Narodzenie i nie mogłem go znaleźć, i w zatłoczonej taniej jadłodajni (bo wszystko inne było pozamykane) podczas lunchu z Olafem, który bez chwili wytchnienia wylewał z siebie pretensje do żony, i kiedy próbowałem w ostatniej chwili kupić świąteczne prezenty – cały ten dzień wypełniały mgliste przeczucia, że wczorajsza noc może się wydarzyć jeszcze raz. Cały dzień spędziłem jak pod urokiem naszego rozstania na śniegu, Clary w moim płaszczu, ale nie w moim płaszczu, pożegnania i uścisku ręki, kiedy odprowadziła mnie na przystanek i pobiegła z powrotem do swojego budynku, oddała portierowi pożyczoną parasolkę, nie odwracając się, ale jednak odwracając się w ostatniej chwili, i każda najmniejsza część mnie kurczowo czepiała się wspomnienia jej łokcia na moim ramieniu, jej kasztanowych zamszowych butów odgarniających śnieg, papierosa,

ekschłopaka, Krwawej Mary, którą ledwie tknęła i potem porzuciła na balkonie, podczas gdy ja gapiłem się na jej rozpiętą bluzkę i cały wieczór się zastanawiałem, dlaczego ktoś tak opalony ma tak jasne piersi. Przez cały dzień nie mogłem przestać o tobie rozmyślać, cały dzień.

Czy miałbym odwagę jej to powiedzieć?

Przyłapałem się na wypowiedaniu w myślach życzenia: jeśli tylko zmaterializuje się dziś na rogu Broadwayu i Dziewięćdziesiątej Piątej, powiem jej, że przez cały dzień nie mogłem przestać o niej rozmyślać. Spokorniały, ufny, szczęśliwy – powiem jej, nieważne, jakby miało to wypaść.

Albo tak: „Właśnie o tobie myślałem” – z zawadiackim uśmiechem, niemal jakbym sam nie był do końca przekonany, czy mówię prawdę. Ona by wiedziała, jak to odczytać.

Na wszelki wypadek już teraz przybrałem minę świadcząca o pośpiechu i rozkojarzeniu, co miało stanowić rzekomą przyczynę, dla której tak śmiało przebiegłem przez Broadway – i usprawiedliwić fakt, że nie zauważyłem jej wcześniej.

„Miałem nadzieję, że to ty... ale pomyślałem sobie, że to niemożliwe... i proszę, to jednak naprawdę ty”.

Wypróbowywałem te kwestie, jakbym dopasowywał krawat do koszuli, jednocześnie starając się ze wszystkich sił nie patrzeć w kierunku tłumu. Nie chciałem, żeby wiedziała, że już wcześniej ją zauważyłem i tylko udaję zaskoczenie. Wolałem sobie wyobrażać, że to ona rozpozna mnie pierwsza i sama do mnie podejdzie.

Ale miałem też inny powód, żeby nie patrzeć w jej stronę. Nie chciałem rozwiązać iluzji ani pozbawić się dreszczyku emocji, jaki wywołało we mnie to, że przypadkiem na nią wpadłem. Chciałem, żeby złudzenie przetrwało, i niczym dobrze wychowany Orfeusz, zdeterminowany, żeby dotrzymać swojej części umowy, przekonywałem się w myślach, że ona już mnie zauważyła i szła właśnie ku mnie, o ile tylko się za siebie nie obejrzą. Pragnąłem otoczyć skulonymi dłońmi tę maleńką, skrytą, wstydliwą nadzieję, jakby wystarczyło tylko, że nie spojrzę w tamtą stronę – że będę uparcie odwracał wzrok i zachowam pozory – a Clara podejdzie do mnie od tyłu,

zakryje mi oczy rękami i powie: „Zgadnij, kto to”. Im bardziej opierałem się pokusie spojrzenia w jej kierunku, tym bardziej czułem jej oddech muskający mnie po karku, coraz bliżej i bliżej, tak jak wtedy na przyjęciu, kiedy jej usta niemal dotykały mojego ucha za każdym razem, gdy coś do mnie szeptała. W tym pełnym nadziei oczekiwaniu, kiedy starałem się zamaskować wszelkie ślady świadomości, że ktoś mnie obserwuje, było coś tak urzekającego, że przyłapałem się nawet na próbach powściągnięcia swoich pragnień – absolutnie wykluczone, że to naprawdę ona, co ja sobie wyobrażam! – choć jednocześnie cały czas zdawałem sobie sprawę, że ten otrzeźwiający strumień kontrnadziei wypływa nie tylko z wiedzy, że życie rzadko obdarowuje nas tym, czego pragniemy, ale stanowi też mój własny pokrętny sposób na zaklinanie losu: bo z drugiej strony życie uwielbia też spełniać nasze życzenia, kiedy już praktycznie straciliśmy wszelką nadzieję i pogodziliśmy się z rozpaczą.

Nadzieja i kontrnadzieja. Najpierw wydaje ci się, że ją zauważyłeś, potem nie możesz się zmusić, żeby w to uwierzyć, a wahając się pomiędzy tymi dwiema możliwościami, jednocześnie nieustannie szukasz czegoś, co mógłbyś do niej powiedzieć, pozy, którą mógłbyś przybrać: ukryć radość – okazać radość – okazać, że ukrywasz radość – okazać, że okazujesz radość w pełni. Aż wreszcie orientujesz się, że to był tylko ktoś, kto ją przypomina. Czar pryska. To zupełnie inna kobieta.

Wtedy jednak – ponieważ rzeczy, do których wypowiedzenia już się przygotowałeś, ekscytowały cię i zdawały się okrywać cię ciepłym kocem w zimny wieczór – nagle przyłapujesz się na tym, że wolisz już sam pozbawić się tego dreszczu radości niż pozwolić, żeby inni zrobili to za ciebie. Być może – zaczynasz myśleć – tak będzie lepiej; tego typu spotkania nigdy się nie zdarzają, łudzenie się nadzieją jest bez sensu, a poza tym wreszcie będziesz mógł spędzić spokojny wieczór w kinie, cały dzień na to czekałeś i wszystko jest tak, jak sobie zaplanowałeś. Ty i kino po prostu spędzicie razem kilka miłych godzin, choć z powodu na wpół dostrzeżonej w tłumie twarzy może naprawdę coś mogłoby się między wami wydarzyć, jakby na swój własny dziwny sposób kino było w stanie spełnić wszystko, o co prosiłeś, tylko że na ekranie.

Później, po seansie, zapewne znowu poczuję nadzieję, że zobaczę ją przy

okienku kasy. Złudzenie, że ją widziałem, zaczęło już rzucać swój promienny czar na cały wieczór i wiedziałem, że jest to coś, co będę mógł zabrać ze sobą na film i zaszyć się z tym na kilka godzin, a po seansie cieszyć się poczuciem, że dziś wieczorem naprawdę przydarzyło mi się coś, co wydarza się w kinie między kobietami a mężczyznami.

Może to ostatnie złudzenie było tylko rozpaczliwą próbą poprawienia sobie nastroju, zanim spiszę ten dzień na straty i na pięć godzin dam się zamknąć w kinie. Kiedy nadejdzie północ – pomyślałem – będzie już jutro... i to dziwne Boże Narodzenie, które rozpoczęło się w baśniowej palmiarni i potem wydawało mi się tak absolutnie bezcelowe, wreszcie odejdzie w przeszłość jak nieprzycumowane czółno, które dryfuje w dal na fali dziennego-codziennego przyływu.

Złapię autobus albo wrócę do domu piechotą, albo podskoczę taksówką do centrum, albo wstąpię gdzieś po drodze, choćby po to, żeby przed końcem wieczoru zobaczyć jeszcze jakieś ludzkie twarze.

Zobaczyć twarze w przeciwieństwie do niewidzenia niczego. Twarze. Ludzi. Ludzi o północy, innoludzi, którzy stawiliby czoło nawet sztormowi, żeby wyskoczyć po papierosy, wyprowadzić na spacer psa, przekąsić coś, kupić gazetę, albo – jak ja – zobaczyć jakieś twarze.

Zacząłem myśleć o miejscach, do których mógłbym się wybrać po filmie. Może do jakiegoś grill-baru. Albo do Tajskiej Zupy.

Miałem dobre wspomnienia z Tajskiej Zupy.

„Zupa okopowa – powiedziałyby Clara – z pandelkiem z wołowiny”. Ależ tęskniłem za tym, w jaki sposób brała jakąś myśl i odwracała ją na drugą stronę, a potem z powrotem przywracała do poprzedniej postaci, zmieniając ją bezpowrotnie.

I wtedy ją ujrzałem.

Chciałem wyglądać na zaskoczonego – ale nie kompletnie zdumionego – jakbym spodziewał się czegoś podobnego, tylko że wypadło mi to z głowy i przestałem się nad tym zastanawiać.

Może teraz, kiedy moje życzenie zostało spełnione, mógłbym znaleźć sposób, żeby zmienić nieco jego warunki, i nie będę się już czuł zobowiązany



powiedzieć Clarze, że nie mogłem przestać o niej rozmyślać przez cały dzień, cały dzień.

– Clara? – zapytałem z przesadnym zdziwieniem, jak to zwykle ludzie, kiedy podbiegają pospiesznie, żeby się przywitać, z obawy przed tym, że ktoś posądzi ich o próbę uniknięcia rozmowy.

– No jesteś. Wreszcie! – krzyknęła. – Z milion razy do ciebie dzwoniłam, ale ciągle nie było cię w domu. – Zabrzmiało to niemal jak wyrzut kochanki. – Myślałam, że zmieniłeś zdanie i nie przyjdiesz.

Żeby udowodnić, że mówi poważnie, pokazała mi dwa bilety zaciśnięte mocno w zaczerwienionych palcach.

– Czekałam i czekałam. A jest... niesamowicie... zimno – dodała, jakby to wszystko była moja wina. – Widzisz? – Położyła mi dłoń na policzku, żeby pokazać, jak zmarzła. – Tyle razy wybierałam twój numer, że znam go już na pamięć. Patrz... – Odwróciła ku mnie telefon i zaczęła przewijać w dół nieskończone numery do znajomych. Dopiero po kilku chwilach rozpoznałem cyfry na kolorowym ekranie. Pod numerem kontaktowym zobaczyłem coś jeszcze, co wyglądało przedziwnie znajomo: moje imię i nazwisko – najpierw nazwisko, potem imię. Czyżbym oficjalnie trafił na listę jej głównych kontaktów?

– Dlaczego nie odbierasz télyfönu?

Nie wiedziałem, dlatego nie odbierałem télyfönu.

Ja na jej miejscu nigdy nie zapisałbym kogoś w komórce. Wprowadzenie do listy kontaktów zupełnie nowej osoby stłamsiłoby wszelką iskrę niepewności, zmroziłoby pełne wzruszenia wahanie, z którym wpatrujemy się w obce imię, zanim dopuścimy je do rejestru naszego życia; zamiast tego umieściłbym je w zawieszeniu, w pustce – dopóki się nie „sprawdzi”. Mimowolna literówka na papierowej serwetce, imię pospiesznie zapisane na mrozie, celowy brak nazwiska, żeby pokazać, że właściwie wcale nie wiemy, czy zadzwonimy – wszystko to są nie tylko oznaki wewnętrznej nieśmiałości i niezdecydowania na krętej ścieżce wiodącej do innych ludzi; są to także luki pozostawione w egzaltacji, płytkie moczary, które sobie pozostawiamy na wypadek, gdybyśmy chcieli się szybko wycofać. Sam nigdy nie zapisałbym jej jako Clary Brunschvicg. W ogóle nie wprowadziłbym do telefonu jej

imienia ani numeru. A gdybym przyłapał się na tym, że znam go już na pamięć, dołożyłbym wszelkich starań, żeby go od-pamiętać.

Nagle dotarło do mnie, że Clara powiedziała dokładnie to, co sam bym powiedział w podobnych okolicznościach. Tylko że ja zrobiłbym to z przeciwnych powodów. Zachowałbym się z nadmierną wylewnością, tak jak ona, aby pokazać, że traktuję to wszystko bardzo lekko. Czyżby jej głos był głosem nieśmiałości zasłaniającej się płaszczem hiperbolicznego utyskiwania na pogodę, na mój telefon, na mnie...? A może Clara po prostu nie ukrywała tego, czego większość ludzi nie chce okazywać za wcześnie? I czy było jeszcze za wcześnie?

Czyżby jej myśli biegły tymi samymi torami co moje?

A może tylko mówiła mężczyźnie coś, co bardzo chciał usłyszeć z ust kobiety na pierwszej randce?

Czy to była nasza pierwsza randka?

Zastanawiałem się, czy Clara przygotowała sobie te kwestie.

Ja bym tak zrobił.

A potem pomyślałem: Jeśli tak, to jeszcze lepiej. Bo to by znaczyło, że zależało jej na tyle, żeby przygotować sobie, co powie.

I nagle przypomniałem sobie, że wcale nie dawałem jej mojego numeru. I nie było mnie w książce telefonicznej.

Chyba odgadła, o czym myślę.

– W życiu nie zgadniesz, kto dał mi twój *télyfön*.

– Kto taki?

– No przecież mówię, że nigdy nie zgadniesz. Przyniosłam nam coś – dodała, wyciągając białą papierową torbę z jedzeniem i napojami.

– Jestem... pod wrażeniem. – Pauza.

– On jest pod wrażeniem. – Wyduła usta i odwróciła wzrok, jakby sygnalizując ukryte zniecierpliwienie moim dziwnym zmanierowaniem. Natychmiast rozpoznałem w tym udawane kpiarstwo, jak poprzedniego wieczoru, kiedy przekomarzaliśmy się na tarasie. Brakowało mi tego,

cieszyłem się, że wróciło, za długo byłem tego pozbawiony. – Z milion razy – powtórzyła jakby do siebie.

W jej słowach kryła się zarówno otwarta śmiałość charakterystyczna dla ludzi, którzy potrafią wyznawać trudne rzeczy ledwo poznanym osobom, jak i widmo ironii, która przychodzi im na ratunek, kiedy stwierdzają, że te trudne rzeczy wcale nie są dla nich trudne.

Każdy poza mną wyczytałby z tego wszystkiego jak najbardziej zachęcające sygnały.

Nie mógłbym się bardziej ucieszyć na widok Clary stojącej tam i czekającej na mnie z dwoma biletami i na dodatek poczęstunkiem, z miną sugerującą, że wszystko zaplanowała już wtedy w kościele, kiedy wspomniałem o retrospektywie Erica Rohmera. Wyobraziłem sobie, jak budzi się rano i zamiast pomyśleć o Inkym, zaczyna układać plan, jak spotkać się ze mną wieczorem. Najpierw postara się zdobyć mój numer. Potem, kiedy już będzie go miała, zadzwoni do mnie. Późnym rankiem. Wczesnym popołudniem. W końcu będzie musiała zostawić mi wiadomość. Tylko że nikt nie zostawił mi wiadomości.

– Ludzie stojący na mrozie sprawdzają chyba od czasu do czasu swoje automatyczne sekretarki – powiedziała, przypominając sobie moje słowa.

– A ci, którzy się dekują?

– Ci, co się dekują, nadal mogą się zdobyć na wysiłek, żeby do kogoś zadzwonić. Ja przestałam do ciebie wydzwaniać dopiero kilka minut temu.

– Skąd wiedziałaś, że tu będę?

Właściwie zamierzałem zapytać, skąd wiedziała, że przyjdę tu dziś sam.

– A co, gdybym się nie zjawił?

– To obejrzałabym film w pojedynkę. A poza tym – dodała, jakby do tej pory nie przyszło jej to do głowy – przecież się umówiliśmy.

Czy wiedziała, że wiem, że wcale się nie umawialiśmy? A jeśli nagle udam, że owszem, to zrobię to nie tyle po to, żeby pozwolić jej zachować twarz, ile żeby nie musieć jeszcze decydować, jaką pozę mam przybrać.

Ale może to był zwyczajnie jej sposób na zwerbalizowanie

niewypowiedzianego powodu, dla którego wczoraj wieczorem w ogóle wspomniałem o retrospektywie Rohmera. Może faktycznie się umówiliśmy i pozostało to niedookreślone wyłącznie w moim umyśle, bo nie mogłem się zmusić, żeby uwierzyć, że można załatwić sprawę tak prosto?

– Claro, tak się cieszę, że jesteś.

– Ty się cieszysz! A pomyśl, jak idiotycznie bym się czuła, gdybym tak stała na mrozie z tymi dwoma biletami. Wejść, czekać jeszcze, a co, jeśli on się nie zjawi, może zwrócić te bilety albo zatrzymać sobie jeden, a drugi oddać jakiemuś koleśowi, któremu będzie się wydawać, że to daje mu prawo do tego, żeby ze mną rozmawiać przez całe dwa filmy, o ile zdołam wysiedzieć do końca? Mam tylko nadzieję, że są dobre – dodała, jakby nie do końca w to wierzyła, póki nie zobaczyła kolejki pod kinem i nie zdołała kupić dwóch biletów na kilka minut przed wyprzedaniem ostatnich miejsc. A może w ten sposób chciała mnie skomplementować, bo gdyby to zależało od niej samej, w życiu nie wyszłaby na taki mróz dla filmów Rohmera, o ile nie ufałaby człowiekowi, który je kochał.

Ledwie zdążyliśmy wymienić kilka zdań, kiedy Clara zaczęła przeklinać pod nosem organizatorów retrospektywy i wygłosiła udawaną tyradę przeciwko samej idei seansów rozpoczynających się o dziewiętnastej dziesięć. Dziewiętnasta dziesięć to za wcześnie. Dziewiętnasta dziesięć jest dla ludzi, którzy muszą się kłaść przed północą. Dziewiętnasta dziesięć to pora dla tłuków.

– Co robiłam w pierwszy dzień Bożego Narodzenia roku Pańskiego tego i tamtego? Poszłam do kina na dziewiętnastą dziesięć.

– No popatrz, ja też wybrałem się wtedy do kina.

– Coś podobnego.

I znowu. Udawana złośliwość – jakby ktoś niespodziewanie wziął cię pod ramię, kiedy idziecie obok siebie. To był jej sposób, żeby powiedzieć, że podjęte przez nią ryzyko się opłaciło. Zapamiętam to. „W pierwszym dniu Bożego Narodzenia roku Pańskiego tego i tamtego” – ależ mi się podobał ten początek. Pasował do śniegu przed kinem, mglistych aureoli blasku otaczających światła drogowe na Broadwayu, ludzi drżących z zimna w kolejce i niecierpliwie czekających na seans *Mojej nocy u Maud*.

– Nie zdążyłam nic zjeść. Ty pewnie też nie – mówiła dalej Clara, kiedy staliśmy przed wejściem i z udawanym wzburzeniem ciskaliśmy pod nosem klątwy na pogodę. Opowiedziałem jej o Tajskiej Zupie i tamtejszym rosole krewetkowym, który na kilometr czuć było czosnkiem. Roześmiała się. Może podobało jej się, że posłużyłem się jej słowem z poprzedniego wieczoru. Jej śmiech był głośny i zwrócił uwagę jednego z bileterów, który zgromił nas niezadowolonym wzrokiem.

– Patrz na niego – szepnęła Clara, wskazując jego wojskową fryzurę i szerokie bary. – I co to za zęby? Ludzie o takich twarzach wymyślają pory w rodzaju dziewiętnastej dziesiątej.

Parsknąłem śmiechem.

– Cicho, zobaczył nas – syknęła, jakby bawiła się w kotka i myszkę, po czym wsunęła białą papierową torbę pod połę płaszcza. Rosły bileter z przypinanym krawatem i chodem klubowego ochroniarza podszedł w naszym kierunku.

– Wyście na seans o siódmej dziesiątej? – zapytał.

– *Potwierdit*. Myście na seans – odparła Clara, patrząc mu prosto w oczy i podając bilety. Wziął je jedną ręką i zamiast rozerwać, położył z powrotem na jej dłoni coś, co wyglądało jak kulki z papieru, którymi rzucają w siebie uczniaki.

– A to co? – spytała Clara, patrząc na zmaltretowane bilety. Bileter nie odpowiedział. – On je normalnie przeżuł rękami – powiedziała, kiedy zajmowaliśmy swoje miejsca. Ponownie pokazała mi białą papierową torbę. – Przyniosłam kawę.

– Dla mnie też? – zapytałem, jakbym nie słyszał, kiedy mówiła to za pierwszym razem.

– Nie, zawsze kupuję tylko dla siebie – zachnęła się, podając mi kubek z miną mówiącą: „On stale wymaga dowodów zainteresowania”. Patrzyłem, jak zdejmuje plastikowe wieczko, rozrywa saszetkę z cukrem, słodzi, z powrotem nakrywa i odgina jęczyczek zakrywający otwór do picia. – Lubię kawę.

Brzmiało to tak, jakby to wyznanie wymagało od niej odwagi.

Powiedziałem, że ja też lubię kawę. A to była dobra kawa. Lubilem pić kawę w kinie. I podobały mi się nasze miejsca. Wszystko było idealne. I zanim zdołałem się powstrzymać, powiedziałem to na głos.

– Myślisz, że byłam dla niego wredna?

– Dla kogo?

– Tego koleś przy wejściu. Bo założę się, że nikomu nie posłał równie morderczego spojrzenia, od kiedy ostatni raz zaprawił się stolicznąją u Bratislawowicza. Wariatuńcio.

Czekaliśmy, aż na sali kinowej zgasną światła. Kolejna niespodzianka. Clara pogrzebała głębiej i wyciągnęła z papierowej torby dużą przepołowioną kanapkę.

– Bardzo tre gurve – szepnęła, wymierzając od niechcienia cios w manhattańską obsesję na punkcie rozkoszy kulinarnych. Poczulem obezwładniający zapach czosnkowego sera i prosciutto. Clara znowu się roześmiała. Ktoś nas uciszył.

Zsunęliśmy się niżej na fotelach.

– Ale to nie będą żadne nudy, prawda? – zapytała, kiedy zaczęły się wyświetlać napisy.

– Niewykluczone, że śmiertelne.

– Super. Chciałam tylko mieć pewność, że nie będę w tym osamotniona.

Zza naszych pleców znowu dobiegło karcące: „Ćśś!”.

– Sam się ucisz!

I nagle znaleźliśmy się w czarno-białym wszechświecie, którego przez cały dzień nie mogłem się doczekać. Miasto Clermont-Ferrand w okolicach Bożego Narodzenia, człowiek zgłębiający myśli Pascala w miejscu urodzenia filozofa, droga samochodem przez wąskie zatłoczone uliczki prowincjonalnej francuskiej miejscowości, udekorowane świątecznymi lampkami. Blondynka. Brunetka. Kościół. Kawiarnia. Czy Clarze na pewno się to spodoba?

Nie odważyłem się spojrzeć w jej stronę. Czy ludzie chodzą razem na filmy, żeby je oglądać, czy żeby być razem? A może dlatego, że się lubią i to

właśnie się czasami robi, kiedy się kogoś lubi – chodzi się do kina, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Czy można przeskoczyć z chodzenia na filmy do bycia razem? I w którym momencie przestajemy skakać z jednego na drugie? I czemu w ogóle się nad tym zastanawiałem? Czy zastanawianie się automatycznie stawiało mnie po stronie tych, którzy nie do końca wiedzą, co jest naturalne, i podejrzewają, że inni nie podzielają ich samozwątpienia? A może to inni potajemnie żywią nadzieję, że wszyscy są tak samo nieśmiali jak oni? Czy Clara też rozmyślała, co to znaczy być naturalnym? A może zwyczajnie oglądała film?

Wpatrywała się z natężeniem w ekran, jakby z rozmysłem postanowiła mnie tymczasowo ignorować. Nagle bez ostrzeżenia wymierzyła mi łokciem kuksańca, przygryzając jednocześnie policzki i patrząc prosto przed siebie – przeżuwała jakieś słowa, bez wątpienia kąśliwe. Widziałem, jak podczas rozmowy z Rollem na tarasie zrobiła to samo pod wpływem powściąganego gniewu. Dlaczego mnie tak dźgnęła?

Wreszcie zrozumiałem. Wcale nie była zdenerwowana. Z trudem powstrzymywała się od śmiechu, a dając mi kuksańca – co właśnie zrobiła po raz drugi – chciała zyskać pewność, że jestem świadomy jej zmagañ i (jeszcze lepiej) że sam też będę chciał się roześmiać.

– Co mnie opętało, że poprosiłam o czosnusiowy ser... Co ja sobie myślałam?

Już miałem zaproponować możliwą odpowiedź, kiedy znowu dźgnęła mnie łokciem i machnęła ręką, żeby mnie uciszyć, jakby każde moje słowo mogło przyprawić ją o wybuch śmiechu. W jej oczach wzbierały łzy wstrzymywanej wesołości – przez co i ja wreszcie zacząłem chichotać.

– Masz ochotę na więcej czosnusi? – zapytała. Teraz to ja z kolei musiałem uciszyć ją gestem.

Dopiero po kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że wymyśliła kolejną wersję słowa, które dodałem już do naszej prywatnej kuchniomowy. Przy Clarze nie można było pozwolić sobie na uśpienie czujności.

Film. Blondynka. Brunetka. Blondynka jest cnotliwa, brunetka to kusicielka. Katolik nie pozwala się omotać. Uwięziony w Wigilię przez śnieg, zmuszony jest spędzić noc w mieszkaniu brunetki, w jej sypialni,

wreszcie w jej łóżku. Nic się nie wydarza, ale tuż przed świtem, kiedy ciało jest słabe i bohater wreszcie zamierza wykonać pierwszy ruch, ona wyskakuje nagle z łóżka. „Wolę mężczyzn, którzy wiedzą, czego chcą”. Rankiem, przed kawiarnią, mężczyzna wpada na blondynkę.

Podczas przerwy Clara nagle podniosła się i powiedziała, że musi do kogoś zadzwonić.

Kiedy zostałem sam, rozejrzałem się w przyćmionym świetle po sali kinowej, patrząc na nowych widzów, którzy przeważnie wchodzili parami. Pojawiła się grupka złożona z czterech mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy mieli w rękach wielkie kubki i nie mogli się zdecydować, gdzie usiąść, aż w końcu jedno z nich pokazało rząd na tyłach i szepnęło: „Może tam?”. Jakaś para wstała, żeby ich przepuścić. Jedna osoba z piątki odwróciła się do innej i powiedziała: „Podziękuj”. „Dziękujemy” – powtórzyła żartobliwie tamta. W atmosferze czuło się powściągane podniecenie. Ludzie przyjechali na ten seans z całego miasta i pomimo dzielących ich różnic wiedzieli, że coś ich jednak łączy, choć nie dało się powiedzieć, co dokładnie. Może miłość do filmów Erica Rohmera. Albo do Francji, albo do idei Francji, albo do tych pełnych zamieszania, intymnych, przypadkowych momentów w życiu, które Rohmer pożyczal sobie na godzinę czy dwie; przeciągał je, tonował ich szorstkość, wymazywał czynniki przypadkowe, nadawał rytm, kadencję, nawet mądrość, po czym wyświetlał je na ekranie z obietnicą, że po seansie je odda, choć odrobinę zmienione, żebyśmy mogli odzyskać swoje życie, ale spojrzeć na nie z drugiej strony – nie takie, jakim było naprawdę, ale jakim zawsze je sobie wyobrażaliśmy: ideę naszego życia.

Próbowałem sobie wyobrazić tę piątkę przyjaciół stłoczoną w kącie sąsiedniego Starbucksa i czekającą na koniec pierwszego filmu, po czym spieszącą się na początek drugiego. I przyszli. Jedno z nich wyjęło torebkę z paczkami, którą wniosło ukradkiem pod płaszczem, i częstowało właśnie resztę. Po jakiejś minucie na salę weszła kolejna dziewczyna z ogromnym pudełkiem popcornu. Przez chwilę rozglądała się zagubiona, po czym odszukała wzrokiem swoich przyjaciół i weszła do nich po schodkach. „Kupiłam też to” – powiedziała, wyciągając dwie duże paczki m&m’sów.

Podobało mi się zagubienie w tym tłumie, podobali mi się ci ludzie, którzy uciekli przed zatłoczonym, zimnym, oświetlonym reflektorami



miastem do tej cichej oazy na Upper West Side, gdzie mieli nadzieję pochwycić przebłysk wyobrażonej, duchowej Francji. Podobała mi się świadomość, że Clara stoi tam gdzieś na korytarzu i zaraz znowu tu będzie – podobało mi się, że mogliśmy odgrodzić się na kilka godzin od świata i że (gdy tylko Clara wróci z miejsca, do którego poszła, żeby wykonać telefon) znowu usiądziemy razem tuż obok siebie jak pasażerowie na wypakowanym podróżnikami promie i ponownie zapijemy się w ten dziwny, urzekający, fantastyczny świat stworzony przez Rohmera, który mógł kryć się bardziej w nas samych niż w tych filmach. Rozejrzałem się po siedzących w kinie grupkach i parach: niektóre ewidentnie były szczęśliwsze niż inne – szczęśliwsze niż ja, niż ludzie, którzy nie byli kochankami, choć mimo to dobrze było przebywać wśród nich. Podobała mi się myśl, iż wczorajsza późnonocna wzmianka o Rohmerze sprawiła, że Clara zapragnęła obejrzeć ze mną ten film.

Nie tak wyobrażałem sobie ten wieczór. Ale teraz cieszyłem się, że obrał taki kurs, że ktoś pojawił się w nim nieoczekiwanie i że tym kimś była właśnie Clara, Clara, z którą śmiech przychodził mi łatwiej niż z kimkolwiek innym, Clara, która wiedziała, jak doprowadzić do różnych rzeczy, zanim jeszcze zdążyłem zdać sobie sprawę, że ich pragnę, i która dzięki tym dwóm biletom kupionym jeszcze przed moim przybyciem dała mi najlepszy świąteczny prezent, jaki dostałem od czasów dzieciństwa – prezent, który mógł jednakże rozwiać się i zamienić w nicość, bo może dokładnie w tej chwili Clara rozmawiała z innym mężczyzną i jako osoba impulsywna wróci tu zaraz tylko po to, żeby zabrać swoje rzeczy, a ja zostanę sam, uwięziony na widowni. „Sorry, muszę lecieć. Fajny film – i miło było się spotkać”.

Ale kiedy tak siedziałem i się zamartwiałem, zdałem sobie sprawę, że zamartwianie to mój sposób na symboliczne oddanie sprawiedliwości bezpodstawnym obawom, zanim otwarcie przyznam, że dzisiejszego wieczoru naprawdę jestem szczęśliwy. Czekanie na Clarę dawało mi szczęście. Bawienie się myślą, że ona wzgardziłaby tym, jak na nią czekam, dawało mi szczęście. Szykowanie się na jej nagłe pożegnanie, gdy tylko za dwie godziny wyjdziemy z kina, dawało mi szczęście. A tym, co czyniło mnie jeszcze szczęśliwszym, nie był fakt, że po zaledwie jednym dniu znowu byliśmy razem, ale że dzięki niej przebieg tego dnia nagle zaczął mi się podobać – nagle spodobało mi się moje życie i sposób, w jaki je

przeżywałem. Clara była twarzą, którą nadałem swojemu życiu i sposobowi, w jaki je przeżywałem, była moimi oczami na świat, który spoglądał z powrotem ku mnie. Ludzie w kinie, moi znajomi, przeczytane książki, lunch z Olafem, który utyskiwał na żonę, miejsca, w których mieszkałem, moje życie na mrozie i wszystkie rzeczy, których nadal pragnąłem – pod jej urokiem wszystkie niespodziewanie przybrały droższe i bardziej kruche oblicze; byłem pod wpływem uroku, który (jak wszystkie uroki) objawiał mi nowe kolory, nowych ludzi, nowe zapachy, nowe nawyki, odsłaniał nowe znaczenia, nowe wzorce, nowy śmiech, nowe kadencje wszystkich rzeczy – nawet jeśli przez cały ten czas drobna, niewidoczna, nieodkryta część mnie była całkowicie skłonna do podejrzeń (jak gdyby na wszelki wypadek), że być może przedkładałem ten urok ponad rzucającą go osobę, przedkładałem pełen zakodowanych znaczeń sparing ponad osobę, z którą się sparowałem, przedkładałem wersję mnie-dzięki-Clarze ponad samą Clarę.

Clara zostawiła na fotelu płaszcz. Położyłem na nim rękę, popatrzyłem na tkaninę, dotknąłem podszewki. To był mój sposób przypomnienia sobie, że nie jestem sam, że wkrótce ona wróci i znowu zajmie ten fotel, i powie mi – a może i nie – dlaczego tyle to trwało. Czasem samo położenie płaszcza na fotelu obok, kiedy idę do kina w pojedynkę, pozwala mi przywołać w mroku czyjąś obecność, wyobrazić sobie, że ktoś wyszedł na chwilę i zaraz wróci – jak to bywa późną nocą, kiedy ci, którzy odeszli z naszego życia, nagle kładą się przy nas, gdy tylko wyszepczemy w poduszkę ich imiona. Clara – pomyślałem; i zaraz się zjawi, usiądzie obok mnie.

Słuchając skrzypcowej sonaty Beethovena, którą zawsze grają w tym kinie, gdy tylko rozpoczyna się przerwa między seansami, przypominałem sobie, że nie więcej jak trzy zimy temu zrobiłem to samo z płaszczem innej kobiety, podczas gdy ona poszła kupić napoje w sklepiku. Udawałem, że ze sobą zerwaliśmy albo że ona w ogóle nie istnieje, żebym mógł cieszyć się radosnym zaskoczeniem, kiedy jednak wróciła i usiadła na sąsiednim fotelu. Potem wyszliśmy z kina, kupiliśmy niedzielną gazetę i ruszyliśmy w śniegu do domu, rozmawiając o *Maud* i *Chloé*, wpadając na kolację do przypadkowej knajpy po wizycie w księgarni. Wydawało mi się, że to było tak dawno temu. I przypominałem sobie o wiele młodszego mnie, który przyszedł kiedyś w sobotni wieczór do tego kina i rozglądając się za miejscem, na którym mógłby usiąść, nie przeszkadzając zbyt wielu osobom,

usłyszał przypadkiem, jak pewien mężczyzna pyta swoją towarzyszkę: „Lubisz Beethovena?”. Kobieta, która powiesiła płaszcz na oparciu swojego fotela, nachyliła się po jakąś rzecz, po czym odwróciła się do mężczyzny i odparła coś w rodzaju: „Tak, bardzo, ale tej sonaty nie znoszę”. Nawet ja widziałem, że byli na pierwszej randce.

Tamtego wieczoru rzucałem pełne nadziei i zdumienia spojrzenia w przyszłość, zadając sobie pytanie, kim będzie moja kobieta, która usiądzie przy mnie, posłucha tego Beethovena i powie: „Tak, ale tej sonaty nie znoszę”. Wiedzieli o sobie tak niewiele, że ten człowiek musiał pytać, czy ona lubi Beethovena. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że może zwyczajnie usiłował znaleźć jakiś temat do rozmowy.

„Tak, ale tej sonaty nie znoszę”, powtórzyłem w myślach, tak jakby nieco zirytowany ton głosu tamtej kobiety krył w sobie klucz do życia, jakie pragnąłem pewnego dnia prowadzić – słowa nabrzmiące wyznaniem równie poruszającymi i śmiałymi jak komplement, którego nigdy dotąd nie słyszałem, choć rozpaczliwie pragnąłem go powtórzyć. „Tak, ale tej sonaty nie znoszę” oznaczało: „Tobie mogę powiedzieć wszystko. Dobrze być razem w ten zimny wieczór. Przysuń się bliżej, zetkniemy się łokciami”. Teraz, myśląc po latach o jej szczerzej odpowiedzi, zdałem sobie sprawę, że w tej chwili wiem nie więcej o mieliznach oddzielających kobiety i mężczyzn niż wtedy; nie pamiętałem nawet, co za utajone życzenie wypowiadałem tamtego wieczoru, kiedy siedziałem sam i myślałem o swojej przyszłości z nadzieją, że zdołam prześledzić wzór, jaki nakreśli moje życie, i nawet przez myśl mi nie przeszło, że pytania, które zadawałem światu, wrócą do mnie po latach, kołyszac się na falach w tej samej butelce, pozostawione bez odpowiedzi.

Tyle lat, a ja nadal usiłuję znaleźć temat do rozmowy!

Tyle lat, a ja nadal chcę tylko udowodnić, że nie przerażają mnie milczenie i kobiety.

Znowu pomyślałem o tamtej parze. Po wyjściu z kina, kiedy wszyscy czekali, aż przestanie padać deszcz, zobaczyłem ją jeszcze raz. Minęły lata. Wreszcie ktoś się pojawił w moim życiu i być może na naszej pierwszej randce ja również zapytałem ją, co myśli o Beethovenie, i czyniąc to,

odhaczyłem z listy pytanie, które sygnalizowało wkroczenie do ogrodu różanego. My też czekaliśmy, aż ulewa przycichnie. Potem poszedłem do kina sam. Potem z innymi. Potem sam. Potem znowu z innymi.

Zastanawiałem się, czy więcej filmów obejrzałem w pojedynkę, czy w towarzystwie? I co sprawiało mi większą przyjemność?

Czy Clara powie, że „w pojedynkę” jest lepsze, po czym nagle, zanim zdążę jej przytaknąć, odwróci się do mnie i stwierdzi, że mimo to w ciemnościach nocy nadal potrzebni jej są innoludzie, jakiś łokieć, o który mogłaby się otrzeć.

Droga dawniej przemierzona wydawała się teraz pełna wybojów.

Może powiem jej to wszystko.

Podniecała mnie przyjemność zdzierania z siebie warstwy lat i obnażenia się przed Clarą. Podniecała mnie przyjemność wyjawienia jej wszystkiego o sobie.

Wyznać: przez chwilę kazałem sobie się bać, że twoja obecność tutaj to tylko dzieło mojej wyobraźni. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Wiem dlaczego.

Czy powiedziałbym jej, że przez cały dzień nie mogłem przestać o niej myśleć? A może zasugeruję coś nieco łagodniejszego: że nasze spotkanie przed kinem wydawało się żywcem wzięte z każdego filmu, jaki w życiu obejrzałem, i zapowiadało historię, która potoczy się jak wiele historii Rohmera? Mógłbym powiedzieć, że schodziłem całe miasto, szukając jakiegoś otwartego sklepu, i przez cały czas myślałem tylko o niej, rozglądałem się za nią, wstąpiłem gdzieś na kawę niemal pewien, że mignęła mi w środku, ale wiedziałem, że nadzieja nie ma sensu, więc ciągle tylko rozglądałem się pobieżnie i odchodziłem, gdy ona w tym czasie wydzwaniała do mnie z milion razy. Czy powinienem jej powiedzieć, że zaplanowałem sobie, że jej to wszystko wyznam?

Pamiętałem gasnące słońce późnego popołudnia i stopniową zapowiedź samotności i przygnębienia po lunchu z Olafem – niknące światło unosiło mnie ze sobą, kiedy patrzyłem, jak wieczór wreszcie litościwie je gasi... a mimo to w tle ciągle czaiła się ta nieopanowana nadzieja, że zegar cofnie

się o dwadzieścia cztery godziny i zabierze mnie dokładnie tam, gdzie byłem wczoraj wieczorem, zanim wsiadłem w autobus M5 do centrum, zanim kupiłem dwie butelki szampana, zanim wyszedłem z domu matki, żeby pójść do sklepu z alkoholami...

Przez całe popołudnie kręciłem się po mieście. Czaiłem się w pobliżu jej terytorium, na jego obrzeżach. Człowiek zawsze wpada na tę jedną jedyną osobę, na którą ze wszystkich sił pragnie wpaść, zarzuca na nią przynętę pożądania – swojego własnego.

Ale nagle, obawiając się, że naprawdę na nią wpadnę, a ona się domyśli, dlaczego zabłądziłem tak daleko w jej okolice, postanowiłem wrócić do domu. Zanim znowu wyszedłem i dotarłem do kina, wszystkie bilety były już wyprzedane. Powinienem był to przewidzieć. Święta.

Kiedy wreszcie znów przy mnie usiadła, światła zaczynały już gasnąć. Nie była tak wesoła jak przedtem. Wydawała się przejęta.

– Co się stało?

– Inky płacze – powiedziała.

Może chce wyjść? Nie. On zawsze płacze. To po co w ogóle do niego dzwoniła? Bo ciągle zostawiał jej na sekretarce wiadomości.

– Nie powinnam była oddzwaniać.

Ktoś z tyłu znowu nas uciszył.

– Sam się ucisz! – zachnęła się na niego Clara.

Pomyślałem, że lubię ją, kiedy jest zirytowana i wzburzona, ale to było zbyt wiele. Zacząłem rozmyślać o biednym Inkym i jego łzach przez telefon, i o mężczyznach, którzy płaczą za ukochanymi przez siebie Clarami – mężczyzna płaczący przez telefon musi znajdować się w samych trzewiach rozpacz. Czy Clara powiedziała mu, że jest ze mną?

– Nie, on myśli, że jestem w Chicago – szepnęła.

Spojrzałem na nią zdumionym wzrokiem, nie dlatego, że skłamała, ale ponieważ kłamstwo było tak absurdalne.

– Po prostu przestanę odbierać telefon – powiedziała. Najwyraźniej ta

decyzja sprawiła jej ulgę, jakby Clara nagle natknęła się na jedyne rozwiązanie zdolne zmieść wszystkie jej zmartwienia. Znowu nasunęła okulary, napiła się kawy i odchyliła na oparcie, wyraźnie gotowa na drugi film.

– Dlaczego ciągle do ciebie wydzwania, jeśli myśli, że jesteś w Chicago?  
– zapytałem.

– Bo wie, że kłamię.

Spoglądała prosto przed siebie, jasno dając do zrozumienia, że celowo na mnie nie patrzy. Potem nagle ze zirytowanym westchnięciem...

– Bo lubi słuchać mojego głosu w automatycznej sekretarce, okej? Lubi zostawiać na niej długie wiadomości, które kasują natychmiast po odsłuchaniu i które są prawdziwą męką, kiedy akurat spędzam czas z kimś innym, a on o tym wie, ale i tak dzwoni i dzwoni, aż wreszcie tracę cierpliwość i odbieram. Bo on wie, że mam już dość. Okej?

Przemawiała przez nią wściekłość.

– Bo wystaje na chodnikach i mnie szpieguje, i czeka, aż zapali się u mnie światło.

– Skąd wiesz?

– Bo mi o tym mówi.

– Chyba wolę się w to nie mieszać – powiedziałem z wyraźną, przesadną wręcz ironią, mając na myśli, że nie chcę ryzykować powiedzenia czegoś, co jeszcze bardziej ją zirytuje, wolę wycofać się z gracją i szczyptą humoru, aby łagodnie przywrócić nas do trybu filmowego.

– Przestań – uciszyła mnie.

To „Przestań” ubodło mnie do żywego. Clara powiedziała to słowo poprzedniej nocy i teraz wywarło ono na mnie tak samo mrozący efekt. Zamknęło mnie. Pozostało ze mną przez resztę drugiego filmu: zimne, bezgródkowe ostrzeżenie, żeby nie wtrącać się w jej sprawy ani nie próbować się przypodobać, narzucając się ze swoją dobrą wolą jak ludzie, którzy wtykają nosy i wciskają się w prywatne miejsce, gdzie ich nie zapraszano. Gorzej – uważała, że jestem taki jak on.

– Kręci się na dole, a kiedy widzi w moich oknach światło, zaczyna dzwonić.

– Współczuję mu – powiedziałem, kiedy po filmie siedzieliśmy w barze w pobliżu jej domu. Clara lubiła szkocką i frytki. I lubiła wpadać do tego lokalu od czasu do czasu ze znajomymi. Whisky podawano tam w kieliszkach do wina. Ja też lubiłem szkocką i w końcu zacząłem podjadać jej frytki.

– No to sobie współczuj. – Cisza. – Współczuj mu do woli. Ty i cała reszta.

Znowu cisza.

– Mówiąc szczerze, ja też mu współczuję – dodała po chwili. Zastanowiła się jeszcze przez moment. – Nie. Nic nie czuję.

Siedzieliśmy przy małym starym kwadratowym stoliku z drewna na tyłach restauracji z barem – Clara lubiła ją, bo czasem późnym wieczorem w tygodniu, zwłaszcza jeśli nie było wielu gości, pozwalali tu palić. Przed sobą trzymała kieliszek, łokciami opierała się o blat, w popielniczce jarzył się papieros, a między nami stała mała zapalona świeczka osadzona w papierowej torebce niczym kociaczek zwinięty w kłębuszek w zrolowanej skarpecie. Clara podwinęła rękawy swetra i na jej kościstych nadgarstkach, czerwonych od chłodu, dostrzegłem cień włosków. Sweter był luźny, ręcznej roboty, z bardzo grubej czesanej wełny. Pomyślałem o wrzosie, o wielkich zimowych szalach i o spoconych nagich ciałach owiniętych w owcze skóry.

– Możemy zmienić temat? – Wydawała się lekko zirytowana, znudzona, podrażniona.

– Na przykład na co? – spytałem.

Czy naprawdę wierzyła, że można zaprogramować konwersację?

– Możemy porozmawiać o tobie.

Pokręciłem głową z miną mówiącą: „Żartujesz, prawda?”.

Ona pokręciła głową z miną mówiącą: „Wcale nie żartuję”.

– O, no właśnie – dodała, jakby odrzucając wszelką możliwość wahania z mojej strony. – Porozmawiamy o tobie.

Zastanawiałem się, czy to, że nagle ożyła i nachyliła się ku mnie przez stół, spowodowane było szczerą ciekawością w stosunku do mnie, czy radością z tego, że nagle zmieniła się z Zasługującej na Litość Biedaczki ze Zwariowanym Ekschłopakiem w Twardą Detektywkę.

– Niewiele jest tu do opowiadania.

– No powiedz!

– Powiedz... – powtórzyłem jej polecenie, starając się potraktować sprawę z przymrużeniem oka. – Ale co?

– No na przykład, dlaczego tak niewiele jest tu do opowiadania.

Nie wiedziałem dlaczego. Bo tak niewiele jestem gotów o sobie ujawnić, zanim zyskam pewność, że to całkiem bezpieczne – a nawet wtedy...? Bo człowiek, którym jestem, i człowiek, którym chciałbym być dokładnie w tej chwili, w tym barze, nie zawsze są jednym i tym samym? Bo w tym momencie czuję się jak cień i nie rozumiem, jak możesz tego nie widzieć? O co tak naprawdę mnie pytała?

– Mów cokolwiek, byle nie jakieś mdłe, konwencjonalne banały.

– Żadnych konwencjonalnych banałów, obiecuję!

Sprawiła wrażenie, jakby bardzo ją ucieszyła moja odpowiedź i nie mogła się doczekać, co będzie dalej, jak dziecko, któremu obiecano bajkę.

– No więc?

– No więc? – spytałem.

– No więc mów dalej...

– Zależy, ile to będzie kosztować.

– Dużo. Popytaj ludzi. „No więc... dlaczego tak niewiele jest tu do opowiadania?”.

Chciałem powiedzieć, że nie wiem, co zrobić z jej pytaniem, i mam kompletną pustkę w głowie, bo to było tak bezpośrednie, że wymiganie się byłoby niegodnym wyjściem – mam kompletną pustkę, ale nie chcę o niej tak wcześniej rozmawiać, o tej kompletnej pustce, która zalegała między nami, Claro, i aż się prosi, żeby o niej mówić. Kamień z Rosetty w różanym



ogrodzie – oto kim jestem. Podaj mi pumeks, a ja wyszoruję usta z każdej próby obejścia prawdy. Mój pumeks, twój pumeks – powinienem przynieść go dzisiaj, rzucić go na stolik i powiedzieć: „Zapytaj ten pumeks”. Czy chciała wiedzieć, co robiłem przez ostatnie pięć lat, gdzie byłem, kogo kochałem albo nie mogłem kochać, jak wyglądały moje marzenia, te w nocy i te za dnia, i te, do których nie śmiałbym się przyznać; grosik za moje myśli? Zapytaj pumeks.

– I nie dawaj mi wersji siebie z nekrologu. Daj mi prawdziwego siebie.

„Zapytaj pumeks, Claro, zapytaj pumeks. On zna mnie lepiej niż ja sam”.

Podniosłem głowę, zmieszany jak nigdy dotąd. Wtedy właśnie poczułem, że słowa niemal wyślizgują mi się z ust. Clara przyglądała mi się dłużej, niż się spodziewałem. Odwzajemniłem jej spojrzenie i przez chwilę patrzyłem jej w oczy, myśląc, że może się zamyśliła i przypadkiem skierowała wzrok akurat na mnie. Ale jej milczenie niczego nie zakłócało, a ona wcale nie była zamyślona. Po prostu się we mnie wpatrywała.

Odwróciłem głowę, udając, że pogrążam się w głębokich, mglistych rozmyślaniach i nie do końca wiem, jak się z nich zwierzyć. Patrzyłem, jak jej palce zaginają rogi kwadratowej serwetki na podstawie kieliszka. Kiedy podniosłem wzrok, nadal wbijała we mnie wzrok. A ja nadal nic nie mówiłem.

Zastanawiałem się, czy przy wszystkich tak się zachowuje: po prostu wpatruje się w nich, nie wypełnia milczenia słowami, spogląda prosto w oczy i po kolei przewierca się przez kolejne kruche zapory, nie odwracając wzroku, zaczyna się uśmiechać letnim, psotnym uśmiechem, niemal jakby bawiło ją, że wreszcie się zorientowałeś, że cię rozgryzła.

Czy także powinienem zacząć się na nią gapić? A może w jej spojrzeniu nie było żadnego wyzwania, żadnej niewypowiedzianej wiadomości, którą należało przechwycić albo rozszyfrować? Może było to spojrzenie kobiety, której uroda mogła wytrącić z równowagi? Tylko że zamiast wycofać się po osiągnięciu celu, Clara zwyczajnie zatrzymywała wzrok na twojej twarzy i nie odwracała go, póki nie wyczytała z niej wszelkich dobrych i złych myśli, które mogła znaleźć i pewnie sama tam zasiała, wprowadzając do rozmowy napięcie, obiecując przedwcześnie zażyłość, żądając zażyłości tak,

jak żąda się kapitulacji, przedzierając się przez obronną linię luźnej rozmowy na długo przed tym, jak położone zostaną fundamenty przyjaźni, zmuszając człowieka do przyznania czegoś, o czym od dawna już wiedziała: że w jej obecności łatwo ogarniało go zmieszanie, że miała rację, że wszyscy mężczyźni gorzej sobie radzą z pożądaniem niż kobiety, których pożądają.

Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegłem delikatny, pytający ruch głowy. Czy tylko to sobie wyobrażałem? A może naprawdę już miała coś powiedzieć, ale potem zastanowiła się i w ostatnim momencie zrezygnowała?

No ale ktoś musiał się w końcu odezwać. Zbiorę się w sobie i skoczę chyżo na głęboką wodę.

– Zawsze wpatrujesz się tak w mężczyzn?

Przełknąłem to pytanie w ostatnim momencie. Ale jeszcze chwila pod jej spojrzeniem, a się złamię i powiem coś jeszcze bardziej rozpaczliwego, cokolwiek, żeby odpędzić ciszę i zdusić chaos nabrzmiewających we mnie słów, słów nadal zupełnie mi nieznanych, które zdawały się czaić w tle jak maleńkie, nieopierzone, niewyrzucone z gniazda, przestraszone stworzonka, uwięzione na etapie larwalnym, które gdy tylko da im się okazję, wyleją się ze mnie i ujawnią na mój temat więcej, niż sam wiedziałem: co czułem, czego pragnąłem, czego nie umiałem nawet zasugerować ani podpowiedzieć – otworzą portal, który budził we mnie strach, ale zaryzykowałbym przekroczenie go, gdybym tylko wiedział, jak go potem zatrzaskać. Czy powiem byle co zwyczajnie po to, żeby powiedzieć cokolwiek? Czy tak właśnie zachowują się ludzie? Mówią coś zamiast niczego, działają pod wpływem chwili? A może spróbuję rozegrać to bezpiecznie i powiem coś zupełnie niezamierzonego i niezwiązanego z tematem.

– Czy zawsze prosisz ludzi, żeby ci o sobie opowiedzieli?

To też odrzuciłem.

– Co za głupi, nierealistyczny film – palnąłem wreszcie, sam nie wiedząc, czemu to zrobiłem ani który z dwóch filmów mam na myśli, zwłaszcza że oba lubiłem, a realizm niekoniecznie był w moich oczach cnotą. Powiedziałem to z miną zrezygnowanej powagi i przejęcia, przypisując niewyraźne rozczarowanie w swoim głosie czemuś niezręcznemu i niepokojącemu w samych filmach.

A tak naprawdę próbowałem po prostu zamaskować swoją niezdolność do powiedzenia czegokolwiek, co nie będzie związane z nami obojgiem.

Clara zupełnie mnie nie zrozumiała.

– Nierealistyczny, bo nikt tam ze sobą nie śpi? – zapytała.

Pokręciłem głową z sugestią ironicznego rozczarowania, jakby spudłowała do tego stopnia, że wolałem już wymazać tę nieudaną próbę pogawędki i zacząć od początku na zupełnie nowy temat. Clara milczała przez chwilę.

– Masz na myśli to, że my się dziś ze sobą nie prześpiemy? – zapytała.

Tego zupełnie się nie spodziewałem. Ale trafiła w sedno. Wcale nie spudłowała. Albo jeśli tak mi się wydawało, to tylko dlatego, że wyjęła słowa z mojego umysłu i nadała im sens, który mnie nie przyszedłby na tym etapie do głowy, choć próbowałem się przebić na powierzchnię.

– Przyznaję, że o tym pomyślałem – rzekłem, udając, że wcale mnie nie zaskoczył ten grom z jasnego nieba. Usiłowałem zrobić rozbawioną minę, jakby żartując z jej interpretacji i sugerując, że była kompletnie nietrafiona – w ten sposób odparowałem jej cios równie dobitnym wyznaniem z mojej strony. Ona jednak natychmiast zbyła tę próbę krzywym uśmieszkiem, który oznaczał: „Domyślałam się tego” – wariacja pytania tamtej kobiety na tarasie, kiedy jej towarzysz objął ją ramieniem, trzymając w drugiej ręce cygaro. „Czy ty się do mnie przystawiasz?”.

Cisza, która zawisła między nami jak para z polanych wodą kostek suchego lodu, jasno mówiła, że żadne z nas nie ma już nic do dodania i oboje chcemy za wszelką cenę zmienić temat.

– Nieważne – zaintonowała Clara z autoszyderczym napięciem kogoś, kto posunął się za daleko, ale udaje, że własna śmiałość wytrąciła go z równowagi, żeby uciszyć wzburzone fale. Jej uśmiech albo podkreślał śmiałość jej uwagi, albo sugerował niewiarę w to, że jestem równie obojętny, jak chciałem się wydawać.

– To było tylko na wszelki wypadek – powiedziała, znowu podnosząc na mnie wzrok. I nagle uderzyła prosto z mostu: – A w razie, gdybym wczoraj wieczorem nie wyraziła się jasno: w tej chwili się dekuje – oświadczyła

i w jej głosie zabrzmiało coś niemal bezbronnego i skromnego. Wczoraj użyła tego samego tonu, przykrywając (chyba zawsze tak robiła w trudnych chwilach) bezpośredniość podwójnymi sensami, mdłomowę smutnomową. Ale tym razem nie mówiła o sobie ani o swoim dystansie do otaczających ją ludzi; mówiła do mnie, to mnie od siebie odsuwała, mnie odganiała. Przyszło mi do głowy, że jeśli spędzała dziś ze mną to Boże Narodzenie, to właśnie dlatego, że próbowała się zadekować. Gdyby nie przebywała na Reconvalescenzii i gdybym ja nie przyjął na siebie roli pielęgniarki z nocnej zmiany, gościa, który zostaje na długo po godzinach odwiedzin, ostatniej dłoni, która delikatnie wyłącza światło, kiedy pacjent wreszcie zaśnie, w ogóle byśmy się nie spotkali, nie rozmawiali ze sobą, nie stali razem na tarasie, a już na pewno nie poszlibyśmy do kina i nie siedzielibyśmy w barze jak teraz.

Później, kiedy odprowadzałem ją do domu, starała się podkreślić, że się „dekuje”, i wyjaśniła, że zawsze tylko tyle dzieli ją od łez – mówiąc to, podobnie jak poprzedniego wieczoru zbliżyła do siebie palec wskazujący i kciuk. Ale kiedy wreszcie dotarliśmy do drzwi jej budynku, ta sama dziewczyna, którą „tylko tyle” potrafiło dzielić od łez, nagle natarła na mnie i kpiąco upomniała, żebym nie robił takiej ponurej miny. W końcu mnie ostrzegła, prawda? Niespodziewanie dzielący nas dystans stał się większy niż odległość między biegunami.

Próbowałem – wtedy w barze – otworzyć się i wytłumaczyć, dlaczego lubię Rohmera. Odkryłem go w wieku, kiedy nie wiedziałem praktycznie nic ani o kobietach, ani o sobie...

– Siedzisz za daleko, nie słyszę cię – przerwała. Więc przysunąłem twarz bliżej świeczki, zdając sobie sprawę, że dzieli nas praktycznie cała szerokość stołu. A Clara nie lubiła, kiedy człowiek odpływał. W pewnym momencie zauważyłem, że gdy tylko ktoś zaczynał brzmieć, jakby ogarniało go zmęczenie, albo w chwili ciszy zamyślał się przelotnie, natychmiast robiła urażoną minę. Jeśli zaś zamyślenie trwało nieco dłużej, karała go, udając, że sama zbłądziła myślami, a potem przybierała znudzoną minę lub okazywała niebywałe zainteresowanie rozmową ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku. Była w tej grze niepokonana.

– Może powinnam już wrócić do domu – powiedziała, po czym

zapropowała, żebyśmy zamówili jeszcze po drinku. I nagle: – Dokończ to, co mówiłeś. – W ten sposób schlebiała rozmówcy. Te filmy – stwierdziłem więc – opowiadają o mężczyznach, którzy kochają bez namiętności, bo nikt nie wydaje się w nich cierpieć.

– Mężczyźni u Rohmera potrafią świetnie rozmawiać o miłości, żeby tym lepiej ujarzmić swoje pragnienia, swoje obawy. Nadmiernie wszystko analizują, jakby analiza mogła otworzyć im drogę do uczuć, jakby była rodzajem uczucia albo wręcz lepsza od uczuć. Ostatecznie pragną małych rzeczy, a z tych wielkich zrezygnowali...

– A ty zaznałeś tych wielkich? – przerwała Clara, jeszcze raz kierując rozmowę na ów niewypowiedziany temat.

Zastanowiłem się przez chwilę. Był taki czas, kiedy przysięgłbym, że owszem. Teraz, mówiąc szczerze, już tak nie sądziłem.

– Czasami wydaje mi się, że tak. A ty? – zapytałem, po raz kolejny unikając wdawania się w szczegóły.

– „Czasami wydaje mi się, że tak”. – Znowu mnie przedrzeźniała. Uwielbiałem sposób, w jaki to robiła.

Oboje się roześmialiśmy – bo tak dobrze mnie naśladowała, bo moja odpowiedź faktycznie była pusta i taka miała się wydawać, bo śmiech sugerował, że ona sama też próbowałaby się wymigać od takiego pytania, ponieważ również nie zaznała tych wielkich spraw, i jeszcze że oboje kłamaliśmy, twierdząc, że ich zaznaliśmy, bo baliśmy się wyjść na dwie bryły lodu.

Ogłoszono, że pora na ostatnie zamówienia. Zamówiliśmy po trzecim drinku. Nic nie poszło nie tak.

– Ale obiecaj mi jedno – powiedziała tuż po tym, jak po raz kolejny powtórzyłem, że cieszę się z naszego dzisiejszego spotkania.

Popatrzyłem na nią bez słowa, nie do końca pewien, czy ją zrozumiałem. Starłem się wyglądać na zaskoczonego tym, co zamierzała powiedzieć – cokolwiek to było – nawet jeśli jej słówko „ale” brzmiało jak niespokojne ostrzeżenie o nadchodzącym ostrzale.

Zawahała się i otworzyła usta. Nagle zmieniła zdanie.

– Chyba nie muszę mówić tego wprost – stwierdziła.

Wiedziała, że wiem.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie wiem... może to by popsuło pewne sprawy.

Nie spieszyłem się, wyczuwając, że moje początkowe przypuszczenie było całkowicie prawidłowe. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mieliśmy tyle spraw, które można było popsuć, jeśli nie zdołam spełnić jej prośby. Myślałem, że łączy nas tylko garstka drobnych, niepołączonych spraw – a nie Spraw przez duże S, i na pewno nie tyle, ile sugerowała.

– Sprawy? – zapytałem z czymś w rodzaju rozbawienia na twarzy, jakbym najpierw poczuł, a potem odrzucił impuls, żeby ją przedrzeźnić. Wiedziałem, że zachowuję się nieszczerze i rozpaczliwie usiłuję znaleźć coś, co mógłbym powiedzieć – może chciałem odsunąć od siebie jakiś sens, który wyczuwałem w jej stwierdzeniu, bo wołałem, żeby na razie pozostał niedopowiedziany. Ale też nie chciałem mu zaprzeczać.

– Sprawy – powtórzyłem, jakby wreszcie dotarło do mnie, co pragnęła powiedzieć, i zamierzałem spełnić jej życzenie.

– To nie popsuje żadnych spraw – dodałem, usiłując zmiękczyć świadomą ironię, jaką napełniałem to słowo, jakby jej obawy co do nas w ogóle nie przyszły mi do głowy i właściwie, skoro już o tym mowa, były odrobinę zabawne. Może usiłowałem rozproszyć jej wątpliwości co do mnie, ale też nie chciałem ich całkowicie rozwiewać. Szukałem schronienia w prawdzie.

– A poza tym niewykluczone, że jesteś w błędzie – dodałem.

Krótką pauza.

– Nie wydaje mi się.

W jej oczach widniała niemal sugestia przeprosin – przeprosin za niewypowiedziany przytyk pod moim adresem.

– Fakt – przyznałem. – Ostrzeżenie zakazujące żaloby zostanie wzięte

pod uwagę – dodałem.

Ścisnęła moją dłoń nad stołem i cofnęła rękę, zanim zdołałem odwzajemnić uścisk. Chyba poczuła ulgę, że wreszcie sytuacja między nami stała się jasna. Zapaliła kolejnego papierosa, podnosząc ogarek świeczki i zbliżając go do twarzy z mocnym postanowieniem nacieszenia się trzecią whisky. Ta twarz w blasku świecy! – pomyślałem.

Nigdy przedtem nie widziałem jej w takim świetle. Pałac, wypuszczała dym na bok, ani na chwilę nie odwracając ode mnie oczu, co nadawało jej milczeniu wyraz pewnej samowoli i wszechwiedzy, która okazała się dla mnie trudna do zniesienia.

Stuknęliśmy się trzykrotnie kieliszkami. Potem jeszcze trzy razy. I jeszcze trzy, „tak na wszelki wypadek – powiedziała. – Trzy razy Trójca Święta”.

– Powtarzaj za mną: *Ech raz, jeszcze raz, jeszcze mnogo, mnogo raz...* – wyrecytowała rosyjski zwrot po raz drugi, wolno, słowo po słowie. I raz, i jeszcze raz, i jeszcze wiele, wiele razy. Przypomniałem sobie toast, który wzniosła z Hansem. Kto wie, w czyich ramionach się go nauczyła?

Wtedy właśnie rzuciłem ten luźny komentarz na temat filmów Rohmera. Powiedziałem to, żeby wypełnić ciszę, ale moja uwaga pchnęła konwersację w dziwnym kierunku. Jej impulsywna, brutalnie szczerą odpowiedź ujawniła tylko podtekst naszej rozmowy. Nie prześpimy się – to była brakująca kwestia. Wysadzała wszystko z siodła i wypompowywała powietrze. Usiłowałem ratować pozory.

– Nierealistyczne jest to, że u Rohmera miłość może stanowić tylko alibi, wygodną metaforę, ale żadna z jego postaci tak naprawdę nie ufa miłości, nie mówiąc już o wierzeniu w nią czy odczuwaniu jej, włączając w to samego reżysera, a nawet widownię, choć wszyscy udajemy, że pukamy do drzwi miłości, bo bez niej nie wiedzielibyśmy, co ze sobą zrobić. Bez miłości tkwimy na mrozie.

Clara zastanowiła się przez chwilę. Czy znowu zacznie się ze mnie nabijać?

– Więc wszyscy tkwią na mrozie?

– Niektórzy pewnie bardziej niż inni. Ale wszyscy pukają.

– Nawet jeśli miłość jest tylko alibi... metaforą?

Więc naprawdę się ze mnie nabijała.

– Nie wiem. Niektórzy pukają do drzwi. Inni w ściany. A jeszcze inni stukają delikatnie w coś, co mogłoby być zapadnią, nawet jeśli nigdy nie słyszy się żadnych odgłosów z drugiej strony.

– Więc ty też właśnie stukasz?

– Czy stukam? Dobre pytanie. Nie wiem, może i tak.

– I słyszysz jakieś odgłosy?

– Jak dotąd żadnych... Słyszę tylko odgłosy dekowania się.

– To nie było delikatne stukanie. – Roześmiała się niezręcznie.

Ja też w końcu się roześmiałem. Przez chwilę myślałem, że Clara karci mnie za wykorzystanie „dekowania się” przeciwko niej. Już próbowałem wymyślić coś na przeprosiny, kiedy dotarło do mnie, że ona po prostu kpi z tego, co mnie wydawało się zręcznym i subtelnym zagranieniem.

– Okopy świecą pustkami, ziemia spalona, wszystko jest w wersji lajt. Chyba już ci to mówiłam.

Czy w jej spojrzeniu krył się wyrzut? A może przeprosiny? I dlaczego ciągle się we mnie wpatrywała?

Wreszcie powiedziałem, żeby powstrzymać się przed rumieńcem:

– Siedzę tu i patrzę na ciebie, Claro, i sam nie wiem, czy mam ci powiedzieć, że uwielbiam tak się na ciebie gapić, czy raczej powinienem zamknąć buzię, nic nie mówić i zwinąć się w kłębek w abstynenckiej ciszy.

– Kobieta musiałaby być szalona, żeby nie pozwolić ci mówić.

– A mężczyzna musiałby być jeszcze bardziej szalony, żeby nie poprosić, byś mu przerwała.

– To Rohmer czy ty sam?

– Kto wie? Patrzę tak na ciebie i serce mi wali, i ty patrzysz na mnie,



i jedyne, o czym mogę myśleć, to: okopy świecą pustkami, ziemia spalona, tylko żeby było lajtowo, no i znaki: „Uwaga na drogę”.

Clara wykonała gest, żeby mi przerwać. Natychmiast zamilkłem.

– Nie, mów dalej.

Co za niesamowita kobieta.

– Teraz poczułem się przez ciebie jak uliczny artysta.

– Och, daj spokój. Chyba odhaczyliśmy już na dzisiaj nasz niezwykle duchowy moment w stylu Wisznukrisznu Vindalu. – Wstała, wyjęła z torebki dolara, podeszła do szafy grającej i przycisnęła bez namysłu kilka guzików; wyraźnie wybierała „swoją” piosenkę. Spodziewałem się, że wróci do stolika i dokończy drinka, ale ona nadal stała przy szafie, jakby przeglądając listę utworów. Podniosłem się i podszedłem do niej. Zaczęła się melodia – tango.

Szorstkie słowa piosenki od pierwszego momentu rzuciły na mnie czar. Uniosły się z ciszy późnego wieczoru w niemal pustym barze jak wełniany koc strzepnięty po wyjęciu z komody w zimny wieczór, kiedy jedynym dźwiękiem są odgłosy gradu grzechoczącego na szybach. Clara знаła tekst i zanim się zorientowałem, co się dzieje, albo zdążyłem zaprotestować czy choćby udać, że protestuję, poprosiła mnie, żebym poprowadził w tańcu, który ledwo pamiętałem z wczesnych dni na uniwersytecie. Tańczyliśmy o kilka kroków od drzwi baru, tuż przy szafie grającej, o wiele wolniej, niż należy tańczyć tango, ale kogo by to obchodziło: tkwiliśmy tak, szafa i my, i z rzadka twarze przechodniów, którzy przypadkiem zaglądali z chodnika przez oszronione okna – tańczyliśmy jak na jakimś obrazie Hoppera, pod zielonym neonem z logo Heinekena, podczas gdy jeden z dwóch kelnerów uzupełniał keczup w butelkach – i wydawało nam się, że nasz taniec jest doskonały, że znajdujemy się w niebie, że w trzy sekundy tango zbliżyło nas do siebie bardziej niż wszystkie słowa, którymi przerzucaliśmy się od dziewiętnastej dziesiątej. I wtedy to się stało. Po piosence Clara zatrzymała się na chwilę i nie wyjmując dłoni z mojej ręki, niemal żartem – a może całkowicie żartem – powiedziała: *Perdoname*<sup>9</sup> i natychmiast zaczęła śpiewać po hiszpańsku, i śpiewała dla mnie, a capella, tym głosem, który przedzierał się przez wszystkie moje warstwy, i patrzyła na mnie jak to robią pieśniarze, kiedy całkowicie cię porywają, a ty stoisz bezradny i obnażony i pozostaje ci

tylko wstrząśnięta jaźń i łzy spływające po policzkach. A ona na to patrzyła i nie przestała śpiewać, ocierając mi dłonią oczy, jakby wiedziała, że to całkowicie naturalne i dokładnie tak powinno być, kiedy jakiś człowiek kończy taniec, bierze cię za rękę i śpiewa dla ciebie, do ciebie, śpiewa, bo muzyka przecina wszystko niczym maczeta w dżungli i trafia prosto do tego miejsca, które nadal nazywasz sercem.

– Nie, proszę cię, nie – szepnęła, a potem zmieniła zdanie i znowu wróciła do swojej piosenki, *Perdoname*. – *Perdoname* – powiedziała. – *Si el miedo robó mi ilusión Viniste a mi No supe amar / Y sólo queda esta canción*.

Wiedziałem, że nigdy tego nie zapomnę. Piosenka opowiadała o człowieku, który obawia się miłości i postanawia „chronić swoje serce”. „Przyszłaś do mnie, lecz ja nie umiałem kochać, pozostała mi tylko ta pieśń” – śpiewała. Czyżby mówiła to do mnie... a może to tylko zbieg okoliczności? Czy mam może Janę Dolę? – zapytała. Kto to jest Jana Dola? No przecież jeden dolar!. Udała zniecierpliwienie. Wyjąłem banknot i patrzyłem, jak wciska w szafie grającej te same guziki.

– Jeszcze raz – powiedziała.

Czy to ze mną tańczy?

Ze mną.

Dlaczego nie mogłem się w niej dopatrzeć niczego, co by mi się nie podobało?

– Całe szczęście, że nie jestem w twoim typie, a ty w moim – powiedziała, kiedy usiedliśmy po drugim tańcu.

Roześmiałem się na ten manewr.

– Będę musiał z tym żyć. Niech to będzie moje piekło. – Próbowałem nawiązać do jej słów z poprzedniego wieczoru.

Pomogłem jej założyć płaszcz. Kiedy się odwróciła, owijając na głowie szal, nastąpił przelotny moment, który zdawał się stanowić kulminację wszystkiego, o czym mówiliśmy. Zawahała się.

– Więc mnie nie posłuchasz, prawda?

– Czego mam posłuchać? – zamierzałem spytać, jeszcze raz udając, że za

nią nie nadążam, bo bałem się przyznać, że zawsze, zawsze nadawaliśmy na tych samych falach. Albo mógłbym odpowiedzieć:

– Wiesz, że nie mogę i nie chcę.

Zamiast tego rzuciłem coś tak kompletnie nie w moim stylu, że jednocześnie przeraziło mnie to i zachwyciło, jakbym nagle nie miał już na sobie swoich zwykłych ubrań, ale żołnierski mundur z przypiętą szablą, gwiazdkami, medalami i epoletami, za to bez butów i majtek. Podobało mi się bycie „jak nie ja” i miałem nadzieję, że nie jest to tylko efemeryczna wizyta na balu przebierańców ani krótki wypad w nieznanym terenie, który rozwieje się, gdy tylko mój powrotny bilet straci ważność, ale nieskończona podróż; przez całe życie nie zdołałem się w nią wybrać i teraz wreszcie nadszedł czas. Bycie jak nie ja było byciem mną. Tylko nie do końca jeszcze wiedziałem, jak to się robi. Może właśnie dlatego ciągle brakowało mi przy niej języka w gębie; w tych chaotycznych początkach i próbach, i mimowolnych gestach nadal odkrywałem nową, nieznaną postać, która tak długo czekała za kulisami i teraz po raz pierwszy w życiu zamierzała zebrać się na odwagę i wyjść na scenę. Jeszcze nie znałem tego człowieka, nie wiedziałem, jak daleko się z nim posunąć. Nadal przymierzałem go tylko, sprawdzając rozmiar, jak w nowej parze butów, które mi się podobały, ale nie byłem pewien, czy pasują. Czyżbym od nowa uczył się chodzić – uczył się bycia człowiekiem? Ale czym w takim razie byłem do tej pory – cyrkowcem na szczudłach? Człowiekiem do zwrotu?

Chwilę potrwało, zanim zdałem sobie sprawę, że boję się czegoś jeszcze: nie tylko tego, że polubię nowego siebie i całkowicie się do niego przywiążę, będę mu pozwalał na coraz więcej i więcej, odkrywając razem z nim wszelkiego rodzaju nowe światy, ale tego, że istniał on wyłącznie w jej obecności, że ona i tylko ona potrafiła go wywabić na zewnątrz, a ja byłem jak bezpieński dżin, który chowa się w szyjce swojej lampy, skazany na wieczne wyczekiwanie chwili, kiedy będzie mógł znowu wyjść i zobaczyć światło dnia, bo odpowiednia osoba wyłoniła się zza choinki i powiedziała, że nazywa się Clara. Nie chciałem się do niego przyzwyczajać tylko po to, żeby odkryć, że jest równie nietrwały co suknia Kopciuszka. Byłem niczym człowiek, który nie mówi po francusku, ale pewnego wieczoru w obecności jakiejś Francuzki nagle zaczyna mówić płynną francuszczyzną, po czym

następnego ranka odkrywa, że kobieta wróciła do domu, a on sam bez niej znowu nie potrafi wydukać po francusku ani słowa.

Sposób, w jaki Clara patrzyła na mnie zza wełnianego szala zakrywającego uszy i część twarzy, sprawił, że odpowiedziałem na jej ostrzeżenie z nietypową brawurą.

– Więc mnie nie posłuchasz, prawda? – zapytała.

– Nie chcę.

– Nie chcesz?

– Ani trochę nie chcę.

To mogła być nasza ostatnia wspólna chwila.

– Tylko nie zakochaj się we mnie, proszę cię!

– Nie zakocham się w tobie, proszę cię.

Spojrzała na mnie, przysunęła się bliżej i pocałowała mnie w szyję.

– Ładnie pachniesz – powiedziała. – Odprowadź mnie do domu.

Na dworze padał śnieg. Broadway zalany był słabym, spokojnym bursztynowym światłem, które nadawało brudnym chodnikom Sto Piątej Ulicy atmosferę cichej radości, przypominającą mi obejrzany przez nas film i słowa Pascala: radość, radość, radość. Pojazdów było niewiele – głównie autobusy i taksówki – a z oddali, jakby z odległych dzielnic, słychać było stłumione metaliczne szczęknięcie odśnieżarki przedzierającej się miarowo do centrum. Clara wsunęła mi rękę pod ramię. Miałem nadzieję, że to właśnie zrobi. Czy byliśmy więc tylko znajomymi?

Mijając całodobowy koreański sklep z owocami, powiedziała, że chce kupić papierosy.

– Patrz na to – dodała, pokazując znak błędnie reklamujący mandalynki, a obok nich merony. Roześmiała się. – Pomyśl tylko, jak napisaliby grejpfruty i czerwone pomarańcze – powiedziała, śmiejąc się coraz głośniej i głośniej przed skołowanym meksykańskim pomocnikiem, który o tej nieludzkiej porze był zajęty przycinaniem kwiatów. Z przerażeniem zastanawiałem się, co też godnego wyśmiania Clara odkryje we mnie, kiedy

tylko odwrócić się plecami. Choć nie, ona wyśmiałaby mnie prosto w twarz.

Dotarliśmy do jej budynku szybciej, niż na to liczyłem. Uznałem, że nie ma co się ościagać, i choć zapiąłem płaszcz na ostatni guzik, żeby pokazać, że po naszym pożegnaniu naprawdę zamierzam wyjść z powrotem na zewnątrz i z góry szykuję się na mróz, ona sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę postać jeszcze ze mną pod drzwiami. Pokazała palcem widok na Hudson i wreszcie stwierdziła, że chciałyby zaprosić mnie do mieszkania, ale zna siebie i chyba lepiej, jeśli powiemy sobie dobranoc. Objęliśmy się – to była jej inicjatywa, choć uścisk wydawał się nieco zbyt wylewny, żeby sugerować coś bardziej namiętnego i mniej niewinnego. Pozwoliłem, żeby skończył się sam z siebie. To był uścisk przyjaciół albo rodzeństwa, gest pokrzepienia, po którym nastąpił pospieszny całus na pożegnanie, w oba policzki. Clara postawiła kołnierz mojego płaszcza, żeby osłonić mi uszy, i spojrzała mi w oczy, prawie jakby znowu się zawahała, niczym matka żegnająca się z dzieckiem, które czeka zapewne okropny pierwszy dzień w szkole.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytała, jakby odnosząc się do czegoś, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Pokręciłem głową, zastanawiając się w duchu, jakim cudem, nawet mówiąc coś tak prostego jak „dobranoc”, potrafi być jednocześnie tajemnicza i szczerą.

– Odprowadzę cię tam, gdzie się wczoraj pożegnaliśmy.

Czyżby też lubiła odtwarzać różne scenki? Czy udawaliśmy, że znowu przeżywamy wczorajszą noc? A może Clara robiła to ze względu na mnie? Albo chciała się upewnić, że nie będę przesiadywał w lobby jej budynku? Powiedziałem, że dzisiaj zamierzam złapać taksówkę.

– Bo wczoraj siedzem i siedzem, i autobusu ni ma.

– Ni ma?

– No ni ma.

– No to powinieneś był wrócić na górę.

– Umierałem z pragnienia, żeby to zrobić.

– Impreza przeciągnęła się do samego rana. Trzeba było zostać.

– To czemu mnie o to nie poprosiłaś?

– Po tym twoim przedstawieniu? Ależ mi się spieszy, no śpiesi mi siem, zupozmisio lubsiałato. Dawać płaszcz, dawać szalik, pędzę już, a kysz, a kysz, a kysz.

Odprowadziła mnie do posągu, pod którym się wczoraj rozstaliśmy. Moja kolej – powiedziałem. I odprowadziłem ją z powrotem do jej budynku. Jej twarz ukryta w szalu, jej dłonie w kieszeniach płaszcza, drżenie. Postawa: wrażliwa i prosząca, mogłaby złamać człowiekowi serce, gdyby nie znał prawdy.

– Tylko tego nie rób – dodała z tym samym odcieniem przeprosin i uczciwego ostrzeżenia, niszcząc naszą chwilową elegię na mrozie cierpkim kneblem miłosnego sonetu wydrapanego drutem kolczastym w granicie. Położyła dłoń na moim policzku, a ja bez zastanowienia ją pocałowałem – miękkie, miękkie wnętrze jej ręki. Odsunęła się – nie w pośpiechu, jakbym przekroczył jakąś wyobrażoną granicę, ale niemal niechętnie, żeby nie podkreślać tego ruchu, co ubodło mnie jeszcze mocniej, bo przez to jej powolny gest wydawał się rozmyślny, jakby chciała ocenzurować mój pocałunek, udając, że go nie dostrzega, łaskawie maskując swój odwrót symbolicznym niezdecydowaniem – nie było to niemiłe, ale mimo wszystko sprowadziło mnie na ziemię.

Komu mogłoby przeszkadzać, że ktoś całuje jego dłoń? Nawet gdyby ta żebraczka wczoraj w nocy chciała ucałować moją rękę, pozwoliłbym jej. Rzuciłem Clarze niezręczne spojrzenie oznaczające: wiem, wiem, dekujeś się.

– Wszystko źle – powiedziała. Zdumiałem się. O co jej znowu chodziło?  
– Szalik!

– Co z szalikiem?

– Nie znoszę takiego wiązania.

Rozwiązała mój szalik i zawiązała na nowo tak, jak jej się podobało.

Znam siebie: ten węzeł pozostanie ze mną, dopóki nie wrócę do domu. Pewnie wręcz będę chciał nacieszyć się nim nieco dłużej, nawet jeśli ogrzewanie w domu mam maksymalnie odkręcone. Rozbiorę się do naga z węzłem Clary, do naga z węzłem Clary. Cały związałem się w węzeł, ot co.

Wczoraj w nocy celowo rozwiązałem szalik, żeby pokazać, że dziękuję bardzo, ale sam też mam swoje sposoby robienia pewnych rzeczy. Ale to było wczoraj.

Iwan-Borys-Fiodor otworzył jej drzwi. Powiedziałem, że zadzwonię. Ale chciałem sprawić wrażenie, jakbym jeszcze się nie zdecydował, czy na pewno to zrobię. Może sam też wolałem w to wierzyć. Potem Clara weszła do środka. Patrzyłem, jak wsiada do windy.

Przypomniałem sobie mocny zapach perfum w korytarzu, połączony z tą niewyraźną wonią starej windy, która powitała mnie w jej budynku. Wczoraj wieczorem.

Stałem tak, zbierając myśli i usiłując zdecydować, czy skierować się na stację metra przy Sto Dziesiątej, czy zwyczajnie złapać taksówkę. Zastanawiałem się, w którym z ciemnych okien jej budynku zapali się światło w kilka minut po naszym pożegnaniu. Powinienem poczekać jeszcze chwilę i się o tym przekonać. Ale tak naprawdę chciałem zobaczyć, jak Clara wybiega przed drzwi, żeby mnie odszukać. Coś nawet mówiło mi, że jej także przyszedł do głowy ten sam pomysł i dokładnie w tej chwili się nad nim zastanawia, i może właśnie dlatego nie włączyła jeszcze światła. Odczekałem kilka sekund. Potem przypomniałem sobie, że nie wiem, na którą stronę budynku wychodzą okna jej mieszkania.

Ruszyłem na róg Sto Szóstej i West Endu, bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że nigdy już nie wolno mi się z nią spotkać.

Przekroczyłem ulicę i wszedłem do Straus Parku, podążając za płatkami śniegu, które kłębiły się niczym rój pszczół w aureoli latarnianego światła i zgęstniały jeszcze bardziej, kiedy wyrzałem dalej na miasto i rzekę, i na odległe światła New Jersey. Wyobraziłem sobie Clary w jej wielkim swetrze. Przez cały wieczór, nawet w kinie, przywodził mi na myśl szorstki wełniany koc, pod którym zmieściłyby się dwie osoby. Zastanawiałem się, jak pachnie świat pod tym kocem, czy był to mój świat z jego zwykłymi, codziennymi zapachami, czy też całkowicie obcy, nieznajomy świat wypełniony woniami równie nowymi i podniecającymi jak zapachy tropikalnych owoców – i jakie było życie z punktu widzenia Clary, spod jej swetra, jak wyglądało nasze miasto oglądane przez kratownicę tych splotów – jak się myślało o różnych

sprawach, kiedy było się Clara, czy potrafiło się czytać w myślach, czy wpatrywało się w ludzi z napięciem, kiedy było się Clara? Czy uciszało się ich, kiedy narzekali? A może było się jak wszyscy inni? Jak wyglądałem ja sam, kiedy wpatrywała się we mnie owinięta w szal, zza którego ledwo było widać jej twarz, i myślała sobie: „Ach, on umiera z ochoty, żeby mnie pocałować, wiem, chce wsunąć dłonie pod moją bluzkę, tak jak wczoraj Inky, i wydaje mu się, że nie widzę, co knuje jego Gwidonek”.

Dobrze było znaleźć się samemu i myśleć o niej, i pieścić w myślach ten dreszczyk emocji, nie dając mu odejść. W tym miejscu, zanim przeszliśmy przez ulicę, Clara opowiadała mi o zagubionej rolce do pianoli Leo Czernowicza z ariami i sarabandami Händla, tak jak się opowiada o nierozwiązanych zbrodniach i zaginionych rodzinnych skarbach. Zastanawiałem się, czy ślady stóp, które przed sobą widziałem, zostały pozostawione przez jej buty. Od kiedy skierowaliśmy się do jej budynku, nikt inny nie pojawił się po tej stronie chodnika. Clara zanuciła kilka pierwszych taktów – ten sam głos, który słyszałem wczoraj wieczorem. To tylko głos, pomyślałem. A jednak.

– Bardzo – odparłem, kiedy zapytała, czy chciałbym kiedyś posłuchać zagubionej rolki do pianoli Czernowicza.

Kiedy wszedłem do parku dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem, wiedziałem, że po raz kolejny wstępuję do królestwa ciszy i rytuału – łagodnego, spokojnego, pogrążonego w żółtawym świetle świata, w którym czas nie płynie i można rozmyślać o cudach i cichym pięknie, i o tym, jak to rzeczy, których najbardziej od życia pragniemy, są nam dawane tak rzadko, że kiedy wreszcie do tego dochodzi, prawie nie potrafimy w to uwierzyć, nie mamy odwagi ich dotknąć i nieświadomie odrzucamy je z prośbą o sprawdzenie, czy naprawdę to dla nas je przeznaczone. Czyż nie to właśnie uczyniłem, kiedy przedwcześnie zapiąłem płaszcz na oczach jej portiera – żeby pokazać, że jestem w stanie się pożegnać, słowem nie wspominając o ponownym spotkaniu ani o wejściu do jej mieszkania, pozostaniu w jej mieszkaniu? Po co to silenie się na obojętność, kiedy nawet dwulatek zdołałby mnie przejrzeć...? Dziwne. Nie, nie dziwne. Typowe. Odstęp jednego dnia między naszymi spotkaniami niczego nie zmienił. Byłem teraz równie daleki od Clary jak wczoraj w nocy. Jeśli już, to



odległość jeszcze się zwiększyła i zastygła w coś ostrzejszego, bardziej poszarpanego.

Kręcąc się między drzewami i rozglądając dokoła, wiedziałem, że nie przeszkadza mi żal, nie przeszkadza mi strata. Uwielbiałem przebywać w jej parku, podobał mi się śnieg, cisza, poczucie całkowitego zagubienia i utraty orientacji, podobało mi się cierpienie, choćby dlatego, że przenosiło mnie z powrotem do zesłonocnego czuwania i oczarowania. Przychodź tu tak często, jak tylko masz ochotę, przychodź za każdym razem, kiedy twoje nadzieje spełzną na niczym, a ja odnowię cię i uczynię całością, i dam ci coś na pamiątkę i dobre samopoczucie, po prostu przyjdź i bądź ze mną, a ja będę dla ciebie jak miłość.

Strzepnąłem śnieg z tej samej ławki, którą zajmowałem poprzedniej nocy, i usiadłem. Niech wszystko będzie jak wczoraj. Złożyłem ręce i nie zważając na ryzyko, że Clara zobaczy mnie ze swoich okien, siedziałem tak i wpatrywałem się w nagie drzewa. W parku nie było nikogo. Tylko posąg o szczupłej, obutej w sandał stopie zwisającej z piedestału, zakończonej palcami, na których leżał śnieg. Za sobą słyszałem rytmiczne grzechotanie łańcucha do opon, przypominające mi dawne pojazdy patrolowe. I rzeczywiście, znikąd pojawił się radiowóz, skręcił przy Sto Szóstej i podjechał wolno do zaparkowanego autobusu. Milczące powitanie obu kierowców. Potem wóz policyjny okrążył autobus, zawrócił energicznie i popędził West Endem. Posterunkowi Ragoon i dwóch innych policjantów. Dobrze, że mnie nie zauważył. Posterunkowi Ragoon, Muldoon i Culhoon – trzech gliniarzy w pojeździe, trzy piwa i wielka dynia. Więc to już? Czar prysł, Kopciuszek wrócił do szorowania podłóg?

Spowiała mnie całkowita cisza.

Najbliższa latarnia stała w lśniącej kałuży światła i zdawała się nachylać ku mnie jak wczorajszej nocy, równie usłużna, choć nadal nie wiedziała, czemu w ogóle to robi.

Co to wszystko oznaczało? – zastanawiałem się. – To wpatrywanie się, ten przyjacielsko-kumpelski uścisk i dwa zdawkowe całusy, bardzo francuskie, i gadanie o tym, jak to siebie zna i żebym nie robił takiej ponurej miny, i to o dekowaniu się, i rzewne sugestie miłości oraz ostrzeżenia

wmieszane w smutną opowieść o utraconej Czernowhisky, a wszystko ukoronowane gorzkim: „Chyba nie muszę mówić tego wprost, to mogłoby popsuć pewne sprawy” – jak jad wstrzyknięty przy robieniu malinki.

Jakie sprawy mogłoby to popsuć? No serio!

„Tylko się we mnie nie zakochaj”. I pocałowała mnie za uchem. „Ładnie pachniesz”, wypowiedziane niemal jak szyderstwo i spóźniona myśl. Jad, jad, jad. Jad i antidotum, jak ciepły, pulchny, świeżo upieczony chleb w chłodny poranek, aż nagle skórka wrzyna ci się w dziąsło i zmienia najniewinniejszy smak na ziemi w skwaśniałą, przesadnie wonną maź. „Żadnych spraw, okej? Czyli żadnych obrażonych min, żadnych fochów, żadnego poczucia winy, okej?”. Bo to może się zmienić w jej piekło. Co ty sobie wyobrażasz, *Schwester!* Nawet tamta ponura dziedziczka z Maine nie grzechotała tyloma kluczami przed otwarciem wrót fortecy. Nidoszła uwodzicielka przemawia żargonem wieczności – no ja przepraszam! I całe to gadanie o dekowaniu się – bzdurna paplanina!

Usłyszałem, jak kierowca autobusu uruchamia silnik. Światła w pojeździe zamigotały i zapłonęły. Jak przytulny wydawał się zamglony pomarańczowy blask za szklanymi szybami – przystań dająca schronienie przed zimnem. Tylko ja i kierowca autobusu, kierowca autobusu i ja.

Może ja też powinienem się zbierać, choć nie miałem jeszcze na to ochoty. I nagle coś do mnie dotarło. Powinienem do niej zadzwonić, prawda? Zwyczajnie do niej zadzwonić. Tylko co bym powiedział? Coś wymyślę. Pora, żebym sam zadziałał – zawsze czekam, aż inni to zrobią – może dla odmiany powiedziałbym prawdę, zaangażował się, na miłość boską. „Nie chcę być dzisiaj sam”. Już! Ona będzie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Podtrzyma rozmowę; a nawet jeśli będzie musiała odmówić, będzie to życzliwa odmowa, taka w stylu: nie mogę, bo widzisz, ja się dekuję. Ach, ale usłyszeć, jak mówi to w ten sposób! „Nie mogę, bo widzisz, ja się dekuję” – jak niechętna pieszczota, która rozpoczyna się na twojej twarzy, a potem przystaje i mknie prosto do twoich ust, i otwiera drzwi do twojego serca. Sięgam po telefon. Jako ostatnia osoba dzwoniła do mnie Clara – całe godziny temu. Czekając w kolejce, powiedziała: Zadzwonię do ciebie, wtedy ty też będziesz miał mój numer. To było jeszcze przed tamtym ostrzeżeniem, zanim Potwierdit wziął nasze bilety i zmiażdżył je w pięści. Oto jej numer.

Natychmiast straciłem odwagę, bo to zadanie wydawało się mnie przerastać. A co niby planowałeś ze mną zrobić, jeśli nie zadzwonić? – spytał mój telefon, który trzymałem już w ręce. Wyobraziłem sobie ostry odgłos dziesięciu cyfr jej numeru, dźwięczących niczym metalowe bolce wbijane młotem w skałę, żeby ją skruszyć, a potem burczący, kopalniany werbel samego dzwonka. „Academy numer dwa: tego prefiksu używają już tylko ludzie silący się na wyrafinowanie” – powiedziałbym, żeby się z nią podrażnić, sugerując, że w jej sposobie podawania numeru jest coś celowo przestarzałego i archaicznego, nawet odrobinę pretensjonalnego. Ale teraz to jej numer naśmiewał się ze mnie jak malutki gad, który w sklepie zoologicznym wydawał się taki spokojny, że sprzedawca pozwolił ci go pomiziać po brzuchu koniuszkiem palca, a teraz wgryza ci się w opuszkę i odrywa paznokiec. Clara wytłumaczyła, że w ten sposób podawała numer jej matka, więc i ona nadal tak mówi do tych nielicznych osób, przy których czuje się swobodnie – implikując w ten sposób, że zalicza cię w szeregi tych, którzy bez tłumaczenia rozumieją, że jej Stary Świat i twój Stary Świat należą do jednego rodu, choć może do różnych gałęzi, bo to, co u ciebie już umarło i poszło w zapomnienie, u niej jest retro-modne-cool i właściwie pomimo wspólnych pradziadków oraz języka może tak naprawdę w ogóle nie powinniście trafić do tego samego drzewa genealogicznego. No więc tak! Academy numer dwa dla wybranych szczęśliwców.

Pomyślałem o jej numerze – o pokoleniach telefonów od zdesperowanych chłopaków. Jak brzmiał jej dzwonek, kiedy dzwoniło się do niej późnym wieczorem? Czy Clara umiała rozpoznać po jego dźwięku, czy dany telefon to skutek poczucia beznadziei, winy, gniewu, pretensji, czy też nieśmiałości, która rozłącza się po trzech dzwonekach? Czy zazdrość miała swój własny sygnał, który wykrzykiwał głośniejsze prawdy, niż to się śni numerowi połączenia przychodzącego?

Och, Inky, Inky, Inky. Ile razy wydzwaniał do niej dziś wieczorem? Pewnie dokładnie w tej chwili dzwoni po raz kolejny. Ja też bym to zrobił. Wyobraziłem sobie, że wybieram jej numer. Jeden dzwonek. Dwa dzwonki. Nagle odbiera. Nadąsana. W tle słyszę szum bieżącej wody. Koniec imprezy, Kopcuszek znowu szoruje podłogi. Inky? Nie, to ja. To ty. To ja. Ja, który usiłuję nie odstawiać takich numerów jak Inky. Ale ewidentnie właśnie to robię. Jak mam wyznać, że nie chcę być dzisiaj sam, kiedy nie mam pojęcia,

co powiedzieć? Zwyczajnie: Nie chcę być dzisiaj sam. Może ze znakiem zapytania? Może nie. Kobieta musiałaby być szalona, żeby nie pozwolić ci mówić.

Na rogu Sto Szóstej i Broadwayu zatrzymał się autobus linii M104. Zdążyłem wskoczyć do niego w ostatnim momencie i zanim usiadłem, obejrzałem się na trójkątny park niknący w śnieżnej zamieci. Może już nigdy nie zobaczę tego miejsca w śniegu. Ale nawet kiedy zaczynałem w to wierzyć, wiedziałem, że okłamuję samego siebie. Wrócę tam jutro wieczorem i pojutrze, i za trzy dni, z nią lub bez niej, z Rohmerem lub bez, i będę tam zwyczajnie siedział, usiłując znaleźć sposób, żeby uniknąć myśli, że udało mi się stracić Clarę w dwie noce z rzędu, choć przez cały czas to jej twarz będę widział w każdym miejscu tego parku, żeby osłonić się przed sobą samym, przed wszystkimi kłamstwami, które przygarniam nocą jedynie po to, żeby rano nie myśleć, że jestem sam.

W środku nocy obudził mnie głośny metalowy odgłos odśnieżarki sunącej po mojej ulicy. Nagle wypełniło mnie uczucie tak cudowne, że po raz kolejny nie byłem w stanie nadać mu innej nazwy niż radość – słowo Pascala wypowiedziane w jego samotnym pokoju którejs nocy w Port-Royal.

Przypomniał mi się ten moment, kiedy wyszliśmy z baru po ostatniej kolejce i zastaliśmy całą Sto Piątą Ulicę pod śniegiem. Nasze ramiona co raz to ocierały się o siebie, aż wreszcie Clara wzięła mnie pod rękę. Marzyłem, żebyśmy mogli tak iść w nieskończoność.

Wstałem z łóżka, wyjrzałem za okno i zobaczyłem, jak spokojnie wyglądają dachy i uliczki Manhattanu pod pierzyną śniegu. Ten olśniewający czarno-biały widok kojarzył mi się – może dlatego, że tak bardzo przypominał zdjęcia Brassai'a – z dachami Paryża albo Clermont-Ferrand, albo jakiegokolwiek prowincjonalnego francuskiego miasta, i kiedy podszedłem na palcach do drugiego okna przy biurku, żeby spojrzeć na nocny świat z innej perspektywy, ta radość, która tak niespodziewanie we mnie wybuchła, rzuciła na moją sypialnię nieskończony czar, aż przyłapałem się na tym, że próbuję nie wydawać żadnych odgłosów: nie dopuścić, żeby podłoga zaskrzypiała pod moimi stopami ani stare ciężarki na framudze pionowo otwieranego okna nie zadźwięczały zdradziecko, kiedy uchylę szybę i wpuszczę do środka zimne powietrze, i w ogóle w żaden sposób nie

zakłócić ciszy, która spłynęła na koniuszkach anielskich skrzydeł, bo kiedy tak stałem i podziwiałem tę noc, mógłbym bez problemu udać, że pod moją kołdrą leży przykryty ktoś o śnie równie lekkim i niespokojnym jak mój. A kiedy wrócę do łóżka, postaram się nie wiercić za bardzo, znajdę miejsce po prawej stronie i położę się nieruchomo, czekając na sen i jednocześnie cały czas licząc na to, że nie przyjdzie, dopóki nie przemycę do swoich marzeń wizerunku jej nagiego ciała.

Jutro z samego rana wybiegnę z domu, zjem śniadanie i spróbuję umówić się ze znajomymi, żeby opowiedzieć im o Clarze. A potem przespaceruję się po jakimś domu towarowym, zjem lunch w Whitneyu pośród tłumów turystów strzelających sobie fotki z bogatymi dziadkami, poszukam prezentów świątecznych, choć to już drugi dzień świąt, a wszystkie te zajęcia wypełni nieśmiałe przecucie, że dzisiejszy wieczór znowu się powtórzy, musi się powtórzyć, może nigdy się nie powtórzy.

Raz jeszcze moje myśli popłynęły do tamtej chwili, kiedy wyszliśmy po ostatniej kolejce z baru i zobaczyliśmy na Sto Piątej Ulicy świeży śnieg. A ona pocałowała mnie w szyję i upomniawszy, żebym na nic nie liczył, wsunęła mi rękę pod ramię, jakby mówiąc: „Mniejsza o to”, ale też: „Nigdy tego nie zapomnij”. Teraz, w mroku, kiedy wspominałem jej szczupłe ciało opierające się o mnie, wystarczyłoby, żebym wymówił jej imię, a znalazłaby się pod moją kołdrą, przesunąłbym się o kilka centymetrów i wpadłbym na ramię, kolano, szepnął jej imię znowu i znowu, aż mógłbym przysiąc, że i ona szepce moje imię, nasze głosy splatają się w ciemnościach jak głosy dwojga kochanków z pradawnej opowieści, grających w gry miłosne jednym i tym samym ciałem.

## Noc trzecia

Następnego dnia brałem właśnie prysznic, kiedy usłyszałem dzwonek domofonu na dole. Wyskoczyłem z wanny, pobiegłem do kuchni i krzyknąłem głośno „Kto tam?” do słuchawki, roznosząc wszędzie wodę.

– To ja – usłyszałem zniekształcony głos. Nie należał do portiera.

– Co za ja? – krzyknąłem zniecierpliwiony, myśląc, że to dostawca, i zacząłem szperać za drobnymi w komodzie i kieszeniach spodni, które poprzedniego wieczoru zdjąłem z siebie i odwiesiłem na krzesło.

– No ja – rozległ się ten sam głos, a potem nastąpiła chwila ciszy. – Ja – powtórzył. – *Mła.* – Kolejna pauza. – No ja, Shukoffowa. Ta zadekowana. Zupozmisio lubsałato. No ja, do cholery! Jakże szybko zapominamy.

Znowu cisza.

– Jadę nad Hudson! – krzyknęła.

Zawahałem się przez chwilę. Gdzie nad Hudson? Spytałem, czy chce wejść na górę. Myśl, że miałaby tu przyjść, przeszła mnie nieprzyzwoitym, niemal pełnym poczucia winy dreszczem. Niech zobaczy mój wygnieciony świat, moje skarpetki, mój szlafrok, moją brudną szmaciarnię, moje życie.

– Dzięki, ale nie. – Poczekaj w lobby, nie przeszkadza jej to, tylko żebym się za bardzo nie ociągał. Czyżby wyrwała mnie z łóżka?

– Nie, spod prysznic.

– Co?

– Prysznic.

– Co?

– Nieważne.

– Tylko się pośpiesz! – zawołała, jakbym już się zgodził z nią pojechać.

– Tak właściwie... – Zawahałem się.

Zapadła martwa cisza.

– Tak właściwie co? Jesteś aż tak zajęty? – zapytała obcesowo.

Szum na linii nie był w stanie zagłuszyć ironii, którą ociekała każda sylaba.

– No dobrze, dobrze. Daj mi pięć minut.

Na pewno portier pomógł jej wybrać numer mieszkania.

No to mogę się pożegnać z codziennym śniadaniem w greckim barze na rogu – pomyślałem. Gazeta czekająca przy kasie, krzyżówka, której nigdy nie chce mi się kończyć, małe szkło soku pomarańczowego, gdy tylko obsługa widzi, że bnieś w śniegu do drzwi, omlet, racuchy ziemniaczane i małe, zaklejone folijką porcje dżemu – jak oni mnie dobrze znają – wymiana kilku słów w Helleniki z kelnerką (oboje udajemy flirt, czyli jesteśmy o dwa poziomy od prawdziwego flirtu), a potem gapię się przez okno, nie myśląc o niczym szczególnym. Niemal słyszałem skrzypnięcie drzwi z wiecznie odblokowaną klamką, a po nim dzwonek i brzęk szyby, kiedy zamykam je za sobą w pośpiechu, rozcierając dłonie po zimnie i szukając wolnego stolika przy oknie; wreszcie siadam i czekam na ten magiczny moment, kiedy będę mógł się gapić przez okno i nie myśleć o niczym szczególnym.

Sześć godzin temu, zaledwie sześć godzin temu stałem pod jej budynkiem i patrzyłem, jak znika w windzie.

A teraz to ona stała pod moim budynkiem i czekała na mnie. Nagle wróciło do mnie coś, co powiedziałem do niej nocą w łóżku, słowo po słowie. „Pamiętasz, jak spacerowaliśmy po Sto Szóstej? Mógłbym tak spacerować w nieskończoność”. Mógłbym tak iść i iść, aż doszlibyśmy do rzeki i skierowali się do centrum, i kto wie, dokąd byśmy do tej pory zaszli, minęlibyśmy port jachtowy z łodziami, gdzie – jak wspomniała – mieszkali Pavel i Pablo, przeszlibyśmy przez Battery Park City i przez most na Brooklyn, szlibyśmy tak do samego świtu. A teraz ona stała na dole. „Pamiętasz ten spacer...”. Słowa krążyły we mnie jak skryte życzenie, któremu ostatniej nocy nie zdołałem uczynić zadość. Miałem ochotę zjechać windą, zawiązać szlafrok, podreptać przez lobby, roznosząc wodę, i powiedzieć jej: „Pamiętasz, jak spacerowaliśmy po Sto Szóstej? Mógłbym

tak spacerować w nieskończoność”. Kiedy pospiesznie się wycierałem, sama myśl o wymówieniu do niej tych słów napełniła mnie pragnieniem, żebyśmy znaleźli się razem, nadzy.

Gdy wreszcie zobaczyłem ją na dole, poskarżyłem się, że ósma rano to niehumanitarna pora na wyciąganie ludzi z domów.

– Daj spokój, jesteś przeschęśliwy – przerwała mi. – Wskakuj do auta, zjemy śniadanie po drodze. Patrz.

Wskazała mi fotel pasażerski srebrnego BMW. W samochodzie czekały dwie duże kawy, niebezpiecznie przechylone. Nie stały w uchwytach pod deską rozdzielczą, ale na fotelu, jakby Clara zwyczajnie nie miała cierpliwości do przejmowania się takimi szczegółami, co chyba było u niej typowe. Leżało tam również coś, co wyglądało na schludnie zapakowane muffiny; „Kupiłam je tuż za rogiem twojego domu” – powiedziała. Wyglądało na to, że nabyła je tylko i wyłącznie z myślą o mnie, co oznaczało, że wiedziała, że uda jej się mnie znaleźć i chętnie z nią pojedę, i że lubię muffiny, zwłaszcza kiedy lekko pachną goździkami. Zastanawiałem się, komu innemu wprosiłaby się do domu, gdyby nie zdołała mnie odszukać. A może to właśnie ja byłem opcją zapasową? Dlaczego tak myślałem?

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– W odwiedziny do starego znajomego. Mieszka za miastem. Spodoba ci się.

Nic nie odpowiedziałem. Domyśliłem się, że chodzi o kolejnego Inky’ego. Po co zabierała mnie ze sobą?

– Mieszka tam, odkąd wyjechał przed wojną z Niemiec. – Musiała przejąć to wyrażenie od rodziców. Oni mówiliby po prostu „wojna”, a nie „druga wojna światowa”. – Nie ma rzeczy, której by nie wiedział...

– ...o wszystkim. – Znałem ten typ.

– Prawie. Zna każdy nagrany utwór muzyczny.

Wyobraziłem sobie nerwowego wiekowego osobnika o wyglądzie kogoś z przemysłu mody, drepczącego w schodzonych kapciach dokoła wielkiego gramofonu. „Powiedz, *liebchen*, jaki znowu zegarek? Znasz-li ten kraj, gdzie



cytryna dojrzeła?”<sup>10</sup>. Miałem ochotę się z niego ponabijać.

– Kolejny Jän Mondrälin sky – rzuciłem.

Wyczuła mój sceptycyzm i próbę żartu.

– On ma za sobą więcej doświadczeń stąd i innych miejsc niż ty i ja razem wzięci i pomnożeni przez osiem do potęgi trzeciej.

– Coś takiego.

– Owszem. Wywodzi się jeszcze z czasów, kiedy cały świat się uwziął na wszystkich Żydów, a z Europy pozostał tylko maleńki zakątek w pobliżu zaczarowanego miasteczka nad jeziorem z widokiem na Szwajcarię. Mój ojciec, Hans i Fred Pasternak poznali się tam w podstawówce i właśnie dlatego tata nalegał, żebym pojechała tam na kilka lat do szkoły. Tam również, dla twojej nimformacji, Max przewracał strony dla człowieka, który kiedyś przewracał je dla człowieka, który kiedyś przewracał je dla ostatniego z uczniów Beethovena. Ja go właściwie uwielbiam.

Nie mogłem znieść tego jej ślepego zachwytu. Ona z kolei na pewno nie mogła znieść mojego bezsensownego pragnienia, żeby ośmieszyć jej znajomego.

– Więc sam nie bądź panem Mondrälin sky. – Posłużyła się moim słowem, żeby złagodzić naganę. – Posłuchamy kilku kawałków, które udało mu się wygrzebać. Jeśli chcesz wiedzieć, są naprawdę niesamowite.

Między nami nagle powiało chłodem. Zamilkliśmy, żeby go odgonić. Niech mgła się rozwieje, niech się rozplynie i uleci z samochodu jak dym z papierosa zassany przez maleńką szczelinę w jej szybie. Nasze milczenie powiedziało mi nie tylko, że myślami przebywamy chwilowo gdzie indziej i gniew stworzył między nami jakąś barierę, ale że Clara tak samo jak ja rozpaczliwie szukała jakiegoś ratunku, żeby ocalić sytuację, ale nie chciała, żeby było to zbyt oczywiste.

Pomyślałem, że to dobry znak.

Wtedy właśnie wyjęła nagrania fortepianowych suit Händla. Milczałem w obawie, że wzmianka o muzyce znowu skieruje rozmowę na jej starzejącego się cyborga z ogromnym fonografem. Włączała Händla, żeby

wypełnić jakoś ciszę. Żeby pokazać, że zdaje sobie sprawę z napięcia albo nie zdaje sobie z niego sprawy, żeby wygładzić nastroszone pióra tak jak pewna piękna kobieta kiedyś w windzie, która przesunęła ręką po klapie mojej sportowej marynarki, wygładzając zgniecenie na kołnierzu. Zaproszenie do rozmowy. Niezaproszenie do rozmowy.

Najwyraźniej odgadła, o czym myślę.

Ja też się do niej uśmiechnąłem.

Jeśli ona także miała swój odpowiednik mojego niewymówionego: „Pamiętasz ten spacer, wczoraj wieczorem?”, to jak by on brzmiał? „Wiem, o czym myślisz. Moja wersja w niczym nie przypomina twojej. To tylko napięcie sprawia, że chcesz odczytać moje myśli”. Albo jeszcze bardziej szorstko: „Nie miałeś prawa mówić w ten sposób o Herr Jänie. I patrz, wszystko między nami popsuleś”.

Jechaliśmy Riverside Drive. Wkrótce zbliżymy się do posągu na Sto Dwunastej, gdzie dwa dni temu przez chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność, cieszyłem się poczuciem zagubienia w burzy śnieżnej. Próbowałem przypomnieć sobie tamten wieczór i ośnieżony pagórek, i bernardyna, który pojawił się znikąd, a potem windę, przyjęcie, choinkę, kobietę. Teraz jechałem samochodem Clary i chciałem rozluźnić atmosferę. Patrzyłem, jak pomnik Tildena pojawia się i znika. Wtedy, dwa dni temu, wydawał mi się taki ponadczasowy, tak rozkosznie średniowieczny pod warstwą śniegu; teraz z trudem mnie sobie przypominał, kiedy pędziłem sportowym coupé, i nie łączyła nas już ani jedna wspólna myśl. Później, obiecałem: może odnowimy naszą więź w drodze powrotnej – przystanę tam i będę rozważał upływ czasu. „Patrz na ten pomnik, on i ja...” – powiedziałbym do Clary, przypominając jej, jak staliśmy na balkonie i patrzyliśmy na wieczność; but, śnieg, koszula, Bellagio, niemal wszystko w Clarze boleśnie pragnęło się przemienić w poezję. Bo to przecież była poezja, prawda? – ów spacer tamtej nocy i wczoraj wieczorem. „Pamiętasz, jak spacerowaliśmy po Sto Szóstej? Przez cały dzień nie mogłem przestać o tobie rozmyślać, przez cały dzień”.

– Paskudny dzień, prawda?

Powiedziałem, że uwielbiam szare, pochmurne dni.

Ona właściwie też je lubiła.

Więc czemu powiedziała „paskudny”?

Zbyła moje pytanie wzruszeniem ramion.

Pewnie dlatego, że to najłatwiejsze, co można było powiedzieć. Bo powiemy cokolwiek, byle tylko rozluźnić atmosferę? Przez chwilę wydawała mi się odległa, jakby przebywała gdzie indziej.

I nagle, po zaledwie kilku sekundach i bez żadnego ostrzeżenia – jakby do tego właśnie zmierzała przed puszczeniem Händla, przed chwilą napięcia w samochodzie, być może nawet przed zadzwonieniem moim domofonem i kupnem dwóch dużych kaw za rogiem – „No więc” – i natychmiast wiedziałem, co zaraz powie, po prostu to wiedziałem...

– Myślałeś o mnie w nocy? – zapytała, wpatrując się prosto przed siebie, jakby nie miała czasu, żeby odwrócić się w moją stronę, choć było jasne, że mimo to zdoła przejrzeć każdą moją odpowiedź.

Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Spędziłem ją z tobą.

Nic nie powiedziała, nawet nie spojrzała na mnie z ukosa.

– Wiem – rzekła w końcu jak psychiatra, który cieszy się, że lek przepisany prawie mimochodem pod koniec jednej sesji przyniósł oczekiwany efekt jeszcze przed rozpoczęciem drugiej. – Może powinienś był do mnie zadzwonić.

Tego się nie spodziewałem. A może to był jej sposób na zniwelowanie dystansu między obcymi sobie osobami? Była bardzo szczerą w delikatnych sprawach. Niewykluczone, że tak jak ja bez trudu potrafiła przyznać się do prawdy, a jeszcze łatwiej przychodziło jej zadawanie śmiałych pytań, ale zbieranie się do nich było zapewne „udręką i torturą” – tak jak w miłości, gdzie ludzie nie ukrywają samej pasji, tylko stopniowe narastanie podniecenia. Prawda przebijała się na powierzchnię jak ostre odłamki szkła, ale wyrastała z wewnętrznej rozterki, może dlatego, że jej źródłem był bardziej strach niż przemoc.

– A ucieszyłabyś się, gdybym to zrobił? – zapytałem.

Cisza. I nagle, równie niespodziewanie:

– W tej biało-szarej torbie po twojej lewej są muffiny i bajgle.

Dobra była w te klocki.

– Ach, muffiny i bajgle w szaro-białej torbie po mojej lewej – powtórzyłem jak echo, żeby upewnić ją, że nie umknęła mi jej celowo wyraźna zmiana tematu, nawet jeśli nie zamierzałem naciskać na odpowiedź.

Przejrzenie zawartości szaro-białej papierowej torby trwało całą wieczność. Ostatnią rzeczą, którą miałem w ustach, była kanapka z serem czosnkowym, którą Clara dała mi niemal pół doby temu.

– Pozwolenie na jedzenie w aucie?

– Udzielam.

Odłamałem część spieczonego wierzchu maślanego muffina z żurawiną i podałem Clarze. Wzięła go i z pełnymi ustami w ramach podziękowania kiwnęła dwukrotnie głową.

– Pozwolenie na spróbowanie innego muffina przez wzgląd na różnorodność?

Nadal przeżuując i o mały włos wybuchając śmiechem, pokiwała głową, a ja wziąłem się do dzieła.

– Koniecznie muszę wyniuchać, co jeszcze się kryje... w tej tutaj szaro-białej torbie po mojej lewej.

Wykonała ruch, jakby wzruszała ramionami, pozorując śmiech. Chwila napięcia minęła.

Zadzwoił jej telefon.

– Halo – powiedziała.

Ktoś zadał jej jakieś pytanie.

– Nie mogę, właśnie prowadzę. Jutro. – Rozłączyła się. A potem wyłączyła telefon.

Cisza.

– Podoba mi się to śniadanie w drodze – powiedziałem w końcu. Ona jednak odezwała się w tym samym momencie:

– No więc nie zadzwoniłeś wczoraj, bo...?

Czyli wracamy do tematu – pomyślałem. Nie zamierzała odpuścić – ale to chyba dobry znak? Tylko dlaczego w takim razie poczułem ten przypływ czegoś niesamowicie krępującego i niezręcznego między nami, zwłaszcza że po wyznaniu sprzed kilku minut nie miałem się już czego wstydzić? A może wyznałem to właśnie po to, żeby zszokować ją i natychmiast urwać temat, pokazać, że gdybym chciał, wyznałbym całą prawdę, ale również pod warunkiem, że potem zaczniemy rozmawiać o czymś innym? Tłumaczenie, dlaczego nie zadzwoniłem, było ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę, a jednocześnie najbardziej pragnąłem wyznać. I chciałem jej też powiedzieć o ostatniej nocy, jak obudziłem się przy niej i przypomniałem sobie lekki puszek na jej skórze wtedy w barze, i że myśl o nim nadal mi towarzyszyła, kiedy Clara zadzwoniła do mnie z dołu, i że chciałem zbiec w szlafroku i pokazać jej, co jej głos robił z moim ciałem.

– Bo nie byłem pewien, czy tego chcesz – powiedziałem w końcu.

Dlaczego do niej nie zadzwoniłem? Czy zwyczajnie udawałem, że nie chcę jej powiedzieć? A może nawet nie wiedziałem, jak zacząć o tym mówić? Co mogłem ci powiedzieć, Claro? Że będę się trzymał twoich reguł, choć nie chcę? Że nie zadzwoniłem, bo nie wiedziałem, co mogę rzec poza: „To ja, nie chcę być dzisiaj sam”?

– Dlaczego nie zadzwoniłem? – powtórzyłem wreszcie, siląc się na szczerość. Niespodziewanie przysły mi na ratunek jej własne słowa z poprzedniego wieczoru: – Po prostu próbuję się zadekować, Claro. W sumie tak jak ty. Nie chcę zakłócać porządku wszechświata.

Wiedziałem, że to łatwy wykręt. Patrzyłem prosto przed siebie, tak jak ona, usiłując nadać swojemu wyznaniu niepoważny ton pełnego premedytacji, choć aż nazbyt wyraźnie maskowanego żartu. Czyżbym pogardzał dekowaniem się? Czy wykorzystywałem je przeciwko niej? A może przeciwnie: zaprzeczałem swojemu niepewnemu wykrętowi, sugerując, że to tylko spapugowane słowa – nie moje, lecz jej? Albo próbowałem pokazać, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczała

– choć nie miałem najmniejszego pojęcia, co dokładnie? A może nie miałem w zanadrzu żadnych sztuczek, lecz desperacko pragnąłem, żeby Clara myślała, że owszem, bo sam chciałem w to uwierzyć?

Dopiero kiedy wymówiłem słowa „dekuję się”, przyszło mi do głowy, że jestem o wiele bliżej prawdy co do sytuacji, w jakiej znajdowałem się w tym samochodzie i wczoraj wieczorem, i na przyjęciu, i w ogóle w całym życiu, niż to wynikało z mojego udawanego silenia się na żartobliwy ton.

Czułem też jednak, że nie wyjaśniłem dostatecznie jasno, dlaczego nie zadzwoniłem, i może Clara nadal czekała na odpowiedź.

– Słuchaj, chyba będę musiał coś powiedzieć – zacząłem wreszcie, nie wiedząc, do czego zmierzam, tyle że mówienie tego z powagą i doniosłością w głosie dawało mi poczucie, że podążam za impulsem, aby wymówić jakies pełne znaczenia i nieodwracalnie szczerze słowa, które na pewno rozwieją wszelkie dwuznaczności między nami.

– Nic takiego nie będziesz musiał – zachnęła się, kpiąc z czasownika „musieć” (zapomniałem, że go nie znosi).

– Chciałem tylko powiedzieć, że większość z nas w taki czy inny sposób tkwi w naprawie.

Popatrzyła na mnie.

– Wcale nie to chciałeś powiedzieć.

Czyżby znowu przejrzała mnie, zanim sam zdążyłem to zrobić? A może, jak wolałem myśleć, uważała, że naśmiewam się z niej, mszcząc się z opóźnieniem za zimny prysznic poprzedniego wieczoru, kiedy ostrzegła mnie, że bym „nie popsuł różnych spraw”?

Chcąc naprawić sytuację, dodałem:

– W naszych czasach wszyscy się dekują, nie wyłączając szczęśliwych małżonków; oni również to robią. Mówiąc szczerze, nawet już nie wiem, co to w ogóle znaczy.

Gdyby zaczęła dopytywać, znalazłbym sposób, żeby wyjaśnić, że po prostu schroniłem się w jej słowach jak dziecko wtulające się zimną nocą pod kołdrę dorosłego. Pożyczałem twoje słowa, żeby ukryć się w twoim świetle,

pod twoją kołdrą, Claro, nic więcej. Bo one wszystko tłumaczą i nie tłumaczą niczego, bo – choć przyznaję to z bólem – więcej jest prawdy w twoim oddechu niż w moim mówieniu, bo ty jesteś prosta, a ja składam się z samych pętli, bo ty bez mrugnięcia okiem rzuciłabyś się przez pole minowe, a ja tkwię tutaj w okopach po niewłaściwej stronie frontu.

– Chyba będę musiała cię poprosić o kolejny kawałek muffina.

Oboje wybuchliśmy śmiechem.

Byliśmy już niedaleko od trasy Henry’ego Hudsona i mieliśmy pojechać wzdłuż rzeki aż na północ. Clara powiedziała, że nie znosi trasy Taconic. Jadąc i jedząc śniadanie na wynos, tak jak wczoraj wieczorem zjedliśmy na wynos kolację, zacząłem myśleć, że może tym, co nas do siebie przyciągało, była ni mniej, ni więcej tylko tęsknota, żeby zadekować się z kimś rozpaczliwie pragnącym tego samego, kimś, kto wymagał bardzo niewiele, a mógł ofiarować niezwykle dużo, o ile tylko nie będzie się go o to prosić – byliśmy jak dwoje rekonwalescentów porównujących temperatury i wymieniających się lekami, zakrywających kolana tym samym pledem, szczęśliwych, że się znaleźli, i gotowych otworzyć się tak, jak rzadko to do tej pory czynili, o ile tylko oboje będą pamiętać, że rekonwalescencja nie trwa wiecznie.

– A ty myślałaś o mnie w nocy? – zapytałem z kolei.

– Czy o tobie myślałam? – powtórzyła jakby zdziwiona, z miną z rodzaju: „Absolutnie nie wypada ci o to pytać!”. – Może – powiedziała wreszcie. – Nie pamiętam. – I w końcu, po pauzie: – Pewnie nie.

Ale przebiegły wyraz twarzy, który sam chwilę temu przybrałem, powiedział mi, że ona również miała na myśli coś zupełnie przeciwnego: „Pewnie nie. Nie pamiętam”. I w końcu, po pauzie: „Może”.

Czyżby w tej grze, która ponownie zaczęła się między nami toczyć, zdobywało się więcej punktów za udawanie obojętności? A może za udawanie udawania obojętności? A może za pokazywanie, że się zauważyło podłożoną minę, ale sprytnie się ją wyminęło i odrzuciło z powrotem ku przeciwnikowi, jak na wojnie w okopach, aż wreszcie mina wybucha w powietrzu? A może Clara zdobyła kolejne punkty, bo raz jeszcze zdołała udowodnić, że z nas dwojga to ona ma w sobie więcej brawury i szczerości,

choćby dlatego, że w ogóle nie dba o punktację?

Znowu na nią spojrzałem. Czy teraz to ona z kolei udawała, że próbuje zapanować nad uśmiechem? A może zwyczajnie uśmiechała się szeroko, widząc, że stoję pod tablicą wyników i przyglądam się jej gorączkowo w desperackiej próbie nadrobienia strat w punktach?

Podąłem jej kawałek muffina, mówiąc w ten sposób: „Rozejm”. Teraz nie mieliśmy takiej potrzeby mówienia jak wcześniej, kiedy panowało między nami napięcie. Wyglądałem więc na Hudson, aż nagle zobaczyłem duży frachtowiec zacumowany na samym środku rzeki, z nazwą Prince Oscar wypisaną dużymi, stylizowanymi na gotyckie czarno-czerwonymi literami.

– Prince Oscar! – powiedziałem, żeby przerwać milczenie.

– Skuszę się na kolejny kawałek Prince’a Oscara – odparła Clara, sądząc, że z jakiegoś powodu postanowiłem ochrzcić w ten sposób muffina.

– Nie, statek.

Spojrzała w lewo.

– Mówisz o Printzu Oskárze?

– Kto to taki?

– W życiu o nim nie słyszałam. Jakiś mało znany królewski kadet z kraju na Bałkanach, który już nie istnieje.

– Chyba że w komiksach o Tintinie – dodałem.

– Albo w filmach Hitchcocka – odparowała. Albo to jakiś niski, pękaty południowoamerykański *dictator-emperador* z monoklem, który torturuje niedojrzałe dziewczęta na oczach ich ojców, a potem gwałci ich babki. Żadnemu z nas jednak nie udało się tchnąć w te żarty iskry życia. Pędziliśmy po Riverside Drive, kiedy nagle z prawej strony zajechał nam drogę jakiś samochód.

– Wsadź se Printza Oskára w tyłek! – krzyknęła za nim Clara.

Zjechała na pas szybkiego ruchu i podjechała do auta, które wcięło się przed nami. Spojrzała na kierowcę i obrzuciła go bezgłośnie kolejnym wyzwiskiem: – Priiiiiiiiiiiiiintz-os-kááááááááár!



Kierowca odwrócił się do nas, spojrział obelżywie, wystawił lewą dłoń, odwrócił ją i pokazał środkowy palec.

Clara bez zastanowienia prychnęła śmiechem i niespodziewanie także potrząsnęła ręką, wykonując niezwykle obsceniczny gest.

– Printz Oskár ci w dupę, gnoju!

Facet wyprzedził nas i odjechał z miną pokonanego.

– To go naucz.

Jej gest zdumiał mnie jeszcze bardziej niż tamtego kierowcę. Zdawał się pochodzić z zaświatów, których nigdy nie skojarzyłbym z nią, z Henrym Vaughanem ani z osobą, która całymi miesiącami przesiadywała nad las Foliás, a późną nocą śpiewała nam *Pur ti miro* Monteverdiego. Z szoku aż zaniemówiłem. Kim ona była? I czy tacy ludzie naprawdę istnieją? A może to ja byłem dziwadłem, skoro tak łatwo dałem się zszokować podobnym gestem?

– Zostały nam jakieś Printzy Oskáry? – zapytała Clara, wyciągając rękę.

O czym ona mówiła?

– *Un petit Printz muffin.*

– Już podaję.

– Chyba został tam jeszcze jakiś Printz – powiedziała.

– Już go zjedliśmy.

Spojrzała na dwa kubki kawy.

– Mógłbyś dosypać jeszcze trochę cukru do mojego Oskára?

Musiała wyczuć, że jej gest wytrącił mnie z równowagi. Nazywanie wszystkiego Printzem Oskárem było jej sposobem na zniwelowanie mojego szoku. Przypomniało mi też jednak, z jaką łatwością przychodziło nam tworzenie własnego małego świata z osobnym dialektem, akcentem i żartami. Jeszcze jeden wspólny dzień i dodamy do naszego słownika kolejne pięć słów. Za dziesięć dni w ogóle przestalibyśmy mówić po angielsku. Podobał mi się ten nasz prywatny żargon i podobało mi się, że go mamy.

Przed nami w zasięgu wzroku pojawiła się kolejna barka. Skojarzyła mi się z tamtym gigantycznym frachtowcem przycumowanym na rzece w pobliżu Sto Szóstej Ulicy w noc przyjęcia. Rozmyślałem wtedy o słowie „wielbić”.

– Kolejny Printz Oskár – powiedziałem, również odwołując się do naszego dialektu.

– Ten tutaj to bardziej Król Oskár – poprawiła Clara, kiedy patrzyliśmy na barkę, która wyglądała jak dinozaur o cielsku zwieńczonym nieproporcjonalnie małą zadziorną głową – wielką, brzydką, bezmózgą. Nie ma mowy, żeby coś takiego zdołało własnymi siłami przemierzyć Atlantyk. Pewnie przypłynęło tu inną rzeką. Clara napiła się kawy.

– Dobrze wymieszałeś.

Wyłączyła płytę z Händlem.

– Bach? – zaproponowała, jakby pytając, czy go lubię.

– Jasne.

Wsunęła płytę. Przez chwilę słuchaliśmy fortepianu.

– Kiedy dojedziemy na miejsce, będziemy słuchać tego samego utworu, więc się przygotuj.

– Masz na myśli w domu Herr Mondrälinsky’ego?

– Nie bądź takim Printzem, dobrze? Spodoba ci się, obiecuję, i on też cię polubi.

– Zobaczymy – odparłem, pozornie pochłonięty Bachem. Udawałem, że z trudem powstrzymuję się przed lekceważącym komentarzem o Herr Mondrälinskym.

– A jak się okaże, że jest totalnym nudziarzem? – spytałem wreszcie, nie mogąc wytrzymać.

– A jak się okaże, że go polubisz? Po prostu chcę, żebyś go poznał. To chyba niezbyt wygórowana prośba. Przestań robić problemy.

Podobało mi się, że każe mi przestać robić problemy. To nas do siebie zbliżyło, jakby najpierw rzuciła we mnie jaśkami z kanapy, a potem oparła

o mnie głowę. Podobał mi się nie tylko ton przyjaznej przygany, który wprowadzał między nami atmosferę zażyłości, lecz także sarkazm, z jakim rzuciła wreszcie: „Ale z ciebie okropny Printz Oskár!” – czyli że straszny ze mnie snob i uparty dzieciuch. Owo „Przestań robić problemy” słyszałem już od niejednej osoby. Clara mówiła moim językiem, sięgającym lata wstecz. Czułem się, jakbym usłyszał odgłosy swojego dzieciństwa w opróżnionym mieszkaniu albo poczuł zapach goździków i przypraw babci w wypiekach, które Clara kupiła dziś rano.

– Proszę, trafiłem na jeszcze jeden kawałek – rzekłem, odkrywając małego, ukrytego muffina.

– Ty go zjedz.

Ja jednak nalegałem. Podziękowała mi dokładnie tak jak za pierwszym razem – kiwnięciem głowy.

Lubiła pędzić swoim sportowym autem. Przed nami w lekkiej mgłę pojawiła się nagle trasa Saw Mill Parkway, ciągnąca się w nieskończoność do nieznanym, niewidzianym miejsc, a ja pragnąłem, by pozostały takie na zawsze.

– Jesteś dobry z matematyki?

– Niezły. – Dlaczego o to pytała?

– No to dokończ sekwencję: jeden, dwa, trzy, pięć, osiem...

– Łatwizna. To ciąg Fibonacciego. Trzydzieści jeden, trzydzieści cztery...

Po kilku chwilach:

– No to ten: jeden, trzy, sześć, dziesięć, piętnaście...

To zajęło mi chwilę.

– Trójkąt Pascala: dwadzieścia jeden, trzydzieści cztery.

Zawsze zwięźle i obcesowo.

– To teraz to: czternaście, osiemnaście, dwadzieścia trzy, dwadzieścia osiem, trzydzieści cztery...

Przez chwilę zastanawiałem się intensywnie. Ale nie zdołałem rozwiązać zagadki.

– Nie wiem.

– Odpowiedź masz przed nosem.

Pospiesznie dokonałem kilku obliczeń. Nic. Dlaczego tak świetnie wychodziło jej robienie ze mnie zidiociałego ciamajdy?

– Naprawdę nie wiem – powtórzyłem.

– Czterdzieści dwa, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt sześć... – odpowiedziała.

– No to o co chodzi?

– Przystanki na lokalnej linii z Broadwayu. Ty naprawdę nie patrzysz na to, co masz przed oczami, prawda?

– Rzadko.

– A to niespodzianka.

Claro Brunschvicg – miałem ochotę powiedzieć – jaka jest sekwencja Brunschvicga?

– Claro, wczoraj wieczorem nie zadzwoniłem do ciebie, bo stchórzyłem, okej? Wyciągnąłem nawet *télyfön*, ale potem pomyślałem, że wcale byś się nie ucieszyła. Więc nie zadzwoniłem.

– I zamiast tego się ze mną kochałeś.

– I zamiast tego się z tobą kochałem.

Wybrała odpowiedni dzień. Wszędzie białość. Nie było nadziei, że słońce przedrze się przez chmury. A jednak pomimo szadzi, która okrywała chłodną mroźną warstwą wszystko, poczynając od spadzistej maski srebrnoszarego samochodu aż po srebrnoszary pas jezdni, między nami zagościło coś ciepłego – częściowo wynikało to z nastroju Clary, częściowo ze śniadania, które kupiła, częściowo z Bożego Narodzenia, a częściowo z ostatniego wieczoru, którego urok zdawał się wisieć nad jej pytaniem „Myślałeś o mnie wczoraj w nocy?” jak aureola nad postacią świętego, uroczystą i milczącą.

- A ja ciągle miałam nadzieję, że zadzwonisz.
- Więc w końcu sama się u mnie zjawiłaś.
- Więc w końcu sama się zjawiłam.

Ile trzeba mieć ikry, żeby wpaść do kogoś ze śniadaniem na wynos bez najmniejszej obawy, że ten ktoś odeśle cię z kwitkiem! W ten sam sposób Clara mi się przedstawiła. W ten sam sposób czekała przed kinem. W ten sam sposób żyła i robiła wszystko. Zazdrościłem jej.

Taka była dla każdego. Zostawiała ludzi, a potem wpychała się z powrotem w ich życie. Mów – rzekłaby, a potem równie nagle by się rozłączyła. Coś mi podpowiadało, że choć wczoraj rozstaliśmy się tak późno i choć nie chciała odbierać przy mnie telefonu, udało jej się znaleźć czas na oddzwonienie do Inky’ego po tym, jak odprowadziłem ją do domu. A teraz z kolei ten starzec, do którego wybieraliśmy się z wizytą. Nie miał pojęcia, że Clara się dziś u niego pojawi, a tym bardziej w towarzystwie obcego człowieka. Czyli po prostu zajedziesz pod jego dom, zatrąbisz kilka razy, żeby dać mu czas na spryskanie twarzy wodą, przyczesanie włosów i założenie sztucznej szczęki, a potem krzykniesz: Juhuuuu, niespodzianka!

Nie, zamierzała do niego zadzwonić, gdy tylko wyjedziemy od Edy.

Kto to jest Edy? – zapytałem, coraz mniej z tego wszystkiego rozumiejąc. Zobacysz. Ciszka. Czy podobało mi się, że nic nie wiem? Nie, nie podobało mi się. Tak naprawdę odkrywałem właśnie, że to uwielbiam. Czułem się jak w ciuciubabce i miałem nadzieję, że nigdy nie ściągną mi z oczu opaski.

Może cieszyło mnie to zakłócenie ustalonego porządku, bo takie szatkowanie moich dni i przyzwyczajień na małe kawałeczki, z którymi nic nie można zrobić, dopóki ona się nie zjawi i sama ich nie uporządkuje, było jej sposobem na wprowadzenie pewnej ekscytacji, namieszanie w głowie i wywrócenie cię na lewą stronę jak starą skarpetkę – twoje serce to wyprana skarpetka szukająca swojej pary – wczoraj w nocy nie tylko o tobie myślałem, Claro, zapytaj mnie, zmusz, żebym ci powiedział, to od razu powiem, umieram z ochoty, żeby to zrobić.

Nie wiedziałem, dokąd jedziemy ani kiedy wrócimy. Nie chciałem też przyłapywać się na rozmyślaniach o jutrze. Bo niewykluczone, że w ogóle

nie będzie żadnego jutra. Wolałem nie zadawać zbyt wielu pytań. Może nadal próbowałem się opierać, bo próby oporu wyraźnie zdradzają, że człowiek już dawno się poddał. Jadąc jej samochodem, pragnąłem stworzyć pozory całkowitej nonszalancji, ale tak naprawdę gdy tylko wsiadłem, poczułem sztywność w karku i ramionach. Pewnie ta sama sztywność czaiła się tam również poprzedniego wieczoru w kinie. I w barze. I podczas naszego spaceru. Wszystko we mnie wołało, żebym coś powiedział – nie coś śmiałego ani inteligentnego, ale prostego i szczerego. Uchyłono przede mną dziwne wąskie drzwi i wystarczyłoby, żebym pomachał przepustką i wepchnął się do środka. A zamiast tego czułem się jak pasażer strachliwie podchodzący do wykrywacza metali. Wyjmujesz klucze, potem zegarek, drobne, portfel, zdejmujesz pasek, buty, oddajesz *télyfön* i nagle odkrywasz, że bez tego wszystkiego jesteś nagi i narażony na ból jak ułamany ząb. Zesztywniały kark i złamany ząb. Kim byłem bez wszystkich swoich małych rzeczy ułożonych każda na swoim miejscu, bez moich małych porannych rytuałów, mojego śniadanka w małej, ciasnej greckiej knajpce, bez skrzętnie pielęgnowanych bolączek i przebiegłych sposobów na udawanie, że nie zdaję sobie sprawy, iż kobieta, która wydzierała się przez domofon: „No ja, Shukoffowa, do jasnej cholery!”, jest tą samą, którą poprzedniej nocy zaprosiłem do łóżka i błagałem w mroku, porzucając wszelką ostrożność, żeby nie zdejmowała swetra, tak bym i ja mógł się w niego wsunąć, bo kiedy myślałem o naszych nagich ciałach spowitych razem w wełnę, wiedziałem, że przy niej mogę bezpiecznie otworzyć śluzy i puścić wodze fantazji, ponieważ już dwa wieczory z rzędu zmarnowałem okazję i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa straciłem Clarę na dobre?

– Zamyśliłeś się.

– Wcale nie.

Ona też nie znosiła, kiedy ludzie się zamyślali.

– W każdym razie ucichłeś.

– Bo myślę.

– Powiedz to tym barkom. – Zamilkła na chwilę. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Nadal patrzyła prosto przed siebie.

– Myślałem, że wiesz już wszystko, co można o mnie wiedzieć.

W ten sposób chciałem przypomnieć jej ostrzeżenie, którego udzieliła mi wczoraj w barze.

– W takim razie powiedz mi coś, co chcę usłyszeć.

Przywilej kierowców: wolno im mówić najbardziej ryzykowne rzeczy i nawet przy tym na ciebie nie spojrzeć.

– Na przykład?

– Na pewno sam jesteś w stanie coś wymyślić.

Czy rozumiałem, o co jej chodziło? A może tylko tak sobie wyobrażałem?

– Na przykład, że jak wczoraj odprowadzałem cię do domu, to próbowałem wymyślić jakiś sposób, żebyśmy nie musieli się jeszcze żegnać, bo miałem ci jeszcze tyle do powiedzenia? Albo że nie wiem, dlaczego ten film wydawał się mieć z nami tyle powiązań? Albo że chciałem przeżyć to wszystko jeszcze raz od samego początku? Coś w tym stylu?

Nie odpowiedziała.

– Na przykład chcesz, żebym mówił dalej, czy mam przestać?

To miało być zarówno ostrzeżenie przed nadchodzącą lawiną, jak i znak, że tylko się bawię, że jakkolwiek blisko mogę podejść, nigdy jako pierwszy nie usunę widma, które Clara umieściła między nami jak zaporę.

– Na przykład możesz przestać, kiedy tylko chcesz – stwierdziła.

To mnie nauczy prosić o pomoc w nawigowaniu po dzielących nas mieliznach.

– Claro, gdzie się produkuje takich ludzi jak ty?

Z początku nie odpowiedziała.

– Gdzie? – powtórzyła, jakby nie zrozumiała pytania. – Dlaczego pytasz?

– Bo bardzo trudno cię rozgryźć.

– Ja nie mam tajemnic. Gram w otwarte karty. Chociażby z tobą.

– Nie mówię o tajemnicach. Chodzi o to, że potrafisz skłonić mnie do mówienia rzeczy, których nie powiedziałbym nikomu innemu.

– Oszczędź sobie tego Printza Oskára!

Odczekałem kilka sekund.

– Oszczędzam! – Jakbym zaliczał jej trafienie tylko po to, żeby zrobić jej przyjemność, choć jednocześnie czułem i odrzucenie, i ulgę.

Roześmiała się.

– Nie wierzę, że to ja się rumienię, a nie ty – stwierdziła.

– Pozwolenie na zmianę tematu? – spytałem, podając jej ostatni kawałek muffina wygrzebany z dna papierowej torby.

– Ale ty masz pomysły, Printzu.

Uwielbiałem te małe miasteczka nad Hudson, zwłaszcza w taki popielatobiały dzień. Dwadzieścia lat temu niektóre z nich były zapewne tylko przemysłowymi wioseczkami z niszczącymi nabrzeżami i szkieletami pomostów. Teraz, jak wszystkie okolice wokół Nowego Jorku, rozkwitły i zmieniły się w malownicze weekendowe ustronia. Z dala od drogi, na zboczu wzgórza, stał przycupnięty mały zajazd. Zazdrościłem jego właścicielom i gościom, którzy w ten świąteczny tydzień siedzieli w małej jadalni, czytając poranne gazety.

Nie. Bardziej podobało mi się w samochodzie.

Tak, ale znaleźć się z nią w jadalni jednego z tych hotelików. Albo jeszcze lepiej: czekać, aż zejdzie z góry i usiądzie obok mnie przy naszym stoliku. A gdyby tak wieczorem napadał śnieg i musielibyśmy spędzić tu noc...

– No to powiedz mi coś innego, Printzu. Cokolwiek.

– Claro B., bardzo trudno za tobą nadążyć. Ciągłe zajeżdżasz mi drogę.

– Może dlatego, że ty zmierzasz ciągle w jedno i to samo miejsce...

– ...i ciągle cię ostrzegam, że dalej na jezdni jest duży remont...

– ...no i nie zapominaj o blokadach drogowych – wtrąciła, też chyba



żartując.

Prowadziła szybko, ale nie niebezpiecznie; kilka razy zwróciłem uwagę, że zmieniła pas, żeby przepuścić niecierpliwych kierowców. Ale nie robiła tego z uprzejmości.

– Przez nich się denerwuję.

Trudno było mi wyobrazić ją sobie zdenerwowaną.

– A przeze mnie?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Wolisz, żebym odpowiedziała „tak” czy „nie”? Bo mogę i tak, i tak.

Uśmiechnąłem się. Nie mogłem sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek szarpanie przez kogoś moich nerwów sprawiało mi większą przyjemność. Pokiwałem głową.

– Głębokie, bardzo *très* głębokie – stwierdziła Clara. – Zdecydowanie między nami jest za dużo Wisznukrisznu Vindalu Paramaszanti.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, co ma na myśli. Ale nie miałem pojęcia, czy ta zażyłość sprawia jej przyjemność, czy też Clara wolałaby ją zakończyć.

– Miasto cmentarzy – przerwałem, pokazując szereg cmentarzy w Westchester.

– Wiem – powiedziała.

Wyrząłem przez okno i zdałem sobie sprawę, że tak właściwie zbliżamy się właśnie do cmentarza, na którym był pochowany mój ojciec. Wiedziałem, że jej o tym nie powiem i zapomnę o sprawie, gdy tylko wyjedziemy z miasteczka. Gdybym znał Clary lepiej albo czuł się mniej przytłoczony, może poprosiłbym, żeby przy następnym zjeździe z trasy skrzyła, zawróciła, znalazła jakąś kwiaciarnię i poszła ze mną na grób.

Spodobałaby się ojcu. Przepraszam, że nie wstaję. Mówiąc szczerze, to miejsce każdemu zaszkodziłoby na kręgosłup. A do mnie powiedziałaby: przynajmniej mimo swojej ikry i póź pseudouwodzicielki nie przypomina tej twojej dziedziczki. Tamta urwałaby ci jaja.

Zastanawiałem się, czy nadejdzie kiedyś dzień, kiedy zaufam Clarze na tyle, żeby spytać, czy nie zatrzymałaby się na kilka minut i nie odwiedziła ze mną grobu taty. Dlaczego tego nie zrobiłem? Ona bez wahania zabrałaby mnie na grób swojego ojca – mojego też, gdybym poprosił. Dlaczego wczoraj do niej nie zadzwoniłem? Dlaczego nie mogłem zwyczajnie zapytać: czy któregoś dnia będę mógł ci opowiedzieć o swoim ojcu?

Nigdy o nim nie mówiłem. Czy w drodze powrotnej będę pamiętał, żeby znowu o nim pomyśleć? A może zamiast tego wybiorę nienawiść do samego siebie za to, że po raz drugi go grzebię, uśmiercam go ciszą i wstydem, choć wiem już, że to zbrodnia przeciwko mnie samemu, a nie jemu, przeciwko prawdzie, a nie miłości. Kiedy mowa o żałobie, wygrane wypłacane są najpierw grubymi banknotami, a potem drobnymi monetami; zakładu o ciszę i wstyd nie przyjmie żaden bukmacher.

Jakiś czas później Clara bez ostrzeżenia zjechała z trasy i znaleźliśmy się w miejscu, które wyglądało na dawną wioskę rybacką ze starym masztem wyznaczającym centrum. Zaparkowała przed sklepem z łakociami z lat pięćdziesiątych, na uboczu, o dziesięć metrów od stacji benzynowej.

– Zrobimy tu mały przystanek.

Wyblakły szyld na ceglanych schodach obwieszczał, że mieści się tu lokal U Edy.

Chłodne powietrze, które owiało nas po wyjściu z samochodu, sprawiło mi przyjemność.

Okazało się, że U Edy to świecąca pustkami jadłodajnia dla robotników.

– To wygląda jak Norman Rockwell na głębokiej prowincji – stwierdziłem.

– Herbaty? – zapytała Clara.

– Chętnie – zgodziłem się, nie chcąc psuć zabawy. Clara natychmiast rzuciła płaszcz na stolik z formiki przy dużym oknie z widokiem na Hudson.

– Idę do łazienki.

Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy bez najmniejszej żenady mówią, że idą do łazienki.

Kelnerka po pięćdziesiątce, z imieniem wyszytym pochyłym różowym pismem na pasiastym fartuchu, przyniosła dwa ciężkie kubki z torebkami herbaty Lipton. Trzymała je za uszka na lewym palcu wskazującym, a w drugiej ręce niosła okrągły dzbanek z gorącą wodą.

– Edy? – spytałem zamiast podziękowania.

– To ja – odparła, stawiając kubki na blacie z formiki i zalewając herbatę wrzątkiem.

Zająłem miejsce z gorszym widokiem, tym na unoszącą się na wodzie barcę, która wyglądała bardziej jak porzucona konstrukcja do łowienia pod lodem. Potem zmieniłem zdanie, bo od strony Clary widać było przechylone zardzewiałe molo. Potem znowu zmieniłem zdanie: może jednak widok na barcę unoszącą się na dnie rozpadliny wcale nie jest taki brzydki. Nie mogłem się zdecydować, dopóki nagle nie zdałem sobie sprawy, że w głębi lokalu znajduje się kominek z płonąca szczapą drewna. Niespodziewanie przyszły mi do głowy okna wykuszowe. Wziąłem oba kubki i przeniosłem je na osłonięty narożny stolik przy kominku. Nawet widok był tam lepszy. Między zabytkowym sekstansem a ogromną fajką z sepiolitu wisały dwa małe obrazki: imitacja jakiegoś portretu pędzla Reynoldsa i coś z szarżującym bykiem oraz matadorem, który przebijał szpadą grzbiet zwierzęcia.

Kiedy Clara wróciła, usiadła i objęła kubek dwiema rękami takim gestem, jakby ciepłe naczynie w dłoniach było najlepszą rzeczą pod słońcem.

– Sam w życiu nie znalazłbym tego miejsca – powiedziałem. – Nikt nie zdołałby go znaleźć.

Clara siedziała w takiej pozycji jak poprzedniego wieczoru, z łokciami rozłożonymi szeroko na stole.

Twoje oczy, twoje zęby, Claro. Nigdy dotąd nie zachwyciły mnie jej zęby, ale teraz pragnąłem dotknąć ich palcem. I nigdy jeszcze nie widziałem jej oczu w świetle dnia. Szukałem ich, obawiałem się ich i zmagalem z nimi. Powiedz, że wiesz, że się na ciebie gapię, że po prostu to wiesz, że tego chcesz, i też myślisz o tym, że jeszcze nigdy nie byliśmy razem w świetle dnia.

Może moje spojrzenie ją krępowało, bo znowu objęła pieszczotliwie swój kubek, jakby usiłowała rozgrzać przemarznięte dłonie. Ręka wokół jej ramion, ręka na jej luźnym swetrze zsuwającym się z nagich ramion jak kaszmir. To przecież dość łatwe, tylko dlaczego nie w przypadku Clary?

Usiadła prosto, jakby odczytała moje myśli i nie chciała, żebym znowu zapuścił się w te tereny.

Powiedziałem coś żartem na temat starego Jäna. Nie odpowiedziała, albo nie zwróciła na to uwagi, albo zwyczajnie ignorowała moją marną próbę rozmowy o niczym.

Zazdroszczę ludziom, którzy ignorują próby rozmów o niczym.

Dotknąć ręką twojego ramienia. Dlaczego siedzieliśmy twarzą w twarz jak obcy ludzie, a nie obok siebie? Może powinienem był poczekać, aż Clara usiądzie pierwsza, i wtedy zająć miejsce przy niej? Co za idiota ze mnie: całe to zamienianie stolików i zamieszanie o widok z barką albo zardzewiałym molo i znowu z barką – co to wszystko miało do rzeczy?

Clara oparła się głową o dużą uszczelnioną szybę, starając się nie dotykać zakurzonych zasłon w szkocką kratę. Wydawała się zamyślona. Ja także właśnie miałem oprzeć głowę o szybę, ale teraz postanowiłem tego nie robić; Clara uznałaby, że próbuję ją naśladować, choć pierwszy o tym pomyślałem. Wyglądałoby to jak zbyt wymuszona próba zabijania w tym samym obłoku. Zamiast tego przygarbiłem się i odchyliłem na oparcie, niemal dotykając pod stołem jej stóp.

Skrzyżowała ręce i wyjrzała na dwór.

– Uwielbiam takie dni.

Spojrzałem na nią. A ja uwielbiam to, jak w tej chwili wyglądasz. Twój sweter, twoją szyję, twoje zęby. Nawet twoje ręce, te grzeczne, nieopalone, ciepłe, świetliste dłonie spoczywające na złożonych ramionach, jakbyś ty też się denerwowała.

– No to porozmawiaj ze mną.

– No to porozmawiam z tobą.

Bawiłem się torebeczką cukru. Dla odmiany teraz to Clara sprawiała

wrażenie, jakby chciała wypełnić ciszę. Ja za to czułem się jak krab, który właśnie zrzucił skorupę: pozbawiony szczypiec, pozbawiony inteligencji, pozbawiony szybkości – tylko nieskładna masa z bolącymi fantomowymi kończynami.

– Cieszę się, że się tu znalazłem – powiedziałem: że jestem właśnie tutaj, z tobą, piję herbatę w jakiejś zagubionej jadłodajni tuż obok porzuconej stacji benzynowej w sercu zaniedbanego prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. Czy to miało znaczenie? – I ten widok też mnie cieszy – dodałem, zatrzymując wzrok na zamarzniętym białym brzegu i stromych zboczach w oddali, jak gdyby one również miały coś wspólnego z „cieszeniem się, że się tu znalazłem”. – I jeszcze cieszę się, że tak tu sobie siedzimy – dorzuciłem jakby po namyśle. – Choć oczywiście wszystko to może nie mieć najmniejszego związku z tobą – wtrąciłem przebiegle.

Uśmiechnęła się na moje wysilone „po namyśle”.

– Zupełnie żadnego.

– Absolutnie – upierałem się.

– Całkowicie się zgadzam.

Roześmiała się – ze mnie, z siebie, z radości, że jesteśmy ze sobą o tak wczesnej porze, z naszych nieudanych prób zamaskowania tej radości.

– Pora na trzeciego tajnego agenta – stwierdziła, wyjmując papierosa i zapalając go.

Zęby, oczy, uśmiech.

– Jeśli to cię pocieszy, ja też się cieszę – powiedziała, wpatrując się w odległe lasy po drugiej stronie rzeki, jakby ponosiły większą odpowiedzialność za naszą radość z tej chwili niż my sami. Czyżby robiła to samo co ja? Obdarzała nas komplementem i jednocześnie niwelowała go, przenosząc spojrzenie na pejzaż stromych brzegów? Czy też próbowała rozpocząć temat „nas” w sposób, na który mnie nie starczało jeszcze odwagi?

– Na pewno nic cię to nie obchodzi, ale przyjeżdżałam tu dawniej z Inkym.

– Gdzie, tutaj? *Chez Edy*? – Dlaczego ciągle się naśmiewałem z tego

miejsca, dlaczego?

– On i jego brat jako dzieci pływali tutaj łódką, łowili ryby, pili, a potem wracali przed zmrokiem do domu. Inky i ja przyjeżdżaliśmy tu samochodem, parkowaliśmy, kręciliśmy się trochę po okolicy, kiedy on wspominał dawne dni, aż w końcu wracaliśmy do auta i jechaliśmy z powrotem do miasta. On jest taką zagubioną, strasznie zagubioną duszyczką.

– A ty?

– Nie! – rzuciła ostro, nie pozwalając mi dokończyć, choć sam jeszcze nie wiedziałem, o co zamierzam spytać. To miało znaczyć: „Nawet nie próbuj”. Okopy, rowy, doliny pandelęku: to wszystko było dobre na przyjęcie.

– Przyjechałaś tu teraz, żeby znaleźć się bliżej niego?

– Nie. Już ci mówiłam. Między nami wszystko skończone.

Głupie, głupie pytanie.

– Więc po co zaczęłaś o nim mówić?

– Nie musisz się denerwować.

– Wcale się nie denerwuję.

– Nie? Szkoda, że nie możesz siebie zobaczyć.

Postanowiłem obrócić to w żart: podniosłem mały metalowy dzbanuszek na mleko i przejrzałem się w nim raz, dwa, trzy razy, jakby chcąc się przekonać, jak wygląda moja twarz, kiedy jestem zdenerwowany.

Nagle coś zauważyłem. Rano w pośpiechu całkowicie zapomniałem się ogolić. A przecież celowo starałem się opóźnić zejście na dół, aby pokazać, że wcale się nie rwę do spotkania z Clarą.

Czy chciała, żebym powiedział, że się zdenerwowałem? Czy to właśnie było jej swoiste „otwarcie”, sposób na zmuszenie mnie do wyznania, co czułem za każdym razem, kiedy wspominała o Inky, żeby sama z kolei mogła mnie znowu zbesztać za to, że posuwam się za daleko? Czy co raz to wskrzeszała swojego eksa, aby przypomnieć o dzielącym nas okopie?

– Wcale nie wyglądam na zdenerwowanego – powiedziałem, udając, że kwestionuję jej opinię.

– Zostawmy już ten temat.

Dlaczego za każdym razem, kiedy myślałem, że mogę się bezpiecznie zbliżyć, odpychała mnie na krawędź?

– Inky siadał tu i gapił się na tamten most.

– Na most? Dlaczego?

– Bo jego brat się z niego rzucił.

Ogarnęło mnie współczucie dla całej ich trójki.

– A co ty robiłaś, kiedy on się gapił? – zapytałem, nie wiedząc, co jeszcze mogę powiedzieć.

– Miałam nadzieję, że o tym zapomni. Że przestanie go to dręczyć. Że dzięki mnie coś się zmieni. Że on coś powie. Ale on tylko siedział i się gapił pustym, zawsze pustym spojrzeniem. Dopóki nie zrozumiałam, że na swój własny wyrafinowany, udręczony sposób próbuje mi powiedzieć, że gdybym chciała i się uparła, mogłabym sprawić, żeby i on się rzucił.

Owszem, potrafiłem sobie wyobrazić, że Clara umiałaby skłonić człowieka do rzucenia się z mostu.

– Więc dlaczego tu przyjeżdżasz?

– Lubię tutejszy zaniedbany folkowy klimat. – Ona też potrafiła udawać celową nonszalancję.

– Pytam poważnie. Tęsknisz za nim? – zapytałem, jakby chcąc jej pomóc w dostrzeżeniu odpowiedzi, którą miała tuż przed oczami.

Pokręciła głową – nie odmownie, ale jakby próbowała mnie zbyć. Miało to oznaczać: „Nigdy nie uda ci się mnie przyłapać, więc nawet nie próbuj”. Albo: „Stary, strzeliłeś kulą w płot”.

– Więc to miejsce jest całkowicie przesiąknięte Inkym – powiedziałem w końcu, bezskutecznie czekając na jej odpowiedź.

– Nie nim.

– W takim razie kim? – zapytałem.

– To pytanie z gatunku tych, na które odpowiada się: „Wybieram bramkę

numer trzy”. Jakie masz stawki za godzinną sesję?

Ale nawet nie pozwoliła mi na to odpowiedzieć.

– Mną: oto kim jest przesiąknięte to miejsce. Tu właśnie wreszcie do mnie dotarło, że być może nie mam pojęcia, czym jest miłość. Albo że źle się za nią brałam. I że nigdy jej nie poznam.

– Przywiozłaś mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć?

To całkowicie ją zaskoczyło.

– Może. Może – powtórzyła, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że przywiodła mnie tutaj, żebym rozdrapał jej stare rany i pomógł jej odnaleźć miejsce, gdzie pokonała ją prawda. A może zwyczajnie pragnęła się przekonać, czy w towarzystwie innego mężczyzny poczuje się tu inaczej. A może było jeszcze za wcześnie? W końcu się dekowała i tak dalej.

– Siedziałam tu i patrzyłam, jak on dryfuje, dryfuje i dryfuje, jakby zabierał mnie na ten most i zamierzał skoczyć, pod warunkiem że ja skoczę razem z nim. Tylko że ja niestety nie zamierzałam iść na most i skakać, ani z nim, ani dla niego, ani dla nikogo; i nie zamierzałam siedzieć i patrzeć, jak on się nad tym zastanawia za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżaliśmy, i jak się gapi i powtarza, że oddałby za mnie życie, kiedy ja nie byłam nawet w stanie powiedzieć mu tej jednej rzeczy, którą najbardziej pragnęłam mu powiedzieć.

– A mianowicie?

– Czyli naprawdę będę musiała ci zapłacić za sesję!

Przerwała na chwilę, żeby złapać oddech albo pozbierać myśli – a może próbowała zamaskować to, że zbierało jej się na płacz? Albo miała ochotę uśmiechnąć się szeroko?

– Chciałam powiedzieć, że proszę bardzo, może sobie skoczyć. Wredna i podła. Nie chodzi o to, że mnie nie obchodził, tylko że ja i tak nigdy nikogo nie pokocham... a w każdym razie nie jego. Skoczyłabym za nim tylko po to, żeby go ratować. Może. Nie, nawet nie wtedy. – Bawiła się swoją łyżeczką, rysując wzory na papierowej serwetce. – A o reszcie lepiej nie mówmy.

– Ja bym skoczył, żeby cię uratować, a potem otuliłbym cię wszystkimi



płaszczami z wieszaka u Edy, zacząłbym wołać o pomoc, zrobiłbym ci sztuczne oddychanie, ocaliłbym ci życie, przyniósł herbatę i nakarmił cię muffinami. – Gdy tylko to powiedziałem, zorientowałem się, że to był błąd, kiczowaty podryw ukryty pod warstwą byle jakiego dowcipu.

– Herbata i muffiny mi odpowiadają. Za usta-usta dziękuję, w związku z tym, co mówiłam wczoraj wieczorem.

Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. Dlaczego to powiedziała? Poczulem się, jakby podprowadzono mnie do mostu i zepchnięto. W momencie kiedy najbardziej się odsłoniła, kiedy była najbardziej ludzka, najbardziej szczerą, nagle znowu pojawił się drut kolczasty i kiel o poszarpanej krawędzi. „W związku z tym, co mówiłam wczoraj wieczorem”.

Ile czasu potrwa, zanim dojdę do siebie po tej uwadze? Miesiące? Lata?

Siedzieliśmy w jednym z najbardziej przytulnych zakątków na świecie – kominek, herbata, wspaniały widok na zabytkowe doki, milczące syreny przeciwmgielne, cichy lokalik, który otworzono pewnie jeszcze w czasach Coolidge’a i Hoovera, gdzie tylko odległe odgłosy zza wąskiego kuchennego okna przypominały, że na tej planecie mieszkają także inni ludzie – całe to rozmarzone ciepło scenki z czarno-białej komedii romantycznej, które maskowało wredność i podłość rzeki Hudson. Poczulem napięcie, skrępowanie, rozczarowanie, usiłowałem zachowywać się naturalnie, cieszyć się towarzystwem Clary, cały czas mając poczucie, że o wiele lepiej byłoby mi w greckim barze pod moim domem, gdzie zagadywałbym kelnerkę, zamawiał ulubione jajka, czytał gazetę. Wszystko było teraz nie tak, a ja nie wiedziałem, jak to naprawić. Ciągle się psuło.

– Zrób coś dla mnie, dobrze? – poprosiła, kiedy wracaliśmy niewybrukowaną zamarzną ścieżką do jej samochodu, oboje ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

– Co takiego?

– Nie zaczynaj mnie z kolei nienawidzić.

Ten zwrot – „z kolei” – stanowiący tak jasną aluzję do słowa, którego oboje unikaliśmy, zranił moją dumę (tylko dumę, nic więcej), jakby właśnie warstwa dumy pokrywała każde wyrzuszenie mojego kręgosłupa, a Clara

uderzyła prosto w rdzeń szybkim, straszliwym ciosem, od którego byk pada na piach, zanim ma czas się zorientować, co się właściwie stało. Żadnych osłabłych kończyn, chwiejących się nóg, uginających się kolan – tylko śmierć, przebicie, szpada uderza i się wycofuje. Nie tylko mnie przejrano, ale wykorzystano mój sekret przeciwko mnie, jakby stanowił źródło słabości i wstydu – i tym właśnie się stał, ponieważ miałem wrażenie, jakby Clara go w ten sposób wykorzystwała. Czy łatwiej posiniaczyć sobie dumę niż wszystko inne? I dlaczego tak mi się nie podobało, że cała prawda o mnie została odkryta, odsłonięta i wywieszona do suszenia jak brudna bielizna?

Wstydziłem się zarówno nienawiści, do której – jak wiedziałem – byłem całkowicie zdolny, jak i tego czegoś, co jest przeciwieństwem nienawiści, a czego nie chciałem jeszcze budzić, bo podejrzewałem, że mam tego w sobie tyle, ile wody kryje się pod spokojną powierzchnią zamrożonego jeziora albo rzeki. Jej „z kolei” sprawiło, że wszystkie moje uczucia wydały mi się nieprzyzwoitym naruszeniem, kryła się w nim sugestia pomyj. Niespodziewanie miałem ochotę palnąć: „Słuchaj, ty dalej jedź sobie tam, dokąd jedziesz, a ja złapię pociąg z powrotem do miasta”. To by jej pokazało. Już nigdy bym jej nie zobaczył, nigdy nie usłyszał jej po drugiej stronie domofonu, nigdy nie wyruszył na wycieczkę za miasto do zapuszczonej jadłodajni, gdzie zza kuchennej zasłonki może wyjrzeć skacowany Kapitan Baryłka albo nawet jakiś stary aborcjonista, który wpada na kolejkę rumu i przy okazji ostrzy sobie narzędzia na popękany marmurowym kontuarze z kasą. Po co w ogóle przyszła do mnie rano, zabrała na wycieczkę Bóg wie dokąd, po co to jej mizdrzące się „Myślałeś o mnie wczoraj w nocy?”, kiedy cały czas nadawała sygnał „Rączki przy sobie, teraz i na zawsze”?

– Chyba cię nie uraziłam? – zapytała.

Wzruszyłem ramionami, co miało oznaczać, że nie byłaby w stanie mnie urazić, nawet gdyby chciała.

Dlaczego nadal nie mogłem przyznać, że owszem, uraziła mnie – dlaczego nic nie powiedziałem?

– I to dwa razy w ciągu jednego poranka... Na pewno masz mnie za prawdziwą Meduzę.

– Meduzę? – zapytałem, drażniąc się, jakbym miał na myśli: „Nie tylko

Meduzę”.

– Wiesz, że wcale nią nie jestem – stwierdziła niemal ze smutkiem. – Sam wiesz, że nie.

– Czym jest dla ciebie piekło, Claro? – zapytałem w końcu, starając się przemówić jej językiem. Zamarła, jakbym wytrącił ją z równowagi albo uraził i miała ochotę mnie zbesztać. Zapytałem o coś, o co chyba nikt nigdy jej nie pytał, i długo potrwa, zanim Clara zdoła mi to wybaczyć albo zapomnieć.

– Piekło?

– Zgadza się. – Teraz, kiedy już zadałem pytanie, nie było odwrotu. Między nami zapadła chwilowa cisza. Mury, tak pospiesznie zwalone, na nowo się podniosły tylko po to, żeby w kolejnej minucie znowu je obalono i znowu zaczęto od początku wznosić.

Czy łączyła nas zaledwie chwiejna, swobodna, płytka zażyłość i nic więcej? A może zbliżyło nas do siebie wspólne piekło, bo niczym sąsiad z tego samego bloku znałem rozkład jej mieszkania, począwszy od ukrytej skrzynki bezpieczników aż po półki w szafce na pościel?

– Może nasze piekła wcale nie są takie różne – powiedziałem wreszcie.

Zastanowiła się nad tym.

– Jeśli chcesz tak myśleć...

W samochodzie wyjęła telefon i zadzwoniła z informacją, że będziemy u niego oboje za niecałe dwadzieścia minut.

– Nie – powiedziała po pospiesznym powitaniu. – Nie znasz go. Na przyjęciu. – Zapiąłem pasy i czekałem, siląc się na nonszalancję, jakbym przysypiał na wygodnym rozkładanym fotelu. – Dwa dni temu. – Porozumiewawcze spojrzenie pod moim adresem, które miało mnie uspokoić. Pauza. – Być może. – Najwyraźniej zadał to samo pytanie dwa razy. – Nie wiem. – Zaczynała się niecierpliwić. – Nie, obiecuję. Nie zrobię tego. – Wreszcie rozłączyła się i popatrzyła na mnie. – Ciekawe, co miał na myśli – powiedziała, próbując zbyć śmiechem pytania rozmówcy, których brzmienia mogłem się domyślić z jej odpowiedzi.

Żeby zmienić temat, zapytałem:

– Kiedy ostatnio się z nim widziałaś?

– Latem.

– A skąd się znacie?

– Moi rodzice znali go od wielu lat. To on poznał mnie z Inkym.

– Przyjaciel przyjaciela przyjaciela. – Dlaczego siliłem się na dowcip, kiedy było jasne, że nie znoszę tych ciągłych wzmianek o Inkym?

– Nie, nie przyjaciel. Jego dziadek.

Na pewno była zachwycona, że udało jej się zaliczyć takie uderzenie. Usłyszała moje niewypowiedziane pytanie.

– Znamy się od dziecka. Jeśli musisz wiedzieć. – Nigdy nie mówiła o Inkym w czasie przeszłym, jak o kimś na stałe zamkniętym w niedostępnym lochu zatwardziałego serca, do którego klucz wyrzuciła przy pierwszym napotkanym rowie natychmiast po zerwaniu. Nie, wyrażała się o nim w dziwnym trybie przypuszczającym, tak jak rozczarowane żony mówią o mężach, którzy nie mogą się wziąć w garść, choć powinni podejść jeszcze raz do egzaminu na aplikację radcowską albo dorosnąć i przestać zdradzać, albo zdecydować się wreszcie na dzieci. W jej głosie brzmiała uraza, która zdawała się sięgać z czasu przeszłego w teraźniejszość i w każdej chwili mogło się okazać, że istnieje dla niej również jakaś przyszłość.

A gdzie w tym wszystkim miejsce dla mnie? – powinienem był spytać. Co ja w ogóle robiłem w jej samochodzie? Chodziło o dotrzymanie jej towarzystwa, żeby miała przy sobie jakieś ciepłe ciało, z którym będzie mogła pogadać, jeśli ogarnie ją senność? Albo karmienie jej kawałkami muffinów? Może miałem zostać oddelegowany do roli przyjaciela – faceta, przed którym można otworzyć serce i obnażyć duszę, i chodzić w jego obecności na golasa, bo przecież powiedziałaś mu, żeby schował swojego Gwidona?

Nigdy dotąd nie widziałem tego tak jasno jak teraz. To właśnie była rola, w której mnie obsadzono, a ja na to pozwalałem, bo nie chciałem

wprowadzać zamęt, i dlatego też nie zamierzałem jej powiedzieć, że zachowuje się wobec mnie jak prawdziwa Meduza. Rollo miał rację.

– Muzyka? – zapytała.

Poprosiłem, żeby znowu puściła Händla.

– Niech będzie Händel.

– Proszę, to dla ciebie – powiedziała, gdy tylko uruchomiła silnik. Podała mi ciężką torbę z brązowego papieru.

– Co to?

– Na pewno będzie w tobie wzbudzać złe wspomnienia.

Była to mała kula śnieżna, oznaczona na spodzie imieniem Edy. Odwróciłem ją dnem do góry i z powrotem, patrząc, jak śnieg pada na maleńką drewnianą chatkę w anonimowej wioseczce rodem z pocztówki. Kojarzyło mi się to z nami, skrytymi tego dnia przed wszystkimi i wszystkim.

– Ale dla mnie to nie są złe wspomnienia – dodała Clara. Na pewno wiedziała, że kiedy siedzieliśmy w naszym ciepłym kąciku u Edy, dałbym wszystko, żeby pocałować odsłonięte miejsce między jej nagą szyją a prawieramieniem. Na pewno to wiedziała.

– Romans ze śniegiem – powiedziałem, wpatrując się w szklaną kulę. – A ty już taką masz?

O to właśnie spytałem zamiast: „Dlaczego ciągle przeskakujesz z jednego zachowania do innego?”.

– Nie, nigdy nie miałam nic takiego. Nie należę do osób, które zachowują sobie na pamiątkę stare bilety albo inne rupiecie. Nie tworzę wspomnień.

– Smakujesz i wypluwasz, jak znawca wina – stwierdziłem. Zobaczyła, dokąd zmierzam.

– Nie, moją specjalnością jest zgaga.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie...

– Nie bądź takim Printzem Oskárem!

Dojechalismy na miejsce szybciej, niż planowalismy. Jezdnia byla pusta, przydrozne domy wydawaly sie pozamykane na cztery spusty, jakby wszystkie rodziny w tej czesci hrabstwa Hudson zapadly w zimowy sen albo polecialy na Bahamy. Willa lezala na koncu polokraglego podjazdu. Wyobrazalem sobie chatę albo zaniedbaną i podniszczoną rudere, trzymającą się tylko siłą bezczelnej obojętności, którą starość poraża ludzi, tak że rezygnują z prób upiększania świata wokół siebie. Zobaczyłem jednak piękną rezydencję na wzgórzu. Natychmiast się domyśliłem, że z tyłu rozciąga się widok na rzekę. Miałem rację. Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do drzwi frontowych. Nagle jednak Clara zmieniła zdanie i ruszyła do bocznego wejścia – faktycznie, zobaczyliśmy stamtąd Hudson. Stanęliśmy przed dużym gankiem ze stołem i krzesłami z kutego żelaza. Poduchy albo zdjęto na zimę, albo zniszczył je wiek i używanie i nikt nie zadał sobie trudu, żeby je wymienić. Lecz drewniana ścieżka do schowka na łódkę wyglądała na niedawno odnowioną – więc ci ludzie dbali jednak o swój dom, a poduszki z ganku zapewne schowali troskliwie po sezonie. Clara weszła na ganek i spróbowała otworzyć szklane drzwi, ale były zamknięte. Zapukała trzy razy. Jeszcze raz odegrała swoje małe przedstawienie, rozcierając sobie ramiona, jakby umierała z zimna. Dlaczego w to nie wierzyłem? Dlaczego podejrzewałem, że coś się za tym kryje? Zwyczajnie przemarzła. Po co doszukiwać się w tym czegoś innego, po co to łowienie podtekstów? Żeby przypomnieć sobie o potrzebie zachowania czujności? Żeby nie uwierzyć w to, co powiedziała mi poprzedniego wieczoru i co najmniej dwa razy dzisiaj rana?

– Nie sądzisz, że lepiej byłoby zadzwonić do drzwi wejściowych?

– Po prostu musimy chwilę poczekać. Oni boją się wilków. Choć w kółko powtarzam, że tutaj grożą im co najwyżej dzikie indyki.

I rzeczywiście po chwili drzwi otworzyły się bardzo ostrożnie, a za nimi ukazała się staruszka wyglądająca na kogoś o imieniu Gertruda. Artretyczne dłonie, utykający krok, plecy wykrzywione skoliozą.

Uściskały się i przywitały po niemiecku. Potrząsnąłem powyginaną chorobą rękę.

– Jestem Margo – powiedziała staruszka. Wprowadziła nas do środka.

Właśnie robiła coś w kuchni. Na dużym stole leżały rozrzucone produkty zapowiadające nadchodzący lunch.

– Max wkrótce do nas dołączy – powiedziała Margo. Dalej rozmawiały po niemiecku.

Czułem się w tym domu kompletnie zagubiony, obcy.

Żałowałem, że nie wróciłem jednak pociągiem do Nowego Jorku. Żałowałem, że wyszedłem spod prysznicza i odebrałem domofon, i poszedłem wczoraj wieczorem do kina. Mogłem to wszystko cofnąć w jednej sekundzie. Wymówić się, wyjść na dwór, wyjąć komórkę, wezwać jakąś miejscową taksówkę, wskoczyć z powrotem do domu, rzucić pospieszne: „No to pa!” – i zniknąć, *adiós, Casablanca*. Ty, Margo, Inky i cała reszta twoich rachitycznych niedoszłych członków subkultury pandelęku.

Wymknąłem się na dwór pod pretekstem obejrzenia widoków. Potem doszedłem do wniosku, że tutejsze widoki też mnie nie interesują, więc wróciłem i zatrzasnąłem za sobą kuchenne drzwi.

– Zaparzyłaś mi kawę – powiedziała artretyczna Margo, podając mi prawą ręką kubek, a lewą torebkę z cukrem, którą trzymała kciukiem oraz wskazującym i środkowym palcem. Jej ugięte strudzone ramię niemal zaklinało mnie, żebym podszedł bliżej i wziął od niej ten cukier, zanim go upuści i się przewróci, próbując go złapać. Zastanawiałem się, dlaczego Margo proponuje kawę mnie, ale nie Clarze; wtedy jednak zobaczyłem, że Clara sama się już poczęstowała i zasiadła z kubkiem przy pustym rogu dużego kuchennego stołu. Błagalny, zaklinający gest staruszki, jednocześnie pokorny i skruszony, poruszył mnie.

– Clara zawsze się skarży, że robię za słabą kawę – powiedziała Margo.

– Najgorszą na świecie.

– Wcale nie jest taka zła! – stwierdziłem, jakby ktoś mnie pytał o zdanie, a ja postanowiłem stanąć w obronie gospodyni.

– Ach, Claro, jaki on uprzejmy – powiedziała Margo. Nadal mierzyła mnie wzrokiem i jak na razie chyba jej się podobałem.

– Kto niby jest taki uprzejmy? – rozległ się głos starszego mężczyzny.

Pan Jän Mondrälinsky we własnej osobie.

Całuski. Dokładnie tak, jak się spodziewałem. Mocny uścisk dłoni, uśmiech europejskiego światowca, który nic nie znaczy, lekki ukłon głową, kiedy mężczyzna pospiesznie podchodził, a wręcz podbiegał, żeby ująć moją rękę. Natychmiast rozpoznałem ten ruch. Z pozoru sto procent uszanowania – do momentu kiedy odwrócisz się plecami. A jednak w przeciwieństwie do języka jego żony w jego głosie nie było ani śladu niemieckiego akcentu, starszek był całkowicie zamerykanizowany: „Bardzo miło cię poznać!”.

– Max, co to za okropne buty? – zapytała Clara, wskazując jego obuwie z ortopedycznymi podeszwami i rzędami zapięć na rzep. Był to, jak zrozumiałem, jej sposób na zapytanie go o zdrowie.

– Widzisz? Mówiłem ci, że brzydkie! – zwrócił się Max do żony.

– Są brzydkie, bo nogi, kolana i cała reszta kości w twoim rozpadającym się, zużytym ciele ledwo się trzymają – odparła Margo. – W zeszłym roku biodra, w tym kolana, w przyszłym...

– Tę część mojej anatomii zostaw w spokoju, jadowita żmijo. W swoim czasie byłaś z niej całkiem zadowolona. – Chwilę potrwało, zanim się zorientowałem, że wszystko było przedstawieniem odgrywanym dla Clary. – Może sir Lochinvar odszedł już od nas, lecz w środku nocy nadal słysząc, jak jego trup galopuje nad naszą sypialnią w poszukiwaniu ciemnego tunelu, a gdybyś zwracała na niego jakąkolwiek uwagę, ty bezzębna córko skorpionów, to uchyliłabyś mu okno, poczęstowała swoimi obwisłymi jajkami z patelni i wzięła się ustami do roboty.

Wszyscy troje wybuchli śmiechem.

– Ach, Max, zrobił się z ciebie kompletny dewiant – stwierdziła Margo, spoglądając w moim kierunku, jakby prosiła, żebym nie zwracał uwagi na jego tyrady.

– Kochana Claro, po prostu cały się sypię, ot co.

– Narzekania, narzekania. Teraz ma nowe hobby; twierdzi, że chce umrzeć.

Max nie zwrócił na nią uwagi.



– Czy naprawdę tak często narzekam? – Trzymał Clarę za rękę.

– Max, zawsze byłeś marudą.

– Ale teraz jeszcze bardziej, bezustannie jęczy – wtrąciła stara artretyczka.

– Żydzi tak już mają. Claro, gdybym był młodszy – zaczął Max – gdybym był młodszy, miał lepsze kolana, lepszego rumaka, bucefała...

Margo spytała, czy mogę jej pomóc. *Natürlich!* Czy wyszedłbym z nią na zewnątrz?

– Tylko załóż płaszcz. I będą ci potrzebne rękawiczki.

Wkrótce przekonałem się dlaczego. Miałem wziąć trochę drewna na opał i przynieść je do kuchni.

– Uwielbiamy gotować na drewnianym ogniu. Zapytaj mojego męża. Co ja wygaduję... Mnie możesz zapytać.

Poszliśmy do komórki, gdzie ogrodnik złożył drewno. Margo skarżyła się na jelenie i starała się omijać ich bobki. Zakłęła, nadepnąwszy na coś, co nie było błotem, po czym oczyściła podeszwę o kamień. Nie byłem pewien, czy zwraca się do mnie, czy tak po prostu sobie mruczy. Wreszcie, zupełnie nieoczekiwanie: – Cieszę się, że Clara przyjechała.

Może było to jakieś zagajenie, może chciała nawiązać rozmowę, a może mówiła sama do siebie, więc nie odpowiedziałem.

Wróciłem z dwoma kłocami drewna. W kuchni Margo otworzyła kuchenkę i pokazała mi kilka złocistych, rozkrojonych na pół dyń piżmowych, lśniących od oliwy i posypanych ziołami.

Max odkorkował po butelce czerwonego i białego wina.

– Żeby czas milej płynął – powiedział i rozlał białe wino do czterech kieliszków. Potem chwycił nóżkę swojej lampki kciukiem i palcem wskazującym, zakręcił kilka razy czaszą i wreszcie podniósł do ust.

– Cud, poezja – zawyrokował. Clara stuknęła się kieliszkiem z nimi, a potem trzy razy ze mną, i jeszcze po dwakroć trzy razy, powtarzając teatralnym szeptem stary rosyjski toast. Nikt się nie odezwał, dopóki znowu

nie przemówił Max: – Bezrozumny okrągły owoc, nie większy od jądra niemowlaka, a wiedzie nas do rajów.

Wszyscy skupiliśmy się na degustowaniu wina.

– A teraz spróbujmy tego drugiego – powiedział, nalewając mi do kieliszka pinota, gdy tylko spostrzegł, że skończyłem już sauvignon.

– Kolejny mały cud.

Wszyscy spróbowaliśmy i na naszych twarzach ukazał się wyraz aprobaty. Dziadek Inky’ego wpatrywał się we mnie. Podejrzewa, że ze sobą zerwali. Próbuje ją wybadać, a potem będzie chciał naprawić sytuację między nimi. Zdecydowanie jestem tu piątym kołem u wozu. Powinienem był wezwać taksówkę. Do tej pory byłbym już na dworcu kolejowym, daleko stąd.

– Oba wina są według mnie wyśmienite – powiedziałem – ale jestem w tym temacie takim laikiem, że często nie potrafię odróżnić jednego gatunku od drugiego.

– Och, nie zwracajcie na niego uwagi, jak zwykle zachowuje się jak zwykły Printz Oskár. – Clara mówiła do nich, ale miałem wrażenie, jakby puszczała do mnie oko, a może ani nie do mnie, ani nie do nich. Po prostu puszczała oko albo nawet i nie.

Ona jest o wiele za bystra jak dla mnie – pomyślałem. O wiele, wiele za bystra. Jak ona się miga i kusi, i odrzuca, i zmienia front, i już kiedy masz zamiar się poddać i wskoczyć w pierwszy powrotny pociąg do miasta, rzuca ci Printza Oskára, macha ci nim nad głową, żeby sprawdzić, czy zaczniesz szczekać i skakać, szczekać i skakać.

– Mówiła, dlaczego tu przyjechała? – zapytał mnie wreszcie Max.

– Nie, nie mówiłam – wtrąciła Clara.

– No to przygotuj się. Przybyłeś tu, aby wysłuchać Leo Czernowicza, Czernowicza grającego Bacha-Silotiego. A potem posłuchamy w jego wykonaniu Händla. A potem znajdziemy się w niebie i będziemy jeść zupę i pić wino, a jeśli naprawdę, naprawdę nam się poszczęści, to dostaniemy jeszcze sałatkę Margo z tymi dziwnymi grzybkami, która zatka mi usta na

dobrze, zanim polecą z nich kolejne rubaszne uwagi. Siadaj – polecił. Rozejrzałem się po licznych krzesłach i fotelach w salonie. – Nie, nie tam... Tutaj!

Otworzył pianolę i zaczął przy niej majstrować, a potem włożył do środka jakiś przedmiot, który okazał się długim rozwiniętym pasem czegoś w rodzaju pożąłkłego perforowanego pergaminu.

– Czy on zna Bacha? – zapytał.

Popatrzyłem na Clarę i kiwnąłem głową.

Kazano jej usiąść tuż przy mnie na wąskiej dwuosobowej kozetce. Poczekam na muzykę, a potem położę rękę na jej ramieniu, tym ramieniu, które teraz, bardziej niż kiedykolwiek, zdawało się wiedzieć i mnie dopingować, i pokazywać, że wie o wszystkim, co mi się roi w głowie.

– No, nawet jeśli zna to preludium, to czegoś takiego nigdy nie słyszeliście. Nigdy. I nigdy już nie usłyszycie podobnego wykonania. Najpierw puszczę wam preludium Bacha na pianoli i transpozycję Silotiego na fortepian. Potem usłyszycie je w wersji zremasterowanej na moją prośbę przez dwóch studentów pobliskiego koledżu. A jeśli będziecie grzeczni i nie będziecie zbyt przerywać, i zjecie całą zupkę, to pozwolę wam jeszcze posłuchać Händla. Panie i panowie, oto Leo Czernowicz, zaledwie na kilka lat przed tym, jak Niemcy znaleźli go i zabrali, i nie wiedzieli, co z nim zrobić, więc go zabili.

I tyle. Z początku bardzo słaby szum, potem odetchnięcie, jak powietrze przepychające się zrywami przez zapchaną krtań, a potem się zaczęło – preludium, które słyszałem już nie wiadomo ile razy, ale nigdy takie: pospieszne, ostrożne i jakże pełne namaszczenia. Potem nastąpiła wersja Silotiego.

– Zbyt uroczyste – oświadczyła Clara. – Za ponure. Chyba za wolne.

Musiała wyszukać jakąś wadę. Dlaczego mnie to nie dziwiło?

– Spokojnie, musieliśmy je oczywiście przyspieszyć, bo ci z nas, którzy pamiętają grę Leo, wiedzą, że był szybki, bardzo szybki. Ale to nie ma znaczenia. W sztuce chodzi o jedno: bezpośrednią rozmowę z Bogiem w Jego własnym języku, z nadzieją, że słucha. A reszta to psipsi i kupka.

Włączył płytę i rzeczywiście w końcu się przekonałem, dlaczego warto było jechać tutaj przez dwie godziny w ten mroźny dzień.

– Puścić od nowa?

Popatrzyliśmy na siebie z Clarą. Jasne.

– To ja pójdę zająć się lunchem – powiedziała Margo.

Max bez wahania i nawet nie czekając na naszą odpowiedź, puścił Bacha-Silotiego po raz drugi.

Szybkość i zręczność, coś tak swobodnego, iskrzącego, a przy tym jednocześnie tak medytacyjnego w kontekście przyszłości czekającej ludzi pokroju Czernowicza, który po tak wielu, wielu dziesięcioleciach nadal rozmawiał z Bogiem. Myślałem o chwili, kiedy grał ten utwór, a pianola wycinała otwory w tym samym kawałku kartonu, który mieliśmy teraz przed sobą – jak mógł nie wiedzieć, że za kilka lat napije się „czarnego mleka poranku”? Im dłużej słuchałem, tym bardziej miałem wrażenie, że chodzi bardziej o niego samego niż o Bacha w wersji Silotiego, bardziej o Żydów takich jak Max, którzy przetrwali Holokaust, ale nigdy nie odsiedzą wyroku, jakim ten Holokaust ich naznaczył, bardziej o fugę śmierci niż o preludium i fugę Bacha. Wiedziałem, że nigdy się tego nie cofnie – tutaj nie było odwrotu ani powrotu – tak samo jak wiedziałem, że bez Maxa i tego starego domu, bez zimy nad Hudson, bez Clary i naszych trzech wspólnych dni to preludium pozostałoby tylko lśniąca, pustą skorupą, którą było dla mnie do tej pory. Ono potrzebowało Zagłady, aby ożyć, potrzebowało głosu Clary w moim domofonie, śmiechu Clary, kiedy wykonywała w samochodzie obsceniczne gesty, potrzebowało naszego „tego, że siedzimy tu sobie w taki sposób” w ciepłym kącie u Edy pod szarżującym bykiem, i ostrzeżeń zakazujących mi tylu rzeczy; potrzebowało nawet mojej niezdolności do skupienia się na muzyce, jakby nieskupianie się na muzyce przez to, że myślałem o objęciu Clary, stanowiło część tego, w jaki sposób ta muzyka musiała być słuchana, rejestrowana, zapamiętywana. Jeśli sztuka nie jest niczym więcej niż próbą zrozumienia budowy różnych rzeczy, to miłość do sztuki musi pochodzić z czegoś równie przypadkowego. Sztuka może sprowadzać się zwyczajnie do wynalazku kadencji, próby nawiązania dyskusji z chaosem. Posłuży się wszystkim, dosłownie wszystkim, żeby

owinać się wokół nas, i znowu, i znowu, dopóki nie znajdzie przejścia, przez które zdoła się wcisnąć do środka.

Czy po Silotim kiedykolwiek można wrócić do Bacha?

Nikt nie odpowiedział.

Zapytałem, czy możemy posłuchać jeszcze raz.

Max wydawał się zadowolony. Złapałem haczyk – pomyślał.

I nagle, kiedy znowu przewaliła się nad nami fala wspaniałego początku, przeprosił nas i poszedł pomóc Margo przy lunchu.

Zostawszy sam na sam z Clarą, zacząłem odczuwać ogromny dyskomfort. Wszystkie te puste krzesła dookoła, a my siedzieliśmy ściśnięci na wąskiej kanapce. Pragnąłem znaleźć jakiś pretekst, żeby się odsunąć – może mógłbym ostentacyjnie udać, że chcę się przenieść bliżej źródła muzyki. Ale siedziałem bez ruchu, nie oddychałem, nie drgnąłem, nie okazałem, że choćby przyszło mi do głowy, żeby drgnąć. Ona chyba też musiała się poczuć niezręcznie, jeszcze zanim zauważyła moje skrepowanie. Ale lepiej to maskowała, bo w ogóle się nie poruszyła. A może nic nie widziała i moja interpretacja jej speszenia, podobnie jak moja interpretacja preludium Silotiego albo tego, co Clara miała na myśli za każdym razem, kiedy nazywała mnie Printzem Oskárem, albo naszej niezręcznej pozycji na kanapce, była zaledwie kolejnym błędnym odczytaniem sytuacji, moim zdumionym spojrzeniem na świat spoglądający z powrotem ku mnie. Czy Clara mogła w jakikolwiek sposób odgadnąć, co czułem, co myślałem? A może nawet nie przyszło jej to do głowy? Czy była tak zajęta muzyką, że nawet nie zauważyła, kiedy jej udo zetknęło się z moim, od biodra po kolano, od biodra po kolano, czyli niemal dwudziestoma procentami naszych ciał? A co, gdybym jej powiedział, że kiedy siedzimy tak oblewani przez fale preludium, moje myśli skupiają się na tym biodrze-do-kolana, na tobie i mnie, Claro, zupełnie jakby łączyła nas wspólna nerka i wystarczyłoby, żebyśmy przechylili się lekko, a znalazłbym się biodrami przy twoich biodrach, byłbym w tobie, kiedy w kółko i w kółko słuchamy tej muzyki, twój zapach na mojej skórze, wszędzie na mojej skórze, chcę się obmyć w twoim zapachu, wetrzeć go sobie w plecy, twoja mokrość na mojej szyi i wszędzie na mnie, ty i ja, Claro.

Wiedziałem, że najdrobniejsze poruszenie mojego ciała, choćby kiwnięcie palcem, wyrwałoby ją z zamyślenia i uświadomiło, że nasze ciała się dotykają, od biodra do kolana. Nie drgnąłem więc; nawet przetykanie zaczęło mi sprawiać trudność, bo myślałem o swoim oddechu, którego tempo starałem się zwolnić do monotonnego rytmu i wreszcie – jeśli zdołam – całkowicie zatrzymać.

Ale wtedy przez moją głowę przemknęła inna myśl: dlaczego nie powiedzieć jej, co się ze mną dzieje, co czuję, dlaczego się nie poruszyć, nie drgnąć, nie zmienić pozycji i pokazać przynajmniej, że podoba mi się to nasze sklejenie na sofce i że wystarczyłoby, abym dotknął jej kolan, rozsunął jej kolana i zwyczajnie położył tam rękę, i – jak na tyłu renesansowych obrazach – pozwolił jej wsunąć nogę między moje nogi jak w opowieści o Locie i jego córkach? Czy była tu przy mnie? A może gdzie indziej? A może zjednoczyła się z muzyką i jej umysł przebywał w gwiazdach, a mój w rynsztoku?

Doznając tych wszystkich sprzecznych uczuć, wiedziałem, że nigdy się na nic nie odważę, a już szczególnie teraz, kiedy siedzieliśmy razem w samotności. Zniknęło moje zdecydowanie, moje pragnienie, żeby objąć ją za ramię i leciutko położyć tam dłoń, i zacząć ją pieścić, a potem złożyć usta w miejscu, w którym do bólu pragnęły się znaleźć, nie żeby pocałować czy nawet polizać, ale żeby ugryźć.

Poczułem, jak się spina. Wiedziała.

Już za sekundę podniesie się i pójdzie pomóc w kuchni. A może to ja powinienem się podnieść jako pierwszy, żeby pokazać, że wcale mi nie zależy na tym wspólnym siedzeniu na sofce, że wcale nie próbuję jej obmacać, że w ogóle mnie to nie obchodzi?

– Chcesz posłuchać jeszcze raz?

Wbiłem w nią wzrok. Czy powinienem jej powiedzieć raz na zawsze, po prostu wyrzucić to z siebie i niech się dzieje, co chce?

– Muzyka... Chcesz jeszcze posłuchać czy masz dość?

– Posłuchajmy jeszcze raz – powiedziałem w końcu.

– No to posłuchamy.

Podniosła się i wcisnęła guzik PLAY, a potem, postawszy chwilę przy odtwarzaczu, wróciła i znowu usiadła przy mnie. Może powinniśmy się wziąć za rękę albo coś takiego?

Po prostu zachowuj się naturalnie – powiedział jakiś głos.

Czyli jak?

Bądź sobą.

To znaczy?

Mówienie, żebym był sobą, było jak proszenie maski, żeby zaczęła naśladować twarz, która nigdy jej nie zdejmuje. Jak zagrać rolę kogoś, kto usiłuje nie grać żadnej roli?

Znowu wróciliśmy do biodra-i-kolana. Ale miałem wrażenie, że tym razem było to mechaniczne, bezduszne, zimne. O wiele bardziej wolałbym powtórzyć tamten moment wczoraj wieczorem, kiedy Clara przystanęła naprzeciwko parku i opowiedziała mi o Czernowiczu, a nasze ramiona mimowolnie się stykały.

Ale to wszystko istniało tylko w mojej głowie, prawda?

Nagle przyłapałem się na myśli, że chciałbym tu kiedyś wrócić – choćby po to, żeby znowu dotknąć tej chwili: zagracony pokój, szron, nieżyjący pianista, ona i ja siedzący dziwnie blisko siebie w tym domku ze śnieżnej kuli, który sami sobie stworzyliśmy, a wokół nas cały ten bałagan, zupa, brat Inky’ego, Rohmer z zeszłego wieczoru, śnieg na Manhattanie i w Clermont-Ferrand oraz fakt, że skoro Czernowicz nie wiedział, co go czeka po odegraniu Silotiego, to już na pewno nie zdołałby zgadnąć, że dwa dni po tym, jak wyglądaliśmy razem na jego przedwojenną Europę, będziemy siedzieć w tym pokoju niczym starzy i bliscy przyjaciele, słuchając nagrań pianisty, którego nasi dziadkowie być może za młodu słyszeli na żywo, ani nie podejrzewając, że ich wnuczeta...

Kiedy muzyka ucichła, powiedziałem, że chciałbym wyjść na chwilę na zewnątrz. Nie zaprosiłem Clary.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

– Dokąd idziecie? – zapytała Margo, kiedy zobaczyła, jak wychodzimy

kuchennymi drzwiami.

– Idę pokazać mu rzekę.

Grunt pod nogami był twardy, spod śniegu prześwitywały plamy brązowej ziemi. Clara oczyściła trójkołowy rowerek, który – jak powiedziała – należał do jednego z wnuków o imieniu Miles.

– Tajnego agenta?

– Tajnego agenta – powtórzyłem, przyjmując papierosa.

– Ja przypalę.

Zapaliła, po czym odebrała mi go, zanim zdążyłem się zaciągnąć po raz pierwszy od wieków.

– Nie na mojej warcie!

A więc nie było mi dane zapalić.

– Jak myślisz, o czym teraz rozmawiają? O mnie? O tobie? – zapytałem.

– Pewnie o nas.

Podobało mi się, że nazwała nas nami.

Latem – powiedziała – hrabstwo Hudson tonie w zieleni, a ludzie siedzą tu przez całe weekendy i nie ruszają się z leżaków, ładując w siebie kolejne posiłki i napoje. Uwielbiała tutejsze letnie zachody słońca. Wiedziałem, że opisuje mi Inkyczasy w Inkylandii.

Spacerowaliśmy wąskim jarem porośniętym po obu stronach wysokimi brzożami. Otaczała nas biel. Nawet krzaki były w bladym, cynowoszarym kolorze i tylko kamienny dom oraz mur biegnący wzdłuż krawędzi lasu wyrywały się z tego schematu – plamy intensywnej szarości na tle szarawej zieleni. Wyobraziłem sobie powóz zatrzymujący się tutaj sto lat temu. Podeszliśmy do czegoś o wyglądzie brudnego płotu, który prowadził do drewnianego chodnika i dalej, do zniszczonych schodków.

– Tam trzymają łódkę. Chodź.

Hudson doprowadzono do porządku już wiele lat temu. Teraz można w niej nawet pływać, o ile człowiek nie boi się prądów i węgorzy. Posiadłość



w tej części otaczały drzewa, nagie zarośla, chylące się murki.

Nagle ujrzelśmy rzekę, a dalej przeciwległy brzeg, cały biały i zamglony – zimowy pejzaż impresjonisty.

Przywiódło mi to na myśl późne kwartety Beethovena. Zapytałem Clarę, czy słyszała kiedyś Busch Quartet. Powiedziała, że może w dzieciństwie razem z rodzicami. Zbliżając się do rzeki, zaczęliśmy wychwytywać jakieś dźwięki, które stawały się coraz głośniejsze i głośniejsze. Brzmiało to jak odgłosy kucia metalowych prętów na kowadle. Krik, krak, krak. Lód na wodzie pękał, trzeszczał i łamał się głośno, kry wpadały na siebie, niszcząc nieskalaną białą powierzchnię, którą podziwialiśmy z domu; kawał za kawałem zamarznętej Hudson przetaczał się z prądem, a pod spodem kotłowała się ciemna, brudna, oleista woda. Może Hudson grała nam własną wersję Silotiego – krik, krak, krak, krak.

– Mógłbym tego słuchać przez cały dzień – powiedziałem. A miałem na myśli: mógłbym stać tak z tobą przez cały dzień. Mógłbym być z tobą na wieczność, Claro. Wszystkie inne kobiety były tylko na niby i może ty też jesteś na niby, ale w tej chwili, kiedy słyszę naszą muzykę odgrywaną na łodzi, moje serce nie jest zmrożone i wiem, że twoje też nie. Dlaczego przy całej twojej cierpkości i ciernistości czuję się z tobą jak w domu?

– Mógłbym tego słuchać przez cały dzień – powtórzyłem.

Zapomniałem, że w świecie Clary nie ma rozwodzenia się nad przyrodą, zachodami słońca i rzekami, nie ma śpiewania pod prysznicem. I pewnie nie było też trzymania się za rękę.

– A tobie się nie podoba? – zapytałem.

– Podoba.

– No to powiedz po prostu, że ci się podoba.

Odwróciła się do mnie, a potem wbiła wzrok w ziemię.

– Mówię po prostu, że mi się podoba – powiedziała. Miniustępstwo zanegowane już w tym samym momencie, kiedy je poczyniono. Ile czasu potrwa to jej dekowanie się?

I nie wiem, co mnie nagle opętało, ale zapytałem:

– Ile potrwa to twoje dekowanie się?

Chyba się tego spodziewała – albo sama właśnie o tym myślała; może dokładnie w tej chwili zastanawiała się, kiedy wreszcie powiem coś w tym rodzaju. I może właśnie dlatego nie dociekała, czemu o to pytam.

– O ile wiem, choćby całą zimę.

– Aż tyle?

Podniosła kamień i cisnęła nim daleko na rzekę. Zrobiłem to samo, celując jak najdalej.

– Bellagio jest tylko o rzut kamieniem – rzekłem. – A jednak.

Powiedziała, że uwielbia odgłos kamieni uderzających o lód, zwłaszcza tych ciężkich. Cisnęła kolejnym. Ja też rzuciłem wysokim łukiem kolejny i jeszcze jeden. Staliśmy i patrzyliśmy, gdzie wylądują.

– Może potrzebuję czasu.

Właściwie nie dokończyła zdania. Ale ja od razu wiedziałem.

– Jesteś niesamowitą kobietą, Claro – stwierdziłem. – Po prostu niesamowitą.

Nic na to nie odpowiedziała.

– Miło, jak ktoś mówi coś takiego. – A potem, usłyszawszy własne zdanie, nie mogła się powstrzymać: – Miło, jak ktoś mówi coś takiego. – Sparodiowała własne słowa.

– Mimo to jesteś niesamowita.

Porzucaliśmy jeszcze, słuchając, jak lód nam odszczekuje, tak jakby kryły się pod nim jakieś pingwiny, które wskoczyły na kry, żeby poszukać pożywienia dla swoich młodych, i myślały, że rzucamy im chleb, a to był tylko lód i kamienie.

W drodze powrotnej wyciągnąłem do niej rękę. Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Ona podała mi dłoń i razem weszliśmy po drewnianych schodkach, które prowadziły do ścieżki. A potem puściła mnie albo ja puściłem ją, albo oboje nawzajem się puściliśmy.

Kiedy wróciliśmy do domu, zupa była gotowa. Margo lubiła dodawać do gęstego złocistego wywaru śmietanę. Clara też. To zupa na zimny dzień – powiedziała Margo. Zastawiono prostokątny wiejski stół. Max usiadł na głównym miejscu, Margo po jego lewej stronie, Clara po prawej, a ja obok niej.

– Wolałabym, żeby Clara usiadła po mojej lewej – powiedziała Margo, która była chyba w wesołym, gadatliwym nastroju – ale nie chciałam was rozdzielać.

Co oni sobie wyobrażali, u licha? Co im powiedziano?

Usiłowałem posłać Clarze pytające spojrzenie, ale ona chyba to przewidziała i skupiła całą uwagę na jedzeniu, udając, że nie słyszy komentarza, którego nie mogła przecież przegapić. Zachwycała się zupą i – jeszcze lepiej – śmietaną, a potem curry.

– Jestem wyznawczynią zasady, że przygotowanie posiłku powinno zająć sześćdziesiąt minut i ani chwili dłużej, włączając w to deser – powiedziała Margo.

– Ja z kolei – wtrącił Max – wierzę, że dobre wino uratuje każde żarcie, którego przy twojej sześćdziesięciminutowej zasadzie nie tkną nawet myszy.

– Powinieneś się cieszyć, że ktoś w ogóle jeszcze karmi te twoje gnijące dziaśła.

– A ty, że wciągam to tak zwane jedzenie przy gościach.

Clara roześmiała się jako pierwsza, potem Margo i Max, potem ja.

Domyśliłem się, że w tej rodzinie tak już jest.

Siedzę na miejscu, na którym siada zwykle Inky – pomyślałem.

Zupa, chleb, śmietana i wino, które ciągle nam dolewano, były wyśmienite. Wkrótce zaczęto nas raczyć opowieściami o ostatnich dolegliwościach Maxa, czyli o jego kolanach. W młodości jeździł na wykopy archeologiczne i teraz, po dziewięćdziesiątce, płacił cenę za dawne szaleństwo pod Ekbataną.

– U większości osób w moim wieku szwankuje umysł. Mój ma się

świetnie. Ale ciało nie nadąża.

– A skąd wiesz, że twój umysł ma się świetnie, staruszkule? – zapytała Clara.

– Chcesz, żebym ci powiedział?

– Bardzo proszę.

– Ostrzegam: znając go, będzie to coś obelżywego – wcięła się Margo.

– No cóż, jakiś miesiąc temu z powodu tych cholernych kolan (które swoją drogą niedługo mi wymienią, więc dzisiaj widzicie mnie z nimi po raz ostatni) musiałem iść na rezonans magnetyczny. Oczywiście spytali, czy chcę środki uśmierzające i czy nie mam klaustrofobii. Roześmiałem im się prosto w twarz. Przeżyłem drugą wojnę światową nawet bez aspiryny, a teraz chcą mi dawać uśmierzacze tylko dlatego, że wsadzają mnie do pudła z dziurą? Nie ma mowy. Więc wchodzę. Ale gdy tylko znalazłem się w środku, stwierdziłem, że na pewno podobnie czuje się człowiek umierający. Maszyna zaczęła tak upiornie buczeć i brzęczeć, że naprawdę nabrałem ochoty na coś na uspokojenie. Problem w tym, że zakazano mi się ruszać; jeśli to zrobię, cała procedura pójdzie na marne. Więc biorę się w garść i postanawiam jakoś to przetrwać. Tylko że serce wali mi jak młot i nie mogę się skupić na niczym poza tym hałasem, który przypomina piekielne odgłosy martwego posągu w *Don Giovannim*: bam, bam, bam! Próbuję przypomnieć sobie operę, ale w głowie mam tylko myśl o piekle. To jest śmierć. Muszę pomyśleć o czymś spokojnym i kojącym. Ale nie przychodzi mi do głowy nic spokojnego i kojącego. I wtedy właśnie ratuje mnie moja pamięć: postanawiam policzyć z imienia wszystkie kobiety, z którymi kiedykolwiek spałem, rok po roku, łącznie z tymi, które sprawiły mi w łóżku tak lichą przyjemność, że często się zastanawiałem, po co w ogóle rozdzieliły Morze Czerwone, skoro nie zamierzały zesłać żadnej manny i na moją też na pewno nie miały ochoty. Nie wspominając już o tych, które nie chciały ściągnąć z siebie ubrań albo godziły się na to, lecz z całą pewnością nie na tamto, albo zawsze miały kłopoty z zapłonem, więc chociaż ostatecznie poszliśmy do łóżka i nawet wspólnie zasnęliśmy, to nigdy nie miałem pewności, czy wspiąłem się na szczyty. W każdym razie policzyłem je wszystkie i wyszło mi...

– Tysiąc trzy! – krzyknęła Clara, odnosząc się do liczby hiszpańskich

kochanek Don Giovanniego.

Wszyscy zaczęliśmy klaskać.

– A może dziewięćdziesiąt jeden? – zapytała znowu Clara; tyle kochanek miał Don Giovanni w Turcji.

– Sześćset czterdzieści – wtrąciła Margo, odnosząc się do tych z Włoch.

– Dwieście trzydzieści jeden i ani jednej więcej! – zagrział Max; to była liczba kochanek Don Giovanniego w Niemczech.

– *Madamina...* – zacząłem, spuszczając głos, aż zabuczał z komiczną powagą Leporella katalogującego kochanki Don Giovanniego z całego świata.

Żartowanie pośród ludzi, których praktycznie nie znałem, i to za pośrednictwem muzyki, było tak nie w moim stylu, że ze zdumieniem usłyszałem głośny wybuch śmiechu Clary. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, kiedy uznała mój cytat za sygnał (choć wcale nim nie był) i zaczęła najpierw nucić początkowe takty arii, a potem śpiewać głosem, który – po raz kolejny – rozbrzmiał jak grom z jasnego nieba i przeszył mnie jeszcze bardziej niż pieśni, których słuchałem na przyjęciu i obok szafy grającej, bo tym razem wydawał się dotykać mojej szyi jak oddech, raz, dwa, trzy, każda sylaba była pieśnią. *Madamina, il catalogo è questo, delle belle che amò il padron mio...*<sup>11</sup> Po kilku kolejnych wersach byłem tak wstrząśnięty i poruszony, że próbując zachować spokój, przyłapałem się na tym, iż obejmuję Clare ramieniem i przyciskam głowę do jej pleców, przyciągam ją do siebie. Chyba jej to nie przeszkadzało, bo – ku memu jeszcze większemu zdumieniu – przytrzymała moją rękę na swojej talii i odwracając się ku mnie, pocałowała mnie w szyję i położyła na niej dłoń, tak samo jak poprzedniej nocy – jakby muśnięcie palców stanowiło część pocałunku.

Dotyk jej ust wytrącił mnie z równowagi jeszcze bardziej niż śpiew. Musiałem zachować ciszę, skupić się na zupie, pokazać, że to trzecie wino smakuje mi o wiele bardziej niż pierwsze dwa. Ale byłem zbyt poruszony, żeby wydobyć z siebie choć słowo. Dotknąłem jej swetra, a jego miękkość zadawała kłam każdemu ostremu cięciu jej mowy, jej twarzy, jej ciała.

Do tego czasu wszyscy zdążyliśmy zjeść po dwie porcje zupy

i przeszliśmy do marynowanych warzyw. Znowu wino.

Po sałatce Margo wstała i przyniosła ciasto.

– To *strudel gâteau*. Mam nadzieję, że wszystkim będzie smakował.

Przyniosła też więcej kwaśnej śmietany.

– To ulubiony deser wszystkich.

Pewnie zamierzała powiedzieć: „To ulubiony deser Inky’ego”, ale w porę ugryzła się w język. Albo tak tylko sobie wyobrażałem. Lecz nagłe skupienie Clary na placku z jabłkami znowu powiedziało mi, że i ona wychwyciła ten zabieg i postanowiła pominąć go milczeniem.

– Max, chcesz trochę *strudel gâteau*?

– Ty głupia kobieto. Czy zawsze musisz to nazywać *strudel gâteau*?

– Zachowuj się – szepnęła Clara.

Kto wie, co dokładnie łączyło ją z tą parą staruszków? Będę musiał ją kiedyś zapytać, może w drodze powrotnej, w trakcie jednej z tych długich chwil ciszy, które na pewno będą między nami zapadać. Ale w pewnym stopniu byłem już zmęczony ciągłymi przypomnieniami o tym, co łączyło Clary z Inky’em. Czy wychowali się razem? Czy jego cień na zawsze będzie się na nas kładł? Jeśli z nim skończyła, to po co te wizyty u jego dziadków? Żeby pokazać, że jest teraz z nowym mężczyzną – w nadziei, że mu o tym powiedzą? Ale każdy półgłówek od razu domyśliłby się po naszym zachowaniu, że nie jesteśmy parą. Czy jej pocałunek miał sugerować, że owszem? Czy po to właśnie mnie tu sprowadziła? Wyciągnęła mnie spod prysznic, przywiozła mi śniadanie, sprawiła, że poczułem się wyjątkowo, nagadała mi tych bzdur o dekowaniu się, choć wiedziała, że to tylko pobudza moje zainteresowanie, nazwała się Meduzą – wszystko po to, aby przekazać Inky’emu wiadomość, że miłość nie żyje?

Zastanawiałem się, w jakiego nikczemnego potwora się zmieniała, kiedy jej miłość umierała – czy mówiła, że to koniec? „Daj sobie spokój i tyle”? Czy wrzucała cię z powrotem do akwarium, w którym pływałeś albo tonąłeś? A może wpuszczała do wody po kilka bąbelków powietrza i wrzucała maleńkie porcje karmy, jak wtedy z Inky’em na przyjęciu, żebyś nie skończył,

pływając brzuchem do góry, choć wiesz, że to tylko kwestia czasu, zanim Clara wyłowi cię i splucze tam, gdzie kończą wszystkie rybie duszyczki po powrocie do wielkiego absolutu? Czy wszystko to sobie wyobrażałem? A może stopniowo owijano mnie kaftanem bezpieczeństwa, aż nagle zostanę wrzucony do słoja z marynatą i ujrzę nad sobą otwór, który zaraz się zamknie?

Zawsze mogłem uciec. Pociąg do miasta. Mój ukochany grecki bar. Krzyżówka w „New York Timesie”. Nadal musiałem kupić świąteczne prezenty. Jeśli wyjdę już teraz, zdążę jeszcze przed zamknięciem sklepów. Czy istniał jakiś limit czasowy na wręczanie świątecznych prezentów?

– Jeszcze kawałek *strudel gâteau*? – zapytała Margo.

Spojrzałem na nią, zastanawiając się, co sądzi o całej tej sytuacji z Inkym. Potem przypomniałem sobie, że Clarę i mnie posadzono tuż obok siebie, i to nie raz, ale dwa.

Owszem, poproszę jeszcze kawałek *strudel gâteau*.

– Wszyscy młodzi mężczyźni lubią to ciasto – powiedziała Margo.

Spojrzałem na Clarę. I znowu na jej twarzy pojawił się wyraz, który niczego nie zdradzał.

– Panie i panowie, było bardzo miło – powiedział Max. – Chodź, Margo.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na nich, zupełnie zbity z pantałyku.

– Muszę się zdrzemnąć. Inaczej zestarzeję się o pięć lat, a to, drodzy przyjaciele, uczyniłoby ze mnie niezwykle wiekowego osobnika. Albo zacząłbym drzemać przy ludziach, a szczerze mówiąc, nikt nie lubi widoku starców, co to tylko kiwają głową, ślinią się i mruczą głupoty, które lepiej pozostawić niewypowiedziane.

– Jakby Max kiedykolwiek uważał na to, co mówi.

– Oj, Margo, w końcu sama lubisz się zdrzemnąć po południu.

– I mam tak po prostu zostawić naszych gości samych sobie?

– Kobieto, chodź na przytulaski i przestań się tak o wszystko zamartwiać.

– Przytulaski, powiada... Też mi.

– A owszem, też ci, zbzikowana jędzo; no chodź na górę, mówię ci, i podziwiał mą śmiałość w miłości i nieustraszoną odwagę w bitwie...

– ...i jak machasz swoim kapeluszem z piórkiem? Nie chce mi się spać.

– Nami się nie przejmujcie – wtrąciła Clara. – Sama zaparzę kawę i poskładam naczynia.

– Esmeralda może to zrobić. W końcu za to jej płacimy.

– A właściwie po zastanowieniu – zmieniła zdanie Clara – może od razu się pożegnamy. Niedługo będziemy się zbierać. Chyba znowu zacznie sypać śnieg.

– No tak, lepiej, żeby was tu nie zasypało.

Nagle Clara zwróciła się do mnie.

– A ty byś chciał, żeby nas tu zasypało?

Niesamowita, niesamowita kobieta.

– Sama doskonale wiesz, że niczego bardziej nie pragnę – powiedziałem.

– Mnie Margo nigdy nie pyta, czy chcę, żeby nas zasypało... – stwierdził Max. – Szczęściarz z ciebie.

– Na górę, Lochinvarze – poleciała Margo. – Na górę, ty i ten twój stary czepiec z piórkiem.

Clara ucałowała ich oboje z większą czułością niż przy powitaniu.

– Zobaczysz, niedługo znowu będziesz nas wszystkich czarował – dodała, wiedząc, że Max przejmuje się operacją.

– Tylko nie zapomnijcie przesłuchać Händla. Bo przy całym tym gadaniu o zupie, winie i czepkach zupełnie o nim zapomniałem.

– Nie waż się tego zwać na wino ani na moją zupę. Zapomniałeś, bo jesteś stary.

– Bo jesteś stary. Tak pewnie będą brzmieć ostatnie słowa, które usłyszę, zanim wyruszę na śmietnisko wieczności. Ale nie zapomnijcie o Händlu. Warto było czekać na niego siedem dziesięcioleci.



– Najpierw zaparzmy sobie kawy.

Patrzyłem, jak Clara otwiera jedną z kuchennych szafek i wyjmuje zaparzacze do espresso. Doskonale wiedziała, gdzie go szukać. Spróbowała go otworzyć, ale był mocno zakręcony.

– Masz, ty otwórz – powiedziała, wyciągając go do mnie. – Oni już nie pijają kawy – dodała, jakby zauważając kolejny przykład ich upadku. Paczka mielonej kawy również znajdowała się tam, gdzie Clara się jej spodziewała, czyli w zamrażalniku. Nawet srebrna łyżeczka potrzebna do wygarnięcia z paczki trzech hojnych porcji czekała na swoim miejscu, czyli w starej drewnianej szufladzie, która grzechotała metalem i po wyciągnięciu opadała nagle pod niebezpiecznym kątem: cementarzysko starych sztuców, które od nie wiadomo ilu lat nie widziały słońca. – Proszę – powiedziała Clara, podając mi dwa kubki. – łyżeczka. Cukier. Mleka?

– Mleka – zgodziłem się.

Podobało mi się, że zachowywała się tak, jakby wszystko było dla nas zwyczajne, codzienne, rutynowe, jakbyśmy robili to od lat.

A może powinienem się pilnować: ludzie, którzy potrafią sprawić, że czujesz się gdzieś dziwnie jak u siebie, choć wiesz, że jesteś tylko gościem, mogą za kilka sekund pokazać ci drzwi i przypomnieć, że niczym się nie różnisz od dostawcy, który w gorący dzień staje na progu i prosi o szklanek wody.

Zastanawiałem się, czy powinniśmy usiąść przy dużym stole obok siebie, jak podczas posiłku, czy naprzeciwko, a może pod kątem prostym. Pod kątem prostym – uznałem i ułożyłem łyżeczki zgodnie z tą decyzją.

– Na pewno mają gdzieś jakieś słodczy – stwierdziła Clara, szperając w lodówce i starych regałach. – Znalazłam – oświadczyła wreszcie.

– Ach, *Liebchen*, przecież nie będziemy jeść słodczy po *strudel gâteau*? – powiedziała, częstując się paczką czekoladowych ciasteczek Leibniza. Zdarła celofanowe opakowanie i wyłożyła cztery ciastka na talerz, który ustawiła równo między przygotowanymi dla nas miejscami. Tak doskonale naśladowała wymowę Margo, że nie mogłem powstrzymać śmiechu, co z kolei rozśmieszyło i ją. Poprosiłem, żeby powtórzyła to, co właśnie

powiedziała.

– Nie.

– No weź.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo się wstydę, dlatego.

– No to powiedz przynajmniej *sztruudel gatol*.

– *Sztruudel gatol*.

Poczułem napięcie w mięśniach brzucha. Umierałem z ochoty, żeby ją pocałować. Nieważne, co by powiedziała, nadal chciałem to zrobić, mogłaby wykonać dowolny gest, a i tak czułbym, że mnie do siebie przyciąga; gdyby przypadkiem nachyliła się do mnie podczas przyciszonej rozmowy, bo nie chcieliśmy przecież obudzić śpiących na górze staruszków, z trudem powstrzymałbym się przed objęciem jej ramieniem, jak to zrobiłem podczas posiłku, tylko tym razem pozwoliłbym swojej dłoni pogłodzić jej twarz, raz, dwa razy, po prostu głaskałbym ją, muskał te wargi, te usta, otarłbym jej policzki swoimi; czego bym nie dał, żeby dotknąć jej zębów swoją dłonią, swoimi ustami. Staliśmy w kuchni i zmywaliśmy naczynia.

– Cieszysz się, że tu przyjechałaś? – zapytałem.

– Tak. Miło było ich zobaczyć. Zawsze się na to cieszę. Oni są jak dwa węże zwinięte razem na zawsze. Sam zobaczysz: jak jedno odejdzie, drugie podaży tuż za nim, jak para starych kapci.

– Tym właśnie jest miłość? Parą starych kapci?

– Co do tych kapci to nie wiem. Ale oni są identyczni, Max i Margo. A z kolei ja i Inky różnimy się od siebie jak ogień i woda. Inky nie ma w sobie ani krztyny pokrętności. Inky pragnie dla ciebie tylko szczęścia; Inky tęskni, kiedy cię nie ma, załatwia za ciebie różne sprawy, jeśli go poprosisz, naprawia rzeczy, kiedy się psują, zginie dla ciebie, jeśli choćby wspomnisz, że chcesz, żeby się rzucił z tego czy innego parapetu. To wcielona dobroć i normalność – i dlatego właśnie nigdy nie zdoła mnie zrozumieć.

– Bo nie jest ani trochę pokręcony?

– Nie tak jak my.

To mi się spodobało.

– Więc odrzuciłaś Inky’ego, bo jest normalną istotą ludzką?

– Więc odrzuciłam Inky’ego. – Pauza. – Masz, zjedz to ciastko, bo inaczej sama je zjem, a wierz mi, jak tyję, robię się jeszcze bardziej zgorzkniała i depresyjna.

– Ty, zgorzkniała i depresyjna?

– Jakbyś nie zauważył. Jesteś taki sam jak ja. Oboje jesteśmy cali popękani. Jak te naczynia. Żydowskie naczynia. – Uśmiechnęła się.

Zrobiłem z naczyniami to, co mi poleciła. Potem schowaliśmy je do zmywarki. Staliśmy niemal bok w bok i żadne z nas się nie odsunęło, aż nasze biodra się zetknęły. Żadne z nas się nie odsunęło.

Zapytała, czy zjem z nią na spólkę kolejne ciastko Leibniza.

– Pod warunkiem że nie staniesz się zgorzkniała i depresyjna.

– Już jestem zgorzkniała i depresyjna.

– Przeze mnie? – powiedziałem to wyłącznie żartem i absolutnie nie miałem na myśli tego, w jaki sposób to zrozumiała. Ona jednak odwróciła się do mnie i mokrą różową dłonią, jej wierzchem, dotknęła mnie przelotnie po policzku, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. W końcu dała mi całusa tak blisko ust, że równie dobrze mogła mnie po prostu pocałować. I wtedy pozwoliłem, żeby moje usta dotknęły jej ust, raz, dwa razy, zacząłem gładzić jej twarz własną mokrą ręką, tak jak tego pragnąłem przez cały lunch.

Pozwoliła mi musnąć swoje wargi, ale tylko przez wyrozumiałość i wiedziałem, że nie powinienem naciskać na więcej.

– Więc zjesz ze mną na spólkę kolejnego czekoladowego leibniza.

– Nie mam wyboru.

– Inky nazywa je czekoladowymi lesbijkami. Strasznie nas to śmieszyło. Ciekawe, czy jest tu coś, co możemy zabrać ze sobą na drogę.

Poszperała w szafkach. Nic. Tylko m&m'sy, pewnie kupione dla wnuków na Halloween. Duża żółta paczka była zamknięta ogromnym klipsem.

– Zabierzmy sobie trochę.

Znaleźliśmy małą plastikową torebkę strunową i przesypaliśmy do niej m&m'sy, udając przy tym włamywaczy amatorów.

– Dziękuję ci – powiedziała Clara.

– Za m&m'sy?

– Nie, za to, że tu ze mną przyjechałeś. Że wiesz. Za całą resztę. I za zrozumienie.

– Zwłaszcza za zrozumienie – powtórzyłem z żartobliwym naciskiem.

„Dziękuję ci za zrozumienie”. Jak ona się wyrażała. Mówiła wszystko i nie mówiła nic.

– Powtarzałam mu, że nie jestem odpowiednią kobietą dla niego. Ale czy słuchał? Więc wreszcie powiedziałam, że to on nie jest odpowiednim mężczyzną dla mnie. Ale on nadal nic. I dalej będzie się upierał. Znam go; zadzwoni dziś do nich i spyta, czy tu byłam. A oni powiedzą, że tak. A on spyta, czy przyjechałam sama. A oni powiedzą, że nie. A on spyta, z kim, a oni nie będą wiedzieć, więc zadzwoni do mnie i końca temu nie będzie. Nadal się cieszysz, że przyjechałeś?

– Ty mi na to odpowiedz.

– Moim zdaniem tak.

Wytarła ręce, podała mi ściereczkę i zaczęła sprzątać wino.

– Claro?

Odwróciła się z powrotem do mnie.

– Tak?

– Chcę ci coś powiedzieć.

Zatykała właśnie obydwie butelki korkami. Pora na wielkie wyznanie.

– Chcesz mi coś powiedzieć. – I znowu ta sama powściągliwość w jej głosie, w jej postawie, w jej spojrzeniu. – Nie sądzisz, że już to wiem? – Popatrzyła mi prosto w oczy. – Nie sądzisz, że wiem?

Sposób, w jaki to powiedziała, złamał mi serce. Niemal czułem wzbierający w piersiach szloch. „Nie sądzisz, że już wiem?”. To właśnie mówią ludzie, kiedy się do siebie zalecają: „Nie sądzisz, że już wiem? Nie sądzisz, że wiem?”.

Chciałem coś dodać, ale nie było nic do powiedzenia: Clara powiedziała już wszystko.

– No to posłuchajmy tego Händla – zaproponowała.

Przeszliśmy do salonu. Włączyła odtwarzacz, po czym usiadła na kolanach na dywanie. Włożyła już zimowy płaszcz. Usiadłem naprzeciwko niej na krześle pod ścianą. W tym samym pokoju, nic nie mówiąc. I wtedy zaczął się utwór.

Nie mogłem zrozumieć, co takiego jest w tej sarabandzie, że jechaliśmy taki szmat drogi, żeby jej wysłuchać. Może dlatego, że nigdy dotąd nie słyszałem tego utworu.

– Czy nie leci trochę za wolno? – odważyłem się wreszcie zapytać, jakby sugerując, że moim zdaniem również przydałoby się przyspieszyć nieco nagranie.

Clara pokręciła raz głową, zbywając mój komentarz jak prostą, niewłaściwą uwagę, którą zresztą był. A potem, bez żadnego powodu albo z jakiegoś powodu, którego nie byłem w stanie zrozumieć, uniosła głowę i zaczęła wpatrywać się prosto we mnie, ale w nieokreślony martwy sposób, aż nabrałem podejrzeń, że choć patrzy w moją stronę i nie odwraca wzroku, to tak naprawdę wcale mnie nie widzi. Lecz nie było wątpliwości: naprawdę się na mnie gapiała. Odwzajemniłem spojrzenie w ten sam, pozornie rozkojarzony sposób, ale ona nie zauważyła tego, albo nie zauważyła mnie, i pomyślałem: Tak właśnie wyglądają ludzie całkowicie oczarowani muzyką, podczas gdy ja tylko udaję, tak samo jak wtedy, kiedy zachowuję się, jakby oczarowało mnie jedzenie, wino, pejzaż, sztuka, miłość. Podczas gdy inni słuchali muzyki, stapiali się z nią i wpatrywali się w ciebie, na wskroś przez ciebie, i nie wymagali wzajemności, nie przesyłali żadnych ukrytych

sygnałów brwiami, bo byli już jednym ze wszystkim.

Czy mieliśmy się tak gapić na siebie do czasu, aż utwór dobiegnie końca?

Na to wyglądało.

Podniosłem się z krzesła i nadal nie odrywając od niej wzroku – ona też nadal podążała spojrzeniem za mną – przykląknęłam na dywanie tuż obok niej. Serce biło mi mocno, żadne z nas nie odwracało głowy: ja nie wiedziałem, czy nie łamię jakiegoś niepisanego porozumienia, na które nie do końca się zgadzałem, ona zaś nie wiedziała, do czego zmierzam – lecz nagle zauważyłem, że jej dolna warga drży przelotnie, jej podbródek porusza się jakby pod wpływem leciutkiego skurczu, i zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła płakać. Zazdrościłem jej tej wolności.

– Claro – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: „Nic na to nie poradzę”.

– Nie wiem, co mnie naszło. Nie wiem.

Wyciągnąłem ręce i ująłem jej dłonie.

– Ale się rozsypałam, prawda?

– To przez Händla.

Nie odpowiedziała, pokręciła tylko głową. Powinienem był natychmiast ją pocałować.

– A może to przez Inky’ego – rzuciłem. – Albo przez spotkanie z Maxem i Margo – dodałem, usiłując zawęzić możliwe przyczyny jej łez, jak rodzic pomagający dziecku znaleźć dokładne miejsce, w którym boli je ramię.

– Zabieramy to nagranie. Max ma inne kopie – stwierdziła wreszcie. Próbowała pokazać, że bez problemu może się wziąć w garść. – Biedaczysko, on i jego martwa muzyka i gnijące ciało, i całe to gadanie o śmietniskach wieczności...

Znowu zaczęła płakać, tym razem na poważnie.

– Zapomniałaś o *strudel gâteau*. – Usiłowałem odwrócić jej uwagę, rozśmieszyć ją, choć wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby dalej płakała. Łzy

zdawały się usuwać z jej ciała wszystkie ciernie i – lepiej – uczłowieczały ją w sposób, jaki rzadko widziałem u kogokolwiek. Poczułem się przez to całkowicie zagubiony. Znowu spróbowałem zażartować, tym razem kosztem sztuki prawdziwej i sztuki psipsi kupka.

Zaśmiała się lekko, ale nie dała się nabrać na tę dywersję.

– Zawsze płaczesz przy muzyce?

To pytanie było jednak marną próbą i na nie również nie dała się złapać.

– Nie jestem gotowa – powiedziała w końcu.

Doskonale wiedziałem, co ma na myśli. Równie dobrze mogliśmy pogadać o tym wprost.

– A ja niby jestem? – zapytałem, jakby chcąc zniszczyć wszelkie pozory, że może owszem.

Czy mówiliśmy „tak”, mówiąc „nie”?

A może było na odwrót? Mówiliśmy „nie”, żeby oznaczało „tak”, żeby oznaczało „nie”?

– Co za bałagan – stwierdziła Clara.

– Ale przynajmniej wiemy, że bezpieczny.

Zastanowiła się nad tym. Już myślałem, że w końcu udało mi się ją pocieszyć.

– Nawet nie wiem, czy na pewno... to jest, czy jestem bezpieczna. Może żadne z nas nie jest.

Nawet pośród jej łez słyszałem lekkie dzwonienie kołysanego wiatrem zardzewiałego druta kolczastego na długim wiejskim płocie.

Wyciągnąłem chusteczkę do nosa i podałem ją Clarze.

Chwyciła ją jak dzbanek wody z lodem w lipcu, wytarła kilka razy oczy i mocno zmięła chusteczkę w pięści.

Obawiałem się, że będzie mi miała za złe ten moment słabości.

– Jesteś jedyną znaną mi osobą... – Zawahała się na chwilę i już

uwierzyłem, że powie o mnie coś miłego – ...która nadal używa płóciennych chusteczek do nosa.

– A czego używa większość ludzi, palców? – zapytałem.

– Czasami. Większość posługuje się jednorazówkami. A inni rękawiczkami.

Czułem, że humor raczej tu nie pomoże.

– Po prostu obawiam się, że już nigdy nie zobaczę tego domu.

Znowu była na krawędzi płaczu.

– A co, gdybyśmy obiecali, że wrócimy tu za tydzień... razem?

Spojrzała prosto na mnie i nic nie powiedziała. Na twarzy miała ten sam nieokreślony, nieobecny wyraz, który mówił, że albo nie ufa moim przesłankom, albo zwyczajnie nie ma energii, żeby mi uzmysłwić, jak donkiszotowski jest ten pomysł. Nie miałem pojęcia, czy nie zaplanowała już czegoś na przyszły tydzień; czegoś, na co mnie nie zaproszono – był to świetny moment, żeby znowu przypomnieć mi o swoim ostrzeżeniu, ale nie miała w tej chwili siły albo serca, żeby to zrobić.

– Czemu nie. Przyjedziesz po mnie ze śniadaniem i będziesz mi śpiewać w samochodzie.

– Ale z ciebie Printz Oskár.

Kiedy oddała mi chusteczkę, czułem na niej wilgoć. Schowałem ją z powrotem do kieszeni, mając nadzieję, że nigdy nie wyschnie.

– Jesteś najlepszym towarzystwem do Wisznukrisznu – stwierdziła wreszcie Clara. – Dzisiaj była moja kolej, a twoja wczoraj.

– Mów tak dalej, to też zafunduję sobie w tej chwili jakieś Wisznukrisznu.

– Ale z nas wraki – powiedziała.

W drodze powrotnej w kółko słuchaliśmy sarabandy Händla. Wiedziałem, że stanie się ona naszą melodią, Pieśnią Dwudziestego Szóstego Grudnia, i gdziekolwiek się znajdę w przyszłości, jeśli którejś nocy pogubię się jak wędrowiec na pustyni, to wystarczy, że pomyślę o tej sarabandzie



w wykonaniu człowieka, który zniknął na peryferiach czasu, a niczym antropolog składający kolejno fragmenty kości będę mógł przywołać to, kim byłem w tym dniu, gdzie byłem, czego najbardziej pragnąłem od życia, w czym się zakochałem i co niemal udało mi się pochwycić. Słuchając w milczeniu muzyki, przypominałem sobie, jak zesliśmy z Clarą z rampy w łożysko rzeki i usłyszeliśmy pękający lód, i to również na zawsze splotło się z tym momentem na dywanie, kiedy zdałem sobie sprawę – po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy – że od tej melodii może zależeć reszta mojego życia i wystarczyłby jeden nieodpowiedni oddech, żeby przeważać szalę na jedną lub drugą stronę.

– Claro Brunschvicg – odezwałem się.

– Słucham, Printzu Oskárze?

– Claro Brunschvicg, nigdy cię nie zapomnę – zamierzałem powiedzieć. Ale przyszło mi do głowy, że to zabrzmiałoby zbyt rzewnie. – Claro Brunschvicg, mógłbym bez najmniejszej trudności się w tobie zakochać... o ile już tego nie zrobiłem. – Nie, zbyt doniosłe. – Claro Brunschvicg, mógłbym tak spędzić resztę życia: ja i ty, we dwoje, razem, gdziekolwiek, kiedykolwiek, na zawsze. Spędzać każdą minutę tak jak dzisiaj, z zimą, samochodem, lodem, kamieniami, zupą, bo za sto lat te minuty będą wszystkim, czym będziemy się mogli pochwalić, wszystkim, co będziemy chcieli pozostawić innym – a poza tym za sto lat nikt nie będzie o tym pamiętał albo nie będzie go to obchodzić, albo nie będzie w stanie sobie przypomnieć, tylko że ja nie chcę skończyć jak mój ojciec, z marzeniami o miłości i lepszym życiu, którego go pozbawiono albo do którego wciąż dążył. Nie chcę minąć za trzydzieści lat twojego budynku i spojrzeć na niego, mówiąc do siebie albo do osoby, którą tamtego dnia będę: Widzisz ten budynek? Tutaj zatrzymało się moje życie. Albo: Tutaj moje życie się rozpadło. Albo: Tutaj życie zwróciło się przeciwko mnie, bo od czasu tamtej zimy wiele, wiele lat temu osoba mówiąca w tej chwili do ciebie i spoglądająca na ten budynek ciągle czeka; ręka trzymająca twoją rękę to kończyzna fantomowa, cała reszta mnie to też tylko proteza, jestem cieniem i ona jest cieniem, i jak w wierszu Verlaine'a będziemy wciąż szeptać cieniste słowa o cienistej miłości, podczas gdy dekady będą upływać, a my będziemy stać w miejscu i wstrzymywać oddech. Prawdziwy ja zamarzał na

tej ulicy i najprawdopodobniej przeżyje mnie o wiele lat, aż zmieni się w jedną z tych rodowych legend, które raz po raz opowiada się rytualnie w czasie rodzinnych uroczystości, dopóki z tragedii nie przemienią się w symbol śmiechu i ośmieszenia. „No to opowiedz o tym, co miał imię po wielkim tankowcu” – będą mówić, tak jak ja pytałem ojca o przodków, którym ścięto głowy.

– Co zamierzałeś powiedzieć? – spytała Clara.

– Nic.

– Wcale nie – stwierdziła.

– Tak, wiem – odparłem.

I roześmialiśmy się.

– Co za spryt, Printzu, co za bystrość.

– Owszem, zgadza się.

To samo zdarzyło się tego dnia jeszcze dwa razy.

Pędziliśmy wiejską drogą z powrotem do miasta.

Było już po zachodzie słońca i patrzyliśmy, jak biała Hudson, w którą wpatrywaliśmy się przez cały dzień, zabarwia się bladym i mdłym kolorem. Byliśmy w drodze od jakichś trzydziestu minut, kiedy w zasięgu wzroku pojawiło się tamto małe miasteczko. Żadne z nas się nie odezwało i sprawialiśmy wrażenie, jakbyśmy oboje zapomnieli i zamierzali przejechać przez nie w milczeniu. Clara, która siedziała za kierownicą, rzuciła w moją stronę spojrzenie. Potem zaczęła przyspieszać i widziałem, że się uśmiecha. Blefowała.

– Wolisz spasować? – zapytała.

– Nie. Zamierzałem poprosić, żebyś się zatrzymała.

– Aż tak ci smakował ten lipton?

Przytaknąłem.

– Wiesz, że jesteśmy w tej chwili dość niegrzeczni – stwierdziła.

– Wiem. Ale herbata jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Zaparkowaliśmy dokładnie w tym samym miejscu co rano. Tak jak poprzednio zamówiłem dwie herbaty. Clara poszła do łazienki. Wybrałem to samo miejsce przy pokrytej boazerią ścianie. W kominku nadal płonął ogień. A ona doskonale wiedziała, gdzie usiądę. Tylko że kiedy tym razem zajęła miejsce, powiedziałem, żeby się posunęła, bo chcę usiąść obok niej. Chyba jej to nie przeszkadzało. Po niedługiej chwili odezwała się: – No to opowiedz mi o niej.

Czy naprawdę chciała wiedzieć? – spytałem. Owszem, naprawdę chciała wiedzieć. I jakby pragnąc mnie oczarować, umościła się w kącie między krawędzią siedzenia a szklaną szybą z widokiem na ciemniejący pejzaż Hudson. Powiedziałem, że poznałem ją na studiach. Miłość twojego życia? Nie, nie miłość mojego życia. Więc dlaczego mi o niej opowiadasz? Zobaczysz, jak pozwolisz mi dokończyć. Była tancerką, ale za dnia pracowała jako redaktorka, dobrze gotowała i trzy razy na tydzień wcielała się w rolę samotnej matki. Była starsza ode mnie. O ile? Dziesięć lat – i nie przerywaj. Gotowała mi potrawy, których nigdy przedtem nie próbowałem, przystrojone sosami, których przygotowanie zajęłoby szefom kuchni całe dnie, a ona robiła je w kilka minut. Przedtem byłem niemal wegetarianinem, a teraz nagle co wieczór jadłem na kolację steki. Trochę potrwało, zanim zrozumiałem, dlaczego faszeruje mnie dietą białkową. Ona sama z kolei nigdy nie jadła. Nieustannie paliła. Szykowaliśmy stół zastawiony tymi wspaniałymi daniami i ja jadłem i jadłem, i jadłem, a ona tymczasem siedziała przy mnie na podłodze i patrzyła, jak pochłaniam kolejne potrawy. Pewnie miała bulimię albo anoreksję, albo jedno i drugie, tylko że człowiek nigdy by się tego nie domyślił, bo zawsze obżerała się po kryjomu. Była też uzależniona od środków uspokajających, przeczyszczających i antydepresantów.

– Co było w niej dobrego?

– Przez pewien czas wszystko.

– A potem?

– Przestałem ją kochać. Próbowałem temu zapobiec, ale nie mogłem. Od niekochania jej przeszedłem do niesłuchania, potem do tego, że nie chciałem jej dotykać, do nienawidzenia dźwięku jej śmiechu czy choćby brzęku jej

kluczy, kiedy wracała do domu, i szurania kapci, kiedy budziła się w środku nocy i szła do salonu na papierosa, i siedziała tam w ciemności, bo narzekałem, że światło mnie budzi, i nawet odgłosu wyłączanego telewizora, bo to oznaczało, że wracała do łóżka. To było straszne. I ja byłem straszny. Więc ją rzuciłem.

– Zatem ty też nie jesteś odpowiednim towarzyszem dla innych?

– Nie sądzę. I ona o tym wiedziała. Pewnego dnia, już pod koniec, stwierdziła: „Jestem kimś takim, o kim nie będziesz pamiętał, że go kiedykolwiek kochałeś. Zostawisz mnie i nawet nie będziesz o tym myślał”. I miała rację.

Zamilkłem.

– No, mów dalej.

– W zeszłym roku pod koniec zimy niespodziewanie do mnie zadzwoniła. Nie rozmawialiśmy ze sobą od trzech czy czterech lat. Powiedziała, że chce się ze mną zobaczyć... nie, że musi się ze mną zobaczyć. Cóż, wiedziałem, że na pewno nie urodziła w tajemnicy mojego dziecka, wiedziałem, że nie brakuje jej pieniędzy i nie dowiedziała się o chorobie wenerycznej, o której musi teraz poinformować wszystkich dawnych kochanków. Po prostu musiała się ze mną zobaczyć, to wszystko. Nazwała mnie mężczyzną swojego życia. Trochę mnie to połechtało. Umówiliśmy się na lunch, ale musieliśmy go odwołać, potem znowu i znowu to samo. Aż w końcu przestała dzwonić i ja też do niej nie zadzwoniłem. Kilka miesięcy temu dzięki paru zbiegom okoliczności dowiedziałem się, że umarła. Nadal nie mogę przestać o tym rozmyślać, a może nie chcę.

– No i?

– No i nic. Dowiedziała się, że jest bardzo chora, i chciała skontaktować się z kimś, kto się dla niej liczył, powiedzieć o kilku sprawach, o których przedtem nie miała odwagi wspomnieć. Bo teraz wreszcie zasłona opadła i nie było miejsca na dumę i inne bzdury. Chciała po prostu spędzić razem kilka godzin.

Na chwilę zapadła między nami cisza.

– A ja myślałem, że jest po prostu samotna i kolejno odhacza swoich

dawnych chłopaków, starych przyjaciół – dodałem.

– Ciekawe, do kogo ja zadzwonię, kiedy przyjdzie czas na mnie. Na pewno nie do Inky’ego. A ty?

– To pytanie z gatunku tych, na które odpowiada się: „Wybieram bramkę numer trzy”. A w barach z grillem nie robimy takich rzeczy.

– Słyszę przemawiający przez ciebie pandelek.

Posłałem jej spojrzenie mówiące: Ty chyba najlepiej potrafisz go rozpoznać.

„Z całą pewnością” – odparła.

Wyprostowała się i napiła herbaty, obejmując kubek obiema rękami.

Miałem ochotę chwycić jej dłonie, złożyć je razem i ścisnąć, a potem rozchylić jak otwiera się psalterz i ucałować każdą z osobna.

Powiedziałem, że lubię patrzeć, jak pije herbatę.

– A ja lubię twoje czoło – odparła.

Wyrząłem przez okno z poczuciem, że w tej jadłodajni dla klasy robotniczej kryje się jakaś niesamowita magia, jakby to miejsce rozumiało, że abyśmy mogli tu razem przebywać i czuć się przy tym swobodnie, ono musi być tak przeciętne, skromne i zaniedbane jak wszystko na obrazach Hoppera, jak herbata Lipton, jak zasłony ze sztucznego lnu, które ciągle ocierały się o jej włosy, i jak powyszczerbiane gliniane kubki, z których piliśmy. Zastanawiałem się, czy Clara i ja nie jesteśmy jak wieczni rekonwalescenci Hoppera – ludzie Hoppera, puści, oszołomieni, zastygli ludzie Hoppera, z rezygnacją akceptujący ukryte rany, które może nigdy się nie zagoją, ale już dawno temu przestały wzbudzać w nich czy to smutek, czy to ból. Nie byłem pewien, czy podoba mi się ta analogia do Hoppera. Ale dotarło do mnie, że dokładnie to miała na myśli, kiedy mówiła o dekowaniu się. Siedzenie w miejscu jak postaci Hoppera, z prostymi plecami i w pewnej odległości od wszystkiego, jak niespokojne lemury rozglądające się po aż nazbyt znajomym pejzażu zwanym życiem bez zainteresowania czy choćby obojętności.

– Ale rozumiem, dlaczego zadzwoniła właśnie do ciebie.

Chwilę potrwało, zanim uzmysłowiłem sobie, że mówi o mojej dawnej miłości.

– Dlaczego?

– Bez powodu. Po prostu rozumiem.

– Robi się późno – powiedziałem.

I nagle, gdy tylko wymówiłem te słowa, wiedziałem, że ona wie, dlaczego je wymówiłem.

– O której się zaczyna?

– O dziewiętnastej dziesięć, nie pamiętasz?

– Jestem zaproszona?

Posłałem jej spojrzenie.

– I kto teraz jest Printzem Oskarem?

– No to idziemy do kina?

– Tak – powiedziałem, jakbym wreszcie uległ prośbie, na którą ona przez cały dzień nie mogła się zebrać.

– No to idziemy do kina.

Chwilę potrwało, zanim zrozumiałem niemal niedostrzegalny wydźwięk jej głosu, gdy mówiła: „No to idziemy do kina”. Albo udawała, albo szczerze czuła podniecenie dziecka, którego rodzice w ponure niedzielne popołudnie postanawiają narzucić płaszcze i zabrać całą rodzinę na film. No to idziemy do kina – powtórzyłem za nią, tak jak to robił pewien kolega ze szkoły, który odwiedzał mnie po lekcjach i zabieraliśmy go ze sobą do kina, żeby nie musiał wracać do domu.

Mieliśmy mniej niż godzinę, żeby dojechać do miasta i znaleźć miejsce parkingowe. Albo mogliśmy odstawić samochód do garażu i złapać taksówkę.

– Dałoby się to zrobić – powiedziała Clara. Albo mógłbym wyskoczyć i kupić bilety, kiedy ona będzie szukała parkingu. Może moglibyśmy zadzwonić do kina i zarezerwować dwa miejsca na nasze nazwiska? Ale

czyje? Twoje. Moje.

– Sam wiesz czyje – powiedziała.

Pędziliśmy teraz autostradą i po niedługim czasie zobaczyliśmy światła na moście Waszyngtona, migoczące ponad ogromną spokojną Hudson.

– Miasto – powiedziała tak, jak można by powiedzieć na widok znajomej latarni wskazującej drogę do domu. Przypomniałem sobie napięcie, które panowało między nami z rana, i muffiny oraz bajgle w szaro-białej papierowej torbie, i wykonanie Bacha, którego słuchaliśmy, i jak wszystko wydawało się należeć do innego wymiaru.

– Popatrz na prawo – rzekła Clara, zauważając go przede mną. I był, dokładnie tam, gdzie zostawiliśmy go rano, przycumowany na samym środku rzeki: Prince Oscar, nasza latarnia, nasza gwiazda przewodnia, nasz symbol, nasz dubler, nasz imiennik, nasze zaczarowane słowo na rzeczy, na które nie mieliśmy słów – miłości mojego życia, mój drogi, drogi Prince’u Oscarze, kochany, smutny statku, władco wszelkich statków, daj nam jakiś znak, powiedz nam, o bosmanie, co z tym wieczorem, mów nam o tej krainie snów, do której przewozisz swoich pasażerów, powiedz, co się z nami stanie, co się ze mną stanie – słyszysz?

Widział, jak przejeżdżamy i znikamy, i przez chwilę miałem wrażenie, że rozświetlił pokład, żeby pozdrowić nas z daleka z fal Hudson, jakby mówiąc: Wy śmiertelnicy, ty szczęśliwa, błogosławiona paro, która pamiętała mnie dzisiaj, choć tak łatwo mogła odwrócić wzrok i śmiać się z moich lat, przypatrzcie się dobrze tej zawilgoconej, zardzewiałej balii, nadającej się na złomowisko, tkwiącej na wodzie w środku oszronionej zimy, podczas gdy wy przejeżdżacie i znikacie tą drogą, i może znowu będziecie nią przejeżdżać i znikać, i nie myślcie, że nie wiem, co to znaczy być młodym i pełnym nadziei, obawiać się i pragnąć – ja, który widziałem mnóstwo nadrzecznych dróg i przemierzyłem świat jak tyle innych statków widm przede mną, och, nigdy nie stańcie się widmami, znaczącymi swoje lata kolejnymi warstwami rdzy, póki nie zaczniesz się przez nie przesączać woda, a wy przemienicie się w zwykłe koryta, puste kadłuby uwięzione na mieliźnie po wielu złych zakrętach i płytkich zakolach, aż straciecie panowanie nad swoimi sterami i rdza nie będzie już całkiem wasza, i przestaniecie pamiętać, że kiedyś

byliście statkami – to wasza podróż jest prawdziwa, nie moja. Och, nie zabierajcie mnie, nie rozkręcajcie śrub jak rozpina się pasek w spodniach zmarłego, myślcie o mnie tak samo jak o świetle i drodze, i zapamiętajcie ten dzień, bo taka chwila zdarza się tylko raz na całe życie, a cała reszta za trzydzieści lat nie przyda wam się na nic z wyjątkiem wspomnienia tego momentu.

– Printz Oskár – powiedziała w końcu.

– Tak? – odparłem.

– Printz Oskár.

– Tak! – powtórzyłem.

– Nic, po prostu lubię wymawiać te słowa.

Ona jest we mnie zakochana i nawet o tym nie wie.

Pomyślałem o czekającym nas wieczorze. Dwa filmy, droga w śniegu do tego samego baru, gdzie zajmiemy ten sam stolik, tylko tym razem usiądziemy obok siebie, i zamówimy te same drinki, i będziemy rozmawiać, śmiać się, tańczyć do tej samej piosenki, może dwa razy, a potem nieszczęsny spacer do domu, kiedy będziemy mijać Straus Park i będę chciał jej powiedzieć, a może nie, że mam w tym parku swoje miejsce, wreszcie na sam koniec zdawkowy pocałunek na dobranoc pod jej drzwiami, bo najprawdopodobniej będziemy usiłowali udawać, że jest zdawkowy, choć może wcale nie, i w końcu, kiedy Clara zniknie już w windzie na drugim końcu strzeżonego przez Borysa holu, mój spacer z powrotem do parku, bo dzisiaj też tam wstąpię, przysiądę na swojej ławce, jeśli nie będzie mokra, i będę zwyczajnie wpatrywać się w fontannę, patrzeć na drzewa w środku tego miniaturowego parku przy Broadwayu i zastanawiać się, co mi się bardziej podoba: spędzenie całego dnia z Clarą czy samotna wizyta tutaj, żeby rozmyślać o Clarze, z którą właśnie spędziłem cały dzień – i mieć nadzieję, że nie znajdę na to odpowiedzi, bo wszystkie odpowiedzi są właściwe, dopóki się ich nie odwróci, a wtedy się okazuje, że samo pytanie było niewłaściwe, tak jak wiele innych rzeczy jest dobrych, a potem złych, a potem znowu dobrych, aż w końcu wszystko, co nam zostanie, to cowieczorna rozmowa ze stojącymi dokoła świecami i naszymi cieniami, które stykać się będą ramionami, jak to robiliśmy u Edy i w naszym pubie,



i podczas lunchu, i kiedy słuchaliśmy muzyki, i kiedy zmywaliśmy naczynia, i kiedy siedzieliśmy razem w kinie, bok w bok, szepcząc do siebie cienie słów.

Tego wieczoru w drodze do domu dostałem wiadomość.

PRINTZU OSKARZE KTOREGOS DNIA BEDE MUSIALA  
WYSLAC CI JAKAS WIADOMOSC.

## Noc czwarta

– Czym jest dla ciebie piekło? – zamierzałem ją zapytać. Byłby to sposób na zmuszenie jej do otwarcia się i opuszczenia tarczy. Podobało mi się, kiedy mówiła o sobie. Podobało mi się, kiedy płakała, podobało mi się, jak siedzieliśmy w półmroku u Edy i niemal wziąłem ją za rękę, i ucałowałem w dłoń, podobało, że po zakończeniu obu seansów o dwunastej w nocy powiedziała, że w naszym barze podają dobre frytki, bo wiedziała, że chcę tam wrócić i – jeszcze lepiej – usiąść przy tym samym stoliku, tuż obok siebie, i wznowić rozmowę w miejscu, w którym przerwaliśmy ją na Rohmerze i mężczyznach oraz kobietach, którzy lubią to, co oczywiste, tylko trochę się w tym gubią. Podobało mi się, że między filmami wymknęła się z kina i znalazła otwarty kiosk z prasą, gdzie mieli m&m'sy, bo te w torebce strunowej zostawiliśmy w kuchni Margo. Przy okazji znalazła też czas, żeby kupić dwie kawy. Rano i wieczorem – stwierdziłem. Zakładałem, że zdążyła przy tym zerknąć na telefon. Ile razy dzwonił? – zapytałem. Zaledwie osiem, i to nie licząc wiadomości pozostawionych na numerze domowym. Czy nie była ciekawa, co miał jej do powiedzenia? Wiedziała, jak brzmi każda z tych wiadomości. O wiele bardziej wolałbym patrzeć, jak mu współczuje i go całuje, niż jak udowadnia, że potrafi skwasić życzliwość i przemienić ją w jad.

Po naszym pożegnaniu obiecałem sobie, że nie będę liczył na jej telefon następnego dnia, nie będę się spodziewał żadnego kontaktu z jej strony przez nie wiadomo jak długo, a już na pewno nie pomyślę o tym, żeby samemu do niej zadzwonić. Chyba że będę miał dobry powód. Wspaniały powód pojawił się kilka godzin później, ale go zignorowałem.

Z początku chciałem zadzwonić i powiedzieć jej, że... że cieszę się, że mogłem spędzić z nią cały dzień, wtrącić przy okazji kilka aluzji do wczorajszych haseł – Bach, *strudel gâteau*, znowu Rohmer i nagłe pojawienie się Prince'a Oscara, który zaczął się na nas przy trasie Henry'ego Hudsona, albo ten pocałunek na pożegnanie, o który równie niezręcznie byłoby się starać co go unikać.

Ale co bym powiedział, gdybym naprawdę zadzwonił? Że cofam wszystkie dowcipy na temat Herr Jäna? Że spędziłem fantastyczny dzień, dokładnie tak, jak zapowiadała? Że tyle mógłbym jej powiedzieć? No to powiedz. Nie wiem, od czego zacząć. Czy to potrwa bez końca? Po prostu żałuję, że nie wróciłaś ze mną do domu, teraz, dzisiaj, w tej chwili. No to dlaczego mnie o to nie poprosiłaś, Oskárze? Bo po prostu nie mogłem, bo jesteś tak kurewsko niedostępna z tymi twoimi przeskokami gorąco–zimno, ogień–lód, mów–nie mów. Bo nie mogę dojść, gdzie ty właściwie jesteś, kim jesteś. Printz Oskár! Clara Brunschvicg! Dobranoc. Dobranoc. Nastąpi moment ciszy. Claro Brunschvicg... Co? Claro Brunschvicg... Nie mów tego – przerwałaby. Nie chcesz, żebym to powiedział. Nie. W takim razie ty to powiedz. Printzu Oskárze, nie róbcmy tego w tej chwili. Powiedz mi, dlaczego nie chcesz, żebyśmy to powiedzieli, powiedz mi, powiedz mi, powiedz mi.

Mogłem zadzwonić w drodze powrotnej.

Mogłem zadzwonić z taksówki.

Mogłem zadzwonić, kiedy dotarłem do domu.

Mogłem zadzwonić, kiedy byłaś w windzie, zawołać cię po imieniu, gdy rozmawiałaś z Borysem, krzyknąć: „Claro!”.

Mogłem odpisać na twoją wiadomość, gdy tylko ją dostałem. „Któregoś dnia będę musiała wysłać ci jakąś wiadomość”. Typowa Claromowa, pisana w kamieniu jak hieroglif, którego nikt nie zdoła rozszyfrować, nawet jego autorka. Co to w ogóle mogło znaczyć: „Któregoś dnia będę musiała wysłać ci jakąś wiadomość”? Że chciałyby napisać coś zupełnie innego, niż napisała, że wiadomość, którą przyśle mi któregoś dnia będzie zawierać o wiele, wiele więcej, a to ma być tylko zapowiedź, sygnał „nie zmieniajcie kanału”, po którym nastąpi (albo i nie nastąpi) część druga? A może znaczyło to: żałuję, że nie mam nic więcej do powiedzenia, żałuję, że brak mi odwagi, żeby coś więcej powiedzieć, żałuję, że nie mogę powiedzieć ci tego, co wiem, że chcesz usłyszeć – dlaczego mnie nie zapytasz, dlaczego zwyczajnie mnie o to nie zapytasz, do jasnej cholery? Żałuję, że nie potrafisz czytać między wierszami, choć wiem, że będziesz próbował i to uwielbiasz, bo niczego, co mówię, nie przyjmujesz za dobrą monetę, i dlatego właśnie muszę posługiwać się szyfrem, choć nie chcę tak mówić, a zwłaszcza do ciebie, lecz

jestem zmuszona uciekać się do najbardziej przygnębiającego z kodów.

Czytałem tę wiadomość raz po raz przez co najmniej godzinę, jakby przysłano mi ją ze ściągą, którą przypadkowo zgubiłem. Powinienem był od razu coś odpisać. Ale nadeszła trzecia rano, a ja wciąż nie zdołałem tego zrobić – nie chciałem zaś, żeby wzięła mnie za typ faceta, który sprawdza wiadomości w środku nocy. O czwartej nad ranem, kiedy wybudziłem się ze snu, którego nawet nie pamiętałem, przyszło mi do głowy, że powinienem odpowiedzieć czymś dowcipnym: „*Ceci n'est pas un message non plus*<sup>12</sup>. Idź spać”. Ale potem pomyślałem: Niech jeszcze się trochę pokisi.

Nie przyszło mi do głowy, że z nas dwojga to ja byłem i zawsze będę tym, który się kisi, a nie Clara. Ona nigdy się nie kisiła. Wysłała mi esemesa od niechcienia i poszła spać. A może tylko chciała, żebym wierzył, że napisała go od niechcienia i poszła spać?

Ale czemu miałyby chcieć czegoś takiego? Co mogła ukrywać? Co mogła sugerować? Co dokładnie chciała, żebym podejrzewał lub zgadywał?

Nie, to ja, to tylko ja.

Nagle ogarnął mnie straszliwy lęk. A co, jeśli nie poszła spać, bo czekała na moją odpowiedź? Co, jeśli – pozostawiona samej sobie – podniosła wreszcie telefon, kiedy zadzwonił po raz enty, i wplątała się w maratonową debatę z Inkym, która zawsze kończyła się zrezygnowanym: „No dobrze, jak naprawdę chcesz, to możesz przyjść”? Zastanawiałem się, czy odebrałaby telefon widząc, że to ja dzwonię.

O ósmej rano, kiedy wbrew wszelkim absurdalnym oczekiwaniom stało się jasne, że nikt nie zadzwoni domofonem, uznałem, że pora dać spokój nadziejom i wyruszyć do mojego ulubionego-już-nie-tak-ulubionego greckiego baru. Wczorajsza przegapiona szansa na chwilę samotności przy jajkach i gazecie wróciła teraz do mnie niczym przypomnienie o porażce i rozpacz. Zanim wszedłem pod prysznic, rzuciłem okiem na telefon. Nie, nie dzwoni się do Clar tego świata tylko po to, żeby powiedzieć im „cześć”. Dzwoni się do nich w konkretnym celu, z konkretnym planem – nawet jeśli jest to plan wymyślony naprędce. Masz jakiś plan? Nie mam planu. Ale chcesz zadzwonić? Chcę zadzwonić.

Lunch – pomyślałem. Nie, późny lunch. Nie za głośno, nie za tłoczno.

Późny lunch w jakiejś miłej knajpce.

## CB CO POWIESZ NA LUNCH PO

Niech jej się wydaje, że takim „głosem” wysyłam wszystkie moje wiadomości. Lekkim, niesztynym, pod wpływem chwili.

Zanim wyszedłem spod prysznic, zdążyła mi już odpisać. Oto ktoś, kto nie boi się pokazać, że chce jak najszybciej odpowiedzieć.

## GDZIE KIEDY CO JAK DLACZEGO

Przejrzała mnie i podniosła stawkę.

Oznaczało to: „A więc chcesz się bawić w zwięzłość i lapidarność. Dobrze, będę zwięzła i lapidarna. Przekonamy się, kto się pierwszy wycofa”.

To „dlaczego”, które dorzuciła po namyśle, było najbardziej grzaskim elementem równania.

PIRANESI 14.00 WŁOCH RÓG 67 & MADISON BO TAK

STRASZNY POWÓD

NIE CHCESZ ZNAĆ POWODÓW

WYMIENI CHOĆ JEDEN

HANDEL ROHMER W CZORAJSZY WIECZÓR

ALE TO BYŁO W CZORAJ

CHCĘ ŻEBY DZISIAJ BYŁO JAK W CZORAJ CZY MAM  
KONTYNUOWAĆ

Już, już miałem się do czegoś przyznać, choć nie miałem pojęcia do czego.

Esemsy wprowadzają jednocześnie intymność i dystans. Czasami nawet bardziej niż słowo mówione. Nadal pobrzmiewa w nich konkretny ton, tylko głośniejszy, ostrzejszy, jaśniejszy – rafa zwięzłych intencji, gdzie łatwo o pomyłkę, choć rzadko o złe odczytanie. Jeszcze jedna runda i zaczniemy się kłócić, nie

całować.

## ZNAM LEPSZE MIEJSCE WPADNIJ PO MNIE O 2

Miałem odpisać zdeterminowane „Super”, ale potem postanowiłem złagodzić ton i posłużyć się modniejszym, choć szablonowym „Jasne”, które z kolei zmieniłem na bardziej uległe „Robi się”, potem na ironicznie zapowiadające „Będę” i w ostatnim momencie na łagodniejsze i bardziej nieokreślone „To na razie”, aż wreszcie zdecydowałem się na jedną z wcześniejszych opcji „Jasne”.

Wszystko takie zdystansowane i ostrożne. Te pozy. Z mojej i jej strony? Czy tylko z mojej?

Poszedłem do swojego greckiego baru i zrobiłem dokładnie to, na co miałem wczoraj ochotę. Usiadłem przy dużym matowym oknie. Wymieniłem dokładnie te same uwagi co zwykle z grecką *kuklą*, która nie jest już *kukłą*. Wypiłem bezdenne kubek mdłej kawy, zjadłem swoje racuchy, przeczytałem dzisiejszą i wczorajszą gazetę.

Potem poszedłem do sklepu muzycznego i kupiłem płyty ze wszystkimi suitami fortepianowymi Händla i nagraniami Bacha-Silotiego. Zaraz po powrocie do domu puszcze sobie tę muzykę i spróbuję sobie wyobrazić lód pękający do rytmu preludium, które okryło tęsknym czarem cały wczorajszy dzień.

Wstąpiłem do Starbucksa, zamówiłem tę samą kawę mokka, którą przyniosła wczoraj Clara, i zacząłem otwierać po kolei wszystkie opakowania z płytami. Podobał mi się poświęteczny tłum, turyści kręcący się w okolicach Lincoln Center i nowojorczyki, którzy nie musieli iść dzisiaj do pracy. Nadal zostały mi do kupienia dwa świąteczne prezenty. Nagle uzmysłowiłem sobie, że tak naprawdę mam ochotę kupić coś Clarze. „Dlaczego chcesz mi coś kupić?”. Dlatego. „Dlatego to żaden powód”. Dlatego że wszystko zmieniłaś, dlatego że wystarczy, abyś dotknęła mojego dnia, a zmienia on kolor jak jeden z tych pierścionków, które przybierają inną barwę zależnie od nastroju noszącego, bo wystarczy, że choć muśniesz moją skórę, a ta część mnie zostaje na zawsze naznaczona. Zobacz, widzisz tu, na łokciu? Stuknęłaś mnie raz w to miejsce, kiedy wracaliśmy z baru. Ono nie zapomniało. Widzisz tę rękę? Trzymała koniuszki twoich palców, kiedy płakałaś. A co do mojego

czoła, raz powiedziałaś, że ci się podoba, i od tego czasu moje myśli nie są już takie jak przedtem. Bo ty sprawiasz, że lubię swoje życie i to, kim jestem, a nawet jeśli na tym ma się wszystko skończyć, to nie poznać cię byłoby jak żyć w jakimś północnym kraju i nigdy nie posmakować żadnego tropikalnego owocu. Czerymoja, mango, guawa, papaja, wymienię je wszystkie jak stacje Drogi Krzyżowej albo miasteczka na szlaku do Composteli, albo przystanki na linii metra do Broadwayu, łącznie z tą opuszczoną stacją pod Dziewięćdziesiątą Pierwszą Ulicą, czyli tam, gdzie ty i ja, Claro, zakosztowaliśmy tej samej krwi niczym cienie z zaświatów, które razem wysłano na odsiedzenie kary, zanim powrócą między tak zwanych żywych.

I nagle coś do mnie dotarło: jestem kimś, o kim zapomnisz, że w ogóle go znałaś, prawda? Jestem kimś, kogo nawet nie będziesz pamiętać.

Mógłbym umrzeć, a ty nawet byś się nie zorientowała.

Kupiłem kopię kwartetu smyczkowego a-moll Beethovena w wykonaniu Busch Quartet. Wodoodpornym markerem nagryzmołem dedykację: „Ten *Heiliger Dankgesang* jest dla ciebie. To ja”.

Dramatycznie.

Subtelnie.

Słodko.

Głupio.

Energicznie.

Podobało mi się to.

Coś mi mówiło, że Clara się roześmieje, a mimo to zapomni.

O drugiej po południu, kiedy po nią przyszedłem, czekała już na dole.

– Ten wczorajszy film w ogóle nie ma sensu – powiedziała, gdy tylko Borys otworzył jej drzwi. – On nie pożądał jej kolana, pragnął jej samej, ale wiedział, że nigdy jej nie dostanie, więc zamiast tego zdecydował się na kolano, mały, obleśny zbok. Tani wybieg. A tak naprawdę chciał jej, tylko bał się do tego przyznać. Albo... i to by było jeszcze gorsze... nigdy jej nie pragnął, ale wydawało mu się, że powinien jej pragnąć, co postawiło go

podwójnie w sytuacji bez wyjścia, gdzie chciał jej i nie chciał jej chcieć, choć być może nigdy tak naprawdę jej nie chciał...

– Jak leci? – przerwałem.

Wybuchła śmiechem.

– Doskonale. Ale nie sądzisz, że mam rację?

– Sądzę, że u Rohmera wszyscy mężczyźni... A zresztą chrzanić to!

Owinęła sobie głowę wielkim, wielobarwnym wełnianym szalem i zatknęła końcówkę pod szyją.

– Szalik! – Nie zamierzała zrezygnować.

– Szalik – powtórzyłem, rozwiązując go i niezgrabnie usiłując zawiązać w sposób, który jej się podobał.

– Ja to zrobię – powiedziała.

A potem wzięła mnie pod ramię i wyruszyliśmy na północ. Moglibyśmy złapać taksówkę albo pojechać autobusem: to bardzo malownicza trasa – powiedziała. Chodźmy piechotą, nie jest mi zimno – powiedziała. Natychmiast ogarnęły mnie obawy i zacząłem się zastanawiać, czy będzie to kolejna wymagająca wysiłku wyprawa albo czy nie okaże się, że zmierzamy do jednej z restauracji, w której ona i Inky byli stałymi klientami, gdzie ona i Inky robili to, jadali tamto, spotykali się z tym czy tamtym.

– Doskonale wiem, o czym myślisz, ale to nie ma z tym nic wspólnego.

– Co za ulga – rzekłem.

– Na każdym kroku muszę uważać, prawda? Nie chcemy żadnych fochów.

– A kto tu strzela fochy?

– Ktoś, kogo znam, łatwo się wszystkim przejmuje.

– Lepiej o tym nie rozmawiajmy – odparłem.

Idąc zupełnie opustoszałymi chodnikami Riverside Drive, wreszcie przypomniałem sobie o barkach i ogromnych tankowcach.



– Widzę coś daleko z przodu – powiedziała. – Myślisz, że to jest to, co myślę?

– Możliwe. Niewykluczone.

Ale oboje wiedzieliśmy, że to niemożliwe. Po prostu chcieliśmy wskrzesić wczorajszy dzień.

Po drodze cały czas rozglądałem się po budynkach przy Riverside Drive. Od lat nie chodziłem tą trasą i w tym czasie nic się tutaj nie zmieniło. Tylko że teraz wszystko dookoła krzyczało: „Clara”.

W pewnej chwili rozdzwonił się jej telefon. Zaczęła szperać po kieszeniach grubego płaszcza i w końcu wyciągnęła komórkę.

– Nie wzięłam okularów, kto dzwoni? – zapytała, podając mi ją.

– Jakiś Ricardo.

Wyrwała mi telefon, wyłączyła go i schowała.

– Kto to jest Ricardo? – zapytałem. Zawsze miałem wrażenie, że otaczają ją sami mężczyźni, ale dlaczego nigdy dotąd nie wspomniała o żadnym Ricardzie?

– Inky. – Powiedziała to gwałtownym tonem.

– Czyżby imię nadane po jakimś statku?

– Nie. – Nie rozśmieszyło jej to.

Restauracja była pusta. Przy dużym stole w pobliżu kuchni pracownicy jedli już lunch. Jeden z kelnerów siedział samotnie przy małym stoliku i czytał „Corriere dello Sport”.

Clara weszła i przywitała się z nim po imieniu. To był współwłaściciel. Czy mają dziś pastę? Całą masę. Nawet nie podniósł głowy. Clara wsunęła się za bar, otworzyła coś, co było pewnie starą lodówką, wyjęła dwa kieliszki i butelkę schłodzonego wina, poprosiła mnie, żebym ją odkorkował, po czym skierowała się do kuchni, zdejmując przy tym płaszcz i rozwiązując zawile pętle szala, którym owinęła sobie głowę.

Nieśmiało otworzyłem butelkę, nalałem wina do dwóch kieliszków i dołączyłem do niej w kuchni. Woda w garnku najwyraźniej wciąż była

gorąca, więc Clara poprosiła Svetonia, żeby „zarzucił” makaron i zaczął odgrzewać sos. Jeśli chciała, mieli też kilka kawałków kurczaka, które można podsmażyc.

– *Grazie*, Svetonio.

Odwróciła się do mnie i nie przedstawiając mi kucharza, wyjaśniła, że od dawna się przyjaźnią. Czy powinienem coś podejrzewać? Svetonio pozwala mi tu wchodzić i robić, co chcę. A ja przez cały rok załatwiam mu najlepsze bilety na operę. Wierz mi, to on wychodzi na tym lepiej, *non è vero*<sup>13</sup>, Svetonio?

– Z Clarą nie można się kłócić – odparł.

Znalazła suchą patelnię, za którą się rozglądała, wyjęła z dużej lodówki pokrojonego kurczaka w celofanie i wylała na patelnię trochę oliwy. Svetonio wyciągnął skądś posiekane warzywa.

– A ty masz zamiar tak stać?

– Skąd, ja się przyglądam – powiedziałem.

– No to się przyglądaj. Lunch za góra dziewięć minut. I to lepszy niż wszystko, co zdołałbyś zaplanować, nie? Potrzebna mi cytryna i trochę ziół.  
– Ale tym razem mówiła do siebie, nie do mnie.

Patrzyłem, jak jeden z kelnerów nakrywa odosobniony stół pod francuskim oknem. Wyjąłem płytę i położyłem ją przy jej nakryciu.

– A to co? – zapytała, kiedy wyszła z kuchni sprawdzić, czy wszystko gotowe.

– *Ein Geschenk*.

– *Für mich?*

– *Für dich*.

– *Warum?*<sup>14</sup>

Popatrzyłem na nią i nie mogłem się powstrzymać przed odpowiedzią:

– Bo tak.

Zabrała opakowaną płytę do kuchni. Znowu poszedłem za nią i stanąłem

obok, kiedy patrzyła, jak Svetonio wyjmując makaron i przekłada go chochlą do dwóch głębokich misek. Sos, ser oraz – jak to określiła, naśladując kelnerów w restauracjach – „szczypta pieprzu”. Svetonio przełożył podsmażonego kurczaka na talerz, zakrył go drugim, przygotował warzywa i po kilku sekundach siedzieliśmy już z Clarą naprzeciwko siebie. Ktoś z obsługi znalazł nawet czas, żeby przynieść nam dużą miskę sałaty.

– Więc co to jest?

– Mój ulubiony utwór.

– Dobrze, ale co ma znaczyć „To ja”?

– Moje nastroje, moje myśli, moje nadzieje, to, czym byłem przed usłyszeniem tej muzyki i potem: wszystko jest tutaj. Tylko lepsze. Może chcę, żebyś tak właśnie mnie postrzegła.

Napiliśmy się wina.

– Więc dlaczego mi to dajesz?

– Nie umiem tego wyjaśnić.

– Nie umiesz czy nie chcesz?

– Tego też nie umiem wyjaśnić.

– Ta rozmowa idzie po prostu świetnie, Printzu. W takim razie zapytam inaczej.

Nagle poczułem się zagrożony, odsłonięty, jakby ktoś chciał mnie wziąć z zaskoczenia.

– Dlaczego dajesz to właśnie mnie?

– Bo kupiłem prezenty świąteczne dla prawie wszystkich znanych mi osób z wyjątkiem ciebie.

– I to jest prawdziwy powód?

– Nie, nie jest.

– Printzu Oskárze! – W jej głosie brzmiała udawana przygana.

– Claro Brunschvicg, przy tobie bardzo trudno jest mi zarówno kłamać,

jak i mówić prawdę. Wszystko jest jakąś skomplikowaną gmatwaniną.

– Jak to?

– Mówimy rzeczy, które mają znaczenie, jakby nie miały znaczenia. I pozwalamy, żeby rozmowa zbaczala z kursu, aby uniknąć mówienia o tym, co się naprawdę liczy. Ale nagle to, co się liczy, znowu wraca, a my od początku zaczynamy owijać w bawełnę i skupiać się na pobocznych wątkach.

Clara wpatrywała się we mnie w milczeniu.

– Więc co niby się naprawdę liczy?

Mogłem się tego domyślić.

– Naprawdę muszę ci to mówić?

– Ktoś tu usiłuje obejść temat?

Pokręciłem głową, żeby wyrazić, że wcale nie. Ale naprawdę obchodziłem temat i nie było sensu temu zaprzeczać.

– Stopy mi krwawią i nic mi nie przechodzi przez gardło.

– Wyduś to z siebie i zajmijmy się jedzeniem.

– No cóż, jak mam to ująć...? Nagle mam wrażenie, że to takie trudne...

– Dlaczego? – W jej głosie brzmiała czułość, nie było w nim zniecierpliwienia.

– Częściowo dlatego, że nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Nigdy nie chciałem, żeby ktoś poznał mnie w taki sposób, w jaki chcę, żebyś ty mnie poznała. Nie chcę przy tobie niczego udawać, ale kiedy jestem z tobą, zawsze mam wrażenie, jakbym tylko robił uniki i zmyłki. A mimo to jesteś jak siostra bliźniaczka, której nigdy nie miałem. Stąd ten utwór. Reszta to tylko Wisznukrisznu Vindalu, więc ci tego oszczędzę.

– Nie, to o Vindalu też chcę usłyszeć.

– Nie przy spaghetti.

– Jak chcesz, to na kolację możemy iść na coś hinduskiego.

– Więc nie masz planów na wieczór?

– A ty masz?

Oparła się prawym bokiem o francuskie okno. Ja oparłem się lewym. Było zupełnie jak poprzedniego dnia, tylko lepiej. Nie przeszkadzała mi cisza. Przypomniałem sobie ten moment, kiedy słuchaliśmy Händla i przez długi czas się w siebie wpatrywaliśmy. Clara oparła brodę na złożonej dłoni i zapytała, spoglądając na mnie: – No to opowiadaj o tym Vindalu.

Znowu poczułem napięcie w ramionach. Zaczynałem się czuć bardzo niekomfortowo, jakbym coś ukrywał, tyle że nie miałem pojęcia co. Nawet nie byłem w stanie popatrzeć jej w oczy. Ten brak związku między wypowiedzianymi przez nas zdaniem, między jej szczerością a moją nieśmiałością, był zbyt oczywisty. Dlaczego czułem się przy niej tak, jakbym się zasłaniał, podczas gdy marzyłem o tym, żeby nie mieć przed nią tajemnic?

– Co do Beethovena-Vindalu – zacząłem, jakbym to właśnie usiłował powiedzieć, od kiedy Clara rozpakowała mój prezent – może chciałem tylko, żeby ktoś przemówił w moim imieniu...

– I powiedział...?

– Claro, każdy temat, który poruszamy, od łodzi przez Bacha po Rohmera, *mandalynki* i *strudel gâteau*, za każdym razem przenosi nas dokładnie do tego samego miejsca, jakby łączyło nas to, że jesteśmy skazani na wieczne szukanie, tropienie i pukanie do drzwi... tylko że postanowiliśmy, ty postanowiłaś, że te drzwi mają pozostać zamknięte. Zgadza się?

– Odpowiem, kiedy przyjdzie moja kolej.

– Może Beethoven to mój sposób na obejście tych drzwi. A może powinienem się uczyć od postaci Rohmera, które niezdrowo się podniecają intymnymi rozmowami na tematy, które w nowo poznanym towarzystwie przeważnie byłyby krępujące i wolano by pominąć je milczeniem.

Szukałem kryjówki, nie zdając sobie sprawy, że właśnie zdradziłem jej położenie.

– Więc to cię peszy? – przerwała mi.

Zgadywałem, że mówiąc „to”, miała na myśli nas. W jej pytaniu było coś dzikiego i okrutnego, jakby atakowała mnie za jakąś urazę. Ale miałem też wrażenie, że chciała mnie po prostu obnażyć, obnażyć dla czystej, perwersyjnej przyjemności. Dwa wieczory temu ostrzegła mnie, żebym nie poruszał tego tematu – więc czemu sama to robiła, kiedy ja w oczywisty sposób usiłowałem go uniknąć? Jej cztery krótkie słowa – „Więc to cię peszy?” – stanowiły wyraźne oskarżenie wobec wszystkiego, czym byłem; przez nie poczułem się niczym śliski oszust, którego należy ukarać za chodzenie opłotkami, bo przecież już go ostrzegano, żeby nie zbaczał z drogi.

A mimo to wiedziałem, że miała rację. Przejrzała mnie i dostrzegła tę jedną rzecz, której najbardziej się obawiałem: speszenie, które mnie ogarniało za każdym razem, kiedy spoglądała mi w oczy i sprawiała, że tak trudno mi się z nią rozmawiało i nie mogłem znaleźć w sobie odwagi, żeby przestać się wypierać tego speszenia, które istotnie nas ogarniało. Nie chciałem nawet, żeby widziała, jak się rumienię, gdy zaczynałem mówić bardziej otwarcie. Czy ukrywałem pożądanie? A może czułem, że nie zasługuję na to, żeby pożądać?

Dlaczego w ogóle mnie o to spytała? Żeby jeszcze bardziej wytrącić mnie z równowagi na wypadek, gdybym za dużo sobie wyobrażał? Żeby mnie zachęcić, jeśli wyobrażałem sobie zbyt mało? Żeby odrzec tę chwilę z blasku? Wydobyć prawdę na powierzchnię? Zasiać we mnie wątpliwości co do nas? A może – co bez trudu przyjąłbym do wiadomości – wszystko działo się tylko w mojej głowie?

Popatrzyłem na nią. Wiedziałem, że jeśli palnę teraz coś choćby marginalnie błazeńskiego czy przekombinowanego, zaryzykuję utratę wszystkiego. Clary tego świata rzadko dają mężczyznom drugą szansę. Powiedz jedno niewłaściwe słowo i znikają. Nie mów nic i też już ich nie ma. Włoży ciemną spódnicę i karmazynową bluzkę, weźmie swoją groźną urodę i liczne rozpięte guziki i wybierze sobie dowolnego mężczyznę na pierwszym przyjęciu, na które da się zaprosić. W tej chwili gapiłem się na jej rozpiętą jasnozieloną koszulę. Nic dziwnego, że wzięła taki ciężki szal. Pod spodem prawie nic nie miała. Skąd ta rozpięta koszula? Mam patrzeć czy odwrócić wzrok? Popatrzę.

– Teraz naprawdę robi się pesząco, Printzu. Czy to kolejny moment

Wisznukrisznu Vindalu?

Wystarczy cokolwiek przed nią zataić, a natychmiast razi cię kolcami – pomyślałem.

– Masz na myśli moje milczenie? – zapytałem.

– Mam na myśli to, jak się gapisz. Ale milczenie również.

– W takim razie zmieńmy temat – zaproponowałem.

– Mamy podkulić ogony? Nie, mów mi o tym speszeniu. Chcę wiedzieć.

Odchrząknąłem.

Clara zdjęła pokrywę z talerza z kurczakiem i nałożyła nam obojgu po dwa kawałki.

– Trzy maleńkie ziemniaczki dla ciebie, trzy dla mnie i jeszcze jeden dla ciebie, bo każdy mężczyzna zasługuje na dodatkowego ziemniaczka, kiedy zbiera się, żeby wygłosić przemowę. Pięć szparagów dla ciebie, trzy dla mnie, bo muszę zachować sobie miejsce na to, co mi się zaraz dostanie, a na koniec trochę sosu dla ciebie i trochę dla mnie, żeby to wszystko spłukać. No dobrze, słucham. – Po czym, zdając sobie sprawę, że o czymś zapomniała, dodała: – Tylko nie zepsuj tej chwili.

– Właśnie myślałem, jakie to szczęście, że poszedłem na to przyjęcie do Hansa.

– Taaak... – Ostrożna zachęta, żebym nie przerywał.

– To znaczy szczęście dla mnie, nie dla ciebie.

– Oczywiście.

Śmiejemy się. Wiemy, dlaczego się śmiejemy. Udajemy, że nie wiemy. Odkrywamy, że oboje udajemy. Standard. Kocham to. „Co za spryt, co za bystrość”.

– Może wcale nie czuję się przy tobie niezręcznie, tylko mam wrażenie, że powinienem się tak czuć. Może to peszące napięcie, które w tej chwili między nami wyczuwam, to po prostu odsunięta intymność. Albo oczekiwanie, aż coś się wydarzy. Albo aż się nie wydarzy.

– No i?

– No i coś mi mówi, że oboje czujemy, że może to właśnie jest w tym wszystkim najlepsze, i dlatego nie chcemy z tym walczyć. Może to właśnie jest różany ogród. A po nim mogą nastąpić wyłącznie okopy.

– No i?

Czy ja nawet mówiłem prawdę? Czy kłamałem? Dlaczego nie mogłem uwierzyć w żadne swoje słowo?

– No i? – powtórzyła.

– No i właśnie w tej chwili chciałbym, żeby pojawił się Beethoven i sprawił, aby ta chwila trwała wiecznie, ten lunch, ta rozmowa, nawet to drobne speszenie. Chcę, żeby nic się nie zmieniało i wszystko tak trwało.

– No i? – Teraz zwyczajnie się przekomarzała, a ja byłem tym zachwycony.

– No i się zastanawiam: czy za rok, kiedy znowu pójdziemy na przyjęcie do Hansa, zrobimy to jako obcy ludzie?

– No, dla mnie Hans nie jest obcy.

– Nie miałem na myśli ciebie i Hansa.

Dała mi kuksańca.

– Wiem, co miałaś na myśli. Najprawdopodobniej przeżyjemy kilka sprzeczek, może nawet dużych kłótni, będziemy się obgadywać za plecami... Tego jestem niemal pewna... I pewnie się rozstaniemy, zaklinając się, że już nigdy nie będziemy ze sobą rozmawiać. Ale ja nie żywię urazy i jestem aż nazbyt skłonna do zgody, więc jeśli już, to ty będziesz tym dupkiem, który wszystko zepsuje, nie ja.

– Wszystko zepsuje? Czyli co dokładnie?

Wreszcie udało mi się zapędzić ją w kozi róg.

– Widzisz? Właśnie teraz to robisz: wszystko psujesz, tym razem dlatego, że udajesz.

Więc wcale jej nigdzie nie zapędziłem.



– No dobrze, a jeśli naprawdę jestem dupkiem? Co wtedy?

– Masz na myśli, czy wezmę to pod uwagę, spróbuję zrozumieć, wejdę w twoją skórę i poczuję twój ból, będę patrzeć na świat twoimi oczami, a nie z mojej własnej zaślepionej, samolubnej perspektywy?

Dlaczego zbaczala z tematu?

– Ujmijmy to tak: co, jeśli sprawy nagle przestaną istnieć albo będą miały przestać istnieć, a wraz z nim zginie również pragnienie, żeby utrzymać je przy życiu. Co wtedy zrobisz?

Miałem wrażenie, że znowu zagnałem ją w kozi róg, choć wcale tego nie planowałem.

– Dam ci znać, że przymierzają się do unicestwienia, ale nie zrobię nic ponadto.

– Więc niewykluczone, że za rok spotkamy się na przyjęciu u Hansa... Co ja mówię, za tydzień... I staniemy nie dalej od siebie niż teraz, a mimo wszystko będziemy sobie całkowicie obcy.

Zabrzmiało to, jakbym się naburmuszył.

– Czemu to robisz?

Nagle nie było w niej już żadnej nonszalancji.

– Jemy ten wspaniały lunch, prawdopodobnie najlepszy, jaki jadłam przez cały rok, i patrz na nas: gramy w szachy... gorzej niż szachy, bo w szachach przynajmniej przedstawialibyśmy figury, a ty unieruchamiasz nas w jednym miejscu jak dwie bryły lodu, które utknęły pod mostem. Idiotci omijają wszystkie nasze blokady i znajdują drogi na skróty. Jeden czy dwóch kolesi wszystko psuje i potem to mnie obarcza się winą. Mam mówić dalej czy przełączyć kanał?

– Nie, proszę, proszę, mów dalej, nie zmieniaj kanału.

– Masz na myśli: w przeciwieństwie do ciebie. – Mała szpila, lekka i szybka. Lekka i szybka, tak jak lubiłem. Puściłem to mimo uszu. – Widzisz, ja wiem, czego chcesz, i najzabawniejsze jest to, że mogę ci to dać, ale znam cię: pragniesz obietnic wykraczających poza to, co mogę ci ofiarować, a ja nie mogę składać takich przyrzeczeń. Ani ty, skoro już o tym mowa.

W każdym razie już nie. Nie oszukujmy się: to nie jest różany ogród.

Oszłomiła mnie jej bezpośredniość.

– Czyżbym powiedziała coś niewłaściwego? – zapytała Clara.

– Nie. Jak zwykle trafiłaś w sedno. Czasami się zastanawiam, dlaczego nie umiem mówić tak jak ty.

– Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Umieram z niecierpliwości.

– To bardzo proste, Printzu. Ty mi nie ufasz.

– Dlaczego ci nie ufam? Powiedz.

– Naprawdę, naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała, panie Vindalu?

– Tak.

– Bo wiesz, że mogę cię zranić.

– I nie masz co do tego wątpliwości? – Usiłowałem odzyskać swoją godność. Clara pokiwała głową.

Dlaczego nie mogłem być taki jak ona?

Wyciągnąłem ramię i ująłem ją za rękę, po czym spuściłem głowę, otworzyłem jej dłoń i pocałowałem ją. Jakże ja kochałem tę dłoń, dokładnie taką, jaką była, jaką ją czułem, jak pachniała. Pasowała do jej koszuli, która pasowała do jej twarzy, do tej kobiety, która zawsze była mną, ale mogła nigdy mnie nie zechcieć. Poczułem, jak tkwi bezwładnie w moim uścisku; Clara tolerowała to, że dotykam jej ręki, ale nie zamierzała na to odpowiadać.

– Dlaczego? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Bóg jeden wie”.

– Czasami wydaje mi się, że nie jestem dobrym człowiekiem. Ale kiedy mówię o tym innym ludziom, oni tylko pragną udowodnić, że się mylę. Im bardziej się starają, tym bardziej mam ochotę ich odepchnąć, ale im bardziej ich odpycham, tym większe mam wyrzuty sumienia, tym jestem milsza, tym bardziej im się wydaje, że się zmieniałam. To nigdy nie trwa. I w końcu dochodzę do punktu, w którym nienawidzę zarówno siebie, jak i ich za coś,

co nie powinno było trwać dłużej niż kilka godzin. – Zastanowiła się. – No, może kilka nocy. Inky i ja mogliśmy zostać przyjaciółmi.

– To najbardziej pokrętna rzecz, którą jak dotąd powiedziałaś.

– Co? Że bycie dobrą dla innych sprawia, że mam ochotę ich zranić? Czy że ranienie ich sprawia, że mam ochotę być dla nich dobra?

– Jedno i drugie. Nie spytam, czemu mi o tym wszystkim mówisz...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

– Może moje piekło to przymus mówienia całej prawdy, choć nie wiem, czy zamiast tego nie powinnam milczeć. A twoim piekłem, o ile się nie mylę, jest przymus słuchania, choć nie wiesz, czy mówię poważnie.

– Amfibalencja?

Spojrzała na mnie z czymś na kształt wdzięczności w oczach.

– No właśnie, amfibalencja. Ale pozwól, że wyłożę karty na stół. Tylko nie wolno ci podnieść stawki, okej?

Typowe. Pokiwałem głową.

– Powiedziałaś, że mi nie ufasz. I na pewno masz swoje powody, a ja nie zamierzam o nie pytać. Ale znam cię: nigdy nie zapytasz, co my tu razem robimy. Tylko że któregoś dnia będziesz musiał to zrobić.

– A kiedy nadejdzie ten dzień?

Zacisnęła usta i znowu wzruszyła tęsknie ramionami, nie odpowiadając.

Nie zamierzała odpowiadać.

– Bramka numer trzy? – zapytałem.

Przytaknęła.

– To moje piekło – stwierdziłem.

– To nie w porządku. Bo i moje.

Wydawało mi się, że zrozumiałem. Ale miała rację. Któregoś dnia będę musiał zapytać, co miała na myśli. I nagle dotarło do mnie, że tym dniem było dzisiaj, właśnie teraz. A ja nie miałem odwagi, żeby to zrobić.

– Na koszt firmy – powiedział jeden z meksykańskich kelnerów, który wraz z pozostałymi kolegami i kucharzami już dawno skończył posiłek i teraz sprzątał stół pracowników restauracji. Postawił przed nami dwa kawałki czegoś, co wyglądało jak tiramisu, i dwie filiżanki kawy.

– Wiesz, która godzina?

Oboje się zdumiliśmy. Była już czwarta trzydzieści.

Clara powiedziała, że musi się przejść. Ja też miałem na to ochotę. Po kawie włożyliśmy płaszcze, Clara zamotała szal w skomplikowany węzeł, pożegnała się ze Svetoniem, który wrócił do czytania przeglądu sportowego, i wyszliśmy na dwór, gdzie zbliżał się już zimny zachód słońca. Wszystko w niej, w ogóle w tym dniu, wydawało się zupełnie nietypowe. Niepłacenie za lunch, pomaganie kucharzowi w jego własnej restauracji, wchodzenie w różne miejsca i przejmowanie nad nimi kontroli – nad domem, restauracją, życiem – wszystko to było jak podmuch wiatru w skądinąd zwyczajnym dniu. Był to nie tylko styl Clary – to był jej świat, życie, które wydawało się bezgraniczne, ekstrawaganckie, w każdym calu wypełnione celebracją i niepodobne do mojego. A mimo to znaleźliśmy się razem: dwie istoty, które pomimo wszystkich różnic wydawały się przemawiać dokładnie tym samym językiem, lubiły dokładnie te same rzeczy i prowadziły niemal identyczne żywoty. Jak mogliśmy przebywać w dwóch różnych pomieszczeniach, nie mówiąc już o mieszkaniach oddalonych o całe ulice i kwartały od siebie, kiedy stworzono nas do dzielenia wspólnego krzesła? A potem pomyślałem o Inkym i ujrzałem przeblysł jego piekła. On też na pewno myślał, że są identyczni, a jednak teraz musiał żyć ze straszliwą świadomością tego, że podobieństwo do siebie, posiadanie tych samych myśli i wrażenie nierozłączności z drugą osobą to tylko kolejna z wielu projekcji, które samotność wyświetla na ścianach naszego życia.

Powiedziałem, że chyba nie zdążymy pójść na kolację do hinduskiej restauracji.

– Dlaczego? – zapytała.

Roześmialiśmy się. Doskonale wiedziała dlaczego.

Mieliśmy nieco ponad dwie godziny do dziewiętnastej dziesiątej. Idąc przez Broadway, wstąpiliśmy do sklepu zielarskiego i Clara zapytała (po

hiszpańsku), czy jest właścicielka. Dziewczyna – nie mogła mieć więcej niż czternaście lat – wyszła na zaplecze i zawołała matkę, która zjawiała się po chwili.

– Razem czy osobno? – zapytała.

– Niech pani wybierze – powiedziała Clara. Wróżka kazała mi pokazać dłoń, co też uczyniłem, choć niechętnie, bo nigdy w życiu nie robiłem nic podobnego. Czuję się dokładnie tak, jakbym wszedł do szemranego studia tatuażu albo palarni opium – ogarnęło mnie lekkie zaniepokojenie, bo bałem się, że wychodząc stamtąd, nie będę już tą samą osobą. Ale nie zaszkodzi spróbować – pomyślałem. Mocno zbudowana kobieta wzięła moją lewą dłoń i małym palcem drugiej ręki zaczęła wskazywać rzeczy, których nie dostrzegałem. Ktoś bardzo mi bliski miał duże problemy z nogami – nie, tylko z prawą nogą. Ktoś z rodzeństwa – po chwili zmieniła zdanie – nie, rodzic. Bardzo poważne kłopoty z nogą – powiedziała, podnosząc głowę i wpatrując się we mnie. Już po wszystkim – poprawiła. Cofnąłem dłoń, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Ale ma pan dobrą linię – rzekła kobieta, żeby zrekompensować mi złe wieści. Przeszła do Clary. Wiadro jest pełne, ale wszędzie widzę nic. Czy to była metafora? Kobieta szepnęła coś Clarze na ucho, a ona wzruszyła ramionami, co oznaczało albo obojętność, albo że nie zna odpowiedzi. Wyszliśmy stamtąd jako istoty sprowadzone do parteru i załamane.

– Co ci szepnęła madame Sosostriś? – zapytałem, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Wolisz nie wiedzieć.

– To nie fair.

– Właściwie to nie wolisz, tylko lepiej, żebyś nie wiedział.

– Inky? – domyśliłem się, wiedząc, że po naszym lunchu moje karty leżały odsłonięte na stole.

– Nie powiem.

Stwierdziła, że chce kupić batonik. Była już piąta.

Mieliśmy dwie godziny, ale dziwnym sposobem żadne z nas nie odnosiło

wrażenia, że jest to czas, który musimy zabić. Moglibyśmy tak spacerować, zaglądać do sklepów, kupować upominki, iść dalej, iść dalej – do kiedy, Claro: do jutra, do następnego roku, do wieczności?

– Mogę zaparzyć herbatę – powiedziała.

Nie mogłem się oprzeć:

– Masz na myśli, że wejdiesz do jakiejś kawiarni, zajrzysz do kuchni i przyniesiesz stamtąd dwa kubki z herbatą Lipton?

– Nie, u mnie w domu.

Z trudem zapanowałem nad nagłym przyływem paniki i szczęścia. Część mnie nie chciała iść do jej mieszkania z obawy przed tym, do czego będzie mnie tam kusiło. A inna część – z obawy przed tym, że nigdy nawet bym się na to nie odważył.

Borys – o ile w ogóle mnie pamiętał – na pewno podejrzewał, że tak to się skończy. Kiedy otworzył przed Clarą drzwi, otrząsnęła buty, tupiąc; ja zrobiłem to samo i podziękowałem mu dość pospiesznie. Podświadomie czułem się skrępowany i usiłowałem tego nie okazywać.

Wsiedliśmy do windy. Właśnie tam spotkałem kobietę w niebieskim płaszczu.

Winda wyglądała i pachniała inaczej. Nie znałem tego zapachu. Była to woń popołudnia w nowym, dziwnym miejscu. Chciałem udawać, że przychodzę tu po raz pierwszy, że przyjęcie już się zaczęło, a ja za moment poznam Clarę. Ale zanim się zorientowałem, dotarliśmy na jej piętro.

Otworzyła drzwi. Potem zdjęła płaszcz, odwinęła zamotany szal i wprowadziła mnie do salonu, z którego roztaczał się widok na Hudson. Poczułem się, jakbym znalazł się z powrotem na przyjęciu, tylko że wszystko zostało posprzątane i ułożone tak, że wyglądało zupełnie inaczej. Na górze poprzesuwno meble i wzniesiono ścianki działowe w miejscach, gdzie dotąd żadnych ścianek nie było. Dzieła sztuki wyglądały na inne, starsze, rzeka wydawała się bliższa, a kiedy podszedłem do rzędu wielkich okien, odniosłem wrażenie, że nawet Riverside Drive wygląda inaczej, sprawia wrażenie bliższej niż tamten odległy pejzaż, który przywodził mi na myśl Gogola, Bizancjum i Montevideo.

– Daj płaszcz.

Wzięła ode mnie nakrycie i sposób, w jaki je trzymała i niosła, niemal mnie poruszył – bo wydawał się tak niespodziewany – zupełnie jakby mój stary, głupi łach mógł się podrzeć lub pognieść, jeśli nie będzie się go traktować z szacunkiem i troską. Czy to był znak? Nie istnieją żadne znaki – powtarzałem sobie.

– Chodźmy do kuchni. Potem cię oprowadzę.

Czy zamierzała mi pokazać swoją sypialnię?

Kuchnia, podobnie jak reszta mieszkania, nie była remontowana od dziesięcioleci. Clara wyjaśniła, że jej rodzice mieszkali tam aż do dnia wypadku i od tamtej pory nie miała serca, żeby wprowadzać jakieś zmiany. Niektóre ściany należało rozebrać, inne postawić, usunąć część kabli, pozbyć się różnych rzeczy. Żeby to udowodnić, pokazała mi kuchenkę gazową i poprosiła, żebym ją włączył.

– Nie wystarczy zwyczajnie przekręcić gałki i czegoś wcisnąć? – zapytałem.

– Nie, musisz posłużyć się tym – odparła, wyjmując zapalną z dużego pudełka.

– Czy to gwizdże, kiedy woda się gotuje?

– Nie, dzwoni.

Wskazała mi palcem bardzo współczesny czajnik. Dostała go w prezencie. Ale duży remont mieszkania zająłby tyle czasu.

– A poza tym chyba nie chcę tu nic zmieniać.

Przyszło mi do głowy, że jej mieszkanie też się dekowało.

Staliśmy w ciemnej kuchni, czekając, aż woda się zagotuje.

– Nie mam żadnych ciasteczek. Nie mam nic, czym mógłbym cię poczęstować.

Dziewczyna na wiecznej diecie – pomyślałem.

Stała ze skrzyżowanymi ramionami, opierając się o kuchenny blat, a na

jej twarzy, jak zacząłem zauważać podczas podobnych chwil milczenia, malował się wyraz lekkiego skrępowania. Czy zawsze była taka zwięzła, obcesowa i pełna nerwowej energii, kiedy chciała zamaskować speszenie – czy tak sobie z nim radziła? Współczułem jej i dlatego właśnie, patrząc na niknące światło oblewające jej postać, powiedziałem: – Wystarczyłoby jeszcze truchło bażanta, szklany dzban wody i gnijący owoc granatu w misce z błękitnym brzegiem, a mielibyśmy dzieło holenderskiego mistrza: *Dziewczyna przy kuchennym blacie*.

– Nie, *Dziewczyna parząca herbatę w kuchni w towarzystwie mężczyzny*.

– A może *Dziewczyna podejrzliwie patrząca na mężczyznę w kuchni*.

– Dziewczyna sama nie wie, co ma myśleć.

– Dziewczyna bardzo piękna w kuchni. Mężczyzna bardzo, bardzo szczęśliwy.

– Dziewczyna szczęśliwa, że mężczyzna w kuchni.

– Mężczyzna i dziewczyna mówić strasznie głupio.

– Może mężczyzna i dziewczyna widzieć za dużo filmów Rohmera.

Roześmialiśmy się.

– Nigdy z nikim nie rozmawiałem tak jak z tobą. Jesteś jedyną osobą, przy której się ostatnio śmieję. – Nie wiedziałem, co jeszcze do tego dodać, więc tylko spojrzałem jej prosto w oczy.

Otworzyła jedną z szafek, żeby wyjąć cukier. Zobaczyłem kolekcję jakichś dwudziestu rozmaitych noży rzeźnickich ze stali. Wyjaśniła, że jej ojciec uwielbiał gotować w weekendy. A teraz wszystkie jego noże leżały na stercie na górnej półce. Jedna łyżeczka dla mnie i dwie dla niej. Widziałem, że nie czuje się swobodnie.

– Dziewczyna puści płytę od mężczyzny – powiedziała. – A potem oboje pojedą do Francji. – Miała na myśli filmy Rohmera.

– Gwizdek czajnika – powiedziałem – brzmi jak alarm przeciwlotniczy podczas drugiej wojny światowej.

Odparła, że nie zwróciła na to uwagi, ale owszem, rzeczywiście



przypomina syrenę.

Zapytałem, czy ma imbryk, bo zamierzam zaparzyć herbatę jak w *Mojej nocy u Maud*. Powiedziała, że ma tylko herbatę w torebkach, ale na pewno gdzieś w kuchni jest jakiś imbryk – pewnie bardzo stary i bardzo brudny.

– Niech będą torebki – stwierdziłem i nalałem wrzątek do dwóch kubków, z których jeden nosił nazwę pewnego miasta w Umbrii, a drugi sklepu w SoHo.

– Niech tak przez chwilę postoją, a potem wylejemy wodę.

– Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

– Nie mam pojęcia. Ale włożę do obu kubków po torebce earl grey. – Całą kuchnię wypełnił zapach herbaty.

Chodźmy do salonu – powiedziała Clara, biorąc swój kubek i płytę. Otworzyła szafkę, włączyła odtwarzacz i po krótkiej chwili rozległa się muzyka: hymn z adagio w całej jego przeszywającej, rozdzierającej urodzie. Uwielbiam earl grey – powiedziałem. Ona też.

– Pora na tajnego agenta.

Sofa – nowa – ustawiona była na wprost okien, tak żeby można było pić herbatę i podziwiać jednocześnie rzekę. Co za widok – powiedziałem. Wspaniała herbata, wspaniała rzeka, wspaniały Beethoven i wspaniałe rohmerskie popołudnie z herbatą. Na zewnątrz, gdzie śnieg nadal nie został skażony ani przez ślady opon, ani butów, Clara i jej koleżanki w dzieciństwie jeździły po szkole sankami.

– A teraz powiedz mi jeszcze raz, dlaczego ten Beethoven to ty.

– A ty znowu z Beethovenem! – Bardzo mi się to podobało.

– No spróbuj, Printzu. Czy to dlatego, że...? – zapytała, udając, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu.

– Dlatego że *Heiliger Dankgesang* powstało, kiedy Beethoven dochodził do siebie po chorobie i tak jak ja, jak ty, jak praktycznie wszyscy naprawdę porządnie się zadekował. O mało co nie umarł i był zwyczajnie wdzięczny, że żyje.

– No i...?

– No i to tylko garść nut plus ciągły, przedłużający się hymn w skali lidyjskiej, bo ta melodia go uwielbia i nie chce, żeby się skończył; bo lubi powtarzane pytania i miganie się od odpowiedzi, bo wszystkie odpowiedzi są łatwe, bo Beethovenowi nie chodzi o odpowiedzi i jasność czy nawet dwuznaczność. Zależało mu na odsunięciu i rozciągnięciu w czasie, na okresie łaski, który nigdy nie dobiega końca i pojawia się niczym wspomnienie, ale wcale nie jest wspomnieniem: jedynie kadencja, zero chaosu. I będzie powtarzał i przeciągał ten proces, dopóki nie pozostanie mu tylko pięć nut, trzy nuty, jedna nuta, zero nut, żadnego oddechu. Może tym właśnie jest sztuka: życiem bez śmierci. Życiem w skali lidyjskiej.

Milczenie powiedziało mi, że Clara w myślach natychmiast zastąpiła słowo „życie” innym. Stąd ta cisza.

– Herbata w skali lidyjskiej. Zachód słońca w skali lidyjskiej... – dodałem, żeby domieszać szczyptę humoru, na co o mało nie zachichotała, chcąc powiedzieć: „Wiem, o co ci chodzi, Printzu”.

– Tak, to też – stwierdziła.

Rozejrzałem się po pokoju. Na sofach i fotelach leżało ze dwadzieścia poduszek, a w jednym kącie przy oknie stały dwie duże rośliny doniczkowe. Fotele wyglądały na stare, ale nie były zniszczone, jakby reszta salonu próbowała się dopasować do nowej kanapy, choć nie chciało jej się w tym celu zbyt wysilać. Wszystkie kontakty zdawały się wypełnione winnymi gronami wtyczek.

– Czy to tutaj odrabiałaś lekcje jako dziewczynka?

– Zadania domowe robiłam w jadalni, o tam. Ale lubiałam tutaj czytać. Nawet kiedy mieliśmy gości, siadałam na otomanie w kącie i wymykałam się do Sankt Petersburga. I tu też grywałam na pianinie.

– Dzieciństwo idealne?

– Monotonne. Nie mam żadnych złych wspomnień, ale wspaniałych też nie. Po prostu chciałabym, żeby moi rodzice żyli trochę dłużej. Chociaż za nimi nie tęsknię.

Spróbowałem wyobrazić sobie jej sypialnię. Zastanawiałem się, dlaczego postanowiła napisać pracę magisterską w mieszkaniu Hansa zamiast tutaj.

– Bo oni robili mi śniadanie i lunch. Zdziwiłbyś się, jak szybko płynie czas, kiedy ktoś dla ciebie gotuje i się tobą zajmuje. Sześć miesięcy pisania minęło mi tam jak z bicza strzelił i na nikogo nie musiałam zwracać uwagi.

Przypomniałem sobie biurko i pokój na górze, gdzie czekałem, aż przyniesie dla nas przekąski, obawiając się, że w ogóle nie wróci, ale to zrobiła, niosąc – jak je nazwała – smakołyki ułożone w formację „arki Noego”: para za parą, czyli po jednym dla mnie i dla siebie, i znowu po jednym dla mnie i dla siebie – pokój, w którym myślałem: siedźmy tak w tej maleńkiej alkwie, która należy tylko do nas, i wymyślmy świat od nowa na nasze podobieństwo, z naszym własnym firmamentem sięgającym nie dalej niż do stołu, gdzie wszyscy ci obcy ludzie stali i konfabulowali obok śpiewaka o gardłowym głosie jak kosmici, którzy zdematerializowali się dookoła nas i zostały po nich tylko cienie. Obiecałem sobie, że poczekam jeszcze kwadrans i ani minuty dłużej, a potem wyjdę z przyjęcia, ale widząc Clarę wracającą z dużym talerzem, zacząłem myśleć, że to lepsze niż sen i kimże jestem, żeby mieszać szyki snom, i patrzyłem, jak z tego kwadransa robi się nagle po trzeciej nad ranem, czyli – jak zapewniano mnie już w pierwszy wieczór w tym budynku – nadal za wcześnie, żeby urywać się z imprezy. Wydawało mi się, że nigdy nie zdołam się zbliżyć do niej bardziej niż w tamtym pokoiku. A teraz wróciłem na to samo miejsce, tylko o kilka kondygnacji schodowych niżej, o kilka przykrytych ziemią warstw miasta głębiej, ale nadal byliśmy na powierzchni, nadal nad poziomem morza. Zastanawiałem się, jak nisko pod nami, w hadesie tego budynku, błąkała się dusza Inky’ego.

– Nad tamtym małym pokoikiem był jednak balkon.

Poetą był Vaughan, miejscem Bellagio, a między nimi zamszowy kobiecy but rozdeptał niedopałek, który poleciał spiralą na sam dół aż do pokrytego śniegiem podjazdu, na którym Igorowie i Iwanowie stali z papierosami, niczym wyrwani ze swojej rzeczywistości podwójni agenci wspominający zimną wojnę.

Czy pamiętam? Jak mógłbym kiedykolwiek o tym zapomnieć?

Pokoje i balkony ustawione jedno na drugich wydawały mi się kolejnymi wersjami mglistego, tajemniczego planu, w którym kryła się jakaś niepojęta jeszcze zapowiedź co do mnie lub do niej, lub naszego wspólnego czasu. Czy na jej piętrze znajdowałem się bliżej, czy dalej tego czegoś niż trzy dni wcześniej? Czy każde piętro prowadziło do słabszego, czy też głośniejszego echa samego siebie? A może właśnie to rezonujące echo przyzywało mnie w tej chwili, budząc się i gasnąc z piętra na piętro niczym w grze w węże i drabiny, jak przedłużony hymn Beethovena, który rozlega się, potem wędnie, a potem znowu wraca, ponadczasowy, zaczarowany i niezniszczalny?

„Robi się pesząco” – powiedziała w restauracji. Nie chciałem poruszać tego tematu, ale wiedziałem, że Clara zaklina mnie, żebym się odezwał, poszedł dalej, zwyczajnie coś powiedział.

Rozkład pomieszczeń i okien w tym samym narożnym pionie przypominał mi pierwiastki w układzie okresowym, wszystkie ułożone w schludne rzędy i kolumny zgodnie z jakąś całkowicie tajemniczą logiką, a jednak kiedy ułoży się je według numerów, są równie przewidywalne co przeznaczenie – dla tych, którzy potrafią je odczytać. Sód (liczba atomowa 11) mieszka na najwyższym piętrze z ogrodem zimowym, a tuż pod nim jest potas (19), gdzie prawie straciłem przytomność. Niżej z kolei czeka rubid (37) – piętro z balkonem i Krwawą Mary – a pod tym wszystkim cez (55), czyli świat Clary. Czy nie można by zorganizować swojego życia zgodnie z układem okresowym przy założeniu, że jeśli zdoła się wyliczyć zasadę kierującą ciągiem 11, 19, 37, 55, to z łatwością będzie można przewidzieć, że kolejnym elementem powinien być numer 97, czyli frans? Czyż za niecałe dwie godziny nie wybieraliśmy się do Francji Rohmera?

Ona lubiła improwizację – ja lubiłem planowanie.

– A co znajduje się na parterze pod tym pomieszczeniem? – zapytałem.

– Lobby.

– A poniżej?

– Schowek, biuro zarządcy budynku.

– A poniżej? – zapytałem, jakby próbując odgadnąć, co mnie czeka, jeśli

zaczę się błąkać po kolejnych piętrach jak latający Holender uwięziony na wieczność w windzie towarowej.

– Schowek na rowery. Pralnia. Chiny – odparła.

Ja tu próbowałem potwierdzić, że pod najgłębszym dnem nie ma już nic więcej, żadnej postomegi, że pod osobą, którą widzę w Clarze, nie kryje się nikt inny, a ona na to, że w ogóle nie ma czegoś takiego jak najgłębsze dno, że istnieje tyle Clar, ile ukrytych warstw na naszej planecie – jakie to w jej stylu! Ale co ze mną?

– Mężczyzna myśli o pierwszej nocy, zastanawia się, co by się stało, gdyby wysiadł na innym piętrze i poszedł na inne przyjęcie.

– Mężczyzna poznałby inną holenderską damę.

– No dobrze, ale co o tym myśli aktualna holenderska dama?

– Mężczyzna doprasza się o komplementy, więc holenderska dama mówi: „Spadaj na bambus”.

Jak ja uwielbiałem jej umysł. Był południem dla każdej północy, współnikiem dla każdego spiskowca, parą dla każdej rękawiczki.

– Printzu – powiedziała. Wstała, żeby odnieść nasze kubki do kuchni i przystanąła na chwilę, wyglądając na ciemniejącą rzekę przez jedno z dużych okien w salonie.

– Co takiego? – zapytałem.

– Chyba powinieneś tu podejść i popatrzeć. O tam – powiedziała i ku mojemu zdumieniu nagle wyciągnęła coś, co wyglądało jak lornetki z czasów drugiej wojny światowej.

– Popatrz tam. – Wskazała palcem w kierunku mostu Waszyngtona.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytałem.

– Tak mi się wydaje.

– Poczekajmy pięć minut. Może przepłynie obok nas.

Czekaliśmy w napięciu, słuchając ostatniej części Beethovena.

Ale statek się nie zbliżał. Może w ogóle przycumowano go na stałe; było

też za ciemno, żeby odczytać jego nazwę. Poza tym zrobiło się późno i musieliśmy się pospieszyć, żeby nie przegapić filmów. Clara zawiązała szal i powiedziała, gdzie mogę znaleźć swój płaszcz. Z łazienki usłyszałem, jak wygrywa na pianinie kilka taktów Händla. Oznaczało to – w każdym razie chciałbym w to wierzyć – że możemy zostać w domu, zamówić jedzenie na wynos, siedzieć nieruchomo, dopóki nie zapadnie całkowita ciemność, i nawet się nie ruszyć, żeby zapalić światła, bo wystarczyłoby najmniejsze drgnięcie mięśnia i cały czar by prysł. Zasugerowałem, żebyśmy pojechali taksówką. Absolutnie nie, pójdziemy piechotą – odparła.

– A więc to byłeś ty – powiedziała w windzie. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że nadal mówi o Beethovenie.

– To byłem ja – zgodziłem się prawie nieśmiało, bez przekonania, jakbym wcześniej w ciągu dnia wyznał coś nierozważnie i teraz żałował, że nie mogę tego cofnąć.

– Następnym razem zagram ci na pianinie kilka saraband. Te utwory to cała ja.

– Co masz na myśli?

– Są szybkie i wolne. Ktoś kiedyś powiedział, że tańczy się je dwa kroki do przodu i trzy kroki wstecz: tak właśnie wygląda moje życie.

Poszliśmy na skróty West End Avenue, którą w przeciwieństwie do Riverside już odśnieżono – śnieg leżał w wysokich zaspach wzdłuż krawężników. Droga wiodła w dół wzgórza, a kiedy dotarliśmy na miejsce, kolejka do kina była dłuższa, niż się spodziewaliśmy. Ktoś powiedział, że są jeszcze bilety. Kupiliśmy dwa, nawet nie wiedząc, czy dostaliśmy miejsca obok siebie. A jeśli nie? To wyjdziemy – stwierdziła Clara. Rozpoznaliśmy kilka twarzy z poprzednich wieczorów. Clara swoim zwyczajem stwierdziła, że skoczy do sąsiedniego Starbucksa po coś do jedzenia. Poprzedniego wieczoru obojgu nam smakowało ciasto cytrynowe. W kolejce do wejścia nawiązałem rozmowę z parą stojącą przed nami. Ona widziała wiele filmów Rohmera, on tylko kilka. Byli tu również wczoraj, ale on nie był zachwycony. Ona sądziła, że dzisiejsze seanse może wreszcie go przekonają o geniuszu reżysera. A czy ja uważam, że Rohmer to geniusz? Być może – odparłem. Ale w prawdziwym życiu ludzie nigdy się nie zachowują, a już na

pewno nie mówią w taki sposób – stwierdził on.

– No cóż – przerwała Clara, która po powrocie ze Starbucksa natychmiast się zorientowała, o czym mowa – obrazy Moneta też nie wyglądają jak rzeczywistość i nikt się na to nie skarży. Co ma prawdziwe życie do sztuki?

To go uciszyło.

Być może biedak usiłował tylko podtrzymać rozmowę. Ewidentnie byli dopiero na drugiej randce.

– Ciekawe, gdzie się podziewa pan dziewiętnasta dziesięć z wojskowym fryzem. O, jest.

Podałem mu nasze bilety, a Clara się do niego uśmiechnęła.

– *Danko, filo donka* – rzekła w parodii niemieckiego, mizdrząc się karykaturalnie. Mężczyzna bez słowa rzucił jej mordercze spojrzenie, tak jak dwa wieczory temu. Czuł, że Clara się z niego nabija.

– Nie podoba mi się pani zachowanie – stwierdził w końcu.

– A mnie pańskie bardzo – odparła. Nie mogła się zdecydować, czy nazwać go Fildanko, czy Fildenko. Wreszcie wybrała wersję Phildonka, z „ph”. Śmiała się do siebie aż do chwili, kiedy rozsunał grube ciemne zasłony przy wejściu i światłem latarki pokazał komuś puste miejsce za naszymi plecami.

– Oto pani miejsce, proszę pani – powiedział, z czego Clara natychmiast zrobiła: „Otopanimijsce”.

– Widzisz coś? – zapytałem, kiedy zaczęły lecieć napisy.

– Nic a nic. – Po czym powtórzyła: „Phildonka Otopanimijsce” i oboje wybuchnęliśmy niepowstrzymanym śmiechem.

W połowie seansu *Zielonego promienia* sytuacja wymknęła się spod kontroli. Clara otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej setkę alkoholu. Odkręciła ją i wcisnęła mi do ręki.

– Co to?

– Oban – szepnęła. Mój sąsiad odwrócił głowę w moim kierunku, po czym z powrotem wbił wzrok w ekran, jakby zdecydowany więcej na nas nie

patrzeć.

– Chyba nas przyłapano – szepnęła Clara. – Powie Phildonce. Zobacysz, jak Phildonka się wścieknie. – Stłumiony śmiech.

W którymś momencie taśma się zacięła. Z początku wszyscy siedzieli spokojnie na swoich miejscach. Potem zaczęli się niecierpliwić, a wreszcie rozległy się syki i szyderstwa, które przybierały na sile jak na szkolnej auli. Stwierdziłem, że pewnie Phildonka to jednocześnie kasjer, bileter, sprzedawca popcornu i kinooperator, na co Clara wybuchła głośnym śmiechem i krzyknęła: – Phildonka, napraftenfilm!

Wszyscy zaczęli się na nas gapić. Im bardziej się gapili, tym Clara mocniej się śmiała.

– Napraftenfilm! – ryknęła i cała widownia też zaczęła się śmiać. To była kobieta, która kilka godzin temu opierała się o swój kuchenny blat tak skrepowana panującą między nami ciszą, że zaczęła dla żartu mówić łamaną angielszczyzną. Ta sama Clara, nowa Clara, stara Clara, Clara, która uciszała ludzi i sprowadzała ich do pionu, która wpatrywała się i płakała, Clara, która po szkole wybiegała ze swojego apartamentowca na Sto Szóstej Ulicy i zbiegała w podskokach ze schodów przy pomniku Franza Sigela, aby razem z innymi dziećmi zjeżdżać ze wzgórza na sankach albo pędzić do Straus Parku, gdzie razem z pozostałymi siadała na jednej ławce i narzekała na rodziców – Clara, która po otrzymaniu wiadomości o ich śmierci opłakała ich w milczeniu, po czym przebrała się i poszła na przyjęcie – Clara, która nigdy nie zapomniała tamtych ciepłych godzin, kiedy jej rodzice pili ze znajomymi herbatę przy wielkich oknach wychodzących na Hudson, a ona zakradała się między nich z książką i wszystko, wszystko było dobrze i bezpiecznie w małym średniowiecznym miasteczku nad Renem, które jej dziadkowie i rodzice odtworzyli po tej stronie Atlantyku. Czy ona też miała swój własny układ okresowy i przemykała po nim w górę, w dół i w poprzek kolejnych małych kwadracików, a w jednym z nich upchnięto jej las Folías i jej uroczyste sarabandy, wciśnięto je pod prasę niczym kubańską kanapkę z rodzaju tych, jakie sprzedawano na rogu jej ulicy? A może była taka jak ja – tyle że o wiele lepsza ode mnie?

– I co teraz? – zapytałem.



– Nie wiem. Na co masz ochotę?

– Moim zdaniem powinniśmy pójść na porządnego drinka.

Tak się spieszyliśmy, żeby wyjść z kina, zanim coś nas skłoni do zmiany zdania, że Clara ledwo zdążyła zawiązać sobie na głowie szal.

– A co z twoim skomplikowanym węzłem? – zapytałem.

– Daj spokój mojemu skomplikowanemu węzłowi – rzekła, wtulając mi się pod pachę, zanim sam zdążyłem ją objąć.

– Złapmy taksówkę – zaproponowałem.

– Tam, gdzie zawsze?

– Jasne.

Ale po naszej stronie ulicy nie było żadnych taksówek, więc przeszliśmy przez jezdnię, żeby złapać którąś z tych jadących do centrum. Staliśmy dokładnie na tym samym rogu, gdzie dwa dni temu zauważyłem Clare pod kinem. Mieliśmy czerwone światło, więc musieliśmy poczekać, i nagle na wysepce dla pieszych na środku Broadwayu Clara zaczęła melorecytować, choć zęby szczękały jej z zimna: „Phildonko, Phildonko! Na grzmot jego głuchy przejmuje walecznych wojacka ochota!”<sup>15</sup>.

– Kto to? – spytałem.

– Byron. – Nawijała o „Phildonce”, dopóki nie zobaczyła przejeżdżającego obok taksówkarza w turbanie wielkim jak dynia, a wtedy zamiast: „Hej, taksi!” zawołała w noc: „Taksiówka, taksiówka, otopanitaksiówka!”. Brodaty kierowca minął nas, wioząc na tylnym siedzeniu pasażera w równie wielkim turbanie. Pomimo śmiertelnego mrozu wprawilo nas to w takie paroksyzmy śmiechu, że przyłapałem się na myśli: to wszystko czysty nonsens, ale ten nonsens pozwolił mi zaznać szczęścia i zbliżyć się do drugiej osoby jak jeszcze nigdy dotąd – więc nagle bez zastanowienia odwróciłem się do niej i pocałowałem ją w usta.

Natychmiast się cofnęła. Nawet ręka przypadkowo zbliżona do ognia nie odskoczyłaby aż tak szybko. „Nie” – powiedziała, niemal zanim zdążyłem dotknąć jej warg, jakby spodziewała się czegoś podobnego i z góry przygotowała sobie odpowiedź. Przypominała mi kobietę, która zawczasu

kładzie palec na przycisku schowanego w kieszeni gazu pieprzowego, bo woli najpierw prysnąć, a potem zadawać pytania – i dopiero poniewczasie odkrywa, że mężczyzna, który zaczepił ją nocą, to jedynie zagubiony turysta, który chce zapytać o drogę.

Po raz pierwszy w życiu poczułem się tak, jakbym próbował napastować kobietę, a w każdym razie jakby uznano, że tego próbowałem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby temu słowu towarzyszył policzek.

Nie tylko pierwszy raz spotkałem się z odmową, próbując kogoś pocałować, ale też pierwszy raz pocałowałem kogoś tak spontanicznie, mimowolnie i pod wpływem chwili, że ta szorstka odmowa była dla mnie niczym afront wobec wszystkich chwil, które przez ostatnie cztery dni wspólnie spędziliśmy, afront wobec szczerości, przyjaźni, wręcz naszego człowieczeństwa, wobec wszystkiego, czym byłem, wobec tego mnie, którego tak radośnie przed nią odsłoniłem. Czy mój pocałunek mógł być tak niespodziewany, że ją zszokował? Czy naprawdę mógł być aż taką zbrodnią? Czy mógł być – albo czy ja mogłem być – aż tak odpychający?

Nie wiedziałem, jak to wszystko zrozumiała, i chciałem się upewnić, że nie popsuje to atmosfery między nami. Więc przeprasilem.

– Mam nadzieję, że cię nie uraziłem.

– Nie przepraszaaj. Powinnam była to przewidzieć. To moja wina.

Wyglądało na to, że byłem mniejszym zbrodniarzem, niż się obawiałem. Ale potwierdzenie mojej niewinności jeszcze bardziej mnie drażniło. Źle zinterpretowałem naszą szaleńczą wesołość i wyczytałem z niej coś, czego tam nie było.

– Claro, naprawdę mam nadzieję, że cię nie obraziłem.

– Mówiłam, że nie jestem obrażona. Zachowałeś się jak czternastolatek. Nie ma potrzeby, żebyś przepraszał w tym samym stylu.

I tyle. Choć przepraszałem szczerze. Upokarzała mnie bez powodu.

– Złapię ci taksówkę – powiedziałem – i sam też wrócę już do domu.

To wprawilo ją w jeszcze większe osłupienie niż pocałunek.

– Nie odchodź w ten sposób.

– Nie musiałaś mnie tak traktować.

– A ty nie musiałeś mnie całować.

– Owszem, musiałem.

– W każdym razie nie idź jeszcze, nie rób tego. – Popatrzyła na mnie. – Kurewsko zimno. Chodźmy się napić. Ja po prostu nie chcę, żeby do tego doszło.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo świetnie się razem bawiliśmy. Bo jeśli twoim zdaniem to wspaniałe, że oboje trafiliśmy na przyjęcie Hansa, to nie sądzisz, że ja też tak uważam? Nie sądzisz, że jeśli ty nigdy nie chciałeś, żeby ktokolwiek poznał cię tak jak ja, to może ja pragnę od ciebie tego samego?

– Więc dlaczego nie pozwoliłaś się pocałować?

– Nie muszę ci się tłumaczyć. I nawet nie chcę próbować. Zimno mi. Złapmy taksówkę.

– To czemu przynajmniej nie powiedziałaś, że wolisz się ze mną nie całować, zamiast odpychać mnie, jakbym próbował cię zgwałcić albo roznosił zarazę?

– Bo mnie przestraszyłeś, okej? I tak nie zrozumiesz. Możemy nie rozmawiać o tym w tej chwili?

– Nigdy o niczym nie rozmawiamy.

– To nie fair.

Czekała, aż coś powiem. Ale ja nie wiedziałem już, co myśleć, tyle że z radością wróciłbym teraz do domu.

– To jest moje piekło. To jest moje piekło – powtórzyła Clara. – A ty je pogarszasz.

– Twoje piekło! To pomyśl o moim!

Pokręciłem głową, dziwiąc się sobie samemu i jej.

– No, w każdym razie strasznie zimno. A obojgu nam przydałby się drink.

Nie mogłem tego zrozumieć, ale wsunęła się z powrotem pod moją pachę i objęła mnie ramieniem w talii, jakby nigdy nic.

– Jedzie taksówka.

Zatrzymaliśmy ją, wsiedliśmy, a taksówka zawróciła na jezdni, ślizgając się w śniegu, i wreszcie ruszyła w drogę.

– Strasznie zimno się zrobiło, okropna pogoda – powiedziała Clara przez szklaną szybkę. Kierowca spokojnie i w milczeniu zgasił papierosa. Słuchał łagodnego jazzu.

– Amehicańska pogodzia – stwierdził.

– Co też pan mówi – skomentowała Clara, udając szczerze zainteresowanie jego poglądami na temat amerykańskiej pogody. – Słyszałeś? – Odwróciła się do mnie. – Amehicańska pogodzia.

Wysiedliśmy na Sto Piątej, pokładając się ze śmiechu.

Weszliśmy pospiesznie do baru, zajęliśmy nasze zwykłe miejsce, które Clara nazywała „naszym stolikiem”, po czym ja zamówiłem dwie whisky i frytki, a ona pobiegła do łazienki.

Wróciła po minucie.

– Nie uwierzysz, co ktoś tam zrobił – stwierdziła, tym razem naprawdę pękając ze śmiechu. – Obrzydlistwo, jakby cały trzeci świat postawił w tej łazience kloca.

Może wolałaby zmienić lokal?

Nie, poszła do męskiej toalety.

A czy w męskiej toalecie byli jacyś mężczyźni?

– Owszem – powiedziała. – Ten koleś.

I pokazała mi palcem tyczkowatego młodzieńca przy barze, który zapewne potrzebował drinka, żeby otrząsnąć się z szoku.

– Tylko nie patrz na mnie w ten sposób – powiedziała do niego głośno. – Nic nie widziałeś, a jak tak, to masz farta.

Na zdrowie – powiedzieliśmy sobie, kiedy przyniesiono nam whisky,

i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze wiele razy.

Spojrzałem na nią i nie mogłem się powstrzymać przed pytaniem:

– Tylko tak się śmiejemy czy naprawdę jesteśmy po prostu szczęśliwi?

– Widziałeś dziś może jakiś film Rohmera? Da pan Janę Dołę, mister. I chodźmy zatańczyć.

Weszło nam już w zwyczaj, że co wieczór wychodziliśmy z baru dobrze po drugiej nad ranem. Spacer do domu zawsze był za krótki, a zimno w niczym nie pomagało. Z przyjemnością jednak zauważyłem, że oboje pomimo mrozu staraliśmy się nie przyspieszać kroku. Wypiliśmy więcej niż zwykle i kiedy szliśmy, moje ramię spoczywało na jej ramieniu. Czy cokolwiek kiedykolwiek odbędzie się między nami mimowolnie?

Problemem było pożegnanie. Pocałunek był wykluczony. Żadnych pocałunków, to byłoby zbyt sztuczne. Zwykły całus, całkowicie zdawkowy.

– Wiem, że to krępujące – powiedziała – ale myślę, że nie powinniśmy dzisiaj mówić sobie dobranoc. – Jak zwykle nadawaliśmy na tych samych falach.

Więc w ogóle lepiej, żebyśmy się nie całowali i zrezygnowali z wszelkich pożegnań. Niezły pomysł – pomyślałem, niemal podziwiając jej talent do unikania jeszcze większych niezręczności na progu jej domu. I przez cały ten czas ani słowa o moim poronionym pocałunku, ani słowa o piosence, ani słowa o tangu, które odtańczyliśmy dzisiaj aż cztery razy. Dlaczego mnie to nie dziwiło?

– Może masz rację – stwierdziłem. I może miała rację. Wepchnęła dłoń głęboko do kieszeni i pobiegła do drzwi, przy których stał Borys, a ja, odczekawszy kilka sekund, żeby się upewnić, że weszła do środka, odwróciłem się i ruszyłem w kierunku Broadwayu.

– Było miło – rzekła na koniec, wyraźnie zdając sobie sprawę, że posługuje się oficjalnym językiem randkowym Hollywoodu. Ale zrobiła to bez śladu ironii.

Później, kiedy dotarłem do parku, zacząłem się zastanawiać, czy nie nadszedł może czas, żebym przestał się z nią widywać: sprawy zaszły za

daleko i nie powinny posuwać się dalej. Za dużo chaosu, za dużo wątpliwości i za dużo, o wiele za dużo szpil i przytyków, a wszystko polane palącym sosem, od którego skóra by z człowieka zeszła, pozostawiając go nagim jak nowo narodzony mięczak. Zakończ to – pomyślałem – po prostu to zakończ. Pewnie będzie miała żal, ale na pewno otrząśnie się szybciej od ciebie. Po kilku godzinach zapomni, że o tobie pamiętała, a potem zapomni, że zapomniała. Co do mnie, trochę to potrwa. Może nadszedł czas, żeby przemyśleć własną taktykę dekowania się.

Po raz pierwszy od wielu tygodni przyłapałem się na tym, że korci mnie, żeby kupić paczkę papierosów. Czy będę je nazywać tajnymi agentami? Owszem, czemu nie, przynajmniej na razie. Ale już nigdy nie będę nosił imienia Oskár.

Nocą jak zwykle park był przyjazny niczym kościół w deszczowy dzień, kiedy podczas przerwy na lunch masz dodatkowe dziesięć minut dla siebie, a ponieważ nie jesteś wyznawcą danej religii i nie masz do wypełnienia żadnych czynności rytualnych, możesz zwyczajnie wejść, kiedy ci się podoba, o nic nie prosić, niczego nie oczekiwać, niczego z siebie nie dawać – tylko pusta ławka, na której siedzisz sobie i myślisz, po prostu siedzisz sobie i myślisz, w nadziei, że uda ci się zaintonować coś w rodzaju milczącego hymnu.

Przechodziłem tędy dzisiaj tuż przed pierwszą, myśląc sobie, że wstąpię tu na zakończenie wieczoru, kiedy już odprowadzę ją do drzwi. A gdyby sprawy potoczyły się jeszcze lepiej, przesłałbym parkowi pozdrowienie w myślach. On by to zrozumiał. Tak samo jak Tilden by to zrozumiał. I tak samo jak mój ojciec rozumiał, że zapomniałem pożegnać się z nim w myślach, kiedy wczoraj wieczorem spieszyliśmy się z powrotem do miasta. Ale sprawy nie potoczyły się dobrze. Więc wróciłem tu, a Clara była mi równie daleka jak w naszą pierwszą noc. Dwa piętra do góry i trzy w dół. Stałem w miejscu, drepcząc w wodzie. Ależ nienawidziłem tego uczucia. Przez kilka chwil siedziałem na mrozie, wiedząc, że wkrótce będę musiał sobie pójść, lecz mimo to usiłowałem przywołać wspaniałość przyjęcia i baśniowy blask, którym wszystko wydawało się wtedy okryte. Lecz magia się skończyła, nic po niej nie zostało, nic a nic. Moi królowie z głowami spowitymi w płomienie – wrócili do swoich domów. I ty wracaj do domu,

Oskárze, wracaj do domu.

Wstałem i spojrzałem na miasto o trzeciej nad ranem, miasto, które o tej porze kochałem być może bardziej niż kiedykolwiek indziej. Ono nic o tym wszystkim nie wiedziało, prawda? I tak nie byłoby w stanie mi pomóc, mogłoby tylko patrzeć i zajmować się swoimi sprawami, i od czasu do czasu unosić głowę jak zebry, które nie zaprzestają popasu, choć jednocześnie obserwują drapieżniki czające się na sawannie w poszukiwaniu ich młodych. Wracaj do domu, Oskárze.

Postanowiłem wrócić do naszego pubu na jeszcze jednego drinka i usiadłem przy barze. Może chodziło mi o to, żeby zostać dłużej w jej okolicy. W lokalu nie było już prawie nikogo, tylko kelnerka i dwóch klientów przy kontuarze, i jeszcze jakaś para w głębi. Czy kiedykolwiek zdołam tu wrócić i nie myśleć o niej? Albo wrócić tu i nie nienawidzić swojego życia, siebie samego?

Siedziałem – jak sobie uświadomiłem – dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stał tamten tyczkowaty młodzieniec, który mimowolnie dzielił łazienkę z Clarą. Podobały mi się cięte słowa, które do niego skierowała. Nawet on był w o wiele lepszej sytuacji niż ja teraz. Spojrzałem na stolik, przy którym siedzieliśmy. W tamtym kącie pogaszono już świece. Atmosfera w lokalu kojarzyła mi się teraz z pustym teatrem, kiedy obsługa pozwala widzowi wrócić po parasolkę zostawioną pod fotelem – ale wszyscy aktorzy, od króla Lira poprzez lady Windermere aż do ekipy sprzątającej, poszli do domów, nie wyłączając źle opłacanych pomywaczy podłóg, którzy siedzieli już w metrze i jechali na obrzeża miasta, odliczając minuty do czasu, kiedy będą mogli zasiąść do kolacji zostawionych dla nich przez troskliwe żony.

Wszędzie otaczały mnie ślady naszej obecności. Tutaj właśnie Clara i ja rozmawialiśmy o filmach Rohmera, zamawiając więcej drinków niż zwykle, jej głowa na moim ramieniu, moja ręka czasami na jej ramionach, żadne z nas nie odważyło się pójść dalej. Na sam widok ławki pokrytej obiciem, na którym być może nadal widać było odciski naszych ciał, odżyły we mnie wspomnienia.

Zamówiłem drinka.

– Pieprzona zima – powiedział barman. Spodobało się to bezzębnemu

starszuszki po drugiej stronie kontuaru.

– Pieprzona zima – powtórzył. – No ba!

Natychmiast przypomniała mi się „amehicańska pogodzia” i niemal zakrzusiłem się śmiechem, który wyrwał mi się z gardła. Czy ostatnio zdarzyło mi się z kimkolwiek tak zaśmiewać? I dlaczego tak mi się podobał ten śmiech – wesoły, slapstickowy, dziecinny, głupi śmiech? „Amehicańska pogodzia” – powtórzyła Clara do taksówkarza, robiąc przy tym minę, jakby mówiła: no, coś takiego, ta amehicańska pogodzia! Ależ miałem wtedy ochotę ją pocałować.

Wyjąłem dolara i wrzuciłem go do szafy grającej. Powrót do tego miejsca i puszczenie naszej piosenki – jakie to dla mnie typowe. Stałem jak wrośnięty w podłogę, słuchając naszej melodii i nic sobie nie robiąc z tego, co pomyślą ludzie, którzy wcześniej patrzyli, jak razem tańczymy, widząc mnie teraz samego, *en soledad*. „A więc po całym tym tańczeniu i picciu nie dała mu się do siebie dobrać” – nic sobie z tego nie robiłem, bo nic nie miało w tej chwili znaczenia z wyjątkiem tamtej chwili dwie noce temu, kiedy Clara położyła dłoń na mojej twarzy z taką dobrocią – zgadza się, dobrocią – że sama myśl o tym mogła na nowo przywołać łzy, lecz nie łzy żalu nad sobą ani łzy nienawiści do siebie, ani w ogóle czegokolwiek, nawet miłości, choć musiało to być czymś w rodzaju tego uczucia, bo dwie istoty, dwa obiekty, dwie komórki, dwie planety nie mogą aż tak się do siebie zbliżyć i nie poczuć wpływu zakłóceń zwanych miłością. Mogłem pozwolić sobie na płacz, bo ciągle zamęt w głowie za każdym razem potrafił wycisnąć ze mnie łzy. Może to fakt, że stałem tam całkiem sam, zapamiętując bolesny wydzźwięk jej gestu, kiedy zaśpiewawszy mi do ucha, potarła mój policzek dłonią i kilka sekund później poprosiła mnie o kolejnego dolara, kazał mi sądzić (niemal wbrew mojej woli), że wszystko na pewno musiało być miłością i zawsze było miłością, jej miłością, moją miłością, naszą miłością. Puściłem piosenkę od nowa. Dziwne, że w drodze do domu w ogóle o tym nie wspomniała. Ani o moim pocałunku. I ani słowa o tym, jak się przytulaliśmy w barze. Nic. Wszystko zostało zamiecione pod dywan, zapomniane, pominięte milczeniem – jakby chodziło tylko o dygresje i owijanie w bawełnę.

Od popołudnia, kiedy staliśmy w kuchni spowici w obłok skrępowania, nie zrobiliśmy ani kroku naprzód. Kto zesłał tę chmurę i dlaczego przy całym



naszym doświadczeniu w kwestiach intymności daliśmy się jej aż tak zmrozić i jej nie odegnaliśmy? „Myślę, że nie powinniśmy dzisiaj mówić sobie dobranoc” – kto mógłby powiedzieć coś tak sztywnego i niezgrabnego? „Myślę, że nie powinniśmy dzisiaj mówić sobie dobranoc”.

Usiadłem przy barze i zacząłem sączyć whisky, kiedy nagle coś do mnie dotarło.

Co za straszliwy głupiec ze mnie! Kopnąłem sąsiedni stółek. A potem, żeby to zamaskować, udałem, że tylko przypadkiem w niego uderzyłem podczas zakładania nogi na nogę. „Myślę, że nie powinniśmy dzisiaj mówić sobie dobranoc” nie znaczyło, że nie powinniśmy się całować na dobranoc, tylko: Nie chcę, żebyśmy powiedzieli sobie dobranoc już teraz. Dlaczego nie dodała tego „już teraz”? Czy to takie trudne słowa? Dlaczego nie powiedziała tego wprost? A może właśnie powiedziała to aż nadto wyraźnie, tylko ja zwyczajnie tego nie usłyszałem, bo nie mogłem uwierzyć, że ofiarowane mi jest coś, czego od początku pragnąłem i – właśnie ponieważ tego pragnąłem – czułem się tego niegodny.

A może doskonale zrozumiałem, o co jej chodzi, tylko udawałem, że nie dowierzam, żeby powtórzyła to z większym naciskiem – a przecież Clary nigdy takich rzeczy nie robią?

Nagle ogarnęła mnie ochota, i to ogromna, żeby do niej zadzwonić, usłyszeć jej rozespany głos i słysząc go, powiedzieć coś, czego nie potrafiłbym wyznać jej energicznemu dziennemu głosowi – rzeczy, które mruczy się w niezakłóconym półśnie do ludzi, którzy również w półśnie będą ich słuchać: nieważne, że cię obudziłem, chcę być z tobą w tej chwili, w twoim łóżku, pod twoją kołdrą, w twoim swetrze, życie jest dzisiaj tak strasznie zimne, jeśli będę musiał, pójdę spać do drugiego pokoju, ale nie chcę być bez ciebie, nie dzisiaj.

Czy powinienem do niej zadzwonić? Po trzeciej nad ranem?

Może łatwiej byłoby zadzwonić od razu po naszym spacerze. Ale o trzeciej? O tej porze dzwoni się tylko w nagłych wypadkach. Owszem, ale czy to nie był nagły wypadek? Tylko pijak nazwałby to nagłym wypadkiem. No cóż, w końcu jestem pijany, a jeśli cokolwiek kiedykolwiek zasługiwało na miano nagłego wypadku, to właśnie to. O! Dzwoń do niej i powiedz: Nie

mogę znieść myśli, że miałbym dziś być bez ciebie. Brzmiało to bardziej jak liścik samobójcy – albo oświadczyzny. Ale czy to nie jedno i to samo? – zapytałem, myśląc o Olafie i tłumiąc chichot.

W każdym razie nie mogłem się doczekać, kiedy przeczytam maila albo esemesa, który – tego byłem pewien – w każdej chwili mogłem dostać. Z pewnością będzie okrutny i cierpki w ten jej typowy zniechęcający, cięty, Clarowaty sposób. Ale Clara nie wyśle go tak od razu, choćby po to, żeby nie powtarzać tego, co zrobiła już poprzedniej nocy. Przetrzyma mnie, żebym nie mógł zasnąć, a kiedy w końcu zasnę, i tak będę się budził, żeby spojrzeć na telefon. Potem zdałem sobie sprawę, że jeśli choć odrobinę ją zrozumiałem – ją albo los – to w ogóle dziś do mnie nie napisze. Niech milczenie w pełni przyniesie swój efekt, niech milczenie będzie trucizną, niech milczenie będzie wiadomością.

Lecz Clara miała dla mnie w zanadrzu kolejną torturę, która pozwalała mi podejrzewać – choć nie wiedziałem tego z całą pewnością – że wszystko dzieje się tylko i wyłącznie w moim umyśle, a wszelkie pokrętne zagadki, które usiłowałem rozwikłać, nie miały z nią nic wspólnego i odzwierciedlały jedynie mój zawikłany stosunek do siebie samego, do niej, do życia jako takiego.

Ale ja się na to nie nabiorę. Nie popadłem w paranoję – pomyślałem. To ona mi to robi. Postanowiłem więc wyłączyć telefon – żeby jej pokazać.

Wtedy zaczęło mnie dręczyć kwantowe zagadnienie z piekła rodem, które uciszyło tamte rozmyślenia. Miałem dwie możliwości, ale nie obie naraz. Jeśli znów włączę telefon, to albo nie zastanę żadnej wiadomości od Clary, albo przeczytam coś tak okrutnego, że całymi dniami nie będę mógł się z tego otrząsnąć. Jeśli zaś nie uruchomię telefonu i nie sprawdzę esemesów, nigdy nie przeczytam wiadomości zaczynającej się od: KOCHANY OSKARZE NIE DZWON NIE PISZ NIE ZDEJMUJ BUTOW PO PROSTU PRZYJDZ TU NAJSZYBCIEJ JAK MOZESZ NIEWAZNE KTORA BEDZIE GODZINA NIEWAZNE CZY CHCESZ TEGO CZY NIE NIEWAZNE CO POWIEDZIAŁAM DZISIAJ WCZORAJ CZY PRZEDWCZORAJ PO PROSTU CHCE ZEBYŚ DZIS PRZY MNIE BYŁ I OBIECUJE ZE NIE ZASNE DOPOKI NIE USŁYSZE DZWONKA DOMOFONU NIE DZWON NIE PISZ NIE ZDEJMUJ BUTOW TYLKO

DOMOFON DOMOFON DOMOFON NA DOLE.

Niczym Orfeusz nie potrafiłem się powstrzymać przed włączeniem telefonu i sprawdzeniem wiadomości. I jak to było z Orfeuszem, gdy tylko sprawdziłem folder, wiadomość, którą inaczej Clara by mi przysłała, natychmiast zniknęła.

## Noc piąta

Jedyne pytanie, z którym się obudziłem i nie mogłem o nim zapomnieć, i które zabrałem ze sobą pod prysznic i do mojego greckiego baru na rogu, a potem z powrotem w długą drogę do domu, i nadal nie byłem w stanie na nie odpowiedzieć, brzmiało: czy Clara naprawdę dziś do mnie nie zadzwoni, czy tylko udaje, że nie zamierza zadzwonić?

Żeby powstrzymać się przed ciągłą nadzieją – a może właśnie zrobić sobie na złość za to, że mam nadzieję? – po śniadaniu postanowiłem znowu wyłączyć telefon i wybrałem się na Broadway pod pretekstem, że mam mnóstwo czasu i żadnych planów na rano. Powód, dla którego nie chciałem od razu wracać, był jednak zbyt oczywisty, żeby go ignorować: pragnąłem udowodnić – sobie, Clarze, nawet bogom – że wcale nie zamierzam się spieszyć, żeby sprawdzić, czy do mnie napisała albo zadzwoniła, albo nawet zajrzała do mojego bloku. Ostatnią rzeczą, której miałem ochotę się dziś rano dowiedzieć, było to, że wcale nie próbowała się do mnie dodzwonić ani się ze mną zobaczyć. Pragnąłem usłyszeć, że Clara również przeżywa w tej chwili dokładnie tę samą „udrękę i torturę” – to było jedyne, czego w tej chwili pragnąłem i co doprowadziło mnie na skraj hańby. Gdyby podjechała samochodem, przekonałaby się, że nikt nie odbiera u mnie domofonu; gdyby zadzwoniła, włączyłaby się automatyczna sekretarka; gdyby wpadła na mnie przypadkiem i zapytała, gdzie się podziewałem, odpowiedziałbym coś mglistego. Nagle dotarło do mnie, że ona właśnie chce, żebym przez to wszystko przechodził – i ta myśl mnie pocieszyła. Clara chciała, żebym żonglował tymi wątpliwościami, ponieważ sama robiła w tej chwili dokładnie to samo.

W mojej głowie – być może wyłącznie mojej – wszystko sprowadzało się do jednego pytania: kto pierwszy sięgnie po telefon i zadzwoni; kto był sprawcą, a kto ofiarą milczenia? I czy u niej było to tylko milczenie, czy też, jak w moim przypadku, zakamuflowany potok słów? Gdzie kończyła się bezgłośność, a zaczynała cisza? Ewidentnie było to pytanie z gatunku „bramki numer trzy”.

Lecz istniał jeszcze ostatni promyk nadziei, nawet jeśli trzeba było na niego czekać cały dzień, który z pewnością okaże się długi i pełen udręki: seans o dziewiętnastej dziesiątej, na który bezsłownie się umawialiśmy. Ale to, że nie umówiliśmy się wprost, mogło być zarówno znakiem, jak i nie znakiem, choć brak znaku sam w sobie też był znakiem.

Jak przerwać tę ciszę w eterze?

Mógłbym pojechać promem na Staten Island i stanąwszy na mroźnym pokładzie z widokiem na Statuę Wolności, zadzwonić do Clary i powiedzieć: „Zgadnij, gdzie jestem” – i przesłać jej zdjęcie na dowód. Wyobraziłem sobie jej odpowiedź – szorstkie i obojętne: „I co z tego?”. Mógłbym też pójść na most Brooklyński albo usiąść w jednej z ławek w katedrze Świętego Jana, położonej o kilka przecznic od jej domu. „I co z tego?”.

Lub też – i to właśnie zrobiłem około drugiej po południu – wysłać jej zdjęcie posągu Pamięci ze Straus Parku. Oto gdzie możesz mnie znaleźć. Pobędę tu jeszcze przez chwilę, bardzo długą chwilę. Ale jeśli każesz mi na siebie czekać, lepiej przynieś też szpikulec do lodu.

Czekałem, aż oddzwoni. Ale nie oddzwoniła. A więc sytuacja była znacznie gorsza, niż się obawiałem. Clara się do mnie nie odzywała. Może wyłączyła telefon. Ale to też byłoby znakiem, prawda? – zwłaszcza jeśli wyłączyła go z tego samego powodu co ja; to byłby znak najdobitniejszy ze wszystkich.

Odegrałem w głowie kilka scenariuszy, które mi się podobały. W tym najlepszym Clara natychmiast odesłałaby mi zdjęcie miejsca, gdzie sama się w tej chwili znajdowała. Bez żadnej dodatkowej wiadomości. Tylko jej sposób na wytłumaczenie, dlaczego nie może się ze mną spotkać. Z jakiegoś powodu wyobrażałem sobie, że będzie to zdjęcie egipskiej świątyni Dendur w Metropolitan Museum of Art. Albo domu handlowego Bergdorfa. Drogi do Darien. Muszli klozetowej.

Potem zacząłem marzyć, że jej odpowiedź przyjdzie w postaci Leo Czernowicza grającego Bacha.

A potem oddzwoniłaby do mnie i spytała: co?

Jak to: „Co?”? – odpowiedziałbym.

Przecież dzwoniłeś.

Masz teraz czas?

A co?

Jeśli jesteś zajęta, to oddzwonię kiedy indziej.

Ale o co chodzi?

Dzwoniłem, żeby przeprosić.

Za co?

Dobrze wiesz, za co.

Już to zrobiłeś. I co jeszcze?

Już nic.

– Nie wierzę, że wyciągnąłeś mnie z domu w taką zimnicę.

Wiedziała, że zdoła mnie zaskoczyć. Ale gdy tylko zobaczyłem, jak materializuje się w Straus Parku, oboje wybuchliśmy histerycznym śmiechem. Częściowo dlatego, że Clara nabijała się z naszej przeciągającej się ciszy w eterze; albo ponieważ było jasne, że nasze uparte milczenie to po prostu starcie charakterów, zimna wojna na niby. Co za ulga, że możemy to obśmiać – i zapomnieć o sprawie.

– Pracowałaś? – Miałem nadzieję, że powie „nie”.

– Tak. Ale strasznie wolno mi szło, nie mogłam się skupić po tym całym alkoholu, który wczoraj we mnie wlałeś.

– Nadal się gniewasz?

– Zależy, za co. Jadłeś już coś? – Wyraźnie pokazywała, że chce zostawić ten drażliwy temat, choć nie byłam do końca pewien, o jaki temat chodzi. Cała ona.

– Nie.

– Ja też nie.

– Masz ochotę na coś orientalnego?

Wiedziałem, że w ciągu kilku minut w naszym życiu pojawią się nowi

ludzie, nowe sposoby nazywania różnych rzeczy, nowe dziwactwa, z których będziemy mogli się śmiać, wybrane z magazynu postaci zrodzonego w głowie dziewczyny, której zupełnie nie potrafiłem zrozumieć, choć była zupełnie jak moje odbicie, tyle że odwrócone, lustrzany obraz jej własnej repliki.

Poszliśmy Broadwayem, zaglądając po drodze do kilku restauracji i zastanawiając się, czy nadadzą się na lunch. Z jakiegoś powodu wszystkie odrzucaliśmy. Prawdę rzekłszy, żadne z nas nie było głodne i wystarczyłoby nam jakaś zaciszna kafejka. Brakowało mi sekstansu, gigantycznej fajki z sepiolitu i obrazu z szarżującym bykiem. Jak zwykle o tej porze po ulicach kręciły się tłumy ludzi, masy turystów i młodych mieszkańców licznych dwugwiazdkowych hoteli, które zaczęły się rozpowszechniać w okolicy. Wszystkie lokale były pełne, a w powietrzu czuło się ferment, przez co i nasz spacer zrobił się bardziej spieszny, energiczny.

Clara stwierdziła, że musi kupić trochę cukierków. Czy w jej wieku naprawdę kupuje się jeszcze cukierki?

– Po prostu je lubię, okej?

W którymś momencie postanowiliśmy złapać autobus i pojechać na drugą stronę Manhattanu, na East Side. Tylko czy chciało nam się przepychać przez kolejne tłumy ludzi? Tam jest Muzeum Guggenheima – powiedziałem. Ale czy na pewno chcemy iść do Guggenheima? W sumie nie. Moglibyśmy „pojechać do Francji” – zaproponowałem. Ale o tej porze? To jakoś nie pasuje.

– No właśnie, jeśli chodzi o te filmy... – zaczęła Clara. – Wiem, że to głupio, ale chyba nie dam rady pójść dziś z tobą do kina.

Czy miała na myśli, że to głupio, czy że ja poczuję się jak głupek?

– Szkoda – powiedziałem, siłąc się na pozory, że ta informacja budzi we mnie nie większe emocje niż odrzucenie oferty przez kogoś, kogo zaprosiłem tylko z musu. – Bez ciebie będzie nudno. – Głupszej odpowiedzi nie mógłbym wymyślić.

Jej oświadczenie zabolowało. Pytanie brzmiało: gdzie? Nie przeszkadzało mi, że pójdę sam – zawsze lubiłem chodzić do kina w pojedynkę. Po prostu

nie podobało mi się, że muszę zmienić plany, które – choć w duchu nie całkiem się do tego przyznawałem – uznałem już za pewne. I nie podobała mi się wiadomość (choć od początku wiedziałem, że nie zdołam jej uniknąć), iż Clara ma inne życie, w którym nie odgrywam żadnej roli – rola zaś, którą grałem w jej dekowaniu się, była tak mała, że nikt poza Maxem, Margo i kilkoma osobami, które widziały nas razem na przyjęciu, nie miał najmniejszego pojęcia o moim istnieniu. I nie podobało mi się jeszcze to, że muszę przywrócić swoje życie do stanu, w jakim było przed Clarą. Cztery noce i już się uzależniłem. Czy tak wyglądała prawda?

Między nami zapadła martwa cisza.

Obawiałem się, że w końcu do tego dojdzie. Ale tak szybko?

– Przeżyję. Wierz mi.

Znowu milczenie.

– Nawet nie zamierzasz zapytać, dlaczego nie mogę z tobą iść? U większości ludzi brak pytania oznacza, że umierają z pragnienia, żeby je zadać.

Specjalnie nie pytałem, bo nie chciałem wydawać się wścibski ani drażliwy. Lecz nie chciałem też wyjść na obojętnego. Nie wiedziałem, co robić. Może wolałem nie wiedzieć, czym zajmuje się Clara, kiedy mnie przy niej nie ma. Obchodziło mnie wyłącznie to, co robiliśmy razem – w każdym razie pragnąłem w to wierzyć. To, co robiła z innymi, nie miało znaczenia, zwłaszcza jeśli nie kolidowało z naszymi planami. Pod tym względem – odkryłem to dopiero po jakimś czasie – myślałem i zachowywałem się dokładnie tak jak każdy zazdrosny mężczyzna.

– Naprawdę cię to nie interesuje?

– To bez znaczenia. Widzę wyraźnie, że bardzo chcesz mi powiedzieć.

– Innoludzie – powiedziała. Jej sposób na mglistość i jednocześnie nadmierny konkret.

Lecz to słowo mocno we mnie uderzyło, jakby Clara zamachnęła się wielką łopatą i cisnęła mi w twarz piachem. Ulice stały się szare, niebo stało się szare, świąteczne tłumy w sklepach obok przystanku straciły barwy i stały



się szare, nawet życie straciło uśmiechnięty dołeczek w policzku i stało się ponure i szare.

Po raz kolejny postanowiłem, że nie chcę mieć z nią już nic wspólnego. I nadszedł czas, żeby zrealizować tę decyzję. To powinno się stać właśnie teraz: pod mężczyzną mogą się uginać kolana, mężczyzna sięgał może za wysoko, ale teraz mężczyzna się zmywa. Po co w takich okolicznościach mamy jeść ze sobą lunch?

– Czy u ciebie w domu podają herbatę?

Spojrzałem na nią całkowicie zaskoczony.

– Owszem, wszystkie możliwe rodzaje Twiningsa. Ale ekipa, która ma przygotować lokal na otwarcie, przychodzi dopiero jutro.

– A znajdzie się jakiś czysty kącik?

– Da się to załatwić.

– A *il y a*<sup>16</sup> coś do jedzenia?

– Bardzo wiekowa szynka, ser porośnięty zielonymi plamkami i ziemniaki, które zaczynają się ukorzeniać. Ale zawsze jest wino.

Jak ona to robiła? Od lodu do wrzątku. Nagle nasze życie stało się imprezą.

Na Broadwayu przystanęliśmy, żeby zaopatrzyć się w zapasy. W sklepie były straszliwe tłumy, ale nam to nie przeszkadzało. Dwa rodzaje sera, jedna – nie, dwie bagietki, jedno dojrzałe awokado, trochę szynki, surowej i gotowanej. Po co nam awokado? Pasuje do szynki z musztardą. A czy mam musztardę? Tak, ale bardzo starą. Na Boga, kiedy ty ostatnio byłeś w ogrodzie różanym? Mówiłem ci, wieki temu. Może jakieś owoce? Zimowe czy letnie? Bez znaczenia, i tak wszystkie są importowane z dalekich stron, gdzie owoce dojrzewają wyłącznie w ogromnych ciemnych kontenerach na pokładach rozpadających się frachtowców o nazwie Prince Oscar, które śmigają w tę i we w tę po całym Atlantyku, zwożąc wielokolorowe, ale pozbawione smaku jagody dla ludzi, którzy siedzą przy choinkach i śpiewają kolędy nad ponczem owocowym z prądem. „No dobrze, już dobrze, *je* łapię” – stwierdziła. Mamy mleko? Mamy – odparłem, po czym z zawstydzoną

miną dodałem, że może zmieniło się już w jogurt. W ostatniej chwili przypomnieliśmy sobie o magicznych składnikach, które wszystko odmienia: kawiorze i kwaśnej śmietanie. Znowu bawiliśmy się w dom. A może jakieś niezdrowe przekąski? Niezdrowe przekąski i cukierki – powiedziała.

Wychodząc, dźwigaliśmy dwie wielkie torby wypełnione zakupami.

– Nagle zrobiłam się głodna – powiedziała Clara.

Ja też umierałem z głodu.

– Zanim pójdziemy dalej: czy w kuchni jest czysto? – zapytała przy wejściu do mojego budynku.

Czyżby pytała, czy mam czystą pościel?

– Señora Venegas przychodzi dwa razy w tygodniu. Ale nie wolno jej dotykać niczego w lodówce ani w gabinecie.

Wysiadłem z windy, zapominając ostrzec, że drzwi zamykają się bardzo, ale to bardzo szybko, i Clara musiała wyskoczyć gwałtownie razem z torbą, bo prawie ją przycięły.

– Pieprzona winda. Po prostu, kurwa, bezczelność. – Wyklinała na drzwi przez całą drogę korytarzem do mojego mieszkania.

Zakochała się w moim dywanie. Mam pomysł – powiedziała.

– Urządzmy sobie piknik w narożnym pokoju. Ja się wszystkim zajmę, a ty idź po wino i nastaw muzykę.

Przez sekundę staliśmy obok siebie i podziwialiśmy widok na park. Kolejny pochmurny biały dzień, tętniący wewnętrzną radością.

W szafce na pościel znalazła obrus.

– Co to?

– Z Roussillon. Kupiłem na prezent, ale nigdy go nie dałem, bo wszystko się skończyło. Więc zatrzymałem go dla siebie.

W drodze do kuchni zauważyła moje zdjęcie z ojcem, kiedy miałem cztery lata. Zrobiono je podczas wycieczki do Berlina, w Tiergarten. A obok wisiała czarno-biała fotografia ojca z dziadkiem, zrobiona dokładnie w tym

samym miejscu.

– Powrót Żyda.

– Zemsta Żyda.

– Wyglądasz jak on.

– Mam nadzieję, że nie.

– Nie lubiłeś go?

– Przepadałem za nim. Ale nie sądzę, żeby zaznał szczęścia.

– Biorąc pod uwagę, co wydarzyło się po tym, jak zrobiono to zdjęcie, trudno sobie wyobrazić, że szczęście w ogóle było możliwe.

– Myślę, że miał swoją szansę.

– Tak myślisz.

– Wiem o tym.

– I?

– Zmarnował ją.

– To znaczy?

Skąd to nagle zainteresowanie moim ojcem?

– To znaczy, że uważał, że nie jest jej godzien. To znaczy, że raz jeden jedyny zaznał miłości, ale nigdy nie próbował się zbliżyć do tej kobiety, nie zaryzykował, nie spróbował zdobyć osoby, która być może nie pragnęła niczego poza jego miłością. Zwlekał za długo, nie wiedząc, że życie było skłonne przeczeć wszystkie przeszkody, które rzuciło mu pod nogi.

– Pan Amfibalencja Senior?

– Jeśli chcesz go tak nazwać.

– Kiedy umarł?

– W zeszłym roku.

Podeszła do zdjęcia.

– Urodziłam się w roku, kiedy je zrobiono – powiedziała.

– Wiem.

Chciałem tym zasygnalizować, że i ja dokonałem obliczeń i zdążyłem się zastanowić: czy spacerując z ojcem po tym małym parku w Tiergarten, zdawałem sobie sprawę, że gdzieś w jakimś szpitalu na Manhattanie rodził się ktoś, kto otrzyma imię Clara...?

Nie powiedziałem jednak i nigdy nie odważyłbym się zdradzić choć słowem, że zastanawiałem się również nad czymś innym: czy kiedy bezimienny fotograf robił nam to zdjęcie, ojciec wiedział, że kiedyś stanie przed nim ta jedna jedyna osoba, którą chciałbym mu przedstawić, i będzie mnie o niego wypytywać? Czy wiedział, że perski dywan, który kupiliśmy razem na aukcji pewnej niedzieli pięć lat temu, zainspiruje Clarę do urządzenia pikniku?

– Skąd tyle wiesz o jego prywatnym życiu?

– Mieliśmy przed sobą bardzo niewiele tajemnic. Czasami był tak nieszczęśliwy, że nie stać go było na sekrety. Opowiadał o wszystkich razach, kiedy wybrał w swoim życiu niewłaściwą drogę, żeby nie powtórzył jego błędów, kiedy nadejdzie mój czas.

– A powtórzyłeś?

– To pytanie z gatunku „bramka numer trzy”.

– W takim razie czy twój czas już nadszedł?

– To kolejne pytanie z gatunku „bramka numer trzy”.

– No i?

– No i... skoro już taranujemy kolejne bramki... powiedzmy, że ta kwestia waży się dokładnie w tej chwili.

– Głębokie. Bardzo, bardzo, *très* głębokie.

I nagle powiedzieliśmy w tym samym momencie:

– Wisznukrisznu!

Wzięła obrus z Roussillon i rozłożyła go na dywanie jednym energicznym szarpnięciem, od którego tkanina zafurkotała niczym proporczyk w wietrzny dzień. Nastawiłem swoje ulubione nagranie *Wariacji*

*goldbergowskich*, odkorkowałem butelkę czerwonego wina i patrzyłem, jak Clara znosi z kuchni talerz za talerzem. Potem nastąpił moment zdziwienia. Nie było żadnych serwetek, ani płóciennych, ani papierowych. Szukaliśmy wszędzie. Pewnie pani Venegas miała zapchany nos. A może gdzieś była przynajmniej rolka papierowych ręczników?

– Zajrzałam w każdy kąt – powiedziała Clara. – *Es gibt kein*<sup>17</sup> ręcznik. – Sprawdziła wszystkie szafki w kuchni. – *Nada*.

Powiedziałem, że pozostaje nam tylko jedno rozwiązanie. Nawet nie skończyłem zdania, kiedy Clara wybuchła histerycznym śmiechem.

– A mamy lepszy wybór? – zapytałem.

Pokręciła głową, nadal nie mogąc nad sobą zapanować.

– To twój dom, ty przynieś.

Znalazłem więc świeżą rolkę, przyniosłem na nasz piknik i położyłem obok niej.

– Nie wierzę, że każesz mi jeść w obecności papieru toaletowego. Twoje zdrowie i szczęśliwego Nowego Roku.

Nachyliłem się i złożyłem długi pocałunek pod (jak się okazało) jej uchem.

– I jeszcze wiele razy, wiele, wiele – dodała.

Podobało mi się to, jak zdjęła buty i położyła się twarzą do mnie na podłodze, zakładając jedną opaloną stopę na drugą i wpatrując się we mnie swoim powłóczystym, czasem naburmuszonym spojrzeniem. Raz czy dwa przyłapała mnie na tym, że patrzę na jej stopy, i widziałem, że jej się to podoba; wiedziała, o czym myślę, a ja wiedziałem, że wie, i byłem tym zachwycony. Tydzień temu jej stopy chodziły po piasku, a teraz były na moim dywanie. Nie byliśmy już tylko znajomymi – ewidentnie łączyło nas coś więcej niż zwykła przyjaźń między mężczyzną a kobietą, tylko jeszcze nie wiedziałem dokładnie, co się dzieje, dokąd to zmierza i czy kulminację mamy już za sobą, więc nigdy nie połączy nas nic więcej. Po raz pierwszy od kilku dni byłem skłonny przyznać, że to, co się między nami rozciągało, nie było szarą jałową ziemią niczyją, usłaną minami i kraterami, ale czymś

zupełnie innym, choć może nieoznakowanym i milczącym pod śniegiem jak bożonarodzeniowy żłóbek, pełnym nadziei i bolesnej radości, która trwa nie dłużej niż wymuszone zawieszenie broni, kiedy dwudziestego piątego grudnia milkną działa, a żołnierze nieprzyjacielskich wojsk wychodzą z okopów na papierosa, lecz drugiego już nie zapalą.

W którymś momencie powiedziałem, że puszczę jej wszystkie nagrania Silotiego, które zdołałem kupić.

– A które jest najlepsze? – zapytała.

– To twoje.

– No właśnie.

Nasz piknik trwał ponad dwie godziny, bo Clara włączyła telewizor i jakoś tak się złożyło, że obejrzelśmy *Ojca chrzestnego*, zaczynając od momentu zabójstwa Sollozza i skorumpowanego policjanta niemal do samego końca, kiedy Michael Corleone każe wszystkich zabić i mówi do szwagra, którego też zaraz zamorduje: „Ach, ta mała farsa, którą odegrałeś z moją siostrą. Myślałeś, że Corleone się na to nabierze?”.

– Ach, myślałeś, że Corleone się na to nabierze? – powtórzyła Clara. Potem słuchaliśmy moich nowych wersji Händla. Znowu rozmawialiśmy o Rohmerze, ale trzymaliśmy się z dala od kwestii dzisiejszego seansu. Nie chciałem wiedzieć, dokąd Clara wybiera się po naszym pikniku, nie chciałem pytać, nie chciałem znać szczegółów. Wiedza mogła się okazać bardziej bolesna niż niezaspokojona ciekawość.

– Co on tam powiedział? – zapytałem.

– Ach, myślałeś, że Corleone się na to nabierze?

Wspaniale to mówiła.

– Powiedz jeszcze raz.

– Ach, myślałeś, że Corleone się na to nabierze?

Nagle, chcąc dolać mi wina, przewróciła swój kieliszek, który stał sobie zupełnie spokojnie na dużym słowniku. Resztką trunku rozlała się, tworząc małą czerwoną kałużę, która wkrótce wsiąkła w ciemne wzory perskiego dywanu. Clara zaczęła mnie przeproszać i przypomniało mi się jej

spontaniczne i wylewne zachowanie, kiedy odwróciła się i pocałowała mnie w jadalni Maxa. Usiłowałem ją uspokoić, zapewnić, że nic się nie stało, i pobiegłem do kuchni po ścierkę.

– Nie trzyj, tylko delikatnie przykładaj – powtarzała. Usiłowałem wykonać polecenie.

– Nadal trzesz.

– Więc sama to zrób.

– Daj – powiedziała. Najpierw przedrzeźniła moje ruchy, nie zbliżając ścierki do dywanu, po czym pokazała, jak należy to robić. – A teraz potrzebuję soli – oświadczyła.

Podąłem jej solniczkę.

Roześmiała się. Gdzie trzymam sól?

Przyniosłem jej gigantyczne pudełko koszernej soli. Clara wysypała na płamę duży stos.

– Jak to możliwe, że trzymasz w domu takie ogromne pudło soli, za to nie masz żadnego jedzenia?

– Kiedy pomieszkiwał tu ogród różany, dużo gotował... co tłumaczy też wielkie pojemniki na przyprawy. Ale ostatnio jedzenie mi się dekuje – dodałem.

– Co takiego ona zrobiła?

– Gotowała wielkie posiłki.

– Nie, mam na myśli, co takiego zrobiła, że wykopałeś ją z ogrodu różanego.

– Mówiła, żebym nie tarł, tylko przykładaj.

– I gdzie teraz jest?

Wzruszyłem ramionami.

– Odeszła.

Spojrzałem na schludny pagórek, który Clara wyrównała palcami, tak że

pojawiły się na nim cztery bruzdy, i wiedziałem, że nigdy nie zdobędę się na to, żeby go sprzątnąć. Zatrzymam go na zawsze i powiem pani Venegas, żeby nie ważyła się dotknąć ani odkurzyć tej soli. A nawet jeśli ją sprzątnie, to na pewno zostanie mi na pamiątkę tego dnia plama po winie, jak plakietka w miejscu, gdzie uderzył meteor, choć nie pozostał po nim żaden ślad z wyjątkiem krateru noszącego jego imię. To ona była meteor, a ja ziejącą dziurą. Dwudziestego ósmego grudnia Clara i ja urządziliśmy sobie piknik na mojej podłodze – oto dowód. Gdy tylko wyjdzie – przecież się znałem – spojrzę na te maleńkie zmarszczki pozostawione po przerwach między jej palcami i powiem do siebie: Clara tu była.

– Mam nadzieję, że nie zostanie plama.

– A ja mam nadzieję – odparłem – że zostanie.

– Printzu – powiedziała z wyrzutem. Oboje zrozumieliśmy. Po krótkiej pauzie nagle zawołała: – Naczynia!

Zanieśliśmy je z powrotem do kuchni i wstawiła je do zlewu.

– Zapomnieliśmy o deserze – powiedziała.

– Wcale nie. Kupiłem czekoladowe lesbijki.

– Nie widziałam.

– Niespodzianka! Ale pod jednym warunkiem...

– Jakim znowu warunkiem? – Na jej twarzy pojawiła się obawa. Wiedziałem, że wzbudziłem jej niepokój.

– Pod warunkiem, że powiesz: „Ach, myślisz, że Corleone się na to nabierze?”.

Serce biło mi mocno.

– Co też ci przyszło do głowy!

Otworzyła trzy paczki ciasteczek i wyłożyła je dwójkami. Gdyby wsunęła je sobie między palce u nóg, zbliżyłbym do nich usta i odgryzł od każdego po kawałku – jak to ona powiedziała? „Co też ci przyszło do głowy!”.

– Nadal masz ochotę na herbatę? – zapytałem.



– Ale tak szybciotko – odparła. – Niedługo muszę się zbierać.

Nie wiem, dlaczego sądziłem, że zapomni o swoim spotkaniu z innoludźmi. Ależ byłem głupi. A ona – co za brak wrażliwości z jej strony, że o tym pamiętała. Jakąś częścią siebie zdołałem nawet uwierzyć, że podobało jej się przerwanie naszej małej rutyny, podobało jej się, że zbiła mnie z pantałyku, podobało jej się obserwowanie, jak robię sobie nadzieje, że zapomniała, i szorstkie przywrócenie mnie do rzeczywistości, kiedy uświadomiła mi, że wcale nie zapomniała.

Wiedziałem też jednak, że przypisanie jej takich motywów było niczym dopatrywanie się celowych intencji w burzy albo szukanie znaczenia w nagłej śmierci znajomego, z którym ledwie dwie godziny temu graliśmy w tenisa.

Zagotowaliśmy wodę w mikrofalówce – dwie minuty. Potem zanurzyliśmy we wrzątku torebki z earl grey – jedna minuta. W ciągu siedmiu minut było już po herbacie. Herbata jak słaby seks. Herbata jak bardzo, bardzo słaby seks – powtórzyła Clara – ani trochę nielidyjski.

Wstała i podeszła do okna, żeby popatrzeć, jak kolejny zimny szarobiały dzień dobiega końca. Nie powiedziała nic o Rohmerze. Ja też nic nie powiedziałem.

Odprowadziłem ją korytarzem, zostawiając mieszkanie otwarte na oścież, i w niezręcznej ciszy czekaliśmy na windę. Nigdy do tej pory nie ustalaliśmy przy pożegnaniu dalszych planów i tym razem było tak samo, tylko że teraz brak wzmianki o następnym dniu wprowadził między nas napięcie i nadał naszemu milczeniu nienaturalny, prawie wrogi odcień, jakbyśmy dzisiaj ukrywali nie opór przed sformalizowaniem naszej znajomości i modyfikowaniem jej przy każdym zmniejszeniu dystansu; nie, ukrywaliśmy pełną poczucia winy nieśmiałość ludzi, którzy nie mają zamiaru znowu się spotkać i rozpaczliwie pragną uniknąć tematu. Kiedy winda wreszcie przyjechała, pospiesznie pocałowaliśmy się w policzki.

– No to nara – powiedziałem.

– Nara – sparodiowała mnie.

Gdy drzwi zaczęły zasuwac się między nami, wiedziałem, że patrzę na nią po raz ostatni.

– Co za pieprzona winda! – usłyszałem jej krzyk, bo znowu dała się przytrzasnąć. Po raz kolejny zapomniałem ją ostrzec. Słyszałem, jak śmieje się przez całą drogę na dół.

Wróciwszy do siebie, znów poczułem się tak jak rano, kiedy nie wiedziałem, czy w ogóle będziemy dziś ze sobą rozmawiać, nie mówiąc już o pociągnięciu naszej hybrydowej przyjaźni dalej. Późnopołudniowa pora, którą – jak pamiętałem – wyznaczyłem sobie na ostateczny czas, kiedy wreszcie się złamię i wykonam ten straszny telefon, przyszła i minęła, a ja pomimo spędzenia z Clarą kilku godzin byłem teraz w nie lepszej sytuacji niż wtedy, kiedy tamto postanowienie jawiło mi się niczym latarnia ostatecznej nadziei, najlepszy kęs, który zostawiamy sobie na koniec, bo potem już nie ma czego wyglądać.

Wyjrzałem za okno. Ponuro, ponuro, ponuro.

Czas na herbatę – pomyślałem. Ale przecież właśnie wypilem z nią herbatę. Czulem zagęszczające się wokół mnie powietrze, jak w popularnych wyobrażeniach Londynu o tej bezimiennej przedwieczornej porze, która może trwać od piętnastu minut do całego dnia. Trzeba by wyjść z domu. Ale nie miałem dokąd pójść. Powinienem zadzwonić do jakiegoś znajomego. Połowa z nich wyjechała za miasto. Druga połowa może będzie wolna. Mogłem spróbować z Rachel i jej siostrą, ale one na wstępie zbesztalyby mnie za brak odwagi, ikry, a przede wszystkim uczciwości. Poza tym nie chciałem się z nimi spotykać, dopóki nie będę mógł przedstawić im Clary.

Postanowiłem pójść na siłownię, zabrać jakąś książkę, poćwiczyć na bieżni, może zrobić kilka długości na basenie, a potem dotrzeć na dziewiętnastą dziesiątą tam, gdzie planowałem. Lecz teraz miałem wrażenie, że robię to tylko z braku lepszych perspektyw. Może po seansie pójde na kolację – i to do Tajskiej Zupy, jak na ironię. Czasami samotność wcale nie jest taka zła.

Clara pokroiła awokado w cienkie plasterki i ułożyła je ukośnie na bagietkach jak zielone półksiężycy, po czym dodała po dwie warstwy szynki, potem ser, potem odrobinę pikantnej musztardy, wreszcie spłaszczyła nieco chleb w prasie do panini i zlizwała z palców nadmiar musztardy.

– To dla ciebie, Printzu – powiedziała, podając mi kanapkę na talerzu

gestem, którego nawet półgłówek nie nazwałby wyłącznie przyjaznym.

Ale przecież mieliśmy jeszcze kawior. Uparła się, że sama go rozsmaruje na kwaśnej śmietanie. Dlaczego? – spytałem.

– Bo ty nie umiesz.

– Poradzę sobie.

– W takim razie dlatego, że chcę.

Słowa „Dlatego, że chcę” zwyczajnie unicestwiły wszystko, co mnie przed nią chroniło, i trafiły mnie prosto w serce.

Popołudnie minęło mi szybciej, niż się spodziewałem. Tym, co mnie zaskoczyło, było poczucie, że w sumie wszystko ułożyło się lepiej, niż się spodziewałem. Jakoś to przeżyję. Musiałem tylko otrząsnąć się z uporczywego żalu, że dotarłem tak daleko tylko po to, żeby ją stracić. A może Clara na podobieństwo Jana Chrzciciela była tylko znakiem, zapowiedzią jeszcze gorszych rzeczy, które miały nadejść, niczym zdjęcia, których jeszcze nawet nie wywołano, nie wspominając o zrobieniu kopii?

Kiedy dotarłem do kina, zauważyłem, że kolejka jest krótsza niż zwykle. Wyświetlane dziś filmy nie należały do najlepszych dzieł Rohmera i pustki na widowni odzwierciedlały ten fakt. Zdobywszy bilet, postanowiłem kupić sobie kawę w sąsiednim Starbucksie. Nie zastanawiając się nawet dlaczego, wziąłem też batonik. Potem kupiłem paczkę papierosów, które paliła Clara. Chciałem wierzyć, że czas zatrzymał się poprzedniego wieczoru, ja zaś niczym trener celowo zatrzymałem stoper, żeby oznaczyć moment, w którym wyścig dobiegł końca, wytyczyć zwieńczenie tygodnia, całego roku.

Był tam Phildonka Otopanimijsce, niezmienny i napakowany mięśniami, ta sama fryzura, ten sam grymas, ta sama koszula. Ale bez Clary nie wydawał się już zabawny, tylko nadęty i groźny jak jakiś wykidajło. Wziął mój bilet, spojrzał na mnie wzrokiem mówiącym: „Wystawiła cię do wiatru, co?”, po czym zajął się kimś innym.

Znalazłem miejsce sąsiadujące po obu stronach z trzema wolnymi fotelami i usiadłem. Kawa w kinie to był jej wynalazek; ja zawsze kupowałem sobie zimny napój, nigdy kawę, a już na pewno nie przemycałem piersiówek. Zastanawiałem się, który z jej licznych ekschłopaków nauczył ją

przynosić do kina alkohol. Ile razy wskrzeszała w moim towarzystwie nawyki przejęte od dawnych partnerów?

W mroku przed rozpoczęciem filmu przypominałem sobie nagle, jak w pierwszy dzień położyłem płaszcz na sąsiednim fotelu, kiedy Clara poszła zadzwonić – udawałem, że przyszedłem do kina sam, żeby jeszcze bardziej ucieszyć się z jej towarzystwa, kiedy wróci. Czyżbym zachował tamto wspomnienie na dzisiejszy wieczór, tak jak podróżnik w czasie, któremu przydzielono misję zmienienia historii, zagrzebuje automatyczny pistolet, żeby jutro odkopać go w starożytnym Rzymie?

Zaczęły lecieć napisy i mój umysł usiłował skupić się na kimś, z kim widziałem ten film przed kilku laty. Nie było źle – nie wspaniale, ale też nie okropnie. Początkowa sekwencja wyglądała dokładnie tak jak w moich wspomnieniach i cieszyłem się, że choć zapamiętałem film ze szczegółami, nadal wydawał mi się świeży i mógłby mnie przenieść dokładnie tam, dokąd pragnąłem trafić, tylko że nagle w kinie zrobiło się głośniejsze niż zazwyczaj, bo a to jakiś spóźnialski nie mógł się zdecydować na miejsce, a to jakaś para zastanawiała się, czy się nie przesiąść, a to nad moją głowę przesuwiał się promień latarki Phildonki, a to ktoś trząskał drzwiami, zza których co raz to dobiegał szum automatu do napojów, który chyba się zaciął. Słysząc było szmer głosów. Ktoś znowu spróbował uruchomić automat – trząsk, trząsk i znowu trząsk – a potem usłyszałem łomot kilku puszek zwalających się na półeczkę urządzenia.

– Bingo! – krzyknęła jakaś osoba. Widownia wybuchła śmiechem. Pomyślałem, że taki tekst powinna puścić Clara. Kiedy film wreszcie się rozpoczął, drzwi otworzyły się po raz kolejny i weszła jeszcze jedna para. Oboje pochylili się, nie chcąc przeszkadzać pozostałym widzom, zupełnie jak typowi mieszkańcy Upper West Side. Przez sekundę na sali widać było światło z zewnątrz, ale po chwili drzwi znowu się zatrzasnęły. Kolejny spóźnialski nie mógł znaleźć sobie miejsca – bardzo mnie to rozpraszało. Wtedy usłyszałem odkaszlnięcie. Nie takie nerwowe, ale z premedytacją, kiedy ktoś chce przypomnieć o swojej obecności w pomieszczeniu. Kolejne cholerne kaszlnięcie zakłóciło mi zarówno otwierającą sekwencję, jak i głos zza kadru, który zaczął mówić, gdy tylko napisy dobiegły końca. Kaszel, kaszel. Byłem święcie przekonany, że to tylko moja wyobraźnia... ale w tym

kaszlu słychać było szept: „Printzu Oskárze” – na pewno tego sobie nie wymyśliłem! Czego bym nie dał, żeby... Po kilku sekundach, tym razem już bez odkaszlnięcia, ale nadal szeptem, rozległy się słowa: „Printzu Oskárze?”, jakby oznaczające: „Jesteś tam? Słyszysz mnie?”. Cała widownia odwróciła się do wejścia. Nie mogłem w to uwierzyć, ale kto inny mógłby powiedzieć coś takiego na sali kinowej już po rozpoczęciu filmu? Podniosłem rękę z nadzieją, że ją zauważy. Zauważyła i natychmiast ruszyła w moim kierunku.

– Bardzo przepraszać, bardzo ogromnie, niezwykle przepraszać – powtarzała z udawaną skruchą, przepychając się do mojego fotela. – Ten cholerny Phildonka nie chciał mnie wpuścić. – I nagle wybuchła niepowstrzymanym śmiechem, aż wszyscy na sali zaczęli ją uciszać, a ja objąłem ją i nie mogłem jej puścić, trzymałem jej głowę i całowałem jej głowę, i tuliłem jej głowę do piersi, podczas gdy ona spokojnie zaczęła odwijać swój szal.

– Mogę obejrzeć film?

Moje pocałunki pokrywały całą jej szyję.

– Czy ty masz pojęcie, jaki jestem w tej chwili szczęśliwy?

Zdjęła płaszcz, przeszkadzając przy tym kolejnym widzom, usiadła i wyjęła okulary.

– Tak, mam.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę ją puścić. Ale tego nie chciałem. Wolałbym już tak zostać. Wiedziałem, że gdy raz ją uwolnię, nie będę mógł jej już dotknąć, i że wkrótce wody szemrzące wesoło między nami zamarzną, a między jej stałym lądem i moim odległym brzegiem rozciągną się długie kilometry pokrytej pękającym lodem ziemi niczyjej. Położyłem więc rękę na jej ramieniu jakby nieświadomie, wiedząc jednak, że ona dostrzeże tę wystudiowaną nonszalancję i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zacznie się z niej wyśmiewać. „Robi się pesząco, prawda?”.

Zauważywszy moją kawę, natychmiast ją wzięła i się napiła. Dlaczego nie posłodziłem? Bo nigdy nie słodzę. Nie wierzę, że nie kupiłeś dla mnie. A więc tak wygląda twoja zemsta – odmówiłeś biednej dziewczynie kawy?

A masz coś do jedzenia?

Podałem jej batonik.

– Przynajmniej tyle!

Zachichotała.

– Co takiego? – spytałem.

– Nic.

Człowiek za nami poprosił, żebyśmy mówili ciszej.

Clara odwróciła się do niego i zagroziła, że umyje mu włosy w kawie, jeśli nie zdejmie stóp z siedzenia obok niej.

Do chwili, kiedy się pojawiła, byłem pogodzony z myślą, że spędzę ten wieczór samotnie. Potrafiłem nawet spojrzeć przed siebie bez strachu przed ponurością, która oczekiwała na mnie po wyjściu na pustą ulicę. Nie będzie tak strasznie – mówiłem sobie. Tak samo jak nie było straszne, że Clara znalazła kolejny cięty sposób, aby mi przypomnieć, że ma własne życie beze mnie, ma innych znajomych, innoludzi – nie, wcale nie było straszne, że dzień, który rozpoczął się okropnie, zakończy się równie okropnie, nie było straszne, że znalazłem się tak całkowicie sam, a przede mną rozciągała się wizja godzin zmieniających się w jutro i inne jutra, i jeszcze inne jutra, spływające jedno za drugim niczym kry lodowe sunące i pękające z trzaskiem w powolnych nurtach Hudson, dopóki nie pozostawią za sobą wszelkich ziem i wypłyną na Atlantyk i dalej w kierunku lodowców bieguna północnego. Wcale nie było straszne, że wszyscy byli nie tacy i moje życie było nie takie, zupełnie jak ten dzień; wszystko wydawało się całkowicie zamulone, poprzerywane, a mimo to tak łatwe do zniesienia.

Postanowiłem już, że po filmie pójde w jej okolice, może nawet przejde pod jej domem, zwłaszcza że teraz wiedziałem, na którą stronę wychodziły jej okna. Spacer w tamte strony, żeby odtworzyć w głowie sceny z tamtych stron. A może była to tylko wymówka, żeby nawiedzać jej dom, jej ulicę, jej świat? Czy naprawdę byłem typem, który prześladuje budynki, okna, ludzi? Śledź ją, szpieguj, skonfrontuj się z nią? Ano właśnie! Albo jeszcze lepiej – wpadnij na nią przypadkiem. Że też wpadamy na siebie o tej porze!

A może wyprawa na Sto Szóstą ulicę była zaledwie pretekstem, żeby zapewnić sobie jakieś zajęcie na ten wieczór, tak jak kupowanie świątecznych prezentów trzy dni po świętach dawało mi cel, na którym mogłem się skupić, kiedy już skończą mi się zajęcia wypełniające moje godziny?

Siedząc teraz obok niej przy naszym zwykłym stoliku, zdałem sobie sprawę, że od chwili, kiedy usłyszałem, że nie pójdzie ze mną do kina, skupiałem się na zapanowaniu nad wyrazem twarzy: przy niej, przy sobie samym, przy wszystkich – starałem się nie cieszyć zbyt długo naszą wspólną chwilą na dywanie, żeby nie czuć, że jest to ukoronowanie całego roku, utrzymać ten moment na dystans, utrzymać naszą przyjaźń na dystans i żyć, czepiając się swych małych, miniaturowych nadziei podawanych zawsze na zimno, jak kawior.

Gdy tylko wyszliśmy z kina, skręciliśmy w tym samym kierunku co zawsze, choć żadne z nas nie powiedziało słowa na temat tego, dokąd idziemy. Na wypadek wątpliwości przeszliśmy na prawą stronę Broadwayu, pokazując, że oboje myślimy o tym samym miejscu. Nie mogłem się doczekać, kiedy tam dojdziemy i wrócimy do naszego rytuału przy stoliku i zamawianiu pierwszego drinka. Być może ona również chciała przywrócić sytuację do stanu, w jakim ją zostawiliśmy – choć nie potrafiłem odczytać jej myśli. Kiedy jednak znaleźliśmy się po drugiej stronie ulicy, wsunęła mi rękę pod ramię i powiedziała, że nie może się doczekać naszej whisky.

– Pod moim wpływem zmieniasz się w alkoholiczkę.

– I nie tylko to – stwierdziła. Uznałem, że chodzi o jej narastające zamięłowanie do Erica Rohmera, i nie poprosiłem, żeby wyjaśniła. A potem przyszło mi do głowy, że miała na myśli coś innego, ale nie naciskałem na odpowiedź z obawy, że się dowiem, o co takiego.

Gdy tylko usiedliśmy na naszym miejscu i przywołaliśmy kelnerkę, a ona spytała, czy zamawiamy „to, co zwykle”, sytuacja zaczęła się rozwijać. Z początku myślałem, że Clara zdążyła już coś wypić. Ale to musiałoby być niemal cztery godziny temu, do tej pory by wytrzeźwiała. Swoim zwyczajem zamówiła frytki, które lubiła topić w soli i keczupie. Ja miałem ochotę na sałatkę, ale w końcu też zdecydowałem się na frytki. Jadałem je

z majonezem. Kiedy uporaliśmy się z zamówieniem, wyciągnęła dłoń.

– Dawaj! – powiedziała.

Podąłem jej dolara.

– Więcej.

Podeszła do szafy grającej i wkrótce usłyszeliśmy kilka taktów Chopina, które poprzedzały nasze tango.

Obiecałem sobie, że nie będę jej pytał o nic w związku z tym, gdzie była, co robiła i z kim. Ona jednak miała niemal żal o to moje milczenie i po tańcu wyrzuciła z siebie: – No? Nie zamierzasz mnie spytać, co się stało?

– Tym razem nie mam odwagi.

– Bo jesteś na to zbyt uprzejmy, bo zwyczajnie cię to nie obchodzi, bo nie chcesz wiedzieć... a może jeszcze coś innego?

– Coś innego – powiedziałem.

Była dziś dziwnie ożywiona i obawiałem się najgorszego. Na pewno powie mi coś, czego nie chciałem wiedzieć. Z radością zmieniałbym temat. Czułem, że zapowiada się obwieszczenie w rodzaju: „Postanowiliśmy się zejść” albo: „Urodzę jego dziecko”, albo – i to była ścieżka, na którą nawet nie chciałem się zapuszczać, choć rozejrzałem się za drogowskazami, zanim Clara zdąży wspomnieć o sprawie, mogłoby złagodzić cios – zamierzała powiedzieć: Robisz dokładnie to, przed czym cię ostrzegałam, Printzu. Znając ją, na pewno zdoła mnie zaskoczyć. „Myślę, że nie powinniśmy spędzać razem tyle czasu”. Nie powie: „Nie powinniśmy się tak często widywać”, co mogłoby sugerować więcej, niż chciała, ale: „spędzać razem czas”, co było dość mglistym pojęciem i nie nadawałoby żadnego głębszego znaczenia lirycznemu improwizacyjnemu pięknu tych naszych pięciu dni. Już teraz szykowałem się na zmieszane zajknięcie, kiedy Clara spojrzy na mnie intensywnie, z uśmiechem, z tęsknotą, po czym wydobędzie z siebie pięć czułych słów, cały czas obserwując, jakie wywrą na mnie wrażenie: „Chyba się nie zdenerwowałeś, prawda?”. Jasne, że się zdenerwowałem, do cholery – odpowiedziałbym – no, kurwa, jasne, że się zdenerwowałem! Ale znałem siebie: nie powiem nic.



Zjawily się nasze drinki. Ostrożnie stuknelismy się kieliszkami – gdybyśmy źle policzyli uderzenia, musielibysmy je powtorzyć kolejne dziewięć razy. Jednocześnie wyrecytowalismy rosyjski toast.

– To chcesz wiedzieć czy nie?

Powiedziałem, że chcę, ale zrobiłem to niemal markotnie – nie tylko po to, żeby osłabić swoją ciekawość, ale też stłumić radość w jej głosie.

– Widziałam się z Inkym.

– Więc znowu jesteście parą?

Spojrzała na mnie zdumiona.

„Jak się domyśliłeś?” – zdawała się pytać. Odpowiedziałbym, że od początku było to widać.

– Obiecałam, że pójde z nim na kolację. Najpierw umówilismy się na drinka, dlatego musiałam tak wcześnie od ciebie wyjść. Ale potem wszystko się posypało... Wiedziałam, że zaczniemy się kłócić. Więc sobie poszłam.

– Ot tak?

– Ot tak.

– A chciałaś sobie pójść?

Clara spojrzała na mnie nieustraszenie.

– Nie będę kłamać: rzeczywiście szukałam tylko pretekstu, a on natychmiast mi go dostarczył. Wiedziałam, że znajdę cię w kinie.

Nie potrafiłem zrozumieć, co się kryło za tymi słowami.

– Więc między wami to koniec?

– Absolutnie.

Już miałem zapytać, czy nie jest jej przykro, że tak się to wszystko potoczyło, ale sprawiała wrażenie tak radosnej, że pytanie było bez sensu.

– A teraz twoja kolej – powiedziała, nachylając się ku mnie.

Wiedziałem, co ma na myśli, ale udawałem, że nie rozumiem.

– Kolej na co?

– Co robiłeś po tym, jak wyszłam?

– Poszedłem na siłownię, popływałem, a potem ruszyłem do kina. I tyle.

Czegoś ode mnie chciała, a ja jej tego nie dawałem. Zaczęła robić to samo co pierwszego wieczoru: owijać serwetką nóżkę kieliszka. W ten sposób dawała sobie czas na zebranie myśli, zanim przemówi. Doskonale wiedziałem, do czego się przymierza. „W twoim życiu powinny być też inne osoby, nie tylko ja. Nie chcę wprowadzać cię w błąd. A poza tym nadal jestem taka zadekowana”. Nie znałem dokładnej kolejności tych punktów, ale wiedziałem, że właśnie na nich skupi się jej mała przemowa – bo kierując się długim doświadczeniem znajomości z moim ojcem, czułem już, że szykuje się przemowa.

Gdy tylko obok nas przeszła kelnerka, Clara zamówiła następną kolejkę. Szybko idzie – pomyślałem.

– Więc sama będę musiała to powiedzieć, tak? – zapytała.

Stać mnie było jedynie na wbicie w nią wzroku, dopóki nie spuściła oczu.

Czy tak właśnie zaczęła rozmowę z Inkym? „Więc sama będę musiała to powiedzieć, tak?”. Dwa razy w ciągu jednego dnia? Nie znosiłem rozmów, w których groziło mi całkowite obnażenie – nawet kiedy nie wiedziałem, co dokładnie będę obnażał, nawet jeśli rozumiałem, że obnażenie (w sensie abstrakcyjnej koncepcji) jest o wiele lepsze niż duszenie w sobie emocji. Co takiego ukrywałem, o czym Clara jeszcze nie wiedziała?

– Miałam to napisać w mailu dwa dni temu.

Dlaczego tak się patyczkowała?

– Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo cię znam: odczytałbyś go w ten sposób, potem w inny, zmienił zdanie o sto osiemdziesiąt stopni, potem o trzysta sześćdziesiąt i pięćset czterdzieści, a na koniec i tak nie doszedłbyś do żadnych wniosków. Chyba się nie mylę?

– Nie mylisz się.

– Widzisz? Znam cię.

Zamierzała mnie oskarżyć o to, że zignorowałem jej ostrzeżenia, że pragnęłam od niej czegoś, czego nigdy mi nie obiecywała, a już na pewno nie była w stanie mi dać. Mówiła to wszystko już wcześniej, nie musiała tego powtarzać, te słowa wisały nad każdą minutą, którą wspólnie spędzaliśmy. A teraz wypowie je wprost. Znałem te przemowy pod hasłem: „Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie”. Sam niejednokrotnie je wygłaszałem.

– Pytałeś raz, czy to możliwe, że kiedyś znowu trafimy na przyjęcie u Hansa i będziemy sobie całkowicie obcy. Zdarza mi się wpadać na ludzi, z którymi już nie rozmawiam. Jakoś bym to przeżyła. Nie przeszkadza mi nawet, kiedy muszę ich nienawidzić, o ile to konieczne, żebym mogła zostawić ten niepotrzebny bagaż za sobą. Wiem, jaka jestem zmienna. Ale nawet jeśli naprawdę staniemy się obcymi ludźmi i naprawdę cię znienawidzę, a ty będziesz się odwracał plecami, gdy tylko wejdem do pokoju, musisz wiedzieć jedno: ani jedna cząstka mnie nigdy nie zapomni tego tygodnia.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego ty go nie zapomnisz.

– Zaczyna to brzmieć jak jakieś niezgrabne pożegnanie.

– Powiedzmy więc, że na tym polega nasze piekło. Im bardziej się do siebie zbliżamy, tym bardziej się oddalamy. Rozdziela nas skała. A ja jestem jej posłuszna. Albo powiedzmy to inaczej: nie mam siły, żeby zawalczyć, nie w tej chwili. I szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ty też nie masz.

– Nie mów tak.

– Dlaczego? Przecież to prawda.

– To ty ustawiłaś między nami tę skałę, cztery wieczory temu. Nie ja.

– Być może. Ale nie miałam pojęcia, że dla ciebie również ta skała okaże się bardzo wygodna.

Czy to była prawda? A może Clara dostrzegła coś, czego ja nie chciałem widzieć? Czy skała między nami naprawdę mi odpowiadała? Czy mój zwyczaj ustępowania, wątpienia i dopatrywania się we wszystkim ukrytych znaczeń był po prostu sposobem na zachowanie dystansu poprzez zbliżenie?

Jakie wątpliwości, jakie obawy skrywałem? Może obwiniałem jej nonszalancję, jej łańcuszek innoludzi oraz jej ostry język, planując zrzucić odpowiedzialność na czubek góry lodowej, która ledwo zdążyła między nas wpłynąć, podczas gdy tak naprawdę to moje własne rozległe masy twardego lodu pod powierzchnią wody powodują wszystkie zniszczenia?

– Słuchaj – zacząłem i poruszyłem się na ławce. Może próbowałem zmienić bieg rozmowy, a może chciałem, żebyśmy oboje myśleli, że wreszcie szykuję się do jakichś doniosłych słów, które powstrzymają niepomyślny tok spraw. Może chciałem ją zmylić, przybierając ten uroczysty i poważny ton: „Nadszedł czas, żeby nazwać rzeczy po imieniu”. A tak naprawdę nie miałem pojęcia, co chcę powiedzieć. – Kiedy się poznaliśmy, przyjąłem do wiadomości to, co mi powiedziałaś, i od tamtej pory się tego trzymałem. Nawet nie poruszyłem tego tematu. Już mówiłem: jesteśmy jak dwie bryły lodu uwięzione pod mostem; ty się dekujesz, a ja za bardzo przymarzęm do swojego miejsca, żeby zdobyć się na jakiegokolwiek ryzyko. Ale chcę ci powiedzieć, że nigdy w życiu nie przeżyłem nic podobnego. Rozumiesz mnie lepiej niż ja sam siebie i w tym właśnie kryje się częściowo urok naszego wspólnego czasu: w odkrywaniu, że ty i ja jesteśmy tą samą osobą w dwóch ciałach, jak bliźnięta jednojajowe.

To było jeszcze gorsze niż: „śpiewam pod prysznicem”. Ta sama osoba w dwóch ciałach – serio?

– Nie jesteśmy bliźniętami. – Clara niczego nie odpuszczała. – Wiem, że chciałbyś tak myśleć, ale to nieprawda. Jesteśmy bardzo do siebie podobni, ale też bardzo różni. I jedno z nas zawsze będzie chciało czegoś więcej...

– A tym jednym jestem oczywiście ja, zgadza się?

– Ja również, gdyby chciało ci się spojrzeć uważniej.

– Chce mi się. Myślałaś, że nie?

– Myślałam, że powinienesz był to przewidzieć, Printzu.

Kazała mi zamówić kolejną porcję frytek.

– Chyba nie zamierzasz w pojedynkę wepchnąć w siebie kolejnego talerza frytek?

– No to zamów jeszcze tartę orzechową i podzielimy się jednym i drugim. Z bitą śmietaną... taką z puszki. – Niedbały gest, jakim odrzuciła włosy na plecy, mówił, że dzisiaj nie zamierza sobie żałować.

Kelnerka skrzywiła się na samą sugestię bitej śmietany w spreju. Ale coś mi mówiło, że Clara poprosiła o nią właśnie po to, żeby wywołać szok.

I nagle zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie uczyniła. Wzięła moją dłoń i położyła ją sobie na policzku.

– Lepiej – powiedziała jakby do siebie albo do przyjaciela, z którym próbowała się pogodzić. Przez chwilę trzymałem rękę na jej twarzy, a potem pogładziłem ją po szyi, tuż za uchem, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kilka godzin temu, gdy pojawiła się w kinie, pod wpływem chwili tak gorąckowo ją całowałem, na pewno całkowicie ją tym zaskakując. Ale i teraz nie wyglądała, jakby jej to przeszkadzało; nachyliła się ku mojej ręce niczym kociak, którego pogłaskało się w zamyśleniu i który teraz doprasza się o więcej. – Ale muszę ci coś powiedzieć.

Kiedy zobaczyłem, że mi na to pozwala, dalej pieściłem jej twarz, wpatrując się w nią bez słowa. Nagle, zupełnie bez zastanowienia, położyłem palec na jej ustach, a z ust przesunąłem go do jej zębów – uwielbiałem jej zęby i choć wiedziałem, że przekroczyłem granicę i poszedłem o wiele dalej niż niewinna dłoń na policzku, o którą Clara mnie prosiła, to jednak nie byłem już właścicielem tej dłoni – należała ona do Clary, która najpierw pocałowała mnie w palec, potem przygryzła go delikatnie, a potem musnęła czubkiem języka. Uwielbiałem jej czoło i je także potarłem, a potem jej powieki – je też uwielbiałem, wszystko, wszystko, i ten uśmiech, który przywoływał i oddalał ciszę, i wprawiał moje serce w drżenie, gdy tylko ukazywał się na jej twarzy. Co myśmy wyprawiali?

– Chcę, żebyśmy porozmawiali – zaczęła – bo chcę, żebyś o czymś wiedział.

Nie miałem pojęcia, co ma na myśli, ale wiedziałem, że jeśli z jednej strony wydawała się ustępować, to z drugiej na pewno się szykowała, żeby mi to wszystko odebrać.

– Pora na tajnego agenta – powiedziała.

– Chwileczkę. – Włożyłem rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem zapieczętowaną paczkę jej papierosów.

– Żartujesz! – Stuknęła w nią i otworzyła. – Nawet nie zamierzam pytać, skąd to się u ciebie wzięło.

– Spokojnie, przecież i tak już wiesz.

Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy wykładają karty na stół – nawet kiedy trafia im się słabe rozdanie; ludziom, którzy wolą wyjaśnić wygodnie dwuznaczną sytuację choćby po to, żeby oczyścić atmosferę. Clara miała rację: nie ufałem jej, obawiałem się, że mnie zwodzi. W każdej chwili spodziewałem się usłyszeć to, czego się najbardziej bałem: „Wiesz, co chcę powiedzieć?”. Tak mi się wydaje. „Więc co?”. I nabiorę się na najstarszą sztuczkę na świecie. Skarcony jej szczerym spojrzeniem i sugestią nadchodzącego wyrzutu, przyłapałem się na pokusie, żeby ją wyprzedzić, choćby po to, żebym sam mógł to powiedzieć i nie musiał słyszeć tego z jej ust. Że powinniśmy przystopować, widywać się z innymi ludźmi, nie dopatrywać się w tym zbyt wiele, to nie ty, to ja – od kilku dni spodziewałem się tej przemowy. Wreszcie, żeby podsumować sytuację, odezwałem się: – Ja wiem, że masz inne życie poza mną i Rohmerem. – Chciałem w ten sposób pokazać, że nie jestem zazdrosny i nie mam złudzeń. Ale pragnąłem też, żeby wyczytała między wierszami, że to samo można powiedzieć o pewnych aspektach mojego życia, o których wiedziała bardzo, bardzo niewiele.

– Mogę mówić wprost? – A więc nie zamierzała pozwolić, żebym zmienił temat. – Wczoraj po południu, kiedy u mnie byłeś, mogłam cię poprosić, a ty powiedziałbyś „tak”... tylko że to byłaby bierna zgoda, podobnie jak ja mogłam się zgodzić, kiedy wieczorem się na mnie rzuciłeś i usiłowałeś zgwałcić. Ale to byłoby zwyczajne letnie „tak”. Kiedy potem wyszliśmy z baru, wiedziałeś, że nie mogę się jeszcze zdecydować. Tylko nie udawaj, że było inaczej.

A ja już miałem upozorować zaskoczenie. Lecz ona zdusiła to w zarodku.

– Daj spokój. Wiedziałeś.

To było o wiele bardziej bezpośrednie, niż się spodziewałem. Przeszła prosto do sedna, a ja poczułem nagle falę niepokoju, bo nie mogłem zgadnąć, czy Clara poruszy otwarcie wszystkie kwestie, które taktownie pomijaliśmy

milczeniem podczas naszych wspólnych wieczorów, czy też zwyczajnie wybebeszy mnie i obnaży niepewnego, strachliwego, głodnego człowieczka, którym jestem i co zawsze wiedziałem.

– Czemu nazywasz to bierną zgodą, jeśli oboje tego chcemy? – wtrąciłem.

– Bo oboje wiemy, że coś nas powstrzymuje, ale żadne z nas nie wie jeszcze, co takiego. Gdyby mniej mi zależało, powiedziałabym, że nie chcę ryzykować zranienia, ale mam gdzieś to, czy mnie zranisz, tak samo jak to, czy ja zranię ciebie. Gdyby mniej mi zależało, powiedziałabym, że to zniszczy naszą przyjaźń. Ale przyjaźń też gównu mnie obchodzi.

– A ja właśnie myślałem, że łączy nas przyjaźń albo przynajmniej nad tym pracujemy.

– Przyjaźnie są dla innych, żadne z nas tego nie pragnie. Jesteśmy sobie za bliscy jak na przyjaźń.

Więc nie było nadziei na nic? Nagle jedynym, o czym mogłem myśleć, było wyrażenie „złamane serce”. Łamiesz mi serce, Claro, a twoje słowa są okrutne i raniące i wzbudzają we mnie cierpienie, i pękają mi od nich naczynia krwionośne. Bo też naprawdę serce waliło mi mocno. Wszystko to było tak smutne, że nagle po raz pierwszy w życiu przyłapałem się na chęci, żeby się popłakać, ponieważ jakaś kobieta odmówiła mi, zanim choćby zdążyłem ją spytać. A może już zapytałem? Czy nie pytam od kilku dni? Czy mężczyźni naprawdę płaczą w ten sposób – a jeśli tak, to co ja robiłem przez całe życie? Zawsze będę cię za to nienawidził: za to, że przywiodłaś mnie na skraj otchłani i zmusiłaś do spojrzenia w dół, tak jak zmusza się więźnia do patrzenia na brutalną egzekucję towarzysza z celi tylko po to, żeby powiedzieć mu – ale już po tym, jak ujrzy to barbarzyńskie zabójstwo – że został skazany przez pomyłkę i właściwie może iść wolno.

Musiła to zauważyć. Może widziała to już dzisiejszego popołudnia z Inkym.

– Proszę cię, nie – powiedziała tak samo jak ostatnio. – Bo jak ty zaczniesz, to i ja zacznę, a wtedy wszystko się pomiesza, cały system padnie i znowu wrócimy do punktu, gdzie byliśmy przed tą rozmową.

– Może właśnie wolałbym wrócić do punktu, gdzie byliśmy przed tą rozmową. Bo teraz zmierza ona w kierunku, który mi się nie spodoba.

– Dlaczego? Przecież nie jesteś zaskoczony. Ja też nie.

Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, coś przejęło nade mną władzę. Było to całkowicie poza scenariuszem i mogło zepchnąć naszą rozmowę na beznadziejny, banalny poziom, ale nie miałem już nic do stracenia, żadnej godności, żadnej amunicji, ani kropli wody w tykwie, i czułem, że warto cisnąć resztki dumy w ogień, tak jak w bardzo zimny dzień przemarznięty ubogi poeta mógłby rzucić w płomień swój manuskrypt, żeby się ogrzać, odnaleźć miłość, wzgardzić sztuką i pokazać przeznaczeniu coś takiego, że nieźle by się zdziwiło.

– Powiedzmy sobie szczerze – powiedziałem. – Zwyczajnie cię nie pociągam. Po prostu powiedz, że z twojej strony brakuje iskry. Nie lecisz na mnie. Powiedz to. Nie załamie się. Ale przynajmniej oczyścimy atmosferę.

– Ty zawsze grasz, nawet kiedy jesteś poważny. To nie ma nic wspólnego z fizycznym pociąganiem. Jeśli już, to zabrnęliśmy tak daleko właśnie dlatego, że mnie pociągasz.

A to mi nowość! Więc tak błędnie odczytywałem jej sygnały, że nawet tego nie zauważyłem, dopóki sama nie powiedziała mi bez ogródek – a może teraz to ona z kolei ze mną grała, sięgnęła po pierwszą kartę z brzegu, byle tylko zapobiec milczeniu, którego nie znosiła pewnie tak samo jak ja.

– A więc twoim zdaniem powinienem czuć się polechtany – stwierdziłem. To była ironia. Choć może chciałem, żeby powiedziała to jeszcze raz, głośno i wyraźnie.

– Pochlebstwo nie ma z tym nic wspólnego. W dupie mam pochlebstwo, i ty też. Oboje chcemy czegoś innego.

– Czyli jak: ty niby wiesz, czego chcesz?

– A ty?

– Chyba tak. Chciałem tego od samego początku i doskonale o tym wiesz.

– Wcale nie. Pukasz do drzwi, ale sam nie jesteś pewien, czy chcesz, żeby



ci otworzono.

– A ty?

– Ja nie pukam. Już sobie otworzyłam. Ale fakt, nie weszłam jeszcze do środka.

– Może dlatego, że mi nie ufasz.

– Może.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– Ale chyba nie boisz się, że cię zranię albo odrzucę, prawda? – zapytałam. – Przeraza cię, że możesz we mnie czegoś nie znaleźć. Boisz się rozczarowania.

– A ty nie? – zapytała natychmiast, jakby wcale jej to nie zaskoczyło.

– Sztywnieję ze strachu – odparłam. Przesadzałam.

– Sztywniejesz ze strachu – powtórzyła. – To chyba niezbyt dobrze świadczy o nas obojgu, prawda? A może jesteśmy zwyczajnie dwójką tchórzliwych myszy. Dwójką tchórzliwych myszy i niczym więcej.

Ten kierunek rozmowy też nie bardzo mi się podobał.

– No dobrze, może sztywnieję ze strachu, ale i tak powiem ci jedno – stwierdziłam. – Nie mogę przestać o tobie myśleć. Ani na chwilę, ani na chwilę, ani na chwilę. To po prostu fakt. I cieszę się, że ten tydzień jest taki magiczny, świąteczny, jak śnieżny świat w szklanej kuli... Byłem przy tobie w każdej minucie każdego dnia. Jem z tobą posiłki, biorę z tobą prysznic, śpiam z tobą. Moja poduszka ma już dość dźwięku twojego imienia.

To jej chyba nie zaskoczyło.

– Nazywasz ją Clarą?

– Nazywam ją Clarą, mówię jej o rzeczach, o których nigdy nikomu nie opowiadałem, a jeśli wypiję dziś jeszcze trochę, to powiem ci coś, po czym jutro nie będę w stanie spojrzeć ci w twarz.

Ciężkie, ponure milczenie, które między nami zapadło, uświadomiło mi, że przesadziłem i popełniłem straszliwy błąd. Jak się z tego wycofać?

– Jeśli już musisz wiedzieć, to ja mam praktycznie tak samo – przyznała Clara niemal niechętnie i w jej głosie słychać było coś w rodzaju wstrzymywanego żalu, jakby odpowiednik bezradnego wzruszenia ramionami w momencie, kiedy zawodzą cię słowa. Czy blefowała? A może tylko podnosiła stawkę? – Kiedy nikogo przy mnie nie ma, powtarzam sobie twoje imię.

Czy to była ta sama dziewczyna, która nie śpiewała pod prysznicem?

– Dlaczego do tej pory nic o tym nie mówiłaś? – zapytałem.

– Bo ty też nic o tym nie mówiłeś, panie Amfibalencjo, panie Bramko Numer Trzy.

– Trzymałem się zasad, które ustaliłaś.

– Jakich znowu zasad?

Spojrzałem na nią bardziej zdumiony niż kiedykolwiek dotąd. Te ostrzeżenia, blokady na drodze, subtelne przestrogi – wszystkie były niczym?

Przyniesiono nam frytki. Clara wycisnęła na nie odrobinę keczupu, a potem więcej. Przymierzała się, żeby coś powiedzieć. Najpierw jednak podniosła jedną frytkę kciukiem i palcem wskazującym. Frytka wisiała tak, oczekując na chrzest w keczupie, podczas gdy Clara wpatrywała się w nią jak w amulet, świętą relikwię czy fragment kości patrona i prosiła o wspomóżenie w tej trudnej sytuacji.

– Powiem jedno, a ty możesz mi uwierzyć lub nie, śmiać się ze mnie lub nie: jestem gotowa pójść z tobą na całość – oświadczyła. – Dziś po południu wyszłam od ciebie z wrażeniem, jakbym popełniała największy błąd swojego życia, i myślałam, że nigdy nie zdołam tego naprawić. Kiedy tylko zobaczyłam Inky’ego, poczułam, że natychmiast muszę się wyrwać pod byle pretekstem, choć nie byłam pewna, czy cię znajdę, czy będziesz sam, czy w ogóle się ucieszysz na mój widok. Ale zaryzykowałam i przyszłam. Zostawiłam ci milion wiadomości, tyle że nie raczyłeś ich sprawdzić.

Nie sprawdzałem właśnie z obawy przed tym, że żadna wiadomość nie będzie na mnie czekać.

– Ciągle miałem nadzieję, że zadzwonisz, i właśnie dlatego w końcu

wyszedłem z domu i poszedłem na siłownię.

– Bardzo sensowne, prawda? I przypuszczam, że zapewne z tego samego powodu wyłączyłeś swój *télyfön*?

Nie było sensu zaprzeczać.

– Tak jak mówię, Printzu: jestem gotowa.

Nie wiedziałem, co dokładnie ma na myśli, ale bałem się zapytać. Było jednak oczywiste, że w jej zdaniu kryło się asertywne wyzwanie: „Twój ruch”.

– A mogłabyś mnie teraz po prostu pocałować i skończyć tę dyskusję?

Nachyliła się ku mnie, objęła mnie za kark, zsunęła mój golf i pocałowała mnie w szyję – w sposób nietypowo długi i zmysłowy jak na pierwszy pocałunek.

– Od godziny gapię się na twoją skórę. Musiałam sprawdzić, jak smakuje – powiedziała, dotykając moich skroni i policzków.

– A ja od kilku dni gapię się na twoje zęby.

To był pierwszy z wielu pocałunków. Jej oddech smakował chlebem i wiedeńskimi herbatnikami.

Ostatnią kolejkę dostaliśmy na koszt firmy, dzięki kelnerce, która przez cały tydzień pracowała tam na nocną zmianę. Siedzieliśmy na naszej ławeczce bez ruchu, w obawie, że każde drgnięcie czy zmiana może przerwać czar i wciągnąć nas z powrotem w czające się za rogiem wątpliwości i rozczarowania.

Wreszcie Clara powiedziała:

– Tylko teraz nie zachowuj się tak, jakby to wszystko działo się tylko w mojej głowie. Już ja cię znam – stwierdziła. – I siebie też. Chcę tego, ale wiem także, do czego mnie skłonisz, i modlę się, modlę się, żebyś tego nie zrobił.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

– Czy ty nie masz za grosz zaufania, za grosz wiary? – zapytałem.

– Ani odrobiny. – W chwilach najwyższej czułości jej język stawał się jak piła.

Przyszło mi do głowy, że ona myśli to samo o mnie. Gdyby zapytała, czy komukolwiek ufam, odpowiedziałbym identycznie.

W którymś momencie powiedziałem, że muszę iść do łazienki.

– Jeśli nie wrócisz w ciągu minuty, ogarnie mnie ogromny pandełek i pomyślę, że wymknąłeś się jakąś tylną alejką pełną szczurów, a wtedy po prostu sobie pójdę... bo wiem, że tego nie zniosę.

– Idę się tylko wysuszać, okej?

Ale w drodze do ubikacji przyszła mi do głowy pewna myśl: dzisiaj się z nią prześpię, a jutro się zobaczy. Byłem ciekawy, czy w łóżku może być jeszcze bardziej namiętna niż przy naszym stoliku, czy też okaże się typem, który wymaga tego i tamtego, i więcej tego, a mniej tamtego, tylko proszę bez żadnego podgryzania, a może będzie to takie zwierzęce kochanie się, przy którym zaczniemy zdzierać z siebie ubrania, gdy tylko wejdziemy do windy i znikniemy z oczu portiera? A może zrobimy to przy świecach, z tyłu będzie się rozpościerał Straus Park, a Prince Oscar będzie czuwał nad nami pod oknem, my zaś będziemy stali nadzy i oglądali noc niczym dwie bezsenne gwiazdy, słuchając znowu i jeszcze raz, i wiele, wiele razy *Hymnu dziękczynienia* Beethovena? A może będzie tak jak zawsze z nią: chłodny podmuch zimowego wiatru na polu minowym pełnym gorących gejzerów? W łazience zobaczyłem w lustrze swoje odbicie i uśmiechnąłem się. Wypiłem trzy, nie – cztery szkockie.

– Cześć – powiedziałem wreszcie na głos.

– Cześć – odpowiedział on.

Spojrzałem w dół na swojego Pana Gwidona, moje cierpliwe przybrane dziecko milczenia.

– Kto tu jest prawdziwym facetem? – zapytałem w końcu.

– Ty – odparłem, patrząc, jak wypełnia swoją podrzędną funkcję.

– Kto cię kocha?

– Ty – powiedział, nadal szczerząc się w uśmiechu.

– To twoja chwila, a dzisiejsza noc należy do ciebie, mój ty nieustraszony hultaju.

Oparłem się czołem o chłodną, lśniąca stalową rurę połączoną ze spłuczka, na której zebrała się para, i stałem tak przy pisuarze, z czołem przyciśniętym do dużej sześciobocznej nakrętki, ciesząc się chłodem i uśmiechając się do siebie za każdym razem, kiedy w mojej głowie rozbrzmiewały te same słowa: Kto tu jest prawdziwym facetem? Ty. Kto jest prawdziwym facetem? Ty. O mało co nie wybuchnąłem głośnym śmiechem. Najpiękniejsza chwila mojego życia zdarzyła się przed pisuarem. Tylko proszę, proszę, żebym nie przestał jej kochać, żebym tego nie zepsuł albo nie obudził się zaspokojony i obojętny. Byle nie to.

Kiedy wróciłem do Clary, zrobiła bardzo zaniepokojoną minę.

– Co ci się stało w twarz? Przewróciłeś się?

Nie miałem pojęcia, o czym mówiła. Za bardzo się skupiałem na tym, żeby przy siadaniu nie stracić równowagi.

– Masz coś na czole, wygląda jak rana... Nie, jak siniak. – Dotykała go troskliwie. Czy ta kobieta, która rozcinała mnie na dwoje za pomocą kilku sylab, okazywała teraz czułość mojemu czołu? Dotknąłem go. Rzeczywiście: było w nim wyraźne wgłębienie. Czy mocno krwawiłem? Jak to się mogło stać? Nagle sobie przypomniałem. Tamten duży przycisk na stalowej rurze – chyba opierałem się o niego przez całą wieczność.

– Od samego patrzenia mam ochotę cię dotknąć. Co tak długo? Co tak naprawdę tam robiłeś, Printzu?

– Claro Brunschvicg, szokujesz mnie.

I znowu się pocałowaliśmy. We mgle naszych pieszczot i kochania zrozumiałem, dlaczego ludzie dotykają się ustami. Dlatego właśnie ludzie się całują – myślałem, jak mógłby myśleć kosmita z odległej konstelacji po przymierzeniu ludzkiego ciała. „A więc dlatego oni to robią”. Chciałem zapytać, co właściwie robiłem do tej pory. Kim wypełniałem sobie życie? I co robiły w nim te wszystkie kobiety? Po co, z jakiego powodu, dla jakiej przyjemności, w jakim celu, skoro było tak jasne, że niewiele miłości przyjmowałem, a jeszcze mniej dawałem? Czy każda z nich była tylko

niedzielnym wypełniaczem czasu? Jakie ogrody różane przespałem i czym moglibyśmy w tym czasie handlować na hałaśliwej Giełdzie Miłości? A może to nie miało znaczenia, o ile tylko statki nadal przewoziły towary, transakcje nadal były dokonywane, a keje buzowały życiem – ludzie, gwar, miejsca, ładunki, kupowanie, sprzedawanie, pożyczanie – tylko że w końcu wszyscy zawsze, zawsze kończyli sami, a nad doliną pandelęku zapadała noc.

Po co w ogóle się zastanawiać, czym się różniła ta sytuacja?

W toalecie poświęciłem chwilę na sprawdzenie, czy nie dostałem jakichś wiadomości. Clara dzwoniła do mnie osiem razy, ale nic nie napisała. Dlaczego zakładałem, że kłamie, kiedy twierdziła, że do mnie wydzwaniała? Bo mi nie ufasz, bo się mnie boisz. Ale czego się boję? Boisz się. Boisz się, bo mogę być lepsza od ciebie. Boisz się, bo w przeciwieństwie do miłości z innymi kobietami nie masz pojęcia, do czego to zmierza. Boisz się, że wbrew temu, w co rozpaczliwie chcesz wierzyć, nigdy nie zapragniesz, żeby to się skończyło. Boisz się – i dopiero teraz zaczyna to do ciebie docierać – że mogę być tą jedyną, Printzu, a te przeszkody i zakłócenia, które braliśmy za dzielącą nas skałę, od początku były właśnie tym, co nas ze sobą połączyło. Dzisiaj podobam ci się bardziej, niż jesteś w stanie zrozumieć. Ale śmiertelnie przeraża cię możliwość, że jutro będziesz pragnął mnie jeszcze bardziej.

Znałem ją zaledwie od pięciu dni, ale już wiedziałem, że łączy nas coś, co scala planety i stanowi materiał opowieści o żywotach sterowanych przez los, bogów lub mgławice minionych duchów oplakujących miłości, których czas nie wskrzesi ani błagania nie ożywią. Jesteś jak klątwa rzucona na moją ziemię, Claro, i mój ród będzie musiał cię zmywać przez całe pokolenia.

Claro, kłamałem: nie boję się rozczarowania, boję się, że otrzymam coś, na co nie zasługuję, i nie wiedziałbym, co z tym zrobić, a już na pewno nie potrafiłbym o to codziennie walczyć. I owszem, boję się, że jesteś lepsza ode mnie. Boję się, że jutro będę cię kochał bardziej niż dzisiaj, i co się wtedy z nami stanie?

– Jutro grają *Noce pełni księżyca* – powiedziała.

Nie odpowiedziałem. Przechwyciła moje milczenie, zanim sam zdążyłem to zrobić.

– Myślisz o tym, o czym wydaje mi się, że myślisz?

Ona wiedziała, wiedziała.

– Nie wiesz, czy będzie jeszcze jakieś jutro?

– A ty wiesz?

– Niczego nie obiecuję.

– Ja też nie. – Przemawiała przeze mnie buta.

– Printzu, czasami sam nie wiesz, co wygadujesz.

Znowu szliśmy na noże.

– Ale powiem szczerze...

– Tak...? – Jak zwykle mała groźba, która bodzie jak igła i przyspiesza puls, aż krew buzuje w tobie w panice.

– Powiem szczerze, żebyś potem nie miał do mnie pretensji, że tego nie zrobiłam: jestem w tobie bardziej zakochana, niż masz pojęcie. Bardziej niż ty we mnie.

Znowu się pocałowaliśmy. Nie obchodziło nas, czy ktoś patrzy. Nikt w tym barze nie przyglądał się parom. Byłem z kobietą, która tej nocy miała się ze mną kochać. Miała się ze mną kochać nie tak zwyczajnie, ale bardziej niż zwyczajnie. Oddzielały nas od siebie jedynie swetry. A potem będziemy razem nadzy, jej uda przy moich udach, twarzą w twarz, bardzo twarzą w twarz, i będziemy kontynuować od miejsca, w którym przerwaliśmy w barze, i kochając się, nadal będziemy rozmawiać i śmiać się, i tak w kółko do samego rana i do wyczerpania. Miałem przy sobie – i ta myśl przyszła do mnie z tak daleka, że z łatwością mógłbym ją na jakiś czas odłożyć – pierwszą i jedyną kobietę, z którą pragnąłem się kochać.

Tymczasem napadało sporo śniegu. Jego warstwa pod drzwiami baru przywiodła mi na myśl naszą pierwszą wspólną noc, kiedy wyszliśmy z przyjęcia i Clara na kilka minut narzuciła na siebie mój płaszcz, a potem mi go oddała, ja zaś powlokłem się schodami obok posągu na Riverside Drive, myśląc sobie, że za wcześnie wyszedłem z przyjęcia i powinienem być zostać jeszcze na chwilę – kogo obchodzi, czy pomyślą, że mi się podobało i chciałbym zostać na śniadanie! Po czym zmieniłem zdanie i poszedłem do

Straus Parku, gdzie siedziałem i rozmyślałem, i wspominałem te minuty, kiedy wróciliśmy z mszy, a ona pokazała mi swoją ławkę. Tyle lat już żyję, a nigdy dotąd nie czułem czegoś podobnego.

– Poczekaj – powiedziała przed wyjściem z baru. – Muszę zawiązać swój szal.

Po chwili niemal cała jej twarz skryła się w fałdach materiału. Widać było tylko oczy i kawałek czoła.

Na rogu objąłem ją ramieniem i pozwoliłem, żeby wtuliła się we mnie jak zwykle, kiedy szliśmy razem. A potem, nie dbając o to, ile czasu zajęło jej zakrycie głowy szalem, wsunąłem pod niego rękę i dotknąłem jej twarzy, po czym odsunąłem go tak, żeby móc znowu dosięgnąć jej ust. Oparła się plecami o okno piekarni i pozwoliła mi się całować, i jedynym, co wtedy czułem, było moje krocze przy jej kroczu, napierające leciutko raz i znowu, kiedy najpierw ustąpiła, a potem sama naparła, łagodnie, bo przez cały czas się do tego przygotowywaliśmy i to także była tylko próba. Właśnie po to wynaleziono seks i dlatego ludzie się ze sobą kochają, wchodzą nawzajem w swoje ciała, a potem razem śpią – właśnie po to, a nie z żadnego z wielu powodów, które sobie wyobrażałem i którym dałem się kierować w całym moim życiu. Ile jeszcze spraw, o których nie miałem pojęcia, było mi dane dziś odkryć? Ludzie kochają się nie dlatego, że chcą, ale ponieważ nakazuje im tak coś o wiele starszego od czasu, a jednak mniejszego od biedronki, i dlatego właśnie nic na świecie nie mogło być dla nas bardziej naturalne i mniej niezręczne niż fakt, że ona dotykała mojej ocierającej się o nią twardości czy że nasze biodra dawały się ponieść swojemu własnemu rytmowi. Po raz pierwszy w życiu nie zamierzałem nikogo uwodzić ani też udawać, że nie uwodzę; ten etap miałem już dawno za sobą.

Ale być może nastąpił on dużo wcześniej i mój umysł za nim nie nadążał, ociągał się z tyłu jak dziecko, które spowalnia idącą przodem resztę grupy.

– To moja piekarnia, tutaj kupuję kawę – powiedziała Clara.

Co to ma za znaczenie? – pomyślałem.

– A muffiny?



– Czasami. – Znowu się pocałowaliśmy.

W parku przystanęła pod posągiem.

– Czy to nie jest najpiękniejsza rzeźba na świecie?

– Bez ciebie nic by nie znaczyła – odparłem.

– To moje dzieciństwo, moje szkolne lata, wszystko. Spotkaliśmy się tutaj dziś rano i teraz znowu tu jesteśmy. Ona ma w sobie tyle z ciebie.

Świat Clary.

Pośrodku zimnej nocy zacząłem obawiać się tego, co nastąpi, kiedy dotrzemy na miejsce, i miałem nadzieję, że uda mi się to opóźnić – nie dlatego, że (jak w poprzednie noce) będzie to oznaczać pożegnanie po zdawkowym całusie i zdawkowym uścisku, ale ponieważ dzisiaj będę musiał powiedzieć to, czego dotąd nie miałem odwagi powiedzieć, co do czego nawet nie byłem pewien, czy chcę to mówić: „Niczego bardziej nie pragnę niż wejść na górę, Claro, ale potrzebuję czasu”.

Popatrzyła na mnie, kiedy zbliżaliśmy się do drzwi jej budynku. Wyczuła kłopoty.

– Czy zrobiłam coś nie tak?

– Skądże.

– Więc o co chodzi? Co się dzieje?

Ja byłem dziewczyną, a ona mężczyzną.

Zatrzymałem się na chodniku, nie wypuszczając jej z ramion. Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, więc palnąłem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

– To za wcześnie, za nagle, za szybko – powiedziałem.

– Co masz na myśli?

– Nie chcę się z tym spieszyć. Nie chcę tego popsuć.

Może nie chciałem, żeby pomyślała, że jestem jak wszyscy inni, i byłem zdecydowany jej to udowodnić.

A może pragnąłem uniknąć Borysa i jego drwiącego uśmiešku mówiącego: „Wreszcie ci się poszczęści”?

A może zwyczajnie chciałem przeciągnąć trochę nasz romans i dać mu dojrzeć jak winorośli?

– Więc zostawisz mnie tu samą i pójdziesz do domu w taką pogodę? Przynajmniej prześpij się na kanapie.

– Oglądaliśmy za dużo filmów Rohmera.

– Popelniasz ogromny błąd...

– Potrzebuję jeszcze jednego dnia.

– On potrzebuje jeszcze jednego dnia.

Wysunęła się spod mojego ramienia.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Pokręciłem głową.

– Czy ty... – I widziałem, że próbuje dobrać odpowiednie słowa, ale nie mogła ich znaleźć. – Czy masz jakiś problem? Nie jestem w twoim typie?

– Dla twojej informacji, nie mam żadnego problemu. A jeśli chodzi o to drugie: trafiłaś jak kulą w płot.

– Mimo to popelniasz błąd.

Oboje byliśmy już bardzo zmarznięci i całe szczęście, że Borys uchylił odrobinę drzwi do lobby.

– Pocałuj mnie jeszcze raz.

Z jakiegoś powodu obecność Borysa mnie krępowała, ale jej nie. Mimo to pocałowałem ją w usta, i jeszcze raz, a ona, jakby przypominając sobie gest, który zbliżył nas do siebie bardziej niż cała reszta, ściągnęła mi z szyi golf, odsłoniła moje gardło i złożyła na nim długi pocałunek.

– Uwielbiam twój zapach.

– A ja uwielbiam w tobie wszystko, zwyczajnie wszystko... i już.

Spojrzała na mnie.

– Idiota. – To był cytat z filmowej Maud.

– Wiem.

– Tylko nie zapomnij. Jutro z samego rana masz do mnie zadzwonić – dodała, wykonując gest, który często parodiowała, polegający na wycelowaniu we mnie kciukiem i palcem wskazującym. – Bo inaczej sam wiesz, jak zareaguję: kiedy wpadnę w łapy pandelęku, to nie wiadomo, na co mnie stać.

Postarałem się ją uspokoić.

– Printzu, nie powinnam ci tego mówić, bo na to nie zasługujesz, ale jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie w tym roku spotkała.

## Noc szósta

Tamtej nocy, w Straus Parku, o mało nie zapaliłem papierosa. Było za zimno, żeby przesiadywać na ławce, i zaczął padać śnieg, więc postąpiłem tylko przez chwilę i ruszyłem w dalszą drogę. Któregoś dnia mi to zbrzydnie. Któregoś dnia przejdę tędy i zapomnę, żeby tu zajrzeć.

Zadzwoniłem do niej niemal natychmiast po dotarciu do domu. Nie, nie spała. Ona też nie chciała stracić tego uczucia. Nie, w tym samym miejscu, pod oknem, w męskiej piżamie. Wydawała się śpiąca i zmęczona, ale poza tym była taka sama jak w momencie, kiedy się z nią żegnałem. Nadal czuję twój zapach – powiedziała. – I to będzie tak, jakbym z tobą spała. Czuję, że odpływa – może nie pozwalałem jej zasnąć.

– Nie, nie rozłączaj się jeszcze. Cieszę się, że zadzwoniłeś.

Powiedziała, że może jednak postąpiłem słusznie.

– Dzwoniąc? – zapytałem.

– Dzwoniąc też.

W naszej rozmowie następowały długie momenty ciszy. Powiedziałem jej, że jeszcze nigdy nie czułem do nikogo czegoś takiego.

– A ja owszem – odparła i po chwilowej przerwie wyjaśniła: – Do ciebie.

Ujrzałem w myślach uśmiech rozlewający się po jej twarzy, dołeczki w policzkach, jej rękę, kiedy pocierała sobie czoło. Chcę być z tobą nago. Przecież cię zapraszałam.

Powiedzieliśmy sobie „dobranoc”, ale żadne z nas się nie rozłączyło i tylko na przemian jedno ponaglało drugie, żeby odwiesiło słuchawkę, i za każdym razem, kiedy się żegnaliśmy, następowała długa cisza. Claro? Tak? Nie rozłączyłaś się. Już się rozłączam. Długa cisza. Ale nie chciała się rozłączyć. Całą godzinę jechałeś do domu? Prawie. Ale ty masz pomysły, Printzu. Żeby wracać o tej porze do domu. A byłabym taka szczęśliwa, i ciebie też bym uszczęśliwiła. Dobranoc – powiedziałem. Dobranoc –

powiedziała. Ale nie usłyszałem trzasku słuchawki, a kiedy spytałem, czy nadal tam jest, dotarł do mnie zduszony chichot.

- Claro B., jesteś szalona.
- Ja jestem szalona? To ty jesteś szalony!
- Ja szaleję wyłącznie za tobą.
- Ewidentnie niewystarczająco.

Następnego ranka nie chciałem dzwonić do niej zbyt późno, żeby nie wyszła z domu. Ale też nie chciałem zadzwonić za wcześnie. Przez jakiś czas zwlekałem z prysznicem, a potem na wszelki wypadek zabrałem oba telefony do łazienki, bo może Clara sama do mnie zadzwoni. Co do śniadania, nie miałem najmniejszego zamiaru wychodzić z domu, zanim z nią nie porozmawiam. I wtedy właśnie wpadłem na pomysł, żeby kupić trochę muffinów i bułeczek, schludnie zawiniętych w białą papierową torbę. Zgadza się. Dwie kawy i zestaw muffinów, bułeczek i innych smakołyków, schludnie zawiniętych...

W drodze pod prysznic zauważyłem na dywanie stosik soli wciąż pokrytej żłobieniami po palcach Clary. Mój Boże, ona była tutaj niecałe dwadzieścia cztery godziny temu – tutaj, dokładnie w tym miejscu, siedziała na tym dywanie, na bosaka, z czekoladowymi ciasteczkami między palcami u nóg. Ta myśl wydawała się nierealna, niemożliwa do objęcia umysłem, jakby jakaś istota wyższego rzędu zeszła nagle z wysokości, aby złożyć wizytę na moim jałowym, nudnym ziemskim padole. Wczoraj byliśmy razem – powtarzałem sobie w kółko.

Patrzyłem na plamę, obawiając się, że straci swój powab i znaczenie i w rezultacie również Clara zacznie się cofać, odsuwać jak fale odpływu spod przybrzeżnego miasteczka, które ledwie kilka godzin temu wydawało się oddalone od wody raptem o kilka kroków.

Kiedy kupowałem ten dywan, w mojej głowie nie powstała nawet myśl o kimś takim jak Clara, a jednak tamta późnomajowa niedziela na aukcji, gdy kupiliśmy go z ojcem na okoliczność przeprowadzki do tego mieszkania, była teraz nierozzerwalnie związana z tą plamą, jakby Clara i dywan i mój ojciec – chcący mi pokazać, jak się kupuje na aukcji, bo takich rzeczy trzeba

się uczyć – znajdowali się na trzech z pozoru całkowicie osobnych ścieżkach, którym pisane było zbiec się właśnie w tej plamie. Na tej samej zasadzie zdjęcia zwierzęcych klatek w Tiergarten straciłyby do tej pory znaczenie, gdyby nie połączyły się teraz z dzieckiem urodzonym latem tamtego roku o tysiące kilometrów dalej.

Uwielbiałem patrzeć na swoje życie w ten sposób – w kluczu Clarowym – jakby coś podporządkowało mu każde wydarzenie zgodnie z zasadami bardziej świetlanymi i promiennymi niż reguły samej egzystencji; w retrospekcji sens każdego z tych epizodów jawił mi się wyraźnie – ale tylko w retrospekcji. To, co przedtem było ślepym trafem i przypadkiem, nagle stawało się intencjonalne. Zbieg okoliczności i łut szczęścia przestawały być chaotyczne, a stawały się objawami inteligencji, której lepiej nie zakłócać spokoju ani nie narzucać się zbyt wieloma pytaniami. Nawet miłość nie była niczym więcej jak naszym sposobem sklecania razem przypadkowych elementów życia w coś pokrewnego znaczeniu i planowości.

Jak zręczna, jak naturalna, jak oczywista była jej propozycja, żebyśmy zjedli u mnie lunch. Mnie nigdy by to nie przyszło do głowy. Jak prosty sposób, w jaki podeszła do mnie na przyjęciu. Gdyby pozostawiono mnie samemu sobie, spędziłbym cały wieczór, usiłując nawiązać z nią rozmowę i wreszcie poddałbym się, słysząc, jak mówi do kogoś coś zdawkowego, cierpkiego i okrutnego.

Spojrzałem na sól na dywanie i odnowiłem swoje postanowienie, aby nigdy jej nie ruszać. Oto dowód, że byliśmy razem szczęśliwi, że mogliśmy spędzić wspólnie cały dzień i się sobą nie znudzić.

Oczywiście obawiałem się, że radość, którą odczuwałem, jest jak drzewo, które zapuściło korzenie na poszarpanej krawędzi klifu. Drzewa takie mogą wyciągać szyje i nadstawiać liście ku słońcu, ale ostatnie słowo zawsze należy do grawitacji. Proszę, niech nie stanę się winnym obalenia tego drzewa. Jest we mnie tyle sarkazmu, taka susza, nie wspominając już o strachu, dumie, niedowierzaniu i nikczemnej skłonności do działania na przekór sobie choćby po to, żeby udowodnić, że mogę sobie poradzić bez wielu rzeczy, które życie podsuwa mi pod nos, i to do tego stopnia, że pierwszy zepchnę nieszczęsną sadzonkę do wody. Nie rób tego. Jeśli już, pozwól, żeby ona to zrobiła.

Znowu pomyślałem o poprzedniej nocy i tym, jak nasze biodra poruszały się w jednym rytmie. „To za wcześnie, za nagle, za szybko”. Co za idiota!

Porównajmy to z „Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie w tym roku spotkała”. Można by zabrać te słowa do maklera, wykupić opcję sprzedaży podczas bessy i nadal nieźle zarobić – chwyciłem ich ukryty blask i wypuszczałem go ponownie, żeby jeszcze raz pochwycić, i tak w kółko, zupełnie jakbym nieustannie gładził palcami przyjemnie okrągły koralik na łańcuszku składającym się z sześciobocznych paciorków. Nawet kiedy zapomniałem o tych słowach, wiedziałem, że czekają w pobliżu, niczym kot ocierający się grzbietem o zamknięte drzwi. Czasem nawet specjalnie ociągałem się z wpuszczeniem go do domu, wiedząc, że gdy tylko się na to zdecyduję, on natychmiast wprosi się do środka i skoczy mi na kolana – „Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie w tym roku spotkała”.

Przed oczami stanęła mi Clara, nadal w okularach, w jej męskiej piżamie, białych skarpetkach i niczym więcej.

– Więc teraz już nie jest za wcześnie, za nagle, za szybko? – zapytałaby.

– Pieprzyć za wcześnie, za nagle, za szybko – odparłbym, próbując zapanować nad chęcią rozwiązania troczków jej piżamy. – Zrzucaj łaszki, zostaw skarpety, sio z tymi szklami i daj mi się zobaczyć nago w świetle poranka, moja północy, moje południe, mój *strudel gâteau*, Oskár i Brunschvicg gotowi do dzieła, spięci i sprawni jak atakujące gady. Zastanawiam się, czy kawa zdąży wystygnać. Podzielmy się muffinami, błogosławmy spadające okruchy, słodkie lukrowane bułeczki i wisienki na torcie, zostańmy w łóżku, sięgajmy tylko po kawę, dopóki znowu nie ogarnie nas podniecenie, i będziemy to określać terminem „pieczenie *strudel gâteau*”.

Rano pod prysznicem – ręce z dala od Gwidona.

– Więc kochałeś się ze mną wczorajszej nocy? – zapyta Clara.

– Absolutnie nie – odpowiem. Nie kochałem.

Było przed dziewiątą i wychodziłem właśnie z domu, kiedy zadzwonił telefon. Miałem nadzieję, że zdołam odebrać tym samym zmęczonym, intymnym, pozbawionym barier głosem co wczoraj w nocy – może nawet udam go, jeśli nie przyjdzie mi naturalnie. Ale to był tylko dostawca.

Podniecenie, z jakim rzuciłem się odebrać, uprzytomniło mi, jak bardzo pragnąłem, żeby to była Clara – dzisiaj tak samo jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak każdego wieczoru w tym tygodniu. Zastanawiałem się, czy jej głos będzie brzmiał równie ociężale i chrapliwie co poprzedniej nocy, niepomny na wszystko, co nie miało z nami związku – a może Clara znowu wróci do swojego beztroskiego, energicznego ja, lekkiego i szybkiego, czujnego i cierpkiego; nieposkromiona przygana tylko czekająca na wbicie żądła w ofiarę.

Dostawca jakoś wolno szedł.

– Wjeżdża na górę – powiedział portier, kiedy zadzwoniłem do lobby. Czekałem. Było już po dziewiątej. Czekałem dalej. Znowu zadzwoniłem przez domofon i kazałem portierowi sprawdzić, czemu to tak długo trwa. Odwiesiłem słuchawkę. Telefon zadzwonił jeszcze raz.

– Co? – krzyknąłem.

– Czyżbyś się nie spodziewał, że zadzwonię?

Najwyraźniej musiałem mówić z irytacją i wysyłałem zupełnie nieodpowiednie sygnały. Głos Clary, tak jak się spodziewałem, brzmiał zupełnie trzeźwo.

– Śmiesznie się składa, właśnie się do ciebie wybierałem z kawą i muffinami.

Wiedziałem jednak, że za jej tonem coś się kryło. Nie byłem do końca pewien, co ją zdradziło, ale czułem, że zapowiada się coś złego.

– Jak miło, ale niestety muszę jechać aż do centrum. Właśnie wychodziłam.

Dlaczego nie ufałem temu przeciągłemu, zbolątemu „aż do centrum”, mającemu sugerować, że wyprawa do centrum to niemiły i bolesny obowiązek, który z pewnością zepsuje Clarze cały poranek?

Więc po co w takim razie dzwoniła? Żeby podtrzymać kontakt, zachować przy życiu ostatnią noc, upewnić nas oboje, że nic się nie zmieniło? A może ponieważ za długo zwlekałem z telefonem, ogarnął ją „straszliwy pandełek”? A może było to jej przewencyjne wyznanie: prawda jako przykrywką, co



tłumaczyłoby zdawkowy pośpiech i dywersyjną mdłomowę jej „aż do centrum”?

Do szału mnie doprowadzało, że zawsze pozwalałem, aby wydarzenia i inni ludzie dyktowali przebieg mojego dnia. Bierność? Nieśmiałość? A może była to zwykła męska ustępliwość, która z obawy przed odrzuceniem wynajduje honorowe przeszkody na drodze do zadania pytania? Mogłem zaproponować, że pojedę razem z nią, ale tego nie zrobiłem. I mogłem powiedzieć, że spotkam się z nią bezpośrednio potem, ale tego też nie zrobiłem. Clara, wyczuwając, że nie przymierzam się ani do jednego, ani do drugiego, mogła nabrać podejrzeń, że nie mam wielkiej ochoty się z nią widzieć. Ale to nie miało sensu. Po co oferowałbym, że wpadnę do niej ze śniadaniem, jeśli nie chciałbym się z nią zobaczyć? Choć z drugiej strony: dlaczego tak bardzo ułatwiałem jej decyzję, żeby jednak nie zmienić planów pojechania „aż do centrum”? Może po to, żeby ukryć rozczarowanie?

Wiedziałem, że pozwalałam, aby cały dzień – a razem z nim Clara – prześlizgnął mi się przez palce jak piasek. Jej bezkompromisowy ton zgasił we mnie wszelkie pragnienie czy choćby próbę protestu.

– A gdzie będziesz mniej więcej w porze lunchu? – zapytałem.

Spodziewałem się czegoś w rodzaju: „W miejscu, gdzie się jada”.

– No, na lunch jestem już z kimś umówiona.

Ani trochę mi się to nie podobało. Posłużyła się słowami „z kimś”, żeby uniknąć podania imienia. Wiedziałem, że wiedziała, że ją przejrzę. Czyżby – po raz kolejny – odpłacała mi pięknym za nadobne? Fakt, że choć nie chciała zdradzić nic więcej na temat owego kogoś, to musiała zdawać sobie sprawę, że uznaję jej unik za celowy zabieg, pogarszał jeszcze sytuację – i zarazem przyciągał mnie niczym ćmę do płomienia.

– A może zadzwonię, jak tylko skończę? Co ty na to?

Owo „Co ty na to?” również było dalekie od neutralności. Mogło oznaczać: „Zadowolony wreszcie?”. Albo: „Widzisz? Potrafię być miła. A teraz bądź grzecznym chłopcem i zgódź się, zanim cofnę propozycję”. Była, jak mi się zdawało, skłonna spotkać się ze mną w pół drogi, ale nic więcej, choć oboje wiedzieliśmy, że to wcale nie było pół drogi. Sprawiała

wrażenie osoby, która idzie na ostateczne ustępstwo wobec rozkapryszonego dziecka, zanim straci cierpliwość i ucieknie się do ostrzeżeń. „Co ty na to?” równie dobrze mogło oznaczać: „Proszę, masz, czego chciałeś!”.

Chciałem się z nią zobaczyć teraz, przed dziesiątą rano. A ona mówiła, że zadzwoni do mnie koło trzeciej.

Czułem już, że w najlepszym razie zobaczymy się dopiero w kinie – o ile w ogóle.

A co tymczasem miałem ze sobą zrobić? Żywić się nadzieją? Zamartwiać? Dyskutować z nią? Siedzieć i gapić się w ścianę, w dywan, w okna, jak jedna z tych wydrążonych postaci na obrazach Hoppera? Przechadzać się po Broadwayu? Wydzwaniać do znajomych, których aż nazbyt chętnie zaniedbywałem? Pływać w wannie? Życ ze sobą?

Czy nie to właśnie czyniłem do tej pory – żyłem ze sobą – i absolutnie tego nie znośłem?

– Kurczę!

Ona też to usłyszała. Nie tylko mój głos, ale też ogrom mojego nieszczęścia i niezgrabną próbę jego zamaskowania.

– *Küchczę?* – powtórzyła, po swoim rozładowując napięcie za pomocą przedrzeźniania.

Tymczasem dostarczono mi dwie skrzynki wina. Podpisałem pokwitowanie i spróbowałem nadać swojemu głosowi większą siłę. Ale nie potrafiłem zamaskować jęklivosti, nawet w obecności dostawcy.

– A ja właśnie się do ciebie wybierałem... – Nie dokończyłem zdania. Nie było sensu. Clara poszła już na ustępstwo, obiecując, że zadzwoni. Nie ma potrzeby naciskać.

– A gdzie ty będziesz? – zapytała.

– Będę siedział w ciemnościach, gapiąc się na swój *télyfön*.

Roześmialiśmy się. Ale wiedziałem, że przez cały dzień nie wejść do żadnego budynku, gdzie groziłaby mi utrata sygnału.

Była dziewiąta trzydzieści. O dziewiątej trzydzieści trzeciego dnia naszej

znajomości byliśmy już za Hastings. A teraz tamten czas wydawał się tak odległy. Nawet bułeczki, kawa, obsceniczny gest, który całkowicie mnie rozbroił, zdawały się bardzo dalekie. Pragnąłem Clary dzisiaj. Pragnąłem Clary, żeby nie być bez Clary. Pragnąłem Clary, żeby osłoniła mnie przed sprawami, które mogą nie mieć z nią nic wspólnego, ale w niej znalazły zastępstwo dla nieprzewidywalności życia. Teraz przez cały dzień będę miał przed sobą jej twarz. Chodzić po mieście i rzucać jej wizerunek na każdy sklep, każdy budynek, wszystko. Wpadać na ludzi i myśleć o tym, że wołałbym być z nią. Spotkać się z przyjacielem i pragnąć mówić wyłącznie o niej. Jechać windą z sąsiadami i pragnąć zrzucić z serca wszystkie żale, o ile tylko spytają: „Co słysząc?”.

Umówiliśmy się na telefon po południu. Nie mogłem się powstrzymać przed dodaniem: Tylko nie każ mi czekać za długo.

Nie każę.

Powiedziane stanowczo, ale w sposób zamykający dyskusję – co miało znaczyć: „Daj już spokój, złotko”. Po samym tonie jej obietnicy domyśliłem się nie tylko, że zapewne w ogóle do mnie nie zadzwoni, ale że winny temu był sposób, w jaki o to prosiłem. Jękliwy i naburmuszony. Równie dobrze mógłbym powiedzieć: Jeśli nie zadzwonisz, to się zabiję.

– Doskonale – stwierdziłem, również siląc się na zdecydowany, rzeczowy i kumpelski ton.

– *Doskōnale* – powtórzyła, natychmiast dziurawiąc moją udawaną stanowczość.

Rozłączyliśmy się.

Miałem ochotę natychmiast do niej oddzwonić. Co byłoby takiego strasznego w oddzwonieniu natychmiast i szczerym porozmawianiu o tym, co cię zżera – o zawiedzionych nadziejach, podburzonych obawach, niespełnionych pragnieniach, uciętych, zanim jeszcze miało się czas, żeby je przygarnąć, wyhodować i lepiej się z nimi zapoznać? Zmiażdżyć i podrzeć – jak łatwo jej to przychodziło. Uciąć i porwać. To byłby mój poranek z nią, nasz poranek. Gdybyśmy spędzili razem noc, w ogóle by nie wymyśliła tego „kogoś aż w centrum”. Gdybym spędził u niej noc, może nadal byśmy spali, spali po *strudel gâteau*, spali, a potem znowu go upiekli. Wreszcie

wypadłbym do kawiarni po muffiny i bułeczki i wrócił do kochania się na naszym łożu okruchów, naszym łożu przesiąkniętym sokami, tchnienie mojego chleba na jej łóżku i w jej ustach, jej głos powolny, czuły i zdarty, jak wczoraj wieczorem po licznych papierosach; Clara, która powiedziałaaby, że jestem najlepszą rzeczą, jaka jej się przytrafiła w tym roku; Clara, która sprawiała wrażenie, jakby zamierzała przekazać mi jakieś straszne wieści, ale w końcu powiedziała tylko, że wymawiała moje imię w ciemnościach – a ja jej uwierzyłem, nadal wierzyłem – Clara, która nazwała mnie idiotą po francusku i mówiła poważnie, po niemiecku, po rosyjsku, po angielsku.

Z pewnością będzie to najbrzydszy dzień w całym roku. W ogóle cały ten rok był straszny – a teraz miałem wszelkie powody, żeby chcieć zostawić go wreszcie za sobą, zostawić za sobą, zapomnieć o niej, zapomnieć o przyjęciu, o Straus Parku, Leo i strudlu, i łodzi pękającym na zamrożonej Hudson do rytmu preludium Bacha-Silotiego. Zapomnieć. A jeśli nie byłem w stanie zapomnieć, to nauczyć się nienawidzić. Nagle chciałem znaleźć sposób, nie tylko żeby ją znienawidzić, ale żeby ją zranić. A może nawet nie tyle zranić, ile patrzeć, jak cierpi. Chce grać na ostro? Pokażę jej ostrą grę. Nie będę odbierać telefonu. Pójdę do kina z kimś innym. A potem pójdę do naszego baru. Oto co zrobię. „Ale myślałam, że byliśmy umówieni”. Też mi! Wpychasz się ludziom do domów, kiedy ci się podoba, rozlewasz w ich życiu swój jad, miażdżysz i odsuwasz wszystko, co się dla nich liczy najbardziej, a kiedy z nimi kończysz, zostawiasz po sobie tylko plamy i sól na podłodze, szklaną błyskotkę z baru U Edy dla robotników z fabryk i smak swoich ust w ich oddechu, smak twoich ust na moich ustach, chleb twoich ust, pożywienie twoich ust, okruchy z twoich ust, które podnosiłem jeden po drugim – zostaw je na moim progu, splamione krwią i winem, posypane solą i drobinkami żółci, a ja będę nad nimi czuwał i zagrzebię w nich moje nasienie. Chciałem, żebyś zadzwoniła, żebyś mnie pragnęła, żebyś była dla mnie cierpliwa i dobra. A nie te bzdury o „kimś w centrum”.

Co ja sobie wyobrażałem! Ale gdybym to ja zaoferował jej to, co ona zaoferowała mi wczoraj w nocy, i rano czekał na telefon, który nigdy nie zadzwonił? Co, jeśli ona tylko robi to, co ja robiłem od samego początku? Czy wczoraj w barze, kiedy poszedłem do łazienki, poprosiłaby, żebym nie kazał jej czekać, gdybym już wcześniej nie udowodnił, że jestem uosobieniem Pana Niechętnie Amfibazgrywnego?

Wiedziałem, że to nie będzie dobry dzień. Będę musiał wziąć na wstrzymanie, znaleźć sobie cichy kącik i niczym zapadające w zimowy sen zwierzę przestać oddychać, znieruchomieć, nie robić żadnych planów, po prostu czekać na jej telefon.

O jedenastej nie mogłem już tego znieść. Posprzątałem trochę w mieszkaniu, żeby móc zabrać się do jakiejś pracy. Ale nie chciałem pracować z domu, więc odłożyłem wszystko na bok, postanowiłem zająć się rachunkami i odpowiedzieć na kilka maili. Lecz na niczym nie mogłem się skupić. Wziąłem portfel i klucze, narzuciłem płaszcz i wyszedłem.

Życie bez Clary oficjalnie się rozpoczęło. Zjeżdżając windą, w której słyszałem jej głośny śmiech, powtarzałem sobie: życie bez Clary oficjalnie się rozpoczęło.

Wiedziałem, że nie mam żadnego powodu, żeby popadać w rozpacz, że może jeszcze tego wieczoru znowu pójdziemy razem do kina, ale podejrzewałem też, że coś pękło i powinienem zacząć przygotowywać się na tę stratę.

Nagle przyszło mi do głowy, że przygotowywanie się na ból, aby go stępić, mogło doprowadzić do tego samego cierpienia, któremu pragnąłem zapobiec.

„Ale ty masz pomysły, Printzu”.

To mnie rozbawiło. Sama myśl o najgorszym możliwym scenariuszu najprawdopodobniej go sprowokuje; wściekłość, którą czułem za każdym razem, kiedy myślałem o stracie Clary, mogła ją zwrócić przeciwko mnie, gdyby tylko wykryła ją w moim głosie lub mojej twarzy.

Poszedłem do Central Parku, gdzie postanowiłem przejść się na East Side i zajrzeć do Metropolitan Museum. Miło mi się szło ścieżką do konnej jazdy, podobało mi się białe jak kreda miasto w zimowy poranek, który mógł unicestwić ponury dzień i przyćmić słońce na długo przed porą zachodu. Podobała mi się nawet zamarznięta ziemia w kolorze serwatki, chrzęszcząca pod moimi butami, w których stawiałem ostrożne kroki, jeden za drugim, jak inwalida od nowa uczący się chodzić, i przez cały ten czas miałem przed sobą jej twarz, i moje kroki skrzypiały na śniegu skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzyp, jakież to miał być wspaniały dzień. I podobałoby nam się to

wszystko, gdybyśmy byli razem, i Clara ciągle ucinałaby każdy moment zachwytu, dodając do niego własny, jeszcze żywszy zachwyty. Skrzypielibyśmy razem na śniegu, krok za krokiem, i prześcigalibyśmy się w odłamywaniu napotkanych sopli.

Nigdy mi nie wybaczysz wczorajszej nocy, prawda?

W ogóle nie miałam za nią pretensji. Ale może masz rację.

Nie mów tego w kółko.

Czułem, jak się zbliża – to bielenie się krajobrazu osaczające mnie stopniowo i rozchodzące się jak sztuczna mgła, spowijające całe miasto przytłaczającą barwą skorupki jajka i blanszowanego migdała, przechodzące w brudną szarobiel przemysłowych katarakt szumiących w oddali. Ciężka biel dnia pływająca przed moimi oczami.

Przez cały dzień miałem być sam. Kto wie, może jutro też. A najgorsze, że nie było nikogo, czyjego towarzystwa bym pragnął, żeby zaradzić samotności. Mogłem do kogoś zadzwonić. Ale nie chciałem tych ludzi. Mogłem pójść do kina przed czasem, ale to – szczególnie po ostatnich czterech nocach – tylko podkreśliłoby moją problematyczną sytuację, tak jakby nawet kino (dotąd będące moim zagorzałym sojusznikiem) przeszło teraz na jej stronę. Dlaczego ludzie tak łatwo oddawali się do jej dyspozycji? Dlaczego ktoś wykuty w tej samej kuźni co ja potrzebował gromadzić wokół siebie tyle osób? Odpowiedź mnie przerażała: bo ona wcale nie jest tobą, nie jest twoją bliźniaczką. Proste. A może istnieje możliwość, że jest taka jak ty, ale też taka jak wszyscy inni? Kobieta, którą Clara staje się przy pozostałych ludziach, jest ci zupełnie obca, a to, czym się z nimi dzieli i czego od nich chce, nosi nazwy, których nigdy nawet nie poznasz.

Nie było co do tego wątpliwości. Przez cały dzień będę sam i nauczę się mierzyć z problemami twarzą w twarz. Może wcale nie miało to związku z Clara. Tylko z pragnieniem i czekaniem, i ufaniem, i brakiem pojęcia, czego i dlaczego pragnę. A ta istota z krwi i kości, o woli tak mocnej, że mogłaby zgiąć stalowy pręt samą siłą spojrzenia – czy była kolejną metaforą, alibi, zastępnikiem tego, co nigdy nie wychodzi, rzeczy, które podchodzą blisko, ale nigdy nie ustępują? Tonąłem, nie płynąłem do Bellagio. Znajdowałem się na rubieżach świata i w ten właśnie sposób przeżywałem

swoje życie, podczas gdy ona... no cóż, ona zwyczajnie pokazała mi środkowy palec. Właśnie – dokładnie tego taniego, małostkowego, obrzydliwego zwrotu szukałem: pokazała mi środkowy palec. Od jednej skrajności do drugiej. Wet za wet.

A najgorsze, że nie istniało żadne wytłumaczenie.

Kiedy dotarłem do East Side, patrzyłem, jak światła zmieniają się na czerwone, jedne po drugich – pip, pip, pip – ich rozmyte krwawe aureole ciągnęły się aż po sam koniec ulicy, przedwcześnie rzucając wieczorny czar zdający się wymazywać tę wielką pomyłkę, jaką był dzisiejszy dzień, aby o zachodzie słońca przywrócić jakąś równowagę.

Ale kiedy ujrzałem, jak nagle znowu zmieniają się na zielone, i dzień okazał się o wiele młodszy, niż sądziłem, stwierdziłem, że brakuje jeszcze wielu godzin do pory obiecanego popołudniowego telefonu: jeszcze pięć długich, nieustępliwych godzin przyglądania się, jak tłumy turystów błakają się po korytarzach. Zanim wyjdę z muzeum, będzie mnie przytłaczał ciężar pięciu długich zimowych popołudni, co doprowadzi mnie do najważniejszego pytania: czy ty tracisz rozum, Printzu?

Spojrzałem na zielone światła jarzące się wzdłuż Piątej Alei. Wydawały się tak pogodne, zupełnie jak biurowe recepcjonistki trzepoczące sztucznymi rzęsami, grzecznie, acz rutynowo pozdrawiające klientów, którzy stracili wszystko co do grosza, po jednej stronie biurek trzymają poinsencje, po drugiej – iglaste bonsai, są wesołe, ale pozbawione radości, jak wszystkie świąteczne życzenia, jak dzisiaj, jak samo Boże Narodzenie, jak przyjęcia o tej porze roku, z Clarami lub bez, z wazami ponczu albo i nie. Jeśli sam nie niosłeś ze sobą ciepła, te światełka nie mogły ci go zapewnić. Błyszczały tylko jak sztuczne ognie, nie przynosząc nikomu ani radości, ani miłości, ani światła, ani pewności, ani pokoju, ani ulgi w bólu. Wszystkie te słowa, słowa, słowa, które wracały, żeby mnie nawiedzać – nie uratować, tylko pomachać mi ręką: dlaczego traciłem rozum?

Czy to możliwe, że naprawdę go traciłem, jeśli zdawałem sobie z tego sprawę? Powiedz mi, Claro.

Zapytaj pumeks.

To kwestia kwantowa, mój drogi, ponieważ odpowiedź brzmi zarówno

„owszem, możesz”, jak i „nie, nie możesz”, ale nie jedno i drugie w tym samym czasie.

Ale jeśli wiem, że odpowiedź brzmi „tak” i „nie”, ale nie jedno i drugie naraz, to czy nadal tracę rozum?

Hieronimo nie wie, Hieronimo nie powie.

Wiedziałem, co się dzieje. Składałem w całość przypadkowe kawałki, tak jak mój ojciec, który pod wpływem kolejnych dawek morfiny zaczął tracić pamięć i cytował długie fragmenty z Goethego i Racine’a, żeby pokazać, że pamięta je w oryginale. Wyciągałem ręce do tych poetów jak kaleka rzucający się ku lasce.

Muzeum, kiedy wreszcie do niego dotarłem, było obleżone przez turystów. Kręcili się wszędzie niczym płaskie, dwuwymiarowe kartonowe figurki, zdolne wydawać z siebie stentorowe dźwięki po francusku, niemiecku, holendersku, japońsku i włosku, szczególnie dzieci. Ludzie czmychali niespokojnie po wielkim lobby niczym dusze czekające na transmigrację w ogromnej hali dworcowej Bożego królestwa. Wszyscy marzą o tym, żeby być nowojorczykami – pomyślałem, nagle czując, że sam dałbym wszystko, aby stać się prawdziwym mieszkańcem ich pozbawionych słońca, białych miast: Montevideo, Sankt Petersburg, Bellagio – jakże dalekie wydawały mi się tego ranka. Wytrzymaj to życie do czysta i zacznij od nowa, mniej pogubiony, mniej pragnący, z mniejszą liczbą problemów.

„Czy masz jakiś problem? Nie jestem w twoim typie?”.

Paniusiu, serio?!

Nagle wszystkie te pozbawione celu, rozedrgane duszyczki z obcych krajów, otaczające mnie ze wszystkich stron, zaczęły mi przypominać poobklejanych sloganami nosicieli reklam, obnoszących z przodu i na plecach wielkie portrety postaci z talii kart; niektórzy udawali królów, inni królowe, jeszcze inni waletów. Przystojny walet kier i królowa pik. Meduza i Joker. Ty Meduza, ja Joker. Są na tej planecie miejsca, gdzie takie jak ty się kamieniuje. A potem mężczyzna podrzyna sobie gardło i rzuca się z grani.

W życiu nie czułem do siebie takiej nienawiści jak w tej chwili. Ale sam to na siebie sprowadziłem, prawda? Ja i mój donkiszotowski syf: „Za



wcześnie, za nagle, za szybko”, ona i ten jej tani, małostkowy, obrzydliwy środkowy palec. Mój syf i jej palec. Wet za wet. Palec za syf. Salec za pyw – i spływ, już po wszystkim. Całe życie podsumowane odgłosami bip, bip, bip i krik, krik, krak.

Traciłem rozum, a im bardziej zdawałem sobie z tego sprawę, tym było gorzej. Próbowałem kierować myśli na inne tematy, pozwalać im błądzić wokół czegokolwiek, co brzmieć będzie na weselszą nutę – jedna dobra myśl, królestwo za jedną dobrą myśl – ale wszystko, nad czym pochylał się mój umysł, zdawało się zaczynać spokojnie, a potem przemieniało w sataniczne obrazy: trzy dobre myśli zmieniały się w trzy ślepe myszy. Minęły mnie trzy królowe karo, trajkoczące w jakimś dziwnym języku, a za nimi król pik i dwóch obrażonych na siebie waletów z maleńkimi elektrycznymi gadżetami. Król zatrzymał mnie i wskazując palcem nieśmiałą żonę numer dwa, poprosił o wskazanie drogi do ubikacji. Chyba odwróciłem się wstrząśnięty. Ty jesteś Shukoffem – powiedziałem. Pan być niegrzeczny, mister. Bardzo przepraszać, bardzo ogromnie, niezwykle przepraszać – odparłem. Ależ ja za nią tęskniłem, jak ja ją kochałem, jak pragnąłem się z nią śmiać – wszystko, czego pragnę, to się z tobą śmiać, Claro, tulić cię, kochać się z tobą, śmiać się z tobą, a choćbyśmy mieli nawet spędzić całą resztę życia *sans* przyjaciół, *sans* dzieci, *sans* pracy i rozmawiać tylko o Vaughanie i Händlu, i *strudel gâteau*, i wymieniać się nonsensownymi słowami, nabijającymi naszą miłość jak ćwieki medali na znoszonych mundurach rosyjskich białogwardzistów, którzy po rewolucji skończyli na bruku, wcale by mi to nie przeszkadzało. Zastanawiałem się, co by odparła, gdybym jej to powiedział. Bo będę musiał jej to powiedzieć, musiałem jej to powiedzieć, gdyż w tej chwili ten otyły troskliwy mąż/ojciec, który właśnie spytał mnie o drogę do *vaterklosètu*, był dla mnie ważniejszy od całej zawartości tego muzeum i pragnąłem jedynie wyciągnąć telefon i opowiedzieć jej o spotkaniu z królem pikiem oraz jego żoną numer dwa, która miała problemy z sikaniem.

Nagle poczułem, że muszę stanąć, przytrzymać się czegoś i odczekać, aż świat przestanie mi wirować w oczach. Musiałem opuścić muzeum. Wybiegłem na mróz i zobaczyłem przed sobą stopnie rozlewające się aż do Piątej Alei niczym Hiszpańskie Schody, białoszare jak zimne wody Wenecji zalewające nabrzeże, sięgające sprzedawców precli, których maleńkie wózki

zdawały się przytwierdzone do wciąż cofającego się chodnika. Skierowałem się do jednego ze sprzedawców. To nadało mi jakiś kierunek. Kiedy wreszcie dotarłem do jego stoiska, zobaczyłem, jak smaruje musztardą jeden z tych dużych solonych precli. Na ten widok przewróciło mi się w żołądku i poczułem coś w sobie, coś w rodzaju mdłości, ale nie mdłości, to było bardziej jak choroba morską po zapomnianym koszmarze. Pomimo zimna moja twarz spływała potem. Chwyciłem pręt, do którego przypięto jakiś rower. Słyszałem bicie swojego serca. Nie pomagał też antyfonalny jęk autobusu narzekającego, że nie jest w stanie przyklęknąć przed staruszką przechodzącą przez ulicę o lasce, jakby serce i autobus kłóciły się niczym fortepian i skrzypce w *Sonacie Kreutzerowskiej*, przygadując sobie nawzajem, wet za wet, oko za oko, syf za palec, wszystkie luźne końce zwinięte razem w ciepły, chrupiący precel uwieńczony plamką musztardy w kolorze żółci, cały precel opierał się na moim nosie jak para lornetek, moje oczy są twoimi oczami przy moich oczach, twój język i mój język są jednym językiem, twoje zęby na moich ustach, twoje zęby, twoje zęby, jakże piękne masz te dane od Boga zęby, zęby, zęby.

Traciłem rozum – nie było co do tego wątpliwości – a jednak najwyraźniej całkiem nieźle udawałem opanowanie. Nikt się na mnie nie gapił, nikt mnie nawet nie zauważył, więc chyba nie groziło mi zbłąźnienie się. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego cierpienie ludzi, którzy doznają ataku serca w miejscu publicznym, odbywa się na tak wielu poziomach: ból, wstyd, czysty strach przed rozsypaniem się na kawałki na oczach tłumu turystów, kurierów rowerowych i sprzedawców hot dogów. Tylko żebym nie narobił w gacie. Jeśli mam umrzeć na złamane serce, niech odejdę po cichu i zniknę o zmierzchu w wąskich uliczkach, i zakończę to pokpione życie, które od początku toczyło się nie tak. Czy ja umierałem?

Gdy tylko przyszło mi do głowy to pytanie, postanowiłem popędzić do szpitala Mount Sinai. Wskoczyłem w taksówkę i kazałem kierowcy zawieźć się na pogotowie. Wiedziałem, co robić, bo kilka razy byłem tam z ojcem. Wystarczy powiedzieć strażnikowi, że masz bóle w klatce piersiowej, a od razu rozkładają czerwony dywan i przepuszczają cię przez wszystkie bramki. I rzeczywiście, natychmiast położyli mnie na łóżku. Obok mnie siedział z matką dziesięcioletek, któremu leciała z nogi krew, a pielęgniarka cierpliwie wyjmowała mu pincetą odłamki szkła, przemawiając cicho

i powtarzając, że jeszcze tylko kilka kawałków, i jeszcze kilka, ależ dzielny z niego chłopiec, nawet nie płacze, ani jednej łezki – powtarzała ze swoim pocieszającym jamajskim zaśpiewem, bardzo delikatnie przykładając do rany kawałek gazy, którą trzymała między kciukiem a palcem wskazującym.

Rezydent na stażu miał na nogach crocksy.

Wyjaśniłem, że serce bardzo mocno mi bije.

I męczą mnie mdłości.

I coś tak jakby przesłania mi oczy. Jakby otaczała mnie gęstniejąca mgła.

Otacza. Otacza, otaczała – nie mogłem się zdecydować na wersję.

– Czuje się pan zdezorientowany? – zapytał.

– Bardzo – odparłem, przypominając sobie schody rozlewające się z muzeum na lagunę aż po Lido. – Był pan kiedyś na Lido, panie doktorze?

Wypisał mi skierowanie na kardiografię.

Spodziewałem się ultrasonografii, może też angiografii. Przecież umierałem, prawda?

Dziesięć minut później:

– Wszystko w porządku. Jest pan okazem zdrowia.

– Myślałem, że mam zawał serca.

– Tylko napad paniki.

Spojrzałem na niego.

– Może coś pana dręczy?

– Niespecjalnie.

– Problemy w domu?

Powiedziałem, że nie mam rodziny.

Więc kłopoty sercowe – może ktoś mnie zostawił?

Chyba tak.

– Stare jak świat...

Już prawie miałem mu wszystko opowiedzieć, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że jego uwaga oznaczała: „Nie musi pan nic tłumaczyć, wszyscy przez to przechodziliśmy”.

Jeśli było to aż tak powszechne doświadczenie, to dlaczego do tej pory go nie przeżyłem?

Bo ty nigdy nikogo nie kochałeś, Printzu.

Więc co robiłem przez te ostatnie dwadzieścia osiem lat? Ledwo żyłeś, Printzu, ledwo zaglądałeś do ogrodu różanego. Czekałeś na mnie, ot co. Ożyłeś tamtej pierwszej nocy, kiedy wyszliśmy razem na balkon i staliśmy, oglądając razem tamten snop światła, ty i ja, Printzu, i patrzyłeś, jak strącam zamszowym butem niedopałek z wysokości niezliczonych pięter, ty i ja opierający się o parapet jak dwie nuty na tej samej pięciolinii, i oboje myśleliśmy o tym samym, a ty gapiłeś się na moje piersi w mojej karmazynowej bluzce.

Gdzie ja się podziewałem przez cały ten czas?

Gdzie się podziewałeś? Czekałeś. Tylko że w końcu pokochałeś czekanie bardziej niż miłość, na którą czekałeś.

Widzi pan, panie doktorze, ja tylko udawałem, że jestem taki jak inni, którzy znajdują miłość, jeśli tylko dostatecznie mocno jej szukają. Ale nie byłem jak oni. Tylko udawałem. Jestem taki jak ona. Pragnę samej miłości, nie innych ludzi.

– Proszę – powiedział, wyciągając na dłoni tabletkę uspokajającą niczym magik wyciągający z za ucha monetę. Patrzył, jak połykam, popijając wodą z plastikowego kubeczka, po czym klepnął mnie kilka razy w ramię i położył na nim rękę w geście współczucia, koleżeństwa i męskiej solidarności: „Wszyscy to znamy, stary”. Ostatni raz ktoś dotknął mnie w ramię niecałe dwanaście godzin temu.

– Wszystko będzie dobrze. Niech pan tylko chwilę odpocznie.

Przysunął sobie stołek i usiadł obok, żeby znowu zmierzyć mi puls. Samo to, że ktoś tak przy mnie siedział, dodawało mi otuchy.

Przypominał mi posterunkowego Rahoona. Posterunkowego Rahoona,

o którym całkowicie zapomniałem, ale który stał teraz nade mną, jak to zwykle policjanci, kiedy stoją w kółku nad noszami na pogotowiu, wypełniając przepisowe formularze i dokumenty, trzymając skrzeczące krótkofalówki i próbując cię uspokoić, choć jednocześnie rozmawiają z filipińską przełożoną pielęgniarek o tym, jak się spisał ten czy inny hokeista podczas ostatniego meczu. Jego pojawienie się w tej chwili przywiodło mi na myśl mnie, który przestał być mną; Ragoon był ostatnim człowiekiem, który mnie widział, zanim po przyjęciu zrzuciłem z siebie tamtą starą skórę. Może powodem, dla którego poszedłem wtedy do Straus Parku, było to, że stałem się jak wąż, który wyszukuje sobie ukrytą, szorstką skałę, żeby docisnąć się do niej i zetrzeć z siebie wylinkę. Może właśnie dlatego lubiłem tam codziennie wracać i zamierzałem tam wrócić również poprzedniego wieczoru – część mnie albo nie chciała zostawić starej skóry, albo nie zdołała jej całkowicie zrzucić i powrót wydawał się bezpieczniejszy niż ruszenie w dalszą drogę. Dwa kroki do przodu, trzy kroki w tył. To także historia mojego życia, Claro. Tam właśnie znajdę uleczenie, nie tutaj, w szpitalu. I nagle poczułem straszliwą ochotę, żeby wrócić do parku i usiąść na ławce. Po prostu usiąść i odnaleźć siebie, usiąść i dowiedzieć się, dlaczego ciągle wracam do świata Clary.

Być może miałem rację, nie spędzając z nią poprzedniej nocy: gdyby wykręciła mi taki numer po uprawianiu miłości, poderżnąłbym sobie gardło jednym z kuchennych noży jej ojca – zabiłbym najpierw siebie, a potem ją.

A może wcale się od niej nie różniłem, tylko Clara zwyczajnie mnie uprzedziła. Pamiętałem tamten moment wczoraj w barze, kiedy – sam w łazience – planowałem czmychnąć tuż po tym, jak się z nią prześpię. Skupmy się na dniu dzisiejszym – powtarzałem sobie – ale nie składajmy obietnic na jutro. Byliśmy swoimi lustrzanymi odbiciami. Czy dlatego właśnie tak bardzo jej pragnąłem?

– Może powinien pan z kimś porozmawiać – powiedział lekarz.

– Nigdy dotąd z nikim nie „rozmawiałem” – odparłem.

– Dziwi mnie to.

Dlaczego się dziwił? Bo wyraźnie byłem pozbawionym pewności, zadręczającym się, skłonny do nienawiści wobec siebie typem

depresyjnym, którego nikt nigdy nie zostawiłby samego przy otwartym oknie na jedenastym piętrze?

– Nie, po prostu w którymś momencie każdy się o coś potyka.

I dla mnie nadszedł właśnie ten moment, tak? Moment potknięcia? Czy był to uprzejmy sposób na określenie tego, co się ze mną działo? Potknięcie. Jednego dnia widzę wieczność, a drugiego mówimy o potknięciach?

Jedyne, co mi przyszło do głowy, to spytać, jak długo zamierzają mnie tam trzymać.

Dopóki moje serce nie wróci do normy.

A tu recepta na więcej tabletek. Poza tym: zero kofeiny. Zero alkoholu. I proszę odstawić papierosy.

Sześć dni z najpiękniejszą kobietą na świecie i stałem się wrakiem nadającym się do wariatkowa.

Nagle usłyszałem swoją komórkę.

– Mój *télyfön* – powiedziałem.

– Będę musiał poprosić, żeby nie korzystał pan tutaj z telefonu.

Już sobie wyobrażałem, jak Clara odpowiada na tak pożałowania godną mdłomowę: to musi pan poprosić mnie teraz czy będzie pan musiał poprosić mnie w jakimś niewiadomym momencie w nieokreślonej, uprzejmie dwuznacznej przyszłości?

– Muszę odebrać – powiedziałem lekarzowi. – To od – i te słowa wymówiłem szeptem – moich kłopotów sercowych.

– No dobrze, tylko raz-dwa, proszę się jak najszybciej rozłączyć.

– Przecież sam mnie pan podłączył – odparłem, wskazując kable kardiogramu, nadal przyłączone do mojego ciała.

– Już jestem wolna – powiedziała Clara. Jak zwykle przeszła prosto do rzeczy, dopiero potem się witała. Rozejrzałem się i zachichotałem mimowolnie.

– Ale ja nie.

– Och?

– Właściwie jestem nieco uwiązany. – Po czym, zdając sobie sprawę, że dowcip poszedł za daleko: – Całe ciało mam poowijane przewodami.

– O czym ty mówisz?

Krzyczała i miałem nadzieję, że lekarz sam się przekona, z jaką wariatką miałem do czynienia przez ostatnich kilka dni.

– Jestem w szpitalu.

Salwa pytań. Clara zaraz tu będzie.

Nie trzeba. Potrafię się sobą zająć. Zaraz mnie wypuszczą. A gdzie ona jest?

Na Printz Street – z naciskiem – i właśnie łapie taksówkę. Czy użycie mojego przezwiska było dobrym znakiem, czy też zwyczajnie chciała być miła, żebym zapomniał, że nadal tkwi po drugiej stronie Manhattanu?

Zakryłem słuchawkę.

– Kiedy będę mógł stąd wyjść? – zapytałem.

Młody rezydent parsknął niemal z rozczarowaniem. Pora zdjąć ze mnie te kable, pozwolić mi się ubrać i wypełnić dokumenty.

– Możemy się spotkać w lobby mojego budynku?

– Może być.

Może być. Co, u licha, miało znaczyć to „Może być”? Czy nawet wyrażać się musiała w języku amfiblabla? I czy nie była w tym podobna do wszystkich?

Czy przyjeżdżała, bo tego chciała, pragnęła – a może to tylko niemrawa zgoda granicząca z obojętnością? Ale wreszcie usłyszałem: nie każ mi długo czekać.

– Co robiłeś w szpitalu? – zapytała.

Siedziała na sofie w lobby mojego budynku. Zdjęła szal i płaszcz, czyli musiała tu czekać już od jakiegoś czasu. Kiedy się podniosła, wyglądała absolutnie powalająco. Smukła, o orzechowych oczach, spowita w ciemne

kolory – jej uroda była aż groźna. Na jej mostku spoczywał mały diament. Ostatnio widziałem go wieki temu. Wszystko to przypominało mi, że jakiegokolwiek mosty przekroczyliśmy poprzedniej nocy, dziś rano zostały wysadzone w powietrze. *Corvus* został porwany z pokładu przez fale.

– Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam się upewnić, czy nic ci nie jest.

Wejdzie na górę?

– Tak, ale tylko na kilka minut.

Czułem się słaby i wycieńczony. Nie miałem nastroju na targowanie się emocjami i zmagania. Po prostu mi ulżyło, że widzę ją w tym samym miejscu, w którym czterdzieści osiem godzin temu urządziliśmy sobie piknik. Ona jednak była chłodna, nie chciała usiąść. Widać było, że licznik leci.

– No to powiesz mi, co się stało? – zapytała, kiedy weszliśmy do windy.

Po sposobie, w jaki sformułowała pytanie, widziałem, że już odgadła odpowiedź. Nie było sensu ukrywać prawdy.

– Powiedzmy, że to nawrót traumy po latach w okopach.

– Gdzie?

– W bloku, w bagnie, w okopach.

Pokiwała głową. Ale chyba już zapomniała. A może wcale nie.

– To był atak paniki – powiedziałem wreszcie w nadziei, że skojarzy aluzję do jej słowa *chosneque*. Pokręciła głową.

Nie spieszyła się przy wysiadaniu z windy i po raz kolejny drzwi odepchnęły ją szorstko.

– To nie pora na takie zabawy. – Odwróciła się i kopnęła je na wysokości windowego odpowiednika piszczele. – Cholerna bestia. Cholerna, pieprzona bestia.

Wybuchliśmy śmiechem.

Otworzyłem drzwi. Dzięki Bogu rano posprzątałem mieszkanie. Ktoś po sąsiedzku gotował chyba zupełną na późny lunch. Jakże żałowałem, że rano nie zjedliśmy razem śniadania.



Włączyłem światło. Dzień tak szybko się zestarzał.

Rzuciła płaszcz na krzesło – kolejny znak, że nie zamierzała długo zostać.

– Zaparzę herbaty.

Czy coś mi przepisali?

Tak, coś mi przepisali.

– Znikam na kilka godzin, a ty kończysz na pogotowiu. Nieźle.

Rzuciłem jej spojrzenie. Nie musiałem nic mówić.

– Twoim zdaniem to moja wina, prawda?

– Nie, nie wina. Ale dzisiaj rano było tak inaczej niż wczoraj wieczorem, że miałem mętlik w głowie.

– A więc naprawdę myślisz, że to moja wina.

– To nie kwestia winy. Rzecz bardziej w tym, że nie rozpoznaję samego siebie, i ciebie też nie rozpoznaję.

– Zgadza się.

– Co się zgadza?

– Oboje się zmieniamy. I zmieniamy zdanie.

– Tak szybko?

– Być może.

– A gdzie się podziało wczoraj?

– To chyba ja powinnam o to pytać. – Urwała na chwilę. – A poza tym nie mogę być uwiązana do wczoraj.

Podeszła do miejsca, gdzie wczoraj schowała czekoladowe ciasteczka, znalazła paczkę dokładnie w takim samym stanie, w jakim ją zostawiła, i bez pytania wyjęła z niej dwie sztuki. Cieszyłem się, że czuje się u mnie jak u siebie. Poprzednim razem wzięła jednak talerzyk i ułożyła na nim od czterech do sześciu ciastek w kształt – jak przypomniałem sobie nagle z naszej pierwszej nocy – nasuwający na myśl arkę Noego.

Żadne z nas nawet się nie ruszyło, żeby zagotować wodę. Clara

ewidentnie zrezygnowała z herbaty i ciasteczka jej wystarczyły. „Herbata jak słaby seks, herbata jak bardzo, bardzo słaby seks” – przypomniałem sobie.

– Słuchaj, nie chcę się kłócić.

Widać wspominając o „wczoraj”, podniosłem głos.

– Dlaczego uważasz, że ja chcę?

– Bo wyraźnie jesteś zdenerwowany.

– Nie domyślasz się dlaczego?

– Może ty mi powiesz, skoro i tak masz zamiar to zrobić?

Po jej głosie poznałem, że przerabiała tę rozmowę niezliczoną liczbę razy. Obawiała się jej i na pewno zauważyła wszelkie zapowiedzi, skrótów, przecznice, objazdy i trasy ewakuacyjne na długo przede mną.

– Na pewno już wiesz, co mam do powiedzenia.

– Chyba tak. Ale nie krępuj się – rzekła, dodając w domyśle: „Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej”.

– Może nie ma potrzeby.

– Może rzeczywiście. – Czyli: „Jak sobie chcesz”.

– Powiedzmy tylko, że przykro mi, że zmieniłaś się aż tak szybko.

Wbiła spojrzenie w swoje ciasteczko jak karcone dziecko albo ktoś, kto gra na zwłokę, próbuje pozbierać myśli i znaleźć właściwą odpowiedź. Albo jakby zwyczajnie się zamyśliła. Bardzo pragnąłem, żeby stwierdziła, że jestem w całkowitym błędzie, że wcale się nie zmieniła od zeszłej nocy, że powinienem przestać wkładać w jej usta różne słowa i zmuszać do mówienia rzeczy, których wcale nie zamierzała mówić.

– Może to właśnie jest moje piekło.

– Czym jest twoje piekło?

– Tym, że zawsze wszystkich zawodzę.

– Masz do nich żal?

– Nie. Nie mogę powiedzieć, że mam żal. Sama rozbudzam w nich

oczekiwania, a potem ich zawodzę.

Powiedziała to tak, jakby rozbudzanie nadziei było o wiele gorsze niż przysparzanie rozczarowań, przez które inni trafiali potem do szpitala.

Utkwiłem w niej spojrzenie.

– Powiedz mi coś.

– Co?

To „Co?” padło o wiele za szybko, jakby chodziło o bojaźliwe „Co znowu?” skryte za pozornie pewnym siebie, otwartym „Pytaj, o co chcesz, nie boję się ciebie, oczywiście, że odpowiem”.

– Czy to dlatego, że wczoraj się nie kochaliśmy?

– To by oznaczało, że jestem okrutna i złośliwa. Ale to nie miało nic wspólnego z wczoraj.

– W takim razie jest gorzej, niż myślałem.

– Może zwyczajnie nas poniosło. Albo może ostatecznie chcieliśmy tego samego, tylko z całkowicie różnych powodów.

– Twój powód nie był moim powodem?

– Nie sądzę. – A potem, żeby złagodzić te słowa, ale też pokazać, że złagodzenie nie oznacza zmiany zdania: – Chyba nie.

– A ty mnie przed tym ostrzegałaś.

– Owszem.

– A ja posłuchałem.

– Owszem.

– Dopóki nie powiedziałaś, że nie powinienem tego słuchać.

– Dopóki nie powiedziałam, że nie powinieneś tego słuchać.

– Ale się wpakowaliśmy, prawda?

– Strasznie.

Stałem przed nią i nagle ująłem jej twarz w dłonie, i zacząłem ją głaskać,

jej usta i orzechowe oczy, które znaczyły dla mnie więcej niż światło słońca, dar mowy i wszystko na zewnątrz czy wewnątrz tego pokoju. Pocałowałem ją, wiedząc z pewnością, jakiej nie czułem w całym swoim życiu, że ona odpowie równie namiętnie i desperacko jak ja i że zrobi to, ponieważ wyjścia awaryjne między nami stały teraz otwarte na oścież i w naszym słowniku nie było już słowa „jutro”. To będzie bezcelowe, przygnębiające kochanie się, bezpieczne i niewstrząsające – a ja znowu wykażę się swoją zwykłą mieszanką dobrej woli i taktu, nie tak jak wczoraj wieczorem.

Pocałowała mnie w szyję jak ostatnio. Uwielbiałem to, jak jej biodra poruszały się przy moich, jak przyciskaliśmy się do siebie, nie pozwalając, żeby wślizgnęło się między nas choćby powietrze. Dopiero po sekundzie zdałem sobie sprawę, że prawie tańczymy. A może się kochaliśmy, tylko ja o tym nie wiedziałem?

Rozpiąłem jej koszulę i zacząłem sunąć ręką pod spodem. Po raz pierwszy moja dłoń spoczęła na piersi, o której marzyłem od kilku dni. Clara w ogóle się nie opierała, ale też nie angażowała. Zostawiłem ją w spokoju. Po chwili, już po krótkiej chwili, zaczęła zapinać bluzkę.

– Proszę, nie – powiedziałem. Chcę zobaczyć cię nago, chcę myśleć o tobie, kiedy znikniesz, nie chcę nigdy, przenigdy zapomnieć, że stałaś nago w tym pokoju w niknącym świetle dnia, ocierając się o mnie, z oddechem pachnącym chlebem i dawnym Wiedniem, i piekarnią pod twoim domem, przy której wczorajszej nocy ty i ja, tylko ty i ja...

– Naprawdę muszę już iść.

Wiedziałem od początku. W lobby od razu pomyślałem, że wygląda, jakby się wystroiła. Nie na długi lunch, który chyba bez żalu skróciła, gdy zadzwoniła do mnie do szpitala, ale na jakąś okazję, która jeszcze się nie wydarzyła i o której nie wspomniała dotąd ani słowem.

I wtedy do mnie dotarło. Całowała mnie tak samo zapalczywie jak Inky'ego i Beryl na przyjęciu. Pewnie nie umiała inaczej – i właśnie dlatego tak wielu dawało się złapać i oplątać w jej sieci. Brali za grube banknoty to, co dla niej było tylko drobnymi. Zapewne kochała się tak samo. Zwykły gest – „bierna zgoda”, jak to określiła – dla innych był jazdą bez trzymanki, historią, jaka przydarza się raz na całe życie i opowiadasz ją wnukom, gdy

dorosną na tyle, żeby zacząć wypytywać o kobietę, która nadała ci imię od nazwy statku.

Zastanawiałem się, czy istniała albo mogła wkrótce zaistnieć jakaś osoba postronna, która stanie się odbiorcą drobiazgowej relacji na temat tego gościa, Printza, który pojawił się zaraz po tym, jak Clara wzgardziła, pocałowała i pożegnała tego wcześniejszego, o imieniu Inky. Wkrótce to ja będę zostawiał wiadomości na jej automatycznej sekretarce, wydzwaniał do niej w kinie, a ona będzie prosić swojego towarzysza, żeby sprawdził, kto dzwoni, i usłyszawszy moje imię i nazwisko, mruknie pod nosem przekleństwo. „To Printz” – powie.

Chciałem być wobec niej okrutny. Powiedzieć coś, po czym na lata zostanie jej blizna, albo przynajmniej coś, co przylgnie do niej jak plama czy siniak i na pewno zepsuje jej cały wieczór.

Claro, mam wrażenie, że więcej cię już nie zobaczę.

Claro, gdy tylko znikniesz za moimi drzwiami, będzie tak, jakbyśmy się nigdy nie spotkali.

Claro, nie chcę, żeby to się wymknęło spod kontroli – chcę to uratować – pomóż mi uratować to, zanim moje albo twoje ego weźmie górę.

Claro, słyszysz mnie?

– Nie idź jeszcze – powiedziałem.

– Nie chcesz, żebym sobie poszła?

– Nie chcę, żebyś sobie poszła.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? – Czyżby zamierzała mi to wytłumaczyć? – Słuchaj: wczorajsza noc to przeszłość. Tak jak mówiłeś: za wcześniej, za nagle, za szybko. I musimy to skończyć.

– Ale ja nie chcę tego kończyć. Nie mówię tylko o wczoraj. Chodzi mi o coś większego od nas obojga; o nasze życie. Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć. Jesteś moim życiem.

„Jesteś moim życiem” – powtórzyła: wyraźnie nie była to rzecz, którą mówi się w świecie Clary. Podobnie jak śpiewanie pod prysznicem i rozwodzenie się nad zachodami słońca – i co jeszcze?

Nienawidziłem jej.

– Czy robienie ze mnie głupka sprawia ci przyjemność? Może faktycznie jestem głupi.

– Może faktycznie jestem głupi – przedrzeźniła. – Dwa trafienia z rzędu, Printzu. Teraz moja kolej. I nie wiem, czy ci się spodoba to, co mam do powiedzenia.

– Z herbatą czy bez – wtrąciłem, szukając ucieczki w słabych żartach.

– Pora na herbatę już dawno minęła. Oto co chcę powiedzieć, a ty zrób z tym, co ci się podoba.

– Kurczę. – W moim głosie był odcień nikiącej ironii, ale szykowałem się na najgorsze.

– Prawda jest taka. I nie tylko ja tak uważam. To samo powiedziała wróżka. Zależy mi na tobie. Nazywaj to, jak chcesz, nawet miłością, jeśli to ci sprawi przyjemność. Ale rzecz w tym, że po prostu masz na mnie ochotę, chcesz mnie zaliczyć i zapomnieć, pozbyć się mnie z systemu. Jeśli błędne nazywanie tego miłością ci pomaga, to proszę bardzo, nazywaj to sobie miłością. Ale ja chcę ciebie w swoim systemie, nie poza nim. Wiem, czego od ciebie pragnę, i wiem, co muszę za to dać. Tylko że ty nie masz najmniejszego pojęcia, czego chcesz, a już na pewno nie wiesz, co sam jesteś gotów zaoferować w zamian. Nie wybiegałeś myślami tak daleko, bo twojego umysłu właściwie to nie interesuje. Twoje ego, owszem, i twoje ciało, być może, ale reszta ciebie zupełnie o mnie nie dba. Jedyne, co mi do tej pory dałeś, to ta mina zranionego, smutnego szczeniaka i to samo niezadane pytanie w twoich oczach za każdym razem, kiedy zapada między nami cisza. Twoim zdaniem to miłość. Ale tak nie jest. A to, co ja czuję, jest prawdziwe i nie zniknie. Tyle chciałam powiedzieć. Mogę sobie już iść?

Była tak przekonująca, że zacząłem jej wierzyć. To ona kochała mnie, a nie ja ją. Ona wiedziała, czego chce, a ja nie miałem pojęcia. To było całkowicie sensowne.

– Zostań, dobrze? Nie odchodź jeszcze.

– Nie, nie mogę. Obiecałam, że się z kimś spotkam.

– Z kimś? Czy to jakiś znajomy znajomego, który mieszka aż w centrum?  
– Próbowałem pokazać, że też umiem ją przedrzeźniać.

– Nie, to ktoś inny.

– Na nim też ci zależy?

Obrzuciła mnie miażdżącym spojrzeniem.

– Chcesz wojny, tak?

– Wcale nie.

– No to czego?

Miała rację. Nie miałem pojęcia. Ale istniało coś, czego zdecydowanie pragnąłem i było to związane z nią, a w każdym razie dzięki niej mogłem to znaleźć. Albo naprawdę pragnąłem jej samej, a wszystkie moje wątpliwości były tylko rozpaczliwą próbą zamknięcia oczu na prawdę. Prawdę o tym, że jej pragnąłem. Że pisane mi było ją stracić. Że się przeliczyłem i nie zostały mi już żadne karty.

– Chcę, żebyś dała mi jeszcze jedną szansę.

– Ludzie się nie zmieniają, a ty już na pewno. Poza tym co to w ogóle znaczy: jeszcze jedna szansa? Wziąłeś to z jakiegoś filmu?

– Zawsze wszystko przekręcasz i mnie poniżasz.

– Dlatego że ty ciągle tylko gadasz. Kiedy będziesz gotowy, poproszę cię o to – rzekła, nagle kładąc prawą rękę na moim kroczu i chwytając wszystko, co tam miałem; nie puszczała, cały czas mnie ścisnęła. – Pragnę ciebie... Nie tych szczenięcych oczu, nie złośliwych wygłupów, nie wymijających dygresji. Chcę, żebyś był przy mnie, tu i teraz. I już ci mówiłam, że w imię tego zbiorę się na wysiłek i zrobię wszystko, czego będziesz chciał, wszystko, wszystko. Ale dopiero, kiedy będziemy gotowi. – Jej uścisk zelżał, lecz nie cofnęła jeszcze ręki. – Tylko tego nie zepsuj. Bo właśnie psujesz tymi swoimi głupimi gierkami i cykorem, i innymi bzdurami, i nigdy nie zdołasz się po tym pozbierać. Tyle ci mogę obiecać. – Z tymi słowami wsunęła mi rękę w spodnie i sięgnęła po mojego fiuta. – Chcesz moich piersi? A ja z kolei chcę tego.

– Więc czy mogę już iść? – zapytała, jakbym za jego pomocą ją

powstrzymywał.

Kiwnąłem głową.

– Pójdziemy dzisiaj do kina?

Nienawidziłem swojego głosu.

– Tak, pójdziemy.

– Dlaczego? – zapytałem, nie wiedząc, dlaczego pytam ją dlaczego.

– Chyba właśnie ci powiedziałam.

– A co robisz teraz? – Nie mogłem się powstrzymać.

– Teraz idę się spotkać z kimś, kto był dla mnie życzliwszy, niż na to zasługuję.

Kupiłem już bilety i czekałem pod kinem, pijąc dużą kawę, żeby się ogrzać. Odprawiałem pokutę, a ona się spóźniała. Coś mi mówiło, że tak będzie. Starąłem się tym nie przejmować. Wiedziałem, że jeszcze pięć minut i zacznę się bać, że nie przyjdzie, ogarnie mnie obawa, że będę się starał to ukryć, ale w końcu wycieknie to na wiele niejasnych i zdradliwych sposobów, które na pewno ściągną na siebie jej ogień i w końcu doprowadzą do wybuchu wojny totalnej. Starąłem się opanować swoje lęki. Proszę, Claro, nie rezygnuj z przyjscia, tylko nie zrezygnuj. Ale wiedziałem też, że przyczyną narastania moich obaw wcale nie był strach, że Clara nie przyjdzie. Chodziło o myśl, że z tym drugim znajomym zrobi to samo co ze mną, jej dłoń ściskająca i pieszcząca jego fiuta, ta sama przemowa. Nie, nie ta sama przemowa. Z nim Clara będzie się kochać, w pełni i całkowicie, a potem wskoczy do taksówki i pojawi się w kinie nakręcona i rozpalona: „Nie chciałam przegapić początkowych napisów, całe popołudnie o tobie myślałam, chyba nie jesteś zdenerwowany, prawda?”. Kto wie, co robiła po południu pierwszego dnia, kiedy poszliśmy razem do kina.

Ale choć szczerze się przejmowałem tym jej kimś, dręczyło mnie także pragnienie uniknięcia myśli o tym, jak mnie dotykała – chciałem zachować sobie ten moment, bałem się go roztrwonić, myśląc o nim zbyt wiele. Wołałem uszczknąć tylko odrobinę od czasu do czasu, podgryzać go ukradkiem i uciekać w bezpieczne miejsce jak ptak dziobiący ziarenka.



Byłem typem, który lubił odkładać przyjemność na później, ona zaś wolała tu i teraz: żyj i napawaj się chwilą. Żadna kobieta nigdy nie położyła w tym miejscu ręki, nie mając najpierw pewności, że wolno jej to zrobić. Nawet moje pieśczęty wczoraj w nocy, kiedy opieraliśmy się o ścianę piekarni o trzeciej nad ranem, pomimo całej śmiałości nie miały w sobie takiej ikry. Zastanawiałem się, czy było to tylko symboliczne obmacanie jaj, co tłumaczyłoby, dlaczego nieco potarła moje krocze przed odsunięciem ręki, jakby kpiła sobie z zawartości moich spodni, czy też przycisnęła do mnie swoją dłoń po to, żeby mnie podrażnić, podniecić, pokazać, na co ją stać.

Między tym zamartwianiem się i blednącym wspomnieniem jej dotyku unosiły się mgliste myśli o incydencie przed muzeum, o sprawach, na temat których nie chciałem myśleć i nawet byłem w stanie je odsunąć, ale nadal się tam czaiły, niczym wróg czekający na otwarcie bram, ale równie zdolny do wyłamania ich albo podkopania się pod nimi. Dziś rano niemal upadłem na ziemię – turyści, stoiska, dzieci, wszędzie dookoła tłumy, ludzie poprzebierani za karcianych królów i królowe, wszyscy zasysali powietrze, aż miałem wrażenie, że unoszę się jakby pod wpływem helu. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Zaczął się pełen pożądania, ręce z dala od signora Gwidona, a teraz? Sączyłem kawę, której w ogóle miałem unikać, upokorzony, zmiażdżony, słaby, narażony na kolejne potknięcia, gdy tylko środki uspokajające przestaną działać. Naprawdę uważałem, że to jej wina.

Dlaczego do tego dopuściłem? Bo dałem się ponieść nadziei, bo zaufałem? Bo nie udało mi się znaleźć w niej nic, co mógłbym znienawidzić. Bo wszystko, po prostu wszystko było piękne i obiecywało zabrać mnie do tego jednego miejsca, w którym czułem się jak w domu, choć nigdy go jeszcze nie widziałem, a moje życie bez tego będzie tylko jedną wielką pustką?

– Myślałeś, że nie przyjdę – powiedziała, wysiadając z taksówki pod kinem.

– No, może chwilowo się zawahałaś. Chciałaś, żebym się martwił?

– Przestań.

Wyjęła mi z ręki drugą kawę bez cienia wątpliwości, czy jest przeznaczona dla niej.

Wyciągnąłem też paczkę mentosów, co wprawiło ją w ekstazę. A może chciała mi wynagrodzić brak podziękowania za kawę, okazując aż nazbyt wylewną radość z powodu miętówek.

– Chcesz? – zapytała, rozdzierając opakowanie. Pierwszy mentos był czerwony. Clara zawsze lubiła czerwone, a nie znosiła żółtych.

– Ja też chcę czerwonego – powiedziałem. Ale ona już włożyła go sobie do ust z prowokującym uśmiechem mówiącym: „Tego nie dostaniesz, chyba że go sobie weźmiesz”. Mógłbym ją pocałować w usta, znaleźć mentosa, wykraść go językiem, pobawić się nim trochę i z powrotem go jej oddać. Nagle, kiedy wyobrażałem sobie nasz pocałunek i jej palce przeczesujące namiętnie moje włosy, uderzyła mnie myśl: może nie kochaliśmy się tego popołudnia, ale byliśmy bardzo blisko, niemal za blisko.

A tymczasem Clara ani słowem nie zdradziła, gdzie była i co robiła. Jej milczenie na ten temat potwierdzało moje najgorsze obawy. Dusilem się w nich przez oba seanse Rohmera, co zatruło mi całą przyjemność.

Kiedy o północy wyszliśmy z kina, nie byłem już w stanie zapanować nad urazą.

– Co cię gryzie? – zapytała.

Moje „nic” nie usiłowało nawet być dramatyczne ani wyraźnie dwuznaczne; było to zwyczajnie ponure „nic” i nie chciało mi się tego ukrywać.

– Nie podobały ci się filmy?

– Podobały.

– Źle się czujesz?

– Nic mi nie jest.

– Więc to przeze mnie.

Przede mną rozciągało się pole pokrzyw i nie miałem ochoty zagłębiać się w nie na bosaka.

– Powiedziałaś coś nie tak? – zapytała. – No weź. Powiedz, o co chodzi.

Przez kilka chwil zbierałem się na odwagę.

– Po prostu przykro mi, że dziś po południu ode mnie wyszłaś. Czułem się strasznie.

– Musiałam się z kimś zobaczyć.

Usiłowałem zachować spokojny, obojętny wyraz twarzy, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Wolno mi spytać z kim?

– Jasne, pytaj.

– Więc z kim?

– Nie znasz go, ale to mój bardzo bliski przyjaciel. Rozmawialiśmy o tobie. O nas.

Usiłowałem ogarnąć sytuację, ale nie wiedziałem jak.

– Ciągle mam mętlik w głowie. Nigdy w życiu nie byłem tak pogubiony. I nigdy nie odważyłem się nikomu powiedzieć, jaki jestem pogubiony. Przenigdy.

Nigdy jeszcze nie powiedziałem jej czegoś o sobie tak szczerze. Był to dla mnie nowy sposób rozmowy i nie miałem pewności, czy mi się podoba.

Jak mogłem się przy niej rozluźnić i choćby spróbować wskrzesić wczorajsze pocałunki, kiedy dzieliła nas ta zaraza?

Gdy dotarliśmy do baru, sytuacja zrobiła się fatalna. Przy stoliku tuż obok tego, który zajęliśmy, siedział mężczyzna w granatowym garniturze i białej koszuli, ale bez krawata. Na widok Clary podniósł się i ją uściskał. Oczywiście nawet mi go nie przedstawiła, sam odwrócił się do mnie i to zrobił. Na jego stoliku leżało coś, co wyglądało jak promocyjne egzemplarze albumu z czarno-białymi fotografiami.

Mężczyzna trzymał ekstraduze martini z kilkoma oliwkami nakłutymi na długą wykałaczkę, których jeszcze nie ruszył. Nastąpiła niezręczna chwila, kiedy Clara i ja usiłowaliśmy zdecydować, jak mamy usiąść. Rozsądek nakazywałby, żeby Clara usiadła przy swoim znajomym na ławeczce, która łączyła oba stoliki, ale wtedy z kolei ja nie mógłbym usiąść obok niej, jak to mieliśmy w zwyczaju, bo Clara znalazłaby się między nami, a my dwaj siedzielibyśmy za daleko od siebie. Wybrałem więc oczywiste rozwiązanie:

usiadłem naprzeciwko niej, twarzą do nich obojga. Clara zawahała się na chwilę, co wzięłem za dobry znak, ale potem usiadła tak blisko niego, że właściwie znaleźliśmy się przy jego stoliku. Byłem na nią wściekły, że nie nalegała, abym usiadł przy niej. Mimo to jej niezdecydowanie sprawiło mi przyjemność, podobnie jak teatralny entuzjazm obsługującej nas dziewczyny: no, wreszcie przyszli! Mężczyzna – miał na imię Victor – nie wychwycił chyba przelotnego wahania Clary ani głośnego powitania kelnerki.

Zastanawiałem się, co wie na temat Clary i mnie. Czy byliśmy tylko przyjaciółmi? Więcej niż przyjaciółmi? No właśnie, kim dla siebie byliśmy? A oni? Wy tłumaczył, że postanowił wpaść na drinka, bo cały wieczór pracował ze swoim asystentem. Chciał po raz ostatni przejrzeć zdjęcia, zanim odda je rano do wydawnictwa. Z jakiegoś powodu nadal mu się nie podobały. Dopiero co wrócił po dwóch wystawach, jednej w Berlinie – poszło wspaniale, po prostu wspaniale! – drugiej w Paryżu – *sensationnel!* – a za trzy tygodnie jedzie do Londynu i Tokio: czy można prosić o więcej? Jaki jest tytuł wystawy? – zapytałem, żeby wziąć udział w rozmowie. *Manhattan Noir*, co z uwagi na francuski akcent wymawiał jako *Manattàn Noir*. Clara rzuciła mi szybkie spojrzenie zmrużonych oczu. Było wesołe i porozumiewawcze. Wiedzieliśmy, że później będziemy parodiować i śmiać się z wymowy jej znajomego.

Victor, w eleganckim granatowym garniturze i wykrochmalonej białej koszuli z francuskimi mankietami, niezwykle się cieszył z tego projektu. Za rok jego album będzie hitem do eksponowania na stolikach do kawy – wyjaśnił, próbując zbyć swoją pracę śmiechem. Ale wyraźnie był z siebie zadowolony. Nawet jego lśniący biały kamizel, rozpięta i *sans cravate*<sup>18</sup>, stanie się przedmiotem naszych drwin, kiedy zostaniemy sami, nie mówiąc już o jego imieniu i nazwisku, które wypisano dużymi literami na okładce: Victor François Chiller. Inicjały jak VF Corporation. Miałem ochotę się roześmiać.

Temat *Manhattan Noir* przeciągnął się długo po północy. Wszyscy byliśmy ożywieni, weseli i mieliśmy swoje teorie. Opisywaliśmy je na zmianę: chodzi o miasto noir czające się w każdym człowieku, nawet jeśli nigdy nie widział on żadnego filmu noir. Miasto noir, którego przebliski uwielbiamy wyłapywać wokół siebie, bo przenoszą nas na inny Manhattan,

który być może nigdy nie istniał, ale istnieje za pośrednictwem filmów oraz ich powidoków. Miasto noir, w którym czasem pragniemy zamieszkać. Miasto noir, które znika, gdy tylko wychodzisz, żeby je znaleźć. Miasto noir, które znajduje się bardziej w nas niż w rzeczywistości – dorzuciłem.

– Nie, nie dajmy się ponieść – stwierdził Victor.

Clara poprawiała jego wymowę. Nie „Manattàn”, tylko „Manhattan”. Nie „poniurhe goziny nosne” tylko „ponure godziny nocne”. Zarówno jej kpiny, jak i własna wymowa budziły w nim wielkie rozbawienie i bez skrępowania obejmował Clarę ramieniem, przyciągając ją do siebie za każdym razem, kiedy wybuchał głośnym śmiechem, co zmuszało ją do oparcia głowy o jego ramię. Być może czując je wokół siebie, automatycznie nachylała się ku niemu w ramach przeprosin za to, że żartuje sobie jego kosztem. A może wystarczyło jej dotknąć i należała do ciebie?

Jego ręka nie cofała się przez jakiś czas. Victor zauważył, że się jej przypatruję. Odwróciłem wzrok i popatrzyłem na Clarę, wyczuwając natychmiast, że ona również zwróciła na to uwagę i podobnie jak Victor odruchowo spojrzała gdzie indziej. Żadne z nich się nie poruszyło; ona nie podniosła głowy z jego ramienia, a on nie cofnął ręki. Tak jakby oboje niezależnie od siebie zastygli w tej pozycji, bo albo było za późno, żeby cofnąć gest, albo chcieli mi pokazać, że nie ma w nim nic niezręcznego ani nieodpowiedniego i że – skoro już o tym mowa – mogli robić, co im się podoba, nie mieli absolutnie nic do ukrycia, nic, czego musieliby się wstydzić, i odsuną się od siebie, jeśli i kiedy będą na to gotowi.

Czy robili to – czy ona to robiła – na złość mnie? Czy go zachęcała? A może była zbyt słaba, żeby go powstrzymać, albo chciała mi tym przekazać jakąś wiadomość? Nie masz żadnych przywilejów, nie możesz rościć sobie żadnych praw, a jeśli mam ochotę przytulić się do jego ramienia, dotknąć jego ręki albo obmacać mu jaja, zrobię to na twoich oczach – i lepiej się z tym pogódź.

Może łączyła ich dawna zażyłość, która rodzi się między dawnymi kochankami?

A może była to dwuznaczna przyjaźń między mężczyzną a kobietą, tak samo jak nasza znajomość była tylko dwuznaczną przyjaźnią między

mężczyzną a kobietą?

Może dopatrywałem się w tym zbyt wiele? A może nawet nie zdołałem zajrzeć pod powierzchnię? Moje wątpliwości, podobnie jak dowody na twierdzenie Pitagorasa, nagle stały się liczniejsze niż gwiazdy na niebie.

A może właśnie ustało działanie środków uspokajających i znowu przemawiały przeze mnie poranne lęki, zmuszając do snucia takich myśli i jednocześnie nakazując zachować kamienną twarz – na wypadek gdyby to wszystko okazało się tylko moim przywidzeniem?

Co byłoby gorsze: zmyślić sobie to wszystko i nie móc się cieszyć wieczorem czy też patrzeć na nich i w niczym się nie zorientować?

Wiercenie się i przewracanie z boku na bok. Nie wiercenie, ale przewracanie...

Claro, rozczarowałem cię, prawda?

Och, Hieronimo, Hieronimo, cóż uczynili z twoim umysłem? Myśli twe rozproszone, „trzcina spełzła już z jeziora”<sup>19</sup>. Czulem, że znowu mnie to nachodzi.

Przeprosiłem i poszedłem do łazienki. Wiedziałem, że łazienka złamie mi serce. Spryskałem twarz wodą. Zimna woda w śmierdzącej łazience sprawiła mi przyjemność. Znowu potarłem twarz. Zwilżyłem kark, nadgarstki, miejsce za uszami. Pamiętałem nacisk stalowego przycisku na czole i to, jak wgniół mi skórę. Biedny, biedny hultaj. I całe to moje silenie się na luz, kiedy byłem podniecony do szpiku mojej stwardniałej kości w spodniach, całe to moje rozmyślanie, jak mam się elegancko wynieść, kiedy już to zrobimy? Wczoraj wieczorem Clara zsunęła kołnierz mojego golfu i mnie pocałowała. Ręce czepiające się chciwie, ja usiłujący powściągnąć wodze sir Lochinvara, rumaka i bucefała, pocałunki pod szczęsną piekarnią z mych szczęsnych wspomnień. O radosna, radosna, radosna godzino. Dzisiaj zaś serce Clary należy do innego mężczyzny. Zdrajczyni. Sprytna sztuczka – to zawahanie się, zanim usiadła obok niego. Ach, myślałaś, że Printz Oskår się na to nabierze? Dlaczego nie była to wczorajsza noc, dlaczego nie mogła to być wczorajsza noc, zawróćmy wskazówki zegara, cofnijmy zły sen, odwołajmy każdy popełniony błąd, skierujmy czas na właściwy tor, wróćmy do miejsca, w którym wybrałem złą ścieżkę i znalazłem się sam na śniegu w Straus Parku

po tym, jak się całowaliśmy, i usłyszałem jej słowa: „Spotkaliśmy się tu dziś rano i oto znowu wróciliśmy w to samo miejsce”. Ach, sir Tristramie, jesteś tylko łysiejącym, mizdrzącym się mięczakiem; myślałam, że okrywa cię blask tego, co najszlachetniejsze, ale ty jesteś zwykłym Gwidonem. Myślałam, że jesteś wielki we wszelkich rzeczach, ale ty jesteś karłem. Precz, stary głupcze, zapadnij się pod ziemię. Kiedy wróciłem, nie zauważyła, jak nadchodzę. Rozmawiali. To była dwuosobowa impreza, a mnie nie zaproszono.

Właśnie zamierzali zamówić drugą kolejkę. Postanowiłem spasować. Zdziwiła się. Nie mam ochoty na frytki z keczupem?

Czy w ten sposób prosiła, żebym jeszcze nie odchodził?

W tym pytaniu kryło się tyle dobrych rzeczy.

To był dość długi dzień – odparłem. I chyba coś mnie bierze. Kiepski, bardzo kiepski dzień.

Victor nie spytał o przyczyny. Jego powściągliwość i pośpiech, z którym usiłował wrócić do ich rozmowy, zdradziły mi, że Clara mogła mu opowiedzieć o moim epizodzie w szpitalu, a on nawet nie starał się udawać, że o nim nie wie.

Brawo, Claro.

– Poza tym naprawdę nie powinienem pić – dodałem, przypominając sobie zalecenie młodego lekarza.

– Posiedź jeszcze. Nie musisz pić. – Zabrzmiało to bardzo zdawkowo, niemal jakby prosiła mnie tylko z uprzejmości, ale wiedziałem, że zdawkowość u Clary nie oznacza obojętności. Posługiwała się kodem. Ta nieformalność wycelowana była w niego, nie we mnie. Może i chciała, żebym został. Ale ja postanowiłem potraktować jej nonszalancję dosłownie. Odczytywałem jej intencje na opak, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że zdawkowy ton jej prośby mógł być przeznaczony także dla mnie: chciała, żebym został, bo to by lepiej wyglądało, ale właściwie wszystko jedno – mogę sobie zostać albo iść.

To, czego przez cały czas pragnąłem, stało się dla mnie oczywiste, gdy tylko podniosłem się, żeby odejść. Oczekiwałem, że widząc, jak zakładam

płaszcz, Clara zmieni zdanie i jednak nie zamówi kolejnego drinka. Wyjdzie ze mną, a ja naszym zwyczajem odprowadzę ją do domu. Piekarnia. Straus Park. Tym razem zapytam, czy mogę wjechać z nią na górę, nawet jeśli sama mnie nie zaprosi.

– Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej – powiedziała. Udawała, że chodzi o moje złe fizyczne samopoczucie i niewyspanie. Spojrzałem na nią, pytając niemo: Więc naprawdę ze mną nie pójdziesz?

– Ja chyba jeszcze tu posiedzę i wypiję następną kolejkę – powiedziała.

Uścisnąłem rękę Victora, a z Clarą pocałowaliśmy się w oba policzki.

Nie chcę mieć z nią nic więcej do czynienia. Nigdy już nie chcę jej widzieć. Nigdy, nigdy, nigdy.

To był jeden z najgorszych dni w moim życiu. Właściwie w ogóle najgorszy. Minie kilka dni, może kolejny tydzień, zanim zdołam się z tego wszystkiego otrząsnąć. A może nie doceniałem szkód, jakie mi wyrządzono? Poczekajmy jeszcze rok, do następnej Wigilii – dusza ma własne rocznice itepe, itede...

Zamiast wrócić do centrum, poszedłem do Straus Parku. Dosyć, dosyć, dosyć – myślałem. To ostatni raz, kiedy tu przychodzę. Przypomniałem sobie posąg oświetlony blaskiem stojących na baczność wotywnych świeczek i skryzalizowane gałązki, i krwawiącą tęsknotę za miłością, i spacer do i z katedry, kiedy Clara odsunęła się od swoich znajomych i przyprowadziła mnie w ten cichy zakątek, i dokładnie w momencie, kiedy zaczęliśmy się do siebie bardzo, bardzo zbliżać, powiedziała, że ma ochotę na kieliszek mocnej, parzącej lodem wódki. Będzie tędy przechodzić i za każdym razem będzie myśleć o mnie, i będzie ze mną, i któregoś dnia, kiedy będzie stała ze swoim mężem i wyglądała z nim z okna salonu na śnieg pokrywający Hudson, wreszcie załamie się i powie za Joyce'em: „Smutnym głosem mnie wzywa, smutnie przyzywając”<sup>20</sup>, i postarzeje się, i pomarszczy, i wyruszy ku krańcowi życia, kołysząc głową, i wypełni ją żółc i wspomnienia, i powie do pierwszego napotkanego w Straus Parku żebraka: kochał mnie kiedyś, w dniach mej urody.

To okrutne widmowe miasto. *Manattàn Noir*. Wszystko tu było noir. Śnieg był tylko zasłoną, kłamstwem – bo on też był noir. Śnieg rani, bo



zwodzi. Przy połyskliwym asfalcie przynajmniej wiesz, że masz do czynienia z czymś ciemnym i twardym, z ubitą podbudową z pokruszonego kamienia i odłamków lśniącego szkła. Tymczasem śnieg jest niczym twardy miękisz i stopiona smoła, miękki na zewnątrz jak aksamit i chleb, i wszystkie dobre rzeczy, które ustępują pod wpływem dotyku – a pod spodem czarny, tępy i twardy jak węgiel kamienny, i takie właśnie wydawało mi się dzisiaj wszystko. Czarne, tępe i twarde jak węgiel kamienny.

Stałem przez chwilę w nadziei, że Clara zmieni zdanie i przybiegnie za mną. Ale nikt nie nadchodził. Okolice Straus Parku były puste. Wszyscy zniknęli. Zbłąkani Trzej Królowie o głowach spowitych w płomień zniknęli, Phildonka Otopanimijsce też zniknął, Ragoon i żebraczka też pewnie tu byli, a potem odeszli. Teraz zostały tylko nasze cienie, a właściwie tylko mój. Ten poeta Leopardi miał rację. Życie to gorycz i nuda, a świat to ścierwo.

## Noc siódma

Miałem nadzieję, że któregoś dnia, kiedy to wszystko przestanie się liczyć, Clara zapyta mnie: „Dlaczego wtedy wyszedłeś?”. Bo byłem zły. Bo zacząłem się nienawidzić. Bo nie wiedziałem, co robić. Nie chciałem siedzieć w milczeniu i dalej zmagać się z nim, z tobą. Traciłem cię, a siedzenie w barze i obserwowanie tego procesu utraty nappełniło mnie jeszcze większą goryczą, bo wydawałaś się zdecydowana go przyspieszyć. Byłem wkurwiony. Wkurwiony, że przez te wszystkie wieczory ani razu nie dałaś mi odetchnąć i ciągle miałem wrażenie, że tylko patrzę, jak obok nas przepływa rwący strumień utraconych szans. Miałem do ciebie pretensje, że powściągałaś odruchy, w których nie było nic złego, a potem miałaś do mnie pretensje za taką samą powściągliwość. Winiłem siebie samego za myśli, że to twoja wina. Bo to była moja wina, zawsze moja.

Jedyne, co tamtego wieczoru widziałem, to swoboda, z jaką odwróciłaś kartkę na czystą stronę i bez wysiłku odpuściłaś – „Widziałeś? Bez trzymanki, bez trzymanki!” – podczas gdy los w postaci wyskakującego z pudełka klauna machał miotłą nad moją głową. „Owszem, to mogło do czegoś prowadzić, ale wiesz, w końcu wszyscy się zmieniamy”. Przez ciebie znalazłem ukojenie w litowaniu się nad sobą. Tego nigdy nie mogłem ci wybaczyć.

Myślałem, czy nie poczekać na ciebie w parku. Nawet kusiło mnie, żeby wysłać ci esemesa i napisać w nim coś śmiesznego albo obscenicznego o monsieur VFC, albo tak okrutnego, że spaliłoby to za nami wszystkie mosty, o ile nie spaliłem ich już w barze. Ale ty wzięłabyś telefon i pod pozorem tego, że nie założyłaś okularów, podała go VFC, zapytała, od kogo ta wiadomość, a potem wyrwała mu komórkę z ręki i wcisnęła z powrotem do kieszeni płaszcz. Printz!

Stałem w kałuży białego światła, usiłując poczuć tę samą magię i wrażenie oczyszczenia co w pierwszą noc. Ale nie podziałało. Wyrecytowałem sobie kolejne fragmenty Leopardiego, wyciskając z nich odrobinę pokrzepienia, ze świadomością, że jeśli nie zjawi się żadna

pociecha, to przynajmniej w jej miejsce może przyjść piękno, i że w tę najbardziej ponurą z grudniowych nocy w klimacie noir piękno może być wystarczające. Ale nic do mnie nie przyszło. Nagle zobaczyłem żółtą taksówkę. Zatrzymałem ją, wsiadłem i powitało mnie miłe ciepło starej tapicerki oraz niewyraźny skwaśniały zapach curry i kminku. Znajdowałem się w czarno-białym świecie noir i nie chciano mnie z niego wypuścić.

Gdy tylko wsiadłem, poprosiłem kierowcę, żeby zawiózł mnie na róg Riverside i Sto Dwunastej. Powiedział, że będzie musiał pojechać aż do Sto Czwartej i dopiero tam będzie mógł zawrócić w odpowiednim kierunku. Czy tak może być? Owszem, może. Chciałem po prostu znaleźć się w miejscu, gdzie wysiadłem z autobusu i zagubiłem się w noc śnieżycy. Zamięć trwała przez całe przyjęcie i kiedy wiele godzin później wyszedłem i spacerowałem ulicą, jeszcze nie ustała. A teraz wracałem do tego samego punktu, w którym wszystko wydawało się bezpieczne, bez względu na to, jak idiotycznie zachowałem się tego wieczoru. Tylko ja i dwie głupie butelki na schodach przy pomniku Samuela J. Tildena.

Kiedy taksówka przejeżdżała pod jej apartamentowcem, spojrzałem w górę, żeby zobaczyć, czy przypadkiem Clara nie wróciła już do domu. Ale samochód podjechał za blisko i nie mogłem dosięgnąć wzrokiem jej okna.

Wysiadłem dokładnie w miejscu, gdzie widziałem tamtego bernardyna. A może tylko wyobraziłem sobie psa, myśląc o średniowiecznych bożonarodzeniowych miasteczkach, które w zimie pandelęku ciemnieją, szarzeją i pustoszeją szybciej, niż sklepikarz może zaciągnąć w witrynie rolety? Kto poza szaleńcami i osobnikami tęskniącymi do innoludzi spaceruje samotnie późną nocą po Saint-Rémy?

Tęsknota za innymi. Co za pomysł!

Poszedłem Sto Dwunastą na wschód, kierując się ku Broadwayowi i w głębi ducha ciesząc z suspense – wiedziałem bowiem, dokąd tak naprawdę zmierzam, choć jeszcze nie chciałem się przed sobą do tego przyznać. Nawiasem mówiąc, oto co zamierzałem zrobić za dwa dni, jeśli postanowię się wybrać na sylwestrowe przyjęcie do Hansa: pójdę do katedry, skreczę w prawo przy Broadwayu, przejdę kolejne sześć kwartałów i wreszcie skreczę w Sto Szóstą. Czy to samo zamierzałem zrobić także dzisiaj? A może

był to po prostu spisek, żeby przejść pod jej domem lub – jeszcze lepiej – wpaść na nią, kiedy będzie wracać z baru?

Co ty tu robisz?

Spacerowałem po śniegu. Albo po prostu się wietrzyłem.

Wietrzyłeś?

W sensie uczyłem się żyć ze sobą teraz, kiedy nie ma cię już w moim życiu.

Nie ma mnie w twoim życiu?

No, wyglądało na to, że...

Wyglądało na to, że to ty sobie poszedłeś i mnie zostawiłeś, nie ja.

Tak, ale wyglądało na to, że...

Wyglądało na to, że możesz spadać. Nawet gdybym wpadł na nią, kiedy będzie wracała do domu, najprawdopodobniej nie byłaby sama. Nawet gdyby Victor nie miał wejść do jej mieszkania, i tak musiałby odprowadzić ją do domu. Czy Clara poda mu rękę, kiedy będą szli, i wtuli się pod jego ramię?

Zbliżając się do Sto Szóstej – jak to sobie zaplanowałem – zwolniłem kroku. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyli. Ale ja też nie chciałem ich widzieć. Czy upłynęło już dość czasu, żeby zdążyli dopić drugiego drinka i wyjść z baru? Nagle uświadomiłem sobie, dlaczego się kryję – bo naprawdę się kryłem, prawda? Wstyd mi było, że tak się skradam, że kręcę się pod jej domem, szpieguję ich, ją. Stalker. Normalnie stalker!

Jeśli miałem na nią wpaść o tej porze, to modliłem się tylko, żeby nie była w towarzystwie.

Co się stało?

Nie mogłem zasnąć. Nie chciałem być sam. Oto co się stało.

Czego ty ode mnie chcesz? Wypowiedziane niecierpliwie, z litością i znużeniem.

Nie wiem, czego chcę. Chcę ciebie. Chcę, żebyś pragnęła mnie tak samo rozpaczliwie, jak ja pragnę ciebie.

Dlaczego dziś po południu pozwoliłem jej odejść? Czy ja zwariowałem? Kobieta wchodzi do twojego domu, mówi ci wprost, że jej na tobie zależy, łapie cię za jaja, a ty stoisz roztrzęsiony jak Finnegan szukający kryjówki, podczas gdy Shem i Shaun mijają cię w panice i pędzą Gościńcem Dopodbrzusznym.

Ale jeśli nie była sama i przyłapię ich razem, to powiem wesoło: „Nie mogłem zasnąć” i wzruszę ramionami, a potem dodam: „Właśnie wracałem do baru. Miałem nadzieję, że jeszcze was tam złapię”. Już sobie wyobrażałem, jak stoją przede mną na chodniku, wymieniając niedowierzające spojrzenia, i tkwilibyśmy tak we troje w absolutnej konsternacji. Dobranoc, Claro. Dobranoc, Manattànie. I czmychnę do domu, wiedząc, że pierwszą rzeczą, którą zapragnę zrobić po powrocie, będzie telefon do niej i słowa: *Manattàn noir, c'est moi*.

Na rogu Sto Szóstej i Broadwayu postanowiłem przejść jeszcze kwartał na południe, skręcić w Sto Piątą i zrobić kółko z powrotem do Sto Szóstej od strony Riverside.

Chciałem – tak sobie wmawiałem – rzucić ostatnie, pożegnalne spojrzenie na jej budynek, zwłaszcza jeśli za dwa dni nie wybiorę się jednak na to przyjęcie. Do czasu, kiedy przyjdę tu po raz kolejny, mogą upłynąć lata, całe lata i lata.

Ale wiedziałem, że to tylko wykręt, żeby jeszcze raz rzucić okiem.

Przy Sto Piątej Ulicy panował ogromny spokój: znajdował się tam rząd białych kamienic, które zdawały się drzemać w nieziemskiej zimowej epoce ognia w kominkach, gazowych lamp i stajni ukrytych na tyłach rezydencji. Nikt nie odgarnął tu śniegu i wydawał się on równie nieskazitelny i czysty jak na malowidłach Rockwella.

W przeciwieństwie do tych urokliwych domków jej wielki apartamentowiec, kiedy ukazał się wreszcie na rogu Sto Szóstej, sprawiał wrażenie twarzy ułożonej w groźny grymas, jakby gotyckie okna i fryzy wiedziały, gdzie mnie znaleźć, i niczym nieufne dobermany czaiły się, udając sen, czujne i gotowe do skoku, gdy tylko wykonam jeszcze jeden krok. Nagle zobaczyłem lampkę przy stanowisku Borysa oraz boczne wejście do holu. Nigdy nie widziałem, gdzie dokładnie urzęduje portier, ale co wieczór, gdy

tylko się zbliżaliśmy, zawsze stał już w drzwiach, żeby wpuścić Clarę do środka. Jeśli nie będę ostrożny, to mnie zauważy. Podniosłem głowę i ku swemu kompletnemu zdumieniu zauważyłem, że wszystkie światła w salonie Clary są włączone. Jakże to haniebne – pomyślałem – że tak ją szpieguję.

Widać musiała wrócić do domu, kiedy ja szedłem wolno Broadwayem. Co oznaczało, że albo pośpiesznie dopili swoje drinki, albo w ogóle z nich zrezygnowali i zwyczajnie wyszli z baru niedługo po mnie. Albo może wychodząc rano z domu, zapomniała wyłączyć światło. Czy była typem osoby, która zostawia lampy włączone przez cały dzień? Wydawało mi się, że nie. Najprawdopodobniej dopiero co wróciła i zapaliła światła w salonie. Może oglądała telewizję. Chyba że – naturalnie – nie była sama.

Na rogu Sto Szóstej i Riverside przeszedłem przez ulicę i ruszyłem na północ, usiłując dojrzeć pozostałe pomieszczenia. W nich również było jasno, choć nie miałem pewności, czy nie jest to blask dobiegający jeszcze z salonu. Nawet nie byłem pewien, czy jedno z bocznych okien na pewno należy do jej mieszkania. Proponowała, że mnie oprowadzi, ale potem zapomniała. A ja usiłowałem nie okazywać zbytnej ciekawości i ochoty, więc zapewne uznała, że mnie to nie obchodzi – może dlatego nie nalegała. Pamiętałem, że miałem ochotę zobaczyć jej łóżko, ale nie chciałem dać tego po sobie poznać. Czy ścieliła je codziennie, czy też zostawiała, jak było?

Na rogu Sto Siódmej musiałem podjąć decyzję: wrócić wzdłuż Riverside czy przejść do Broadwayu i znowu zrobić pętlę od Sto Piątej. W śniegu mogło mi to zabrać jakieś dziesięć minut.

W takim chodzeniu było coś niesamowicie uspokajającego. Będę mógł się nad wszystkim zastanowić, porozmawiać z nią w myślach, poszukać sposobu, w jaki może któregoś dnia to wszystko da się jeszcze ułożyć, nawet jeśli wiedziałem, że takie spacerunki rzadko przynoszą odpowiedzi, że nikt nie jest w stanie niczego rozwiązać, a tym bardziej przejrzeć mgły, w której brodzimy, że chodzenie daje tylko zajęcie dla nóg i oczu, żeby umysł nie miał możliwości skupić się na dywagacjach. Najlepsze, do czego będę w tej chwili zdolny, to rozmyślanie o rozmyślaniu, co oznaczało pograżenie się w sobie jeszcze bardziej, co oznaczało wytłumienie całej reszty, łącznie z moimi myślami, co z kolei oznaczało snucie czegoś, co każdy inny nazwałby snami na jawie. Może to wszystko wcale nie musiało zmierzać ku

smutnemu końcowi – nawet to ciche rozmyślanie bez skupiania się na konkretnej kwestii było rodzajem uzdrowienia, jak amnezja i afazja: ciało przychodzi umysłowi na ratunek i bardzo łagodnie wprawia go w otępienie, wymazując kolejno złe myśli tak jak tamta pielęgniarka, która opatrywała dziecko z rozciętą nogą, oczyszczała jego rany, spokojnie, delikatnie, lekko przecierając je złożoną gazą, a jednocześnie zręcznie wyciągała pincetą odłamki stłuczonego szkła i wrzucała je do plastikowej miseczki, ale jak najciszej, żeby nie przestraszyć chłopca. Wszystkim, czego pragnął w tej chwili mój mózg, było oddanie się fantazjom, bo wyobrażone obrazy były niczym muśnięcia miękkiego piórka na siniaku, a myśli płynęły niczym jodyna na otarcia. Ona i ja się pogodziliśmy. Ona i ja w Nowy Rok razem z tymi przyjaciółmi, których chciała mi przedstawić. W ostatni wieczór retrospektywy Rohmera, ona i ja razem.

A teraz zwyczajnie szedłem. Szedłem, aby się pożegnać. Szedłem, aby ją szpiegować. Szedłem, aby stać się jednym z dzieł kamieniarzy, które patrzyły na jej dorastanie i znały wszystkie jej poczynania, kiedy była dzieckiem, studentką, Clarą. Szedłem, aby przedłużyć swoją obecność w jej świecie i nie wracać jeszcze do domu, gdzie znalazłbym się sam na sam ze swoimi myślami, które nie były już nawet myślami, tylko łypiącymi szyderczo gargulcami z potwornych zaświatów, o których istnieniu nawet nie miałem pojęcia, dopóki nie ujrzałem ich otaczających mnie rojem w przebraniu ludzi obnoszących reklamy. Szedłem – powiedzmy sobie szczerze – w nadziei, że odnajdę portal wiodący z powrotem do jej życia. Szedłem w ramach pacierza, próśby i pokuty. Szedłem w niezgodzie na kres miłości, w odmowie na coś, co stało się oczywiste, rozdrapywałem to w kółko, odłamek po odłamku, przyjmując prawdę w małych dawkach, tak jak zażywa się truciznę, aby od niej nie zginąć.

W nadchodzących latach, kiedy będę mijał jej budynek, za każdym razem przystanę i spojrzę w górę. Nie będę wiedział, dlaczego spoglądam w górę ani czego szukam. Ale wiedziałem, że spojrzę w górę, bo bezcelowe spoglądanie w górę w tym jakby oszołomionym, balsamicznym nastroju, w którym się teraz znajdowałem, samo w sobie będzie przypomnieniem i uleczeniem duszy, momentem łaski. Postoję chwilę, przypominając sobie tyle różnych rzeczy: noc przyjęcia, noc, kiedy wydawało mi się, że najlepszą decyzją będzie się pożegnać, nie zabawiając zbyt długo pod wejściem do jej

budynku, noc, kiedy po raz pierwszy poczułem, że mój czas tutaj jest policzony. Noc, kiedy wiedziałem, po prostu wiedziałem, że Clara zmieni zdanie, gdy tylko powiem: „Tak, wjadę z tobą na górę”, i wieczór, kiedy wyjrzałem z jej okna i zapragnąłem zacząć wszystko od początku, w jej salonie, bo całe moje życie zdawało się zbiegać w tym jednym pomieszczeniu, z Clarą, z barką, z naszym dziwnym żargonem i herbatą earl grey, kiedy siedzieliśmy i rozmawialiśmy o tym, dlaczego ten utwór Beethovena to cały ja, podczas gdy część mnie będzie się zastanawiać, czy nie zmyśliłem sobie całej rozmowy, żeby trochę podkreślić sytuację, bo właściwie nie miałem pojęcia, dlaczego ten kwartet miałby być mną, tak samo jak nie wiedziałem, dlaczego historie Rohmera miałyby być mną albo dlaczego chciałem tu spędzać liczne zimowe popołudnia z Clarą, starając się zrozumieć, czemu najlepsze rzeczy w życiu wymagają czasem dwóch kroków naprzód i trzech do tyłu.

Spojrzałem w górę i już wiedziałem. Miałem to wszystko przed oczami: strach, pragnienie, żal, wstyd, gorycz, ból i wyczerpanie.

Teraz, kiedy szpiegowałem z Broadwayu końcową część jej budynku z tym jednym oświetlonym oknem, które musiało należeć do pokoju służącej, z widokiem na Straus Park, uderzyła mnie myśl, że choć właściwie nic razem nie przeżyliśmy, to może jednak wszystko teraz straciliśmy, jakby nasz związek zdołał przejść od pobożnych życzeń bezpośrednio do wspomnienia o czymś, co utraciliśmy, choć nigdy nawet nie istniało, jakby był marzeniem o przeszłości, która nigdy nie miała teraźniejszości. Byliśmy tu kochankami. Kiedyś. Kiedy? Trudno powiedzieć. Może zawsze i nigdy.

Znowu przeszedłem Sto Piątą – cichą, spokojną alejką obramowaną białymi kolumnami. Kamienice wpatrywały się we mnie podejrzliwie, marszcząc brwi.

Co ty tu znowu robisz?

Jestem tu, bo nie wiem, dlaczego tu jestem.

Jej światła nadal się paliły. Ale za jasno. Co ona mogła teraz robić? Czy powinienem wypatrywać ludzkiej postaci, dwóch ludzkich cieni przemykających za zasłonami? Czy podejdzie do okna, kiedy jej komórka zacznie dzwonić? Tylko nie mówcie, że szpieguję pod niewłaściwym



mieszkaniem.

Czy to możliwe, że należała do ludzi, którzy śpią przy włączonych światłach? A może zostawiła je włączone przed wyjściem, bo lubi wracać do oświetlonego domu? Sam czasami tak robiłem, żeby zapomnieć, że mieszkam sam. A może kręciła się po pokojach i dlatego wszędzie paliły się lampy? A może to dlatego, że kiedy była sama, nienawidziła siedzieć po ciemku i to był jej sposób zademonstrowania, że jest sama i wcale jej się to nie podoba?

Nagle ktoś wyłączył światła w jej mieszkaniu. Poszła do łóżka. Przez głowę przemknęła mi przerażająca myśl: oni poszli do łóżka. Ale na Sto Szóstej zauważyłem, że światło w jej kuchni nadal się pali.

Kto idzie się przespać z kochankiem i zostawia w kuchni włączone światło? Nikt.

Chyba że zapomnieli się pod wpływem namiętności.

Co ona teraz robiła?

Piła koniak? Może whisky z odrobiną miodu i gorącej wody na rozgrzanie? Mała przekąska? Jak łatwy może być kontakt z innym człowiekiem, jak łatwy zawsze był? Więc dlaczego z Clarą szło tak nietypowo ciężko?

Światło w kuchni nadal nie dawało mi spokoju.

Co może oznaczać zapalone światło w kuchni? Ile razy sam zapalam i gaszę światło we własnej kuchni przed położeniem się spać?

I nagle coś do mnie dotarło: nigdy, przenigdy się nie dowiem, dlaczego jej światło paliło się o tej porze, nigdy już nie zobaczę tej kuchni od środka. Nagle kuchenna lampa zdała mi się odległą latarnią, której widok był o wiele okrutniejszy od samego sztormu.

Borys!

Wyszedł na mróz, żeby dopalić papierosa, stał przez chwilę, gapiąc się w nicość, po czym wyrzucił niedopałek na ulicę. Upewniłem się, że mnie nie widzi.

Gdy tylko wrócił do lobby, przeszedłem na drugą stronę i ruszyłem

w kierunku Sto Siódmej.

Nie mogłem kręcić się za długo po chodniku. Clara mogła wyrzeć z kuchni i przyłapać mnie na tym, jak gapię się w jej okno. Kto wie, może cały czas wyglądała i się we mnie wpatrywała? A może robiła to razem z nim. Ruszyłem w pośpiechu. Kiedy jednak zbyt szybko dotarłem do rogu, zdałem sobie sprawę, że nie mam dokąd iść, i zamiast wracać dużą pętlą na Broadway, powoli ruszyłem z powrotem na Riverside, potem znowu do Sto Piątej i znowu do Sto Siódmej, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, zawsze przybierając minę osoby wielce zajętej, jakbym nie zdawał sobie sprawy, że nie istnieje żaden możliwy powód, dla którego ktokolwiek musiałby osiem razy przechodzić Riverside Drive i wyglądać na zajętego o tej piekielnej godzinie.

Moja passacaglia, powiem jej pewnego dnia – nie preludium Lea, nie twoje sarabandy ani las Folías, nie adagio Beethovena. Tylko moja passacaglia, moje przechodzenie tędy i tracenie rozumu.

Pomyślałem, że może powinienem zadzwonić. Nie żeby porozmawiać. Ale żeby przypomnieć jej, że jeszcze nie do końca zniknąłem z jej życia. Poczekam na pierwszy dzwonek i się rozłączę. Ale znałem siebie: gdy już zadzwonię i przekonam się, że to nie takie trudne, będzie mnie kusilo, żeby zrobić to jeszcze raz. Byłoby to bardzo w stylu Inky’ego. Zbierać się w nieskończoność na pierwszy telefon, zadzwonić po raz drugi po dwudziestu minutach, potem co pięć minut, wreszcie bez ustanku. Jeśli chciała ze mną rozmawiać, jeśli była sama, to oddzwoni. A jeśli nie oddzwoni – no cóż, to albo wyłączyła telefon, albo nie zamierzała się w to bawić. Wreszcie poprosi go, żeby odebrał za nią i powiedział osobie dzwoniącej – kimkolwiek by była – że Clara jest w Chicago. „Powiedz, że jestem w Chicago”.

Czy wepchnąłem ich sobie w ramiona?

Nagle światła w salonie znowu się włączają.

Nie może spać. Wścieka się. Jest zdenerwowana.

Powinienem zadzwonić, prawda?

A co, jeśli ona wie, że jestem na dole? To taka kobieta, że zdoła to

wyczuć. Czuje, że dokładnie w tej chwili jestem pod jej budynkiem.

Albo jeszcze gorzej: co, jeśli zwyczajnie chce, żebym zadręczał się tymi dywagacjami, włączając w to najgorszą możliwą myśl: że Clara w ogóle w tej chwili o mnie nie myśli?

Światła gasną.

Zostaje jedynie blada, błękitnawa poświata w pobliżu okna. Czy to lampka nocna? Czy Clara naprawdę należała do osób, które używają lampek nocnych? A może to tylko stłumiony, osłabiony blask światła z drugiego pokoju czy choćby odbicie neonu z pobliskiej ulicy? Świeca? Boże broń, byle nie świeca, byle nie lampa lava. Clara Brunschvicg w życiu nie miałaby lampy lava!

Ach, kochać się z Clarą Brunschvicg w świetle lampy lava. Myśli noir, bardzo noir.

Nie zadzwoniłem do niej tamtej nocy. Następnego ranka obudziło mnie lekkie bębnienie w szybę, odgłosy deszczu, nieśmiałe i ostrożne, bez hysterii i determinacji ulewy, jak deszczyk w sierpniowy dzień, który w każdej chwili może przestać padać i przywrócić wszystko do stanu, w jakim było dziesięć minut wcześniej. Czułem się, jakby nadeszło już popołudnie. Nie przeszkadzałyby mi, gdybym obudził się sześć miesięcy później. Niech czas się z tym upora, nie ja.

Miałem niespokojną noc, nawiedzaną być może dziwnymi wizjami rozbłyskującymi na pustkowiu zwanym snem, choć nic nie pamiętałem, nie licząc całunu, który okrywał je gremialnie niczym kłęb dymu unoszący się nad wysuszonym pejzażem po wielkim pożarze. W pewnym momencie nad ranem poczułem w piersiach to samo szybkie pulsowanie, przez które poprzedniego dnia pojechałem do szpitala. Ale chyba znowu zasnąłem. Jeśli muszę umrzeć, niech to się stanie we śnie.

Rano wiedziałem już dokładnie, co mnie dręczy. Nie zaskoczyło mnie to; zdziwiła mnie tylko siła tego odczucia, zdecydowany upór, z jakim odzywało się ono w każdej części mojego ciała. Zero dwuznaczności, zero zwątpienia, zero chmury, którą mogłem je zakryć, aby nadać mu bardziej życzliwą nazwę. To nie była tylko chwilowa zachcianka. Był to nakaz, który rozpoczął się gdzieś w półśnie, gramolił się leniwie z jednego koszmaru w drugi

i wreszcie wydobył się na poranne światło. Pragnąłem jej i niczego innego na świecie. Chciałem Clary bez ubrań, jej ud na moich plecach, jej oczu wpatrzonych w moje, jej uśmiechu, każdego centymetra mnie w jej ciele. „Perse me, perse me, Printzu, perse me jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze jeden” – mówiła w moim śnie w języku, który wydawał się angielskim, ale równie dobrze mógł być farski, francuski albo rosyjski. To wszystko, czego pragnąłem, a brak tego czegoś sprawiał, że czułem się, jakbym patrzył na wyciekające ze mnie życie, zamiast którego wstrzykiwano mi prosto w szyję jakieś sztuczne serum. Nie zabije mnie ono, nie umrę, wszystko będzie jak przedtem i z całą pewnością dojdę do siebie, ale brak Clary był niczym śmiech i alkohol w momencie, kiedy na twoich oczach każdą osobę, z którą się dorastało, zabierają na szubienicę i wieszają, aż wreszcie przyjdzie moja kolej, a ja nadal będę się śmiał.

Własne ciało waliło do moich drzwi, wyważało je z zażartą buńczucznością nadchodzącej zbrodni, której byłem zarówno sprawcą, jak i ofiarą – otwieraj, otwieraj albo wyważę drzwi – „Perse me, perse me, Printzu, perse me jeszcze raz” – powiedziała, na co w końcu odparłem: Wypersę cię wszystkim, co mam, tylko zmusz mnie do awantury, zmusz mnie, żebym coś zrobił, spraw, żebym cię zranił tak, jak sam chcę, żebyś ty zraniła mnie, Claro, i zrań mnie mocno, bo to tkwienie w miejscu jak dwie łodzie przycumowane w doku jest niczym wieloletnie czekanie na wyrok śmierci, zmusz mnie, żebym ugiął się przed tobą, bo wiem, że muszę, i pragnąłem tego od chwili, kiedy cię pocałowałem, a ty wzgardziłaś mną i rzekłaś: „Nie”, i chcę, żebyś to cofnęła tymi samymi ustami, które całowałem tamtej nocy, zdejmij ze mnie kłatwę i wypluj ją, a ja wezmę, co odrzuciłaś, bo należało do mnie, zanim stało się twoje.

Część mnie nie chciała się do tego wszystkiego przyznać ani ugiąć przed impulsem, bo ustąpienie w tej chwili byłoby jak pozwolenie, żeby wróg dyktował mi warunki rozejmu, którego podpisania pożałuję natychmiast po wyschnięciu atramentu. Czułem się zupełnie inaczej niż w naszą drugą noc, kiedy przymknięcie oczu i wyobrażenie sobie Clary przy mnie w łóżku wydawało się tak proste i naturalne, że następnego dnia nawet nie próbowałem tego przed nią ukrywać. Gdzie się podziała ta otwartość, dlaczego nie mogłem już z nią w ten sposób rozmawiać, dlaczego moje ciało wydawało się tak zablokowane i uwięzione, choć mieliśmy ze sobą tyle

wspólnego? Im lepiej ją znałem, tym bardziej zablokowane wydawały się moje odruchy, tym bardziej odosobnione moje ciało, tym bardziej pomieszana moja mowa. Czy to możliwe, że im stawałem się starszy, tym byłem bardziej nieczuły? Teraz, kiedy wiedziałem, jak niewiele powinienem się obawiać ze strony innych, robiłem się nieśmiały; im bardziej płynna była moja mowa, z tym większym trudem przychodziła mi szczerłość. W alchemii pożądania im więcej wiemy, tym mniej się obawiamy, ale im mniej się obawiamy, na mniej się porywamy.

Teraz, leżąc w łóżku z jej wypowiedzianymi we śnie słowami nadal dźwięczącymi mi w uszach, czułem się, jakby coś zerwało tamy, wyszydziło moje zahamowania i zalało falą powodzi wszystkie improwizowane bariery z toreb z piachem, które pomiędzy nami ustawiłem. Więc co z tego, jeśli się jej poddam, co, jeśli będzie o tym wiedzieć? Sam jej to powiem, gdy tylko nadejdzie poranek.

Postanowiłem do niej zadzwonić. Albo jeszcze lepiej: posłać jej zdjęcie sir Lochinvara, razem z kapeluszem i piórkiem. Dzieńdoberek, witam i pozdrawiam, od dzioba po rufę, od sterburty po bakburkę, wszyscy na pokład, strzeżcie się naszego corvusa, mówi państwa kapitan...

Zadzwoń i zacznij od miejsca, w którym skończyliśmy dwie noce temu. Umieram z tęsknoty za tobą.

Czy ludzie naprawdę wciąż jeszcze umierają z tęsknoty?

Niespecjalnie.

To powiedz inaczej.

Wiem, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać i masz po temu wszelkie powody, i wiem, że pomyślisz, że jestem pijany albo postradałem rozum, ale porozmawiaj ze mną, nie rozłączaj się, powiedz, że wiesz, powiedz, że doskonale wiesz, bo sama też przez to przechodzisz, bo jeśli ty wiesz, to i ja będę wiedział, że weźmiesz ten szorstki, kwaśny, szydarczy śmieszek w swojej duszy i rozplączesz go, dopóki nie stanie się pasmami namiętności, modlitwy i dziękczynienia. Wsunąłem sobie między uda poduszkę, szepnąłem słowo „Clara”, pomyślałem o jej nogach splecionych na moich plecach i wiedziałem już (kiedy nie było odwrotu), że przekazuję jej na własność swoje życie, że oddaję wszystkie klucze w zamian za jej zęby,

jej oczy, jej ramiona, jej zęby, jej oczy, jej ramiona, jej zęby, jej oczy, jej ramiona... Po tym już nigdy nie będę w stanie powiedzieć, że to nic nie znaczyło albo że zmusił mnie do tego poranek.

Później wyszedłem na deszcz, kupiłem trzy gazety, zjadłem śniadanie w swoim zatłoczonym greckim barze i ruszyłem na spacer w stronę Uniwersytetu Columbia, może dalej. Lubię deszczowe dni, zwłaszcza takie, kiedy tylko mży i jest nieco szarawo, ale nad miastem nie wisi przytłaczające ołowiane niebo. W takie poranki czuję się pogodnie, może dlatego, że one są mroczniejsze ode mnie i w porównaniu z nimi wydaję się weselszy. To był dobry dzień na spacer. Wiedziałem, że nie ma sensu sprawdzać maila ani czekać na jej telefon. Nie zadzwoni, bo wie, że ja też bym nie zadzwonił, a ja nie zadzwoniłem, bo wiedziałem, że ona by nie zadzwoniła. Wiedziałem jednak, że zastanawiała się, czyby nie zadzwonić, bo sam też o tym myślałem. Będzie chciała, żebym to ja wykonał pierwszy gest, choćby po to, żeby potem mogła mi go mieć za złe, i właśnie dlatego nie zamierzałem zadzwonić, i dlatego ona też nie zadzwoni. Właśnie to poplątane i udręczone odgadywanie nawzajem swoich myśli paraliżowało nas i jednocześnie przyciągało do siebie. „Co za spryt, co za bystrość”.

Claro, jesteś portretem mojego życia – myślimy tak samo, śmiejemy się tak samo, jesteśmy tacy sami.

Nie, w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. To tylko miłość sprawia, że tak mówisz.

Zanim doszedłem do Straus Parku, wiedziałem już, że nie mam absolutnie żadnego zamiaru iść dalej w kierunku centrum, że cała ta wyprawa na Columbię albo i dalej była tylko pretekstem, aby wejść z powrotem do świata Clary.

Śnieg w Straus Parku zaczął już topnieć. Stałem w miejscu, gdzie zatrzymałem się w dniu, kiedy przyszła się ze mną spotkać. Charakter naszej relacji był wtedy tak inny, przedwczoraj również: szybki wypad na mrozie do restauracji, Svetonio, wizyta w jej domu, lidyjska herbata, doniosła chwila w kuchni, kiedy Clara postawiła na blacie dwa kubki i z wyrazem rezygnacji i niepokoju, który pochodził z otchłani powściągliwości, oświadczyła: „Nie mam żadnych ciasteczek. Nie mam nic, co mogę ci zaproponować”.

Zawróciłem w stronę Sto Piątej, żeby prześledzić swoją trasę z ostatniej nocy. Nie wiedziałem, dlaczego to robię, tak samo jak nie wiedziałem, dlaczego wczoraj tyle razy zataczałem koła po tej samej okolicy. Ale wtedy wszystko wydawało się spowite w widmową mgłę, za którą mogłem się ukryć, by nie widzieć rozciągającej się przede mną otchłani. Wczorajszej nocy wiedziałem, że jestem istotą zdruzgotaną. A dzisiaj wcale nie czułem się zdruzgotany. Widać zmierzam ku lepszemu – pomyślałem – dochodzę do siebie i już teraz zostawiam za sobą to, co najgorsze. Jak niestałe jest serce człowieka. Już prawie miałem zacząć robić sobie wyrzuty za tę frywolność, kiedy nagle zauważyłem jej okno. Wstrząsnęła mną straszliwa panika. Uświadomiła mi, że rana, która – jak sądziłem – zaczynała się goić, nie bolała tylko dlatego, że nawet nie została nawet jeszcze w pełni zadana. Nóż nie wbił się jeszcze do końca, sytuacja nie zaczęła się jeszcze pogarszać.

Przez okno dojrzałem tamtą ogromną roślinę, którą kilka dni temu widziałem w jej salonie. Właściwie nie zwróciłem wtedy na nią uwagi. Teraz przypomniałem sobie, że rozmawialiśmy o Rohmerze i Beethovenie, a Clara siedziała osłonięta jej liśćmi i przez cały czas się na nie gapiłem.

Postanowiłem pójść do centrum. Nie przeszedłem jeszcze na drugą stronę ulicy, kiedy nagły impuls nakazał mi skierować się pod piekarnię. Przystanąłem, gdy tylko zauważyłem, że okna są zaparowane od środka. Przydałby mi się rogalik – pomyślałem. Kolejka była długa, jak zawsze o tej porze poranka, zwłaszcza w sezonie świątecznym.

Stałem dokładnie w tym samym miejscu co dwie noce temu. Chcąc pobudzić wspomnienie naszego pocałunku, podszedłem jeszcze bliżej szyby i – żeby nie wzbudzić podejrzeń pracowników piekarni – niemal przycisnąłem nos do szkła, udając, że wyteżam wzrok i sprawdzam, jak dużo osób czeka w kolejce. Znowu była ze mną Clara. Tajemnicze ruchy naszych bioder wydawały mi się w tej chwili równie aktualne jak w tamtej chwili. Nic się nie zmieniło. Zdumiała mnie myśl, że piekarnia nie tylko pamięta tamtą noc lepiej ode mnie, ale też – zgodnie z tradycją wszystkich wielkich piekarni w sezonie świątecznym – zapamiętała ją dla mnie i teraz proponowała mi najlepszy kawałek, ten z ukrytym upominkiem. Można go było zachować sobie do końca życia. Clara stanie się niczym jedna z tych chorób, które można pokonać, ale które pozostawiają na skórze ślady i czasem nawet

oszpecają człowieka, a on i tak nazywa je błogosławieństwem, bo otworzyły mu drogę do Boga.

Gdybym kiedykolwiek w nadchodzących tygodniach pragnął ją zobaczyć, najłatwiejszym sposobem byłoby przyjść tutaj, a nie kręcić się wokół jej budynku. Albo mógłbym robić jedno i drugie, tak jak ludzie chodzą na cmentarz, żeby odwiedzić jeden grób, a potem, skoro już i tak przyszli, dochodzą do wniosku, że równie dobrze mogą złożyć kwiaty i na innym.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do piekarni i po dotarciu do kasy pod wpływem chwili postanowiłem kupić jedną z dużych owocowych tart. Potem, po zastanowieniu, poprosiłem jeszcze o cztery ciastka.

– Wiedziałem, że to ty! – powiedział jakiś męski głos. Odwróciłem się. Był to znajomy, którego od miesiący nie widziałem. Jadł śniadanie ze swoją dziewczyną; siedzieli przy malutkim okrągłym stoliku. – Widziałem, jak zaglądasz przez szybę. Przez chwilę myślałem, że przykleisz się do niej całą twarzą.

Przedstawił mnie Lauren. Uścisnąłem jej dłoń. Co ostatnio porabiałem? Odparłem, że nic. Wybierałem się na późny lunch do znajomych na Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy – stąd te wypieki.

Pomysł wybrania się z wizytą przyszedł mi do głowy już po tym, jak dokonałem zakupu.

Dodałem, że od świąt minął już prawie tydzień, a ja nadal nie mam żadnych zabawek dla ich dzieci.

– Ile mają lat? – zapytała Lauren, wyraźnie zainteresowana tematem.

– Dwa i cztery – powiedziałem.

– Kilka przecznic stąd jest trochę sklepów z artykułami dziecięcymi.

Czy Lauren jest może nauczycielką? Pokręciła głową.

Spojrzałem na nią. Przemiała osoba. „Kilka przecznic stąd jest trochę sklepów z artykułami dziecięcymi”. W tych dziewięciu słowach zawierało się całe życie pełne życzliwości, słodyczy i dobrej woli. Zaczęliśmy żartować na temat kupowania prezentów dla dzieci, których prawie w ogóle nie znamy. Lauren nie miała torebki, tylko płaszcz, którego nawet nie rozpięła. Obie ręce



wsunęła głęboko do kieszeni – wyglądała, jakby już dawno temu dopiła kawę i czuła się spięta i skrepowana. Oboje sprawiali wrażenie pary, między którą doszło właśnie do sprzeczki.

– I tak wybieraliśmy się w tamtą stronę – powiedziała. – Przejdziemy się z tobą.

Pomogą mi wybrać zabawki. Czy mam coś przeciwko temu? Skądże.

Jakie to miłe z jej strony, że tak zwyczajnie zaproponowała pomoc zupełnie obcemu człowiekowi. Ale nagle uświadomiłem sobie, dlaczego wcale tego nie chcę i po co w ogóle rzuciłem pomysł z odwiedzinami u znajomych przy Dziewięćdziesiątej Piątej. Kupiłem te wypieki w nadziei, że zbiorę się na odwagę, żeby zadzwonić do Clary i zapowiedzieć, że nadchodzę z tartą i ciastkami.

Jeśli nie zdołam się pozbyć tej dwójki albo nie powiem, że jednak zmieniłem zdanie, może nie będę miał możliwości, żeby zajrzeć dziś rano do Clary, może już nigdy jej nie zobaczę i – kto wie – może moje życie potoczy się zupełnie inaczej, a wszystko z powodu kilku zabawek i głupiego kłamstwa, które wymyśliłem, bo akurat trzymałem tartę owocową. Tak jak z tymi drobnymi, arbitralnymi przypadkami, które decydują o powstaniu wspaniałego utworu muzycznego albo losie filmowej postaci – małe nic, kłamstewko pozbawione znaczenia; i nagle twoje życie zupełnie wypada z orbity i zaczyna się toczyć w całkowicie nieprzewidzianym kierunku.

No więc szedłem tak z tartą i czterema ciastkami do miejsca, do którego wcale nie zamierzałem iść, żeby kupić prezenty, które nic a nic mnie nie obchodziły.

W sklepie z zabawkami rozeszliśmy się na chwilę. Jego interesowały rowery, podczas gdy ona przechadzała się i oglądała kołyski i dziecięce mebelki. Ręce nadal miała wbite w kieszenie płaszcza. Jakimś sposobem znalazłem się obok niej.

– Moim zdaniem powinieneś kupić wóz strażacki – powiedziała, pokazując mi jeden w szklanej gablocie.

Jak to możliwe, że go nie zauważyłem? Przecież miałem go tuż przed nosem.

- Może dlatego, że nie widzisz?
- „Może dlatego, że nie widzę”. Cały ja, prawda?
- Ja tam nie wiem – stwierdziła.

Wielki wóz był zrobiony z plastiku o zaokrąglonych kantach, bez ostrych krawędzi; nadawało mu to przyjazny, choć niezamierzenie kreskówkowy charakter, co prawdopodobnie nie spodobałoby się czteroletniemu chłopcu.

– Czy drabina jest wysuwana? – zapytała Lauren właściciela sklepu.

– Tak, do tego można nią obracać. Proszę spojrzeć – odpowiedział z ciężkim hinduskim akcentem i pokazał nam, że cały segment z drabiną obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Ale mamy również ten sam model bez funkcji obracania. Mniej elementów, większa trwałość. – To rzekłszy, przeniósł uwagę na kobietę po pięćdziesiątce i jej ciężarną córkę. Obie miały na głowach identyczne peruki. Chciały kupić meble, ale wołały, żeby dostarczono je dopiero tuż przed urodzeniem dziecka.

– Jesteśmy nieco przesądne – powiedziała matka w imieniu swoim i córki.

– Rozumiem – odparł mężczyzna z pełnym poszanowaniem zrozumieniem człowieka, którego całe życie podporządkowane jest o wiele straszniejszym przesądom niż ten.

Po kilku minutach wrócił do nas.

– Więc który model sobie państwo życzą, ten z funkcją obracania czy bez?

Do tego czasu Clarę kusiłoby już, żeby sparodiować jego hinduski akcent, i tarzilibyśmy się ze śmiechu, a do naszego tajnego języka doszłoby jedno czy dwa nowe słowa. Chcesz zobaczyć funkcję obracania? Już ja ci pokażę funkcję obracania, choćbym miał przy tym paść trupem.

Przy Lauren nie miałem pewności, czy takie żarty będą w dobrym guście. Zacząłem się bawić obrotową drabiną.

– Jak sądzisz, która funkcja bardziej im się spodoba? – zapytałem,

odwracając się do niej i dyskretnie próbując skłonić ją do śmiechu.

Uśmiechnęła się.

– To ty byłeś kiedyś czteroletnim chłopcem, nie ja.

– I chyba zatrzymałem się na tym etapie.

– Ja tam nie wiem. – Wyraźnie był to jej sposób na niezaangażowaną odpowiedź, kiedy po raz kolejny przedwcześnie usiłowałem przełamać dystans między nami. Po chwili jednak, podejrzewając zapewne, że mogła mnie niechcący urazić, dodała: – Ale nie byłbyś w tym odosobniony. Większość facetów nie wyrasta z tego wieku.

Przystanęliśmy przed akwariem. Zauważyłem, że Lauren przygląda się drżącemu bojownikowi wspaniałemu, zabarwionemu na jaskrawe odcienie niebieskiego; wyglądał jak imitacja rozkwitającego irysa. Lauren zorientowała się, że się w nią wpatruję, odwróciła wzrok i zaczęła delikatnie stukać paznokciami w szybę tuż przed rybką. Bojownik nie ruszył się, tylko dalej się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się do niego, wpatrzyła jeszcze bardziej intensywnie, po czym spojrzała z powrotem na mnie.

– Nie odrywa od ciebie wzroku – powiedziałem.

– Rzadko mi się to zdarza – odparła niemal w zamyśleniu, z łobuzerskim, acz melancholijnym uśmiechem więcej mówiącym o mężczyźnie, z którym mieszkała, niż o wszystkich rybach Pacyfiku.

Popatrzyłem na nią.

– Ja tam nie wiem – powiedziałem, nie mogąc się oprzeć pokusie.

Wzruszyła ramionami, dzielnie znosząc mój przytyk, i dalej kontynuowała flirt z rybą, która nagle się spłoszyła.

– O nie, zniknęła – powiedziała Lauren z miną udawanego rozczarowania. Potem spojrzała na mnie, jakby szukając potwierdzenia, że istotnie doszło właśnie do czegoś niezwykle smutnego i wcale się tego nie spodziewała. Nadal dotykała palcami szklanej szyby. Była pogrążona w myślach.

Gdyby chodziło o Clare, serce by mi się do niej wyrwało i pocałowałbym ją, bo w tym jej smutku było coś niewiarygodnie wzruszającego.

– Mogę do ciebie kiedyś zadzwonić? – zapytałem.

– Jasne – odparła, nie odrywając wzroku od akwarium. Nie byłem pewien, czy zrozumiała.

– Mam na myśli: czy mogę kiedyś do ciebie zadzwonić.

– Jasne – odparła tak samo swobodnie, jakby nadal bardziej interesowała się rybą i chciała powiedzieć: Słyszałam cię za pierwszym razem. Jej numer był śmiesznie łatwy do zapamiętania. Wszystko trwało krócej niż dziesięć sekund.

– Chcesz jeszcze coś obejrzeć?

Pokręciłem głową i postanowiłem kupić dwa modele z funkcją obracania. Właściciel sklepu polecił synowi opakować je na prezent.

– Tylko osobno, Nikil, nie razem, nie razem – powtórzyłem za nim, próbując zapanować nad wyrazem twarzy, bo miałem ochotę się roześmiać. Lauren myślała chyba, że uśmiecham się na myśl o tym, jaką radość sprawią obu chłopcom te upominki.

– Wyobraź sobie, jak się ucieszą, kiedy pojawisz się z tymi ogromnymi paczkami – powiedziała.

Spróbowałem to zrobić, ale potrafiłem myśleć tylko o własnym dzieciństwie. Obcy człowiek wchodzi z prezentem do salonu rodziców kilka dni po Bożym Narodzeniu. Nie jestem pewien, czy prezent jest przeznaczony dla mnie, więc powściągam podekscytowanie i uciekam do pokoju, żeby się opanować. Tymczasem nieznamy bierze moje szybkie wyjście za obojętność albo gorzej – za arogancję. Ja chciałem, żeby wywabił mnie z sypialni, podczas gdy on chciał zobaczyć radość i wdzięczność. Kiedy wreszcie nie mogę wytrzymać i pytam kogoś, czy to prezent dla mnie, słyszę: „Pewnie tak”, ale gość już wyszedł i zabrał paczkę ze sobą.

– Może dlatego tak bardzo lubimy Boże Narodzenie. Wyzwała w nas dziecko – powiedziałem wreszcie.

– I to niby dobrze? – zapytała.

– Owszem.

Bardzo mi się podobała.

– Nie mogę się doczekać, kiedy do ciebie zadzwonię – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami rozkojarzonym ruchem, jakby mówiła: „Wszyscy mężczyźni są tacy sami!”.

Nie było w niej najmniejszych pozorów fałszu, chyba że to jej rozkojarzenie stanowiło jego najbardziej wyrafinowaną postać. Być może mówiła: „Masz zamiar zadzwonić, ale tego nie zrobisz”.

– Zadzwonź dziś po południu, nie mam żadnych planów.

Kiedy dołączył do nas mój znajomy, wydawał się zdziwiony, że tak szybko zdołaliśmy wyszukać i kupić zabawki. Objął ją ramieniem. A ona znowu tylko wcisnęła rękę do kieszeni płaszcza i zainteresowała się podłogą. Co za skomplikowana kobieta – pomyślałem. A potem się poprawiłem: może wcale nie była skomplikowana, może z całej naszej trójki była najbardziej szczerą. Może Clara też była szczerą. To tylko ja potrzebowałem, żeby obie były skomplikowane, choćby dlatego, że dopatrując się w nich przebiegłości, czyniłem je podobnymi sobie i mogłem przyjąć, że mówiły moim językiem, a ja ich.

Podczas pakowania prezentów nastąpił pewien moment, kiedy oboje oparliśmy się rękami o kontuar. Nasze dłonie musnęły się przypadkiem. Ani ona, ani ja ich nie cofnęliśmy. Można by pomyśleć, że oboje byliśmy całkowicie pochłonięci wozami strażackimi.

Rozstaliśmy się przy kolejnym skrzyżowaniu. Patrzyłem, jak Lauren sięga po dłoń swojego chłopaka, a potem oboje przebiegli przez breję, żeby dotrzeć na drugą stronę ulicy przed zmianą świateł.

Bez zastanowienia byś go zdradziła – pomyślałem, przypominając sobie Clare, która pomimo wszystkich tych pocałunków na przyjęciu rozpowiadała wkoło znajomym i nieznanym, jak łatwo przyszło jej rzucić Inky’ego. Byłem pewien, że tak samo postąpi ze mną: płakała przy mnie nad Händlem, zaprosiła mnie na herbatę, chciała, żebym spędził z nią noc, po czym już następnego ranka zrobiła mi na złość i pojechała aż do centrum.

Sam byłem niewiele lepszy.

Na Dziewięćdziesiątej Piątej przeżyłem chwilę nieznośnego wahania. Czy powinienem tam iść? Czy w ogóle mnie zapraszali? Nie pamiętałem, ale

zakładałem, że zawsze jestem u nich mile widziany. Zjem z nimi lunch, nawet jeśli zaczęli już bez mnie. Dam chłopcom prezenty. Pokroimy ciasto. A potem o czwartej zadzwonię do Lauren. Wcześniej w tym tygodniu miałem zamiar przyprowadzić ze sobą Clare, żeby przedstawić ją Rachel i jej przyjaciółom, uchylić przed nią drzwi swojego życia, kawałek po kawałku. Nagle stwierdziłem, że zadzwonię do Lauren już o trzeciej – żeby wyrzucić z głowy Clare.

Zanim zdążyłem zadzwonić do drzwi ich kamienicy, dobiegły mnie odgłosy głośnych rozmów. Usłyszałem nawet brzęk dzwonka, kiedy wcisnąłem guzik, i efekt, jaki zrobiło to na domownikach. Najpierw cisza, potem dreptanie stóp, wreszcie radosne powitania. Przybysz niosący ze sobą dary. Rzeczywiście przypominało mi to dzieciństwo.

Mamy masę jedzenia. I alkoholu.

Rachel wyszła z kuchni i mnie pocałowała. Jej siostra powiedziała, że nałoży mi coś na talerz. Jakaś hinduska para przyniosła potrawkę wartą tego, żeby oddać za nią życie, i sporo jeszcze zostało.

Nazywałem ten dom Ermitażem, bo miał w sobie coś dobrego i leczniczego, choć nigdy nie było jasne, kto właściwie tam mieszka, a kto nie, kto zostaje na noc, a kto tylko zajrzał. Zawsze mnóstwo jedzenia, zawsze nowi przyjaciele, dzieci – i zawsze stada zwierzaków, śmiech, dobre towarzystwo i rozmowy. Co za ulga wstąpić do tego azylu i znowu się ze wszystkimi spotkać, jakbym wpadł w odwiedziny do chorego przyjaciela albo musiał coś stąd odebrać, albo pożyczyć książkę, odnowić kontakty, wymienić się nowinami.

Czasami przejeżdżałem tędy taksówką, nie zatrzymując się. Zaglądałem tylko przez duże okna jadalni, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Zawsze ktoś przynosił coś właśnie z kuchni, a przy stole siedzieli ludzie, dobrzy znajomi. Raz w przelocie zauważyłem nawet dwie butelki białego wina, które wystawili za okno, żeby się schłodziły. To ja nauczyłem ich tej sztuczki, którą sam z kolei przejąłem od ojca. Ale któregoś dnia butelki zostały skradzione i Rachel stwierdziła, że wystarczy jej lodówka.

Jak zwykle ruszyłem prosto do kuchni. Tam czułem się bezpiecznie i miałem czas się zaaklimatyzować oraz przywyknąć do twarzy, których od

pewnego czasu nie widziałem. Znalazłem duży niepokrojony ogórek i od razu wsadziłem go sobie do spodni.

– Za obnoszenie się z takimi gigantami ludzie trafiają za kratki – powiedziała Rachel.

– A ten nawet nie jest w stanie wzvodu – odparłem, na co wszyscy ryknęli śmiechem. Nagle ktoś powiedział:

– A oni znowu się kłóca.

– Mogliby się wreszcie rozwieść – stwierdziła Rachel. – Idioci.

– Kto niby jest idiotą? – zapytała jej siostra.

– Ja – rzekł mężczyzna, który pokłócił się właśnie z żoną i teraz przyszedł do kuchni po szklankę wody. – Ja jestem idiotą. Ja. Ja. Jestem. Idiotą. Widzicie? – zapytał, uderzając głową o ścianę. – Największym idiotą na świecie.

Jego żona nie mogła się powstrzymać i też przyszła za nim do kuchni.

– Przynajmniej nikt ci nie wmawia, że to nieprawda.

– Niby co? – zapytał.

– Że jesteś idiotą!

– Ludzie, ale wy jesteście nudni – wtrącił były mąż Rachel, który szykował już wieczorny posiłek. – Nie możemy przynajmniej udawać, że nadal się wszyscy przyjaźnimy? Chryste, przecież jutro sylwester!

Rachel skupiła się na krojeniu tarty, którą przyniosłem. Kiedy kuchnia opustoszała, odwróciła się do mnie.

– Tylko masz być miły dla Forshamów – powiedziała. W jej głosie brzmiało upomnienie.

– Przecież jestem miły.

– Owszem, ale wiem, że powiesz coś wrednego, choćby nieświadomie; będziesz ich przedrzeźniał albo wyśmiewał się z ich syna. Na pewno coś palniesz. – Clara zachęcałaby mnie, żebym właśnie to zrobił. Forshamowie zawsze zaglądali w niedzielę do Rachel. Nazywałem ich Panem i Panią

Zaślubionymi albo Zjednoczonym Frontem Małżeńskiego Pożycia. Ona była tą surową, on tym wyluzowanym. Ona nigdy się nie myliła, on był po prostu ideałem.

– A gdzie się w ogóle podziewałeś? – ciągnęła Rachel, układając jedzenie na dużej tacy. Do kuchni weszła Julia. – Ty go zapytaj.

– Ale o co?

– Gdzie się podziewał przez cały tydzień i dlaczego nie odbierał telefonów.

Postanowiłem opowiedzieć jej o Lauren, żeby nie wspominać nic o Clarze. W połowie opowieści kazała mi jednak pójść za sobą do salonu, a tam zażądała, żebym zaczął od początku.

– Mam opowiadać przy wszystkich? Nawet przy obcych ludziach?

– Nawet, a zwłaszcza przy obcych ludziach.

Wiedziałem, że była to kara za to, że nie obiecałem się zachowywać przy Forshamach. A także – jak powiedziała Rachel – cena za moje nagłe zniknięcie. Uwielbiałem, kiedy stawiała mnie pod prężerem.

Wysłuchali historii o tym, co się wydarzyło w sklepie z zabawkami, i śmiali się, kiedy zademonstrowałem „funkcję obracania”.

– I to wszystko? Tylko dlatego, że postukała w akwarium? – zapytał ktoś.

Zrobiła to dwoma palcami, wskazującym i środkowym, na zmianę. Miałem ochotę ją pocałować.

Rachel częstowała tartą. Poprosiła, żebym przyniósł dwa duże dzbanki z espresso. Na środku pokoju stał wielki szklany talerz, a na nim niepokrojona jeszcze galaretką dla dzieci, w kształcie kołacza. Za każdym razem, kiedy ktokolwiek w salonie zrobił choć jeden krok, zaczynała się trząść.

– Jakie akwarium? – zapytała pani Forsham.

– Chodzi o tę dziewczynę, którą poznał.

– Poznał dziewczynę w akwarium? – spytał jej mąż.



- Więc kiedy do niej zadzwonisz? – wtrącił ktoś inny.
- Około trzeciej.
- Mamy ci podpowiadać?
- Nie, dziękuję.
- A możemy przynajmniej posłuchać? Słowo honoru, nie piśniemy ani słówka!

Uwielbiałem to przekomarzenie.

Julia przyniosła mi talerz z resztkami różnych dań. Gita, tamta Hinduska, nalegała, żebym dołożył sobie jeszcze *biryani*. Miała na sobie dżinsy i sari. Jej mąż siedział przy pianinie i objaśniał gamy ich pięcioletniemu synkowi. Usiadłem na niskim taborecie, postawiłem sobie kwadratowy talerz na kolanach i zacząłem jeść, opierając się głową o duży telewizor. Ktoś podał mi kieliszek czerwonego wina. Masz serwetkę – powiedziała Rachel, rzucając we mnie złożonym kawałkiem materiału. Uwielbiałem to.

Jeden z gości zaczął rozmowę na temat retrospektywy Rohmera w pobliskim kinie. Dzisiaj był ostatni wieczór. Celowo się nie odzywałem, bo wiedziałem, że gdy tylko zacznę mówić na ten temat, wyleje się ze mnie cała historia wspólnych wieczorów z Clarą. Z początku nic nie będą podejrzewać, ale po chwili zwęszą pismo nosem i zaczną mnie przepytывать, a moje uniki tylko zdradzą prawdę. Co z kolei sprowokuje kolejne pytania. I dokładnie to się stało, kiedy Julia przypomniała sobie, że ja, zdaje się, przepadam za Rohmerem, prawda?

- Owszem – odparłem, nie odrywając wzroku od talerza.

A czy poszedłem w tym tygodniu na jakiś seans?

- Owszem.

Które filmy widziałem? Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że wszystkie, Forsham Mąż oświadczył, że widział kiedyś jeden film Rohmera, ale nadal nie rozumie, czemu ludzie tak się nim zachwycają.

– Nie każdy lubi ten styl – odparła Julia, która nagle sobie przypomniała, że też kilka lat temu widziała jakieś dzieło tego reżysera. Spróbowałem zmienić temat. Forsham Żona stwierdziła, że jest coś chorego

i perwersyjnego w pragnieniu dotknięcia kolana nieletniej dziewczyny. Jej małżonek całkowicie się z tym zgadzał:

– Jemu podoba się bardziej kolano niż kobieta, do której ono należy. Fetyszysta!.

– No właśnie – powtórzyła żona. – Fetyszysta.

Julia pominęła tę uwagę milczeniem i upomniała ich syna, żeby trzymał ręce z dala od galaretki, chyba że chce się poczęstować, a w takim razie niech poprosi o porcję. Przedtem w kuchni opisała mi go jako najohydniejsze dziecko na świecie.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zapytała, obrzucając chłopca kolejnym groźnym spojrzeniem i odwracając się do mnie. – Mogliśmy pójść razem.

– Zdecydowałem się w ostatniej chwili – powiedziałem.

A dzisiaj też idę?

– Raczej nie – odparłem, zdumiony całkowitym brakiem wahania, z jakim przyszło mi kłamstwo w stosunku do jednej z moich najbliższych przyjaciółek.

– Może mógłbyś zabrać Lauren.

Ta myśl całkiem mi się podobała. Uwalniała mnie od przekonania, że mogę iść tylko i wyłącznie z Clarą. A jeśli ona również przypadkiem pójdzie dziś na seans, no cóż, znajdzie mnie z Lauren, a jak nie z Lauren, to z przyjaciółmi – i szczerze mówiąc, wolę iść z nimi niż z jakąś złośliwą Clarą, która ciągle tylko pokazuje, że wcale mnie nie potrzebuje, bo tylu ma w swoim życiu znajomych i facetów, i ciągle tylko biega po mieście w tę i z powrotem, aż czułem się przy niej jak małeńka odległa planetka zdegradowana do statusu rozdrażnionej asteroidy. Bóg jeden wie, co ona o mnie opowiadała swoim znajomym. A może była taka jak ja: nie wspomniała o nas nikomu ani słowem z obawy, że najłżejsze tchnienie plotki zdusi gasnący płomyk naszej przyjaźni? Nic nie mów, uśmiechaj się, żyj dalej. Nic nie mów, bo aż cię świerzbi, żeby powiedzieć całemu światu, tylko boisz się, że nikt nie jest w stanie cię zrozumieć, a gdyby nawet zrozumieli, to by oznaczało, że nie łączyło was nic wyjątkowego, co wymagałoby

jakiegoś specjalnego zrozumienia, prawda? Nie mów nic, bo nie chcesz zobaczyć, jak nadzieja gaśnie, traci blask i niczym bryła meteoru spada na ziemię, aż wreszcie rozbija się na ciemnych bezludnych połaciach syberyjskiej tundry. Nie mów nic, bo oboje byliśmy całkowicie gotowi stwierdzić, że to naprawdę było niczym.

A mimo to Clara byłaby zrozpaczona, widząc mnie z Lauren w miejscu, gdzie oboje wiedzieliśmy, że się spotkamy, jeśli wszystko inne zawiedzie. Te seanse były świętością. Choć może wybuchłaby na nasz widok śmiechem, i to tak głośno, że naprawdę powinienem się dobrze zastanowić, zanim zabiorę Lauren na seans.

Nagle coś mi przyszło do głowy. Clara też mogła pokazać się w kinie z kimś innym. Ta myśl natychmiast mnie rozstroiła i już widziałem, jak wpadam w otchłań wściekłości i rozpacz. Co powiem, jeśli zobaczę ją z innym mężczyzną? Wtuloną w jego ramię, kiedy usiądą? Albo stojącą z nim przed wejściem, pijącą kawę, wybierającą miejsce na sali, zagadującą Phildonkę o „amehicańską pogodzie”. A po filmach, jeśli nadal będzie padać, poczekają pod wejściem do kina.

I co się wtedy ze mną stanie?

Aby zapobiec temu nowemu napadowi lęków, wpadłem na wspaniały kompromis: byłem skłonny całkowicie zrezygnować z Lauren, pod warunkiem, że Clara nie pokaże się w kinie z innym mężczyzną.

Pomysł ten przyszedł mi do głowy w momencie, kiedy wyobraziłem ją sobie stawiającą się na moim miejscu i domyślającą się, że zapewne dziś będę chciał przyprowadzić do kina jakąś inną kobietę. Ale na pewno odgadła, że wyrzekłbym się cudzego towarzystwa, o ile ona również nie przyjdzie z innym. Już widziałem, jak rozplątuje ten węzeł, uśmiecha się rozmarzona, wyobrażając sobie mój uśmiech, i stwierdza, że w tym, jak we wszystkim innym, nasze myśli biegną tymi samymi torami. Te dywagacje mnie podnieciły. Pomysł, że Clara myślała o tym, o czym ja, i że podobało jej się to tak samo jak mnie, przypomniał mi nasze uściski pod piekarnią o trzeciej nad ranem. Chciałem, żeby była tu przy mnie i żebyśmy znaleźli się razem częściowo rozebrani w jednej z sypialni na piętrze domu Rachel, żebyśmy potykali się o wozy strażackie, aż wreszcie zamknęli drzwi pokoju, perse me,

perse me mocno, mocniej, jeszcze mocniej.

– Może jednak nie zadzwonię do Lauren.

– Dlaczego nie?

– Daj mi jej numer, to sam do niej zadzwonię – wtrącił się ktoś inny.

– I co jej powiesz?

– Na początek to, że jest tu bardzo mile widziana. Zawsze znajdzie się talerz, łyżka, nóż i widelec dla nowych przyjaciół.

Jak mi się podobało brzmienie tych słów: „Talerz, łyżka, nóż i widelec”. Co ja bym bez tego zrobił?

Był dawniej czas, kiedy i ja byłem tutaj obcy. Może Rachel powiedziała Julii te same słowa na mój temat: „Zawsze znajdzie się tu dla niego talerz, łyżka, nóż i widelec”.

Clara miała rację: inni byli ważni i czasami stanowili ostatnią zaporę dzielącą nas od rowu. Dlaczego nigdy nie przyszło mi to do głowy – że inni są ważni – dlaczego musiałem wyłowić ten pomysł spod lodu podczas zimowego połowu? Talerz, łyżka, nóż i widelec. Gdyby tylko powiedzieli to teraz o Clarze.

– Nic nie odpowiadasz i wcale mi się to nie podoba – powiedziała Rachel, przełamując moje milczenie w typowy dla siebie sposób.

– Bo jem – odparłem, próbując przekazać jej bezsłownie, że moje milczenie to między innymi sposób na uniknięcie jakiejś gafy pod adresem Forshamów.

– Aleś ty dzisiaj dziwny. Coś ukrywasz, przecież widzę – ciągnęła.

– No i?

– Chyba powinniśmy dać mu kocyk.

– Niech ktoś się rzuci kocem.

Czteroletni synek Rachel, którego lojalność usiłowałem kupić za cenę wozu strażackiego, od razu popędził na górę. Wrócił ze swoim małym dziecięcym kocykiem.

Ktoś jednak uparł się, że potrzebny nam normalny koc.

No dobrze, wszystko powiem – poddałem się wreszcie.

I wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że tym, czego najbardziej w tej chwili pragnę, jest opowiedzieć całemu towarzystwu (łącznie z Forshamami) o Clarze – opowiedzieć całemu światu o tej kobiecie, która sześć dni temu za pomocą dwóch słów zatrzęsła moim kosmosem i zmieniła go w galaretkę.

Były mąż Rachel dolał mi wina.

Napiłem się i przez chwilę milczałem, bo nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Jest pewna kobieta – powiedziałem wreszcie. – W każdym razie była. Bo chyba już po wszystkim.

– Widmowa kobieta. Świetnie. No i?

– Poznaliśmy się w Wigilię.

– Dobrze, i...?

– I nic. Spotkaliśmy się kilka razy. Do niczego nie doszło. A teraz jest już po wszystkim.

Cisza.

Były Rachel: Ukradłeś jej klejnocik?

Pani Forsham: Co za okropne pytanie.

Ja: Nie ukradłem. Ale zaproponowała, że mi go pokaże.

Były: No i?

Ja: Spasowałem.

Człowiek imieniem David: Postradał rozum.

Znowu były: Czy ona ci się w ogóle podoba?

Moja odpowiedź wzięła mnie całkowicie z zaskoczenia. Niesamowicie – powiedziałem.

Julia: Więc co z nią było nie tak?

Ja: Jest zmienna, arogancka, szorstka, cierpka, wredna, niebezpieczna i niewykluczone, że idealna.

Były: Przewiduję bardzo długą zimę. Idź do jaskini, otwórz sezam, splądruj klejnoty, załatw złodziei.

Chwila ciszy.

Rachel: Więc nie zadzwonisz do Lauren?

Ja: Nie zadzwonię do Lauren.

Rachel: Nieładnie.

Po południu postanowiliśmy wybrać się na spacer z psami. W drodze do parku szedłem obok Rachel. Opowiedziałem jej o swoich wieczorach z Clarą po seansach filmowych, o godzinach spędzonych w barze, tańcach przy szafie grającej, spacerach przez Straus Park, nocach, kiedy byłem pewien, że wszystko stracone, biciu serca, kiedy okazywało się, że wcale nie, i tym momencie, kiedy życie wyłożyło wszystkie karty na stół, a potem zabrało je i schowało.

Skierowaliśmy się do parku – jak zawsze, kiedy wychodziliśmy grupą – i w stronę kortów oraz domku tenisowego, który we wczesnym zmierzchu zdawał się już pogrążony w ciemnościach, a jego dwie nikłe latarnie ledwo oświetlały drogę przez mostek przerzucony nad skutym lodem stawem. Wystarczyłoby, żeby lód zaczął pękać, a zapragnąłbym uciec, znaleźć się gdzie indziej. Ale przecież już byliśmy gdzie indziej, zagubiliśmy się w zimowym lesie, z dala od wysokich budynków na Dziewięćdziesiątej Trzeciej i zachodniej części Central Parku. Trafiliśmy do pejzażu Corota, gdzie w sercu Manhattanu zmierzch rozmył barwy do bladych ziemistych odcieni. Inny kraj, inny wiek, nasze dwa psy wężące po małym prowincjonalnym francuskim miasteczku. Ta część Manhattanu nigdy nie widziała mnie z Clarą i nie powinna mi o niej przypominać. Przypominała mi jednak miejsca, o których rozmawialiśmy tamtej nocy na tarasie, więc moje myśli i tak natychmiast pomknęły ku niej. Miło by było „pojechać stąd do Francji”. Przejść się Dziewięćdziesiątą Piątą, kupić po drodze coś do jedzenia na wynos i dotrzeć do kina na długo przed czasem. Chciałem, żeby Clara była teraz z nami. To wcale nie było Gdzie Indziej. Dekoracje się zgadzały, ale sztuka i aktorzy byli zupełnie nie tacy.

– Moim błędem było to, że się z nią nie przespałem – wyjaśniłem.

– Ponieważ?

– Ponieważ ten jeden raz nie chciałem się spieszyć. Może pragnąłem, żeby było inaczej niż zwykle. Może nie chciałem przeciętności. Może wolałem przeciągnąć trochę romans.

Rachel słuchała.

– Co następuje po zalotach? – zapytałem.

– Kto wie. A poza tym pytasz niewłaściwą osobę.

Chyba w moim spojrzeniu malowało się zdumienie.

– Zeszliśmy się – wyjaśniła Rachel. – Byliśmy przyjaciółmi, pobraliśmy się, rozwiedliśmy, znowu się zaprzyjaźniliśmy... A teraz on chce się znowu pobrać.

– A ty?

– Nie jestem temu przeciwna.

Złożyła ręce na piersiach, ściskając w dłoni smycze puszczonej wolno psów, i delikatnie kopnęła grudkę gliny.

– Może to nawet niezły pomysł. – Zazwyczaj nie dawała się ponieść entuzjazmowi. W jej ustach to stwierdzenie było odpowiednikiem głośnej, radosnej zgody. A potem odwróciła głowę i zanim zdążyłem dorzucić swoje trzy grosze, zapytała: – Jak myślisz, co w tej chwili porabia nasza widmowa kobieta?

– Nie mam pojęcia. Może jest z przyjaciółmi. Może z innym mężczyzną. Kto wie? W każdym razie z całą pewnością nie wyczekuje na telefon ode mnie.

– A miałeś do niej zadzwonić?

– Nie. Celowo nigdy do siebie nie dzwoniemy. Spotykamy się tylko pod wpływem chwili, wszystko jest luźne i nieplanowane.

– I co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem, czy w ogóle mogę coś zrobić.

– Coś musisz.

Nie odpowiedziałem. Miałem ochotę wzruszyć ramionami, ale wiedziałem, że przejrzałyby ten gest.

– Trudno w ogóle powiedzieć, co nas łączyło. Z początku myślałem, że ona niczego nie chce, potem, że chodzi jej o swego rodzaju przyjaźń, potem, że może pragnie czegoś o wiele więcej, ale nie miałem pewności, a teraz jesteśmy sobie obcy.

– I zakładam, że ty też doskonale wiesz, czego chcesz.

W jej głosie brzmiała ironia.

– Myślę, że tak.

– Myślisz, że tak. Ujmę to w ten sposób: ona pewnie też nie jest pewna, dlaczego się z nią spotykałeś. Moim zdaniem jest bardzo zainteresowana, tak samo jak ty. Pragnie przyjaźni, pragnie miłości, pragnie wszystkiego i niczego. Tak samo jak ty. Nic, co zrobicie, nie będzie błędem, nawet jeśli nie zrobicie nic. Ale nie powinieneś być jej odmawiać. Znajdź sposób, żeby to naprawić, zanim będzie za późno.

Moje prychnięcie miało oznaczać: a jak niby mam tego dokonać?

– Słuchaj. Być może ona wcale nie chce jeszcze tego kończyć. A może zechce uciąć sprawę, zanim sytuacja się pogorszy. W każdym razie nie możesz do niej nie zadzwonić.

Jej dwa psy wróciły. Zbliżali się do nas inni członkowie grupy. Pan Forsham zapalił fajkę.

– Widmowa dama – powtórzyła Rachel. – Podoba mi się to. – A potem, po zastanowieniu: – Zrób coś dla mnie. Idź pod tamto drzewo, gdzie nikt nie będzie cię słyszał, wyjmij telefon i zadzwoń.

– I co mam powiedzieć?

– Cokolwiek!

– Pewnie i tak nie odbierze.

– Dlaczego?



– Bo ja bym nie odebrał, gdyby to ona zadzwoniła do mnie.

– Zadzwoń do niej i tyle. – Te słowa przypieczętował ton zniecierpliwienia. Rachel szarpała się ze swoimi collie.

Może Clara nikomu o mnie nie wspominała. A może spędziła dużą część popołudnia tak jak ja, rozmawiając ze znajomymi o kimś, kto był niejasny, skomplikowany, krnąbrny i przejrzysty. Możliwe, że poszła na spacer wokół mariny – wyobrażałem ją sobie z Pablem i Pavlem – i rozmawiała o mnie, wzruszając ramionami tak samo jak ja, kiedy Rachel spytała, czy lubię Clarę, a ja powiedziałem: „Ogromnie”, w nadziei, że Rachel uzna to za przesadę, dzięki czemu sam też mógłbym stwierdzić, że przesadzam. Możliwe, że Clara także słuchała właśnie czyjejś opinii, że to, co nas łączy, prowadzi zapewne donikąd, ale zmierzamy tam z taką determinacją, że naprawdę nie da się przewidzieć, jak to wszystko się skończy. Przyłapałem się na tym, że odchodzę od Rachel po stwardniałej, zimnej glebie w kierunku drzewa, które mi wskazała. Tam, gdy tylko znajdę się poza zasięgiem słuchu pozostałych, wbrew swojemu rozsądkowi zmuszę się do wybrania numeru. Powiem, że po prostu miałem ochotę zadzwonić. Kilkusekundowa cisza. Dobijające milczenie. Po prostu miałeś ochotę zadzwonić? – zapyta. No to zadzwoniłeś.

W tle będzie słycać gwar głosów. Pewnie Clara będzie na późnym lunchu w marinie. A co – może myślałem, że siedzi w domu i robi na drutach?

Gdzie jesteś? Co u ciebie?

Co u mnie? O to chciałeś spytać? A jak ci się wydaje?

Trudno będzie nam się rozmawiało. Albo będziemy udawać, że się nie słyszymy. W każdym razie zakłócenia na linii pomogą nam rozluźnić atmosferę i napęlnią nasze słowa pospieszną energią. Ona będzie w hangarze na łodzie. A gdzie ja się podziewam? W parku. Jakie to do nas podobne – stwierdzę – jedno siedzi w Riverside Park, a drugie w Central Parku. Możliwe, że stopi nieco lód. Ale mi się nudzi. Tobie też, Claro? – zapytam. Straszliwie. Czy mówimy szczerze, czy tylko przesadzamy, żeby pokazać, że wolelibyśmy się znaleźć w swoim towarzystwie? Możliwe, że miałbym ochotę do niej dołączyć? A czy ona by tego chciała? Tylko jeśli ja chcę. Podaj adres. Nie zna dokładnego adresu, ale jest przy marinie na Siedemdziesiątej

Dziewiątej. Mogę zadzwonić, jak dojadę, i ktoś wyjdzie otworzyć mi furtkę.

– A zostawiłeś przynajmniej jakąś wiadomość? – zapytała Rachel, kiedy powiedziałem, że nie mogłem się dodzwonić do Clary.

– Tak.

– No to jeśli nie oddzwoni, sytuacja będzie jasna.

– Pewnie tak. – Chyba mówiłem zanadto zdawkowo.

– Na pewno zostawiłeś wiadomość?

Popatrzyłem na nią.

– Nie.

– Ty naprawdę jesteś do niczego. Wracajmy do domu. Mam świetną pachnącą herbatę ze Sri Lanki. I masę ciasta.

Zdążyło się już ściemnić.

Kiedy Rachel otworzyła drzwi, poczuliśmy zapach wołowiny duszonej w sosie winnym. Jej już-nie-były mąż siedział w ciemnościach i oglądał History Channel, popijając burbona. Jego zdaniem wróciliśmy za wcześnie. Olać herbatę, napijmy się czegoś mocniejszego – powiedział ktoś. Wszyscy popędzili do szafki pod regałem i wyjęto kieliszki, butelki i przekąski, w tym moją ulubioną: prażone pistacje z ostrymi przyprawami. Ktoś nastawił jakąś muzykę i nawet Forshamowie stanowili przyjemne towarzystwo. Zacząłem się cieszyć na nadchodzący wieczór. Po południu zapowiadało się, że czeka mnie głęboka otchłań wypełniona najciemniejszym piargiem, ale teraz rysowała się przede mną perspektywa długiej nocy, równie miłej i serdecznej, jakby Clara obiecała zajrzeć i w każdej chwili mogła zadzwonić do drzwi. Byłoby tak wspaniale, gdyby wpadła. Nagle pomyślałem o dziewiętnastej dziesiątej. Do pory seansu brakowało jeszcze niecałych dwóch godzin. Nadal miałem czas na decyzję. A co, gdybym jednak zadzwonił?

Nie, nie zadzwonię – w ogóle przestańcie mnie o to pytać.

Ale po opróżnieniu szklaneczki whisky nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego ciągle odkładałem telefon i dlaczego w ogóle się wahałem. Poszedłem do pustej spiżarni i wyjąłem komórkę. Pomyślałem, że mam jak najlepsze zamiary. Zwyczajnie zaproszę ją, żeby dołączyła do nas przy

kolacji. Proste i luźne.

Odebrała dokładnie tak, jak się spodziewałem.

– Co?

Powiedziałem, że jestem u znajomych i byłoby wspaniale, gdyby wpadła na drinka. Nie wspomniałem o kolacji, żeby jej nie odstraszyć.

– Nie mogę.

To mnie zaskoczyło. Rzuciłem na stół swoją jedyną kartę atutową.

– Strasznie mi się nudzi. Zaraz od tego oszaleję. Marzę o tym, żeby cię zobaczyć. Zgódź się.

– Przykro mi, że ci się nudzi. Ale nie mogę. Jestem zajęta.

Żadnych przeprosin, żadnego wytłumaczenia, nawet żadnego udawanego żalu w jej tonie. Twarda, lodowata, kamienna.

– Kurka – powiedziałem. Chciałem usłyszeć w jej głosie uśmiech. Ale ona nie odpowiedziała. Wydawała się odarta z całego ciepła i humoru. Wszystko w niej było śmiertelnie poważne – milczenie kobry, która właśnie wbiła zęby w ofiarę i teraz patrzy, czy udało się ją powalić.

Nie wspomniała o dziewiętnastej dziesiątej. Ja też nie.

Rozmowa nie mogła trwać dłużej niż pół minuty. Byłem po niej w szoku – właśnie dlatego nie chciałem dzwonić. Szok był gorszy od urazy, gorszy od wzgardy, gorszy od besztania, wyzwisk czy nawet obojętności. Szok był jak całkowity paraliż, po którym człowiek do niczego się już nie nadaje, jest zmiażdżony, uzombiony, wybebeszony. Wyłączyłem telefon. Nie chciałem żywić się nadzieją, nie chciałem wierzyć, że mogę się spodziewać czegokolwiek dobrego. Clara już nigdy do mnie nie oddzwoni. Dobrze mi tak, dobrze mi tak.

Kiedy wróciłem przez jadalnię do salonu, zobaczyłem, że duży stół w wiejskim stylu został już zastawiony, jak zwykle, naczyniami i kieliszkami nie od kompletu. Nagle sobie przypomniałem. Zamierzałem poprosić, żeby dołożyli nakrycie dla dodatkowego gościa. A potem poszedłem zadzwonić. Czy chodzi o tego gościa? – zapytałaby Rachel. Owszem, właśnie tego. Nikomu nie zdradziłem jej imienia. Więc gdzie mamy posadzić tego gościa,

może naprzeciwko ciebie? Uwielbiałem ironię Rachel. Ale ten stół nigdy jednak nie zobaczy Clary. A Clara nigdy nie zobaczy Rachel.

Wieczorem, po kolacji i kolejnym spacerze z psami po parku, faktycznie wróciłem na Broadway. Na Sto Szóstej pokręciłem się trochę, a potem obszedłem przecznice, przy której mieszkała Clara, raz i na wszelki wypadek drugi. Ewidentnie nie było jej w domu, może nie wróci na noc albo poszła już spać. Poszedłem do Straus Parku i stałem tam, przypominając sobie świece, które wyobraziłem sobie na posągu tydzień temu, posterunkowego Rahoona i *Manattàn noir*, i krótki wiersz Leopardiego o tym, że życie to tylko gorycz i nuda. „Zajęta” – powiedziała. Co za brzydkie słowo. Zabójcze, płaskie, zarozumiałe, odtrącające: zajęta.

Wszystkie szczury zeszły pod ziemię – pomyślałem. Było coś dobrego i kojącego w poczuciu jedności z widmami, coś zdrowotnego w obserwowaniu życia z brzegów krainy zmarłych, stawaniu z nimi przeciwko żyjącym, tak jakbym zatrzymał się nad rzeką i usłyszał... nie Bacha, ale twarde, lodowate, kamienne pęknięcia pod powierzchnią preludium – twarde, lodowate, kamienne jak ona, jak ja. Poza czasem było nam razem tak dobrze, jak dobrze jest zmarłym we własnym towarzystwie. Poza czasem. Ale w prawdziwym świecie licznik zawsze był włączony.

Przez jakiś czas rozmyślałem o człowieku, który ślubował, że przez tysiąc i jedną noc będzie siedział pod oknem ukochanej, ale tysiąc pierwszej nocy celowo nie przyszedł. To był jego sposób, żeby zrobić jej na złość, i sobie też, zupełnie jakby złość i miłość – dwie towarzyski łoża – były splecione razem niczym dwie żmije kęsające dłoń, która je karmi. Jedna kąsa jadem, druga – antidotum; kolejność nie ma znaczenia, ale ukąszenia muszą być dwa i za każdym razem muszą boleć. Pomyślałem o tym, że wszystko, co robiłem z Clarą, począwszy od pierwszego wieczoru aż po ostatni, kierowane było przekorą i dumą, między nimi zaś kryło się też dużo strachu i ostrzeżeń. A to jedno słowo, które powinno się liczyć najbardziej, zostało skazane na milczenie, aż ono także stało się twarde, lodowate i kamienne. Nigdy go nie wymówiłem, prawda? Wobec śniegu, nocy, posągu w parku, swojej poduszki – owszem. I wymówię je teraz, nie dlatego, że cię straciłem, Claro, ale ponieważ miłość i strata także są towarzyszkami na wieczność.

## Noc ósma

– Phildonka Otopanimijsce, odezwij się.

Wiadomość na automatycznej sekretarce, kiedy wreszcie włączyłem wieczorem komórkę, powiedziała mi to, co wiedziałem o Clarze od samego początku, ale czego przez cały ten czas nie potrafiłem zaakceptować: że wszystko, co o niej myślałem, zawsze okaże się błędne, ale wiedza o tym, że jestem w błędzie, też będzie błędna. Clara należała do innego gatunku. Albo może to ja należałem do innego gatunku. Albo oboje należeliśmy – co tłumaczy, dlaczego zgadzaliśmy się w sprawach bardzo drobnych i bardzo wielkich, za to nie mogliśmy się porozumieć w zwyczajnych, codziennych kwestiach. Istniały dwie Clary: jedna, która się ze mną drażniła i potrafiła pokazać się dokładnie w momencie, kiedy najbardziej jej pragnąłem, oraz druga, której kolejnych uwag nie dało się przewidzieć, ale się je podziwiała, bo jej słowa potrafiły skakać i iskrzyć jak świeżo wybita moneta będąca prośbą o miłość albo być kolejną szpilą – taką, która zaczyna się od uśmiechu, ale równie dobrze może cię zaprowadzić na ostry dyżur.

– Phildonka Otopanimijsce, odezwij się – zaczynała się jej wiadomość, a w głosie Clary kryły się ślady figlarności, jakby gdzieś obok niej śmiali się ludzie, a ona osłaniała słuchawkę dłonią, żebym ich nie usłyszał. Wiedziałem już, że to jej sposób na podkreślenie wesołości, jaką w danym momencie odczuwała, i wyrażenie radości i żywości. – Gapił się na mnie, dopóki nie powiedziałam nacosięgapiszkolo. Tak się zmieszał, biedaczysko, że wysypał na mnie popcorn. Żebyś ty widział, jak on mnie przeproszał, oczy wychodziły mu na wierzch ze skruchy, chociaż dalej wywalał na mnie gały. – Chwila ciszy. – I tak. Na wypadek, gdybyś się zastanawiał i jeszcze tego nie rozgryzł, w ten oto subtelny sposób informuję cię, że ja, Clara, zdołałam pojechać do Francji w ostatni wieczór retrospektywy Rohmera, podczas gdy ty, Printzu... cóż, kto wie, dokąd poszedłeś i co zrobiłeś po tym telefonie. Pozdrowienia od Phildonki. – Znowu próba żartu. – Nie muszę chyba wspominać, że jestem bardzo *très* urażona. A najśmieszniejsze... – Usłyszałem, jak zaciąga się papierosem, więc widocznie dzwoniła z domu –

najśmieszniejsze jest to, że oddzwoniłam do ciebie jakieś pół godziny po tym, jak rozmawialiśmy. Chciałam powiedzieć, że wpadnę na tego drinka. Więc owszem, przykro mi. Ale ty powinieneś w tej chwili kajać się ze wstydu i poczucia winy.

Po tym nastąpiła kolejna wiadomość:

– Tak przy okazji, dzwoniłam jakiś milion razy. Ale pan oczywiście musiał znowu wyłączyć telefon. – Kiedy spojrzałem uważniej na ekran, stwierdziłem, że rzeczywiście dzwoniła jakiś milion razy.

Była też trzecia:

– Poza tym chciałam tylko powiedzieć, że wiem, że wczoraj wieczorem było ci przykro. Przepraszam. Idę spać. Więc nie dzwoń. Albo zadzwoń, jak chcesz. Wszystko jedno.

Przytyk i pieszczota. Jedno zawsze towarzyszyło drugiemu. Trucizna i antidotum.

Kiedy wysiadłem z windy, czekała na mnie jeszcze jedna wiadomość. Zostawiono ją godzinę później.

– Więc naprawdę nie masz zamiaru zadzwonić. Świetnie!

Uśmiechnąłem się.

– Czuję się jak heroinistka, tylko jeszcze gorzej.

Po kilku sekundach się rozłączyła. Potem rozłączyła się jeszcze raz. Wreszcie usłyszałem kolejną wiadomość.

– Miałam na myśli, żebyś nie dzwonił. W ogóle już do mnie nie dzwoń.

I cisza. W powietrzu wisiało akurat dostatecznie dużo dwuznaczności, żebym nabrał jakichś niejasnych podejrzeń, ale jeszcze nic takiego, żeby wpadać w panikę – aż nagle dotarło do mnie, że Clara mogła mieć na myśli: „Już nigdy do mnie nie dzwoń”.

– Jesteś po prostu żałosny – dodała. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

A potem, jak zwykle, połączenie się urwało. Wiedziałem, że się rozłączyła. Więc to był ostatni przekaz, który mi pozostawiła. Cała moja istota, cały nasz wspólny tydzień podsumowane jednym słowem: żałosny.

Nagle znowu ogarnęło mnie odrętwienie.

To „żałosny” spadło na mnie niczym starożytna klątwa, która raz rzucona, nie może zostać zdjęta, zlekceważona ani zapomniana. Prześladowuje cię, znajduje cel i naznacza cię na całe życie. Zejdiesz w mroki Hadesu, a rana wciąż będzie krwawić. Żałosny.

Jestem żałosny. Oto jaki jestem: żałosny. Ona ma rację. Wystarczy jedno spojrzenie na mnie i od razu wiadomo: żałosny. Dobrze to ukrywa, ale wcześniej czy później prawda wychodzi na jaw, a jak raz zauważysz, zaczynasz to widzieć cały czas, na jego twarzy, w jego uśmiechu, jego butach, w tym, jak obgryza paznokcie – żałosny.

Jak zwykle ostatnie słowo należało do niej.

Usiłowałem znaleźć jakieś luki w jej ocenie, otwierając drzwi i patrząc na swoje żałosne mieszkanie z tą żałosną, wiecznie włączoną lampką w sypialni, która miała pomóc mi sobie wyobrazić, że ktoś już tam jest, czeka na mnie, zaraz wyskoczy z łóżka i powita mnie słowami: „Gdzie się podziewałeś tyle czasu?”. Żałosny, bo potrzebowałem tej fantazji, żeby ułatwić sobie powroty do domu. Żałosny, bo osobą, którą pragnąłem tu ujrzeć w mojej górze od piżamy, ale bez spodni, była tą samą, która właśnie całkowicie mnie odrzuciła. Żałosny, bo natychmiast przejrzała wszystkie moje wygłupy, moje wybiegi, moje odroczenia, moje próby wypełnienia ciszy, kiedy cisza stawała się nie do zniesienia, a ja czułem się jak pokerzysta, który zaraz zostanie przejrany, lecz musi ciągle podnosić stawkę, żeby zamaskować blef, aż w końcu sam zapomina, czy naprawdę tylko blefuje i na czym ten blef polega, i wie, że prędzej czy później będzie musiał spasować i że tego się po nim spodziewają. Żałosny, bo nawet w tych dzisiejszych wiadomościach głosowych pozwoliłem Clarze przeciągnąć mnie przez całe spektrum emocji, od udawanej wesołości poprzez urażone wyznanie aż po pełną godności porażkę, i akurat kiedy mógłbym przysiąc, że sytuacja nadal jest pod moją kontrolą, ona wreszcie zwróciła się przeciwko mnie, lekko i szybko, jad i pogarda. Z początku prawie nic nie poczułem, jakby chodziło o drobne, nieznaczające ukłucie cieniutkiej szpilki, ale ona przebiła moją skórę i zagłębiała się w nią dalej, i rosła, i rosła, aż stała się grubsza i pokryta straszliwymi zębami niczym szczeka ogromnego rekina białego. Z początku nic – chichocik w telefonie, iluzja łobuzerskiej komitywy, a potem cięcie

sztyletu przez moją twarz. Ona Folia. Ja Żaloszny.

Podszedłem do odtwarzacza i nastawiłem Händla. Ależ mi się podobał ten utwór. Pękający lód, łzy Clary, mimowolny pocałunek, kiedy siedzieliśmy w salonie podczas tamtego popołudnia na wsi.

Chciałaś, żebym już nie dzwonił; a właśnie, że zadzwonię.

Obudziłaś mnie.

Obudziłem cię. A ja przez ciebie nie mogłem zasnąć. Jesteśmy kwita.

Czego ty ode mnie chcesz? Nie mogłaby zawrzeć w głosie większego zniecierpliwienia.

Czego od niej chciałem? Tym, czego od niej chciałem, była ona sama. Naga. W moim łóżku. Albo jeszcze lepiej – chciałem usłyszeć dzwonek domofonu, patrzeć, jak wysiada z windy z szalem zawiniętym jeszcze na głowie, jak wtedy, kiedy całowaliśmy się pod piekarnią, i klnie na drzwi, które zatraskują się za nią, żeby pokazać, że wcale się jej nie boją. „No, kurwa mać, te twoje pieprzone drzwi! I ta twoja pieprzona komórka!”. Odwaga, żeby przyjść do mnie o drugiej nad ranem. Ona ją miała. A czy ja miałem odwagę, żeby do niej teraz oddzwonić? Tak? Nie?

Żaloszny.

Poczułem ochotę, żeby udowodnić sobie, że jest inaczej, ale potem zmieniłem zdanie.

Po prysznicu narzuciłem na siebie szlafrok i natychmiast sięgnąłem po telefon. I co, że było o drugiej nad ranem? W końcu i tak wszystko już stracone.

Podobało mi się takie dzwonienie, kiedy jeszcze nie zdążyłem wyschnąć. Nadawało ono całemu przedsięwzięciu wrażenia impulsywności i nieformalności, jakby było to coś najnormalniejszego w świecie; mogłem się skupić na swoich palcach u nóg, swoich uszach, jej głosie, wszystko było swobodne i szczere.

– Nie mogę spać – powiedziałem, gdy tylko odebrała.

– A kto może? – odparła i odchrząknęła, jakby dodając: „Kto w ogóle teraz sypia?”. Miałem wrażenie, że to odchrząknięcie oczyściło jej głos



z najlżejszej sugestii wrogości. Za to pobrzmiewała w nim senność. Był zachrypnięty, wyschnięty, pozbawiony energii, jak zapach kobiecego oddechu, kiedy budzisz się nocą i jej głowa leży obok ciebie na poduszce. Czyżby wstydziła się, że przyłapano ją na tym, że śpi po drugiej nad ranem? – A poza tym wiedziałam, że to ty.

Już miałem powiedzieć, że przecież mógł to być Inky, kiedy zdałem sobie sprawę, że odpowiedź mogłaby brzmieć: „Ale on jest tu ze mną”. Więc nie spytałem.

Mogłem zapytać, skąd wiedziała, że zadzwonię tak późno. Zamiast tego oświadczyłem, że właśnie wyszedłem spod prysznic i kładę się do łóżka.

– Dzwonię, bo nie chciałem zostawiać sytuacji na tym, na czym wczoraj stanęliśmy.

Wydała z siebie rozbawione mruknięcie. Zgadzała się: sprawy miały się fatalnie. A więc nie było szansy na to, że tylko to sobie wyobraziłem.

– Możesz teraz rozmawiać? – zapytałem.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Może Clara znowu zasnęła?

– W sensie: czy jestem sama?

Bystra i ostra jak brzytwa, nawet wyrwana ze snu.

– Tak.

– A o czym chcesz porozmawiać? – Jej odpowiednik kwestii: „Piłka po twojej stronie: mów”. Udzielała mi wyjątkowej, ale z konieczności krótkiej audiencji. Dała mi tyle a tyle sekund, ale ani chwili więcej. Licznik zawsze był włączony.

– Chciałem powiedzieć, że... – Ale nie wiedziałem, co chciałem powiedzieć, i nie mogłem nic naprędce wymyślić. – Chciałbym, żeby znowu był zeszły tydzień. Chciałbym, żebyśmy znowu byli na przyjęciu i nigdy stamtąd nie wyszli, i byli tam uwięzieni na zawsze.

– Ale ty masz pomysły, Printzu. – Teraz mówiła jak przez sen. – Masz na myśli tak jak w tym filmie Buñuela...

Czyżby senność wprawiała ją w wyjątkowo ugodowy nastrój?

– Uwięzieni na zawsze, w śniegu, jak w domu Maud. – I wreszcie to powiedziałem: – Chciałbym, żebyśmy przenieśli się w czasie dwie noce wcześniej.

– I wczoraj wieczorem.

Gdy tylko mnie poprawiła, serce zaczęło mi walić. Stałem w ciemnym salonie, twarzą w twarz z nocą i czarnym morzem Central Parku.

– Patrzę właśnie przez okno. Patrzę na tę sól na dywanie. I chciałbym, żebyś tu ze mną była.

– Chcesz, żebym tam z tobą była?

Dlaczego wydawała się tak zaskoczona?

– Chcę, żebyś tu ze mną była, teraz... i zawsze. Już – dodałem, jakbym samodzielnie zdołał sobie wyciągnąć zainfekowany ząb za pomocą obcęgów.

– A chcesz tego, ponieważ...?

Powinienem był wiedzieć, że triumf mojego wyznania nie potrwa długo. Coś ostrego i niezyczliwego we wznoszącym się tonie jej pytania kojarzyło mi się z dwiema opuszkami palców gaszącymi płomyk życzliwości, który dopiero co zauważyłem w jej głosie. Ironia, którą kochałem i w której znajdowałem takie ukojenie, i która od początku nas do siebie zbliżyła, i dzięki której myśleliśmy, że jesteśmy dwiema zagubionymi duszami dryfującymi w płytkim, płaskim świecie, nie była moim sprzymierzeńcem. Rozcięła narastającą między nami serdeczność niczym kłująca ostroga bodąca podbrzusze ukochanego wiernego kuczka.

– Nie wiem dlaczego. Istnieje tyle możliwych odpowiedzi. Bo nigdy nie znałem nikogo takiego jak ty, nigdy z nikim taki nie byłem, tak blisko, nigdy się tak nie odkryłem. Nigdy w ten sposób, bo za każdym razem, kiedy odkrywam karty i ci je pokazuję... Nie wiem, po co ci to mówię, bo pewnie nigdy mi nie wybacysz... ale już samo mówienie ci o sobie i o tym, jak się czuję, tak jak w tej chwili, zaczyna sprawiać, że twardnieję. – Zwlekałem z ostatnim słowem, jakbym usiłował przetestować to zdanie, zanim w końcu zdecyduję się je wymówić.

– Twardniejesz?

Wyczułem, że całkowicie ją zaskoczyłem. Czy naprawdę poprosi, żebym nie był obsceniczny?

– Printzu. – Mówiła, jakby miała złamane serce. Albo była głęboko rozczarowana. A może nadal się nie wybudziła albo przejrzała mnie na wylot i dostrzegła cenę, pragnienie i ból kryjący się w tym słowie? Wzięła seks, do którego łatwo było się przyznać, i przeniosła go w sferę złamanego serca, która była o wiele bardziej niemożliwa i o wiele bardziej skomplikowana. A może zwyczajnie zastanawiała się nad jakąś łagodniejszą wersją zdania: „Jesteś w tej chwili bardziej żałosny niż kiedykolwiek” i była to jej preambuła do długiej reprimendy, po której poczuję się, jakby odcięła mi jaja i posiekała je w stylu julienne.

– Dlaczego mówisz „Printzu”? – odparłem, naśladowując napięcie w jej głosie, nie do końca pewny, czy chcę w ten sposób cofnąć i pomniejszyć swoje wyznanie, czy też sprawić, żeby poczuła się głupio, że potraktowała je tak dosłownie. A może próbowałem ją skłonić do powiedzenia czegoś, czego wcale nie miała na myśli, czego nie powiedziała do końca, może nigdy nie powie, a może tylko prześlizgnęła się po tym mimochodem i trzeba było to wyjaśnić, żebyśmy oboje w pełni pojęli, o co chodzi?

– Dlaczego? Częściowo dlatego, że to cię boli, a ja nie chcę, żeby cię w ten sposób bolało.

– A częściowo? – Niech się dzieje, co chce, teraz byłem już gotów na wszystko.

– A częściowo... – wyraźnie się wahała, jakby zamierzała podwyższyć stawkę i przenieść nas na nową, niebezpieczną, bolesną płaszczyznę; jakby brała te paseczki julienne, którymi się wymienialiśmy, i dzieliła je na jeszcze mniejsze drobinki – ...bo nie chcę, żebyś jutro rano do mnie zadzwonił i powiedział: Claro, wczoraj w nocy się z tobą kochałem.

Byłem załamany. Czuję się urażony, odsłonięty, rozgoryczony, zawstydzony, jak rak, którego skorupę rozcięto lancetem i usunięto, a jego obnażone, pocięte ciało pokazuje się ku uciechu i kpinom gawiedzi, po czym wrzuca nago z powrotem do wody.

– Nie musiałaś się ze mnie naśmiewać i nie musiałaś mnie ranić w ten sposób. – Po raz pierwszy powiedziałem jej, że mnie zraniła. – Jak mówiłaś,

może rzeczywiście jestem żaloszny i w tej chwili ewidentnie próbuję podźwignąć się i zrobić coś doniosłego, przesadnego, dąsając się i rozwodząc...

Nastąpiła chwila ciszy, nie taka, jakby Clara słuchała mnie uprzejmie albo pozwalala mi wylać z siebie wszystkie zale, ale jakby nie mogła się doczekać, żeby coś wtrącić.

– A czy teraz sprawiłam, że to wszystko zniknęło?

W jedną sekundę udało jej się znów mnie podbić.

– W zupełności.

Usłyszałem, jak się uśmiecha.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– A ty? – I po chwili, zupełnie zniemacka, jakby dostrzegła jakieś połączenie, którego ja nie widziałem: – Co masz na sobie? – zapytała.

– Przedtem byłem w szlafroku, ale teraz leżę już w łóżku.

Moje serce, które i tak biło już szybko, teraz waliło jak szalone. Nienawidziłem tego, ale również kochałem, jakby część mnie wpatrywała się w rzekę z bardzo wysokiego mostu, ze świadomością, że jestem bezpiecznie przypięty do liny bungee, a przyczyną mojego dreszczu emocji jest bardziej strach niż sam skok. Ale cisza była jednak nie do zniesienia i przyłapałem się na tym, że mówię byle co, żeby tylko nie powiedzieć tego, co chciałem.

– Pamiętasz? Ten szlafrok w biało-niebieskie paski, który wisiał na drzwiach łazienki.

Wymówienie tego jednego nudnego, zacinającego się, zapierającego dech w piersiach, skomplikowanego zdania zajęło mi całą wieczność.

– Tak, pamiętam. Taki stary, z grubej tkaniny frotté. Ładnie pachniał.

Właśnie ten – miałem odpowiedzieć.

Powiedziała, że ładnie pachniał.

Co sprawiło, że go powąchała?

– Tak bez powodu. Z ciekawości.

– Często to robisz?

– Dorastałam w towarzystwie psów.

Celowo improwizowana wymówka. Clara na pewno wyczuła, że gorączkowo szukam szybkiej riposty.

– Gdybym lepiej cię znała, zapuściłabym się na zakazane terytorium.

– I tak znasz mnie już lepiej niż ktokolwiek, kogo w życiu spotkałem – powiedziałem.

– Nie ma nic takiego, o czym mógłbyś teraz pomyśleć, a o czym ja już nie pomyślałam.

– W takim razie powinnaś się wstydzić.

– Ciebie i mnie pociąga ten sam wstyd.

– Może.

– Claro, za niecałe dziesięć minut mógłbym stać pod twoimi drzwiami.

– Nie dzisiaj. Tak mi się podoba. Może teraz to moja kolej, żeby powiedzieć... jak to szło...? Za szybko, za nagle.

Ucieszyłem się, że zapamiętała.

– A poza tym jestem w tej chwili naszprycowana lekami, uzombiona i usypiam – dodała.

– Potrafię się pogodzić z odrzuceniem.

– Nie odrzucam cię.

Czy kiedykolwiek układało się między nami lepiej? Czy przemawiała do mnie Clara, czy leki? Znowu poczułem na twarzy jej oddech. Chciałem posmakować jej wilgotnych ust.

– Dlaczego nie wpadłaś na drinka? – zapytałem.

– Bo podałeś mi najgłupszy pretekst.

– Więc dlaczego od razu tak nie powiedziałaś?

– Bo byłam zła.

- Dlaczego byłaś zła?
- Bo zawsze jesteś śliski jak węgorz, od wszystkiego się wykręcasz.
- To ciebie nigdy nie da się przyszpilić.
- Ale ja nie wyłączam telefonu.
- Więc dlaczego nie dałaś mi żadnego znaku?
- Bo skończyły nam się znaki, bo dość mam już tej dwojgomowy.
- Jakiej dwojgomowy?
- Printzu, właśnie ją uprawiasz.

Miała rację.

Długa cisza.

- Claro?
- Tak?
- Powiedz mi coś miłego.
- Powiedzieć ci coś miłego. – Umilkła. – Szkoda, że cię nie było, kiedy zawołałam w kinie twoje imię.

Łamała mi serce, a ja nawet nie potrafiłem wyjaśnić dlaczego.

- A zamierzałaś wpaść dziś na tego drinka?
- Miałam nadzieję, że to zrobię, panie Wyłączę Telefon, Żeby Jej Pokazać.

Tym razem zapała mi dech w piersiach.

Bez ostrzeżenia do oczu napłynęły mi łzy. Co się ze mną działo? Nigdy w życiu nie przytrafiło mi się nic takiego, a już na pewno nie przez telefon, kiedy byłem nagi.

- Czasami przeraża mnie myśl, że poznasz mnie na długo przed tym, zanim ja poznam ciebie.

– Ja mam tak samo. Mnie też to przeraża.

Cisza.

- Dlaczego pozwalasz mi to robić? – zapytałem.
- Bo kiedy cię jutro zobaczę, nie chcę, żeby było tak jak dzisiaj.
- A co, jeśli jutro znowu się zmienisz?
- Wtedy będziesz wiedział, że nie mówię poważnie.
- Czy już tego nie przerabialiśmy?
- Owszem. I wtedy też powinieneś był to wiedzieć. Myślisz o mnie w tej chwili?
- Tak. Tak – powtórzyłem.
- To dobrze.

Następnego dnia – ostatniego dnia roku – niebo znowu było zachmurzone, nadając światłu poranka tę spłowiałą, świetlaną aurę, którą cieszyliśmy się przez cały tydzień i która ślizgała się po powierzchni miasta niczym wewnętrzna strona białej baranicy udrapowanej na słońcu. Człowiek od razu tęsknił za śniegiem i zimozielonymi krzewami, i wełnianymi rękawiczkami, i delikatnym zapachem woskowanego papieru prezentowego, który unosił się nad całym świątecznym tygodniem. Byłem szczęśliwy jak nigdy w życiu. Wstałem, ubrałem się i poszedłem do swojego greckiego baru za rogiem w nadziei, że będzie w nim tłoczno albo pusto – nieważne, bo w tym nastroju wszystko było dobre i mile widziane, czy hulałyby tam przeciągi, czy byłoby duszno, brudno, czy nie. Kiedy otworzyłem drzwi i usłyszałem powitanie tej samej kelnerki co zawsze, trzymającej ogromne menu, wszystko wydawało mi się lekkie i skoczne, jakby wreszcie zdjęto ze mnie jakiś ciężar i wolno mi było znów pokochać świat. Podobało mi się to uczucie. Podobało mi się bycie samemu z tym uczuciem. Podobała mi się zima. Przez cały tydzień do tego tęskniłem – do śniadania bez trosk. Najpierw zjem gofry z masłem i wypiję sok pomarańczowy, potem poproszę o drugą kawę, potem wrócę do domu, wezmę prysznic, przebiorę się – a może nie ma sensu się przebierać przed wybraniem się do Clary? Mieliśmy się spotkać w lobby jej budynku i pójść na zakupy, żeby zapewnić prowiant na dzisiejsze przyjęcie.

Wiedziałem jednak, że istnieje też inny powód mojego szczęścia. Jak gdyby wreszcie coś się między nami wyjaśniło. Kilka godzin wcześniej rok

zmierzał gwałtownie ku brzydkiemu, ciemnemu końcowi. A teraz, zaledwie jeden telefon później, czułem się, jakby przywrócono mi życie i wszystko zdawało się tak obiecujące, że raz jeszcze nie chciałem spoglądać na jasne strony z obawy przed tym, że zniszczę czar albo odkryję, że jestem w błędzie. Ile czasu potrwa, zanim ona i ja znajdziemy kolejny sposób, żeby na nowo ogarnęła nas ciemność, która spowijała mnie wczoraj przez cały dzień aż do drugiej nad ranem? Ile czasu potrwa, zanim wróci rozpacz? Lauren w piekarni, śmiech w kuchni, spacer z psami, zachód słońca w parku i kolacja, podczas której myślałem: talerz, łyżka, nóż, czemu Clary nie ma już? – wszystko to było takie mroczne.

Ale nawet te wymuszone wspomnienia wczorajszego przygnębienia były zaledwie zasłoną dymną umieszczoną między mną a ową koronną chwilą, którą pragnąłem przeżyć na nowo, od kiedy położyłem się wczoraj spać. Odkładałem to na później, zwlekałem za każdym razem, kiedy już miałem ulec pokusie otworzenia pudełka z niespodzianką, bo nie chciałem się spieszyć z rozpakowaniem.

A teraz, opierając głowę o zaparowaną szybę i patrząc na dorosłych i dzieci drepczących wzdłuż wąskiego pasa odgarniętego śniegu na chodniku, pozwoliłem myślom błądzić. „Claro, dlaczego mi na to pozwoliłaś?” – zapytałem wtedy. Ona odpowiedziała tylko wymijająco: „Ja?”. Szukałem odpowiednich słów i wiedziałem, że się rumienię, a mimo to usiłowałem jej nie okłamać, nie zasłaniać się, nie wymigiwać od prawdy – pragnąłem pozostać tu i teraz, w tej chwili szczerości. Czy to nie były jej słowa: „Tu i teraz”? Jedyne, co mi przyszło do głowy, to spytać: Więc co powiemy, żeby zakończyć tę rozmowę? Albo: Co powiemy, żeby nigdy nie kończyć tej rozmowy? Ale nie powiedziałem ani jednego, ani drugiego.

– Printzu? – odezwała się w końcu.

– Co? – palnąłem, mając na myśli: Czego jeszcze ode mnie chcesz?

– Tak na wypadek, gdybyś się zastanawiał. – Kolejna chwila ciszy. – Nie przeszkadzało mi to.

– Claro – powiedziałem. – Nie idź jeszcze.

– Nie idę. Ale tak właściwie to chyba teraz powinienes przewrócić się na drugi bok i zasnąć, prawda?



Oboje wybuchliśmy śmiechem.

Ostatecznie uszczęśliwiło mnie nie to, jak bardzo nagle się do siebie zbliżyliśmy, ale że usłuchałem swojego impulsu, żeby do niej zadzwonić. Jeszcze jedna sekunda i rok zakończyłby się katastrofalnie. Brawo, Printzu – chciałem powiedzieć, jakby w tej chwili mniejszą radość sprawiał mi kontakt z kobietą, z którą rozmawiałem, niż satysfakcja, że miałem odwagę wybrać w komórce jej numer.

Ale dokładnie w chwili, kiedy skupiłem się na samej Clarze, rozmowa zaczęła się sypać jak wykopana spod ziemi mumia wystawiona na działanie powietrza. Czy jutro wszystko to będzie niczym, czy też najlepszą rzeczą, jaka nas spotkała? Dzisiejsze przyjęcie wydawało się odległe o wiele godzin, a Bóg wie, że jedno małe nic może wiele zniszczyć. Ale co zniszczyć – pomyślałem. – Co zniszczyć? – pytałem wciąż, jakbym postanowił sobie, że nie dostrzegę żadnych zmian na lepsze w stosunku do ostatniej nocy i może już czas przestać pokładać nadzieje w jednej chwili namiętności pochwyconej w półśnie. Czy ona w ogóle będzie to pamiętać? – zastanawiałem się. – A może znowu wrócimy do słowa żałosny?

A może po prostu próbowałem wzbudzić w sobie strach?

Jedząc gofra, którego zatopiłem w prawdziwym syropie, przypomniałem sobie, jak nasza rozmowa nagle zmieniła bieg. Zamierzałem zapytać, dlaczego Clara nazwała mnie żałosnym. Ale ugryzłem się w język i w zamian zapytałem, dlaczego nie przyszła na kolację. To jedno pytanie poprowadziło do kolejnego i jeszcze następnego, nie dlatego, że mówiliśmy sobie coś wyjątkowego, ale ponieważ pytania i odpowiedzi, nawet jeśli na temat, pozwalały nam posługiwać się rytmem i prawie-szeptami, które związywały nas coraz mocniej i kierowały na tory zależące bardziej od tonu naszych głosów niż znaczenia słów. Wszystko, co sobie mówiliśmy poprzedniej nocy, każdy obrany kurs, jakkolwiek arbitralny, w nieunikniony sposób musiał nas zabrać właśnie tam i nigdzie indziej.

– Dlaczego nie przyjechałaś na kolację?

– Bo twierdziłeś, że ci się nudzi, i to zabrzmiało tak fałszywie.

– Więc dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Bo źle byś to zrozumiał i zaczęlibyśmy się kłócić.
- Więc dlaczego nie pomogłaś mi uratować tego wieczoru?
- Bo używaliśmy za dużo dwojgomowy, a poza tym wiedziałam, że próbujesz mnie ukarać.
- Jakiej dwojgomowy?
- Takiej jak teraz, Printzu. Takiej, która staje na drodze różnym rzeczom.
- Jakim rzeczom?
- Doskonale wiesz jakim.
- Dlaczego nie dałaś mi jakiegoś znaku?
- Znaku? Spotkałam się z tobą w ten okropny mróz, następnego dnia zabrałam cię na wycieczkę za miasto, spędzałam z tobą każdą wolną minutę... a ty potrzebowałeś znaku?
- Czy ty masz pojęcie, jak się czuję, kiedy mi to wszystko mówisz? – Między nami zapadła cisza. Ale ja wiedziałem, co się za nią kryje. Nie brak słów, tylko brak sposobów na uniknięcie wymówienia słów, które (oboje o tym wiedzieliśmy) musiały zostać wreszcie wypowiedziane.
- Pragnę tego, czego i ty – stwierdziła wreszcie Clara.
- Aż tak dobrze mnie znasz?
- Wiem, co myślisz, jak myślisz, wiem nawet, co ci chodzi po głowie dokładnie w tej chwili.
- Mógłbym powiedzieć cokolwiek, żeby ją zmylić. Ale tego nie zrobiłem.
- Nic nie mówisz i niczemu nie zaprzeczasz, co oznacza, że mam rację, dokładnie tak, jak tego chcesz. Przyznaj, że się nie mylę.
- Przyznaję – powiedziałem. Czuję się nagi jak nowo narodzone dziecko, podniecony życiem, podniecony własnym żyjącym ciałem, podniecony swoją nagością, którą bez zastanowienia bym się z nią podzielił.
- Gdybym nie była w tej chwili takim zombi, powiedziałabym, żebyś tu przyszedł ubrany wyłącznie w swój szlafrok, płaszcz i zimowe buty, i nic więcej. Bo pragnę cię do samego końca, od moich ust do twoich; a pan, panie

Amfibalencjomanie, może to zrozumieć, jak mu się żywnie spodoba.

Żadne słowa, które skierowała do mnie do tej pory, nie pobudziły mnie tak jak te. Zupełnie jakby przemówiła wprost do mojego serca i sięgnęła przez eter po mojego fiuta.

Cisza między nami była bardzo wymowna. Nie chciałem się jeszcze żegnać.

– Myślisz o mnie? – zapytała Clara.

– Tak.

I wtedy jej ostatnie słowa przeszły mnie do żywego:

– Jeśli chcesz, to pozwalam ci o mnie myśleć.

Czekając na trzecią filiżankę kawy, zrobiłem to samo, co widziałem wielokrotnie u ludzi używających kieszonkowych kalendarzyków. Był to mój sposób wyrażenia nadziei – choć nawet się do niej nie przyznawałem – że teraz, po zakończeniu retrospektywy Rohmera, rozpocznie się retrospektywa Alaina Resnais, a potem Felliniego, a potem seria koncertów Beethoven Quartet – tydzień za tygodniem wieczornych rytuałów, aż w końcu się nimi zmęczymy i powiemy: Dziś wieczorem zostaniemy w domu.

Zadzwoniła do mnie, kiedy jadłem śniadanie.

– Zmieniłeś zdanie? – zapytała i już wiedziałem, że jest w dobrym humorze.

– Ani trochę – odparłem.

Ktoś miał po nią podjechać, bo musiała zabrać trochę rzeczy na wieczór dla Hansa. Czy będzie mi przeszkadzać, jeśli przesuniemy nasze spotkanie?

– A umawialiśmy się na spotkanie? – zapytałem. Dlaczego powiedziałem coś tak głupiego?

– Owszem. Już zapomniałeś? – powiedziała niemal z wyrzutem, jakby nie zdając sobie sprawy, że tylko udaję, i się roześmiała. Oni naprawdę potrzebują dziś jej pomocy – powiedziała. Spotkajmy się na przyjęciu. Pauza. Tylko chyba nie trafię znowu na pogotowie, prawda? Nie, Claro, nie trafię.

Około jedenastej rano postanowiłem zadzwonić do swojego znajomego

Olafa. Złapałem go w biurze. Dopiero co wrócił z Hawajów. Okropny wyjazd? Ale dlaczego? Dlaczego? Bo straszna z niej pizda. Olaf zamierzał wyjść niedługo z pracy, ale nie miał ochoty wracać do domu. Mógłbym do niego wpaść i przeszlibyśmy się piechotą, jak dwa prawdziwe fiuty, którymi jesteśmy – dodał. „Więc dlaczego było aż tak tragicznie?” – zapytałem, kiedy się wreszcie spotkaliśmy. „Po prostu się nie dogadujemy” – odparł, naśladując knykciami obu dłoni trybiki kół zębatach, które nie mogą się do siebie dopasować. Spójrzmy prawdzie w oczy: ona to pizda, a ze mnie straszny chuj.

Ale ja nie zwracałem na niego uwagi. Wiedziałem dokładnie, jaki jest mój cel. Zostawmy jego okolice, idźmy gdzie indziej, wpadnijmy przypadkiem na Clarę.

Zapytałem Olafa, jak podsumuje ten rok. Za wcześnie, żeby powiedzieć – odparł ze swoim zwykłym sarkazmem.

Może ma ochotę na lunch? Właśnie coś jadł – nie jest głodny. Zamiast tego postanowiliśmy pójść na kawę. Powiedziałem, że zdziwiłem się, kiedy złapałem go w biurze. Tylko Żydzi świętują Boże Narodzenie. Żydzi i ludzie z Dominikany. Znowu popadł w jeden z tych swoich nastrojów.

Postanowiliśmy zajrzeć do Muzeum Sztuki Współczesnej – może w tamtejszej kawiarni znajdzie się miejsce, żeby usiąść i wymienić się najświeższymi wiadomościami z życia. W lobby jednak kręciły się tłumy turystów i wszędzie, gdzie się spojrzało, widać było ludzi. Pieprzona rasa ludzka – zaczął Olaf. W Europie nie zajrzą do ani jednego muzeum, ale jak tylko przyjeżdżają do Nowego Jorku, zmuszają się do oglądania sztuki, której nawet nie są w stanie zrozumieć, a potem biegną do Chinatown kupować podrabiane zegarki. Olaf i jego tyrady. Był czas, kiedy w Muzeum Sztuki Współczesnej można było oderwać się od miejskiego życia i odpocząć ze znajomymi. A teraz? Patrz na te tatarskie hordy. Przedarliśmy się przez lobby i postanowiliśmy iść do najbliższego Starbucksa. Ale i tam panował ścisk. Wreszcie znaleźliśmy jakiś lokal na piętrze przy Sześćdziesiątej Ulicy – nadal było tam za głośno, za tłoczno, masy bogatych nastolatków, które wciąż miały ferie świąteczne. Wynieśliśmy się i sprawdziliśmy kilka miejsc przy dalszych ulicach, aż w końcu poddaliśmy się i na Sześćdziesiątej Siódmej złapaliśmy autobus na drugą stronę Manhattanu. Wiedziałem,

dlaczego wynajduję wady w każdej kolejnej kawiarni. Clara za każdym razem mi się wymykała albo co raz to mijałem się z nią o kilka sekund. Ale dlaczego Olaf również za każdym razem, kiedy gdzieś przystawaliśmy, chciał szukać innego miejsca? Istniało tylko jedno wytłumaczenie, prawda? On też kogoś szukał. „Poznałeś kogoś?” – zapytałem w końcu. Nie zatrzymał się, szedł dalej, patrząc prosto przed siebie. „Skąd wiedziałeś?”. „Po prostu to widzę. Kim ona jest?”. Odpowiedź Olafa zupełnie niechętny zdołała mi przypomnieć, że jest on chyba moim najbliższym przyjacielem: „Widzisz to, bo sam kogoś poznałeś i przerzucasz na mnie swoje emocje. Ale tak się składa, że masz rację. Obaj jesteśmy głodni miłości”.

Wreszcie w okolicy Siedemdziesiątej znaleźliśmy jakiegoś Starbucksa i udało nam się zająć stolik w kącie przy oknie. Pożyczyłem drugie krzesło od sąsiedniego stołu, a Olaf stanął w kolejce i zamówił dwie kawy. Słyszałem, jak dyskutuje z baristą. „Mówiłem średnie, nie żadne grande, żadne venti, tylko średnie. I proszę o mnie nie mówić: następny gość, tylko następny klient. Jestem klientem, nie żadnym gościem, rozumie pan?”. Kusiło mnie, żeby poprosić go o zamówienie jakichś muffinów albo drożdżówek, ale pomyślałem, że za bardzo kombinuję, a poza tym jeśli naprawdę natknę się na Clarę, to nie chciałbym, żeby nabrała podejrzeń, że usiłuję odtworzyć nasze śniadanie w samochodzie. Wtedy jednak jakiś spreczny instykt podpowiedział mi, że groźba przyłapania mnie na odtwarzaniu naszego śniadania faktycznie może zwiększyć szanse na to, że na nią wpadnę. Czasem los płata takie figle. Czy nie tak właśnie udało mi się sprawić, że wpadłem na nią tamtej pierwszej nocy w kinie? Byliśmy niedaleko sklepów, do których najprawdopodobniej poszła po zakupy na przyjęcie, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że się przypadkiem spotkamy. Można pomarzyć. To byłoby zupełnie jak w filmach Rohmera. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że takie podwójne myśli są jak podglądanie przeznaczenia, które może mi wszystko popsuć i przeszkodzić naszemu spotkaniu. Już miałem wycofać się z tego podwójnego impasu, kiedy nagle ją ujrzałem – przechodziła właśnie pod Starbucksem ze swoją przyjaciółką Orlą.

Wyskoczyłem z kawiarni w samej koszuli i zawołałem przez ulicę najpierw Clarę, a potem Orlę. Co ja tu robię? Co one tu robią? Uściski, całusy, śmiech. Obie niosły torby pełne jedzenia. Nie musiałem ich

namawiać, żeby wypily z nami kawę. Tak się cieszę, tak strasznie się cieszę, że cię widzę – powiedziałem do Clary, kiedy już przedstawiłem Orle Olafowi. Ta dłoń na mojej twarzy, spoczęła na mojej twarzy i ciągle dotykała mojej twarzy, świadczyła o głębi czułości, bez której musiałem żyć tak wiele, wiele dni i nocy. Clara powiedziała, że nadal mają do kupienia masę rzeczy. Wymieniła mi listę czekających ich jeszcze zadań.

Nie mogły siedzieć zbyt długo. Jesteś szczęśliwa? – spytałem mimowolnie, kiedy Olaf i Orla byli zajęci rozmową. Jesteś szczęśliwy? – odpowiedziała. Był to jej sposób na przyznanie, że owszem, jest szczęśliwa – a może tylko parodiowała moje słowa, co w końcu też mogło być jej sposobem, żeby powiedzieć: „Owszem, jestem szczęśliwa”. Ale mamy co najwyżej dziesięć minut. No to siadajcie, zdejmujcie płaszcze, ja pójde po kawę. Miałem dziwne uczucie, jakbym walczył, żeby zatrzymać ją przy sobie, szarpał się z dziwnymi prądami, które uparcie rzucały ją w moje życie tylko po to, żeby zaraz mi ją odebrać, i nie wiedziałem, czy mają one więcej wspólnego z jej wolą, czy z uniwersum niedokończonych zakupów spożywczych, czy też zwyczajnie z moją głową. W pewnym sensie nie mogłem uwierzyć, że poszczęściło mi się na tyle, żeby na nią wpaść tylko dlatego, że tego pragnąłem. W każdej sekundzie mogło mi to zostać odebrane. Wrzuć na luz, nie komplikuj spraw, zadekuj się, już jej powiedziałeś, że jesteś szczęśliwy.

Mężczyzna niemal w moim wieku, który siedział samotnie przy sąsiednim stoliku, uniósł głowę znad laptopa i zaczął się w nas wpatrywać. Kobiety przyodziane w szyk i polot, zakupy, przyjęcie, przewiska rzucone na prawo i lewo, wymienianie się informacjami, kogo proszono o kupienie w centrum tego, a kogo – owego, lekko histeryczna radość, że wpadliśmy na siebie w przeddzień Nowego Roku, skomplikowane zamówienie przy kasie i jedna-mała-czarna-dwie-porcje-cukru-i-weźmiesz-mi-jeszcze-coś-słodkiego? – Och, Claro, Claro, czy kiedykolwiek zapomnę ten dzień? – Patrzyłem na niego i starałem się postawić na jego miejscu, wyobrazić sobie, co myślał o naszym życiu: czy byliśmy śmieszni, czy też faktycznie pławiliśmy się w przepychu i marzeniach? Kobiety, przyjęcie, sylwester: nagle nasze życie, moje życie, nabrało świetlanej aury, której nawet bym nie zauważył, gdyby nie jego spojrzenie.

Podobał mi się nasz mały kącik w tym Starbucksie. Wyobrażałem sobie podobną sytuację równo tydzień temu po południu tego dnia, kiedy spotkaliśmy się w kinie. Teraz, siedem dni później, wreszcie mi to dano. Jakże punktualna jest dusza, zupełnie jakby jakieś pomocne, choć czasem krnąbrne bóstwa nieustannie negocjowały tajne układy z naszymi najbardziej ulotnymi życzeniami i wszystko dla nas aranżowały. Przy rozstaniu nastąpi niezręczny moment, ale nie chciałem w tej chwili o tym myśleć; wiedziałem, że Clara znajdzie jakieś rozwiązanie i wybierze najwygodniejszy sposób, kiedy przyjdzie pora wrócić do zakupów. Może to i lepiej, że nie byliśmy sami – za szybko, zbyt wiele do powiedzenia, może ukradkowe, nieoczywiste spojrzenie to wszystko, czego nam było potrzeba, żeby wiedzieć, że wrócimy jeszcze do tego, na czym stanęliśmy poprzedniej nocy podczas rozmowy przez telefon. Ponownie spróbowałem odsunąć od siebie niepokojące myśli. Olaf rozmawiał z obiema kobietami. Poszedłem po więcej cukru dla Clary. Było wspaniale.

Kiedy wróciłem, zorientowałem się, że Clara ma na sobie ten sam sweter co wtedy u Edy. Miałem ochotę wtulić w niego twarz, powąchać go, przytulić się do niego. Owieczka Clara. Nawet teraz dałbym wszystko, żeby dotknąć jej twarzy, odsunąć dłonią włosy z jej czoła. Podobało mi się, w jaki sposób rozmawiała z Olafem czy raczej go słuchała, kiwając głową dość poważnie, podczas gdy jego metaliczny głos rozbrzmiewał w naszym kąciku. Wiedziałem już, że kiedy się wieczorem zobaczymy, nie upłynie minuta, a Clara zacznie naśmiewać się z jego imienia i przedrzeźniać jego głos. Olaf niezły pech, Olaf zbrzucha śmiech, Olaf heh, heh, heh, straszny pech i śmiech, śmiech, śmiech – pośmiejemy się z jego imienia i w ten sposób się do siebie zbliżymy, choć to mój najlepszy przyjaciel, a Clara wyraźnie zdawała się darzyć go sympatią. Raz, kiedy go słuchała, pochwyliłem jej wzrok. No wiem – mówiły jej oczy. Planujemy go zdyskredytować – odpowiedziałem spojrzeniem – i po prostu wiem, że wiesz, że ja wiem. Ja też to wiem – zdawała się mówić. Och, Claro, Claro.

Powinienem był wcześniej ją zauważyć. Ktoś stał po drugiej stronie okna i zwyczajnie się na nas gapił – a właściwie na mnie. Chłopiec przycisnął nos do szyby. Kiedy z kolei sam zacząłem się na niego gapić, przyszło mi do głowy, że przecież taki mały berbecz na pewno jest w towarzystwie matki, więc ona na pewno też się na nas gapi. Rachel.

Jeszcze raz wyskoczyłem ze Starbucksa. Rachel dopiero co wyszła z domu, musiała kupić kilka rzeczy na dzisiejszą kolację. Ona i jej siostra jak zwykle zostawiły wszystko na ostatnią chwilę. Wciągnąłem Rachel do środka, zdołałem znaleźć przy sąsiednich stolikach jeszcze dwa wolne krzesła i poszerzyłem nasz krąg – prezentacje, prezentacje, moja propozycja pójścia po kawę, zabranie chłopczyka do kasy, żeby sobie coś wybrał, jego lodowata rączka w mojej dłoni, zdawkowe żarciki z innymi osobami w kolejce, aż wreszcie przyszła moja kolej na złożenie zamówienia i podanie imienia kasjerowi. Rachel, która przywykła do roli gospodyni i tego, że to ona przedstawia sobie innych ludzi, czuła się chyba skrępowana; znalazła się pośród obcych. Żeby jej to wynagrodzić, powiedziałem coś, co dało pozostałym do zrozumienia, że poznałem ją na długo przed nimi. Może chciałem, żeby wiedziała, że nikomu nie przyjdzie do głowy podważyć jej pozycji ani jej zdetronizować. Ale może też chciałem, żeby Clara zaczęła się zastanawiać i poczuła się niezręcznie. „Kim, u licha, są ci ludzie, z którymi tu siedzisz?” – pytała Rachel wzrokiem niepozabawionym odrobiny ironii w stosunku do reszty, a może do mnie za to, że ich znam. Wzruszyłem ramionami, jakby mówiąc: To tylko jacyś ludzie, najzwyczajniejsi ludzie. Clara tymczasem przestała rozmawiać z Olafem i przyglądała się ukradkiem Rachel, jakby szukając okazji, żeby nawiązać z nią rozmowę albo – co natychmiast wyczułem, kiedy zobaczyłem, jak mierzy wzrokiem szarozielony zimowy płaszcz, który Rachel nosiła w zimne dni już od lat – żeby znaleźć jakiś dobry powód do antypatii. Dwa noworoczne przyjęcia, a ja byłem zaproszony na jedno i drugie. Do chwili kiedy ujrzałem Rachel, nawet nie sądziłem, że będę musiał między nimi wybierać. Może się zrobić niezręcznie – myślałem ciągle, czepiając się nadziei, że żadna z nich nie poruszy tematu wieczornej zabawy, choć już sobie postanowiłem, że obskoczę obie imprezy, tyle że jeśli na tę pierwszą przyjdę za wcześnie i zaraz się zmyję, to każdy idiota się domyśli, że wybieram się gdzie indziej. Już od kilku lat trzydziestego pierwszego grudnia odliczałem sekundy do północy w domu Rachel. Czy już teraz ją zdradzałem, porzucałem?

Nagle barista bardzo głośno zawołał: „Oscar!”. Wstałem i poszedłem po kawę dla Rachel. Starłem się nie przyciągać uwagi do swojego przezwiska, ale nawet nie patrząc, wiedziałem, że Rachel musiała się zdziwić. Clara zdobyła punkt i rozkoszowała się w tej chwili zwycięstwem – na pewno



chciała to zasygnalizować czymś w rodzaju puszczonego do mnie oka. Wiedziałem też, że dzięki temu może przestanie szukać powodów, żeby nie lubić Rachel, i nie będzie już patrzyła tym znudzonym, lekko nieobecnym, zamglonym spojrzeniem, przez które człowiek czuł się jak ropucha wśród olbrzymów.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie podałem kasjerowi tego przezwiska, żeby skonsternować Rachel – najpierw opowiedziałem się za nią, teraz stawałem po stronie Clary. Sugerowałem, że Rachel mnie straciła, choćby po to, żeby jej uświadomić, że zawsze istniały pewne rzeczy, których o mnie nie wiedziała, o które nawet nie pytała i za których ignorowanie przez te wszystkie lata znajomości płaciła teraz cenę. Rachel, która być może nadal nawet się nie domyśliła, że usłyszała właśnie moje przezwisko, nie była teraz w nastroju, żeby przymilać się do Clary czy choćby zaakceptować możliwe próby zaprzyjaźnienia się z jej strony. Zresztą wyglądało na to, że obie nie były skłonne nawiązać rozmowy i moje próby rozpoczęcia na siłę konwersacji, żeby przełamać ich wzajemny chłód, zdawały się skazane na niepowodzenie. Gdyby spróbowały chociaż ustanowić wspólny front, kierując razem szpile pod moim adresem, chętnie bym to zniósł. Patrzyłbym, jak Clara wyśmiewa się ze mnie z tego czy innego powodu i jak Rachel przyłącza się do krytyki i dorzuca coś w rodzaju: „A nie sądzisz, że najbardziej denerwujące jest to, kiedy on...”, na co Clara zgodziłaby się natychmiast i znowu mi czymś dogryzła – zapłaciłbym każdą cenę, żeby tylko się zaprzyjaźniły, a zaprzyjaźniając, zamknęły wokół nas koło, jakbyśmy byli trójką dzidziusiów, które obwiązały się razem paskiem. Obawiałem się tylko, że Rachel zacznie rzucać aluzje na temat Lauren albo widmowej kobiety, która wczorajszego popołudnia wszystkich zaintrygowała, żeby zemścić się za to, że groziłem jej odsunięciem.

Jakaś kobieta o donośnym głosie usadowiła się obok nas i przemawiała do swojego dziecka w wózku, rozmawiając jednocześnie z mężem przez telefon.

– Oj, mamusia zapomniała posłodzić sobie kawę, ale śmiesznie. Prawda, że śmieeesz-niee? – Po czym, zwracając się do męża: – Powiedz swojemu bratu, żeby wsadził to sobie w dupę, bo nic więcej nie da się z tym zrobić. – Clara, która nie miała cierpliwości do głośnych rozmów przez komórki

(chyba że chodziło o jej własne rozmowy), nie mogła się powstrzymać.

– To byłoby chyba dość bolesne? – zapytała głośno, zwracając się w kierunku tej kobiety.

– Co proszę? – spytała zaskoczona żona-matka-szwagierka, zirytowana, że ktoś jej przerywa.

– Gdyby pani szwagier wsadził sobie coś w dupę, chyba byłoby to dla niego dość bolesne? A może pani zdaniem byłoby to śmieeesz-nee?

– Coś takiego – ciągnęła kobieta przez telefon do męża. – Chamstwo, chamstwo, chamstwo. Czy ludzie nie mają lepszych zajęć niż podsłuchiwanie cudzych rozmów?

– O, ależ mamy. Ciągłe nic, tylko wsadzamy sobie w dupę różne rzeczy – wtrąciła Rachel. – Chętnie pani o tym opowiemy.

– Fuj! – Kobieta przewróciła oczami. – Panie wybaczą, ale ja tu próbuję rozmawiać z mężem.

– Gdyby mówiła pani nieco ciszej, nie miałybyśmy pojęcia, co pani i jej mężulek robią ze swoimi dupami, więc może to pani by tak wybaczyła?

– Dajcie sobie spokój. – Po czym kobieta zwróciła się do swojego dziecka z wyrazem matczynego wzburzenia na twarzy i powiedziała: – Mamunia zdejmie ci kurteczkę i wszystko będzie dobrze.

Olaf nie mógł się powstrzymać:

– Mamiunia zdejmie ci kujteckę i wszystko będzie doobzie!

Wszyscy ryknęliśmy śmiechem, łącznie z ludźmi siedzącymi za nami i młodym mężczyzną przy sąsiednim stoliku, który się na nas gapił. Przemknęło mi przez głowę, że może powodem, dla którego lubiłem obie kobiety i nie rozumiałem, dlaczego nie poczuły do siebie natychmiastowej sympatii, było to, że obie cechowała ta wesołkowata łobuzerskość: umiejętność zbliżenia się do granicy podłości, ale bez krzty okrucieństwa.

A może po raz kolejny myliłem się co do Clary? Może właśnie była ni mniej, ni więcej, ale okrutna? A może podobało mi się uważanie jej za okrutną, bo wtedy mogłem się cieszyć, kiedy życzliwość chwilowo rozjaśniała jej rysy, niczym współczucie malujące się na obliczu surowego

inkwizytora?

Kiedy zaczęły ze sobą rozmawiać, zwróciłem w którymś momencie uwagę, że Rachel usiłowała mimochodem przyciągnąć mój wzrok. Gdy to zrobiła, pokręciła głową raz i drugi, bardzo szybko, jakby pytając: „Kim ona jest? Skądżeś ją wytrzasnął?”. Pospieszenie odwróciłem głowę, nie chcąc się wdawać w bezgłośnie rozmowy, ale potem zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę pytała o coś zupełnie innego: „Czy to właśnie o niej nawijałeś wczoraj przez cały dzień?”. Już miałem zasygnalizować jej odpowiedź: „Nie, to ktoś inny” – nie chciałem, żeby Rachel (która знаła mnie tak dobrze) dowiedziała się, że faktycznie siedzi naprzeciwko wczorajszej kobiety-widma. Woląłem, żeby nie odgadła na nasz temat więcej niż ja sam, choć na tym etapie wiedziała tyle, ile każdy mógłby się domyślić. Zmusiłem się, żeby przypomnieć sobie wczorajszą nocną rozmowę telefoniczną: nasz ulotny, rozkoszny, wstydlivy sekret, kiedy jej głos musnął moje ucho, łaskocząc je oddechem, i zabrzmiał po mojej stronie łóżka, wypowiadając słowa: „Jeśli chcesz, to pozwalam ci o mnie myśleć”. Teraz, patrząc na nią, ciągle sobie powtarzałem, że nie ma żadnego powodu, abym się na cokolwiek nastawiał – do niczego jeszcze nie doszło, a jeśli tak, to tylko na chwilę w półśnie, i potem rozwiało się to bez śladu; czyż nie udawaliśmy oboje, że to był tylko sen, który być może sobie wyśniliśmy? Gdy zdałem sobie sprawę, że to coś, co hodowałem w sobie przez cały tydzień, nikomu o tym nie mówiąc, było nie lepsze od bańki, którą przebije najlżejsze pytające spojrzenie, ogarnął mnie narastający niepokój. Czyżbym znowu stracił Clarę? Czy traciłem ją w tej chwili, marnując swój przydział czasu, który mogłem z nią spędzić, w Starbucksie? A może traciłem ją od samego początku naszej znajomości – bo ostatecznie znajdowałem się w ciągłym stanie zawieszenia, działałem w pożyczonym czasie, byłem oddany pod zastaw?

Może nie chciałem, żeby Rachel wiedziała, do jakiego stopnia Clara i ja byliśmy sobie obcy. I dlatego właśnie unikałem odpowiedzi na jej milczące dociekania.

Może chciałem przestraszyć sam siebie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Clara uniosła głowę i podłapała pytające spojrzenie Rachel, po czym natychmiast zwróciła się ku mnie i zauważyła pusty, obojętny wyraz mojej twarzy, który miał co prawda być unikiem, ale

mimo wszystko zdradzał, że doszło między nami do jakiejś ukradkowej wymiany.

– Chwileczkę. Co to wszystko ma znaczyć? – zapytała.

– Co takiego? – zapytałem.

– To. – Powtórzyła ruch głowy Rachel. – O czym rozmawiacie?

– O niczym. – Podobało mi się, że nas przyłapała, i z przyjemnością wykręcałem się od odpowiedzi, choć wcale nie chciałem jej ukrywać.

– Popatrz tylko na nich – powiedziała Clara do Olafa. – Przesyłają sobie tajne sygnały.

– Chyba nas przyłapano – stwierdziła Rachel. Wiedziałem, że zaraz mnie wyda. I dobrze.

Nie było sensu udawać.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytałem Clarę.

– Oczywiście, że tak. – Po czym widząc, że naprawdę zaraz wszystko wygadam: – Poczekaj – powstrzymała mnie. – Czy to mnie ucieszy, czy nie?

Rachel i ja popatrzyliśmy na siebie.

– No, weźcie! – powiedziała Clara.

– Okej, chodzi o wczoraj. Rachel próbowała się dowiedzieć, czy to właśnie ciebie zaprosiłem na drinka.

– Faktycznie, dzwonił... ale z nim nigdy nic nie wiadomo – powiedziała Clara, zwracając się do Rachel w poszukiwaniu wsparcia. – A powiedział ci, że ta idiotka, czyli ja, skończyła w kinie całkiem sama w nadziei, że wpadnie tam na naszego geniusza?

– Wspominał coś o tym, że pójdzie, ale nie pójdzie, ale potem pójdzie, tylko że nie pójdzie. Choć my wszyscy mówiliśmy, że musi iść.

– A powiedział, dlaczego nie chce iść?

– Wydawał się bardzo przejęty. – Po czym, zwracając się do mnie: – Nie masz pretensji, że mówię, że wydawałeś się przejęty?

Owszem, mogła spokojnie powiedzieć całemu światu, że byłam przejęty. I nie, jak mógłbym mieć o to pretensje? Tylko czy Rachel starczy taktu, żeby nie wspominać o Lauren?

– I co się stało w kinie?

– Nie licząc tego, że siedziałam sama w ciemności, otoczona zboczeńcami gotowymi rzucić się na biedne samotne dziewczę... nic. Nawet bileter się do mnie przystawiał.

– I co? Ukarłaś go?

– Kogo? Biletera? Czy Oskára?

– Oscara – powiedziała Rachel, nie akcentując imienia. Wypowiadając po raz pierwszy moje przezwisko, parsknęła śmiechem, jakby chciała ukryć wahanie. Kosztowała właśnie nowego, dziwnego dania: nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, że nigdy dotąd o nim nie słyszała, i nie zamierzała przełknąć ani kęsa, dopóki nie zyska pewności, że jej posmakuje.

– Oskár – rzekła, jakby właśnie zauważyła nową zabawną maskę na mojej twarzy: nowego mnie, którego nie chciała jeszcze wpuścić do swojego świata i o którym na pewno będzie się mówić w jej domu, niewątpliwie za moimi plecami. Poczulem się, jakby ta świeża tożsamość, którą Clara scementowała w dniu, kiedy pojechaliśmy nad Hudson, była tylko parą nowych butów, a ja paradowałem w nich przez cały tydzień, usiłując wmówić wszystkim, że od dawna mam je w garderobie, lecz Rachel natychmiast zauważyła nieodczepioną metkę i nie pozwalała mi jej urwać, dopóki ci, co znają mnie najlepiej, nie uznają, że te buty faktycznie pasują do prawdziwego mnie. – Więc mu wybaczyłaś?

– Chciałam go ukarać, ale jakoś nigdy mi się to z mężczyznami nie udaje.

Z pewnością nie była to Clara, jaką znałem. Czy usiłowała solidaryzować się z Rachel na zasadzie „my przeciwko nim”, czy też był to jej skryty sposób zrównoważenia kpin Rachel na temat mojego nowego imienia?

– Ale w końcu – ciągnęła – udało nam się pogodzić. Starczyło mu rozumu, żeby zadzwonić do mnie w nocy.

Wiedziałem, co myślała Rachel. Na pewno się ze sobą przespaliśmy.

Przyszło mi do głowy, że Clara też doskonale wie, o czym myśli Rachel, i dlatego właśnie (nie chcąc rozwiewać jej złudzeń) natychmiast przypomniła Orli, że naprawdę muszą dokończyć zakupy. Wstała, narzuciła płaszcz i pożegnawszy się ze wszystkimi, nachyliła się i pocałowała mnie mocno, wilgotno, wsuwając mi język głęboko do ust.

– *Bis bald.*

Jeśli cokolwiek mogło umniejszyć znaczenie kontaktu fizycznego między nami, to właśnie takie pożegnanie. Czyżbyśmy już dotarli do etapu dotyków od niechcenia? A może w ten sposób Clara chciała mi przypomnieć, że po zeszłej nocy nie dzielą nas już żadne bariery? A może zrobiła to przez wzgląd na Rachel, nie na mnie? A może było to powtórzenie jej pocałunku z Inkym?

Niedługo potem Rachel zaczęła zakładać synowi rękawiczki i owijać mu szyję szalikiem. Chłopiec protestował, więc w końcu ustąpiła.

– Zobaczymy się wieczorem, Oskárze?

– Prawdopodobnie – odparłem, ignorując wesoły ton jej głosu, kiedy wymówiła moje przezwisko.

Wiedziała, że mnie zirytowała. I wiedziała, że nie mówię prawdy.

– Przynajmniej postaraj się wpaść. I ją też przyprowadź.

Nasuwając rękawiczki, nie mogła się powstrzymać:

– Ona jest zachwycająca.

Moje milczące wzruszenie ramionami miało sygnalizować dość chłodną zgodę.

– Nie bądź taki!

– Jaki? – spytałem.

– Taki. – Przedrzeźniła mój sztucznie obojętny wyraz twarzy. – Ona nie mogła oderwać od ciebie oczu.

– Oderwać ode mnie oczu?

– Nie znam drugiej równie irytującej osoby co ty. Olafie, ty mu to wytłumacz. Czasami mam wrażenie, że celowo starasz się nie dostrzegać

pewnych rzeczy. Jakbyś bał się rozebrać przy ludziach, na których naprawdę ci zależy, bo wielkie nieba, może zobaczą twojego siusiaka!

Gdy tylko wyszła, Olaf nie mógł się powstrzymać:

– Pizdy, wszystkie co do jednej.

– Może miała trochę racji.

Olaf wzruszył ramionami, jakby mówiąc: „Owszem, może, ale to i tak pizda”.

Żona prosiła go, żeby zamówił na wieczór skrzynkę szampana, lecz on całkowicie o tym zapomniał i teraz martwił się, że alkohol nie zostanie dostarczony na czas. Wreszcie, jak zawsze, zamknął mnie w mocnym, niedźwiedzim uścisku i pożegnał swoim zwykłym pozdrowieniem: – Siła i honor. – A na koniec: – Tylko nie zmięknij. – I: – To właśnie o niej chciałeś mi opowiedzieć?

– Tak – odparłem.

– No jasne.

– A ta twoja? – zapytałem.

– Nie pytaj. Nie chcesz tego wiedzieć.

Gdybym zadzwonił teraz do Clary, mógłbym zaproponować, że przyłączę się do nich na zakupach. Już widziałem, jak kręcimy się we troje po zatłoczonym sklepie. Śmiech. Śmiech. „Jajka – słyszałem głos Clary. – Potrzebne nam jajka na jutro rano”.

Wznosiłem się pod samo niebo.

Oby tylko nie przyszło ci za to zapłacić.

Kiedy wczesnym popołudniem wróciłem do domu, postanowiłem się zdrzemnąć. Czy był to mój sposób przewinięcia wspomnień do początku dnia, który jak dotąd upłynął mi tak wspaniale, bo chciałem go przeżyć jeszcze raz? A może wzywała mnie czysta pościel – świeża, sztywna i wykrochmalona, taka jak lubiłem? A może zachwył popołudniowym słońcem, które wylegiwało się jak kot na moim łóżku, na którym – doskonale to wiedziałem – przysnę podczas słuchania muzyki?

Obiecałem, że zadzwonię do niej za kilka godzin, i pragnąłem w tej chwili przygarnąć do siebie nawet najbardziej mgliste myśli na jej temat, zabrać je ze sobą do łóżka, tak jak zabieramy marzenie, które zapewne nigdy się nie spełni, ale którego kontury zaczynamy rozbierać po zamknięciu oczu, warstwa po warstwie, fragment po fragmencie, jakby nadzieja była karczochem, a jej serce spoczywało ukryte tak głęboko, że możemy sobie pozwolić na brak pośpiechu, przebieranie nogami, odstępowanie, przesuwanie się na bok, zwlekanie w nieskończoność.

Jeśli nie było nam pisane zostać kochankami czy przyjaciółmi, czy w ogóle czymkolwiek – no cóż, to też zdołam odespać. W moim obecnym nastroju nie obchodziło mnie, czy coś mnie zrani, tak samo jak nie obchodziło mnie, czy coś zrani Clare. Po prostu położy się na łóżku, zwiń się w kłębek, myśl o niej i sobie, o naszych ciałach tulących się i obejmujących jak dwie dopasowane do siebie części Wenecji – dzielącą nas przestrzeń nazwiemy Wielkim Kanałem, a łączący nas mostek moim Rialto. Moim corvusem. Moim Gwidonem. Moim Lochinvarem. Moim Finneganem. Moim Fortynbrasem.

Dlaczego nie przyszedł na kolację?

Bo wyczułam w twoim głosie urazę.

Więc dlaczego nic nie powiedziałaś?

Bo wiedziałam, że się złościś i że znowu będziesz mówił dwójgomową.

Jaką dwójgomową?

Taką jak teraz.

A mogę ci w takim razie coś powiedzieć?

Nie sądzisz, że już to wiem? Nie sądzisz, że wiem?

Och, Claro, Claro, Claro.

Kiedy się obudziłem, było już po piątej. Na automatycznej sekretarce miałem trzy nieodebrane połączenia – dwa zostały przerwane, trzecie było od Clary. Czyżbym spał tak mocno, że nie słyszałem ani dzwonka, ani jej głosu nagrywającego się na sekretarce? Gdy odsłuchałem wiadomość, Clara wydawała się dziwnie zirytowana i zmęczona.



– Mógłbyś przynajmniej odebrać telefon!

Spojrzałem na komórkę. Ale nikt na nią nie dzwonił.

– Wydzwaniam po całym mieście. Nie mogę uwierzyć, że poświęciłam tyle czasu na szukanie takiego żalosego, żalosego człowieka!

Czułem narastające w piersiach odrętwienie i mdłości. Czyżbym był aż tak wrażliwy? Miałem taki wspaniały nastrój i wszystko to mogła nagle zepsuć jedna wiadomość?

Myślałem, że poprzedniej nocy się pogodziliśmy; dzisiaj w Starbucksie Clara była przeszczęśliwa na mój widok i od kiedy wybiegłem za nią na mróz, ciągle głaskała mnie po twarzy. A teraz nagle to? W miarę jak dzień gasł pod naporem zmierzchu, doszedłem do wniosku, że to najgorszy możliwy sposób na spędzenie sylwestrowego wieczoru. Czy była to zapowiedź nadchodzącego roku, czy tylko podsumowanie straszliwego poprzedniego roku? A może, żeby przytoczyć słowa Olafa, było jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć?

Nagle zrozumiałem. To były wiadomości z poprzedniego wieczoru, nie z dzisiaj. Czy ktokolwiek mógłby dorównać tej wściekłości? Nic dziwnego, że była taka ostra, kiedy dzwoniłem do niej od Rachel!

Ogoliłem się, wziąłem długi prysznic i postanowiłem zrobić to samo co w zeszłym tygodniu, tak na szczęście: zajrzeć jeszcze raz do matki, ubrany w te same czarne buty, to same ciemne ubranie, nawet pasek włożyłem ten sam, a potem wybiegłem z budynku, złapałem na bocznej ulicy pierwszą lepszą taksówkę i pojechałem prosto do matki, myśląc sobie to samo, co tydzień przedtem: Mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze albo przynajmniej nieźle, mam nadzieję, że nie będę musiał tam długo siedzieć, mam nadzieję, że nie zacznie znowu o nim mówić, tylko potem pamiętaj, żeby kupić dwie butelki, dokładnie tak samo jak w zeszłym tygodniu, a potem wskoczysz w M5 i będziesz mógł wyglądać przez okno na śnieg, kry lodowe i nieliczne samochody na Riverside Drive, i myśleć o niczym, a może o ojcu, albo w ogóle o nim zapomnę, co wydarzyło się też w zeszłym tygodniu w autobusie, kiedy obiecałem sobie, że o nim pomyślę, a potem coś mnie rozproszyło.

Matka siedziała w głębi mieszkania, w sypialni, i kiedy wszedłem,

musiałem przejść długim, ciemnym korytarzem, włączając po drodze światła przy zamkniętych drzwiach pokoiów – mówiła, że zamyka nieużywane sypialnie i łazienki, bo wieczorem ciągnie od nich zimno. Może przestało ją bawić złudzenie, że w domu mieszkają inni ludzie, i zatrzasnęła przed nimi drzwi. Przed swoją starą teściową, mężem, moim bratem, moją siostrą, mną.

Zastałem ją przy starej maszynie do szycia Singera. Obrębiała spódnice.

– Prawie nikt już mnie nie odwiedza – powiedziała, co miało znaczyć: „Za rzadko mnie odwiedzasz”. Nie wiedziała, czy oddać tę spódnice dla biednych, czy ją przerobić. Przeróbka wydawała się rozsądniejszym wyjściem. Jak się nie uda, zwyczajnie wyrzuci ubranie. W każdym razie – jak stwierdziła – przynajmniej ma się czym zająć. Z wiekiem zmaląła.

Obiecałem sobie, że w autobusie pomyślę też o niej. Wiedziałem jednak, że w swojej sytuacji mogę o tym całkowicie zapomnieć. Będę myślał o Clarze. Ostatnim razem, kiedy tu byłem, jeszcze jej nie poznałem, nie wiedziałem, nie mogłem się nawet domyślać, co mnie czeka wieczorem. Pomyśleć tylko! Przyszedłem tu, posiedziałem trochę i porozmawiałem o niczym, wreszcie wyszedłem, kupiłem szampana, wsiadłem do autobusu M5, wykonałem tyle pozbawionych znaczenia drobnych czynności i wszystko to należało do życia, w którym Clara nawet jeszcze nie zaistniała. Jakie było moje życie przed Clarą? Zacząłem rozmyślać o dawnych dniach (które wcale nie były tak dawne), kiedy świętowaliśmy Nowy Rok, degustując wino z butelek z zasłoniętymi etykietami i próbując nabrać nawet największych koneserów spośród gości ojca. Przypomniałem sobie tłumy znajomych kręcące się po salonie, jedzenie i desery ustawione w piramidkach na stołach, zapiekane w bekonie suszone śliwki autorstwa mojej matki, oczekiwanie na wynik głosowania na najlepsze wino, i śmiech, i hałas, i matkę biegnącą po mieszkaniu, żeby dopilnować, aby wszystkie głosy zostały oddane przed wybiciem północy, a potem coroczne przeprosiny ojca za to, że powtarza swoją rymowaną przemowę z zeszłego roku. Wiedziałem, że Clara by mu się spodobała.

Na zewnątrz, na tarasie, gdzie chłodził białe wina, poprosił mnie o pomoc i zaczął odkorkowywać butelki. Staliśmy na zimnie w samych koszulach, wpatrując się w czarno-białą manhattańską noc, wsłuchując w echa zabawy z zatłoczonego mieszkania sąsiadów po przeciwnej stronie budynku. Było to

dokładnie dwa lata temu. „To oni mają prawdziwe przyjęcie, nasze jest tylko udawane”. Pociągnął mnie na bok i powiedział ze skrywanym niezadowoleniem w głosie: „Dlaczego po prostu się z nią nie ożenisz?”, co znaczyło: „Dlaczego po prostu nie ożenisz się z kimkolwiek i nie dasz nam wnuków, zanim umrzemy – najlepiej bliźniaki, dwa w cenie jednego, będzie szybciej”. A potem zmienił temat i spojrzał przez szklane drzwi do naszego zatłoczonego salonu. „Popatrz na matkę. Wszystkim nadskakuje, tylko nie mnie. Prawdziwa sekutnica Ksantypa”.

Owijałem butelki ponumerowanymi czerwonymi serwetkami, żeby zamaskować etykiety, i mocowałem je taśmą klejącą, podczas gdy ojciec przytrzymał je palcem, jak to zwykle robił, żeby pomóc mi zapakować jakiś skomplikowany prezent. Był to jego sposób na przeprosiny za improwizowane kazanie na temat dzieci i bliźniaków oraz chronicznie zniecierpliwiony ton.

Przypomniałem sobie, jak Livia wyszła na taras, żeby zapalić, akurat kiedy kończył swoje małe przemówienie. Pomagała mi owinać komplety sztućców w wykrochmalone serwetki, podczas gdy nasza brazylijska kucharka jak co roku kończyła przygotowywać *bombino*, a przez szklane szyby płynęła muzyka. Położyłem obie dłonie na biodrach Livii, obróciłem ją lekko i odtańczyłem kilka kroków na mroźnym tarasie, po czym pokierowałem ją z powrotem do salonu. Ta kawalerska fantazja miała być milczącą obietnicą dla ojca: Widzisz, tato? Pracuję nad tym. Choć cały czas zdawałem sobie sprawę, że to wszystko kłamstwo, bo wiedziałem, że on wiedział, że ona wiedziała, że nasz związek nie przetrwa miesiąca, kwartału, dziesięciu dni.

– O czym rozmawialiście? – zapytała Livia.

– O niczym – odparłem nieuważnie.

– O mnie, prawda? – Wiedziała, że ojciec zaczyna ją darzyć sympatią. To było zupełnie w jej stylu: dodała dwa do dwóch, odjęła moje fałszywe „nic” i wyszła jej pogadanka taty o dzieciach.

Nawet dziesięciu dni, myślałem w kółko, patrząc, jak Livia wraca do środka i rozmawia z pozostałymi gośćmi. Ojciec musiał chyba zauważyć ten wyraz mojej twarzy.

– Śmieszne, jak one zawsze nadskakują wszystkim, tylko nie nam... jakby doskonale wiedziały, że nigdy ani trochę ich nie pokochamy.

– To dokąd się dzisiaj wybierasz? – pyta matka.

– Na przyjęcie.

– Tylko jedno?

– Tylko jedno. – Bo przecież zrezygnowałem z wizyty u Rachel.

– Masz towarzystwo?

– Mam, nie mam. To nie do końca pewne.

– Dla ciebie czy dla niej?

– To też nie do końca pewne.

Matka parska śmiechem. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Może czegoś potrzebuję?

Nie. Wpadłem tylko, żeby życzyć jej szczęśliwego Nowego Roku. No cóż, jeśli później nie będę miał nic lepszego do roboty, mógłbym zajrzeć jeszcze raz – zawsze lubiła napić się z kimś szampana w sylwestra. W lodówce stoi schłodzona butelka, nigdy nie wiadomo. Może – mówię, co oznacza: owszem, ale nie czekaj na mnie.

– W każdym razie postaraj się – rzuca matka. Nic nie odpowiadam.

– Bądź aniołem i wymień mi tę żarówkę, dobrze?

Nic dziwnego, że jej mieszkanie sprawia wrażenie mauzoleum. Znajduję w schowku zapasową żarówkę, staję na krześle, wykręcam starą i zastępuję ją nową.

– No, wreszcie! – wykrzykuje matka i dodaje, że teraz przynajmniej mnie widzi. Ja tymczasem przymierzam się już do włożenia płaszcza.

Jeszcze tylko jedna rzecz – mówi matka niemal przepraszająco. Ten automat do kawy, który dałem jej pod choinkę – czy mógłbym jej pokazać, jak się z niego korzysta? Wiem, o co chodzi. Matka nie chce, żebym sobie poszedł, przynajmniej jeszcze nie teraz. Och, zostań jeszcze na minutkę, dobrze? Wyjmuję więc dwie kapsułki espresso, napełniam pojemnik na

wodę, podłączam urządzenie, wciskam czerwony guzik i czekam, dopóki zielone światelko nie przestanie migać. Teraz matka chce spróbować sama. Powtarzamy całą procedurę.

Dwie minuty później siedzimy przy stole śniadaniowym i pijemy spienione bezkofeinowe cappuccino.

– Ojciec byłby zachwycony – dodaje matka, mieszając apatycznie w filiżance.

Nie znoszę, kiedy zaczyna o nim mówić...

– No wiem, wiem – przeprasza matka i zapala papierosa. Potem jednak przypomina sobie o mnie i bez słowa wykonuje ruch, żeby go zgasić.

– Nie, daj spokój – mówię – mnie to nie przeszkadza. To, że sam próbuję rzucić, nie znaczy, że nienawidzę papierosów.

Nagle dociera do mnie, że to samo można by powiedzieć o ludziach, o tak wielu rzeczach. To, że nie możesz ich mieć, nie oznacza, że...

Matka chyba czyta mi w myślach albo akurat nadaje na tych samych falach.

– Masz jeszcze kontakt z tamtą Livią?

Mieliśmy to samo skojarzenie, ale żadne z nas nie chce ujawnić toku myśli, który doprowadził nas od papierosów do Livii.

– Ona dużo paliła – dodaje matka, jakby próbując zatrzeć za sobą ślady. – Prawda?

W tamtych czasach owszem, ale nie, w ogóle nie mam z nią kontaktu. Jakie to do ciebie podobne – spaliłeś za sobą wszystkie mosty. Czasami – mówi – nie chcemy już nigdy kogoś widzieć z obawy, że nadal nam na nim zależy. Albo innym na nas. Czasami odwracamy się od przeszłości i spoglądamy ze wstydem gdzie indziej. Ale niewielu z nas całkowicie o niej zapomina. Znajdujemy innych ludzi. Najtrudniejsze jest zacząć od początku z tymi resztkami, które nam za każdym razem pozostają.

Robi głęboki wdech, jakby chciało jej się płakać, zaciąga się papierosem i odwraca wzrok. Próbuje mnie o coś spytać.

– Czy ta nowa osoba jest lepsza od Livii?

– Lepsza, gorsza: za wcześnie... albo za późno, żeby to stwierdzić. Kto wie.

– Dziwny jesteś.

Gasi niedopalonego papierosa. Spogląda na mnie, a potem poza mnie.

– Poznałam kogoś.

Matka kogoś poznała.

– Poznałaś kogoś?

– No, to niezupełnie tak. Usłyszał o tacie i któregoś dnia postanowił zadzwonić.

– No i?

– On też kilka lat temu stracił żonę.

Na mojej twarzy musiało się malować albo zdumienie, albo totalna pustka.

– No i?

– Kiedyś ze sobą chodziliśmy.

– Kiedyś ze sobą chodziliście.

Trudno mi wyobrazić ją sobie z kimkolwiek poza mężczyzną, z którym widziałem ją przez całe moje życie.

– Nie rozumiem.

– Nie ma tu co rozumieć. Znałam go na długo przed twoim ojcem. Wyjechał na Zachód. Mówił, że na rok, może dłużej. A potem spotkałam ojca.

Ten opis wydaje się tak nieczuły, niemal barbarzyński.

– I jak on to zniósł?

– Niedobrze. Znalazł sobie kogoś na Zachodzie i ożenił się, jeszcze zanim ja wyszłam za mąż. Oczywiście nigdy mu nie wybaczyłam. Nie wybaczałam mu za każdym razem, kiedy sprzeczaaliśmy się z twoim ojcem, a na początku

sprzeczyliśmy się na okrągło. Nie wybaczyłam mu, kiedy załamiał się przede mną lód, żeby mi przypomnieć, że tata to tylko ktoś, kogo mi dano, żebym jakoś zdołała przetrwać.

– No i?

– No i nic. Kilka razy poszliśmy na kolację. Dzisiaj spędzi wieczór ze swoimi córkami. Ale mówił, że może wpadnie. Chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo.

Teraz rozumiałem, skąd ta butelka szampana.

Czego on od niej chciał?

– Kto to jest? – zapytałem w końcu.

– Posłuchaj sam siebie. „Kto to jest?”. – Matka uśmiecha się szeroko, naśladując mój ton. – Zaraz zapytasz, ile zarabia i jak zamierza mnie utrzymać.

– Przepraszam. Po prostu się martwię.

– O mnie? Jesteś pewien, że to tylko troska?

Wzruszam ramionami.

– Jeśli to cię pocieszy, ojciec wiedział. Wiedział od samego początku. A teraz, po trzydziestu latach, ten człowiek znowu do mnie zadzwonił. Oboje owdowieliliśmy, powiedział. Jak widać, odparłam. To wymagało sporo odwagi.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć?

– Co ja próbuję ci powiedzieć? Przecież wiedziałeś, że między nami wszystko się posypało. Więc próbuję ci powiedzieć, że przez te wszystkie lata, kiedy byłam jego żoną, część mnie żyła gdzie indziej. Przez te wszystkie lata, kiedy siedziałam w domu i pomagałam dzieciom w lekcjach, woziłam jego matkę po lekarzach i odgrywałam rolę dobrej żony na kolejnych nudnych bankietach, i kiedy pomagałam mu organizować te przyjęcia z winem, i kiedy jeździliśmy razem na letnie wakacje, i kiedy sypiałam przy nim w szpitalu po tym, jak odarli go ze wszystkiego, co miał, biedaczysko... przez cały ten czas moje serce należało do kogoś innego.

– I teraz mi o tym mówisz?

– I teraz ci o tym mówię.

Matka wstaje i nasypuje do miseczki pistacji – widać, że przeznaczone są dla mnie. Przynosi kolejną miseczkę na łupiny.

– Więc co takiego was łączyło, że nie mogłaś o tym zapomnieć? – pytam wreszcie.

– To była prawdziwa miłość. Albo coś bardzo do niej podobnego... może nawet lepszego.

– Czyli co?

Matka nie odpowiada przez chwilę, po czym się uśmiecha.

– Śmiech. Oto co nas łączyło.

– Śmiech? – powtarzam, zupełnie zbity z pantafelku.

– Kto by pomyślał. Ale to naprawdę był śmiech. A teraz odgrzewamy stare dowcipy. Za kilka miesięcy nam zbrzydną. Lecz jak na razie, gdy zamkniesz nas razem w pokoju, od razu zaczynamy się śmiać.

Wstaje, żeby zanieść filiżanki i spodki do zlewu. Jedyne, co stoi teraz między nami, to miseczka z pistacjami i miseczka z łupinami.

Te lata, kiedy trwała przy nim na dorocznym przyjęciu, zamawiała jedzenie dla gości, którzy na pewno w ogóle jej nie obchodzili, te lata, kiedy się uśmiechała, gdy tata z wybiciem północy powtarzał tę samą przemowę w rymowanych kupletach, całe lata i lata bez śmiechu.

– Brakuje ci go? – pytam.

– Dlaczego mówisz to w taki sposób? Oczywiście, że mi go brakuje.

Spoglądam na nią. Matka odwraca wzrok. Widocznie ją uraziłem.

– Popatrz, wyczyściłaś miskę w niecałe pięć minut.

Bierze obie miseczki. Myślałem, że jedną opróżni do kosza, a drugą postawi na blacie. Ale ona tylko dosypuje pistacji.

Kiedy zostaję sam w jadalni, podnoszę się, otwieram szklane drzwi



i wychodzę na balkon. Zaspa utrudnia mi przejście. Przez chwilę mam ochotę przywołać dawne czasy, przekonać się, jak to było, kiedy przychodzili do nas goście, a my chłodziłiśmy tam wino. Czy były to lepsze dni dlatego, że ojciec nadal żył, czy też dlatego, że należą do przeszłości? Chcę sobie wyobrazić, że jest tu przy mnie Livia albo że on stoi ze mną na mrozie i zwierza się z pragnienia wnuków, a jednocześnie zagląda przez okna do salonu i patrzy na swoją kłótniwą żonę, która nadskakuje wszystkim, tylko nie jemu, wreszcie spogląda dalej, przez okna sąsiadów z drugiego bloku, którzy urządzają przyjęcie. Cały czas znał prawdę, choć Bóg jeden wie, czy go to obchodziło i czy byłby w stanie wskazać palcem demona, który zgasił jego życie, choć przez tyle dziesięcioleci nie pozwolił mu umrzeć. Myślę też o innych Liviach w swoim życiu – o Alice i Jean, z których każda na miarę swoich sił próbowała pomóc przy wieczorkach degustacyjnych, osłaniając ze mną butelki ponumerowanymi serwetkami i wystawiając je na balkon, podczas gdy część gości dalej zgadywała gatunki win. Konkurs zawsze wymykał się spod kontroli – powtarzało się to co roku: wszyscy zgadzali się, że butelka numer cztery jest równie dobra jak numer siedem, ale najlepszy był numer jedenaście, i co roku te same osoby miały inne zdanie niż cała reszta, i ojciec rozstrzygał spory, i niektórych przestawało to już obchodzić, bo test winiarski i tak świetnie się udał, zawsze będzie się świetnie udawał i był tylko kolejnym sposobem, żeby zachować nieco optymizmu pomimo przeświadczenia, że w grudniu jakaś część nas umiera, i dlatego właśnie były to jedyne święta, które ojciec zawsze obchodził, bo ta część, która nie umierała, cieszyła się odroczeniem wyroku, tak samo jak on cieszył się tym, że miłość nie zniknęła całkowicie z jego życia, choć nikt nie wiedział i nie chciał wiedzieć, gdzie ojciec za nią węszył i gdzie ją znajdował; czarne śniegi dawnych lat, wcale za nimi nie tęskniłem.

Gdybym był lepszym synem, zrobiłbym to, co tamten ojciec umierającej księżniczki obiecał robić dla niej co roku. Wyciągałbym stare kości taty, żeby mógł znowu poczuć zimowe słońce i zadrzeć z radości na myśl o dobrym grzonym winie i gęstej, cieplej zupie z dyni, posypanej siekanymi kasztanami, i wyprowadzałbym jego ciało, aby nacieszyło się elegią śniegu w poświacie księżyca, kiedy jego umysł będzie marzyć o dawnych nadreńskich miasteczkach, których już nie ma, i o miłości, która zgasła przedwcześnie. Wcale nie zgasła, to się nigdy nie wydarzyło – powtarzał

dawniej; o ile wiedział, tamta kobieta może nigdy nie zdawała sobie sprawy, że była światłem jego jedyne, krótkiego, niedokończonego życia – miłość najniewinniejsza, miłość najniewinniejsza. „Twoja matka nigdy o tym nie wiedziała i nie ma sensu teraz jej mówić”.

Matka prosi, żebym nie wyrzucał zużytej żarówki do śmieci. Kłamię i mówię, że nawet nie przysłoby mi to do głowy. Jak puste wydaje się teraz jej mieszkanie z tymi wszystkimi pozamykanymi drzwiami: „Jakże zostało samotne miasto tak ludne, jak gdyby wdową się stała przodująca wśród ludów”<sup>21</sup>. Muszę przyprowadzić tu Clare.

Któregoś dnia przyjdę tutaj posprzątać, powybierać odłamki jej życia, jego życia – gorzej, swojego własnego życia. Bóg jeden wie, na co się natknę, czego nie jestem gotów znaleźć. Jego budzik, jego adresownik, jego przybory do palenia fajki. Duża popielniczka, a w niej poźółkłe fajki z sepiolitu, z cybuchami wyrzeźbionymi w kształcie Turków w turbanach, krzywiących się niczym dwie podpórki do książek z jednego kompletu, które nie mogą znieść nawzajem swojego widoku. Jego klasyczne pióro marki Pelikan i srebrny ołówek Caran d’Ache, leżące niczym więźniowie obozu na tej samej pryczy, głowami przy nogach, albo niczym widelczyk i łyżeczka do deseru, jego zapalniczka z laki oraz – pierwsze wśród wszystkich przedmiotów, czekające z założonymi rękami, zaczynające się niecierpliwie – jego okulary w rogowych oprawkach, odłożone zapewne tak pieczołowicie, a jednak porzucone bez żadnych pozorów w ostatnim momencie, kiedy powiedział: „No dobrze, to chodźmy zmierzyć się z tymi szamanami”. Wyobrażam sobie pełne rezygnacji upomnienie w jego geście, kiedy odłożył te okulary na sam środek szklanego blatu pustego, czystego biurka, jakby mówił: „Strzeżcie twierdzy i zaopiekujcie się pozostałymi”. Przypomina mi to, jak przed opuszczeniem hotelowego pokoju wyjmował dwudziestodolarowy banknot i wsuwał go pod popielniczkę, co miało oznaczać: „Byłeś dobry dla mnie, teraz bądź dobry dla następnego gościa”. Ojciec był życzliwy dla rzeczy, życzliwy dla ludzi. Słuchał, zawsze słuchał. Jestem pewien, że matka schowała gdzieś skrzętnie jego akcesoria do wina.

Pamiętam troskę, z jaką wykladał je jeden po drugim na kredensie w jadalni, czyszcząc i polerując swoją ogromną kolekcję zabytkowych korkociągów i nożyków do folii, a matka mówiła przy wszystkich, że kojarzy

jej się to z mohelem przygotowującym sobie narzędzia do obrzezania. „Ostatni raz, kiedy wyłożyłem swoje narzędzie, powiedz gdzie, w jakiej krainie to było” – ktoś natychmiast wtrąca się z żartem na temat różnych narzędzi i zakochanego Abelarda. „Heloizy to przyczyna, tu się kryje cała wina” – odpowiada ojciec. „Heloizy i zaślubin”. Śmiech, śmiech i przez cały ten czas, kiedy śmiejemy się razem, ona jest mu niewierna, podczas gdy jego serce usycha z tęsknoty za kimś, kogo poznał dziesiątki lat temu, za miłością najniewinniejszą. Oto były słowa, którymi odznaczał czas w tej prywatnej księdze, w której prowadzimy rejestr tego, co tracimy, co nam się nie udaje, jak się starzejemy, dlaczego dostajemy tak niewiele z tego, czego pragniemy, i czy nadal mądrze jest czekać na coś lepszego, bo przecież radzimy sobie z życiem danym nam do przeżycia i z tym, którego nie przeżyliśmy, i z tym, które przeżyliśmy połowicznie, i tym, które chcielibyśmy nauczyć się przeżywać, kiedy mieliśmy jeszcze czas, i tym, które chcielibyśmy napisać od nowa, gdybyśmy tylko mogli, i tym, o którym wiemy, że pozostaje i może na zawsze pozostanie nienapisane, i tym przeżytym lepiej i mądrzej od naszego, którego życzymy innym, bo wiem, że tego właśnie ojciec pragnął dla mnie.

– Kim jest ten człowiek? – pytam matkę.

– Już go kiedyś spotkałeś.

– Jak się nazywa?

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, przyjdź przed północą.

Uśmiecha się, ale nadal nie chce mi powiedzieć. Bo nie ma tu o czym mówić.

– Dasz sobie radę? – pytam.

– Nic mi nie będzie. – Promienna i odporna matka. Rzadko ją taką widziałem.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Nie, nigdy ci o tym nie wspominałam.

Długa cisza, podczas której matka krzywi się, trafiwszy na zepsutą pistację.

– Na pewno jest powalająca.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Przyszedłeś tu tylko po to, żeby zabić czas, prawda? Lepiej już idź.

Ma rację. Rzeczywiście zabijam tu czas.

Życzę jej szczęśliwego Nowego Roku na wypadek, gdybyśmy się już dzisiaj nie zobaczyli.

Tak, tak – odpowiada, wiedząc, że praktycznie nie ma szans, żebym znowu tu dziś zajrzał.

W każdym razie ma nadzieję, że nie. Obejmujemy się.

– Nigdy cię nie widziałam w takim stanie – mówi.

– To znaczy w jakim?

– Sama nie wiem. Wyglądasz inaczej. Dobrze. Może nawet wydajesz się szczęśliwy.

Odprowadzając mnie do wyjścia, wyłącza światło w jadalni, a potem w kuchni. Gdy tylko przekręci za mną klucz, wróci do sypialni, niczym matka Ulissego umykająca z powrotem między cienie. Oto czym się stałam – zdaje się mówić.

Kiedy wreszcie zatraskuję za sobą drzwi, wydaję z siebie westchnienie ulgi.

Jak zwykle sięgam do kieszeni i wręczam portierowi noworoczny napiwek. Jego kolega, który mnie nie zna, też coś dostaje na wypadek, gdyby matka o nich zapomniała.

Gdy tylko portier otwiera przede mną drzwi budynku, wita mnie podmuch wiatru, który ożywia mnie i napełnia radością jak nic innego. Oczyszcza moje serce z dusznego, przytłaczającego otępienia, które ciążyło na mnie, od kiedy wszedłem do mieszkania matki.

Zawsze uwielbiałem światła miasta zimą, panoramę wznoszących się pod niebo wieżowców w centrum Nowego Jorku, grad jasności wybuchający niczym galaktyczna burza nad Manhattanem, podczas gdy luna słabszych

świąteł ponad starymi budynkami mieszkalnymi przy Central Parku opowiada o spokojnych, szczęśliwych życiach i spokojnych, szczęśliwych noworocznych przyjęciach. Uwielbiam patrzeć na nadmiar świąteł kładących się nad miastem: to coś niewidzianego i niezrównanego od czasów, kiedy latarnia na Faros rozświetliła starożytny świat i żeglarze przybyli ją podziwiać, mówiąc: „Nie ma nic na tym świecie, co może się z nią równać”.

Gdybym był dobrym synem, poznałbym Clarę już wieki temu i ją tu przyprowadził. Gdybym był dobrym synem, zabrałbym Clarę dzisiaj w ciągu dnia i powiedział: Chciałbym, żebyś poznała moją matkę, bo żał mi, że on już nie żyje, na pewno by cię pokochał. Razem z nią wszedłbym na chwilę do jego gabinetu i zakłócił niespokojny sen jego rzeczy: jego pelikana, jego Caran d’Ache, jego wykrzywionych Turków, jego okularów, a ona zbudziłaby je ze śmiertelnego snu, tak jak wcześniej zbudziła moją kuchnię, mój dywan, mój szlafrok, i sprawiła, że odnalazłem miłość w swoich przedmiotach, w swoim życiu.

Wprowadziłbym ją do środka, jak za dawnych czasów, i zanim przedstawiłbym ją pozostałym gościom, zabrałbym ją na balkon i poprosił o pomoc przy zaklejaniu etykiet na butelkach. „Co my robimy?” – pyta Clara. Ukrywamy nazwy win. „No wiem! – odpowiada. – Miałam na myśli: Co my robimy?”. Doskonale rozumiem, co ma na myśli, nawet jeśli przez chwilę udaję, że jest inaczej, bo tak samo trudno mi wyjaśnić, dlaczego przyprowadziłem ją do domu swoich rodziców, jak trudno było mi poprosić, żeby zatrzymała samochód i poszła ze mną na grób ojca – jest tyle rzeczy, o które tak trudno mi poprosić, Claro, ponieważ prosząc o zwykłe, proste drobiazgi, ujawniam więcej, niż kiedy proszę o coś ważnego. A jeśli jego już nie ma i nie może cię poznać, no to trudno, i tak wpadnijmy z wizytą, zanim staniemy przed sobą nago, odkorkujemy szampana mamy, a jeśli przypadkiem pojawi się również jej wytrwały Don Juan, to wesoły z nas będzie kwartecik. Wzniesiemy toast za Nowy Rok, a potem popędzimy z powrotem na Sto Szóstą, pozostawiając im butelki Veuve Clicquot i porządnego Dom Pérignon, żeby oddzielił w ich życiu to, co dobre, od tego, co złe. A w taksówce: „Mam nadzieję, że nie zmieniłaś się w zombi” – powiem. „Wcale a wcale się nie uzombiłam” – odpowiesz.

„Wcale a wcale się nie uzombiłam”. Zupełnie w stylu Clary. Powiedz to

jeszcze raz, Claro: „Wcale a wcale się nie uzombiłam”.

„Wcale a wcale się nie uzombiłam. Zadowolony?”.

Tak, tak.

Sklep, w którym miałem nadzieję kupić kilka butelek rzadkiego wina na dzisiejsze przyjęcie, jest obłożony; kolejka zakręca wzdłuż całej lady. Trzeba było wybrać się po południu razem z Olafem. Miał rację, bojąc się, czy zdoła kupić szampana.

W takim razie dajmy sobie spokój z alkoholem. Kwiaty? Kwiaty prześlę jutro. A właściwie to powinienem był przesłać je w zeszłym tygodniu. W takim razie dajmy sobie spokój i z kwiatami.

Chcę tylko wskoczyć w M5 jak w zeszłym tygodniu podczas śnieżycy, kiedy ledwo byłem w stanie dojrzeć coś na zewnątrz, a mimo to czułem wdzięczność za te białe płatki, które musnąwszy szyby, zdawały się nikać z wyczerpanymi, słabymi sapaniami. Od czasu do czasu za światłami Riverside Park dostrzegałem kry lodowe spływające po Hudson niczym stado uwięzionych na rzece łosi, spokojnie próbujących przedostać się w dół strumienia. Krik, krik, krak. Dzisiaj nie zajrzę nawet do mieszkania Clary, tylko pójdę prosto do Hansa i Gretchen. Wsiądę przy Sto Dwunastej, jakby znowu przez pomyłkę, i spróbuję się pogubić jak tamtego wieczoru, kiedy wspiałem się na wzgórze i minąłem posąg Samuela J. Tildena, i znowu na sekundę pomyślę, że jestem we Francji, czy to z powodu psa bernardyna, czy dlatego, że miasto wydaje się dzisiaj tak dziwnie średniowieczne, albo może dlatego, że pod wpływem snów na jawie i przeczuć mam wrażenie, jakbym wszedł do filmu, który sam sobie wyświatlam, a w tym filmie pada śnieg, i to tak spokojnie, że wszystko, czego dotyka, wydaje się jednocześnie osnute czarem i niezniszczalne. Dotrę na przyjęcie, powita mnie Gretchen, która nigdy nie odstępuje drzwi na krok, oddam płaszcz obsłudze, tym razem upewniając się, czy dostałem kwitek, pokręcę się w salonie przy fortepianie, po czym zamówię drinka i stanę przy choince dokładnie w tym samym miejscu, gdzie tydzień temu, i kto wie, może zabawimy się w udawanie nieznajomych, bo ona to lubi tak samo jak ja, i kiedy wyciągnie do mnie rękę, ja przerwę nagle rozmowę i powiem: Czy ty nie jesteś przypadkiem znajomą Printza?, a ona odpowie: „A ty to na pewno ten głos z wczorajszego

télyfönu”. Tak, to ja. I usiądziemy przy tym samym oknie, i Clara przyniesie mi coś do jedzenia, i razem będziemy chodzić po kolejnych pokojach tego ogromnego mieszkania i pić coś lekkiego w rodzaju ponczu, choć nie znosimy ponczu, i tak jak ostatnio zejdziemy zatłoczonymi schodami, otworzymy drzwi na taras i staniemy razem, patrząc na panoramę New Jersey, próbując znaleźć tamten promień krążący nad Manhattanem i rozmyślając o Bellagio, Bizancjum i Sankt Petersburgu, aż przypomnimy sobie, że tamtej nocy ujrzelśmy wieczność.

Widzę wieczór rozpościerający się przede mną niczym marzenie, o którym wiemy, że zaraz się spełni: przejście z balkonu do kuchni, potem na górę do ogrodu zimowego, Pavel i Pablo, trzy Graje, Muffy Mitford we własnej osobie wraz z dwiema córeczkami, których wszyscy nie znoszą, aż nagle moje myśli zahaczają o pagórek przy posągu Samuela J. Tildena, o zesłotygodniową śnieżycę, Rohmera i małe miasteczko Saint-Rémy z domkami o dachach pokrytych łupkiem, które ukazało mi się na obrzeżach Hudson niczym pływające miasto wynalezione dla Clary i dla mnie.

Chcę znowu wyjść z nią na balkon i patrzeć, jak gasi papierosa na śniegu, jak jej stopa zrzuca niedopałek na samochody zaparkowane w podwójnym rzędzie, jak śnieg otacza nas niczym świetliste białe dłonie, ponadczasowy i czarodziejski. A po drodze pojawi się tyle pokus. Rollo na pewno znowu wstawi się za Inkym: „Na litość Boską, kobieto!”. I kto wie, może sam Inky – szczupły i elegancki – pojawi się, chcąc ją przebłagać, i poprowadzi na bok, z dala od innych gości, a ja będę tylko stać i się zastanawiać, czy powinienem zainterweniować, czy tylko stać i się zastanawiać, usiłując odgadnąć, czy ich związek zamienił się w przyjaźń, czy w ogóle nie uległ zmianie, czy też Clary nie obchodziłoby, nawet gdyby Inky rzucił się z tarasu, przyjaźń czy nie; bo po miłości nigdy nie ma przyjaźni – jeśli miłość was sparzy, spalcie za nią wszystkie mosty i rzeczne przystanie. Staniemy razem pośród reszty gości i nagle Clara poprosi, żebym dał jej kilka minut, i przyłączy się do Orli i Beryl na środku pokoju, i bez ostrzeżenia zacznie śpiewać arię z *Kawalera srebrnej róży*, podczas gdy ja będę usiłował na nią nie patrzeć, bo znam siebie i wiem, że jeszcze sekunda tego śpiewu, a wybuchnę płaczem, ale jeśli nawet tak się stanie, no to trudno, niech i tak będzie, a ona podejdzie do mnie i położy na mojej twarzy tę samą dłoń, która tamtego dnia chwyciła mnie mocno za krocze, i powie: „Ta pieśń jest dla ciebie, Printzu, to mój zaległy

prezent świąteczny dla mężczyzny, który być może kocha mnie mniej niż ja jego”. I znam siebie, i wiem, że nie zdołam się oprzeć, tylko zabiorę ją pospiesznie do zatłoczonej szatni i wcisnę między rzędy perfumowanych futer z norek, i spytam wprost: Chcesz mieć ze mną dzieci, chociaż nie mam pojęcia, co zrobić ze swoim życiem, tak czy nie? „Tak”. Myślisz, że będziemy razem szczęśliwi? „Tak”. W którym momencie ta fantazja dobiegnie końca? „Nie wiem, nigdy nie wiedziałam... Czy odpowiedziałam już na wszystkie twoje pytania?”. Tak. „Na pewno?”. Tak mi się wydaje. Znowu poprosi mnie, żebym poczekał jeszcze chwilę, a ja powiem: „W porządku” i będę patrzył, jak znika gdzieś w głębi mieszkania, a potem będę czekał i czekał, i czekał jeszcze dłużej, aż w końcu do mnie dotrze, tak samo jak w zeszłym tygodniu, że zwyczajnie zniknęła. Inky. No jasne! Powinienem był się domyślić.

I wtedy właśnie postanowię sobie pójść – pójść choćby po to, żeby nie pokazywać, jaki jestem zadurzony i zdesperowany ani jak bardzo bym chciał, żeby ten wieczór ułożył się inaczej. Poproszę o swój płaszcz, włożę go i wyjdę po cichu, po czym pójdę szybko do Straus Parku, przyspieszając kroku na wypadek, gdyby zauważyła, jak wychodzę, i biegła, żeby mnie zatrzymać. Kiedy jednak dotrę do parku, zwolnię i siądę, jak siadałem przez cały tydzień, w nadziei, że Clara faktycznie za mną idzie, żeby spytać, dlaczego tak wcześnie wyszedłem. Czy tego będę chciał? Żeby za mną poszła i zapytała, dlaczego tak wcześnie wyszedłem? Tak już mam – odpowiem – tak już mam, jak zwykle rezygnuję z tego, czego najbardziej pragnę, bo tak rzadko to dostaję, że kiedy już trafi się taka sytuacja, najczęściej nie mogę w to uwierzyć, nie mam odwagi tego dotknąć i sam nieświadomie to odrzucam. Jak wtedy, kiedy wyłączasz telefon? Jak wtedy, kiedy wyłączam telefon. Jak kiedy mówisz: „Za wcześnie, za nagle, za szybko”, podczas gdy ja krzyczę: Teraz, do cholery! Jak kiedy mówisz: „Może”, podczas gdy ja krzyczę, że chcę iść na całość, jak kiedy nie idziesz do kina, chociaż wiesz, po prostu wiesz, ty pierdolony dupku, że nie było możliwości, żebym tam wczoraj nie poszła? Tak – odpowiem – tak jak wtedy, kiedy nie przyszedłem, wiedząc, że nigdy mi nie wybacysz. No więc? No więc nic. No więc przychodzę tu co wieczór, żeby rozmyślać o tym, że cię straciłem, bo co wieczór czuję, że to był ostatni raz, a kiedy tu jestem, to cały czas się modłę, choć sam nawet nie zdaję sobie z tego sprawy, żeby nigdy nie nadszedł dzień,



kiedy nie będę bez ciebie. Siedziałbym w tym parku przez tysiąc nocy na mrozie i na jakichkolwiek tylko zechcesz warunkach, o ile tylko nigdy „nie zobaczę” cię znowu.

Podwójne zaprzeczenia, czas zaprzysły, tryb przypuszczający – co to wszystko ma znaczyć, Printzu? Nic, to nic. Tylko hipotetyczne sprawy z mojego hipotetycznego życia.

W Straus Parku chciałbym pamiętać wyłącznie o pierwszym wieczorze, który tutaj spędziłem, albo drugim, albo trzecim, albo tej nocy, kiedy wróciłem tu i stałem oszołomiony po naszym pierwszym pocałunku, i za każdym razem, kiedy oglądałem się na tamtą piekarnię, w moim sercu wzbierało wzruszenie na myśl o tym, jak przycisnąłem jej ciało do szkła i pocałowałem ją, a nasze biodra przywarły do siebie, i podążyłem za impulsem, którym – jak mi się wydawało – kierowałem się przez całe życie, podczas gdy tak naprawdę były to tylko ćwiczenia w oczekiwaniu na Clarę, wszystko było tylko próbą i odwleczeniem. Chcesz, żebyśmy byli razem, czy to ma być tylko jedna z tych nudnych, rozlazłych przyjaźni, które jednej nocy po zbyt wielu drinkach zahaczają o namiętność – powiedz mi jeszcze raz, ty słodkie, gorzkie kamienne serce, powiedz mi jeszcze raz, czy ty też pragnąłeś, żeby czas się dla ciebie zatrzymał? Czy to, co mówię, ma dla ciebie jakiś sens? Czy jestem tym, czego pragniesz? Tak. Dopóki nie zmienisz zdania? Nigdy nie zmieniłem zdania, ale jeśli w ten sposób mnie postrzegasz, to właśnie że zmieniłem zdanie – to ty nie umiesz i nie chcesz się zdecydować.

Będę stał tam i myślał o Trzech Królach z głowami spowitymi w płomień, którzy może pojawią się dzisiaj, powłócząc zapadającymi się w ziemię nogami, i powiedzą: Nie powinno cię tu być, dlaczego wyszedłeś, dlaczego tu jesteś? Jestem tu, żeby się zastanowić, czy powinienem tam wrócić, czy zostać tutaj. No i? No i nie wiem. Twoje serce przypomina rozdwojony język i jest w tobie niemym organem. Za pięć lat, jak w filmie Rohmera, wpadniesz na nią w jakimś nadmorskim europejskim kurorcie, a ona będzie tam ze swoimi dziećmi, albo ty ze swoimi, i będziesz na nią patrzył, i gapił się, i zliczał wszystkie swoje co-by-było-gdyby. Nic się nie zmieniłeś – powie ona. Ty też nie. Nadal Printz? Pewnie tak. A ty, Claro? Taka sama. Nadal się dekuje? Nadal się dekuje. Więc pamiętasz? Wszystko

pamiętam. Ja też. No więc? No więc.

Czy zanim dożyję wieku mojego ojca – z niecierpliwością w duszy i wspomnieniem swojej miłości najniewinniejszej, o której będę myślał, stojąc na tarasie i przypominając sobie degustacje win oraz rozgniecione papierosy spadające na ziemię, a także przyjęcia po drugiej stronie budynku, które zawsze są tymi prawdziwymi przyjęciami – przestanę z tego powodu cierpieć, czy też zmieni się to w niezniszczalny sen, który będzie dla mnie najważniejszy na świecie – od dnia, kiedy się skończył w momencie, kiedy się zaczął, do dnia, kiedy się zaczął w momencie, kiedy się skończył, tam przy ścianie zwykłej piekarni, sto metrów stąd, sto lat od teraz, sto lat w przeszłości. Z małego parku w Berlinie do Straus Parku w Nowym Jorku. Latarnie gazowe sprzed wieku i nienarodzony kamieniarz o wiek od teraz, rozdzieleni stuleciami. Niezmierzalne.

Więc co powinienem teraz zrobić? Stać i czekać? Stać i się zastanawiać? Co mam robić?

Aż wreszcie ciszę przełamie jedna z parkowych latarni.

Spodziewałeś się rady? Odpowiedzi? Przepraszam?

Wracaj – powie ów głos; o, gdybym tylko mógł wrócić, gdybym tylko mógł wrócić.

Poznałbym ten głos pośród miliona innych.

I ze Straus Parku pójdę z powrotem na róg Sto Szóstej i Riverside, i spojrzę na ludzi na górze opierających się plecami o szyby, tak jak tydzień temu w tamtą mroźną noc, a ich widoczne w blasku świec twarze promienieć będą od śmiechu i tajemniczego przeczucia, i wszyscy będą trzymali w rękach kieliszki; niektórzy, jak zgadywałem, opierać się będą o fortepian, przy którym śpiewak o gardłowym głosie będzie zmuszał wszystkich do śpiewania kolęd. I nawet przywitam się z Borysem, który tym razem już mnie rozpozna, i będę patrzył, jak wsadza rękę do windy i wciska guzik na najwyższe piętro, tak jak w zeszłym tygodniu, i gdy tylko wejdem do mieszkania, rozlegnie się chór powitań. Patrzcie, wrócił – powie Orla – pobiegnę powiedzieć Clarze. Nie, ja to zrobię – mówi Pablo. – Bardzo się na ciebie zdenerwowała, a w dodatku wczoraj nie pojawiłeś się w kinie. Idziemy wszyscy do katedry Świętego Jana, chcesz się przyłączyć? I zanim mam czas

odpowiedzieć, ktoś wciska mi do ręki kieliszek szampana. Rozpoznaję ten nadgarstek, twój nadgarstek, twój słodki, cudowny, dany od Boga uwielbiony-przeze-mnie-nadgarstek. „*Ist ein Traum*, to jest sen – mówi Clara. – I właśnie rozpoczął się Nowy Rok”.

---

<sup>1</sup> Światło i słodycz (hiszp.; wszystkie przypisy, jeżeli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

<sup>2</sup> Henry Vaughan, *Świat*, tłum. Stanisław Barańczak.

<sup>3</sup> Georges, poprosimy trzy kieliszki wina (fr.).

<sup>4</sup> Tak miły (fr.).

<sup>5</sup> W szklarni (fr.)

<sup>6</sup> Gerard Manley Hopkins, *Katastrofa statku Deutschland*, tłum. Stanisław Barańczak.

<sup>7</sup> Za mojego ojca (hiszp.).

<sup>8</sup> I jeszcze za Clarę (hiszp.).

<sup>9</sup> Wybacz mi (hiszp.).

<sup>10</sup> Johann Wolfgang Goethe, *Lata nauki Wilhelma Meistra*, tłum. Piotr Chmielowski.

<sup>11</sup> Pani, oto katalog piękności, które kochał mój pan... (wł.), słowa z opery *Don Giovanni* Wolfganga Amadeusza Mozarta.

<sup>12</sup> To również nie jest wiadomość (fr.).

<sup>13</sup> Nieprawda? (wł.).

<sup>14</sup> Prezent. – Dla mnie? – Dla ciebie. – Dlaczego? (niem.).

<sup>15</sup> George Byron, *Wędrówki Childe-Harolda*, tłum. A.A.K.

<sup>16</sup> Czy jest tam (fr.).

<sup>17</sup> Nie ma żadnego (niem.).

<sup>18</sup> Bez krawata (fr.).

<sup>19</sup> John Keats, *La Belle Dame sans Merci*, tłum. Jerzy S. Sito.

<sup>20</sup> James Joyce, *Oplakująca Ragoon*, tłum. Maciej Słomczyński.

<sup>21</sup> Biblia Tysiąclecia, *Lamentacje*, wyd. Pallotinum.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska Przekład: Agnieszka Walulik Redakcja: Berenika Wilczyńska

Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Regina Gręda Projekt okładki: Magdalena Palej  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Martin Froyda/shutterstock; © Andrew Barnhart/EyeEm/Getty Images Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. (22) 828 98 08

faks (22) 395 75 78

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6444-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**